



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>

Slav 7119.1.31

Harvard College Library



BEQUEST OF

JEREMIAH CURTIN

(Class of 1863)

RECEIVED SEPTEMBER 3, 1913

Nov 21 9. 1. 31
Jeremiah Curtin

ELIZA PRZESZKOWA

ELI MAKOWER.

WARSZAWA.

S. LEWENTAL.

2054
12-2

TANIE

ZBIOROWE WYDANIE POWIEŚCI

ELIZY ORZESZKOWÉJ.

Tom XX.

Eli Makower.

WARSZAWA.

Własność, nakład i druk S. Lewentala.

Nowy Świat Nr. 39.

1885.

ELIZA PRZESZKOWA.

ELI MAKOWER

POWIEŚĆ

w trzech tomach.

Tom pierwszy.

WARSZAWA.

Własność, nakład i druk S. Lewentala.

Nowy Świat Nr. 39.

1885.

5162 7119-1,31

Harvard College Library
Sept. 3, 1913
Bequest of
Jeremiah Curtin (3 vols.)

BOUND OCT .10 1914

Доволено цензурою.
Варшава, 28 Июля 1885 года.

TOM I.

Jeremiah Curtin.

I.

Na jedną z najpiękniejszych i najżyźniejszych nadniemeńskich okolic spadał powoli mrok letniego wieczoru, i przezroczystym jeszcze, szarawym cieniem obejmował obszerny, szczytami licznych topoli najezony, o zieloną ścianę gęstych i rozległych ogrodów oparty, dwór orchowski.

Przez wielką salę, o czterech podłużnych oknach i sprzętach rzadkich, wkoło wysokich ścian umieszczonych, przesuwała się raczej, niż przechodziła, szczupła i wysoka postać kobieca.

Była to pani dworu, Leontyna z Ręczyców Orchowska, słynna niegdyś z piękności swój i rozgłosnych w świecie powodzeń.

Że była niegdyś piękną, każdy dziś jeszcze odgadł-by z pierwszego na nią spójrzenia, jakkolwiek jesień życia srebrzyć już zaczynała włosy jój kruczój czarnościi; ale nikt domyślić-by się nie mógł z pewnością, iż był czas, w którym ona także umiała być wesołą.

Patrząc na nią w téj chwili, nikt nie mógł-by pomyśleć o porze owéj, w którój czoło jéj promieniało dumą i pogardą, usta śmiały się swobodnie i często, czarne źrenice płonęły niecierpliwém pragnieniem blasku, hołdów, wesołości, dłonie umiały z dziecięcym wdziękiem i ponętną zalotnością bawić się kwiatkiem lub wachlarzem, w którój nakoniec cała ta postać wysoka prostą była, jak topol, żywą, jak iskra, jak tęcza, mieniającą się barwami i połyskami jedwabów, koronek, dyamentów.

Dziś czoło kobiety téj, białe jeszcze, zorane było kilku surowemi zmarszczkami, usta zwiedłe i okrażone wyrazem nieokreślonej goryczy, źrenice zagasłe, ze sztywną obojętnością w ziemię utkwione.

Powoli i cicho, w sukni czarnej, którój krój i barwa na-pół przypominały surowe szaty zakonne, na-pół romantyczny strój średniowiecznych kasztelanek, z głową pochyloną i opuszczonemi w dół białemi dłońmi, kobieta ta przesuwała się dziś pomiędzy wysokimi ścianami domu swego, niby duch smutku, rozlewający dokoła siebie zniechęcenie.

Jakkolwiek ostatnie blaski dnia dostatecznie jeszcze rozświecały wnętrze domu, wążka smuga białego światła lampy wymykała się z nieszczelnie zamkniętych drzwi pokoju do sali przytykającego.

Przed drzwiami temi kobieta w czerni zatrzymała powolne swe kroki.

— Czy mogę wejść? — zapytała z cicha.

- Proszę — odpowiedział z sąsiedniego pokoju głos męzki, stłumiony także, z zesłablęj, choręj widocznie piersi wychodzący.

Pokój, do którego weszła teraz pani orchowskiego dworu, mniejszy nieco od poprzedzającej go sali, obszernym był jednak, o trzech wielkich oknach, ściśle okrytych w tej chwili zasłonami z grubego sukna. Przestrzenie, znajdujące się pomiędzy oknami, jako też jedną ze ścian bocznych, zajmowały całkowicie ogromne szafy, od góry do dołu oszklone, szczytami dotykające wysokiego sufitu, napełnione książkami różnych formatów i w przeróżnej oprawie, tu starannie ustawionemi, gdzieindziej porozrzucanemi w najwyższym nieładzie, o ciągłym używaniu ich świadczącym. Ścianę przeciwległą oknom w połowie prawie okrywał obraz wielkich rozmiarów, tłumną jakąś dziejową scenę przedstawiający, i w ozdobne, złożone ramy ujęty.

W głębi szerokie łoże, wysoko pościelą zasłane, stało pod ścianą, na której wisiały portrety kilku słynnych poetów i myślicieli: Słowackiego, Szekspira, Szyllera, Hugona Kałłataja, Mirabeau, Woltera. Od stóp łoża puszyste skóry niedźwiedzie i lamparcie rozciągały się aż pod skraj komina, staroświeckiego kształtu i wielkich rozmiarów, przed którym stał obny stół okrągły, książkami i papierami piętrzący z zapaloną lampą po środku.

Światło lampy, wypływając z pod przezroczystej

osłony, niedostatecznie oświetlało obszerną i wysoką komnatę, w niewyraźnych tylko zarysach ukazując napełniające ją przedmioty. Słabe światło to, walczące z mrokiem, cisza głęboka, atmosfera duszna, gorąca, pomimo letniej pory ogrzewana ogniem, utrzymywanym wciąż na kominie w stanie tlenia, nadawały pokojowi temu cechę smutku i niemal pośpęności.

Przy stole, w głębokim fotelu, siedział mężczyzna, ubrany w szlafrok ciemnej barwy. Pomimo siedzącej postawy, znać było, iż musiał być wysokim, a szerokość ramion i cała budowa ciała dowodziły, że natura go stworzyła zdrowym i silnym. Teraz jednak szerokie plecy jego przygarbione, pierś wklęsła, szyja chuda, otoczona białym kołnierzem koszuli, i ręce złożone na stole, wkoło otwartej książki splecione, białe, przezroczyste, świadczyły o ostatecznym niemal fizycznym wyniszczeniu i niemocy. Ciału temu, napiętnowanemu sprzecznością siły z niemocą, wyrazem swym w zupełności odpowiadała głowa. Była to głowa wielka, taka, w której frenolog mógł-by domyślić się potężnie utworzonego i rozwiniętego mózgu; czoło nad brwiami wypukłe, wysokie, podniesione jeszcze całkowitým prawie wyłysieniem czaszki, znamionowało niepospolite umysłowe zdolności; oczy, podłużnie wykrojone, z błękitną źrenicą, musiały być niegdyś piękne i pełnią życia jaśniejące, usta, ocienione bujnym, posiwiałym wąsem, posiadały zarys wytwor-

ny, organizmom rasy pod względem fizycznym poprawnej właściwy. Wszystko to jednak było dziwnie zwiędłe, zmięte, zatarte, spłowiałe. Na czole tém wielkiem zgromadziło się zmarszczek mnóstwo; źrenice pobladłe, znużone, z wyrazem tlejacej jakby z wolna i milcząco boleści na dnie, patrzyły z pod powiek ciężkich, obrzękłych i zarumienionych; końce warg zwiślały w dół, pomiędzy żółtą i pomarszczoną skórą policzków. Jakiemikolwiek były żywioły fizyczne lub moralne, które podkopywały i podkopały zdrowie, energią, piękność i zdolności człowieka tego, uczyniły one z niego smutną ruinę, obraz bezwładności cielesnej i nieuleczonego, zda się, smutku ducha.

Wysoka postać i czarna szata pani Leontyny przesunęły się wśród mrocznego pokoju z wolna, bez szelestu, i białe palce jęj dotknęły na mgnienie oka chudej, gorączką rozpalonej dłoni siedzącego w fotelu mężczyzny. Zająła miejsce przy stole i, wychylając pod światło lampy twarz swą, smętną trochę i zadumaną, lecz więcej jeszcze obojętną i surową, zniżonym, bardzo przewlekłym głosem zapytała:

— Jakże czujesz się teraz, Kajetanie?

— Jak zwykle — z zupełną obojętnością odpowiedział mężczyzna.

— Dziś z rana jednak, kiedym tu była, mówięś mi, że jest ci nieco lepiej.

— Zwykła to rzecz u suchotników, że ranek przynosi im ulgę, a wieczór zwiększone cierpienie —

nie zmieniając obojętnego tonu, rzekł Kajetan Orchowski.

Pani Leontyna westchnęła.

— Spodziewam się — zaczęła znowu — że nie bierzesz za złe mnie ani Lili, jeśli nie przebywamy z tobą ciągle. Ja jestem także cierpiącą bardzo. Widok twój choroby rozstraja mi nerwy i wprawia uczucia w stan rozdrażnienia, którego dusza chrześcijańska i zrezygnowana unikać powinna. Lila znowu jest, jak wiesz, tak szczupła, delikatna... a w wieku jój... pewne choroby najłatwiej udzielać się mogą...

— Wiem, wiem — wymówił mężczyzna z tą samą, co wprzód, zupełną obojętnością, ale wyraz oczu jego zaprzeczył tym razem dźwiękowi głosu.

Oczy te, blade i zmęczone, obiegiły dokoła mroczną, posępną, nieożywionemi tylko przedmiotami napełnioną komnatę, i powlokły się szybko powieką, jakby skryć chciały iskrę żalu, co w nich zapłonęła. Po chwili, kończąc głośno myśl, która powstała mu w głowie, powoli i ciszej, niż wprzód, wymówił:

— Nie uskarżam się na nic i o nic nie obwiniam nikogo. Wszak wierzę, że wszystko, co spotyka człowieka, jest następstwem całego ciągu jego życia, jest własném jego dziełem...

— Wola Bożą — cichym, lecz stanowczym głosem przerwała pani Leontyna.

— Wola Boga nie jest wolą despoty. Stworzyła

ona świat i człowieka tak, aby żaden skutek nie powstawał bez przyczyny, i żadna przyczyna nie przemijała bez skutku.

Parę zdań tych Kajetan Orchowski wymówił tonem urywanym, lecz dobitnym.

Pani Leontyna za to spuściła oczy i westchnęła znowu.

— Na tym punkcie zdania nasze nie zejdują z sobą nigdy — rzekła sucho i krótko i, jakby chciała inny zwrot nadać rozmowie, rzuciła wzrokiem na papiery i książki, stół pokrywające.

— Zbytecznie trudzisz się tém czytaniem; doktor usilnie zaleca ci spoczynek.

Po zwiędłych wargach Orchowskiego przesunął się uśmiech o nieokreślonym wyrazie.

— Spoczywałem całe życie — wymówił.

— Tém bardziej więc spoczywać możesz teraz, gdy jesteś chory i...

— Blizki śmierci — dokończył mężczyzna.

Kobieta nie odpowiedziała.

— Otoż-to tak — z uprzednim wciąż uśmiechem na ustach ciągnął Orchowski — jednym śmierć przybywa przedwcześnie dlatego, że nazbyt pracują, innym dlatego, że nazbyt zażywają wczasu...

— Ja tego wszystkiego nie rozumiem — z większą, niż wprzódy, żywością, przerwała kobieta. — Wiész dobrze, iż nigdy nie miałam najmniejszego pojęcia do wszelkich tych uczości i filozofii, które nie

prowadzą ani do szczęścia na tym świecie, ani do zbawienia wiecznego na tamtym. Widzę tylko to, że szczególne zamięłowanie twoje w tych szpargałach do reszty odbiera ci siły.

— Miałem ich kiedyś więcej i nic z nich nie uczyniłem; dziś jest już ich we mnie za mało, aby na cokolwiek przydać się mogły. Szpargały te zresztą, Leontyno, to jedyna pociecha moja, jedyny promień, który przyświeca ostatnim godzinom mego życia.

Powiedział to bardzo spokojnie, bez cienia skargi w głosie, a jednak pani Leontyna uczuła snadź wyrzut, który mieścił się w ostatnich jego słowach. To też uśmiechnęła się pół-cierpko, pół-smutnie, i czarne oczy swe podniosła na twarz męża z wyrazem nietajonego wcale zażalenia.

— A ja? — rzekła powoli — jakąż jest jesień mego życia? Tak, bo jesień to już, jesień... jesień...

Ostatni wyraz, trzy razy powtórzony, stopił się w szepcie zaledwo dosłyszalnym i w westchnieniu, które, niezwalczone i zapewne nie zwalczane, podniosło wysoko pierś jój, okrytą surowemi fałdami czarnego stanika.

Potém zaczęła znowu :

— Od lat już kilku siedzę zamknięta w tym wielkim, milczącym domu, jak w grobie... Nie widzę ludzi i nie szukam ich... Pocóż mi zresztą ludzie, i co wśród nich znaczyła-bym teraz... zestarzała... smutna?... Dnie wloką się, jak lata, i gdyby nie

wiara, która mnie podtrzymuje, gdyby nie modlitwa, w którą przelewam wszystkie łzy zbolełego swego serca...

— A dzieci twoje, Leontyno? — zapytał mężczyzna, który dotąd słuchał żalów swój żony z zupełną obojętnością, niby zwrotki swego i jej życia, którą wiele już razy słyszał, dokładnie znał i rozumiał.

Ramię pani Leontyny, objęte czarnym, obcisłym rękawem, poruszyło się gościem zniechęcenia.

— Dzieci? — powtórzyła — wszak Kamil podróży ciągle prawie, a gdy jest w domu, siedzi tak, jak ty, zakopany w książkach... Mieczysław, za gospodarstwem swém w Rydlówce, od lat dwóch już Bożego świata nie widzi, i zresztą kochał on zawsze ciebie nieporównanie więcej, niż mnie...

Westchnęła ciężko i dodała:

— Taki-to już los wielu matek, że synowie ich, gdy dorosną, stają się im zupełnie prawie obcymi... Kamil i Mieczysław nie zwierzają się nigdy z niczém przede mną, a ile razy, dawniej jeszcze, którykolwiek z nich zaczął mi mówić o tém, jak myśli i co czuje, nie doprowadziło to nas do niczego więcej, jak do bolesnych bardzo sprzeczek i zwiększonej ich dla mnie obojętności.

Gdy pani Leontyna tak mówiła, usta pana Kajetana otworzyły się i zamknęły znowu parę razy; здаwać się mogło, że wyrzekaniom tym odpowiedzieć chciał zapytaniem jakimś, czy uwaga, która wyja-

śniła-by może obudzającą je przyczynę. Nie uczynił jednak tego; wszelkie uwagi i przypominania uznał snadź za rzecz zapóźną i bezpożyteczną, krótko więc tylko zapytał:

— A Lila?

— Lila przy guwernantce, a gdy nie będzie już miała guwernantek, to za mąż pójdzie — odrzekła pani Leontyna.

Po krótkiej chwili milczenia, z głową pochyloną, z dłońmi splecionymi i złożonemi na kolanach, mówiła dalej:

— Jestem wiecznie sama... sama jedna ze wspomnieniami tylko minionej przeszłości, które nie pozostawiły mi nic, prócz żalu za tém, co było... od których zresztą usiłuję uwolnić się modlitwą i oderwaniem myśli od ziemskich próżności... Synowie moi oddalili się ode mnie sercem, wyobrażeniami, całym sposobem życia i myślenia... córka nie potrzebuje starań moich, bo nie jest już przecie niemowlęciem, a wkrótce może opuści mnie zupełnie... Dom, w którym przeżyłam lat trzydzieści, nie stał mi się miłym wcale, nie może mi zresztą miłym być teraz, gdy wszystko tu starzeje, rujnuje się i upada w gruzy... Gdziekolwiek spojrzę, na siebie, czy dokoła siebie, wszędzie widzę tylko starość, smutek, zniszczenie!...

Pan Kajetan na-pół tylko zdawał się słuchać wyrazów tych, cichym i przewlekłym głosem wypowiedanych. Oczy jego, z pewną niecierpliwością zwraca-

cały się co chwila na karty rozwartej książki. Myśl znużona i roztargniona słuchaniem tego, co zbyt dobrze i od dawna było jej znanem, uciekała w oderwane od najbliższej rzeczywistości światy poezji i rozpamiętywać. Pani Leontyna spostrzegła to, i z wolna podniosła się z siedzenia.

— Widzę, że przeszkadzam ci — rzekła. — Od dawna zresztą wiem, że najlepiej ci jest, gdy zostajesz sam ze swemi ulubionemi książkami.

— Ja także, Leontyno, wiem od dawna o wszystkim, o czém mi przed chwilą mówiłaś. Jesień twojego życia smutną jest, kres mego niewesoły także. Cóż na to poradzić? Dopuszciliśmy się snadź srogich omyłek i błędów, skoro nam one tak gorzkie przynoszą owoce... żyć zaś po raz drugi, aby stracone dobra odzyskać, nie możemy.

— Ja znowu nie poczuwam się do tak wielkich błędów, aby mi za nie podobna wyznaczona była pokuta. Grzeszna jestem przed Panem, jako istota ułomna, to prawda; mniej jednak z pewnością zawiniłam w swém życiu, niż wiele innych kobiet, stokroć jednak szczęśliwszych ode mnie. Nie mam sobie nic do wyrzucenia, i w nieszczęściu swém widzę tylko wole Boga, który ciężkie krzyże lubi zsyłać częstokroć i na niewinnych, aby uświęcać dusze ich, nazbyt może przywiązane do marnych powabów świata.

Chwila milczenia panowała pomiędzy małżonkami.

Kajetan Orchowski wpatrzył się w karty książki,

potém podniósł czoło, na którym więcej jeszcze, niż wprzód, zjawiło się zmarszczek i, z okiem rozpaloném nagłym jakimś gorącym uczuciem, rzekł:

— Uznajesz się niewinną, Leontyno... niewinną zupełnie... Zaprzeczać ci nie będę, bo i na cóż to przydać-by się mogło? Ale oto dlaczego nie zgadzamy się ze sobą na znaczenie żadnego ze słów mowy ludzkiej, dlaczego niepodobna, abyśmy sobie wzajem jakąkolwiek niesli pociechę: Ja poczuwam się do omyłek i błędów wielkich, ciężkich; wyrzucam sobie srogo, że uczyniłem z życia swego to, co uczyniłem; uznaję się winnym... nietylko przed Bogiem, jak ty, ale przed ludźmi, tobą, sobą i dziećmi naszemi... Dlatego téż nie wyrzekam... i cały ból swój i wszystkie zale chowam tu!...

Przy ostatnim wyrazie, położył na piersi, wzdymając się krótkim, chrapliwym oddechem, rękę swą chudą, przezroczystą, a na wklęsłe policzki jego wystąpiły dwie plamy gorącej, ceglastej barwy.

Pani Leontyna słuchała słów męża z brwią ściągniętą i z cierpkim, wzgardliwym prawie uśmiechem na ustach.

— Uważam to od niejakiego czasu — rzekła — iż każda rozmowa ze mną irytuje cię i *robi ci źle...* Dobranoc! Jeśli będziesz mnie potrzebował, przyślij po mnie Tomasza. Znam i rozumiem powinności swoje, jako żony; świat i lata nauczyły mnie pokory; gotową więc jestem w każdej chwili oddawać ci usłu-

gi, choć najniższe, najtrudniejsze... Jutro zresztą, około południa, przyjdę, jak zwykle, dowiedzieć się, jak noc spędziłeś.

Rzekłszy to, odeszła, jak przyszła, z wolna i bez szmeru.

W obszernój komnacie cicho było znowu, jak w grobie; lampa malowała na suficie świetliste koła i drżące iskry rozniecała w szybach, osłaniających długie, liczne szeregi książek; z pół-zmroku wychylały się, mistrzowskim ołówkiem rysowane, zamyślone, energiczne, poezją opromienione, lub ogniem czynu i walki rozgrzane twarze wielkich mężów ludzkości; przed kominem, w którym zarzyło się jeszcze parę niedopalonych drewn, na okrągłym stole, w tłumnym nieładzie skupiały się książki, rozwarłe i zamknięte, podarte, zmięte i nowe, z licznymi dopiskami na marginesach, beładnie, niewyraźnie, drżącą snadź, słabą, często jakby niecierpliwą ręką kreślonymi.

Kajetan Orchowski, po odejściu swój żony, długo siedział nad tym stosem zadrukowanego i zakreślonego papieru, nieruchomy, zmęczony, oddychając ciężko, z czołem ukrytém w dłoni i głęboką zadumą w oczach. Wyciągnął potem rękę i przycisnął sprężnę stojącego wśród książek dzwonka. Srebrzysty, nośny dźwięk, poruszeniem tém wywołany, nie milkł jeszcze w powietrzu, gdy w bocznych drzwiach

stanął mężczyzna, z głową okrytą białymi, jak mleko, włosami.

— Czy Mieczysław nie przyjeżdżał dziś do dworu? — łagodnym głosem zapytał pan Kajetan starego sługi.

Starzec wzruszył ramionami.

— Alboż-by pan nie wiedział o tém, gdyby pan Mieczysław tu przyjeżdżał? Alboż pan Mieczysław choćby raz jeden nie był u pana, będąc we dworze?

— To prawda, mój Tomasz, to prawda... myślałem tylko, że może... może zapomniał.

— Niech pan będzie pewny, że pan Mieczysław prędzej o własnej głowie, niż o panu, zapomni.

— A Kamil? — ciszej i spuszczając oczy, zapytał Orchowski.

Stary sługa poprawił zasłonę u lampy, przysunął do stołu dwa staroświeckie krzesła o wysokich poręczach, i milczał chwilę. Na twarzy jego pomarszczonój, lecz rumianój i czerstwój, zjawił się wyraz przymusu, z pewném nadąsaniem połączonego. Po chwili rzekł tonem krótkim i mrukliwym:

— Pan Kamil przyjechał z Warszawy parę godzin temu. Kazał urządzić sobie kąpiel i podać wierzę. Teraz leży w łóżku i książkę czyta.

— Czy pytał się o mnie? — z cicha wymówił Orchowski, a powieki i usta jego lekko zadrżały.

— A pytał się — odparł sługa i, pragnąc ja'by uwolnić się od dłuższego mówienia w tym przeu

miecie, dodał: — Może pan potrzebuje czego? może ogień rozpaścić lepiej? albo ziółek od kaszlu przynieść? A może książkę którą z szafy dostać i podać?

Pani Leontyna tymczasem, opuściwszy pokój męża, przebyła znowu wielką salę i, przez szereg mniejszych już, ale równie ponurych i mrocznych pokojów, skierowała się w inny koniec domu.

Tam, z-za drzwi zamkniętych, doleciały jęj ucha dźwięki dwóch świeżych głosów, z których jeden był wyraźnie głosem młodej kobiety, drugi—wychodził z na-pół dziecięcej jeszcze, dziewczęcej piersi. Głosy te rozmawiały ze sobą żywo, wesoło, wznosząc się chwilami w swawolnej niby sprzeczce, to znowu przyciszając się, jakby w poufnych zwierzeniach. Raz zmieszało się z niemi parę skocznych taktów polki, czy walca, wygranych na fortepianie dorywczo i mimochodem; potem zabrzmiał długi, srebrzysty wybuch śmiechu; potem jeszcze lekkie stopy przebiegły po posadzce, jakby ktoś uciekał od czyjéjs pogoni, a szmerowi temu towarzyszyły stłumione chichoty i ciche, urywane, z głośnemi wykrzyknikami pomieszane szepty, aż nakoniec rozmowy, śmiechy, muzyka i swawolna zabawa umilkły.

Pani Leontyna weszła do pokoju, w którym, prócz fortepianu, dwóch łóżek, śnieżnie zasłanych, kanap zeseł dość starych i zniszczonych, stał pośrodku lki stół okrągły z książkami, w szarój, podartej awie, z poplamionemi i porozdzieranemi zeszyta-

mi, ze szklanym kałamarzem i kilku piórami, atramentem powalanemi, niecierpliwą ręką jakąś połamanemi i rozrzuconemi. Był to więc widocznie pokój nietylko do spania, ale i do nauki młodej główki jakiejś przeznaczony. Że zmieniał się on téż niekiedy w miejsce zabawy, świadczył o tém nieład, napełniający go w téj chwili, krzesła porozrzucane i dwie doniczki, z rosnącemi w nich roślinami, przewrócone.

Wśród tego wszystkiego znajdowały się dwie osoby: młoda kobieta, piękna, wysoka, z bogato rozwiniętą kibicią, wymownemi oczyma i lasem kasztanowatych loków wokoło szyi, i młodziuchne, najwyżej piętnastoletnie dziewczę. Wdzięki kobiecie dorosłej, jakkolwiek niepospolite, bladły wobec olśniewającej piękności dziewczyny dorastającej. Była to piękność smukłej, gibkiej brzozy, i zarazem iskry, która wnet wybuchnąć na płomieniem. Blask dwóch świec, palących się na stole, padał wprost na twarz jęj ściągłą, alabastrowo białą; ukazywał usta ponsowe, jak krew, wypukłe, wilgotne; przeglądał się w wielkich, czarnych źrenicach, pływających na ciemno-błękitnych białkach; połykiwał nakoniec w bujnych, czarnych paciorkach, dwoma rzędami otaczających szyję białą, i opadających na pierś, w pełnych już kształtach rysującą się wśród fałdów czarnego stanika. Włosy kruczne, kędzierzawe, odrzucone z czoła w sposób pełen zalotnej niedbałości, dwoma olbrzymiami splotami

spadały na plecy dziewczyny, tonąc w fałdach spódniczki krótkiej, o wiele jeszcze ziemi niedotykającej.

W chwili, gdy pani Leontyna ukazała się we drzwiach pokoju, dziewczę stało na krześle, z głową w tył odrzuconą, rękę napełnioną cukierkami podnosząc w stronę młodej kobiety, jakby ją gradem trzymanyh w dłoni przysmaków orzucić chciała. Młoda kobieta zaś, zmęczona snadź ucieczką, czy pogonią, z rumieńcami na śniadych policzkach, rzuciła się na sofę, i z twarzą wzniesioną ku sufitowi, z ustami rozwartymi swawolnym śmiechem, groziła białą ręką młodziutkiej figlarce. Nagle porwała się z sofy i stanęła wyprostowana, zmieszana nieco. Dziewczyna zeskoczyła także z krzesła, ale niezakłopotana bynajmniej; kilku skokami znalazła się obok wchodzącej, i głośny pocałunek wycisnęła na jej ręce.

— Jesteś zawsze tak żywa, Lilo! — wymówiła pani Leontyna zwykłym sobie, niższym, przewlekłym głosem, a zbliżając się ku stojącemu pośrodku pokoju stołowi, dodała: — Jak widzę, bawicie się wesoło.

— Lila uczyła się dziś pilnie — odpowiedziała młoda kobieta o śniadłej twarzy — pracowała wiele, i sądziłam, że dobrze będzie, jeśli się trochę rozmową i zabawą ze mną rozerwie.

Zapewne, zapewne — mówiła pani Leontynie jestem znowu tak bardzo przeciwną wszelkiej wesołości, abym jej córce swojej wzbraniać mia-

ła, tém bardziej, jeśli bawi się ona w towarzystwie pani, panno Grejs. Mój Boże! młodość ma swoje prawa... i ja także niegdyś wesołą byłam... chociaż znowu wołała-bym, aby Lila wiedziała o tém z góry, że życie nasze jest tylko jednym ciągiem smutku, cierpień i zawodów.

Przy ostatnich słowach pani Leontyny, uśmiech na-pół figlarny, na-pół szyderski, roztworzył usta młodziutkiej dziewczyny; wstrząsnęła głową tak energicznie, aż zabrzęczały rzędy czarnych, świecących paciorków, i chciała coś powiedzieć, gdy nagle pani Leontyna tonem zdziwienia zapytała:

— Co to jest? z kąd to masz, Lilo?

Przedmiotem, który pytanie to wywołał, były cukierki, na stole rozsypane, do połowy jeszcze napełniające duże, całkiem nowe, bardzo wytworne i kosztowne pudełko.

— Z kąd te cukierki, Lilo? — powtórzyła pytanie swe matka młodej dziewczyny.

Oczy nauczycielki i uczennicy skrzyżowały się szybkiém, niespokojnym spójrzeniem.

— Kamil przywiózł mi je dziś z Warszawy — odpowiedziało dziewczę, z pewną jakby determinacją, krzyżując na piersi ramiona.

Pani Leontyna ściągnęła brew z niezadowoleniem.

— Nie lubię tego — rzekła sucho. — Strzegę cię od wszelkich zbytków i blasków, o ile mogę, bo wiem z doświadczenia, że są one rzeczą znikomą i nie po-

zostawiają po sobie nic, prócz żalu. Nie nosisz innych sukien, jak czarne, nie znasz innego świata, prócz czterech ścian naszego domu, łakoci nie miewasz nigdy... Jednakże skoro brat chciał tym sposobem dowieść ci swęj pamięci, niech już przynajmniej panna Grejs zachowa u siebie te przysmaki... Ależ co to znowu? mój Boże!

Tym razem nowe pytanie pani Leontyny, połączone z wykrzykiem większego jeszcze, niż przedtém zdziwienia, szkarłatny rumieniec wywołało na twarz pięknej nauczycielki. Ale Lila rzuciła na nią bystre spójrzenie, jakby powiedzić chciała: bądź spokojną!

— To także Kamil przywiózł mi dziś z Warszawy — wymówiła tonem zupełnie stanowczym i spokojnym.

Nowym tym dowodem mniemanęj pamięci braterskiej była złota bransoleta, ozdobiona piękném spięciem z pereł i czarnej emalii.

Pani Leontyna z bardzo już żywém niezadowoleniem wzruszyła ramionami.

— To szczególne! — rzekła. — Kamil postanowił snadź skrzywić kierunek, jaki życzę sobie nadać twoim usposobieniom. Pragnę, abyś wiedziała, jak marnemi są błyskotki, i miała je w pogardzie...

— To téż, moja mamó — przerwała dziewczyna — nie myślę zachować dla siebie téj bransolety,

choć podoba mi się ona bardzo... prosiłam pannę Grejs, aby chciała przyjąć ją ode mnie.

Rumieniec na twarzy nauczycielki zwiększył się jeszcze na te słowa. Nie powiedziała jednak nic, i piękne swoje, wymowne oczy, ukrywała wciąż pod spuszczonej powiekami.

— Jesteś nazbyt samowolną, Lilo — tonem lekkiego upomnienia rzekła matka — wołała-bym, abyś, przed rozrządzeniem podobną rzeczą, zapytała mnie o pozwolenie. Ponieważ jednak wiem, że kochasz swą nauczycielkę, i że wiele postąpiłaś przy niej tak w językach, jak w muzyce, miło mi będzie, jeśli panna Grejs przyjmie od ciebie tę pamiątkę.

Nauczycielka ukłoniła się w milczeniu. Nie podniosła jednak powiek, które w dół kłoniło nieprzewyciężone jakieś zmieszanie.

— A teraz, Lilo, pójdź ze mną odmówić wieczorne pacierze. Dobranoc, panno Grejs.

Z temi słowami, pani Leontyna zwróciła się ku drzwiom. Lila pozostała jeszcze przez parę sekund w pokoju, mrugnęła ku nauczycielce swój, na znak poufnego i zarazem figlarnego porozumienia, westchnęła, główką skinęła żałośnie, a potem poskoczyła i za progiem już zaczęła iść obok matki w milczeniu i powoli.

Panna Grejs przywróciła do porządku cukierki i książki, popatrzyła przez chwilę na bransoletę, rzu-

ciła ją na stół z giestem zniechęcenia i rzekła z westchnieniem:

— Cóż z tego wszystkiego, kiedy nie kocham go? nie, nie, nie kocham! Pięknie było-by wprawdzie zostać panią Orchowską, panią tego domu, ale taka zwyczajna kolej życia... taki zwyczajny, pospolity człowiek...

Po kwadransie wbiegła Lila, zadyszana i, śmiejąc się, błyskając czarnymi oczyma, rzuciła się na szyję swój nauczycielki.

— O, jakże przelęłam się! — wołała przyciszonym nieco głosem — moja najdroższa panno Julio, gdy mama zobaczyła te cukierki, a szczególnie tę bransoletę. Gdyby też mama była dowiedziała się, że Kamil przywiózł to wszystko nie dla mnie, ale dla...

— Cicho! cicho! — z przestraczem upominała guwernantka.

— Nie pozwoliła-by, abyś dłużej została ze mną — ciągnęła dalej dziewczyna, tuląc twarz swą do piersi panny Julii. — Odebrali-by mi ciebie... rozłączyli-by nas, a ja nie przeżyła-bym tego!...

Uścisk i szept jój gwałtowny był, namiętny, objawiła się w nich natura nerwowa, zapalna, nawskróś nurtowana ogniami, z których lada chwila wybuchnąć ogły burze i pożogi.

Panna Grejs kilka gorących pocałunków złożyła czole i ustach dziewczyny.

— Dziękuję ci — szepnęła — uratowałaś mnie od wielkiego wstydu.

— Jabym za pannę Julią w ogień wskoczyła! — odpowiedziała Lila. — Ale cóż znowu — zawołała nagle z wyrazem gniewu i niecierpliwości — dlaczegoż bo ten Kamil nie oświadcza się już formalnie o rękę panny Julii!... Czy panna Julia kocha Kamila? proszę powiedzieć! proszę, proszę! Czy bardzo pani jego kocha? Czy tak, jak Małgorzata kochała swego *jeune homme pauvre*? proszę powiedzieć.

Stała przed guwernantką swą, z ramionami zarzuconemi wkoło jój kibici, z twarzą podniesioną ku jój twarzy. W oczach jój gorzała niecierpliwa ciekawość, usta roztwierały się uśmiechem swawolnym trochę, lecz więcej czułym i marzącym.

Panna Julia nie miała czasu na danie odpowiedzi, bo do pokoju wbiegła służąca, młoda, ładna dziewczyna, z twarzą rumianą, oczyma błyszczącemi i sporem pudełkiem w ręku. Zbliżyła się do panny Grejs i zniżonym głosem szepnęła:

— Pan Kamil pyta się, czy nie będzie dziś miał odpowiedzi od pani.

Guwernantka wzruszyła niecierpliwie ramionami.

— Powiedz, że dziękuję, nic więcej...

Nie skończyła jeszcze mówić, gdy Lila pochwyciła z rąk służącej kartonowe pudełko i otworzyła je.

— Ho! ho! — zawołała — jakie ładne szpilki do

włosów! I pierścionek z turkusem! Ciekawam, czy naprawdę złoty? I wstążka różowa. Zkąd-że to wszystko masz, Brygisiu?

— Przyniosłam to właśnie dlatego, aby panią pokazać. Walenty przywiózł mi wszystkie te piękne rzeczy z Warszawy — z tryumfującą miną odparła garderobiana.

Lila włożyła w czarne swe włosy dwie wielkie, pozłacane zapewne, strzały, i przeglądała się w lusterku małym, jedynym, jakie znajdowało się w pokoju.

— Ten Walenty musi cię bardzo kochać, Brygisiu, jeżeli i w Warszawie nie zapomniał o tobie. Czy prędko pobierzecie się?

— Nie wiem, panią, może ja wcale za niego nie pójdę.

— Cóż znowu! dlaczego? jeżeli on cię tak kocha....

— Ale ja jego nie bardzo.... prosty lokaj! — wzgardliwie układając ponsowe usta, rzekła dziewczyna.

— Wiem! wiem! — zawołała Lila figlarnie, mrugając oczyma — tobie co innego w głowie.

Pochwyciła służącą za oba ramiona, okręciła ją — kółko parę razy, i z wybuchem śmiechu szepnęła jej na ucho:

— Widziałam, jak brat mój, Mieczysław, poca-

łował cię raz... tam... koło starego dębu w ogrodzie...

Garderobiana splenęła szkarłatem, wysunęła się zgrabnie z drobnych, lecz silnych rąk, i w pół rozpromieniona, w pół nadąsana, pochwyciła pudełko swe z kosztownościami:

— Nie wiedzieć co, doprawdy, panienka wygaduje! Pójdę ot prędkiej, bo Walenty czeka w garderobie na odpowiedź od panny Julii dla pana Kamila...

Ze słowami temi wybiegła żwawo i fertycznie.

Panna Grejs zamyślona, widocznie rozdrażniona trochę i zaniepokojona, rozbierała się powoli. Lila zdjęła także czarne paciorki z szyi i rozpięła stanik sukni.

— Czy poczytamy dziś trochę? — ozwała się po chwili guwernantka.

— A jakże, panno Julio! — zawołała Lila — koniecznie, koniecznie! Umieram z ciekawości dowiedzenia się o tém, co się stanie z tą piękną Klotyldą i nieszczęśliwą Maryą. Niech panna Julia położy się cichutko, wygodnie. Ja drzwi pozamykam.

Zasunęła w istocie zasuwki u drzwi, przysunęła stoliczek ze świecą do łóżka guwernantki, umieściła przy nim najwygodniejszy ze znajdujących się w pokoju fotelów i, z książką w ręku, w białym ranném ubraniu, usiadła w nim, zwinięta jak kotek; panna

Grejs leżała w pościeli, z twarzą zwróconą ku sufitowi, z cieniutkim papierosikiem w ustach.

— Czytaj, Lilo! — rzekła głosem rozmarzonym nauczycielka.

Lila zaczęła czytać romans francuzki. Czytała biegle, z przejęciem się, z zapalem; policzki jój zapalały pod wpływem wrażeń, płynących z kart książki, oczy czerwieniły się od zmęczenia, ale gorzały, błyskały, migotały. W pokoju tym cichym, zamkniętym, słowo *kochać* powtarzało się co chwila, wymawiane ustami piętnastoletniej dziewczyny. Eros, różowy, marzący Eros wszechwładnie panował w tym przybytku zaledwo rozwijającej się z pączka, w surową czarną suknię, ubraną młodą dziewczyny; kołysał zmysły jój fantazyą, daremnie z innej strony straszoną smutkiem życia i znikomością wszystkiego, co ziemskie.

* * *

W innej części domu, w pokoju oświetlonym ostatnimi blaskami dnia, stała u okna pani Leontyna. Urządzenie pokoju, świadczyło o dwu usposobieniach zamieszkującej go osoby: o przyzwyczajeniu do wytworności, zbytku, i przechylaniu się ku surowemu, ascetycznemu prawie obyczajowi. Żwierciadła w pokoju tym nie było żadnego, łóżko okrywała pościel szczytła i twarda; na jednej ze ścian wisiał wielki krzyż zarny, z rażąco białą figurą Chrystusa, i z klęczni-

kiem dźwigającym kilka ciężkich ksiąg do nabożeństwa. Ale naprzeciw łoża stała niska, miękka kanapka, z podobnemiż fotelami i stoliczkiem, pełnym kolorowych kanw, jedwabiów, błyszczących nesesorów; naprzeciw żałobnego krucyfixu znajdowała się szafka rzeźbiona z różanego drzewa, połyskująca z-za szkieleł złocistemi oprawami malutkich, leciuchnych książeczek, wielce światowej treści. Pod krucyfixem, na klęczniku, bielą trupa główka, uwieńczona różańcem; obok kanapki zaś na etażerze stało pudełko, wykładane perłową konchą, ze złożonym napisem u dołu: *mes souvenirs*.

Kobieta ta, która zwykła była w pokoju tym odmawiać różańce pod krucyfixem i czytywać romanse na miękkiej kuszecie, z twardego łoża przypatrywać się trupięj czasce, i z hebanowego pudełka wyjmować pachnące wiosną, światem, pamiątki młodości, stała teraz u okna, z dłońmi splecionemi i opartemi o szybę, z czołem złożoném na dłoniach.

Widok, na który spoglądały zapadłe, smutne jej oczy, bardzo był piękny. Dzień letni skończył się, ale gorące ognie i barwy jego ulatywały jeszcze gdzieś po widokregu, pasem purpury i złota dzieląc na zachodzie niebo od ziemi, różową łuną migocząc na dalekich łąkach i wśród zielonego liścia pobliskich drzew. Dwór, na szerokiej przestrzeni rozłożony, z mnóstwem rzuconych wkoło budowli i bujnie wzrastającą roślinnością, wydawał się o tej wie-

czornéj porze przybytkiem piękna, obfitości, i bogato rozwiniętego życia.

A jednak kobieta, której wszystkie te skarby i piękności oddawna były własnością, obojętném, żalnością omgloném okiem patrzała na nie, wzdychając i szepcząc:

— Mój Boże! jak smutne, bezbarwne, puste jest życie moje! Po cóż żyłam... po cóż żyję... i cóż znaczę teraz na świecie?

II.

Przy świetle dnia, uwyrażniającem przedmioty, dwór orchowski wyglądał o wiele mniej pięknie i za-
możnie, niż pośród niepewnych blasków i cieniów wie-
czora.

Była to siedziba starszłachecka. Pierwsze pod-
waliny jój zakładał ktoś kiedyś z rozumem i dobrym
smakiem. Oko artysty, lub przyrodzowawcy, strudzić-
by się mogło, rozpatrując niezliczone kształty, barwy
i odcienie tych drzew, krzewów, traw, które wzrasta-
ły tu w takim nagromadzeniu i poplątaniu, że z dala
ta masa roślinności wydawać się mogła lasem. Smu-
kle topole, rozłożyste kasztany, dęby i lipy o pniach
stuletnich, żółtém kwieciem osypane klony, modrze-
wie smutne i płaczące brzozy, spletały się i obejmo-
wały wzajem, otaczając staw wielki, w głębi ogrodu
ukryty. Poniżej było państwo krzewów kwiecistych
i jagodowych: bzów, róż, jaśminów, malin i agrestów,
a niżej jeszcze, ziemia żyzna wzdymała się lasem traw

gęstych i bujnych. Dokoła téj spójnej masy roślinnej leżały pola, jak okiem sięgnąć, żółtawe teraz od pozostałej po ścięciem zbożu ścierni, szlakami miedzi i pasami łąk porzniete. Na skraju widokregu szarzał niewyraźny zarys o parę wiorst odległego miasteczka, i siniały wzgórza, jodłą porośłe, z dwóch stron wieńczące wązkie, głębokie koryto Niemna. Bliżej, pomiędzy dwiema wioskami, w małych dolinkach rozrzuconemi, wiła się, szumiała rzeczka, wązka, lecz bystra i głęboka, a przy jednym z jej zakrętów wznosiły się resztki istniejącego tam niegdyś młyna.

Wszystko zresztą, co zaliczało się nie do dzieł przyrody, ale ludzi, było tu niegdyś; dziś nie istniało wcale, albo, co najwięcej, istniało w stanie upadku, przemienienia się w gruzy. Dom mieszkalny, głąb' dziedzińca zajmujący, w wieniec gęstej zieloności ujęty, z dala już ukazywał liczne rany i szramy, okrywające poważne jego oblicze. Poważną téż w istocie była ta budowa, stawiana snadź z myślą nie o popis i lada jakiem błyszczeniu, lecz o wygodzie i prawdziwym dostatku. Był to wzór wiejskich litewskich domów. Na wysokim podmurowaniu, z mocniejszego nad mur drzewa wzniesiony, z wysokim gontowym dachem, licznymi oknami i długimi gankami, o kilka wschodów nad poziom podniesionemi, a szeregiem grubych słupów podtrzymywanemi, z dwiema salkami o weneckich oknach i napowietrznych balkonach u szczytu, powierzchnością swą świadczył o wne-

trzu obszerném, jasném, najwybredniejsze żądania i życia rodzinnego i szerokiej gościnności zadowolić mogącym.

Teraz jednak, piękny niegdyś dom ten, wyglądał jak szkielet, odarty z ciała, lub żebrak, z którego opadają szmaty dostatnich niegdyś sukien. Z podmurowania wypadłe kamienie i cegły uścięły ziemię białymi płatami i okruchami wapna. W nadpróchniałych ramach okien tkwiły szyby, przepalone od słońca, mętne od pyłu, popękane w wielu miejscach, w innych nieobecne już wcale i szmatą żółtą bibuły, lub zadrukowanej gazety, zastąpione.

Stan gospodarskich budowli, odpowiadał w zupełności temu, w jakim znajdował się dom mieszkalny. Połowa wielkiej niegdyś, w czworokąt postawionej stoły, od dość już dawnych snadź czasów obalona wichrem, rozpościerała na ziemi szczątki swe w postaci zgniłej słomy, zgniłego drzewa i w proch skruszonych cegieł; druga połowa, pochylona, kilkunastu drągami słabo podparta, oczekiwała widocznie piérwszej lepszej sposobności ułożenia się także do wiecznego spoczynku.

Z innej strony dziedzińca sterczały dwa rzędy słupów, z kamienia murowanych, więc trwałych, lecz teraz już żadnego pożytku nieprzynoszących, bo drewniane ściany, którym dawniej służyły za spojenie i podparcie, spalone pożarem, zniknęły przed laty, a na ich miejsce nikt już nic nie zbudował.

Wśród ogólnej ruiny, napełniającej miejsce to niewymownym smutkiem i bezładem, był jednak kącik jeden, odznaczający się nie tylko porządkiem, ale nawet niejaką pięknnością i wykwintem. O kilkadziesiąt kroków od mieszkalnego domu znajdowała się oficyna, mogąca zawierać w sobie pięć, lub sześć pokoi. Połowa budynku tego, zgrzybiała nietyle od starości, ile od zaniedbania, w jakim ją pozostawiono, zgadzała się odartą i smutną swą postacią z otaczającym ją tłem ogólnym; druga za to połowa, podtrzymywana starannie, przyozdobiona, wycackana niemal, świeciła białemi, jak śnieg, ścianami, nowym dachem, wielkimi i przezroczystymi, jak żwierzciadła, szybami okien. Pod oknami temi krzewy wzrastały i kwitły nie dziko, jak gdzieindziej, lecz owszem w nabyt może prawidłowej symetrii kształtów i barw. Dwa wielkie kasztanowe drzewa, ocieniające mały ganek, miały gałęzie obcięte, w górę podniesione, zaokrąglone w sposób sztuczny i dla oka, lubiącego w naturze swobodę, dość nieprzyjemny. Za oknami zwieszały się prawidłowo też zaokrąglone festony białych rolet i ponsowych firanek.

Niewiele przed południem, otworzyło się na oścież jedno z wielkich błyszczących okien oficyny, na które rozłożył kasztan gęsty cień rzucił. Wnie stanął mężczyzna, bardzo starannie, wytworawet, ubrany. Wiek człowieka tego nie wypinu na powierzchowności wyraźnej cyfry. Sądząc

z wyprostowanėj i krzepkiėj jego postaci, z czerstwości jego policzków i blasku oka, nie mógł on mieć więcej, jak lat trzydzieści; ale lekkie wyłysienie nad czołem i nie tyle otyłość, co raczėj pulchność i mięka okrągłość wszystkich form ciała, czyniły go znacznie starszym. Twarz jego, dość regularnie zarysowaną i ze wszelkiego zarostu starannie ogołoconą, okrywała cera czerstwa i zdrowa, lecz bez białości, ni rumieńca, śniadawa i zimna; zimnym téż był, lubo silnym, połysk oczu jego, małych i głęboko schowanych pod brwią jasno-płową; w ustach ponsowych, wydętych, zdradzał się temperament zmysłowy i pyszne, wzgardliwe usposobienie umysłu. Fizyognomii téj zresztą nie brakło wyrazu myśli i pojętności. Szerokie czoło objawiało zdolności umysłowe niemałe; w szarych, ruchliwych oczach malowała się bystrość pojęcia i spostrzegania; duch sarkazmu i sofizmu zdawał się zamieszkiwać w uśmiechu ust wzgardliwych.

Obie ręce, białe, pulchne, ze świecącemi i ostro zakończonemi paznogciami, oparł o krawędź otwartego okna i, przechylony na zewnątrz, spójrzał ku gankowi domu. W téjże chwili, jakby za daniem umówionego znaku, wbiegła na ganek ten młodziutka dziewczyna w czarnej sukni, z hebanowemi włosami, żarzącemi się oczyma i dwoma rzędami brzękających czarnych paciorków wokoło białej szyi. Szybka, jak strzała, zbiegła ze wschodów ganku, które zakolysały się pod lekkimi jēj stopami, i przebywszy

małą przestrzeń, dzielącą dom od oficyny, znalazła się przed oknem, w którym stał mężczyzna. Rosnące tu krzaki bzu i jaśminu otworzyły się przed smukłą jęj postacią, i wnet zamknęły za nią liściaste swe ramiona, tak, iż dla każdego, kto-by patrzył za nią z okien domu, była zupełnie niewidzialną.

— Dzień dobry, Kamilku — półgłosem i z niejaką niespokojnością oglądając się wkoło, szepnęło dziewczę.

Wyraz twarzy jęj oznaczał niezmierne zajęcie, pośpiech; głos i ruchy były tajemnicze.

— Odnoszę ci książkę — mówiła dalej. — Panna Julia już ją przeczytała i prosi cię o inną.

Mówiąc to, wyjęła niewielki tomik, w fałdach szerokiego rękawa starannie dotąd ukryty, i podała go bratu.

— Słuchaj, Kamilku — szczebiotała z cicha i pośpiesznie — daj tylko co pięknego... zajmującego... czulego!... Doprawdy, żeby nie te książki, które ty nam dajesz, albo które ja z mamy pokoju kiedy niekiedy pochwycę, my obie z panną Julią umarły-byśmy chyba z nudów. Jak tu u ciebie ładnie! — ciągnęła dalej, wspinając się na palce i zaglądając do wnętrza pokoju. — Lubię takie obicie na meblach wielkie bukiety... wesoło robi się, patrząc na nie... Masz wszystko ciemne, szare, czarne...

Przerwała sobie nagle i niespodziewanym, gwał-

townym ruchem, obie ręce zatopiła w czarnych swych kędziorach.

— Ach! — zawołała z wybuchem — świat! świat! Twoje mieszkanie, Kamilku, światem pachnie!

Oparła czoło na dłoniach i ciekawemi oczyma wodziła po obrazach i kobiercach, napełniających mieszkanie brata. On tymczasem, nie zważając na szczebiot i wykrzyki, usunął się nieco na stronę, rozwinął ćwiartkę papieru, znajdującą się w przyniesionej przez siostrę książce, szybko przebiegł oczyma nakreślone na niej słowa, i z uśmiechem na ustach przeszedł do innego pokoju.

Lila, przyjrząwszy się dowoli przedmiotom, obudzającym zachwyt jéj i ciekawość, poczęła widocznie niecierpliwic się już i nudzić, gdy we drzwiach pokoju ukazał się Kamil z książką w ręku. Lila wyciągnęła obie dłonie nie ku bratu, ale ku książce.

— Złoty, drogi, kochany! — zawołała — wiedziałam dobrze, że dasz nam znowu co ładnego. Słuchaj — dodała ciszej i z figlarném spójrzeniem — a jest tu co w téj książce dla panny Julii?

— Wracaj czémprędzej do domu — odparł brat, patrząc na drogę, wijącą się za bramą.— Mieczysław jedzie. Mama wyjść może na jego spotkanie i zobaczy cię w ganku z tą książką.

Dziewczę zaśmiało się z cicha.

— Jakiś ty zabawny, Kamilku! alboż mama wychodzi kiedykolwiek na spotkanie twoje, lub Mieczy-

sia, gdy przyjeżdżacie do domu? Nie wiem nawet, czy mama była choć raz w twojém mieszkaniu, odkąd wróciłeś z Dorpatu i tak ładnie się urządziłeś. Najpewniej nie była, bo gdyby była, nie pozwoliła-by ci mieć takich jasnych, wesołych obić na ścianach i meblach.

Kamil palił wonne cygaro i spoglądał na szcziobiącą siostrę, ze zwykłym sobie wyrazem twarzy, trochę obojętnym, trochę zadowolonym, trochę wzgardliwym.

— Mama może pozwalać, lub wzbraniać różnych rzeczy tobie, ale nie mnie — rzekł niedbale.

— A to dlaczego?

— Dlatego, że jestem dorosłym mężczyzną.

Lila zamysliła się.

— A jednak — rzekła — jestem pewna, że gdyby mama przychodziła czasem do twego mieszkania, wyglądało-by ono jakoś inaczej.

Dziewczę to mówiło prawdę, nie rozumiejąc bynajmniej całej jój doniosłości. W nazbyt kawalerskiej swobodzie, panującej w urzędzeniu mieszkania najstarszego syna domu, znać było moralną nieobecność matki rodziny. Nieobecność ta wpływów macierzyńskich objawiła się może i w zimnym blasku oczu Kamila, i w suchej pogardliwości jego uśmiehu...

Tentent cwałującego konia dał się słyszeć tuż za ramą. Lila białe paluszki przytknęła do ust, rzu-

ciła niemi pocałunek bratu i wązką ścieżyną, ukrytą wśród dzikich krzewów i traw wysokich, okrażyła dom, aby wejść do niego bocznymi drzwiami.

Na dziedziniec wjeżdżał jeździec, na dzielnym siedzący koniu. Zatrzymał się przed domem, zeskoczył z konia i rzucił lejce kredensowemu wyrostkowi, który, w podartej surducinie, z twarzą bladą i chudą, wyszedł przed ganek, nadąsany i niechętny. W sieni obszernej, wielkimi oknami oświetloną, lecz zupełnie prawie pustą, spotkał przybyłego stary Tomasz.

— Pan pytał się o panicza wczoraj... panicz tak dawno nie był już u nas.

— Jakże się ma mój ojciec? — z pośpiechem zawołał młody człowiek, szybko postępując w głąb domu.

— Jak zwykle, jak zwykle. Wczoraj było gorzej, dziś trochę lepiej. Czyta jakąś nową książkę, którą pan Kamil przywiózł z Warszawy.

Mieczysław Orchowski nie był wcale podobnym do brata. Wysoki, szczupły, chociaż silnie zbudowany, włosy miał gęste i ciemne, cerę twarzy ogorzalą, czoło białe, wysokie, oczy ciemno-siwe, z otwartym i wesołym spójrzeniem, ciemny gęsty wąsik, ocieniający łagodne usta. Głos jego brzmiał dźwięcznie i wesoło. Ubiór, trochę zaniedbany, niby myśliwski, uwydatniał dobrze jego męskość i raźność postaci; chód i ruchy objawiały żywość charakteru, młodzień-

czość usposobień, rozwijającą się zbyt swobodnie może, ale otwarcie, szczerze, bez przysłon obłudy.

Promienie słońca, wsuwając się przez okna, na-pół już tylko zasłonięte grubymi roletami, rozweselały trochę poważną, smutną komnatę, w której upływało niemniej smutne życie chorego pana domu. Postać za to i twarz tego ostatniego wydawały się, przy tych blaskach żywych i świetnych, bardziej jeszcze, niż przy bladawém świetle lampy, wyniszczonemi, zesłabłemi. A jednak zwiędłe usta pana Kajetana drgnęły uśmiechem, i w zapadłych oczach jego zapłonęła iskra radości, gdy drzwi, szczelnie zawsze zamknięte, otworzyły się i wszedł przez nie Mieczysław. Jednocześnie na twarz młodzieńca spadł cień zasmucenia. Szybkim krokiem przebył pokój i tkliwy, serdeczny pocałunek złożył na wychudłej ręce ojca.

— Długo, długo nie byłem u ciebie, ojcze — rzekł, prostując wysoką, gibką swą postać — biję się w piersi z żalem i skruchą. Trzy dni nie widzieć cię, siedząc o małą milę od Orchowa, to wstyd i żal do prawdy! Wyłaj mnie, ojcze! jestem grzesznik wielki. Hulalem całe te trzy dni na zabój. Ręczyc wyprawiał kawalerską zabawę, tak, jak on to umie, z końmi, winem i polowaniem. Lataliśmy po polach i lasach, jak szaleni i... piliśmy trochę za wiele. Wczorócićem do Rydlówki i wieczorem mógł-bym tu ale musiałem dziś z rana gospodarstwo swoje rzucić. Trzy dni nieobecności, to nie żarty! Szcze-

ście, że, wyjeżdżając, zaleciłem najstrożej, aby próby beze mnie nie młócono.

Wypowiedział to wszystko jednym tchem, ze swobodą, przyćmioną tylko na chwilę lekkim rumieńcem zawstydzenia, który zabarwił ogorzałe policzki jego i białe czoło, w chwili, gdy mówił o hulance.

Pan Kajetan patrzył na syna z widoczną przyjemnością; zdawać się mogło, że oczy jego, zmęczone i smutne, obejmując długim spójrzeniem twarz tę młodzieńczą, używały z rozkoszą chwili spoczynku, że, rozlane na twarzy téj, życie bujne i młode, przechodziło w źrenice jego, rozświecając zadumane, posępne ich głębie.

— Ja cię tam za zabawę łajać nie będę — ozwał się ojciec, podczas, gdy syn układał rolety przy oknach tak, aby przez nie więcej słońca do pokoju wejść mogło — wołał-bym tylko, abys bawił się gdzieindziej, nie w domu Ręczyców.

Mieczysław zwrócił się ku ojcu.

— Czy nie obawiasz się czasem, kochany ojcze, aby serce moje nie uwięzło przy której z pańien Ręczycówien?... O, bądź zupełnie o to spokojnym! Takie dwudziestokilkoletnie gołąbki niewinności, nie mogą mi się podobać. Konio, dobry chłopiec ale pustak i ograniczony... człowiekiem nie będzie, choćby sto lat żył... Ciocia zaś dobrodziejka, a raczej babunia, która każe nam dla skrócenia tytułować się ciocią, no... znasz ją, ojcze.

— Znam panią Malwinę — odpowiedział z wolna pan Kajetan, na którym rozmowa o rodzinie Ręczyców przykre zdawała się sprawiać wrażenie. — Czy panny Ręczycówny ładne są? nie widziałem ich, odkąd dorosły.

— Dorosły? — ze śmiechem powtórzył Mieczysław. — Co-by téż to ciocia powiedziała, gdyby słyszała, że ktokolwiek córki jój nazywa dorosłemi! Róża, mój ojciec, starsza, ma lat siedmnaście, odkąd ja ze szkół wróciłem, to jest od lat mniej więcej 9-ciu, a młodsza od niej o rok, Flora, chodzi jeszcze w krótkiej sukni i kończy edukacją. Mają tam te panie jakąś guwernantkę, biedne stworzenie, młodsze od nich obudwóch z pewnością. Poniewierają nią téż, aż smutno patrzeć...

Przestał nagle mówić i spoglądał przez chwilę w ziemię z zamyśleniem.

— Biedne stworzenie! — mówił dalej, ale poważnie już i nawet trochę smutnie. — Byłem wczoraj świadkiem przykrój sceny, gdy ciocia głośno wyrzucała guwernantce swój aż nadto dorosłej córki, że nie posiada dobrej maniery, a Konio żartował z niej w sposób ubliżający. Ująłem się z cicha za nią przed ciocią Malwiną... a ciocia bardzo uprzejma jest dla mnie i dla Kamila, bo może widzi w nas, nietylko dających swych kuzynów, ale i przyszłych zięciów. Kozaś zawstydziłem tak kilku słowy, że umilkł, jak

zmyty. Biedne to stworzenie z taką wdzięcznością na mnie spójrzytał...

Zamyślił się znowu, ale tym razem oczy jego, rozpromienione miłą jakąś myślą, utkwiły w oknie, za którym rozłożysta lipa wstrząsała lekko liśćmi, ozłoceniem słońcem.

— Mój ojczel! — rzekł nagle — czy nie duszno ci w tym pokoju? zdaje mi się, że powietrze tu ciężkie i niedobrze odświeżone. Dziś tak ciepło na świecie, wonno... takie łagodne, orzeźwiający powiewy ułatywały nad polami, gdym tu jechał... Spróbuję otworzyć jedno okno... W Sierpniu i u nas bywa jak w Nizy, lub w Neapolu... odetchniesz, ojczel, swobodniej.

Mówiąc ostatnie słowa, otworzył jedno z okien ostrożnie i z wolna, jakby obawiał się zbyt nagłą zmianę sprawić w temperaturze pokoju. Fala powietrza, ogrzanego słońcem, zaprawionego woniami pól pobliskich, rozplynęła się po dusznym wnętrzu komnaty; złocista płachta słonecznych blasków padła na przeciwległą ścianę, roziskrzyła szyby szaf oszkolonych, powróciła dawną światłość barwom starego obrazu, zaigrała na posadzce mnóstwem ruchomych kółek i szlaków, a parę strzał ognistych rzuciła aż na stół, obciążony książkami, i w okopconą głąb' komina.

Pan Kajetan odetchnął głęboko i z widoczną ulgą. Mieczysław wyciągnął rękę i zerwał jedną z ga-

łęzi lipy, które, gęstym, chłodnym jeszcze od porannej rosy liściem obrosłe, cisnęły się do otwartego okna.

— Piękne, kochane drzewa! — wymówił z zamysleniem w oku i uśmiechem na ustach. — Rosłem, patrząc na nie. Ileż razy gałęzie ich służyły mi za gimnastyczny przyrząd, a szczyty za łoża, z których ogarniałem wzrokiem okolice naszą w całej jej rozciągłości! Czy wiesz, mój ojcze, że ze szczytu téj oto topoli widać miasteczko, jak na dłoni, i skręt Niemna w dolinie?...

Minął wzrokiem rzędy słupów obdartych, czerwonych, po spalonej pożarem budowie pozostałych, i powolnym spojrzeniem wodził po polach dwór otaczających, po skraju widnokregu, siniejącym dalekiemi wzgórzami i lasami.

Pan Kajetan patrzył na syna długo i w milczeniu. Zorane czoło jego wyglądało się, na twarz schorzałą, wstępował wyraz ukojenia, pierś oddychała ciszej, swobodniej.

— Prawda,—rzekł po chwili,—że dzień dziś piękny i pogodny... po raz pierwszy od dni wielu lżej mi na głowie i piersi.

Na głos ojca, Mieczysław odwrócił wzrok od rodzinnego krajobrazu. Zamyślenie jego zniknęło.

— A widzisz, ojcze,—zawołał,—jaki ze mnie do lekarza! Wiem przecie, że atmosfera ściśnięta, szkodzić musi, w lecie szczególnie, i zdro-

wym, i chorym. Dlaczego w taką piękną porę okien tych nie otwierają częściej?

— Cóż chcesz? — z uśmiechem odparł chory, — ja, gdy jestem sam, czytam lub myślę, a gdy zaczytam się i zamyszę, o wszystkiém zapominam... Stary mój Tomasz nie zna się na takich rzeczach i, gdyby mógł, przez obawę i troskliwość, zamknął-by mię w pudełku, napełnioném watą.

Mieczysław uczynił niecierpliwe poruszenie.

— Ale,— zawołał,— czyż oprócz Tomasza niéma tu nikogo, coby...

Umilkł nagle, spuścił oczy i przygryzł z lekka dolną wargę, jakby tym sposobem usiłował powstrzymać wyrazy jakiegoś, cisnące się mu na usta. Brwi jego ściągnęły się, na czole powstały dwie zmarszczki i po raz pierwszy, odkąd tu wszedł, na twarzy jego otwartój, łagodnej, wesołej, zjawił się wyraz gniewnej goryczy, tajemnej, lecz głębokiej, niechęci.

Krótko to jednak trwało. Fakt, który wprawił go w smutne i gniewne uniesienie, musiał mu być zbyt znanym, aby potrzebował długo zastanawiać się nad nim; pojął może zresztą, że nie po to tu przybył, aby kłaść nacisk na fałszywe tony, dom ten napełniające i raniące chorą pierś jego ojca. Zbliżył się do stołu i, ze swobodą naprawdę odzyskaną, lub może udaną, mówić zaczął:

— W istocie, ojczu, zazdrosczę prawie Kamilowi, że mieszka stale w Orchowie. Sam wprawdzie p

powrocie swoim z Marymontu pragnąłem osiąść i gospodarować w Rydlówce, ale i cóż miałem robić? Orchów jest wydzierżawionym, a nie mogłem przecież siedzieć tak bez żadnego zajęcia. W Rydlówce robię różne agronomiczne doświadczenia. Śmieją się ze mnie sąsiedzi, ale mnie dotąd jedno zaledwie na dzień się zawiodło. Ot i dziś, młócili przy mnie próby żyta i pszenicy. Powiedz sam, ojcze, czy było kiedy przedtém takie ziarno w Rydlówce?

Mówiąc to, wy dobył z kieszeni czamarki kilka starannie owiniętych w papier prób rozmaitego zboża.

— Przywiozłem to umyślnie, aby ojcu pokazać... Patrz! to żyto, które zasiałem po grochach, a to pszenica z przeszłorocznego ugnój... jaka bujna, czysta jak iza!... Łąki kilkadziesiąt morgów oczyściłem, ale cóż, kiedy grunt mokry znowu zarasta łożą i wierzbina... trzeba-by koniecznie drenować..

Przerwał sobie nagle i jakby uderzony nową myślą, zawołał:

— Czy wiesz, ojcze, że ten Eli Makower wcale nieźle gospodaruje w Orchowie. Kto-by się to spodziewał, że żyd może być dobrym rolnikiem? Dziś właśnie, jadąc tu, widziałem, jak orze pod ugór... wybornie!... Na przyszłą wiosnę nadejdzie ostatni termin kontraktu Makowera. Czy oddasz mu, ojcze, Orchów nadal w dzierżawę? czy może Kamil zechce n gospodarować?

— Na przyszłą wiosnę — odparł spokojnie pan

Kajetan, — rozporządźcie się już sami Orchowem i wszystkiém; mnie już tu nie będzie.

Mieczysław pochwycił za rękę chorego.

— Nie mów tak, drogi ojcze, — rzekł z powstrzymaném wzruszeniem; — nie jest ci wcale gorzej, niż było zeszłego lata i od lat kilku... Co do mnie, oczekuję z upragnieniem długich zimowych wieczorów, które przepędzać będę znowu, jak przeszłej zimy, z tobą, ojcze, i z twojemi książkami.

Pan Kajetan dłoń rozpaloną położył na rękę syna i głosem chrypką tłumionym, powolnym, mówić zaczął.

— Jakiemikolwiek były-by uczucia serca twego, Mieczysławie, o chwili, w której dla mnie skończy się wszystko na tej ziemi, powinieneś myśleć spokojnie... nie będzie ona dla mnie niczém inném, jak uwolnieniem od różnorodnych cierpień, wspomnień i wyrzutów. Ludzi w moim wieku choroba piersiowa nie zabija prędko... to téż od długich lat trzyma mię ona przykutym do tego miejsca niemocą i bólem... Teraz jednak zbliża się kres ostatni, czuję to, wiem... ale nim nadejdzie, muszę mieć z tobą długą rozmowę. Jesteś bardzo podobny do mnie... zupełnie prawie taki, jakim ja byłem w młodości. Trzeba abyś spojrział w przeszłość moją, w głębie mojego sumienia, w wieczne rany méj pamięci.

I znowu chrapliwy oddech zatrzęsł jego piersi... suchy ciężki kaszel przerwał mu mowę, a cicha re-

gnacya, napełniająca wygasłe jego oczy, zniknęła przed gorączkowym blaskiem rozbudzonej goryczy.

— O! — zawołał, drżącą dłoń przyciskając do czoła zmarszczonego, — gdyby można było odrodzić się i żyć po raz drugi, pragnął-bym żyć... odzyskać... naprawić...

Znużona głowa jego opadła na poręcz fotelu, nabrękle powieki okryły źrenice, w których wielka łza paliła się w ogniu tajemnej jakiegś, niewygasłej nigdy, żalości.

Mieczysław patrzył na ojca z głębokim spólcuciem i przywiązaniem. Po chwili wziął jedną z książek, leżących na stole, i jakby wiedział, czem najlepiej uspokoić może wzburzone uczucia chorego, otworzył ją na załamanej karcie.

— A! — rzekł z cicha, — Szyller... Wallenstein.. Czytałem ci to, ojcze, głośno zeszlęj zimy... ale rad-bym i teraz parę ustępów przeczytać... czy pozwolisz?

Pan Kajetan podniósł powieki; spojrzenie jego, ukojone, pełne miłości i wdzięczności, spoczęło na twarzy syna.

— Czytaj! — rzekł, nie podnosząc głowy. — Wielkie myśli geniuszów budzą zawsze dobre uczucia.

Mieczysław pochylił się nad rozwartą książką rzerzucił z wolna ję karty, szukając zapewne tęg, stórej wiedział, że najprędzję ukoj cierpienia fizy- e i gorzkie myśli ojca. Młody ten, żywy i wesoły

zwyczajnie chłopak, stał się w téj chwili mężczyzną z poważnym zamysleniem na szlachetnym czole i w jasnym oku.

Nagle ojciec i syn podnieśli głowy i wyteżyli słuch w stronę drzwi zamkniętych, pokój pana Kajetana od szeregu dalszych pokojów rozdzielających. W głębi domu podniosła się wrzawa, wśród której rozpoznać można było trzy głosy kobiece. Jeden z głosów tych przemawiał poważnie i monotownie, ale dobitnie, z oburzeniem widocznym; drugi głos, młodszy od pierwszego, zawodził żale jakieś i wyrzekania, prośby, złożone z wyrzutami; trzeci głos, najmłodszy, najdźwięczniejszy, krzyczał po prostu z całej mocy piersi silnej, upartej, gwałtownej. W trzecim tym głosie czuć było potoki łez, wulkany gniewów, uporczywe opieranie się czemuś, namiętne błaganie.

Mieczysław porwał się z krzesła.

— Co się tam stało? — zawołał. — Mama upomina kogoś, a Lili krzyczy, jak opętana.

Ze słowami temi na ustach, udał się śpiesznie w głąb domu, lecz w trzecim zaledwie czy czwartym pokoju wzrok jego uderzony został widokiem dość szczególnym.

W saloniku, przytykającym do pokojów Lili i jej guwernantki, stała, plecami o ścianę oparta, panna Julia Grejs. Na twarzy jej bladeść przestrawu i gniewu mieniła się z gorącym rumieńcem wstydu i upokorzenia; włosy w nieładzie opadały na ranny

biały ubiór. Wyrazy płynęły potokiem z ust jój, trzęsących się i pobladłych; jedną ręką przytrzymała na piersi fałdy przezroczystego kaftanika, drugą odsuwała z lekka od siebie Lilę. Młodziutka dziewczyna jedną tylko ręką czepiała się rąk i sukni swój nauczycielki, drugą bowiem trzymała silnie uwieszoną w swój dłoni pani Leontyna. Poważna, wysoka pani, w czarnych szatach, z głową dumnie wzniesioną, ze wzgardą w oku i na ustach, ująwszy rękę córki, próbowała pociągnąć ją za sobą; ale z dziewczyną, silną i do najwyższego stopnia podnieconą gniewem, niełatwo było poradzić. Zgięta ku ziemi, Lila z całej mocy opierała się matce, wzrok pełen miłości podnosząc na twarz swój nauczycielki.

— Nie pójdę! nie pójdę! — krzyczała, — nie porzucę jój! pojedę z nią! Jeśli ją wypędzają, niech i mnie wypędzą także! Jam winna wszystkiemu! Mamo, zlituj się! przebacz jój! niech zostanie! nie wytrzymam! umrę! zabiję się!

— Pani! — wołała panna Julia, — pozwól mi pozostać choć trzy dni jeszcze! niech ludzie nie widzą wstydu mego! nie zamykaj przede mną drzwi uczciwych domów! nie odbieraj wszelkiej nadziei przyszłości.

Kończąc ostatnie wyrazy, spostrzegła wchodzącą Mieczysława, podniosła ręce do twarzy oblanęj łzami i wściekłości, odwróciła się szybko i zniknęła zamkniętymi drzwiami. Lila wydała okrzyk roz-

paczy, ale scena ta trwała już dość długo, aby wyczerpać jęj siły. Zesłabła, łkająca, tchu i głosu pozbawiona, poddała się pociągającej ją ręce matki.

Pani Leontyna, wyprostowana i wyniosła, z okiem niezwykle błyszczącym i zaciśniętymi usty, z zaledwie widzialnymi znakami rumieńców gniewu i wzruszenia na twarzy, ciągnęła przez czas jakiś córkę za sobą, niby przedmiot, pozbawiony życia i ruchu, aż wreszcie weszła z nią do swęj sypialni i starannie za sobą drzwi zamknęła.

Mieczysław z osłupieniem spoglądał dokoła, nie domyślając się bynajmniej powodów burzliwęj sceny, której był świadkiem. Zaciekawiała go ona jednak, przez wzgląd czy na zrozpaczoną siostrę, czy tęż na piękną w zmieszaniu swém i zaniedbaném ubraniu guwernantkę. Postanowił widać doczekać się jakiegokolwiek wytłómaczenia, bo usiadł w saloniku, oglądając się za czémś, czémby mógł zapełnić chwile oczekiwania. Ale pokój ten, którego sprzęty, wytworne niegdęś, spłowiałe były i szare od pyłu, nie zawierał nic, co-by życie objawiać lub do życia pobudzać mogło: ani książki, ani albumu żadnego na stołach, pokrytych siatkami z białęj bawelny.

Młody człowiek nie znosił snadź bezczynnego siedzenia na jedném miejscu, bo po kilku minutach poruszył się niecierpliwie, jakby miał wstać i odejść, gdy w perspektywie dwóch przyległych pokojów umieszczone drzwi otworzyły się i pani Leontyna, zwykłym

swym, powolnym, cichym krokiem, weszła do saloniku. Wyglądała w téj chwili, jak wcielona melancholia, jak ofiara okrucieństw losu i ludzkich nieprawości. Wejrzenie jój brzemienne było smutkiem, brew ściągnięta i głowa pochylona, gdy, zbliżywszy się do syna, podała mu ćwiartkę welinowego papieru, zapełnioną mężkiem pismem, wprawném, lecz krętém i niewyraźném.

— Oto, co znalazłam dziś w ręku Lili... Siostra twoja, Mieczysławie, czytała te słowa, które brat jój przesłał przez nią jój guwernantce... Oczy córki mojej zetknęły się z widokiem zepsucia, toczącego serca ludzkie!

Wyrzekłszy to takim głosem, jakby o wydarzoną katastrofę obwiniała wszystkich i wszystko na świecie, prócz siebie, skrzyżowała ramiona na piersi i stała w nieruchomej postawie.

Mieczysław przebiegł okiem wyrazy, nakreślone na ćwiartce papieru ręką brata. Był to w całym znaczeniu tego wyrazu tak zwany przez Francuzów *billet doux*. Napisany po francuzku, zabarwiony z lekka bladą czułością i różową galanterią, nie zawierał w sobie ani jednego słowa, co-by oznajmiało, że prawdziwe, żywe uczucie powodowało ręką, która kreśliła w nim kuszące oświadczenia i prośby. Znajdowała się tam bardzo zręcznie i elegancko wyrażona śmiałość o widzenie się sam na sam „w ogrodowej alcei”, a parę wyrażań takich, jak: *la belle cruelle, la*

fière enchanteresse, dowodziło, że w stosunku, jaki zachodził pomiędzy dwojgiem tych młodych ludzi, było dotąd pociąganie tylko i kuszenie z jednéj strony, opór zaś szczery, lub téż z wyrachowania płynący, z drugiej.

Po ustach Mieczysława przewinął się z razu uśmiech taki, z jakim mężczyźni młodzi i nie zupełnie jeszcze na seryo biorący życie, spoglądają zwykle na sprawy podobne, wtedy zwłaszcza, gdy udział w nich przyjmuje kobieta powabna, a szacunku ich w zupełności nie posiadająca. Przy końcu jednak czytania przysłała mu snadź do głowy myśl niepokojąca, nie-miła. Położył kartkę na stole i, wahając się jeszcze pomiędzy żartem a niezadowoleniem, rzekł po chwili:

— Po prawdzie, nie bardzo ja się dziwię Kami-lowi... ta panna Julia... Ale mniejsza o to... źle zawsze, bardzo źle zrobił, wtajemniczając Lilę w rzecz podobną... Czy wie mama, że ja od jakiegoś czasu uważniej zacząłem patrzeć na Lilę, i doprawdy obawiam się bardzo, aby nie wyrosła na taką płochą, rozromansowaną dzierlatkę, jakich...

— Mieczysławie,— przerwała mu pani Leontyna, — pamiętaj o tém, że rozmawiasz z matką i staranniej wybieraj swe wyrażenia! Nie mam w sobie bynajmniej dumy, ani zarozumiałości; świat i lata nauczyły mię pokory. Sądzę jednak, iż zdolną jestem wychować córkę swoją religijnie i moralnie. Samo już to klasztorne życie, jakie tu wiodę, musi być dla

Lili przykładem i nauką. Czarne wełniane suknie okrywają nas obie. Ani ja, ani Lila nie położyłyśmy się do snu ani razu, bez ukorzenia się przed Bogiem, bez wielokrotnego powtarzania w modlitwach i rozmyślaniach imienia wiary, cnoty, cierpliwości...

Mieczysław słuchał ze spuszczonei oczyma. Na twarz jego spadł wyraz przykrego przymusu.

— A jednak,—rzekł,—sposzregłem w Lili wady bardzo niebezpieczne. Jest ona nazbyt gwałtowną, niecierpliwą, niezastanawiającą się nad niczém i przerażająco, jak na swój wiek, ciekawą rzeczy... rzeczy... które głowę zawrócić jój mogą.

— A więc—sucho i wyniosłe powiedziała pani Leontyna, — jeżeli tak dobrze umiesz sposzregać przywary swój siostry, bądź-że łaskaw powiedzić mi, w czém i jakie widzisz na nie lekarstwo?

Tym razem twarz Mieczysława także drgnęła lekkiem zniecierpliwieniem.

— Nie wiem — rzekł, odpowiadając na ironiczne pytanie pani Leontyny, — nie zastanawiałem się dotąd nigdy nad sposobami moralnego kształcenia młodych dziewcząt. Zdaje mi się tylko...

Zawahał się nieco z dokończeniem swój myśli, po chwili jednak mówił dalej:

— Zdaje mi się, że jeden z tych sposobów znajduje się tuż obok. Czy nie sądzisz, mamó, że Lila winna-by częściej przebywać z chorym ojcem; że zysługi, oddawane mu przez nią, zapełniłyby dobrze

czas, zbywający jój od nauk, i przyzwyczały ją do cierpliwości; że samo wreszcie towarzystwo ojca, rozmowy z nim, mogły-by zwrócić jój uwagę na wiele rzeczy, całkiem nieznanych jój dotąd, a widok cierpień jego złagodził-by może zbyt dużą jój żywość i skłonność do romansowych wrażeń?

Zapalał się, mówiąc. Snadź myśl jego natrafiła na żywo dźwięczącą strunę jego serca. Ale twarz matki jego surową była i pełną obrazy. Tu także, w piersi, w sumieniu może téj kobiety, istniała struna tajemna a drażliwa; słowa syna szarpały nią dotkliwie.

— Jeżeli sądzisz, że nie pojmuję, jakie są obowiązki córki dla ojca, to mylisz się bardzo. Niéma prawie dnia, abym o nich Lili nie mówiła. Ale wszak powinnam oddawna wiedzieć, że nie istnieję dla ciebie, że, patrząc na mnie, rozmawiając ze mną, myślisz tylko o ojcu...

Tym razem w głosie pani Leontyny drgnął wyrzut bolesny, żal zamglił czarne jój oko, które mniej suchém, niż zwykle, spojrzeniem, ogarnęło piękną twarz syna. Czoło Mieczysława zaszło chmurą.

— Nie chciałem obrazić cię, mamó, — rzekł ze smutkiem w głosie. — Zagadnęłaś mię sama o rzecz obcą dla mnie poniekąd. Powiedziałem na razie to, com myślał. Jestem pewny, że Lila z ust twych, mamó, słyszy jedynie zasady pełne moralności. Siedziałem tylko, że dla dziewczyny téj, takiój żywej, pl

chój, gwałtownój... trzeba-by, prócz upomnień i modlitw, jakiegoś zajęcia... jakiegoś uczucia... nie wiem doprawdy... litości może... choćby dla ojca...

Pani Leontyna słuchała ze spuszczonei oczyma i cierpkim uśmiechem na ustach.

— Dość tego,—rzekła. — Nie rozumiemy się, jak zwykle; ty lekceważysz wszystko, co dla mnie ma wagę najwyższą, ja zaś nie pojmuję wcale twoich myśli i żądań. Ze wszystkich prób, które podobało się Panu zesłać na'mnie, jedną z najboleśniejszych jest ten rozdział nieprzebyty i niepojęty, który stanął pomiędzy mną a moimi synami. Nie jestem nikomu na świecie potrzebną i nikt mię nie kocha.

Odeszła obrażona, rozżalona, znękana. Mieczysław pozostał chwilę, jak przykuty do miejsca. Wesołość i szczerza otwartość jego zniknęły w zetknięciu z matką. Sam dom ten, do którego niedawno przybywał tak śpiesznie i radośnie, który w pamięci jego wyrzył się z kształtami wszystkich starych drzew swych, z rysunkiem wszystkich ścieżek i zakątków, wydał się mu w téj chwili niemiłym i smutnym.

Po kilku minutach, które przepędził w pokoju pana Kajetana, widziéć go można było wyjeżdżającego za bramę i pędzącego przez pola, jak gdyby uciekał od rozdźwięków, napełniających dom jego rodziny.

Okna oficyny, a raczój wyświeżonój i przyozdonoj jój połowy, były nietylko zamknięte, ale jeszcze

wzorzystymi sztorami ściśle osłonię. Nie widać było ani wewnątrz, ani zewnątrz najmniejszego ruchu, tak, iż zdawać się mogło, że zamieszkujący miejsce to starszy syn domu spał lub był nieobecny. W rzeczywistości zaś było inaczej. Kamil nie spał i znajdował się w ozdobnej swój sypialni, gdzie leżał w głębokim fotelu, paląc cygaro i od czasu do czasu, z wolna i niedbale rozcinając kartki książki, na nowiutkiej okładce noszącej tytuł jednego z najświeższych dzieł popularnej filozofii francuskiej. Patrząc na niego, ani przypuścić-by można, że nie dawniej, jak przed godziną, stał się on bezpośrednim sprawcą burzliwej i upakarzającej sceny domowej.

Wśród ciszy głębokiej i łagodnego półcienia, rozweselonego barwami obicia na ścianach i sprzętach, leżąc na fotelu i rozcinając karty nowej książki, zdawał się najzupełniej nie wiedzieć o tém, że w przestrzeni i czasie istnieje albo istnieć może ktokolwiek, lub cokolwiek, oprócz niego samego i jego mieszkania.

W całym dworze zresztą panowały cisza i spokój. Przed stajnią tylko zakładano do koczka cztery konie, w pokoju panny Julii słychać było tłumione łkanie, ładna Brygisia krzątała się około układania w tłómoki rzeczy odjeżdżającej guwernantki, a z sypialni pani Leontyny dolatywały odgłosy monotonna wymawianych wyrazów.

— A teraz,— rzekła pani Leontyna, kończąc przemowę swoją do córki o nieuniknionej potrzebie po-

słuszeństwa, łagodności i pogardy dla wszystkich marności tego świata — a teraz uklęknij i odmów koronkę do Przemienienia Pańskiego, na intencją, aby Bóg odmienić raczył twój charakter.

Dziewczyna, zmęczona i wyczerpana wzruszeniami, nie opierała się rozkazowi. Wstała z ziemi i rozogniona, nadąsana, splakana, uklękła na klęczniku matki, przed krucyfikem i trupią głową. Ta ostatnia nie czyniła na nią najłżejszego wrażenia, koronkę zaś umiała na pamięć i zaczęła odmawiać ją półgłosem. Coraz odnawiające się jednak łkania przerywały jęj modlitwę, a zażawione oczy wybiegały co chwila za okno i w stronę stajni, przed którą zakładano konie do powozu. Widocznie zalecany przez panią Leontynę środek poprawczy nie działał na córkę jęj ze spodziewaną mocą.

— Modlisz się bez uwagi,—upominała ją pani Leontyna, która, siedząc na kanapie, pilnie przysłuchiwała się modłom córki;—opuściłaś jedno *Zdrowaś Marya* i dwa razy nie powiedziałaś *Amen*.

Zbliżyła się do klęcznika, usunęła nieco córkę za siebie, a sama klękając na jęj miejscu, dodała :

— Pomodlimy się razem. Spodziewam się, że za głosem matki łatwiej ci będzie podnieść serce i myśl ku niebu.

Otworzyła książkę do nabożeństwa i, przeczyszy głośno parę modlitw, zaintonowała :

— Jezu nazareński, królu żydowski, zmiłuj się nad nami!

Lila oderwała wzrok od okna, za którym dał się słyszeć turkot podjeżdżającego pod ganek powozu, i głosem pełnym rozjątrzenia powtórzyła zaintonowane wyrazy.

Duch pani Leontyny podnosił się widocznie i rozogniał, w miarę, jak na usta jęj powracały jedne i te same zgłoski, wymawiane głosem przeciągłym i śpiewnym. Oczy jęj, tkwiące z razu w krucyfiksie, spoczęły aż u szczytu wysokiej ściany, zapłonęły iskrą i omgłyły się wilgocią; ręce splotła i przycisnęła do stóp krzyża; westchnienia i ciche jęki podnosiły pierś jęj, wzdymającą się coraz wyżej.

Monotonia słów modlitwy, połączona z ciszą, panującą w pokoju, spowodowały reakcją w nerwowym systemacie splakanego i zmęczonego dziewczęcia. Lila osunęła się na posadzkę i, z głową opuszczoną na niski taburet, usnęła tak twardo, że nie słyszała, jak powóz, unoszący jęj towarzyszkę raczej niż nauczycielkę, odjechał z przed ganku.

Modły pani Leontyny trwały-by długo jeszcze, do późnego wieczora może, ale przed samym zachodem słońca zastukano do drzwi i głos służącego oznajmił podany obiad i zarazem przybycie pani Malwiny Ręczykowej z córkami.

III.

Do wielkiego dziedzińca, zawierającego w sobie dom mieszkalny i główne gospodarskie budowle, przytykało w Orchowie podwórze mniejsze, tak zwane folwarczne, z oborami, chlewami, pomniejszych spi-chrzami dokoła, a z folwarczną oficyną w głębi.

W oficynie mieszkał dzierżawca Orchowa, Eli Makower, ze spółnikiem i szwagrem swoim, Efroimem Lejbowiczem. Oficyalistów, jako to: ekonomów, namiestników, gumiennych, dwaj Izraelici nie trzymali wcale, sami bowiem pełnili osobiście wszystkie powyższe funkcyje; ale rodziny mieli tak liczne, że zaledwie pomieścić się mogły w połowie niezbyt obszernój budowy, którój drugą połowę, złożoną z wielkiój izby, zwanój piekarnią, i dwóch komórek, zajmowała cze-ladź męzka i żeńska.

Żkąd wziął się we dworze takim, jak Orchów, dzier-ca żyd? Dla mieszkańców okolic kraju oddalo-
h, nieznających ekonomiki i najbliższych dziejów

provincyi, w której znajduje się Orchów, fakt ten byłby niezrozumiałym, bez kilku słów wytłómaczenia.

Dwa lata zaledwie minęły od pory, w której sposób prowadzenia gospodarstwa rolnego w rozległych prowincjach zaniemeńskich uległ zmianie, obalając do gruntu jego podstawy. Praca przymusowa usunęła się w przeszłość, bez możebności powrotu, lubo nie bez pozostawienia za sobą głębokich i trwałych śladów, tak w stroju ekonomicznym kraju, jak w moralném usposobieniu jego mieszkańców; na miejscu jej stanęła praca wolna, jako siła społeczna, którą odtąd w ruch wprawiać, nabywać, zużytkowywać mógł tylko kapitał. Zmiana ta, w połączeniu z innemi, niemniej wpływowemi wypadkami i okolicznościami, była katastrofą, mącąca uspiońy w objęciach rutyny byt społeczny, przedewszystkiém zaś byt jednej z klas społecznych, — nakształt kamienia rzuconego nagle na spokojną powierzchnią wody.

Po błoniach litewskich, tradycyjnie dotąd dzielonych na trzy części, z których corocznie dwie zasiewały się, a trzecia spoczywała; po lasach starych, siekierą z dawna już szczerbionych; po dworach, wyglądających z pozoru jak przybytki wszelakich rozkoszy, lecz w gruncie pod niejednym względem zagrożonych upadkiem; po gabinetach szczególnie, w których możnowładni dotąd dziedzice po raz piérwszy w życiu zapelniać poczynali cyframi karty ksiąg rachunkowych; po wszystkich słowem miejscach, kędy dotąd,

sztucznie podtrzymywane przez upadły dziś przywilój, panowały, obfitość, okazałość, przepych niekiedy, dostatek i spokój o jutro zawsze — rozległ się powszechny, przeciągły, pełen zdumienia i trwogi okrzyk: — ratuj się kto może! — Uciekał się téż każdy do czego mógł, ratował się czém mógł.

Jako pierwsza ucieczka przed nowemi całkiem a nagłacemi troskami, przedstawiał się kapitał, a jedynymi w kraju posiadaczami kapitału byli Żydzi. Drugą ucieczkę i drugi ratunek musiał koniecznie stanowić duch przedsiębiorczości, oszczędności, wytrwałości w pracy zmuśnionej i ciężkiej, przebiegłości nakoniec i pewnej giętkości, tak karku, jak charakteru, która pozwala człowiekowi ku czemuś dążącemu podléżeć tam, gdzie przejść lub przeskoczyć niemożna; a jedynymi posiadaczami przymiotów tych byli znów Żydzi. Owi dziedzice, którym zapisany w księgach ich *credit* i *debet* bardzo smutne prawić rzeczy, puste mieli kieszenie, wiecznie rozsznurowane sakiewki, duchy niecierpliwe a nowością wszelaką gardzące, karki twarde, odziedziczone po przodkach, którzy, gdy nie zdołali kędy swobodnie przejść, przebili się, przerąbali, jeśli mogli, ale podłazić, pełzać nie umieli, nie chcieli. Zachodziła przecież z razu wątpliwość, azali klasa ludzi, którzy w kieszeniach, głowach i barkach swoich dzierżyli wyłącznie siły i przymioty, ące gospodarstwo rolne czasowo przynajmniej porzeczć, zechce ku celowi temu zwrócić swe starania.

Wiedzano dokładnie, że korzyść lub strata, utrzymanie się lub zaginięcie społeczeństwa, były to dla niej rzeczy zupełnie obojętne. Pozostawał więc tylko interes czysto osobisty, materyalny; ale interes ten, w formie takiej, jaką przedstawiały warunki gospodarstwa rolnego, był dla niej gruntem zupełnie nowym, dotychczas nienapoczynanym. Żydzi w okolicach tych nie trudnili się rolą nigdy. Obyczaj i prawa krajowe stały pomiędzy nimi a tym zakresem działalności tak dłuco, że zdawało się, jako-by nie posiadali nawet odpowiednich ku temu pochołów i zdolności.

Okazało się jednak, że Żydzi mieli pociąg do wszelkiego interesu, który mógł być zyskowym, i że do uprawiania świezo otwierającego się przed nimi pola działalności garnąć się zaczęli pośpiesznie a tłumnie. Pole to zresztą nie otworzyło się przed nimi ze stron wszystkich. Właścicielami gleby nie mieli oni prawa zostawać, tak teraz, jak dawniej, ale mieli prawo, możność i tysiące sposobności zostawania jój dzierżawcami.

Zaledwie okrzyk troski i popłochu rozległ się po szerokich obszarach prowincyi, aliści w bramie dworu zjawiał się żyd i, zdejmując jarmułkę, a kłaniając się w pas, zapytywał, czy jaśnie lub wielmożny pan nie puści mu majątku w arendę?

Jaśnie więc i wielmożni panowie majątki swe *puszczali*, bo i cóż mieli czynić, skoro utrzymać ich we własnych rękach nie umieli, a po prawdzie bardzo

często i nie mogli. Wyrwały je im z rąk grzechy przeszłości, a także różne różności terażniejsze, których spisaniem zajmie się kiedyś historya.

Jednym z pierwszych majątków, *puszczonych* tak w arendę, był Orchów; jednym z pierwszych Izraelitów, którzy na Litwie całej spostrzegli ów z ziemi wyrastający interes, obliczyli możebne zyski z niego i wyciągnęli do niego ręce, zatrudnione dotąd faktorskimi lub handlarskimi czynnościami, był Eli Makower.

Pochodził on z miasteczka Orchowa, stanowiącego dziedziczną własność pana Kajetana, gdzie ojciec jego, od lat wielu nazywany w okolicy starym Judelem, był krawcem męzkim, a w gwałtownej potrzebie i damskim.

Ludzie, zamieszkujący wsie sąsiednie, znali Elego od dawna, najprzód jako żydziaka-podrostka, który, w brudnym chałacie, w podartych butach albo i bez butów, z rozczochranym rudym włosem i rozdziawioną gębą, trawił ranki, dnie i wieczory, stojąc lub siedząc na kamieniu przed wrotami miasteczkowych karczem, kędy zajeżdżały wozy chłopskie, a czasem karety, koczki i najtyczanki pańskie. Wkoło niego wrzały rozmowy, krzyki, pohulanki, dokonywały się targi i umowy; sporządzały sprzedaże, kupna, kontakty; panowie spotykali się, witali, sprawy swe załatwiali, w bilard grywali, a nierzadko popijali miód b szampan, gwarząc hucznie o stosunkach swych,

zabawach, rozmaitych wypadkach ogólnych i szczególnych; faktorzy kręcili się koło panów, jak pszczoły koło kwiecia, stręcząc i pośrednicząc; a wśród całego tego, nigdy prawie nieustającego gwaru i zawichrzenia, żydziak podrostek, bosy, rozczochrany, chudy, jak siedział, tak siedział przed wrotami, to jednej karczmy, to drugiej, rozdziawiając gębę i oczy wytrzeszczając, co fizyognomii jego nadawało podobieństwo do wrony, lub przynajmniej istoty ludzkiej, biedą i ciemnotą zidyotyzowanej.

Nikomu zapewne na myśl wtedy nie przychodziło, że owe karczmy, przez rozwarte na oścież wrota i okna ziejące wrzawą głosów ludzkich, były zakładem wychowawczym, w którym żydziak ów otrzymywał pierwsze wiadomości o świecie, otaczającym go i mającym być polem przyszłej jego życiowej działalności.

A jednak tak było. Powtarzające się wciąż koło niego widoki i dźwięki wpadały w wytrzeszczone oczy jego i w brudne uszy, aż utworowały sobie drogę do umysłu. Rozdziawiona gęba stawała się coraz mniej rozdziawioną, wytrzeszczone oczy coraz mniej szklanemi, uszy nawet, jakby w żądzy lepszego słyszenia, wydostały się z mszystych włosów, w których dotąd tonęły niepostrzeżenie.

W każde południe szedł on zwykle na obiad a każdego wieczora na noc do domu ojca swego, krawca Judela, gdzie edukacja jego dopełniała się

jeszcze innemi pierwiastkami. Bądź-co-bądź, przyszedł dzień, w którym gęba jego zamknęła się już całkowicie, a oczy strzeliły pojętnością bystrą i ciekawą; zamiast stać lub siedzieć przed wrotami karczmy, chłopiec wsunął się do jęj wnętrza, przylgnął do ściany głównej izby i odtąd tam już obrał sobie stanowisko obserwacyjne. Dziury świeciły mu zawsze jeszcze na łokciach i kolanach, palce u nóg wylażyły z butów, ale nie był to już idyota, nie był to nawet żydziak-podrostek, ale żydek dorosły, młody, z rudawym wąsikiem nad wargą cienką i ruchliwą, z błyskawicą sprytu i tajemnych pożądań, lub z głębokim namysłem w dużych, błękitnych oczach.

W tym samym czasie odbyły się zaślubiny jego z Chają, córką przywódcy i dziekana miejscowych faktorów. Jednocześnie z przed wrót karczmy i z pod ściany głównej jęj izby zniknął żydziak, o którego imieniu i pochodzeniu nikt nie wiedział, natomiast zaś w okolicy pojawił się nowy faktor, imieniem Elko. O nazwisko jego nikt nigdy nie zapytywał, bo pocóż komu znać nazwisko faktora? Elko z Orchowa i koniec. Zdawało się jednak, że nie był to jeden Elko, ale że w osobie jego mieściło się stu, dwustu Elków. Był on zawsze, wszędzie i na każdym miejscu: w miasteczku na rynku, pomiędzy chłopskimi wozami, na targ przybyłemi; przy drzwiczkach przejeżdżających koczów i karet, z czapką w rękę i językiem obro-
m; w oberżach, gdzie popasali i nocowali podróżu-

jący panowie; pod płóciennymi budami kupieckich furgonów; na trzęsącej biedce wśród pocztowego gościńca; pieszo wśród dróżyn, ku wsiołom wiodących; na dziedzińcach dworskich, w oficynach z ekonomami, w oborach z pachciarzami, w przedpokojach z lokajami, w gabinetach dziedziców, nakoniec przy drzwiach, o pół kroku od progu, z wyprostowaną postawą, z bystrym spójrzeniem, latającym szybko dookoła, lecz długo i głęboko zatapiającym się w twarzach ludzkich, z usługnym, zachęcającym, pokornym lub żartobliwym uśmiechem na ustach.

W owęj porze nie miał on o swój byt powszedni troski żadnej, albowiem teść jego, dziekan okolicznych faktorów, przez wzgląd na wielkie ubóstwo starego Judela, przyjął-był zięcia i córkę do siebie na *stół i mieszkanie*, co znaczyło, że Elko, Chaja i przychodząca na świat w pierwszych latach małżeńskiego pożycia ich progenitura, mieli u rodziców kąć i strawę darmo. Co do strawy zresztą, tój nadużyciem Elko teścia swego do bankructwa przywieść-by z pewnością nie mógł, wpadał bowiem do domu raz lub parę razy tygodniowo, na-pół dnia, na godzinę, przywitał się z Chają, cmoknął głośno każde z dzieci, najmłodsze ponosił po izbie, podrzucając je aż pod niski sufit, naradził się w kącie z teściem w sprawach bieżących, potem zajrzał jeszcze do ojca starego Judela, i dalej w drogę! Co jadł i czy jadł cokolwiek, było to dla wszystkich taką samą tajemnicą, jak to, kiedy spo-

czywał i czy spoczywał kiedykolwiek. W istocie zaś wpadał niekiedy do przydrożnej karczmy i, załatwiając z chłopami lub z szynkarzem jaki interes, przelykał oschły obwarzanek, albo kawałek czarnego chleba z solą, śledziem i ząbkiem czosnku, lub główką cebuli; niekiedy pachciarz jaki dworski poczęstował go ogórkiem kwaszonym lub misą kwaśnego mleka. Spał wszędzie, gdziekolwiek noc go zaskoczyła; w izbie szynkowej na twardej ławie, na trzęsącej biedzie, z głową schowaną pomiędzy wysoko podniesione kolana, rozciągnięty na drabiniastym chłopskim wozie, na worach ze zbożem, na beczkach z okowitą, na gołej nawet ziemi. Było to biedne, twarde, znojne życie, opylone kurzawą dróg, spieczone skwarem słońca, oblane potem trudów, ścierające pyły i brudy z podłóg karczemnych, z ław czeladnych, z rynków miasteczkowych, pełnych śmiecia, z przedpokojów pańskich, pełnych... upokorzeń.

Nikt jednak w czasie tym na niego nie zważał, bo i któż faktora-żydła, mającego opinią sprytnego i nieodbicie potrzebnego szachraja, wziąć-by chciał sobie za przedmiot studyów i rozwagi?.. powieściopisarz chyba, albo rodzajowy malarz. Powieściopisarzy wszakże ani malarzy w okolicy nie było; nikt przeto Elka nie badał, a gdyby nawet dziwna ta myśl komu przyszła, nie spostrzegł-by w nim nic innego, jak gotwę za zyskiem, żądzą zbierania pieniędzy. Goniła to była gorączkowa, niezmordowana, uporczywa,

buchająca ogniem, nietylko przez oczy, ale przez skórę na twarzy, która w pewnych chwilach rumieniała się i drgała nerwowo, przez wargi latające konwulsyjnie, gdy szło o wmówienie komuś czegoś, przez ręce drżące, gdy zarobek był tuż-tuż, lecz jeszcze w nie nie wpadł. Czy oprócz téj gonitwy, oprócz téj żądy, oko badacza dostrzedz-by mogło w Elku i inne jeszcze uczucia: przywiązania, namiętności, nadziei? Może, lecz aby dokonać odkrycia takiego, trzeba-by było spuścić się głęboko w nurty jego najbliższych stosunków, najcodzienniejszych obyczajów, najtajniejszych uczuć, w nurty szczególnie téj podwójnej edukacji jego, którój jedną połowę odebrał przed wrotami gwarnych, ludnych karczem, drugą pod dachem ojca swego, starego Judela. Owocami piérwszój téj połowy edukacji, jaką otrzymał Elko, była właśnie owa gonitwa za zyskiem, owa żądza pieniędzy; druga połowa także bezowocną nie pozostała, ale o owocach jój — później.

Trwało tak długie lat dziesięć, poczém z okolicy zniknął faktor młody i zwinny, tak, jak niegdyś zniknął z okolicy podrostek żydowski, bosy i gapiowaty, a natomiast zjawił się kupiec, z gęstą, kędzierzawą brodą, w chałacie całym zupełnie, jeżeli nie zupełnie czystym, stąpający poważnie, mówiący z wolna i z namysłem, mniej już przebywający w szynkowniach i na miasteczkowych rynkach, rzadziej trzęsący się na biedkach i drabiniastych wozach, krótsze stacye

odbywający w przedpokojach, a w gabinetach pańskich nie o pół kroku już, jak poprzedzający go faktor, ale o dwa lub o trzy kroki od progu stający, niekiedy zaś, w czasie spisywania umów naprzykład, albo przy dokonywaniu wypłat pieniężnych, przystępujący tuż do stołu lub biurka, przy którym siedział dziedzic. Przestał już nosić zdrobniałe imię Elki, a przedstawiał się jako kupiec Eli. Niekiedy, ale wtedy tylko, gdy zachodziła urzędowa tego potrzeba, występować zaczęło już i nazwisko jego, Makower. Jeździł zawsze wiele, ale nie tak nieustannie, jak wprzód; znał wszystkich, ale nie ze wszystkimi wchodził się w poufale stosunki. Klasę chłopów, szynkarzy i pomniejszych oficyalistów dworskich, która stanowiła główny punkt zasiewów i zbiorów dla faktora, kupiec pozostawił niejako na stronie, zachowując tylko drobne i poboczne z nią związki; całą zaś uwagę skupił na mniej lub więcej zamożnych domach szlacheckich, najściślejszym kręgiem swój działalności otoczył do dworów tych należące spichrze, stodoły, gorzelnie, lasy. Handlował zbożem, drzewem, okowitą, małą ilością przedmiotów tych z razu, znacznieszą potem, a w końcu bardzo już znaczną.

Miasteczko Orchów, z kilku tysiącami mieszkańców swych, współplemienników i współwyznawców — służyło mu w trudnych razach za bank pożyczkowy.

Kredyt jego wzrastał, a zarazem wzrastała zamo-

żność akcyonaryuszów banku, z którego czerpał. Wzrastanie zamożności nie mogło tu jednak bynajmniej stosować się do drugiej ze stron przedstawiających się w interesach, które prowadził Eli, a mianowicie do właścicieli owych spichrzów, gorzelni, lasów. Ale téż względy na ich zamożność lub biedę, straty lub korzyści, dobro słowem lub zło, w najmniejszej rzeczy nie wchodziły w skład myśli, obrachowań i dążeń Eliego.

Aliści przyszała pora, w której nietylko już spichrze i gorzelnie, znajdujące się w dworach szlacheckich, ale gleba, płodami swemi, zapełniająca pierwsze i zasilająca ostatnie, przedstawiła się jako materiał, z którego sporządzać można było dobre interesa. Eli-kupiec przemienił się w Elego Makowera, dzierżawcę dóbr Orchowskich, z wyjątkiem jednego do dóbr tych należącego folwarku, Rydlówki, na którym zarząd objął młodszy syn pana Kajetana.

Taka była w najpobieżniejszym zarysie historia Elego i dróg, któremi szedł, nim doszedł do zamieszkania w oficynie folwarcznej orchowskiego dworu. Oficyna ta zresztą miała prawdopodobnie przedstawiać w życiu jego stacją tylko, punkt wyjścia ku innym stacyom; był to bowiem człowiek w pełnej jeszcze sile męskiego wieku, lat czterdziestu niespełna, z postacią więcej kręłą niż wysmukłą, nie otyłą jednak bynajmniej, lecz owszem jędrnością muskułów, grubością i wyprężeniem żył znamionującą organiza-

cyą krzepką, zahartowaną, pełną sił żywotnych i o ruch ustawiczny dopominających się niecierpliwie. W źrenicach jego, więcej szarych niż błękitnych, pannał wyraz ciągłego prawie zamyślenia; w chwilach jednak, w których się ożywiał, strzelał z nich jakby promieniem blask żywy i przenikający.

Taką przedstawiała się powierzchowność Elego, w chwili, gdy wychodził z niskiego małego domku, stojącego przy jednej z uliczek miasteczka Orchowa.

Dom, z którego wychodził Eli, miał dach z nadgniętej słomy, wklęsły dokoła jedyne go okopconego kominu, dwa małe okienka w spróchniałych ramach, o łokieć wyniesione nad poziom i podwórko ciasne, śmieciem zarzucone, kilku innym domowstwom wspólne.

Eli nie był sam jeden. Tuż za nim trzej żydzi, z których dwaj równego mu wieku, trzeci bardzo młody i bezwąsy, przestąpili zgniłe berwiono, w poprzek drzwi miasto progu umieszczone. Za progiem, na wpółciemnym tle sionki, ukazały się głowy dwóch dziewcząt dorosłych, z włosami w nieładzie, i pomarszczona, oliwkowej barwy twarz podżyłej żydówki, otoczona dwiema szlarkami zrudziałej czarnej materii, zastępującej perukę.

O kilka kroków ode drzwi domku stał wózek żerabny, na zielono pomalowany, w małego ale tłu go i silnego konika zaprzężony. Był-by to zaprząg le przyzwoicie wyglądający, gdyby nie uprząż, ko-

nia z wózkiem łącząca, utworzona ze zrudziałych rze-
mieni i powrozów grubych, niezgrabnymi węzłami po-
związywanych.

— *Wo ist der furman?* — rzekł jeden z towa-
rzyszających Elemu Izraelitów, rzucając spójrzenie na
niezajęty koziołek wózka.

— Posłałem go do karczmy po wódkę — równie
szwargotem żydowskim odpowiedział Eli. — Dożyna-
ją dziś u mnie jęczmień i otawę koszą. Stu robotni-
ków i pięć...

Wymawiając ostatnie słowa, włożył ręce w kiesze-
nie chałata i podniósł głowę z wyrazem dumnego za-
dowolenia.

— *Herste!* — zawołał jeden z Izraelitów — sto
i pięć robotników! A zkąd ty ich wziął tyle?

— Ztąd — odparł Eli, uderzając dłonią po kie-
szeni.

— A wiele ty im płacisz? — zapytał drugi z to-
warzyszy, poruszając się żywo i biegające oczy z cie-
kawością topiąc w twarzy Elego.

— Czterdzieści kopiejek i pół kruczka wódki wie-
czorem — niedbale i patrząc w stronę widniejącej
z daleka karczmy, odparł Eli.

Żyd, który pytał się o cenę robotnika, obiema
dłońmi uchwycił się za brodę.

— Aj! aj! — zawołał — A ja w Ręczynie płacę
50 kopiejek i kruczek wódki! — Zkąd ty ich wzi-
ę takich tanich?

Eli, nie zmieniając kierunku wejrzenia, wyjął jedną rękę z kieszeni, wskazujący palec przyłożył do czoła i rzekł:

— Ztąd.

Młody, bezwąsy żydek, z rysów twarzy podobny bardzo do Elego, zaśmiał się na to słowo z głębokim zadowoleniem i z wyrazem tryumfu w oczach spójrzał na starszego żyda, wyrzekającego, iż płaci robotnikom drożej, niż Eli. Dwie dziewczyny, stojące za progiem mrocznej sionki, spójrzały także po sobie i pokiwały głowami, uśmiechając się, jakby giestem tym i uśmiechem mówiły do siebie wzajem: jaki on mądry!

— Nu! czemu on nie wraca? mnie pora jechać? — z niejaką niecierpliwością rzekł Eli.

W téj saméj chwili na środku uliczki zjawił się człowiek jakiś, wyglądający z postawy i ubrania na zagrodowego szlachcica.

— Czy jegomość nie idzie czasem do Chaima? — zagadnął Eli po polsku przechodzącego i palcem wskazał na karcznię.

— A pójdę — odparł, zatrzymując się szlachcic. — Dzień dobry, panie Makower — dodał potem, dotykając czapki.

Eli powtórzył giest i pozdrowienie szlachcica.

Tam poszedł po wódkę *mój człowiek* — ciągnął j. — Bądź jegomość łaskaw powiedzić *memu* człowiekowi, żeby prędzej wracał, bo mnie pora już jechać.

Mówiąc *mój człowiek*, włożył znowu ręce do kieszeni, a niemłoda żydówka, z głową oblepioną czarną materyą, rozjaśniła uśmiechem twarz pomarszczoną i, spoglądając na stojące obok dziewczęta, szepnęła:

— Herste! *jego człowiek!*

Dwaj starsi żydzi zamienili tymczasem pomiędzy sobą kilka słów półgłosem.

— Nu, Eli — rzekł głośniej jeden z nich — pamiętaj o mnie, jak będziesz gadał z Łozowiczem.

— A czemu ja nie mam pamiętać? Ale to jeszcze z tym Łozowiczem daleki interes.

— Niech sobie będzie daleki; ale ja-by chciał bardzo Łozowę z tobą trzymać.

— Niewiadomo jeszcze, czy ja sam będę ją trzymał.

— Nu, a jak będziesz? Ja-by chciał bardzo być twoim spółnikiem.

— Czemu nie — wyrzekł, uśmiechając się młody żydek.

— A co z Efroimem będzie, jak ja ciebie za spółnika wezmę? — zapytał Eli.

— Ty *Ejroimu* drugi interes znajdziesz. Niech Ręczyn bierze.

— A Josiel?

Drugi ze starszych żydów wrzucił ramionami.

— Ja jemu Ręczyn ustąpię. Kiepski interes. Wielka kobyła, ale chuda.

Ostatnie słowa wymówił po polsku. Eli uśmiechał się.

— Ja to od razu wiedział, że z Ręczynem interes zły. W Orchowie to grunt! pluń tylko, a pszenica wyrośnie.

— Aj! aj! — z zachwytem ozwali się żydzi. — A Łozowa, to jeszcze lepsza niż Orchów, tylko że mniejsza.

W téj chwili do rozmawiającego towarzystwa zbliżyło się jeszcze dwóch żydów, niemłodych już, poważnie stąpających. Wyciągnęli ręce i dotknęli palcami palców Elego, przyczém kiwnęli głowami, nie dotykając czapek.

— Interes dobrze idzie? — z przyjaznym uśmiechem zapytał jeden z nich Elego.

— Czemu ma źle iść? dobrze idzie. Twój procent, rebe Abram, pewny... na piérwszy Septembra; a tobie, rebe Wigder, na Nowy-Rok wszystko oddam.

Dwaj nowoprzybyli uśmiechali się z zadowoleniem, i przyjaźnie kiwali głowami.

— Nu, nu! — mówili — tyle biedy, co to! Czy my nie wiemy, jak ty interesa robisz? czy my kiedy bali się o nasze pieniądze, jak były w twojój kieszeni?

— On kładnie do kieszeni kopiejkę, a wyjmuje z niéj rubla — zauważył dzierżawca Ręczyna, zwany Kocielem.

Na te słowa wszyscy roześmieli się chórem. Jeden z nich rzekł:

— Takie już jego szczęście.

— Co to szczęście! to nie szczęście, tylko rozum! — zawołał niespodzianie milczący dotąd i mimiką tylko uczucia swe wyrażający młody, do Elego podobny żydek.

Słowom jego zawtorował cichy chichot niemłodéj żydówki, stojącej za progiem sionki, chichot, wyrażający uczucie niewymownego zadowolenia, złączonego z podziwem.

Na ulicy zjawił się parobczak w szaréj świtce, dźwigający sporą, gorzałki pełną, beczkę. Był to „człowiek” Elego.

— Nu, Wasyl! *a czeho* tak długo w karczmie siedział? — z polska po rusińsku zawołał do *człowieka swego* dzierżawca Orchowa.

Parobczak, nie odpowiadając nic, umieścił w wózku beczkę z płynem. Eli zabierał się do odjazdu.

Postąpił był właśnie ku wózkowi, gdy młody żydek położył mu rękę na ramieniu.

— Eli! — rzekł — czy ty mi tylko zrobisz to, co przyrzekłeś? he? Przyjm mnie do swoich interesów, albo pojedę gdzieindziej szczęścia szukać.

Żyd, zwany Mowszą, trącił młodego żydka w bok łokciem.

— Co ty mu czas zabierasz? — zawołał. — On twój brat, to o tobie i sam pamiętać będzie, a nam trzeba z nim pogadać.

— My *wszystkie* do niego interesa mamy.

— *Eleczkie!* — zawołała piskliwie niemłoda żydówka z sieni — ja będę czekać na *twego obietnice...* moje małe wnuczki sierotki będą za ciebie Pana Boga prosić.

— Ny, a jak do Łozowój pojedziesz, to pamiętaj, że Mowsza chce bardzo twoim współnikiem być.

— A jeżeli Łozowicz tobie Łozową *puści*, to u mnie masz kredyt, *verstehst*.

— Czemu ja nie mam takiej dobrej rzeczy rozumieć? — śmiejąc się, odpowiedział na ostatnie słowa Eli.

Siedział już na wózku i nogi opierał o beczułkę z wódką, która mu siedzenie niewygodnym czyniła. To też postawa jego, z podniesionymi zbytecznie kolanami, ściśniona pomiędzy dwoma worami z jakimś zbożem, które parobek na siedzeniu umieścił, przypominała dawnego faktora, jeżdżącego na króciutkiej biedce, wypakowanej rozmaitym ładunkiem. Wyraz twarzy za to był podobny do tego, który okrywa twarz naczelnika, znajdującego się pomiędzy podwładnymi, i brata, otoczonego braćmi. Rozpromieniały ją: duma, zadowolenie z siebie i życzliwość dla tych, którzy, gromadą otaczając wózek, podnosili oczy ku jego twarzy, dotykali rękoma rąk i ubrania jego. Kiwał głową ku Mowszy i uśmiechał się.

— Dobrze! dobrze! jak pogadam z Łozowiczem *rendę*, to dam tobie wiedzieć, co z tego będzie.

Josiel za chałat go pociągnął.

— Niech Efroim Ręczyn bierze... ja będę u ciebie gorzelnią w Łozowej pędził.

— Pogadam o tém z Efroimem.

— Eleczkie! — zawołała żydówka z sieni.

— Ny, ny! Sura! furmanka jutro po ciebie przyjedzie... a tam już miejsce na kram najęte.

Młody żydek położył znowu rękę na jego ramieniu.

— To ty już mnie z pewnością na zimę do Orchowa bierzesz?

Eli obrócił się ku niemu.

— Co ty mnie o to sto razy pytasz? czy ty nie słyszał, jak mnie *stary* prosił, żeby ja ciebie do Orchowa wziął i handlować uczył? A czy ty nie wiesz, że jak mnie *stary* co powie, to już ja muszę zrobić to, co on chce, choćbym miał pod ziemię wleźć?

— Gut! gut! — chórem zawołali żydzi. — Kiedy ojciec o co prosi, to trzeba tak zrobić, jak on chce.

— Nu, Wasyl! do domu! — rzekł Eli.

Wasyl cmoknął na konia. Zanim jednak wózek ruszył z miejsca, Eli po-przez głowy otaczających go osób szukał czegoś. Szukał, znalazł, kiwnął głową, uśmiechnął się i podniesionym głosem zawołał:

— Gut Nacht, Tate! gut Nacht!

Wózek potoczył się z wolna błotnistą uliczką. Wdzi rozeszli się, a stara żydówka z pomarszczoną

rzą i młode dziewczęta rozczochrane zniknęły w głębiach mrocznej sionki.

Przedmiotem, który przyciągał do siebie spójrzanie Elego w chwili odjazdu i wywołał na usta wykrzyk: „Gut Nacht, Tate!” była twarz starego żyda, widniejąca z-za mętnej szyby małego okienka. Gęste, białe, jak mleko, tu i owdzie tylko żółtawemi smugami przerznięte, włosy, otaczały czoło wysokie, zmarszczkami w różnych kierunkach wyźłobionemi zorane, tak, iż wydawało się, zmiętą latami i zużyciem, kartą żółkłego pergaminu. Taką brodą srebrną, dwoma długimi pasmami spuszczała się od ust, cienko zarysowanych, tak bladych, jakby w nich kropli krwi nie było, i ocieniała policzki ściągłe, żółtawe, zapadłe; z pod brwi siwych dwie błękitne źrenice, na zaczerwienionych białkach pływające, świeciły blaskiem łagodnym, przygasłym, a jednak przenikającym, blaskiem, właściwym oczom, które pracowały ciężko i długo, łez wiele przelały, a przestawszy już pracować i płakać, zwróciły się ku tajemnym światom wewnętrznych przypomnień, rozważ i rozpamiętywań. Twarz ta, w której było coś patryarchalnego i ascetycznego zarazem, coś głęboko znużonego i mistycznie radosnego, promieniała uśmiechem, rozlanym na ustach, w źrenicach, w samych nawet wklęsłościach chudych policzków, w chwili, gdy Eli, siedzący na wózku, rozdawał otaczającym go ludziom

przyrzeczenia i skinienia głową, niby dowody łaski i przyjaźni.

Kiedy Eli zawołał: „Gut Nacht, Tate!” cienkie, blade wargi starca poruszyły się i wydały przeciągłą, śpiewną odpowiedź: „Gut Nacht, Eli!” W odpowiedzi téj zadźwięczało echo głosu Jakóbowego, spływającego gorącym błogosławieństwem na głowę ulubionego Beniamina.

IV.

Parę jeszcze godzin zostawało do zachodu słońca, gdy wózek, wiozący dzierżawcę Orchowa, wtoczył się na folwarczny dziedziniec orchowskiego dworu i stanął przed starą oficyną.

Z-za ogrodzenia, otaczającego ogród warzywny, rozległy się okrzyki: „Tate! Tate!” Jednocześnie na szczycie płotu zjawilo się dwoje dzieci: pięcioletnia dziewczynka w grubiej koszuli, przewiazanej sznurkiem, i o parę lat starszy od niej chłopak, w spencerku bez rękawów. Obie głowy dziecinne osypane były gęstemi, jak las, kędziorami włosów, złocistej barwy.

Przed oficyną, do pni z dala od siebie rosnących topoli przymocowany, rozciągnięty był sznur, a na nim wisiały wilgotne szmaty rozmaitych kształtów: płachy i płócienne, do cedzenia mleka służące, kliniaste worki do robienia serów, kolorowe, spłowiałe chusty do wiązania głów, i dziecięce sukienki z perkalu,

niewiadomój barwy. Wszystkie te przedmioty wyjmowała z balii, przed progiem stojącej, średnich lat żydówka, rozwieszając je na sznurze. Była to Chaja, żona Elego.

Na dziedzińcu, porośłym trawą, wydeptaną w jednych miejscach, w innych zgłuszoną ostami i szeroko rozrostłymi kępami chrzanu i łopuchu, aż pod obory ciągnęły się źdźbła gnijącej słomy; pod płotem, na którego szczycie zawisło dwoje dzieciaków, wznosiły się mniejsze i większe wzgórza, z nagromadzonego śmiecia powstałe; przed małym gankiem o dwóch wykrzywionych słupach stały mętne i niemiłą woń wydające wody dwóch wielkich kałuż.

Eli wysiadł z wózka i lekceważące spójrzenie rzucił na balię i sznur, obwieszony wilgotnymi szmatami.

— Chaja! dlaczego ty to robisz sama? na co tobie tego? czy sługi nie masz? — zapytał głosem podniesionym.

— A co to szkodzi, że ja sama tego robię? — odpowiedziała żydówka i przybierała się do wyjmowania z balii ostatniej, znajdującej się tam, szmaty płótna; ale Eli zawołał na nią:

— Pójdź do izby; ja coś dobrego przywiózł.

Wyjął z pod siedzenia znajdujące się tam zawiątko i, uśmiechając się, powoli przestąpił próg oficyny. Za nim udała się Chaja, otarłszy wprzód o spodnicę ręce, okryte szarą pianą mydlaną.

W sieni oficyny, na glinianej podłodze, siedziała Żydówka, podobna do Chai z ubrania i powierzchowności, wielkim nożem siekąc na desce ziele, do karmienia gęsi przeznaczone.

Eli kiwnął ku niój głową.

— *Wo ist Efroim?* — zapytał.

— Gdzie *un* ma być? stoi na polu przy robotnikach — nie przerywając zajęcia swego, odpowiedziała żona współdzierżawcy Orchowa.

Z jednej strony sieni znajdowały się drzwi, na oścież otwarte, prowadzące do wielkiej izby czeladnej, zwaną piekarnią. Tam, przed olbrzymim piecem, opatrzonym w czarny od okopcenia kaptur, stała dorosła dziewczyna żydowska, pilnując strawy, warzącą się przy ogniu; czworo dzieci różnego wieku, rozczochranych i w szare koszule lub kaftany bez rękawów poubieranych, bawiło się z gromadą małych kociąt. Na jednej z ław wkoło ścian spało trzech żydków, z których najstarszy mógł mieć lat piętnaście, najmłodszy dziesięć. Oprócz krzyku dzieci, miauczenia kociąt, miarowego stuku noża żydówki, siekającej ziele, i chrapania śpiących podrostków, nic więcej dokoła słyhać nie było. Czeladź dworska znajdowała się w polu i na łąkach, bydło ze swymi dozorcami na pastwiskach.

Eli nie udał się do piekarni, ale otworzył drzwi, jdujące się z drugiej strony sieni. Były to dwie y, dość obszerne, które-by można było z razu wziąć

za hurtowy skład pościeli wszelkiego rodzaju, tyle tam stało łózek, napełnionych piernatami i poduszkami, których stopy wznosiły się prawie aż pod belkowy półap. Pośrodku półapu pierwszej izby wisiał mosiężny, czteroramienny świecznik, a pod oknem stała kanapka stara, podartym perkalem okryta, i wielki stół, czarno pomalowany.

Eli siadł na kanapie, położył zawiniątko przed sobą na stole i zaczął je rozwiązywać powoli i z uśmiechem. Chaja, o dwa kroki stojąc, głowę na przód pochylała i ciekawemi oczyma śledziła ruch rąk męzowskich. Nagle ku stołowi skoczyła, rękoma kłasnęła i krzyknęła:

— Och! och!

Twarz jój, zwiędła i ogorzała, promieniała radością, podziwem. Eli wyjął z zawinięcia i w dwóch palcach, ostrożnie, z rodzajem głębokiego poszanowania, trzymał zawieszony w powietrzu mały surducik z granatowego sukna, ze srebrnymi wypustkami i guzikami. Był-to mundur szkolny, mogący służyć dla chłopca lat dwunastu mniej-więcej.

— To dla Abramka? — po chwili niemego osłupienia wymówiła Chaja.

— A dla kogoż-by? — odparł Eli, lubując się widocznie przedmiotem, trzymanym w ręce, i wrażeniem, jakie on na Chai wywierał.

Chaja wciąż stała, z postacią na przód podaną. Parę razy wyciągała rękę i już-już dotknąć miała:

mundurka, ale cofała ją wnet i, przechylając tylko głowę na obie strony, zawołała nagle:

— A jak *un* będzie w tém wyglądał?

— Otoż to, jak *un* będzie w tém wyglądał — powtórzył Eli. — A gdzie *un*?

— *Un* śpi w piekarni. Ja jego zawołam.

W kilka minut po téj rozmowie, czerwone piernaty, do połowy zasłaniające ściany izby, służyły za dekoracją scenie tłumnej i gwarnéj. W izbie, oprócz Elego, który z rękoma w kieszeniach siedział rozparty na kanapie, znajdowała się gromada kobiet i dzieci różnego wieku. Osoby te, w liczbie kilkunastu, tworzyły półkole, rozwarte ze strony kanapy, na której siedział Eli. Była to grupa, podobna do tych, jakie skupiają się na ulicach miast mniejszych, a nawet i większych, dokoła pajaca, pokazującego uczone psy lub skaczące małpy. Jak w owych grupach, tak i w téj, głowy patrzących wysuwały się na przód z ciekawością, usta roztwierały się uśmiechami podziwu i zadowolenia, mniejsze dzieci wdrapywały się na plecy i ramiona większych, aby lepiej widzieć; dorośli szturchali jedni drugich w łokcie, szepcząc: „sieh! sieh!” Tylko, że przedmiotem powszechnego zajęcia nie był tu ani pies uczony, ani małpa w czerwony kaftanik przybrana, lecz dwunastoletni chłopak, w nowiutkim mundurku szkolnym, dziwnie odbijającym przy bosych jego nogach, przy włosach, splełatanemi pasmami wysuwających się z pod zrudzia-

łój jarmułki, i przy twarzy, pokrytój taką warstwą brudu i sadzy, że z-za niój, jak z za gęstój przesłony, zaledwie przeglądały delikatne, ładnie wykrojone, bladawą cerą pokryte rysy dziecka. Ręce trzymał w znaczném oddaleniu od ciała, gębę roztwierał i osłupiałemi oczyma wodził po swém nowém ubraniu, a szczególniej po błyszczących wypustkach i guzikach.

— *Gaj a weg!* — krzyczała Chaja za każdym razem, gdy które z dzieci, pociągnięte ciekawością, próbowało przekroczyć linią półkola i zbliżyć się do Abramka; sama zaś oczu od niego oderwać nie mogła. Uśmiech niebiańskiego zachwycenia rozlewał się na jój twarzy.

— Och! och! — mówiła — jak *un* wygląda! jak obraz! jak lustro! jak... panicz!

Eli uśmiechał się, milcząc.

Nagle Abramek skrzywił się, ręce podniósł do jarmułki, przysiadł, otworzył usta szeroko i—wrzasnął. Czy czuł, że mu w mundurku ciasno i niewygodnie, czy pomyślał o tém, że przywiezienie go przez ojca zwiastuje mu blizki odjazd do szkoły, dość, że niespodziewanie, śród zachwycenia powszechnego, wrzasnął i zalał się obfitemi łzami.

— *Abramkie! libeczkie! klajneczkie!* — zawołała Chaja, z otwartemi rękoma przypadając do siedzącego na ziemi i wrzeszczącego syna.

W téjże chwili wszedł do izby Efroim. Nie był

on podobny do Elego i przedstawiał inny typ żydowski. Wysoki, barczysty, przygarbiony nieco, włosy, oczy i brodę miał czarne, jak noc, cerę twarzy ciemną, a pomiędzy krzaczystymi brwiami dwie głębokie, mięsiste zmarszczki, które na całą fizygnomią jego rzucały wyraz surowy i ponury.

— *Wos is dues?* — zapytał Efroim, stając na środku izby i patrząc na wrzeszczącego wciąż Abramka, którego Chaja, postawiwszy na stołku, tuliła w objęciach, całowała, łajała i z mundurka rozbierać zaczynała.

— To ty jego naprawdę myślisz do szkoły oddać? — zwrócił się przybyły ku Elemu.

— A dlaczego nie mam oddać? — wzruszając ramionami, odparł Eli.

Zmarszczki na czole Efroima pogłębiły się, czarne oczy jego strzeliły ku Elemu błyskiem szyderskim, gniewnym.

— A na co jemu tego? — mówił — czy tobie źle, choć ty w szkołach nie był?

— Może-by było lepiej jeszcze, gdybym był — z jednostajnym zawsze spokojem odparł Eli.

— A co ty z niego zrobisz, jak on bardzo *nauczny* będzie?

Eli po raz pierwszy podniósł uważny wzrok na warz współnika, i zarazem wyprostował się na kapie.

— Co ja z niego zrobię, jak on będzie *nauczny*?—
powtórzył i zamyślił się.

Wątpliwość jakaś zapadła mu snadź w umysł.
Efroim uśmiechał się złośliwie i niechętnie.

— Ja tobie mówię, Eli, że to na nic. Jego tam
oduczą tylko żydem być, a potem co? Niech *oni*
swoje dzieci do szkoły posyłają... ty weź dla Abram-
ka *szpektora*, to on go Boga chwalić i liczyć nauczy.

Eli milczał, po chwili podniósł głowę i rzekł:

— Mój *stary* dawno mnie już gada, żeby ja
Abramka do szkoły posłał, a ja w mego starego ro-
zum wierzę... Ja i w swój rozum wierzę, a ot jak on
mnie gada: — A czemu to mój syn nie ma wszystkie-
go wiedzieć, co panowie wiedzą? a czemu on nie mo-
że chodzić kiedyś po wielkich miastach i wielkim *pu-
rycem* być, i nie kopiejki zbierać, jak ja, ale złote
półimperyaly, i nie przy progach panów stać, jak ja,
ale siadać wszędzie, gdzie oni siadają, i żeby oni kła-
niali się jemu, a nie on im. — A czemu tak nie może
być? A kiedy do tego trzeba nauki, to ja jemu dam
naukę. Ot, jak mój rozum gada.

Rozum Elego gadał zupełnie takim językiem, ja-
kim przemawia próżność i ambicya. Ukazywał on
mu obraz syna jego, przechadzającego się po ulicach
nie małych już miasteczek, ale miast wielkich, oto-
czonego nieokreśloną jakąś aureolą rozumu, elegan-
cyi, swobody, otrzymującego grzeczne ukłony od tych,
którym ojciec jego nisko kłaniał się przez życie całe.

I zarobki, w postaci złotych półimperyałów grały w ojcowskich marzeniach Elego rolę pewną, ale podrzędną. O przyszłej, moralnej wartości chłopca, o wewnętrznej treści i źródłach téj aureoli wyższości, która go kiedyś otoczyć miała, rozum Elego nie gadał mu ani słowa.

Efroim nie spuszczał oczu z zamysłonego swego spółnika. W wejrzeniu jego tkwił niepokój i wzgardliwe jakby politowanie.

— Nu — rzekł — to tylko dobrze, że jego może do szkoły nie przyjmą.

Eli wstrząsnął się cały.

— Dlaczego nie mają przyjąć? — zawołał. — Czy to teraz takie czasy, żeby żydków do szkoły nie przyjmowali?

— A co on umie? — szydersko zapytał Efroim.

— Co on umie? — jak echo, powtórzył Eli. — Nu, dwa lata już uczy się u szpektora w Orchowiu.

— A czego szpektor jego nauczył?

Eli podniósł się z kanapy, jak sprężyną ruszony, i stał chwilę przy stole, zamysłony głęboko.

Nagle, jakby mu myśl jakaś przyszła do głowy, wziął czapkę i zwrócił się ku drzwiom. Od progu zapytał:

— A kto przy robotnikach stoi?

— Mój syn, Jankiel — odparł Efroim.

— A czy on dopilnuje akuratnie?

— Czemu on nie ma dopilnować? ja jego do szkoły nie posyłał, to on pilnuje tego, z czego jé chleb.

Nie zważając na ostatni szyderski pocisk spółnika, Eli opuścił izbę powoli, w zamysleniu przeszedł folwarczny dziedziniec i, postępując śladami drogi, szerokiej niegdyś i zwirowanej, dziś trawą zarosłej, zwrócił się ku oficynie, w której mieszkał Kamil Orchowski.

Kamil leżał jeszcze w fotelu głębokim i doczytywał właśnie pierwszego rozdziału książki, która go mocno zainteresowała, gdy miłą tę ucztę umysłową przerwało mu wejście lokaja, Walka.

— Makower przyszedł i prosi, czy nie mógłby widzieć się z panem.

Kamil wzrok od książki oderwał, i usta wykrzywił w sposób, wyrażający ucztę niesmak.

— A czego on tam chce? nie pytałeś? — rzekł, marszcząc czoło.

— Pytałem, ale powiedział, że ma taki interes, o którym chciał-by z samym panem pomówić.

Zdawało się z razu, że młody pan, w fotelu leżący, ręką niedbale skinie i powie: „niech przyjdzie później”. Ale Makower, jako dzierzawca Orchowa, trzymający w kieszeni swój finansowe sprawy całej rodziny, a zatem i Kamila, był figurą zbyt często potrzebną, aby ją tak, bez ceremonii, ode drzwi odprawić wypadło.

— Niech wejdzie — rzekł Kamil.

Eli wszedł, postąpił kilka kroków, zatrzymał się na środku pokoju, z rękoma w tył założonemi, i odd

ukłon nie bardzo niski, nie bardzo pokorny, trochę jednak i niski, i pokorny. Kamil, ani postawy, ani miny skwaszonej nie zmienił, skinał tylko głową dość uprzejmie.

— A co powiesz, panie Makower? — rzekł.

— Ja do wielmożnego pana z jednym interesem przyszedł... z moim własnym interesem. Mam wielmożnego pana o *czegoś* prosić.

— O cóż takiego?

— Ja chciał-by wielmożnego pana prosić, żeby mnie pan powiedział to, czego ja nie wiem...

— Czego nie wiesz? — z żartobliwym uśmiechem przerwał Kamil. — Ja ciebie, panie Makower, mam za takiego rozumnego człowieka, który wszystko wie.

— Wielmożny pan żartuje — obojętnie odparł żyd. — U nas napisano, że niéma takiego człowieka i niéma takiego rozumu, co-by wiedział wszystko. Ja, chwalić Boga, wiem, co do mnie należy, ale to, o *czego* ja chcę wielmożnego pana pytać, do mnie nie należy.

— Więc jest jeszcze na świecie coś takiego, co do was nie należy? A ja myślałem, że wszystko już, na co spojrzeć, należy do was, żydów.

— *Jest* takie rzeczy, na które człowiek patrzy oczami, i takie, które delikatnym tylko rozumem zobaczyć może...

— Alboż ty, panie Makower, nie masz delikatnego rozumu?

— A z kąd ja jego mógl dostać?... Ale ja chcę, żeby jego miał mój syn.

Młody Orchowski zaśmiał się lekko.

— Czy przyszedłeś do mnie po rozum dla swego syna ?

— Ja przyszedł dlatego, żeby wielmożny pan mnie powiadział, jak jemu ten rozum dać.

Obejście się Kamila, pod osłoną żartobliwości kryjące wzgardliwe niemal lekceważenie, nie zrażało Elego do dalszej rozmowy. Doświadczał on w tój chwili tego tylko, do czego z dawien dawna przywykł. Nie można jednak zaręczyć, aby do głowy mu nie przyszło porównanie stojącej postawy, jaką zajmował o kilka kroków od rozciągniętego w fotelu młodego dziedzica, z tą, w jakiej przed dwiema godzinami znajdował się w rodzinném miasteczku, pośród sprzyjających mu, podziwiających go spółwyznawców. Porównaniu temu towarzyszyć koniecznie musiała myśl, że tam był on *ze swoimi*, tu zaś rozmawiał z człowiekiem *cudzym*. Pomocy jednak *cudzego* człowieka tego w tój chwili potrzebował, o minę więc jego i żartobliwe słowa nie dbał.

— Wielmożny pan ciągle książki czytuje, i na wielki świat często jeździ, i sam bywał w szkołach i w uniwersytecie, to wielmożny pan wie tego, o co ja chcę pytać.

— No, no -- żartobliwym zawsze tonem zachęca żyda do mówienia Kamil.

— Ja mego syna chciał-by do szkoły oddać. Mój ojciec... wielmożny pan wie, stary Judel, krawiec, uszył już dla niego nawet mundurek, choć on teraz dla nikogo nie szyje... Ale ja nie wiem, czy mego syna przyjmą do szkoły, bo on jeszcze bardzo mało umie. To ja chciał-by wielmożnego pana pytać, *czego* to on powinien umieć, żeby jego przyjęli, bo nasze żydki o *tego* nic nie wiedzą. A jeszcze ja chciał-by wielmożnego pana pytać, co mój Abramek będzie mógł robić, jak on szkoły skończy? czy jego potem koniecznie do uniwersytetu posyłać, czy niekoniecznie? i czego jemu... co jemu...

Zająknął się Eli. Oczy mu połyskiwały żywo; szyję na przód wyciągał i w twarzy młodego pana topił spójrzanie proszące, ciekawe, prawie chiwe.

Kamil słuchał pośpiesznych i błagalnych słów żyda, z jednostajnym na ustach uśmiechem. Gdy Eli umilkł, wyprostował się nieco na fotelu i krótko zapytał:

— I na co ci to wszystko, panie Makower?

Żyda pytanie to jakby zimną wodą oblało.

— Jakto na co? — zapytał ciszej i z trochę zdziwienia w głosie.

— Jesteście i tak dosyć rozumni — mówił młody dziedzic Orchowa — w waszych rękach wszystko: handel, rzemiosła, a teraz i ziemia. Macie wiele spry- mićcie dobrze rachować, bez szkół i bez uniwer-

W.

Zdawało się, że te słowa, których słuchał z obojętną twarzą, nie czyniły na Elim wrażenia żadnego.

— Z przeproszeniem wielmożnego pana — rzekł powoli — a co to szkodzi, jeżeli tam, gdzie jest dziesięć rublów, znajduje się drugie dziesięć?

— Otóż to — zaśmiał się Kamil — chcecie nauki, aby z jój pomocą pomnożyć w dwójnasób wasze bogactwa. Chwalebny zamiar. Nie mam nic przeciw niemu. Dziwię się jednak, że żądasz, panie Eli, abym ci poradził, jaka nauka najstosowniejszą być może dla tego celu. Naucz swego syna tak biegle rachować, jak sam rachujesz, a on z twoich dziesięciu rubli zrobi z pewnością dwadzieścia.

— *Tego naukę un* już ma — prostując się nieco, odparł Eli. — *Un* tak dobrze liczy, że kiedy ja jemu wczoraj powiedział: — Abramek, a czy ty przeliczysz wiele ja jaśnie panom Orchowskiem *pieniądzów* na arendę dał, a wiele oni mnie winni? to *un* pomyślał, palcami poruszał i powiedział akurat tyle, ile trzeba.

Mówiąc to, Eli miał wyraz twarzy zupełnie spokojny, zwyczajny, lekkim tylko uśmiechem zadowolenia rozjaśniony. Najbieglejszy badacz nie odkrył-by w fizyognomii jego ani cienia ukrytj złośliwój myśli. Sama jednak treść słów jego nie mogła być przyjemną dla Kamila. Powiódł téż dłonią po czole, z giestem pewne znudzenie objawiającym.

— Widzisz więc, panie Eli, że syn twój dość jest mądry na swój wiek, a ty sam edukacją jego przyszłą najlepiej pokierować potrafisz.

Chwila milczenia zapanowała pomiędzy dwoma ludźmi. Kamil patrzył na książkę, którą w ręku trzymał, jakby przez to okazać chciał żydowi, że pilno mu do niej wrócić. Eli namyslał się, patrząc w ziemię.

— To ja niczego nie dowiem się od wielmożnego pana? — wymówił, podnosząc z wolna głowę.

Na twarzy Kamila skwaszenie i znudzenie zastąpiło całkowicie uprzednią żartobliwość.

— A czegoż dowiedzieć się ode mnie możesz, panie Makower? Już też spodziewam się, że ludzie, tak dojrzały i doświadczony, jak ty, nie potrzebują gubernatorów, którzy-by zarządzili domowymi ich sprawami. Jeżeli zresztą chcecie wchodzić, czy tam dzieci swoje wprowadzać na drogę wyższego kształcenia, co zresztą bardzo się wam pochwała, to już powinniście poznać przedewszystkiém zasadę, uznaną powszechnie w teraźniejszej ekonomii: że popędy do reform i postępów powinny iść z dołu, nie z góry. Jeżeli my udzielać wam będziemy rady i zachęty, będzie to popęd z góry i na nic się wam nie przyda.

Skończył i z czołem zmarszczoném patrzył znowu na karty książki. Eli z niewzruszoną twarzą słuchał słów, dla niego w większej połowie niezrozumiałych. Zrozumiał to tylko, że niéma po co mówić dłu-

żój z człowiekiem, który żądania jego nie pojął, lub, pojawiając się, przez lekceważenie, niechęć, czy leniwość, spełnić go nie chciał. Stał jeszcze chwilę, aż wreszcie uklonił się i powiedział:

— Upadam do nóg, Wielmożnego Pana.

— Adien, adieu! — odrzekł Kamil, podnosząc oczy z nad książki.

Eli opuszczał dworski dziedziniec powoli, tym samym zupełnie krokiem i z tym samym wyrazem na twarzy, z jakim wstępował na niego przed rozmową z Kamilem, i od czasu do czasu zrywał nawet, jakby dla zabawy, listek jakiś z krzaku, lub wyżej od innych wzrastającą trawę. Po bardzo tylko blizkiem, baczniem przyjrzeniu się, można-by było dostrzedz, że po ustach jego, przykrytych rudawym wąsem, błędził cień szydlerczego uśmiechu.

Kamil pozostał w na-pół ciemnym swym pokoju, i zagłębił się znów w czytaniu książki, ślicznym stylem napisanej, traktującej o jednym z najciekawszych zadań filozofii tegoczesnej.

Kiedy Eli wrócił do folwarcznej oficyny, Chaja spotkała go we drzwiach izby, w której za czarnym stołem siedział także Efraim, kreśląc cyfry w poliniowanej i pokratkowanej księdze.

— A co? — spytała żydówka, patrząc na męża ciekawemi oczyma.

— Nu co? — obojętnie odpowiedział jój pytaniem mąż, zdejmując czapkę i zbliżając się do spółnika.

— Co *un* powiedział?

— Nic nie powiedział.

Efroim podniósł głowę. Czarne oczy jego żywiej błysnęły.

Chaja niespokojną była i ciekawą. Stała tuż za mężem, który zatrzymał się przy stole.

— Co teraz będzie z Abramkiem? — zapytał Efroim, trzymając w ręce pióro, aż po skrzydło uczernione atramentem.

— A co ma być? — odrzekł. — Za tydzień odwiozę go do N. i oddam do szkoły.

Uśmiech błogiego rozradowania rozlał się po twarzy Chai.

— Ty jego do szkoły oddasz? — raz jeszcze zapytał Efroim.

— Oddam — rzekł, siadając Eli — tak już musi być. Już ja tak postanowił.

— Gut, gut, Eli — nagle zawołała Chaja. — Mnie serce boli, że Abramek pojedzie, ale ja chcę, żeby *un* jechał, bo za to, jak *un* wyrośnie, będzie *wielki puryc*.

W tej samej chwili, na drodze, okalającej dziedziniec folwarczny, głucho zaturkotały koła i dało się słyszeć rozgłośnie, dwa razy powtórzone, klaśnięcie z bata. Dwaj żydzi twarze ku oknu zwrócili. Tuż za dworem toczył się kocz otwarty, sześciu piękniśmi ciągniony. Zaprzęgiem tym powoził młody życzyna, w krótkim spencerku w kraty i w cza-

peczce oryginalnego kształtu, z fantazyą za bok włożonej. Obok powożącego siedział stangret beczynny, w liberyi ze srebrnymi guzikami, w koczu zaś jechały cztery kobiety. Tuż za powozem ukazały się dwa jeszcze konie. Na jednym z nich siedział człowiek jakiś wąsaty, w ubiorze niby kozaka, niby masztalerza, i prowadził za uzdę drugiego konia, osiodłanego i wielką białą siatką, od głowy do ogona i od grzbietu do kopyt prawie, okrytego. Było tam tedy koni wszystkich razem ośm.

Żydzi ścigali oczyma tę kalwakadę, która, minawszy bramę, zdążyła ku gankowi domu. W połowie dziedzińca, powożący młody człowiek stanął na koźle, rękę podniósł, bat olbrzymiej długości rozwinął i w powietrzu, niby wystrzały pistoletowe, rozległy się dwa kłaśnięcia.

— Ręczyce! — rzekł Eli. — Matka, córki, syn i *gucernantkie*.

— Aj! aj! co tu *koniów*—mówiła Chaja.—A gdzie *un?* — zapytała ciekawie.

— Kto?

— Syn, młody Ręczyce?

— *Un* tam, gdzie powinien być furman — odparł Eli.

Efroim uśmiechał się, oczyma błyskał i krzaczystemi brwiami ruszał. Wyciągnął wskazujący palec w kierunku młodego człowieka, który właśnie w tej chwili na koźle stawał i bat rozwijał.

— Sieh, Chaja — rzekł. — *Un* w szkole był, i ot, jaki z niego *puryc* zrobił się. Kiedy Pan Bóg jego stworzył panem, to on gwałtem lézie tam, gdzie furman powinien być... Czy ty-by chciała, żeby twój Abramek takim był *purycem*?

Eli wyprostował się z uśmiechem i ręce do kieszeni włożył.

— Na co jemu tego? — rzekł. — Jak *un* będzie miał *swego kocza* i konie, to *un* na kozieł nie wlézie, tylko będzie siedział w koczu rozparty, a konie będą jego ciągnąć.

Jaśniejszy, niż zwykle, uśmiech rozświecił ciemne rysy Efroima. Podniósł na Elego spojrzanie.

— A Ręczyc będzie wtedy furmanem i siądzie u niego na koźle?

— Może — obojętnie odparł Eli, i zabierając miejsce na kanapie, zwrócił się do spółnika.

— A chcesz ty Ręczyn w arendę wziąć?

Efroim obu rękoma objął czarną swą brodę. Żrenice jego zamigotały i przenikliwém, chciwém spojrzaniem utonęły w twarzy Elego.

— A Josiel? — zapytał przeciągle.

— *Un* tobie Ręczyn ustąpi... jemu tam źle... *un* nie umie koło Ręczyna chodzić. Ty potrafisz...

Efroim głową skinął i białe zęby w uśmiechu dziadosnym ukazał.

— A jak to może być? — zapytał. — Ile Josiel

odstępnego chce? Ile *un* tam jeszcze lat ma siedzieć?

— Ot, jak to może być — rzekł Eli — ja tobie *tego* powiem. Chaj! *giéj* do dzieci, *oni* tam czegoś płaczą.

V.

— *Figuruj* sobie tylko, moja duszko, jaką ja satysfakcją w tych dniach miałam. Konio uprosił mnie, abym do N. jechała, bo mu tam trzeba było jakiegoś zrzeczenia się z méj strony części majątku, przypadającej mi po nieboszczyku mężu. Dlaczegoż-bym zrzec się nie miała? jemu to do interesów potrzebném było, nie wiem już do jakich, bo ja do rzeczy podobnych nigdy inklinacyi nie miałam. Otóż pojechałam do N. z Różą, z Florą i naturalnie z Koniem. *Figuruj* sobie, że odżyłam! Nie stolica to zapewne, ale zawsze gubernialne miasto, ludzie, ulice, domy murowane i teatr. Ach, teatr! pamiętasz, kochaneczko, jakieśmy to z tobą w teatrze warszawskim bywały, kiedyś tam, kiedyś, nim cię Kajetan ode mnie porwał? Byłaś wtedy w żałobie po obojgu rodzicach, biedactwo! — to nic nie szkodziło. Czarny kolor był ci zawsze twarzy; ja cię nawet i teraz mam w podejrzeniu, tko, że ubierasz się czarno, bo wiesz, że ci z tém

ładnie. Nazywali cię wtedy w Warszawie piękną sierotą, pamiętasz?.. A przypominasz sobie hrabiego Kalixta?... przepadał za tobą, i byłby się oświadczył z pewnością, gdybyś posag większy miała... A propos! figuruj sobie, ten poczciwy Łozowicz przyjeżdża do nas wczoraj i mówi do mnie *avec son air penché*: — „widziałem przeszłej niedzieli w kościele pannę Lilę Orchowską. Jaka piękna czarna lilia!“ Poczciwy Łozowicz! moję Florę porównał niegdyś do hesperyjskiego ogrodu, jak włożyła na głowę ten kapelus, co to z Warszawy jęj sprowadziłam, z gałęzią dojrzałych czereśni, dwiema gałązkami winogron i marchewką, ukrytą pomiędzy trzema jabłuszkami. Naiwny kapelusik, stosowny do jęj wieku, ma się rozumieć. Ale, gdzie Lila? przy obiedzie jęj nie było i teraz nie przychodzi? gdzież moja czarna lilia?

Tak mówiła pani Malwina Ręzcycowa, siedząc na kanapie obok gospodyni domu. Twarz jęj świeża, pomimo licznych zmarszczek, okrągła, pulchna, różowa, migotała uśmiechem i połyskami siwych biegających oczu.

— Gdzie Lila? — powtórzyła pytanie, rozkładając szerokie fałdy jasnej sukni, i poprawiając na ramionach szal nie mnięj barwny, jaskrawo odbijający przy czarnej, w pół-zakonnęj szacie pani Leontyny.

— Lila, kochana ciociu, tak mi się dziś roz

prysła, że nie pozwoliłam jój wyjść do gości. Tak jest gwałtowną... upartą...

— Rozrywek-by jój trzeba, duszo moja! — przerwała pani Malwina — rozrywek koniecznie! Wierz mi, że niema lepszego lekarstwa na kaprysy, upór, nieposłuszeństwo...

— Ja znowu sędzę, ciociu, że umartwienia ciała bywają bardzo zbawiennemi.

— Nie wierz w to, kochaneczko, nie wierz ani trochę! Umartwienia nigdy do niczego nie prowadzą. Pamiętasz, jakieś, po śmierci rodziców swoich, przyjechała do mnie pod moją opiekę? Byłaś smutna, zamyślona, zwyczajnie jak piękna sierotka. Nie miałaś wtedy więcej, jak lat 15... ale ja cię prędko z melancholii wyleczyłam. Zaczęłam cię rozrywać... pamiętasz?

Pani Leontyna westchnęła.

— To prawda — rzekła z cicha — młodość moja szczęśliwą była przy tobie, droga ciociu. Teraz zato czuję taką pustkę, taki żal jakiś niewytlómaczony, takie głębokie zniechęcenie do wszystkiego!

— Rozrywek, kochaneczko, rozrywek trzeba-by ci koniecznie! Któż-bo widział, aby osoba, tak młoda, jak ty, zerwała już ze światem.

Pani Leontyna podniosła twarz i wzruszyła ramiami.

- Ja młoda?

A cóż, duszo moja, naturalnie, że młoda. Ileż

ty możesz mieć lat? no... trzydzieści i jakich tam parę może.

— Kamil, ciociu, ukończył już lat 28.

— Ale co mówisz?... napadła cię jakaś mania robienia się starą! Kamil! nie ma więcej, jak lat 24.

— Cztery lata już jak wrócił z uniwersytetu...

— A boście go w kołysce jeszcze do książki zaprzęgli. Ależ ja dobrze pamiętam... Róża moja urodziła się w siedm lat po nim, a teraz ma rok siedmnasty, Flora zaś przyszła na świat we dwa lata później... Zresztą, co tam z temi latami!

Osoby, o których dwie panie nadmieniły w rozmowie, to jest Róża i Flora Ręczycówny i Kamil Orchowski, siedziały z dala od głównej kanapy, na długim szezlagu. Kamil zajmował miejsce pomiędzy dwiema siostrami, a postawa jego niedbała i twarz rozjaśniona okazywały, że mu w tém otoczeniu bardzo przyjemnie.

Róża i Flora były wcale ładnymi pannami. Kształty ich, okryte ubraniem prawie dziecięcóm, wykazywały jednak zupełną dojrzałość i lekką skłonność do tycia. Z tém wszystkiém, twarze białe i zaokrąglone, usta ponsowe, oczy błękitne, ramiona pulchne, przeglądające z po-za niewinnie przykrojonych muślinów, czyniły powierzchowność ich dość ponętą. Obie obchodziły się z siedzącym pomiędzy nimi kuzynkiem z pokrewieńską poufałością i uprzejmością szczególną. Ta tylko w obejściu się ich zachodzi

różnica, że Róża siedziała poważnie, spoglądała z zamysleniem, przemawiała powoli i z głębokim jakby namysłem; Flora zaś trzpiotała się, białymi ząbkami co chwila w głośnym śmiechu błyskała, wachlarzem uderzała kuzyna po ramieniu, i z pod sukni, po dziecięcemu niedotykającej, ziemi zalotnie wysuwała nóżkę, niezbyt zgrabną, ale wytwornie obutą. Trudno było na pierwszy rzut oka odgadnąć, czy różnica ta w znajdowaniu się dwóch panien, pochodziła z rzeczywiście różnych ich temperamentów, czy też była skutkiem obmyślonej z góry taktyki. Kamil przechylał się widocznie ku stronie żwawszej i weselszej. Patrzał w twarz Flory oczyma, rozpromienionemi żywą snadź przyjemnością.

— Czy kuzyn ma u siebie książkę pod tytułem *Dieu et la nature*? — przemówiła Róża. — Ja zaczęłam teraz ją czytać...

— Zbyt poważna to rzecz dla pięknej kobiecój główki — zaśmiał się Kamil.

— O nie! ja tak lubię czytać... — odparła Róża.

Kamil patrzył na rączkę Flory, uwijającą się z wachlarzem około jego ramienia.

— Zkąd masz ten pierścionek, kuzynko?

— Który?

— Ten z turkusem.

— Proszę zgadnąć.

— Zkąd-że mogę wiedzieć?

— Od narzeczonego.

— Którego nie masz?

— Właśnie, że mam. Zareczyłam się wczoraj.

— To być nie może.

— Dlaczego?

— Ja na to nie pozwolę!

Ostatnie słowa Kamil wymówił z cicha, pochwycił zarazem rączkę z wachlarzem i przytrzymał ją w swojej ręce. Flora zarumieniła się gwałtownie; chciała zaśmiać się, ale nie mogła. Westchnęła zato, a lubo znać było, że skryć to westchnienie usiłowała, Kamil je dostrzegł i, uśmiechając się ciągle, pochylony nieco, spojrzął głęboko w zmaćcone w téj chwili jéj oczy.

Wachlarz Róży zaszeleścił rozgłośnie.

— Jak ci się podoba, kuzynie, dzieło Buckla? — zapytała.

— Nie znam go — odparł Kamil — niezadowolony, że pytanie to zmusiło go do wypuszczenia z dłoni ręki Flory i odwrócenia wzroku od spłonionych jéj lagód.

— Jak można nie znać tak pięknego dzieła! Mama sprowadziła je niedawno dla mnie.

— Figuruj sobie, kuzynie, że ja dla téj małej muszę ogromne wydatki na książki ponosić—odezwwała się z kanapy pani Malwina — Róża przepada za lekturą... stosowną do swego wieku, ma się rozumieć.

— O, ja bez czytania żyć-bym nie mogła—rzekła Róża.

— Tak piękne oczy, jak twoje, kuzynko, nie powinny trudzić się wyczytywaniem brzydkich drukowanych liter — szepnął do starszej siostry Kamil.

— A jednak — odpowiedziała — okrywając go powłóczęstym spojrzeniem, — sam wiele umysłowo pracujesz, kuzynie.

— Tak piękne oczy — powtórzył Kamil — jeżeli już czytać koniecznie mają, to powinny czytywać o miłości...

— Kuzynie! — zawołała Flora — bądź tak grzeszny i zapnij mi bransoletę... o mało jój nie zgubiłam.

Pani Malwina, rozmawiając wciąż z gospodynią domu bardzo żywo i bezładnie, częste spojrzenia rzucała w stronę szezłaga i siedzących na nim osób. Znać było, że widziała i słyszała wszystko, co działo się tam i mówiło. Siwe, ruchliwe jój oczy, zwracając się w tę stronę, nabierały wyrazu pewnej przenikliwości, a w uśmiechu, którego przeważną cechą była prostota i zalotność, zjawiała się linijka jakaś krzywa, przebiegła, filuterna.

— Żebyś wiedziała, moja duszo, jakie sklepy powstały teraz w N. Fiu! fiu!... Ale czy ty teraz wiesz o czém, co się dzieje na świecie? Pamiętasz, jakieśmy niegdyś razem jeździły po magazynach? Byłaś już dawno mężatką, kiedyśmy sprawiły sobie te... sowe beduiny, pamiętasz? Ty w swojej wygląd... k Cyganka, a o mnie mówili, że nabieram w niej

charakteru Szkotki... Karwoni powiększył skład swój galanteryjny i śliczne ma drobiazgi. Kupiłam ich trochę i przywiozłam tu z sobą, aby ci je pokazać. Panno Michalino! bądź pani tak grzeczną i powiedz tam komu w przedpokoju, aby mi z powozu przynieśli mój worek podróżny i dwa kartonowe pudełka.

Na wezwanie to, pod oknem powstała szczupła, z bladą twarzą kobieta. Młodą była, więcej niż lat 22 mieć nie mogła, ale ani w rysach jęj, powleczonej cerą znużoną, ani w postaci, przyodzianej sukienką wełnianą, ciemną, nie było uśmiechów i ożywienia młodości. Kasztanowate włosy, bujne i jedwabiste, zaczesane gładko nad kształtném jęj czołem, opadały z tyłu dwoma poprostu splecionemi i ułożonemi war-koczami.

Szła przez salon krokiem lekkim, szybkim i dość wdzięcznym, choć trochę nieśmiałym. Głowa jęj była pochylona, a oczy ukryte za spuszczonej powiekami. Niebawem wróciła i usiadła na dawném miejscu przy oknie, niczyjéj nie zwracając uwagi i na nikogo nie podnosząc oczu. W parę minut potem ukazał się lokaj, dźwigający wielki wór, włóczką wyszywany, i parę kartonowych pudełek.

Pani Malwina rękę białą, pulchną, mnóztwem pierścionków świecąją, zapuszczała we wnętrze worka.

— Zobacz tylko, moja duszo, te antuanetki! bła z ponsowém, popielata z błękitném, liliowa w cief

a krawaty terażniejsze damskie widziałaś? Gdzie tam! ty, biedaczko, w habicie chodzisz! *Z crêpe de Chine!* medaliony emaliowane... pamiętasz, jaką furorę robiliśmy kiedyś na balu u K...ów naszymi medalionami w kształcie katedry kolońskiej?... Tu turkus, a tu szmaragd... dla Flory z perełkami... stosownie do jęj wieku, ma się rozumieć.

Pani Leontyna oglądała ukazywane sobie przedmioty najróżnorodniejszej natury i najróżniejszego smaku z zajęciem, większym, niż można się było spodziewać po jęj surowej powierzchowności i wyrzeczeniu się wszelkich błahostek światowych.

— Na cóż ciocia kupiła te igielniki? aż ośm! Nie widziałam nigdy, żeby ciocia szyła cokolwiek.

— A cóż to szkodzi, kochaneczko? cóż to szkodzi? niech sobie będą! Widzisz jakie ładne! Ten mosiężny, a świeci jak złoto! a ten błękitny, jakby z turkusu rznięty. Nic prawie nie kosztują, po parę rubli każdy... dwa razy ośm szesnaście. Pamiętasz, jak to pan Julian wyśmiewał nas kiedyś za to, że rachować nie umiemy... mówił, że drobiazgi najbardziej rujnują... ale nie wierz w to, moja duszo, nie wierz ani trochę. Ci panowie są czasem wielkimi pedantami... Oto lusterko w srebrnych ramkach... *presse papier* marmurowe i pieczętki emblematyczne.

W téj właśnie chwili, gdy pani Malwina ustawiała stole parę tuzinów pudełeczek i, otwierając je ei, pokazywała pani Leontynie pieczętki z bukie-

tami, barankami, motylami, pasterzami i innemi podobnemi godłami, otworzyły się ze stukiem drzwi saloniku i zarazem dały się słyszeć męzkim głosem wymówione wyrazy :

— Ależ kasztanka kuzyny zajeździły na nie! kuleje i zdaje się, że nosacizny dostanie. Niech kuzyna jak najprędzej po weterynarza pośle, bo koń zmarnieje.

Słowa te wymówił młody, około trzydziesto-letni człowiek, dość wysoki, dość szczupły, w spencerze i dalszém ubraniu, sporządzonych z materyału w wielkie kraty szare, na tle ciemno-zieloném. Zbudowany był dobrze, ruchy miał niezgrabne, zamaszyste, rysy twarzy dość prawidłowe i oczy pięknie wykrojone, z ciemną, żywo błyszczącą źrenicą.

Na widok wchodzącego kuzyna, Kamil wstał z szezłaga i, z ironicznym uśmiechem, który często gościł na jego ustach, położył rękę na ramieniu młodego człowieka.

— Konrad — rzekł — zwiedził już nasze stajnie i ręczę, że miałby wielką ochotę pójść na łąkę, gdzie obecnie znajduje się stadnina.

— Figuruj sobie, moja duszo — zwróciła się do gospodyni domu pani Malwina — że Konio kupił w N. dwa śliczne *grisommel's*... Jak tylko przyślą mi z Warszawy kabriolet, który sobie ztamtąd od Rentla wypisałam, przyjadę nim po ciebie.

— Czy wiiesz, Kamilu — zawołał Konrad —

jak Boga kocham, twoje dwa siwki akurat jakby stworzone do tych, które ja teraz w N. kupiłem... Wiész co? handlujmy; dam ci swego kasztana... masztalerz właśnie przyjechał tu na nim... i karosza tego, wiész, co to z zelwianńskiego jarmarku...

— Ależ ja końmi nie handluję i trzymam je tylko dla własnej wygody,—śmiejąc się, przerwał Kamil.

— Figuruj sobie, kochaneczko — zaśmiała się pani Malwina — że u nas na stajni 20 koni stoi... Konio ma taką pasyą do tych zwierząt, a ja z niego żartuję czasem, że *un jour* tyle ich będzie, iż dla nas miejsca w Ręczynie zabraknie.

— No! Kamilu! — nalegał Konrad — pójdźmy do stajni.

Kamil brał za czapkę.

— Bardzo to grzecznie dla jakichś tam koni opuszczać nasze towarzystwo!—szepnęła z wymówką Flora.

— Interesa przedewszystkiém, — żartobliwe odparł Kamil i ciszój dodał — postaram się wrócić jak najprędzej.

Wyszli. Dwie panny powstały z szezłaga i zmierzwały ku drzwiom od ogrodu.

— Panno Michalino, — ozwała się pani Malwina, — bądź-że tak grzeczną i idź do ogrodu z memi córkami. erwuj szczególniej Florę; ona taka żywa i roztrzaa.... stosownie do swego wieku, ma się rozumieć.

[Łoda dziewczyna, w wełnianej ciemnej sukni,

z bladą twarzą i grubemi warkoczami, podniosła się znowu z pod okna i lekkim swoim, cichym krokiem postąpiła za odchodzącymi pannami. Pani Malwina ściagała ją wzrokiem, dopóki nie zniknęła za oszklonymi drzwiami sali.

— Ambaras mam, moja duszo, z tą dziewczyną— rzekła po chwili. — Żadnej maniery, idee dziwne, oryginał! Boję się, żeby mi oryginalnością swoją Róży i Flory nie zaraziła. Do młodych wszystko lgnie...

— Dlaczegoż ją ciocia trzyma? — zapytała pani Leontyna.

— A ot widzisz, duszo moja, rzecz jest taka. Znasz Szyłłę, *ce pauvre diable*, plenipotenta z N.? Zdaje się, że on i wam pomaga w interesach... Szyłło jest plenipotentem Konia... młodych ludzi nudzą interesa, nie można od nich wymagać, aby byli statystami... Konio winien Szyłle bagatelę... coś około półtora tysiąca rubli zdaje się... za plenipotencyą, zastępstwa jakies... nie wiem już za co, bo nudzi mię to śmiertelnie... Ale czasy ciężkie, wiesz, moja duszo, płacić długi trudno... Ta Michalina, to synowica Szyłły, wzięłam ją z jego domu...

— Ciocia więc oddalić jój nie chce, z powodu jój stryja?

— A tak, tak, duszo moja. Czasy to już tak że musimy obchodzić się z tymi ludźmi, jak z ogniem. Gdyby ją tak można z domu do domu gdzie ulo!

wać, było-by gładziej... bo, koniec końców, jemu to musi być wszystko jedno, gdzie ona jest, byle u niego nie była... ale tak odsyłać...

Pani Leontyna zamyśliła się.

— O czém tak dumasz? — zapytała pani Malwina.

— Myślałam w téj chwili o tém, że mogła-bym ją wziąć dla Lili.

— Jakto? chciała-byś ją wziąć do siebie! Ach, prawda, przypominam sobie, że spotkała odjeżdżającą twoję pannę Julię. Odprawiłaś ją?

— Odprawiłam.

— Ach! duszo moja, a ja ci jęj zawsze tak za-zdrościłam.

— Dlaczego, ciociu?

— Nazywała się Grejs.

Na to niespodziane oświadczenie, pani Leontyna, pomimo całej zwyczajnej sobie obojętności, z niejakim zdziwieniem na mówiącą spojrziała.

— Cóż ztąd, ciociu?

— Grejs, Grejs, kochaneczko, to brzmi niby coś zagranicznego, a przytém, jakie ona miała maniery!

— Nie mogłam trzymać jęj dłużej. Nie mam szczęścia do guwernantek. Lila uczy się od lat siedmiu, a nauczycielek dla nięj zmieniałam już z ośm... jedna dłużej nad dziesięć miesięcy nie była. To to, owo. Jednej nudno, druga religii nie ma, trzecia

trywialna, czwarta romansowa... słowem, biędę mam z tém taką, że mi to nawet nieraz w modlitwie dystrakcją sprawia. O, te matki! te matki! ile one cierpieć muszą, ile przenieść trosk, niepokojów, przykrości!...

— Bo nie bierz sobie tak do serca tego wszystkiego, duszo moja... Pomiędzy nami mówiąc, o co tu tak bardzo iść może? Na guwernantki przecież córek naszych nie kierujemy... Trochę więcej, czy trochę mniej będą umiały, to wszystko jedno.

— Prawda, ciociu, ależ znówu trudno, abym Lilę zostawiła bez nauczycielki... świat-by mnie zakrzyżczał, że zaniedbuję jój edakacją...

— A no, to bierz Michalinę ode mnie. Wiész co, zrobisz mi tém nawet wielką łaskę... Mam okazją wziąć teraz do Flory Francuzkę... figuruj sobie tylko, Francuzkę rodowitą... jest tu w sąsiedztwie. Odprawiają ją, bo edukacją panny skończyła, mogła-bym ją wziąć, ale ta mi na głowie.

Pani Leontyna myślała jeszcze chwilę.

— A więc niech ciocia bierze sobie tamtę Francuzkę, a ja pannę Szyłło dla Lili zaangażuję, jeżeli ona zgodzi się na to.

— A dlaczegoż nie ma zgodzić się, duszo moja? Alboż to może jeszcze wybierać? Byłe kawalek chleba miała... Ot, wiész, umówcie się, i ja ci ją dziś raz tu zostawię.

W tój chwili trzy panny wróciły z ogrodu, a jednocześnie innemi drzwiami wszedł Kamil.

— Sprzedałem Konradowi swoje siwki — rzekł młody Orchowski, zbliżając się do kobiet.

Pani Malwina uderzyła w białe dłonie.

— Ach! — zawołała — Konio ma taką pasyą do tych zwierząt... Ale gdzież on się podział?

— Poszedł na łąkę, aby stadninę naszą obejrzeć.

Pani Leontyna z niezadowoleniem patrzyła na syna.

— Nie wiedziałam dotąd, że lubisz podobne afery... — zaczęła.

Ale Kamil zajęty już był dwiema kuzynkami, a raczej jedną z nich, młodszą.

Pani Malwina mrugnęła ku gospodyni domu, na znak porozumienia, i zwróciła się do guwernantki, która, stojąc u okna, zapuszczała wzrok w bujną, ciemną gęstwinę ogrodu.

— Niech panna Michalina przejdzie z nami do saloniku.

Podniosła się z kanapy, żywa, fertyczna, jakkolwiek otyła trochę, a z nią powstała gospodyni domu. Guwernantki wezwanie, chociaż niespodziane, nie zdawało się dziwić; przywykła być wzywana, oddalana, posyłana bez żadnej widocznej dla siebie przyczyny.

Milcząc, jak zwykle, postąpiła we wskazanym kierunku.

Trzy kobiety stanęły w wielkiej sali pod oknem. Na tle mętnej szyby zarysował się profil młodej dziewczyny, blady, nieruchomy, o ustach ściśniętych i spuszczonej oczach. Naprzeciw stanęła pani Malwina i, żywo giestykulując ręką, w puszysty wachlarz uzbrojoną, szybko a długo przemawiała to do gospodyni domu, to do guwernantki.

Pani Leontyna wtrącała też kiedy niekiedy słów parę, potem obie panie umilkły, i pytającym wzrokiem patrzyły na guwernantkę.

W wyrazie twarzy młodej dziewczyny nie było ani zdziwienia, ani zasmucenia, ani uradowania. Przez jedno mgnienie oka tylko zdawać się mogło, że doświadczyła uczucia przestachu najprzód, potem ulgi. Przestach zjawił się na twarzy jej wtedy, gdy pani Malwina oświadczyła, iż dłużej jej trzymać u siebie nie będzie; ulgi zaś doznała, słysząc, że pani Orchowska ofiaruje jej miejsce w swoim domu. Pochyliła głowę, na znak zgodzenia się. Pani Leontyna wyciągnęła rękę i końcami palców dotknęła jej dłoni.

— Panna Michalina dziś już zostać może w Orchowiu — mówiła pani Malwina, wracając do saloniku. — Rzeczy odesłę zaraz... do Ręczyna mamy godzinę drogi.

— Może pani wolała-byś dziś jeszcze wrócić Ręczyna? — zapytała gospodyni domu.

— Uczynię tak, jak pani zechce — odpowiedziała guwernantka.

Głos jój miał brzmienie czyste, łagodne, słumione nieco. Czuć w nim było zupełną obojętność. Mogła jechać tam, lub pozostać tu, wedle woli tych, u których znajdowała schronienie i zarobek. Posiadała snadź długie i gorzkie doświadczenie tułaczki. Żadne miejsce nie nęciło jój zbyt, po żadnym nie obiecywała sobie więcej, prócz—dachu i kawałka chleba.

W kilka chwil potem, całe towarzystwo zajęte było herbatą i konfiturami, które właśnie lokaj wniósł do saloniku. Przybory porcelanowe i kryształowe stały na tacach srebrnych. Były to zabytki dawnych, lepszych czasów, poszczerbione nieco tu i owdzie, lub śniedzią zaszłe, wcale jednak okazały jeszcze wyglądające. Lokaj, który przyniósł herbatę, zatrzymał się u drzwi. Miał na sobie liberyjny surdut, wytarty trochę, ale zawsze liberyjny. Pani Leontyna, od lat dziesięciu dopiero zaczęwszy wyrzekać się próżności światowych i marności ziemskich, nie miała jeszcze czasu wyrzec się ich w zupełności.

Było już po zachodzie słońca, kiedy rodzina Ręczyców opuszczała Orchów. Kocz, zaprzężony w sześć koni, wytoczył się za bramę, i cztery rozgłośnie kłanienia z bata rozległy się w powietrzu. Tym razem jednak stangret już powoził panią Malwinę i jój cór-

Konrad zaś jechał konno przed, a masztalerz za

powozem. Za masztalerzem chłopiec stajenny prowadził dwa, nabyte od Kamila, siwe konie. Długi ten orszak okrążył znowu niskie ogrodzenie folwarcznego dziedzińca, ale nikt już na niego, jak wprzódy, ciekawych nie rzucał spójrzeń. Przed starą oficyną wysypała się liczna gromada włościan, mężczyzn i kobiet z sierpami, kosami, lub grabiami. Na ganku stał Efroim, z dużym workiem, napełnionym drobną miedzianą monetą. Wyjmował pieniądze, liczył je i rozdawał zbliżającym się do niego z kolei włościanom. Na ławce rzędem ustawiono butelki z wódką. Chaja i Efroimowa, z cynowemi czarkami w rękach, krążyły pomiędzy gromadą. Włościanie pili, zapłatę za dzień roboty brali i w poufały, żartobliwy sposób gwarzyli z dwiema żydówkami, które odpowiadały im i same często ich zaczepiały, łamanym polskorusińskim językiem. Efroim umawiał robotników na dzień jutrzejszy, i na długi szereg dni następnych. W oknie oficyny migotało się słabe światelko.

Na kanapie, przy czarnym stole, siedział Eli. Przed nim leżała roztwarta księga rachunkowa i żółta łożówka paliła się w lichtarzu mosiężnym, zaśniedziałym, nie widzialnym prawie pod warstwą zastygłego na nim łożu. Eli kreślił w książce z prawa w lewo rzędy cyfr i liter kruczkwatych, zygzakowatych, dla niewtajemniczonego oka przedstawiających nieodgadnięte hieroglify. Pisał z namysłem, pow chwilami podnosił głowę i przysłuchiwał się roz

wiającym zewnątrz głosom włościan i żydów. Czuwał snadź pilnie nad czynnościami Efroima, nad dokonywanymi wypłatami i zawieraniem umowami. W cieniu pod ścianą, troje dzieci spało w koszach, z łozy splecionych; Abramek bosy, w spencerku bez rękawów i jarmułce na głowie, siedział skurczony w kącie na ziemi, z sennemi oczyma i otwartą gębą; w przyległej izbie, przy świetle zapalonego i za belkę pułapu zatkniętego łuczywa, rozczochrana dziewczyna nakrywała stół starą szmatą, płótna i umieszczała na nim misę krupniku z kartoflami, kilka wyszczerbionych talerzy, cynowe łyżki, trochę pokrajaną surową cebulę, szczyptę soli w papierku i bochenek razowego chleba. Była to codzienna wieczerza dwóch rodzin żydowskich. Wprawdzie, na szafie w pierwszej izbie, stał spory samowar mosiężny, przedstawiający jedyny sprzęt zupełnie czysty, jaki znajdował się w tym mieszkaniu, ale ten widocznie był tu przedmiotem, w szczególnych tylko okolicznościach używanym.

W domu głównym tymczasem, po odjeździe gości, pani Leontyna znalazła się na chwilę sam-na-sam z synem.

— Nie jestem wcale rada, Kamilu, z twojej dzisiejszej afery z Konradem — rzekła. — Ten chłopak - tego rujnuje się na konie...

amil siedział w niedbałej postawie na tym sa-

mym szezłagu, na którym tak wesołą rozmowę prowadził z kuzynkami.

— A dlaczegoż rujnuje się — rzekł z drwiącym uśmiechem. — Któż mu zabrania mieć głowę na karku?

— Taką on ma głowę, jak i inni — spokojnie odparła matka — ale, jako młody człowiek, może oddawać się pewnym pasyom...

— A więc niech się im nie oddaje. Co do mnie, nie widzę, dlaczego miał-bym nie sprzedać mu koni, które są mi prawie niepotrzebne, a za które zapłacili mi półtora raza tyle, ile były warte.

— Kamilu! — zawołała pani Leontyna — słuchając cię, można-by sądzić, że to nie Kamil Orchow-ski, ale jakiś handlarz przemawia.

Kamil wzruszył ramionami.

— Moja mamó — rzekł — ja trzymam się tylko pojęcia, które stanowi podstawową zasadę społecznego gospodarstwa. Wymiana powinna być wolną. Nie idzie o to, jaką jest zwykła cena przedmiotu na targu, ale o to, jaką cenę względną przywiązuje do przedmiotu tego ktoś, pragnący go nabyć. Głos ludzki, na przykład, jest zasobem naturalnym, stałej ceny nie posiada żadnej, a jednak śpiewaczka, obdarzona piękném *soprano*, otrzymuje zapłatę ogromną, będącą w stosunku nie do rzeczywistej wartości jój śpiewu, której określić niepodobna, ale do wartości, ja do niego przywiązują ludzie, spragnieni muzykalności

wrażen. Pisał o tém Bastiat w swoich „Harmoniach”. Wszelka wymiana, dobrowolnie dokonana, uwalnia od wszelkiego zarzutu strony, które ją zawarły.

Tyrady téj wysłuchała pani Leontyna w milczeniu, stojąc z brwią ściągniętą i spuszczonei oczyma. Gdy Kamil przestał mówić, westchnęła, wzniosła oczy w górę, jakby gorące błaganie zasyłała do nieba i — odeszła.

Lila, uśpiona z razu w pokoju matki, resztę wieczora przepędziła z ładną Brygisią, siedząc w garderobie na małym stołeczku, z łokciami opartemi o kolana i rękoma zapuszczonemi we włosy.

— Mama myśli, że bardzo mnie ukarała, nie pozwalając mi wychodzić do gości — mówiła — co mi po gościach, co po świecie całym, kiedy mojej najdroższej panny Julii niéma!

I zanosiła się namiętym, spazmatycznym płaczem.

— Niech się panienka uspokoi, mama usłyszynapominała Brygisia.

— Niech usłyszyn! już mnie teraz nic nie obchodzi. Ja tego nie przeżyję! téj nocy umrę!

— Jeżeli panienka będzie tak ciągle płakała, to zy panienki od łez zupełnie spłowieją.

Lila odjęła chustkę od oczu i mocowała się ze łzami, aby je powstrzymać.

— Pamiętaj, Brygisiu — mówiła dalej, łkając — jak ja umrę, to powiedz mamie ostatnią moję wolę. Chcę być pochowaną w białej muślinowej sukni. Niech mi włosy w długie loki uczeszą, pomiędzy włosami dwie białe róże... nie, jedną różową, drugą białą... a na piersi niech mi położą fotografią panny Julii... O, moja droga, moja złota, panna Julia!

Nieprędko dopiero Brygisia z wielkim trudem zdołała uprosić ją, namówić, aby poszła do swego pokoju, gdzie oczekiwała na nią nowa guwernantka. Ociągając się, z twarzą nadąsaną i od płaczu obrzękłą, Lila stanęła w progu pokoju, w którym jedna świeca paliła się na stole, a druga stała na posadzce, pomiędzy małym skórzanym tłomoczkiem, a znacznie większym drewnianym pudłem. Były to rzeczy guwernantki, przed chwilą przybyłe z Ręczyna. Tłomoczek leżał zamknięty jeszcze, nietknięty, ale pudło drewniane było otwarte. Guwernantka pochyliła się nad niem i, wyjmując z niego książki różnej wielkości, w okładkach prostych po większej części, zniszczonych, układała je na półkach niewielkiej oszklonej szafki. Czynność tę spełniała cicho, spokojnie, ale z pewną systematycznością, objawiającą za wanie.

Na widok książek, jaśniejszy promień strzelił :

łzawionych i gniewnych oczu Lili. Zbliżyła się do guwernantki, która wejścia jęj nie spostrzegła i, głosem ochryplym od płaczu i krzyku, wyrzekła cicho :

— Dobry wieczór pani !

Guwernantka podniosła głowę i ogarnęła ją długim spójrzeniem. Po spuszczonej najczęściej, nieśmiałyj jęj oczach, nigdy spodziewać się nie było można, aby umiały patrzeć tak uważnie, badawczo, przenikliwie niemal. Z przenikliwością tą jednak łączyła się łagodność i prośba, jakby mimowolna, o życzliwość, o zaufanie.

— Dobry wieczór ci, moje dziecię! — odrzekła głosem, w którego znizonych dźwiękach czuć było pierś, nieprzywykłą do głośniego, śmiałego mówienia.

— Czy można przejrzeć te książki? — zapytała Lila.

— I owszem, będziemy je razem czytywały.

Odpowiedź ta osuszyła ostatnią łzę, wiszącą na rzęsie Lili. Zbliżyła się do szafki, w której znajdowało się już kilkanaście tomów. Brała je jeden po drugim, ale rzuciwszy okiem na tytuł, kładła napowrót do szafki tak pospiesznie i z takim wyrazem rzy, jakby parzyły jęj palce. Pierwszy tom nosił tytuł: „Biblioteczka popularna nauk przyrodniczych”, drugi: „Zarys dziejów powszechnych”, trzeci: „Gra-

matyka polska Małeckiego”, czwarty: „Wyższy kurs geografii”. Wszystkie inne polskie i francuzkie tytuły były podobnego rodzaju. Lila osunęła się przy szafce na ziemię, zakryła twarz dłońmi i znowu z cicha płakać zaczęła.

W tej chwili weszła do pokoju pani Leontyna.

— Spodziewam się — rzekła, zwrócona do guwernantki — że pannie Michalinie będzie tu wygodnie; jeżeli-bys pani potrzebowała czego, proszę udać się do mnie.

Były to słowa sakramentalne, towarzyszące instalacyi każdej osoby, świeżo do domu przybywającój.

Guwernantka skłoniła się w milczeniu. Pani Leontyna powiodła oczyma dokoła; wzrok jój zatrzymał się na książkach.

— Czy wszystkie te książki do panny Michaliny należą?

— Tak, pani.

Oczy pani Leontyny wyrażały pewne zdziwienie.

— Nabycie ich musiało pannę Michalinę wiele kosztować?

Guwernantka podniosła na mówiącą spójrzzenie spokojne.

— Jest to jedyny mój majątek — odrzekła.

Pani Leontyna skłoniła głowę pobłażliwie.

— Pójdź teraz odmówić ze mną wieczorne pacierze — rzekła do córki, zwracając się ku drzwiom.

W godzinę potém Lila leżała już rozebrana w pościeli. Zdawało się z pozoru, że spała; w rzeczy samej jednak, z pod przymrużonej, obrzęklój od łez powieki, ścigała bacznie wszystkie poruszenia nowój swój guwernantki.

Michalina zdjęła z siebie wążką wełnianą suknię, włożyła natomiast biały kaftanik perkalowy i wyjęła parę podwójnych szpilek z warkoczy, które, lśniące, jedwabiste, opadały jój na plecy długimi zwojami. Potém wyjęła z teki gruby, w połowie zapisany zeszyt, położyła przy nim parę książek, a zasłoniwszy świecę od strony łóżka Lili, naprędce sporządzoną z papieru zasłonką, usiadła przy stole.

Pisała, spoglądała co chwila w książkę, i znów pisała, podnosiła głowę i namyslała się. Lila patrzyła na nią otwartemi oczyma. Twarzy nauczycielki, za zasłonką ukrytój, widzieć nie mogła, ale widziała rękę jedną, przerzucającą od czasu do czasu karty książki, i drugą, biegającą z piórem po papierze. Ciekawość ją zjęła wielka. Zsunęła się z łóżka i, leciuchno, na palcach, najlżejszego nie czyniąc szelestu, przebiegła przestrzeń, dzielącą łóżko od stołu. Stanęła za plecami guwernantki, pogrążyła w swém zajęciu, i z gorączkową prawie cie-

kawością spójrzała przez ramię jój na książki rozwarte i na zeszyt. Śród wierszy, wypełniających stronicę książki, pochwyliła oczyma kilka cyfr i nazwisk, wyrażających widocznie historyczne daty i wypadki. Guwernantka pisała snadź historyczne jakieś ćwiczenie.

— Co to pani takiego robi? — zapytała głośno Lila.

Niespodzianie odzywający się z-za ramienia jój głos nie przestraszył guwernantki, ani zadziwił. Podniosła głowę i, zawieszając pióro nad papierem, zwróciła ku Lili twarz, która wcale inaczéj wyglądała teraz, niż we dnie. Policzki jój były lekko zaróżowione, a ciemne źrenice wydawały się pełnemi promieni.

— Co pani robi? — powtórzyła pytanie Lila, ciekawemi oczyma pożerając książkę i zeszyt.

— Uczę się — z uśmiechem odpowiedziała guwernantka.

— Pani się uczy? ach, mój Boże! czyż pani jesteś dziecko, żeby się jeszcze uczyć? Jesteś pani przecie osobą dorosłą i nauczycielką!

Michalina ujęła ją z wolna za rękę.

— Później — rzekła — wytłómaczę ci to, co cię tak zadziwia, teraz idź spać.

— Nie chce mi się spać wcale — odparła Lila ze zwykłym sobie odcieniem uporów w głosie.

— Jeżeli położysz się i leżéć będziesz spokoj-

nie, uśniesz niebawem. Człowiek powinien czasem przewycięzać swe chęci i czynić nie tak, jak chce, ale tak, jak mu wskazuje rozsądek.

— Rozsądek? nie cierpię rozsądku! Cóż zresztą rozsądek ma do mojego spania?

— To, że bezsenność szkodliwą jest w twoim wieku. Jeżeli będziesz zasypiała późno, wzrośniesz na istotę słabowitą, wątłą, niezdrową...

— A cóż to szkodzi? Chciała-bym właśnie być wątłą i słabowitą... To daleko ładniej, aniżeli mieć grubą figurę i twarz czerwoną.

— Ładniej... nie wiem... zależy to od gustu, ale szkodliwie z pewnością. Człowiek słabowity, zawsze chory, nie może być ani użytecznym, ani szczęśliwym.

Zmieszana nieco stanowczym, choć łagodnym tonem guwernantki, lecz więcej jeszcze obrażona, a najbardziej zmartwiona, Lila wróciła do łóżka. Po kilku minutach jednak podniosła znowu głowę z nad poduszki.

— Jeżeli bezsenność jest tak szkodliwą — rzekła — po cóż pani sama uczysz się po nocach?

— Ja — odpowiedziała guwernantka — muszę... powinnam.

— Ciekawam bardzo, jaka to może być powinność — sarknęło z łóżka dziewczę.

- Powiem ci o tém później, teraz śpij! Lila

gniewném poruszeniem zatopiła głowę w poduszki, a spojrzawszy wypadkiem na łóżko nauczycielki, które przypomniało jej ukochaną pannę Julię, zanosła się znowu płaczem gwałtownym, choć na ten raz cichym.

VI.

Od dnia przybycia do Orchowa nowój nauczycielki minęło parę tygodni.

W pokoju Lili, przy stole, siedziały: nauczycielka, zajęta poprawianiem niekształtnego, kapryśnego pisma uczennicy, i Lila, kołysząca się niedbale w staroświeckim krześle na biegunach, i roztargnionemi oczyma dokoła pokoju wodząca.

Do sąsiedniego saloniku wszedł Mieczysław Orchowski, a ujrawszy przez drzwi na-pół otwarte siostrę swą, siedzącą wraz z nauczycielką nad książkami i zeszytami, niepostrzeżony przez dwie kobiety usiadł na szeszlągu, z gazetą w rękę. Z razu pograżył się całkiem w czytaniu, najmniejszej nie zwracając uwagi na to, co się działo w sąsiednim pokoju.

— Panno Michalino — po chwili, tłumiąc poziele, ozwała się Lila — czy pani kochała kiedy kogoś raz w życiu?

— Owa te dosięgły snadź uszu Mieczysława; uśmie-

chnął się i, podnosząc wzrok na twarz nauczycielki, profilem do niego zwróconą, szepnął:

— Ciekawym!

Młoda dziewczyna przez chwilę nie odpowiadała. Błady profil jéj, ocieniony bogatym zwojem włosów, pochylał się wciąż nad zeszytem, ręka drobna, nieco sucha i ciemna, posuwała się z wolna z piórem po zapisanéj stronie.

— Biedne stworzenie!

Dwa wyrazy te, niewymówione wprawdzie, odmalowały się widocznie w wyrazie oczu Mieczysława.

Bieguny kołyszącego się krzesła głośniej o posadzkę uderzyły; Lila niecierpliwiła się.

— Chciała-bym bardzo wiedzieć, czy pani kochała kiedy kogo? — powtórzyła.

— Naturalnie — odpowiedziała nauczycielka, głowy nie podnosząc i oczu od zeszytu nie odrywając — kochałam wiele rzeczy i wiele osób na świecie, i teraz kocham także.

— Ohol — szepnął Mieczysław.

Lila pochyliła się żywo ku guwernantce.

— Kochasz pani? — zawołała — o, jakże to dobrze! Kogo pani kochasz? powiedz mi, pani, proszę! powiedz pod sekretem! Nikomu, a nikomu nie powiem, jak mamę kocham!

Mówiła z cicha, z białym paluszkim tajem do ponsowych ust przyłożonym.

— Błaźnica! — z cicha wymówił młody człowiek, coraz więcej zaciekawiony.

— Po cóż tu tajemnica? — spokojnie i nie przerywając roboty swój, odparła guwernantka. — Kocham starą swą matkę, brata, który jest niemłodym także i bardzo nieszczęśliwym człowiekiem, rodzinę stryja, który mnie wychował...

— Ech! — z dźwiękiem srogiego zawodu w głosie, zawołała Lila — ja pani nie o to pytałam. Czyż pani nikogo nie kochasz, oprócz matki, brata i stryja?

— I owszem, kocham świat i wiele rzeczy, które na nim istnieją.

— Ach! pani kochasz świat! — westchnęło dziewczę — to zupełnie tak, jak ja... ja także tak kocham, kocham ten świat, tak tęsknię do niego, tak pragnę go zobaczyć!

— Zobaczyć? alboż go nie widzisz?

— Czy go widzę? mój Boże! Alboż w Orchowie, gdzie nikt prawie nie bywa, gdzie tak cicho zawsze, szaro, smutno, choć kawałeczek świata widzieć można? Gdzież ja go tu zobaczę?

— Wszędzie, gdzie spójrzysz — powoli mówiła guwernantka. — W książkach, które opowiadają o dziejach ludzkości, lub w których ludzie uczeni opinam kraje nieznanne, drogi i wielkości gwiazd, dalekie mil od nas odległych. Widzieć świat można także naokoło siebie, w postaci drzew, kwiatów,

malowniczych krajobrazów, a przedewszystkiém otaczających cię ludzi, w postaci, słowem, wszystkiego, co istnieje w jakichkolwiek kształtach, choćby nawet nieożywionych, ale cząstkę świata stanowi i niezbędnie w nim jest potrzebném.

— Och! — rzekł do siebie Mieczysław, a oczy jego coraz uważniejszym, ciekawszym spójrzaniem okrywały twarz nauczycielki.

Lila słuchała z razu ze zdziwieniem, niby rzeczy całkiem obcych sobie, nieznanym, potem ziewnęła głośno.

— E! wszystko to nudne bardzo! — rzekła — ja nie o takim świecie mówiłam. Oto ja teraz powiem panie Michalinie, co to jest świat. Świat jest to wielkie miasto... ogrody publiczne, teatru, gdzie wchodzi się do łoża w sukni do gorsu, w kwiatkach na głowie, a panowie, którzy siedzą niżej, odwracają głowy i pytają się: kto to? kto to? To salony wielkie, wielkie, oświetlone *a giorno*, a w nich pełno osób, muzyka, bal... Ach, bale! bale! Pamiętam ostatni, jaki był w Orchowie, dawno już temu; miałam wtedy lat pięć, może sześć najwięcej... Mama była jeszcze młodą, i w czarnej sukni nie chodziła... i wie panna Michalina...—tu zniżyła głos i z filuterną, tajemniczą minką, raptem prawie dodała: — W mamie wtedy kochał się jeden pan, nie pamiętam już, jak się nazywał, ale imię było mu Leopold... Tak kochał się w mamie

że coś okropnego... wszyscy to widzieli i o tém mówili... ja sama słyszałam...

— Lilo — z pośpiechem i lekkim rumieńcem na twarzy, przerwała nauczycielka — o takich rzeczach tyś wcale mówić nie powinna.

— Dlaczego nie powinnam? — zaśmiała się Lila — alboż ja taka jestem skryta, jak panna Michalina? Otóż na dowód, że nie jestem skryta, powiem pani, tylko pod sekretem, pod wielkim sekretem, że mnie saméj, rok temu, ktoś podobał się bardzo, bardzo! Był to kolega Mieczysia... śliczne miał imię... Jarosław!... Powiedział mi raz, że nigdy takich pięknych oczu, jak moje, nie widział...

— Wszędzie już napisałaś przez *sz*, zamiast *ż* — przerwała, patrząc ciągle na zeszyt, guwernantka. — *Bóg* pisze się także przez *o* kreskowane, a *ręce* nie przez *en*, lecz przez *ę*. Piszesz bardzo nieortograficznie, Lilo.

Dziewczyna lekceważąco ręką skinęła.

— Ciekawam bardzo — zaczęła znowu — dlaczego panna Michalina nie chce nigdy mówić ze mną o pewnych rzeczach?

— O jakich, Lilo?

— O tém, na przykład, jak będę już dorosłą panną, jak mnie ktoś pokocha, jak ja kogoś pokocham, i jak wyjdę za mąż. Przecież wszyscy mówią zawsze, że przeznaczeniem kobiety jest wyjść za mąż, a ja, spo-

dziewam się, nie pójdę inaczej, jak z miłości.. Czyż więc nie jest to także rzecz dobra i ważna?

— Zapewne — odpowiedziała guwernantka—miłość, poprzedzająca małżeństwo, jest rzeczą dobrą i ważną; abyś jednak zrozumiała, jakie jest jej znaczenie, powinnaś wprzód o wielu innych rzeczach wiedzieć, wiele innych znać i kochać.

Lila milczała chwilę, a potem rzekła:

— Już ja tego, doprawdy, wcale nie pojmuję.

— Czego, Lilo?

— Jak to można kochać taką naprzykład rzecz, jak kraj? Cóż to takiego ten kraj?... ziemia i koniec. Czyż można kochać ziemię? Albo, jak to można kochać wszystkich ludzi, i jak mi pani wczoraj mówiła, szczególniej tych, którzy cierpią? Już téż zapewne, jak spotkam kiedy żebraka, to dam mu zawsze cokolwiek; ale kochać żebraków... I jakich-że tam więcej ludzi kochać-by można? Sąsiedzi nasi? No, zapewne, niektórzy są dość mili, ale inni znów nieznośni. Zresztą cóż? chłopi... tacy grubi, nieobyczajni, brzydko ubrani! Żydzi. . niechrześcijanie...

— Kochać trzeba także i niechrześcijan.

W tej chwili właśnie, gdy guwernantka wymawiała ostatnie słowa, z głębi domu weszła do sąsiedniego saloniku pani Leontyna. Zatrzymała się nieco w progu pokoju córki, poczem szybciej, niż to było w jej zwyczaju, przystąpiła do stołu.

— Niech Lila odejdzie ztąd — rzekła — pro.

ić do mego pokoju i przeczytać parę rozdziałów z Naśladowania Chrystusa. Mam do pomówienia z panną Michaliną.

Lila poskoczyła i wybiegła z pokoju.

W sąsiednim saloniku siedzący młody mężczyzna, nie trzymał już w ręku gazety; przez drzwi na-pół otwarte, z żywem zajęciem, w którym była i ciekawość, i niespokojność pewna, spoglądał to na matkę swą, to znowu na guwernantkę, która powstała z krzesła, i zdawała się oczekiwać od pani domu pierwszego słowa zapowiedzianej rozmowy. Jakoż słowo to nastąpiło, gdy tylko czarna suknia Lili zniknęła w głębi mieszkania.

— Jestem bardzo niezadowoloną z tego, co panna Michalina przed chwilą Lili mówiła.

— Nie zdaje mi się, abym mówiła co złego — głosem lekko onieśmiałym odrzekła guwernantka.

— Nie życzę sobie wcale, aby podobne przekonania zaszczipiane były w umysł mojej córki. Jesteśmy wszyscy równi sobie w obliczu Pana zastępów, ale tu na ziemi istnieją przecież różnice... stopnie, o których zapominać nie należy... Cała ta filozofia nakoniec bynajmniej córce mojej potrzebną nie jest, i nie prosiłam o nią wcale panny Michaliny, obowiązując ją do czuwania nad Lilą.

Nuczycielka nic nie odpowiedziała.

Pani Leontyna, po chwili milczenia, mówiła

— Nie podoba mi się i to wcale, że panna Michalina, wyszedłszy wczoraj z moją córką na przechadzkę, zachodziła z nią do chaty jakiegoś włościanina.

Michalina podniosła głowę.

— Włościanin ten, pani — rzekła — jest człowiekiem dobrze mi znajomym. Widywałam go, gdy przyjeżdżał do stryja mego z jakimiś interesami. Zubożał teraz i żona mu bardzo chora. Chciałam mu zanieść małą pomoc, poradzić w czém może. Przytém Lila mówiła mi, że nie widziała nigdy wnętrza chaty włościańskiej, sądziłam więc, że dobrze będzie, jeśli przy sposobności...

— Niéma żadnej potrzeby, aby Lila widywała wnętrza chat włościańskich — przerwała pani domu — żyć przecież z tymi ludźmi nigdy nie będzie, a bardzo łatwo spotkać się tam może z nieprzyzwoitami jakimi widowiskami, z jaką zaraźliwą wreszcie chorobą... Po co te niepotrzebne sentymentalizmy? Jeżeli człowiek biedny, potrzebujący wsparcia, przyjdzie tu, do dworu, pierwsza mówię zawsze córce mojej, aby mu udzieliła jałmużny; ale peregrynacye do brudnych chat chłopskich nie są dla niej ani stosowne, ani potrzebne.

Guwernantka milczała; pierś jej zaczęła prędkiej oddychać, niż zwykle, ale usta były zamknięte. Pani Leontyna powiodła spójrzeniem po książkach, stał okrywających, i jakby od niechcienia roztworzyła je

dnę z nich. Roztworzyła, spójrzała, oczy w górę wzniosła, książkę z nadzwyczajnym pośpiechem zamknęła, i głosem stłumionym, zdumienie i wstręt wyrażającym, zawołała:

— Och!

Wykrzyknik ten wywołały dwa rysunki, jakie w książce roztworzonej napotkała. Jeden z nich przedstawiał szkielet zwierzęcia jakiegoś, konia, czy wołu, drugi część wnętrzości tegoż zwierzęcia.

— Jaka to książka? — zapytała po chwili osłupienia, i czarne swe oczy, błyszczące w tej chwili oburzeniem, spuściła z górnych stref na twarz nauczycielki.

— Jest to, pani, popularny wykład zoologii.

— Ależ to nieprzyzwoite! to odrażające! Widoki podobne zabijają w kobiecie dobry gust, poczucie wstydu i delikatności! Z prawdziwym żalem widzę, że panna Michalina znajduje się na złój, na bardzo złój drodze. Mam jednak nadzieję, że zechcesz pani osobiste swe usposobienia usunąć na stronę, a kierować się w edukacji Lili mojami życzeniami. Otóż raz na zawsze muszę powiedzieć pannie Michalinie, że nie życzę sobie dla córki mojej żadnych filozofii, żadnych szczególnych mądrości, które kobiecie na nic się wcale nie dadzą. Po co tyle książek? Po co te sentymentalne wędrówki do chorych chłopek, a choćby o całogodzinne ślęczenie nad rachunkami, którego iałam wczoraj dowód, znalazłszy Lilę spłakaną nad

zeszytem z arytmetyką? Proszę panny Michaliny, abyś wszystkie te zoologie i tym podobne książki zamknęła w szafce i więcéj ich ztamtąd, dla córki mojej przynajmniej, nie wyjmowała. Języki, pisanie, muzyka, robótki, oto zakres dla panny Michaliny.

Po przemówieniu tém, obie kobiety milczały chwilę. Pani domu miała już odejść, gdy guwernanta uczyniła lekkie poruszenie, podniosła z wolna powieki i rzekła:

— Nie mogę, pani... niepodobna mi w kształceniu jéj córki usunąć na stronę własne moje przekonania.

— Co panna Michalina mówi? — zapytała matka Lili takim tonem, jakby znaczenie usłyszanych wyrazów było dla niéj całkiem niepojętém.

Guwernantka daléj mówiła cichym i przerywanym trochę głosem:

— Staralam się poznać charakter Lili, i zdaje mi się, że pojęłam, jakie są główne rysy jego i wady. Lila jest niezmiernie wrażliwą, próżną, w zachceniach swych gwałtowną i na nic niezważającą...

— To prawda — wtrąciła pani Leontyna — to téż życzyła-bym sobie, abyś pani wady te wykorzenić usiłowała.

— Tak, pani. Ale dokonać tego niepodobna inaczej, jak zmieniając do gruntu kierunek, w jakim tądz rozwijały się myśli Lili, następującą wyobraźni

i temperamentowi inne przedmioty zajęcia, niż te, któremi karmiły się one dotąd. Lila czytała mnóstwo romansów.

— To nieprawda — przerwała z żywością pani domu — córka moja nie czytuje romansów żadnych.

— Owszem, pani, czytała ich wiele, bez żadnego wyboru, pomimo wiedzy pani zapewne. Czytania te, a może... może i inne jeszcze okoliczności, zajęły umysł jój wyłącznie przedmiotem jednym, dały jój pewne wyobrażenia, żądania przedwczesne. O innych rzeczach, o świecie ją otaczającym, o stosunkach ludzkich, o życiu, Lila nie posiada, pomimo swych lat piętnastu, najelementarniejszych nawet wiadomości. Wczoraj jeszcze, widząc kilka latających skowronków, zapytywała mnie, jakie to są ptaki, a o gwiazdach mówiła, że są to otwory w obłokach, przepuszczające przez się światło niebieskie. Nie umie rozróżnić dębu od brzozy i kłosa żytniego od pszenicznego. Pisząc po polsku, robi kilkanaście ortograficznych pomyłek na jednej stronie, a drobną monetę, w ilości kilkunastu kopiejek, liczyła onegdaj kilka razy, nie mogąc trafić z nią do ładu.

— Do czego wszystko to zmierza? — zapytała pani Leontyna, która słów guwernantki słuchała z brwią ściągniętą i z niedowierzającym, lekceważącym chę uśmiechem na ustach.

Michalina ożywiła się, mówiąc. Nieśmiałość jój

znikła, oczy zajaśniały blaskiem, a głos, z razu cichy i wahający się, nabrał pewności.

— Chciałam — rzekła — odwrócić umysł Lili od przedmiotów, które go przedwcześnie a wyłącznie zajmują, zaciekawiając ją do faktów naukowych, pobieżnych zapewne, bo przecież i sama nie jestem bynajmniej uczoną, ale poważnych, rzeczywistych, mogących tysiącami węzłów łączyć się z przyszłym jej życiem. Chciałam wyobraźni jej i uczuciom, które teraz zwracają się ku obrazom światowych blasków, i pewnych... wyłącznych wzruszeń, nastrożyć widoki, mogące przejąć jej serce i zająć myśl szlachetną chęcią niesienia ulgi i pomocy bliźnim. Chciałam obudzić w niej rozwagę i zdolność do zastanawiania się, rozwijające się w niej samolubstwo zrównoważyć miłosierdziem, gwałtowność i płochosć jej powściągnąć przyzwyczajeniem do systematycznych zajęć...

Umilkła. Na podniesioném w téj chwili jej czołe świecił zapał szczerých przekonań; ciemne źrenice nabrały promiennój głębi, i patrzyły prosto w twarz stojącej naprzeciw kobiety, ze spokojną śmiałością czystego sumienia i myśli pewnej siebie. W sąsiadnik saloniku, siedzący dotąd na szeszlągu, młody mężczyzna powstał, uczynił parę kroków na przód i stanął, wpatrzony, jak w tęczę, w twarz guwernantki. „Biedne stworzenie” zmetamorfozowało się w j oczach, i stało teraz o kilka kroków od niego, w

staci kobiety dojrzałej, głęboko czującej, rozumnej.

— Bardzo to piękny programat—ozwała się pani Leontyna — ja tylko ze swój strony proszę i wymagam, aby panna Michalina wyrzuciła z niego wszystkie niepotrzebne filozofie i rozczulania się, nieprzyzwoite rysunki, a szczególnie bratanie córki mojej z ludźmi grubymi i nieobyczajnymi. Jeżeli panna Michalina zastosuje się do wymagań moich...

— Bardzo, bardzo mi przykro — głosem cichym znowu i pochylając głowę, przerwała guwernantka — ale ja do wymagań tych w kształceniu Lili zastosować się nie mogę.

Pani Leontyna stała przez chwilę pogrążona w niemém osłupieniu.

— Masz pani do wyboru — rzekła wreszcie — zastosować się do żądań moich, albo... dom nasz opuścić.

Tym razem czoło guwernantki lekko pobladło, pochyliło się nisko. Splecione ręce jej były o stół oparte, oczy spuszczone, usta zamknięte. Na twarz jej spadł wyraz boleści i walki, postać cała wydawała się zgnębioną. Po chwili dopięro z wolna podniosła głowę.

— A więc — rzekła — odjadę...

Pani Leontyna okryła ją wzrokiem pełnym zdumienia i oburzenia.

— Dobrze — rzekła — wydam stosowne rozporządzenia, abyś pani jutro do N. odjechać mogła.

Domawiając słów ostatnich, pani Leontyna odeszła z twarzą gniewną i wzruszoną.

— Czysta bięda z temi guwernantkami! — szeptała przez zaciśnięte zęby, nie zwracając uwagi na syna, o którego otarły się z lekka powłóczyście fałdy jęj grubęj, czarnej szaty.

Guwernantka przez parę minut stała nieruchoma, jakby do miejsca przykuta. Głowa jęj tylko chyliła się coraz niżej, niby pod brzemieniem myśli bolesnej, lub troski ciężkiej; potem podniosła obie dłonie do twarzy.

— Cóż ja teraz uczynię? — zawołała z cicha.

W chwili tęg zbliżył się ku nięj Mieczysław. Wyrywana z zamyślenia odgłosem kroków męzkich, zobaczyła wchodzącego do pokoju młodego człowieka i zapłonęła rumieńcem. Nie było to przecież zawstyżenie,—wszak wstydzic się nie miała przyczyny żadnej,—było to raczej wzruszenie, które, niespodzianie doznane, silnie wybuchnęło na twarz jęj bladą ogniem rumieńców.

Mieczysław wyciągnął do dziewczyny zapłonionęj i nieruchomęj dłoń otwartą.

— Dziękuję pani — rzekł głosem zniżonym od wzruszenia—za zajęcie, które okazałaś męj stostrze, i żałuję bardzo, że nie będzie ona korzystała z przewodnictwa tak rozumnego, tak serdecznego.

Błysk nieopisanéj błogości oświecił na chwilę twarz Michaliny. Nie przywykła ona do słów uznania i sympatyi, a słowa podobne, wychodzące z ust Mieczysława, posiadały może dla niéj wagę szczególną. Oczy jéj podniosły się na twarz młodego człowieka, na-pół rozpromienione, na-pół zmącone smutkiem. Snadź w sierocéj, tułaczéj jéj doli, radość każda nawet smutną swą miała stronę.

— Ja to raczéj dziękować panu powinnam— wymówiła z cicha— byłeś pan dla mnie bardzo dobry... w Ręczynie...

— Ach, pani! — zawołał Mieczysław, wracając do zwykłego sobie wesołego i otwartego sposobu mówienia — ja wtedy jeszcze pani nie znałem... żebym ją wówczas znał tak, jak dziś poznałem, był-bym cioci i Konradowi surowszą jeszcze wypowiedział prawdę.

Po białych ustach guwernantki przesunął się uśmiech. Mieczysław patrzył w nią wciąż, jak w tęczę, a patrenie to zdawało mu się sprawiać niewymowną przyjemność.

— Niczego-bym więcéj nie pragnął — rzekł po chwili — jak stać się pani w czémkolwiek użytecznym. Biéda tylko, że nie wiem zupełnie, co-bym takiego mógł uczynić...

— Dziękuję, bardzo dziękuję panu — z wyrazem zięczności rzekła guwernantka. — Jedyną rzeczą,

której pragnę, jest znalezienie znowu w domu jakim miejsca nauczycielki.

— Pani więc nie chciała-byś odjechać do stryja? rozumiem to trochę. Znam pana Szyłłę: zajmuje się on interesami mego ojca...

— O! — z niezwykłą sobie żywością przerwała Michalina — nie myśl pan tylko nic złego o stryju moim... jest on dla mnie bardzo dobrym: wychował mnie... stara matka moja znajduje u niego dach i kawałek chleba... ale, jak pan wiiesz, sam jest dalekim od zamożności, dzieci ma kilkoro, a w mieście, z tak liczną rodziną, utrzymać się bardzo trudno. Byłabym im ciężarem...

Mieczysław stał przez chwilę zamyślony.

— A! — zawołał, uderzając się dłonią po czole — zdaje mi się, że będę mógł służyć pani... Słyszałem... obilo się coś o uszy moje, że państwo Łozowiczowie z Łozowój starają się o nauczycielkę dla swych dzieci.

I znowu rumieniec, lubo słabszy, niż wprzód, okrył zmieszana nagle twarz Michaliny.

— Państwo Łozowiczowie? — rzekła z wolna — ci sami zapewne, w których domu mieszka brat mój, Paweł Szyłło.

— A więc pan Paweł jest bratem pani? widziałem go parę razy w Łozowój, ale z blizka nie znam. bo u Łozowiczów bywam rzadko.

Wiadomość o tém, że ów pan Paweł jest brat

młodej nauczycielki, zmieszała też widocznie i Mieczysława.

— Może pani u Łozowiczów przykro będzie... — zaczął po chwili z wahaniem.

Michalina zdawała się walczyć z sobą przez chwilę.

— Owszem — rzekła — przyjęła-bym miejsce w Łozowej...

— A więc ja tam dziś jeszcze pojedę, i jeśli nikt pani nie uprzedził, pani Fabianowa albo pan Fabian przyjadą tu jutro.

— Dziękuję panu, bardzo dziękuję! — wymówiła guwernantka.

Splecione i o stół oparte ręce jój podniosły się gięstem niewymownej wdzięczności, a spójrzenie, łąz zwilżone, utkwilo na mgnienie oka w twarzy Mieczysława, i wnet ukryło się za spadającą szybko, drżącą zasłoną powiek. Mieczysław stał nieruchomy, jakby odejść trudno mu było; po chwili dopiero skłonił się przed guwernantką z grzecznością, pełną szacunku, i odszedł zamyślony, wzruszony.

Pani Leontyna tymczasem, wróciwszy po rozmowie z guwernantką do pokoju swego, nie znalazła tam Lili. Rzuciła okiem dokoła i bliżej przyjrzała się książce jednej, w czarny aksamit oprawnej i srebrnymi lamrami spiętej. Było to „Naśladowanie Chrystusa”, z którego parę rozdziałów przeczytać zaleciła córce.

— Ani jój nawet dotknęła! — wyrzekła do siebie matka Lili z głębokim, gniewnym prawie niezadowolaniem. — Jaki to charakter! jaki charakter! Co ja z tą dziewczyną pocnę!

Lila ani dotknęła w istocie książki w żałobnej oprawie. Wchodząc do pokoju matki, rzuciła wprawdzie na książkę tę przelotne spójrzenie, ale wnet wzrok odwróciła, układając ponsowe swe usta w kształt, żartobliwe nadąsanie wyrażający.

— O! — zawołała do siebie — mam już tego dosyć... rano, wieczorem i... za pokutę.

Skoczyła ku etażerze i podniosła ręce ku hebanowej szkatułce, błyszczącej złotym napisem: *mes souvenirs*. Z piersi jój wyrwał się okrzyk swawolnej radości. Trafem jakimś, przez zapomnienie pani Leontyny, w zameczku drogocennej skarbnicy tkwił złoty kluczyk. Lila usiadła na ziemi, ze szkatułką postawioną na kolanach, z uchem czujnie pochyłonym. Z głębi szkatułki podniosła się ku twarzy jój woń delikatna. Gdyby określenie, stosujące się do barw, stosowało się także i do zapachów, woń tę można-by nazwać splotnią. Pierwotne powstanie swe datowała snadź od lat wielu, ale, w skutek szczelnego zamknięcia w szkatułce, nie znikła, tylko stała się nieokreśloną jakąś, wątlą. W rękach Lili, drżących trochę od niecierpliwości, ciekawości i pośpiechu, ukazywały się kolejno kolorowe i białe ćwiartki papieru, w formę listów składane, kwiatki i drobne

bukieciki zasuszone, i strzępki wstążek, zawinięte w papier, z nadpisami, lakonicznie wyrażającemi daty i nazwiska miejsc różne. Barwy papierów i wstążek były spłowiałe, zasuszone kwiaty przemawiały tęsknym językiem wspomnień jakichś, radości znikłych, miłości zgasłych... Cała dusza dziewczęcia, pamiętka te rozpatrującego, zbiegła się w oczy. Rozwijała ćwiartkę po ćwiartce i pożerała znajdujące się na nich wyrazy rozpalonym wzrokiem. Z ust jój wyrwały się kiedy niekiedy lekkie okrzyki.

— A! — wołała — „*Votre Leopold*” to ten pan z balu! Za cóż on mamę tak strasznie przeprasza? *Pitié, madame, pitié et pardon!* Jak to brzmi dziwnie jakoś! A tu kto?... hrabia Kalixt! Korona hrabiowska w górze. Ślicznie to być naprzykład hrabiną! O, biedny ten hrabia! jaki on czegoś zropaczony!... A tu co?... zaproszenie do łoży w teatrze od jakiejś pani Hortensyi. „*Le baron Herman y sera aussi, il est amoureux fou, ce pauvre baron*”. W kimże on był tak zakochany, ten baron? W mamie naturalnie!

Przejrzała połowę skarbów; reszty już nie tknęła, lękając się, aby jój kto przy tém zajęciu nie zeszedł. Wstała, szkatułkę na zwykłym miejscu postawiła, ręce ku czołu rozpalonemu wzniosła, i zawołała z wybuchem:

— Dobrze to teraz mamie mówić o znikomości sków światowych i próżności rzeczy ziemskich,

kiedy sama bawiła się niegdyś... tak była kochaną... uwielbianą...

Rozmarzona i w stan dziwnego jakby upojenia wprawiona, opuściła pokój matki. Po chwili znalazła się w garderobie. Tu oczekiwała na nią niecierpliwie Brygisia.

— Mam list do panienki — rzekła. — Walenty dziś jeździł na pocztę i przywiózł.

Dziewczę rzuciło się ku służącej z ciekawością i pośpiechem.

— Od kogo? od kogo? — zawołała.

— Od panny Julii zapewne — odparła garderobiana — od kogóż innego mógł-by być... Panna Julia przecież przyrzekła do panienki pisywać.

Lila, z wyrazem zawodu na twarzy, wzięła list z rąk służącej. Osoba, którą przed dwoma tygodniami tak namiętnie kochać zdawała się, której odjazd oplakała tak gorzko i rozpacznie, stała się już dla niej zupełnie obojętną.

Straszna to natura, po której, jak wichry po wydmach, przelatują podmuchy wyobraźni, niszcząc dziś, co istniało wczoraj, przeszkadzając wzrostowi wszelkiemu, wysilając się jałowo, szalejąc bezsilnie. Na wydmach usypują groble, budują tamy... ale co zrobić z naturą ludzką, podobną do wydmy, na igraszkę wichrów wystawioną? Powiedziała o tém matce Lili biedna, blada guwernantka...

Panna Julia donosiła dawną swą uczennicy, z

poznała w N. jakąś panią, która ją z sobą na Wołyń zabiera.

— O! — zawołała Lili — jaka ta panna Julia szczęśliwa! jakbym ja chętnie pojechała na Wołyń! To tak daleko!...

VII.

Na bryczce, wjeżdżającej w bramę obszernego i niegdyś zamożnego snadź dworu, siedziało dwoje ludzi: kobieta i mężczyzna. Kobieta była Michalina Szyłówna, odprawiona guwernantka Lili, mężczyzną pan Fabian Łozowicz, właściciel Łozowej, majątku, o dziesięć wiorst od Orchowa położonego.

Z-za woalki, opuszczającej się ze skromnego, czarnego kapelusza, twarz Michaliny wyglądała bladą i zwiędłą. Była znowu cichą, nieśmiałą, zasmuconą i ulęknioną niemal ciągłymi zmianami położenia swego guwernantką, biednym stworzeniem, słowem, niby liść drobny, rzucony w przestrzenie bez stałego punktu oparcia, na wolę kaprysów ludzkich, na chłody serc i ścian obcych, na młodość bez promieni, z daleką perspektywą—starości bez chleba.

Towarzysz Michaliny, pan Fabian Łozowicz, był mężczyzną na dobrych lat czterdzieści wyglądający niskim, krępyim trochę, ze ściągłymi, rumianemi i

liczkami, nosem dużym i ustami okrytymi wąsem niepewnej, płowawej barwy. Oczy miał błękitne, z pod okrągło wykrojonej i drgającej lekko powieki patrzącej, a w nich wyraz normalnego, jakby w naturę wrośłego zachwytu, połączonego z ciągłym roztargnieniem. Twarz ta, nieodznaczająca się bynajmniej wyrazem rozumu lub siły moralnej, nie odrażała jednak niczym złym, ani nawet podejrzanym, a panowało nad nią czoło o dość szlachetnych zarysach, z rojem zmarszczek drobnych i gęstych, z olbrzymią łysiną, powyżej wiankiem, krótko przystrzyżonych, siwiejących włosów otoczoną.

— „Oto mój dom ubogi, też pochyłe ściany; ten piec niepolewany...” — zadeklamował pan Fabian, wprowadzając młodą nauczycielkę do wnętrza swego domu. Prawdę mówiąc, wydeklamowany wiersz niezbyt wiernie określał trzy dość duże, widne pokoje, które przedstawiały się oczom Michaliny. Ściany wprawdzie tam może i pochylały się trochę, bo dach był stary i źle utrzymany; ale, pokryte smakownym obiciem, z kilkunastu obrazami w złoczonych ramach, kilku sporemi zwierciadłami, z festonami białych firanek u drzwi i okien, wyglądały świeżo, wdzięcznie, a nawet i błyszcząco. W większym z bawialnych pokoiów, przy jednej ścianie stał fortepian, y drugiej znajdowało się pianino, obok fortepianu ieszczone były, na stosownych podstawach lub stozkach, skrzypce, wiolonczela, flet, mnóstwo nut,

oprawnych w grube księgi i nieoprawnych; przed jednym z okien nakoniec, na postumencie rzeźbionym, wznosiła się arfa ze szczytem złocistym, ponsową wstęgą opasanym.

Michalina zdjęła kapelusz i, usiadłszy na pierwszym lepszym krześle, przyglądała się pokojom, w najgłębszej ciszy pograżonym. Pan Fabian zaraz ode drzwi postąpił do fortepianu, i szczególnie pieczołowitym wzrokiem obejrzał rozstawione dokoła niego instrumenta muzyczne.

— Chwała Bogu! — zawołał — wszystko na swoim miejscu i nietknięte... Czasem mi tu dzieciaczki moje figielki różne płatają, gdy odjadę, ale dziś nie... przypilnowała je widocznie kochana moja Adzia... Ale gdzie jest Adzia?

Zwrócił się do Michaliny.

— Niech pani będzie łaskawą nie brać za złe mojej żonie, że nie wyszła na spotkanie pani... najlepsza to pod słońcem kobieta, złote serce! ale taka z niej gospodyni! Już to powiadam pani, że kobiety mają w sobie jakies szczególne usposobienie do zatapiania się w drobiazgach... Oj, te drobiazgi! te drobiazgi! Nie mówię o tym dlatego, aby się uskarżać... najlepsza to kobieta, serce złote, za mnie, za aniołki nasze oddała-by duszę; ale każda rzecz tak ją obchodzi, irytuje, tak zajęta ciągle, zakłopotana, zmartwiona to tym, to owym, że nie mogą z nią dzielić nię uczuć swych i myśli... Taka samotność duchowa

rzecz bolesna bardzo... nie prawdaż pani? Ale cóż robić?... małżeństwo jest grobem miłości i poezji.

Michalina wydawała się zmieszaną nieco temi niespodziewanemi zwierzeniami i, nie widząc snadź potrzeby odpowiadania na nie, milczała. Panu Fabianowi, przez wzgląd na świeżo przybyłą do domu osobę, przykrą widocznie była długa nieobecność żony.

— Gdzie jest pani? — zapytał, otwierając na-pół drzwi do przedpokoju.

— A do śpichrza, zdaje się, poszła, czy co — odpowiedział z wnętrza przedpokoju głos mężki, nieprzyjemnie dźwięczący nadąsaniem i zuchwałstwem.

W téj saméj chwili otworzyły się drzwi, z bawialnego pokoju w głąb' domu wiodące, i ukazała się w nich wysoka, szczupła kobieta. Nie zaraz jednak postąpiła na przód, ale zatrzymała się chwilę w progu i, zwracając twarz ku pokojowi, który opuszczała, jakby w dalszym ciągu rozpoczętej jakiejś rozmowy, mówiła:

— No! już ty tylko cicho bądź! gęby umiécie szeroko otwierać, ale żeby czego dopatrzeć, dopilnować, to nie... Pańskie dobro niech przepada, co wam do tego.

Pan Fabian cichym krokiem, z twarzą zmieszaną, zając kiedy-niekiedy z lekka łysinę, zbliżył się ku wiącej.

— Duszko! — rzekł nadzwyczajnie łagodnym głosem — panna Szyłkówna przyjechała.

Kobietę słowa te stanowczo już ku bawialnym pokojom zwróciły. Zamknęła drzwi i, nie mówiąc do męża ani słowa, szła na przód krokiem prędkim, objawiającym, że przyzwyczajenie do pośpiechu i zniecierpliwienie w stan normalny u niej się przemieniły. Im dalej postępowała, tém silniej w pokojach ładnie przybranych uczuwać się dawała woń jakaś dziwna, a niezbyt przyjazna, podobna zupełnie do téj, jaką wydaje z siebie na oścież otwarta szpizarnia. Znać było, że zabiegła gospodyni tylko co właśnie była w śpichrzu, i rękę po samo ramię w jakimś worze, mąką napełnionym, zanurzyła. Krynoliny w ubraniu pani Adeli nie było ani śladu, pomimo, że w porze owój, toaletowy ten przyrząd najdespotyczniej w świecie kobiecym panował; pod szyją miała wywinięty na suknię gruby, płócienny kołnierz od nocnej koszuli, a na głowie muślinowy czepeczek wątpliwój białości, w połowie tylko zakrywający włosy pięknej, płowój barwy, z tyłu głowy splecione w dwa grube, roztargane warkocze.

Z rysów twarzy jój poznać można było, że nie miała więcej, jak lat trzydzieści parę, i że niegdyś musiała być bardzo przystojną, jeżeli nie piękną; ale żółtość cery, zmarszczki na czole i wokoło oczu, spłowiałe źrenice błękitne i wązka linia ust zaciśniętych, czyniły twarz tę przedwcześnie zwiędłą, wyra-

zgrzyźliwego niezadowolenia i nerwowej niecierpliwości nacechowaną.

— A! panna Szyłówna! — zaczęła pani domu, zbliżając się ku guwernantce, która powstała, oddając ukłon. — Bardzo to dobrze, żeś pani już raz przyjechała. Od dwóch miesięcy nie mamy nikogo przy dzieciach, i ja sama pilnować ich jestem zmuszoną. Wszystko na mojej głowie: i dom, i dzieci... od świtu do nocy chodź tylko, dysponuj, wydawaj, pilnuj tych łajdaków, co to na pańskie dobro, jak kruki, zlatują się... to już doprawdy i sił nie wystarczy długo...

Mówiła to wszystko, stojąc, i nerwowym ruchem wstrząsając pękiem kluczy, u pasa jej wiszącym. Pan Fabian z pomieszaniem spoglądał na guwernantkę.

— Ależ, duszo! — zaczął nieśmiało, rękę ku łysinie podnosząc — po cóż bo tak irytujesz się każdą rzeczą?

— Poco irytujesz się? a cóż mam robić? Czy tak, jak ty, po całych dniach zajmować się sztukami? Zapewne, niech wszystko w domu przepada, niech zabierają, rozkradają, rwą, roznoszą! Chwała Bogu, już i tak niewiele zostało do rozkradzenia, i żeby nie ja, już-by przez te twoje sztuki Łozowa dawno z dymem poszła.

— Ależ, duszo! — przerwał znowu pan Fabian — na Szyłówna...

— I cóż? panna Szyłówna będzie u nas domową osobą, i bieda nasza sekretem dla niej nie pozostanie. Choć-bym ja milczała, to powie jej o wszystkim braciszek jej, który ośm lat z całą swoją rodziną u ciebie na rezydencji siedzi.

— Adziu! — z pewną energią zawołał pan Fabian — pan Paweł jest moim kolegą szkolnym, i tém, że mieszka u mnie, robi mi największą przyjemność.

— Przyjemność! przyjemność! — ciszej już, niż wprzód, zmiarkowawszy snadź, że popełniła niedelikatność wielką, szemrała Adzia — tobie wszystko przyjemność robi... Zapewne... albo ty w co wierzysz kiedy?... pofatygujesz się dokądkolwiek?... Wszystko na mojej głowie... szesnaście osób do stołu siada...

— Adziu! duszko! panna Szyłówna aniołków naszych nie widziała jeszcze. Gdzie one są?

— A po ogrodzie gdzieś latają te twoje aniołki... Oj, aniołki! rady sobie z temi aniołkami dać nie mogą! Z Józia robi się wisus taki, że jeśli dłużej w domu posiedzi...

— Proszę pani masła do zacierki — ozwał się od strony zamkniętego pokoju głos kuchcika, który, z rondelkiem i łyżką drewnianą w ręce, w progu drzwi na-pół otwartych stanął, głowę rozczochraną na przód wysunął i wytrzeszczone oczy w panią domu wlepił.

Pani Adela, wstrząsając kluczami, zwróciła się ku drzwiom.

— Duszko! — zawołał za nią pan Fabian — przyślij-że tu nasze dziatki... niech się poznają ze swoją przyszlą przewodniczką.

— Otóż to tak zawsze — mówił dalej pan Fabian do Michaliny, gdy pani Adela drzwi za sobą zamknęła — irytuje się, gderze, Bożego świata za krupami i masłem nie widzi... A czy wie pani, jaka to była osoba śliczna, idealna, kiedym się z nią ożenił! Grywała na fortepianie całemi godzinami, pielęgnowała kwiatki, a większej przyjemności dla niej nie było, jak przechadzać się ze mną przy świetle księżycy i rozmawiać o rzeczach pięknych, wzniosłych, poetycznych... Teraz, czy jest w niej choć ślad tego wszystkiego? Tak to, tak dzieje się na świecie! Kobieta—to Sfinx, tajemnica, a małżeństwo—to loterya...

Drzwi otworzyły się z łoskotem, i do bawialnych pokoi weszło, wbiegło, wpełzło siedm domowych aniołków.

Pan Fabian przedstawił dzieci swe młodej nauczycielce.

— Oto jest — mówił — najstarszy mój syn, Apolinary. Skończył w N. trzy gimnazyalne klasy, ale od roku jest już w domu. Martwiłem się z razu tém, że się nie chciał, ale pocieszyły mnie odkrywające w Apolku ogromne zdolności muzyczne. Czy wie

pani, że grywa on już na skrzypcach najtrudniejsze koncerta Berriota? Daję mu lekcyę muzyki sam tymczasem, potem mam zamiar oddać go do konserwatoryum muzycznego. Będzie z niego kiedyś drugi Paganini... A to, Józiek, drugi z rzędu syn mój, wissus wielki, jak tylko co go nazwała żona moja, ale serce złote. Czy uwierzysz pani, że wczoraj, zobaczywszy przez okno żebraka, wybiegł i oddał mu swój chleb z masłem... Ludka, to przyszła uczennica pani... wielką ma zdolność do rysunku... Przeszła już usta, oczy, i doszła do nosów. A to, Elżusia, na święty Jan sześć lat skończyła... zabawny aniołek, ma szczególną zdolność do układania wierszy. Tydzień temu może, mówiłem przy stole, że lubię bardzo głos kukułki... maleństwo zaraz końcówkę tę pochwyciło: „kukułka—bułka, papo!” zawołała...

Śmiał się pan Fabian, śmiały się chórem i dzieci, z wyjątkiem najstarszego chłopca, który powagę niewzruszoną zachowywał, oraz małej poetki, stojącej przed ojcem w postaci tryumfującej laureatki. Po chwili pan Fabian kończył akt prezentacyi.

— Staś — mówił — ma cztery lata niespełna; to nasz tancerz domowy... elastyczny taki, iż zdaje się, że kości w nim nie ma. Marynia, dwa lata dopięro skończyła, a rwie się już do farb moich i pęzła, iak tylko je zobaczy, tak, że schować je przed nią tru. Tém zaś maleństwem (tu zbliżył się do niemow

na rękach piastunki wniesionego) obdarzył mnie Pan Bóg przed pięciu miesiącami.

Wziął niemowlę z rąk piastunki i stanął przy oknie, tuż obok arfy. Najmłodszy aniołek rączkami za struny arfy pochwycił i tak silnie je szarpnął, że aż wydały jęk przeciągły.

— Czy widzisz pani — rzekł pan Fabian, zwracając twarz ku Michalinie — i ten drobiazg nawet ma już jakiś pociąg do muzyki. . moja krew... moja!...

Apolek tymczasem wydobył skrzypce z futerału i zaczął, od niechcienia niby, smyczkiem po strunach wodzić; Ludka, stojąc przed klawiaturą fortepianu, akordy oderwane uderzała; tancerz Staś z malarką Marynią wyskakiwali po pokoju, a Julcia, niemowlę, targała coraz silniej struny arfy.

— Adziu! duszko! — dodał uszczęśliwiony ojciec, spostrzegając wchodzącą żonę — pójdź, zobacz, jak aniołki nasze popisują się!

— A popisują się, to prawda! — odparła pani Adela. — Apolek zniszczył już zupełnie swój przeszłoroczny mundurek, a Staś drugą drze w tym miesiącu parę bucików. Proszę państwa na kolacyą.

— Czy, duszko, wszyscy już tam zeszli się?

— A zeszli się. Czemu-by nie mieli zejść się? Na jedzenie schodzą się prędko.

— sali jadalnej, nad obszernym stołem, mającym e szesnaście nakryć, spuszczała się od sufitu lampa, i obficie oświetlała siedm osób, które

stały tam, każda przy swoim krześle, w chwili wejścia państwa Fabianowstwa, Michaliny i dzieci. Z pomiędzy osób tych wyróżniał się, od pierwszego zaraz spójrzenia, mężczyzna czterdziestoletni, wysoki, barczysty, z gęstym, czarnym włosiem, z ogorzałą, o grubych rysach twarzą, z wielkimi rękoma i wąsem tak długim, że aż za czerwone i odstające ucho zakręconym. Do niego to najprzód, zaraz z progu jadalnej sali, zwrócił się pan Fabian.

— No, panie Pawle! — zawołał — czy wiesz, kto dziś do naszej chaty zawitał? No, patrz dobrze, poznasz, czy nie poznasz?

Mówiąc to, mrugał figlarnie i wskazywał wzrokiem na Michalinę, która, z rumieńcem na twarzy, wzruszona, zmieszana, zatrzymała się przy drzwiach. Ogromny mężczyzna postąpił parę kroków, szeroko otwierając oczy.

— A! panna siostra dobrodziejka! dalibóg! no, proszę! — posypały się z ust pana Pawła wykrzykniki. — Słyszałem-ci ja niby troszenczkę... z daleka... że pan Fabian po jakowąś guwernantkę pojechał, ale żeby to być miała moja panna siostra, przez móżgownicę mi nie przeszło... Myślałem, że przebywa w Ręczyźnie...

— Alboż to państwo tak dawno nie widzieliście się ze sobą? — zapytała sucho pani Adela, zbliżając się do stojącej na stole olbrzymiej wazy.

— Sześć latek, pani dobrodziejko moja, sześć la-

tek upływa na przyszłe Boże Narodzenie, odkąd krokiem nie ruszyłem się z Łozowej — odparł pan Paweł. — Koleje losu, pani dobrodziejko, rzucają ludziskami, jak piłkami... jedną tu... drugą het, o sto mil...

Mówił to wszystko tonem rubasznój żartobliwości, ale oczy jego nie odrywały się ani na sekundę od zapłonionój twarzy młodej dziewczyny, która, drobną swą dłonią silnie objęła grubą, wielką jego rękę.

— Ot, panna siostra i synowców swoich nie zna jeszcze; proszę tedy patrzeć. Oto mój Walek... w dęba chłop wyrósł; a ot Jadwisia... to ta córeczka, którą, nieboszczka moja, świeć Panie nad jój duszą, dwuletnią odumarła.

Mówiąc to, wskazywał z kolei na słusznego, chudego chłopca, z bladą, nieprzyjemną twarzą, i w mizerném wielce ubraniu, a potem na podrastającą dziewczkę, trzynastoletnią może, jasnowłosą, bladą także, i równie jak brat, w ubogą jakąś sukienczynę przyodzianą.

— Później już państwo skończycie sobie tę rekomendacją — przerwała pani Adela. — Siadajcie do stołu, bo wszystko ostygnie.

To *wszystko*, o którym mówiła pani domu, składało się z wazy pszennej zaciérki, z dwóch półmisków, iętrzonych stosami zawijanych zrazów, i z dwóch *ch*, pełnych pieczonych kartofli. Była to wiecze-

rza niezbyt wybredna, ale obfita i mogąca nakarmić kilkanaście zgłodniałych organizmów.

Pani Adela stała przy wazie i nalewała zaciérkę na talerze, które roznosił siedzącym przy stole osobom, niby lokaj, w gruncie zaś lokajczyk, niezgrabny, niechętny, butami grubemi niemiłosiernie stukający, a poczynający stąpać na palcach wtedy tylko, gdy zbliżał się do krzesła gospodyni domu.

Pani Adela, spełniając gospodarską swą czynność, wyraz twarzy miała kwaśny.

— Otóż ja, duszko — zaczął pan Fabian — kontynuować będę rekomendacją... Nic to, nic, duszko! jeść dlatego będę. Dwóch robót razem robić nie można, ale gadać i jeść razem, nic nie przeszkadza... Trzeba przecież, aby panna Szyłówna poznała naszych kochanych gości...

— Goście! — szepnęła nad wazą pani domu — piękni goście, co po dziesięć lat siedzą.

— Oto — ciągnął pan Fabian, wskazując dwie, obok żony jego siedzące, kobiety — oto kuzynki nasze: pani Eustachya Konaszewiczowa i panna Antonina Łojwiczówna.

Pani Eustachya, osoba lat średnich, tuszy dobrej, z filutkami na skroniach i w pocerowanój, ale jedwabnej sukni, skinęła głową ku guwernantce z wysoka i poważnie; panna Antonina zaś, szczupła osóbką, dość młoda jeszcze, lecz z chorobliwą cerą, złocimi, czarnemi oczkami i z twarzą, obwiązaną ł

chustką, od fluxyi zapewne, uśmiechnęła się kwasowato.

— Tu znowu — kończył pan Fabian — widzisz pani zacnego pana Wiktoryna Szczepalskiego, wirtuoza flecistę, niegdys sąsiada naszego, a dziś gościa...

Wiktoryn Szczepalski, człowiek z siwemi włosami i wąsami, ale czerstwy jeszcze, rumiany, z figurą dobrze zaokrągloną i z głupowatym uśmiechem na tłustych wargach, podniósł się lekko z krzesła i, jakby nie wiedząc sam, co mu czynić wypadało, mętnym wzrokiem potoczył dokoła.

— A mnie to pan dobrodziej nie zarekomendujesz? — ozwał się z-za szerokich pleców pana Pawła głos jakiś dyszkantowy, jowialnością nacechowany.

— A jakże! — zawołał pan Fabian. — Pan Karol Solski, były kolega mój szkolny, tak jak i pan Paweł. Rozwesela wieczory nasze sztukami, w których dokonywaniu jest mistrzem...

— Utrzymuję tradycją po Pinettim — zawołał cieniutkim dyszkantem mały, blady człowieczek, z twarzą ogoloną starannie, lecz w surducie na łokciach podartym.

— A to już ja chyba, panie dobrodziej, ujmę się za naszym panem Hryhorym — ozwał się pan Paweł, podnosząc twarz z nad dymiącego się talerza brzymie wąsy swe, zupą ubielone, z nad ust od-
iac. — Dlaczego to pan tak go w rekomen-

cyi swój pominąłeś? Słowik to przecież łozowickiego dworu.

Pan Fabian wskazał Michalinie, siedzącego pomiędzy nim a panem Pawłem, człowieka w pełnej sile wieku, z ciemną, czarnooką twarzą południowca, z czarnymi wąsami tak bujnemi, jak wąsy pana Pawła, nie ku uszom tylko podniesionemi, lecz na pierś, w kształcie dwóch grubych i długich wiechci, opuszczonemi, w świetle szarém, nienowém, fantastycznie jakoś taśmami oszytém i naszytém.

— Pan Hryhory Oroszczenko, ukraińiec rodowity... Przybył tu w nasze strony na łowczego do dóbr księcia K. Że jednak zabijanie zwierząt niewinnych z dobrocią serca jego nie zgadzało się, przyjechał do mnie na czas jakiś z teorbanem swoim...

— *Przyjchaw i siw u waspana, bo u mene ny chatynki, any szczastja, any żynki!* — z ukraińska ozwał się pan Hryhory.

— Widzisz więc pani — dodał pan Fabian, składając łyżkę i zwrócony wciąż ku guwernantce — widzisz więc pani, że, jak mówi poeta: *Gdy dni nam płyną w braterskiém kole...*

— *O piwko sobie prosić pozwolę!* — dokończył pan Paweł do rymu, pochylając się nad stołem i, z wyrazem żartobliwej nieśmiałości, wlepiając wzrok w gospodynię domu. Na stole stały cztery karafki piwem.

— Nalój piwa do szklanek! — zwróciła się do lokajczyka pani Adela.

Niezgrabny chłopiec, z wiecznie rozjątrzoną miną, krążył wokoło stołu z karafką w ręce. Pan Paweł, trzymając szklanę w górę wzniesioną, w miarę, jak płynu ciemnego do niej przybywało, wołał:

— Do... do... do...

Lokajczyk nalewać przestał.

— Do... do... dolój! — skończył pan Paweł.

Dowcip ten, pobudził do głośnego śmiechu wszystkie dzieci, z wyjątkiem poważnego Apolka, i wszystkich rezydentów, z wyjątkiem pani Konaszewiczowej, która wzgardliwie na dowcipującego spójrzała, i szklanę swą z gościem pełnym dystynkcji ku lokajczykowi wyciągnęła.

— Proszę o piwo! — wyrzekła, każdą zgłoskę zosobna wymawiając, jak to czynią zwykli wielcy panowie i wielkie panie.

Panna, z białą chusteczką dokoła żółtej, chudej twarzy, uśmiechnęła się kwaskowato.

— Nie pojmuję — rzekła — jakim sposobem osoba tak delikatna, jak pani Eustachya, może pić piwo.

Wypowiedziała to tak prędko, że głoski zdawały się w jej ustach gonić jedna drugą ze szczególną zawziętością i zjadać się wzajemnie.

— Nie pojmuję — odparła zaczepona, dzieląc rannie wymawiane sylaby — jakim sposobem oso-

ba tak pobożna, jak panna Antonina, może wtrącać się w to, co do niej nie należy.

Obie panie zwróciły się ku sobie. Czarne małe oczki panny Antoniny biegały i błyskały; pani Eustachya pulchne policzki wydeła i powieki wzgardliwie zamrużyła.

— Czy pani myślisz, że ja jestem jakaś sobie pierwsza lepsza?... — zaczęła bardzo szybko panna Antonina.

— Czy pani myślisz, że ja pozwolę na to, aby mię ktoś zaczepiał?... — wtórowała bardzo powoli pani Eustachya.

Rozpoczynając się burzę tę powstrzymał śmiech chóralny, przy stole wybuchający. Panna Antonina zaniechała frazesu, którym dowieść postanowiła pani Eustachyi, że nie jest wcale „jakaś tam pierwszą lepszą” i, odwróciwszy się tylko od sąsiadki, o ile można było najniegrzeczniej, zapytała ciekawie:

— Co to? co to? czego się państwo tak śmiejecie?

Śmiech spowodowany był *sztuką*, którą urządził pan Karol Solski, człowieczek blady, mianujący się następcą Pinettego. Ofiarą *sztuki* tej okazał się pan Wiktoryn Szczepalski, wirtuoz-flecionista, który siedział zazwyczaj nieruchomy, uśmiechnięty, z oczyma gapowato w przestrzeń utkwionemi. Owóż, gdy tak siedział, następca Pinettego z cicha i zręcznie szklanekę jego z przed talerza pochwycił i duszkiem ją, za plecy

jój właściciela ukrywszy się, wychylił. W minutę potem wirtuoz-flecionista, napatrzywszy się do syta na przeciwległą ścianę, po szklanke swą sięgnął, a ujrzawszy ją prózną, zdumionym wzrokiem dokoła powiódł. Śmiech i wrzawa powstały. Na biednego wirtuoza posypały się żarciki rezydentów! On przyjmował je spokojnie, ze zwykłym sobie uśmiechem. Przywykł snadź do roli kozła ofiarnego, przeznaczanego na dostarczenie trefnisiowi tematów do żartów i konceptów.

— Proszę o zrazy! — patrząc przez ramię posługującego chłopca, — ozwała się pani Eustachya.

— Dziwna rzecz, — natychmiast i wzruszając ramionami, trzepać zaczęła panna Antonina, — jak to można tak dużo jeść!

— Dziwna rzecz, — wycedziła wnet pani Eustachya, — jak to można tak wiele gadać!

— Co to dziwnego, że pani Konaszewiczowa tyje, kiedy taka łakoma.

— Co to dziwnego, że panna Łojwiczówna tak chudnie, kiedy taka zła.

I znowu zwróciły się ku sobie twarzami.

Wybuch burzy powstrzymał jednak dany przez gospodynię domu znak wstawania od stołu.

— Proszę pani świecy do garderoby, — zabrzmiał skliwy głos kobiecy z za uchylonych nieco drzwi zedpokoju.

— A dlaczegoż wprzód nie braliście? czyś nie widziała, że przed godziną była w spiżarni?

Z temi słowami i głośném brząkaniem kluczy pani Adela zniknęła w głębi domu, całe zaś towarzystwo przeszło do bawialnych salonów.

W salonie paliła się przed kanapą lampa, na fortepianie stały dwie zapalone świece. Przy lampie na fotelach zasiadły dwie zażarte, jak się zdawało, antagonistki, pani Eustachya i panna Antonina. Dobyły z kieszeni zawinięcia sporych rozmiarów i, wyjąwszy z nich różne przybory do robót ręcznych, oddały się im w milczeniu. Michalina zbliżyła się do dwóch kobiet.

— Czy można wiedzieć, jakimi to robótkami panie się zajmują? — zapytała uprzejmie.

Pani Eustachya wydeła policzki, przymrużyła oczy i wycedziła:

— Haftuję sobie żabot i mankiety!

— Nie pojmuję, — zaczęła wnet trzepać panna Antonina, — jak to można przez całe życie myśleć tylko o elegancyach.

— Nie pojmuję, — odcedziła pani Eustachya, — jak można przez całe życie sporządzać aparaty kościelne.

— Pani robi coś do kościoła? — zapytała guwernantka, usiłując zakląć powstającą burzę.

— Szlaczek do komeżki dla księdza proboszcz

orchowskiego kościoła, — zatrzepała panna Antonina.

Pan Fabian przechadzał się tymczasem po pokoju, otoczony dziećmi.

— Cóż, kochany panie Pawle — rzekł, widząc wchodzącego Szyłłę, — pokażesz nam może Czumaka?

— Czumaka! Czumaka! — proszę pokazać Czumaka! — wołały dzieci.

Pan Paweł siadł przy stole, na którym paliła się lampa, profilem do pokoju zwrócony, z czołem na dłoń pochyloném i gęstemi, czarnymi włosami na twarz opadającymi. Dobrą minutę przesiedział tak wśród ciszy powszechnéj, w postawie zgnębionéj, zgnękanéj, aż zadeklamował znane żale Czumaka, tułacza:

„O ja Czumak nieszczęśliwy...
Biédny, głodny, ledwie żywy”...

Głos jego basowy, z olbrzymiej piersi wychodzący, przybierał coraz jękliwsze, płaczliwsze tony, aż nakoniec zerwał się pan Paweł z siedzenia i wyskoczywszy na środek pokoju, począł, nie przerywając deklamacyi, ale tylko ton jój zmieniając, naśladować fantastyczny ludowy taniec Czumaków. Dzieci klaskały w drobne ręce i śmiały się do rozpuku ze skoków pana Pawła; reszta towarzystwa uśmiechała się z wioczném zadowoleniem.

Michalina pochyłała zrumienione do szkarłatu

czoło i pod spuszczoną powieką kryła napływające do oczu jej łzy. Solowy taniec ów trwał dość długo, aż pan Paweł, zziębnięty, z kroplistym potem na czole, usiadł na uprzedniem miejscu i w uprzedniej postawie. Wypadkiem czy umyślnie spojrział na siostrę, a w téjże chwili głos jego zniżył się o parę tonów, zabrzmiał dźwiękami smutnymi, onieśmionemi nagle i umilkł... Umilkłszy, pan Paweł zerwał się z krzesła, i prędkim krokiem, nie oglądając się w prawo ni w lewo, poszedł w najbardziej zacieniony kąt pokoju...

— Papo! — ozwał się, przystępując do ojca, najstarszy syn domu, drugi Paganini w zarodku, — a kiedy będzie nasz kwartet?

— Masz słusność, Apolku, zagrajmy kwartet! — odparł pan Fabian i ruszył ku wiolonczeli.

— Czy pani Eustachya będzie łaskawa akompaniować nam na fortepianie? — zapytał.

Dama w pocerowanych jedwabiach podniosła się z miną bóztwa, zstępującego na żądanie ludzkie z niebieskich wysokości, i tryumfujące spojrzenie rzuciwszy na pannę Antoninę, posunęła ku fortepianowi, przy którym stali już uszykowani, jak należy: pan Fabian z wiolonczelą, Apolek ze skrzypcami i pan Wiktoryn z fletem.

Pan Fabian grał na wiolonczeli z wprawą i pjęciem się; zatonął cały w muzyce, twarz jego za

nęła rumieńcami, a oczy rozgorzały blaskiem niedanego zachwytu.

Przy pierwszych zaraz taktach kwartetu weszła do salonu i pani Adela. Niosła ze sobą koszyk ze skarpetkami i pończochami, większych i mniejszych rozmiarów. Usiadła przy lampie, naciągnęła na rękę jedną z przyniesionych pończoch i pogrążyła się w jej cerowaniu.

Kwartet skończył się. Pan Fabian, otrzeźwiwszy się nieco z muzycznych wrażeń, pocałował w czoło syna-artystę i zwrócił się ku żonie.

— Cóż, duszko? jakże ci się dziś podobała gra Apolka?

— Lepiej-by było, żeby do szkół jechał, — sarknęła pani Adela, nie podnosząc oczu z nad wielkiej dziury w pończosze, którą starannie zasnuwała bawełną.

— Otóż to tak zawsze! — szepnął pan Fabian do Michaliny; — samotność duchowa zupełna... a jednak jaka to była niegdyś idealna osoba!... Panna Lila Orchowska musi grać bardzo pięknie? — nie prawdaż pani?

Odpowiedź guwernantki zgłuszyły dźwięki teorbenu, i nieuczony widocznie, dość dźwięczny jednak w istocie i przyjemny głos pana Hryhorego, który przeciągle i tęsknie zawiódł:

„Ne chody Hryciu na wieczernyciu”...

* * *

Tak towarzystwu temu zszedł czas do samej prawie północy. O téj dopiero porze otworzyły się drzwi, hermetycznie w ciągu dnia zamykane, i żeńska połowa publiczności łozowieckiej przeszła w głąb domu. Było to przejście ze światła Emyreum w ciemności Erebu. Wobec trzech bawialnych salonów, pokoje, resztę mieszkania składające, wyglądały jak brudna, podarta, zatłuszczona podszewka kosztownego i bogatemi haftami przyozdobionego stroju. Czego bo tam nie było! W pierwszym zaraz pokoju, sypialni pani domu, stały pod ścianami wielkie kosze, vulgo *kotuchy*, w których kury wysiadywały na jajach. Przy wniesieniu świec śpiące ptaki te obudziły się z przestraszeniem, zatrzepotały skrzydłami i w głośny alarm uderzyły. W pobliżu łoża pani Adeli mieściły się beczułki jakieś i woreczki, napełnione kosztowniejszymi zapewne spiżarnianemi zapasami; dalej, na dwóch krzesłach umieszczone, stały płótnem przykryte niecułki z podchodzącym ciastem; złamane krzesło zalegało kąt jeden pokoju, w drugim leżał wysoki stos przygotowanej do prania bielizny. Ściany tam były szare, szyby w oknach popękane, stoły pooblewane, podłoga brudna...

Michalina, wszedłszy do przeznaczonego jéj pokoju, zapytała służącą o dokładne wskazówki co do położenia oficyny i drzwi, któremi wchodzi się do j

koju jój brata.—Zaledwie sługa odeszła, wyjęła z tłumoczka swego wielką wełnianą chustkę i miała już zarzucić ją sobie na plecy, gotując się do wyjścia, gdy z izdebki, w której sypiało niemowlę-Julcia, wsunęła się na palcach, z zapalonym ogarkiem świecy w ręku, pani Adela.

— Jak to dobrze, że pani jeszcze nie śpi, — rzekła, gasząc świecę i stawiając lichtarz na stole, — chciałam z panią pomówić trochę.

Zbliżyła się do każdego z trzech małych łóżek, poprawiła kołdrę przykrywającą Marynię, odgarnęła włosy z czoła Elżusi, popatrzyła z radością na różową, ładniutką twarzyczkę Ludki i usiadła na krześle przy łóżku guwernantki, która spoglądała na nią z wyrazem oczekiwania w oczach.

— Chciała-bym, — zaczęła łagodniejszym nieco, niż zwykle, głosem,—przeprosić panią za to, że ją niegrzecznie może trochę przyjął; ale jestem ciągle tak zirytowana, zgryziona...

— O pani!... — zaczęła Michalina.

Ale pani Adela mówić jój nie pozwoliła.

— Niech pani nie robi ceremonii żadnych. Wiem dobrze, iż wyglądam, jak dziwoląg, i podobać się ludziom nie mogę. Nie chciałam jednak umyślnie wyrzęczać pani przykrości, byłam tylko dziś więcej, niż zwykle, zmartwiona i zirytowana... Wystaw sobie ni, widziałam zrana na własne oczy, jak ekonom parobkiem żyto nasze ze stodoły wynosił, na wóz

pakował i pod sekretem do miasteczka posyłał... Co pani na to powiesz?

Guwernantce trudno było widocznie zdobyć się na zdanie w tak obcym dla niej przedmiocie.

— Cóż pani powiedziała o tém panu Łozowiczowi? Może-by...—zaczęła, wahając się i dlatego tylko, aby coś powiedzieć.

Pani Adela uśmiechnęła się z goryczą.

— Czyż pani myśli, że takie rzeczy mego męża obchodzą. Gdzie tam! on wyobraża sobie, że każdy człowiek bez wyjątku jest świętym. Gdyby ktokolwiek w biały dzień surdut z niego zdjął, to powiedział-by jeszcze: „eh! co tam! może mi się tylko tak wydało!” Ach! żebyś pani wiedziała, co się tu u nas dzieje! Majątek piękny, bardzo piękny! Ale cóż z tego? Póki była pańszczyzna, szło jeszcze jako tako, ale odkąd za pieniądze wszystko nabyć trzeba, stodoła co rok pusta prawie, inwentarz przepada, grosz grosza nie dogoni, długi rosną... a on na nic nie spojrzy. Jeżeli pójdzie kiedy w pole dla oczu ludzkich, to chodzi z nosem w górę podniesionym, przypatruje się obłokom i w głowie wiersze układa, albo widoków pięknych szuka, żeby je malować... Najczęściej zaś w gabinecie swoim przesiaduje, pisze, maluje, czyta poezye, czasem w ogrodzie kwiaty sadzi, ot i cała jego robota. . . A tu wszystko we d... rze wali się, pole chwastami zarasta, majątek topni .

Unilkła na chwilę. Oczy jój z wyrazem smutku w ziemię patrzyły.

— Siedmioro dzieci, — mówiła dalej po chwili — na co on je wykieruje? Mnie serce kraje się, gdy myślę o tém, jaka to przyszłość czeka te biedne dzieciaki...

Westchnęła ciężko pani Adela i po chwili dodała:

— Niech pani, broń Boże, nie myśli, żebym ja o tém wszystkiém mówiła przez brak przywiązania lub szacunku dla Fabiana. Najlepszy to, najszlachetniejszy pod słońcem człowiek, złote serce... Ot naprzykład, widziałaś pani, ilu tu ludzi żywi się koło nas... niech pani tylko nie myśli, że wymawiam jój pana Pawła, broń Boże! Gdy jestem zgryziona, powiem czasem na tych biedaków to i owo, ale w gruncie żal mi ich... wszak oni garną się do naszego domu, jak pszczoły do ula... Tyle teraz nędzy po świecie, przez te wszystkie zmiany i zaburzenia: a ileż pani znajdziesz w okolicy domów takich, które-by, jak nasz, tuliły do siebie biednych ludzi?

Podniosła przy tych słowach twarz, a oko jój, posępne przed chwilą, błysnęło dumą.

— To téż, — ciągnęła dalej, — niéma w okolicy człowieka, który-by nie wiedział, że Łozowa jest przytulkiem sierot i nieszczęśliwych, że Fabian Łozowicz, może ostatni z tych obywateli naszych, co to nie siebie tylko żyli, ale i dla bliźnich. A na mnie, mówią czasem, że jestem skąpa, gderaczka, to

jednak nikt nigdy nie widział i nie słyszał, abym męża swego od dobrego uczynku odwodziła. Dopełnienia téż on tych dobrych uczynków za siebie i za innych... Żebraka żadnego nie opuści, aby go wedle możliwości nie obdarzył... Złote serce, mówię pani, najlepszy, najszlachetniejszy człowiek, i wszystko było-by dobrze, gdyby nie te *sztuki*, po za którymi Fabian świata Bożego nie widzi.

Westchnęła znowu, pomilczała chwilę, a potem mówiła dalej:

— Niech pani nie myśli, że ja zawsze taką byłam, jak teraz... Boże kochany! każdy miał swoją młodość i swoje złudzenia; i ja je miałam... Grałam niezgorzdej, poezye czytywać lubiłam, w kwiaty stroiłam się, świat wydawał mi się różowym jak centyfolia, a życie wesołym, jak bal. Ale potem dzieci przybływały, potrzeby rosły, a tu uważam, że źle! kradną, rozrywają, majątku coraz mniej. Wzięłam się więc sama do gospodarstwa, do spiżarni, do kuchni: chowam, zamykam, pilnuję, rządzę; a przez to jako tako dziury łataw. Gdyby nie to, że ja się tak domem zajęłam, jużbyśmy chyba dotąd Łozową z torbami opuścili; ale przyjdzie to kiedyś, bo jakże ja, słaba kobieta, bez mężkiej pomocy powstrzymać mogę ruinę majątku?

Umilkła pani Adela i Michalina milczała także parę minut. Tym razem jednak z twarzy młodej nauczycielki poznać można było, że otrzymane zwi-

rzenie się wzbudziło w niej żywe współczucie i nasu-
nęło jej wiele myśli.

— Przepraszam panią,— rzekła łagodnie i trochę
nieśmiało,— że poważę się wyrazić zdanie swoje... Nie
jestem zbyt doświadczoną, ale... pani ośmiela mię
okazywaném mi zaufaniem. Otóż zdaje mi się, że
może korzystniéj było-by, dla spokojności pani, dla
dobra jej rodziny, gdyby pani sama z wrodzoną
energiją swą i pracowitością zastąpiła pana Łozowicza
w gospodarstwie mężkiem...

Pani Adela słuchała słów tych z wyrazem głębo-
kiego zdumienia w oczach.

— Ach moja pani! — rzekła, — jak to znać, że
jesteś młodą jeszcze i niedoświadczoną osobą! Jakże
pani możesz wymagać, aby kobieta trudniła się męż-
kiem gospodarstwem? Czyś pani widziała kiedy co
podobnego? Rola, stodoła, obory, to zajęcie mężkie...
kobieta może dopatrzeć tego tylko, co dzieje się w do-
mu. Kobieta, kochana panno Michalino, nie powinna
nigdy przekraczać granic, dla siebie naznaczonych.

Michalina nic na to wszystko do odpowiedzenia
nie znalazła. Po chwili jednak ozwała się znowu:

— Jeszcze jedną rzecz chciała-bym powiedzieć...
Czy pani pozwoli?

— O, i owszem, i owszem! proszę mówić! Nie
stem taką złą, jak się wydaje.

— Zdaje mi się, że wszystkie te osoby, które
państwa mieszkają i tyle im wydatków przyczy-

niąją — mówię tu także i o bracie swoim — mogły-by poszukać sobie gdzieindziej jakiego zajęcia.

— O, panno Michalino! — przerwała, powstając, pani domu, — nie spodziewałam się nigdy, aby osoba tak młoda, jak pani, miała tak suche, zimne, egoistyczne pojęcia. Nie! jestem ja sobie może skąpa, gderaczka, bo taką zrobiły mię okoliczności; powiem czasem komu niegrzeczność, sarknę na rezydentów, ale z idealnej młodości mojej pozostało przynajmniej to jedno, że od domu swego nie odepchnę nigdy żadnego człowieka, który szuka w nim schronienia... Będziemy może kiedyś sami w biedzie... cóż robić? Pan Bóg wynagrodzi może dzieciom naszym to, co my dla biednych ludzi czynimy. Tymczasem niech sąsiedzi nasi, co to dla siebie tylko żyją, patrzą na Łozowiczów i widzą, że nasz dom jest ostatnim może z tych obywatelskich domów naszych, co to nie dla siebie tylko żyły.

Powiedziawszy to z pewnym uniesieniem w głosie i wyrazie twarzy, pani Adela skinęła guwernantce głową.

— Dobranoc pani! — rzekła — i znowu do łóżeczek dziecięcych z kolei przystępowała. Nad każdym z nich pochyliła się i uspione dziewczynki w rumiane twarzyczki całowała. Zapaliła potem swój ogarek i, idąc ku drzwiom, zwróciła się jeszcze do Michaliny.

— Czy wiesz pani, — rzekła, — że wychodzi u i

na tydzień pud masła i głowa cukru? Mięso sprowadzamy z miasteczka całemi sztukami, od dwóch lat już na kredyt, dzięki Bogu! Oj! będzie kiedyś bieda, będzie!

Odeszła... Michalina siedziała chwilę zamyślona, potem zarzuciła na głowę chustkę i wśród ciemności zalegającej dziedziniec, podążyła szybko ku bliższej oficynie. W oknach tam już było ciemno—w jedném z nich tylko błyszczało małe światełko. Michalina, kierując się wskazówkami, od służącej otrzymanemi, poznała, że było to okno pokoju jój brata. Omackiem znalazła drzwi, z brzegu zaraz małego korytarzyka umieszczone, i zastukała do nich z lekka.

— A któż tam jak mara włóczy się po nocy? czy nie pan Hryhory czasem? Proszę, proszę! — ozwał się z wnętrza pokoju głos pana Pawła.

W niewielkiej izbie, z brudnemi ścianami i skąpém, prostém bardzo umeblowaniem, siedział przy stoliku pan Paweł. Nie miał na sobie surduta, tylko kamizelkę, z której wyłaniały się rękawy grubój koszuli. Surdut leżał na kolanach swego właściciela, który, w jednej ręce trzymając jego połę, drugą pilnie i z nadzwyczajną uwagą łątał kawałkiem sukna znajdującą się w niej dziurę. Ogromna ręka jego, uzbrojona w igłę, długą nitką nawleczoną, niezgrabnym ru-
wybiegała ponad schyloną głową.

ie podniósł głowy i nie przerwał roboty swój nawet, gdy otworzyły się drzwi od kurytarza.

— Czego łazisz po nocy, panie Hryhory? — zapytał.

— To ja przyszłam, Pawle, — ozwała się Michalina.

Szyłło porwał się z krzesła.

— Michasia! — zawołał głosem wcale innym, niż ten, którym mówił wprzódy.

Z wielkim pośpiechem przywdział surdut i przysunął do stołu drugi stółek.

— No proszę! — mówił, — kto-by się to spodziewał, że przyjdiesz do mnie, Michasiu! Myślałem, że wstydzisz się mnie; nie chciałem nawet mówić z tobą przy ludziach. No, siadaj-że, siadaj!

Ale ona nie zaraz usiadła. Ujęła obie ręce brata w drobne swe dłonie i długo patrzyła mu w twarz smutnym, głębokim wzrokiem. On także patrzył na nią, aż obojgu łzy w oczach stanęły.

— Cóż tam dzieje się z matką? — zaczął Szyłło, usiadłszy. — Sześć lat nie widziałem już staréj, od téj wigilii Bożego Narodzenia, którą — pamiętasz — jedliśmy razem u stryja Augustyna...

— Matka nasza mieszka zawsze u stryjowstwa, którzy są dla niéj bardzo dobrzy... ale oni sami biedni.

— Wiem, wiem! dzieci gromada. Ha, cóż robić? i ciebie, Michasiu, sześć lat już nie widziałem; zmieniłaś się, zmeźniałaś!...

— Postarzałam, Pawle, — ze smutnym uśmiechem

przerwała młoda dziewczyna — nic dziwnego. Od owéj właśnie pory przestałam chodzić na pensyą i, choć po prawdzie nie skończyłam jeszcze była edukacyi, poszłam w świat... Miałam wtedy lat szesnastcie, a sześć lat jestem już nauczycielką. Byłam w siedmiu sąsiednich domach... ten jest ósmy.

— Pi! — syknął pan Paweł — nie udaje ci się widać. Dlaczego?

— Dla różnych przyczyn. Z początku nie prawie nie umiałam sama... odprawiono mię więc, bo dzieci nie korzystały... Potém... kiedym się własną pracą poduczyła już trochę, tak jakoś trafiałam... Ale mówmy o tobie, Pawle, po co ty tu siedzisz... ty i dzieci twoje?

Pytanie to zadawała z cicha, z widoczną obawą obrażenia brata, ale zarazem z postanowieniem stanowczego z nim rozmówienia się.

Szyłło pochylił głowę i milczał chwilę.

— Czego ja tu siedzę?— powtórzył. Ot siedzę... bo cóż mam robić? Licho mi nadało sprzedać folwarczynę. Zdało mi się, że mogę co lepszego kupić, dobry interes, jak to mówią, zrobić... Tymczasem nie nie kupiłem i nie nie zrobiłem, a pieniądze rozchwyтали ludzie.

— Wiem; część ich pożyczyles Ręczycom, część Orchowskim.

— A część rozeszła się.

— Musieli ci przecież odesłać.

— Licha tam! Ręczyca miał ośmnaście lat, jak pożyczył, a teraz ma dwadzieścia ośm i jeszcze nie oddał... Co się zaś tyczy Orchowskich, Bóg-że ich wie, u kogo dopominać się teraz. Ojciec pono umierający, nikogo nie widuje... synów nie znam...

— I nie upominasz się u Ręczyca o należność?

— Sześć lat ani pisałem. Co robić? będzie może dla dzieci.

— A jednak, — rzekła Michalina, — gdyby ci te pieniądze oddali przed sześciu laty, nie był-byś tutaj, zrobił-byś z sobą cokolwiek.

— Naturalnie, że zrobił-bym. Nadarzał się dobry kawał ziemi z łąką i lasem. Chciałem nabyć ale nie było za co; siadłem więc tu...

— I dobrze ci z tém?—bacznie patrząc na brata zapytała Michalina.

— At!—rzekł,—niéma co grzeszyć. Dobrze jeść i pić dają, i dachu nad sobą kawałek ma człowiek. Co się zaś tyczy odzienia, łatam je, jak mogę, a czasem poczciwe Fabianisko przyrzuci coś dla mnie, lub dla Walka...

— Pawle! — nie mogąc powstrzymać się dłużej, zawołała młoda dziewczyna — ależ to dola żebracza! położenie poniżające!

Szyło szeroko otwartemi oczyma w twarz siostry spojrzął. Milczał chwilę, a potem machnął ręką i rzekł:

— Ot, ja już i zapomniałem o tém wszystkiém

Dziś dopiero, kiedy *pokazywałem* Czumaka, a ty, Michasiu, spojrzawszy na mnie temi oczyma swemi, które mi dawne czasy przypominają...

Przerwał sobie nagle i, odwróciwszy się, palcami łojówkę objaśnił.

Chwila milczenia, zapanowała pomiędzy siostrą i bratem. Michalina ozwała się pierwsza:

— Pawle! musisz mi dać słowo, że dla honoru własnego, dla przyszłości dzieci swoich, postarasz się zmienić położenie swe na inne.

Szyłło milczał. Grube rysy jego powlokły się wyrazem tajemnego niezadowolenia.

— Widzisz-bo, — zaczął, — na starość ruszać się z miejsca trochę już ciężko.

— Jesteś jeszcze w pełnej sile wieku. Wiem od matki naszój, że nie masz więcej, jak lat czterdzieści.

— Ech! matka zapomina—kurcząc się i garbiąc, przerwał pan Paweł.—Mam już pięćdziesiąt dobrych... niezdrowszy jestem... w służbę mi iść nie pora, a zresztą, kto z dziećmi mię przyjmie?

— Upomnij się u Ręczyca o swoje dobro.

— Kiedyż-bo widzisz, Michasiu,—kurcząc się coraz bardziej, rzekł Paweł. — Do Ręczyca trzeba-by jechać... a ja się już ztąd sześć lat krokiem nie ruszałem.

Chłopiec ten atletycznój budowy rozleniwił na tym chlebie tak strasznie, że przerażała go dwumilowój drodze.

Michalina posunęła stołek swój, siadła tuż przy nim i ramionami opasała mu szyję.

— Pawle!—mówiła z cicha,—uczyn to, spróbuj! Pomyśl, jaką radość sprawił-byś matce naszej, gdy-byś zdobył sobie znowu jakiegokolwiek, byle niezależne, nieupakarzające położenie... Może-byś mógł nawet kiedy ochronić ją od przebywania pod dachem ludzi dobrych, ale dla niej prawie obcych... Ja nie zaciąęę nad nowym bytem twoim... umiem już dziś więcej, niż umiałam, i mam nadzieję, że z czasem wyrobię sobie w zawodzie swoim przyszłość lepszą... Ale dla matki naszej, dla dzieci twoich uczyn to, postaraj się!...

Głos jój łagodny, miękki, a jednak energią gorącąj próśby dźwięczący, stopił się w pocałunku, który usta jój kształtne i blade złożyły na ogorzałym czole brata. Przybliżyła twarz swą do jego twarzy i wzrok zanurzyła w głębiach zmęczonych jego źrenic.

Paweł opuścił na dłonie czoło i milczał długo.

— No,—rzekł po chwili,—zobaczymy! Trudno to wprawdzie... ale matka...

Westchnął z głębi piersi. Michalina trafiła słowami swemi w nieuspioną jeszcze strunę jego serca. Nie obchodził go już honor, nie obchodziły dzieci własne, ale wzruszyło go wspomnienie matki.

— Święta to kobieta...—mówił stłumionym nieco głosem.—Kiedym sprzedawał swój folwark, myślałem,

że zaraz drugi kupię i znowu wezmę ją do siebie... Ale stało się inaczej... zostało matczyisko u ludzi cudzych... i ja u cudzych... i ty, Michasiu, u cudzych.

— Ja, Pawle, pracuję i na chleb swój zarabiam,
— szepnęła dziewczyna.

Szyło ręką po oczach zwilżonych powiódł.

— Trzeba jechać! — rzekł.

Michalina ramionami opłotła znowu szyję brata i uśmiechnęła się do niego tak, jak tylko prawdziwie dobre, kochające istoty uśmiechać się umieją.

* * *

O godzinie szóstej rozlegało się już w łozowskim domu głośnie stukanie drzwiami, zgrzytanie kluczy w zamkach i tym podobne gospodarskie odgłosy, którym towarzyszyły wołania pani Adeli na służbę. Lokajczyk wyszedł z przedpokoju, obarczony szczotkami i ścierkami, i, z głośnym stukaniem, a cichym szeptem niezrozumiałych wyrzekań, froterował posadzki i ścierał pył w bawialnych salonach. Dziewczęta w garderobie rozpałały ogień na kominie, przystawiając do niego wodę i mléko; z folwarku przywlokła się wieśniaczka, dźwigając różne garnce, kwarty, kwatki, koszyki, koszyczki; kucharz z zaspanemi oczyma wszedł także do garderoby i rzucił na podłogę i rondli. Wszyscy w domu, oprócz najmłodszych dzieci i pana Fabiana, byli na nogach.

Michalina weszła do garderoby i zobaczyła panią Adele, stojącą przy otwartych drzwiach spiżarni, w białej spodnicy, w nocnym czepku i wатовanym długim kaftanie. Panna Antonina, w rannym także i równie zaniedbanym stroju, czyściła przy oknie klatkę, w której kącie senne jeszcze tuliły się dwa kanarki. Pani Eustachya, ubrana w neglig biały, wytoczyła się również ze swego pokoju i, zwracając się do garderobianych, wycedziła z powagą:

— Proszę o kawę!

Michalina uprzejmie pozdrowiła dwie kobiety i zbliżyła się do gospodyni domu. Rezydentki ściagały ją zwrokiem, pełnym niechęci.

— Osoby te — trzepała cichutko panna Antonina — mogły-by poszukać sobie gdzieindziej jakiego zajęcia!... To egoistka, bez serca!

— To prawda — szepnęła również cicho pani Eustachya — komu-to świat reformować? Guwernancisko jakieś?

Z szepców tych można było się domyśleć, że obie antagonistki złączyły się tym razem, i że podsłuchać musiały wczorajszą rozmowę pani Adeli z Michaliną.

Dla pani Adeli pora dzienna była porą zgryzot, irytacji, prac ciężkich i nieustannych. W tej chwili ściagała ona wzrokiem poruszenia kucharza, który napełniał w spiżarni rondle swe wiktuałami.

— Może pani pozwoli, abym ją w czém wyręczyła — uprzejmie do pani domu przemówiła guv

nantka. — Ludka porządkuje swoje książki i nie potrzebuje mię jeszcze w téj chwili....

Pani Adela spójrzała na mówiącą podejrzliwie nieco i wymówiła sucho :

— Dziękuję!

Michalina odeszła. Dwie rezydentki ruszyły się z miejsc swych jednocześnie, jakby sprężyną poruszone, i zbliżyły się, każda z innéj strony, do pani domu.

— Poco ona, proszę pani, wtrąca się w to, co do niéj nie należy?—trzepać zaczęła panna Antonina.— Zapewne, zapewne! chciała-by wziąć klucze w swoje łapki, żeby braciszкови i jego dzieciom przysmaczków dostarczać! W nocy słyszę do braciszka chodziła.

— Chodziła? — z zajęciem szczególném zapytała pani domu.

— A chodziła... zmowy jakieś, konszachty...

— Co do mnie — ozwała się z powagą pani Eustachya — nie mam zwyczaju robić tak niskich przypuszczeń, jak pewne osoby, które są bardzo nabożne, ale rade każdemu łatkę przypiąć. Przez przyjaźń tylko dla domu, w którym przebywam, powiedziéć muszę, że ta panna guwernantka będzie bardzo, bardzo kosztowną...

— Dlaczego ma być kosztowną? — z niespokojnią zapytała pani domu.

— Ale pani Eustachya miała tajemniczą minę prosi, nieżyczącój sobie wcale odkrywać przed ludź-

mi źródła, z których przepowiednie swe czerpie. Wzniosła oczy i wskazujący palec w górę, westchnęła i powtórzyła :

— Już ja pani to tylko mówię, że ta panna guwernantka wiele, wiele kosztować państwa będzie!...

W godzinę potem Michalina siedziała w swoim pokoju przy stole, otoczona czworgiem dzieci.

Ludka i Józio usadowili się po obu stronach nowój swój guwernantki. Elżusia i Staś u jój kolan na stołeczkach. Pomiedzy dziećmi a nową guwernantką zdawała się panować zgoda najzupełniejsza i dobra już znajomość. Michalina postępowaniem swém okazywała niemałą biegłość w zawodzie nauczycielskim. To téz Józio nawet, ów wisus nieposkromiony, wedle zdania jego matki, pisał i czytał z ochotą. Ludka, ucząc się z cicha zadanej sobie lekcyi, zarzuciła na szyję guwernantki drobne swe ramię; Staś i Elżusia powtarzali francuzkie wyrazy, z główkami opartemi o jój kolana i uśmiechniętymi oczkami, utkwionemi w twarz guwernantki.

Po ogrodzie tymczasem przechadzał się pan Fabian po ścieżkach wężykowatych, z książką, której jednak nie czytał. Były to poezye wielkiego wieszczajakiegoś; ale mąż pani Adeli sam w téj chwili układał w myśli wiersz pod tytułem: „do czarnej Lilii.” Od czasu do czasu zrywał kwiaty i wiązał z nich ogromny, bardzo piękny bukiet.

Trwało to dobrą godzinę, poczem pan Fab

znikł z ogrodu i przesiedział zamknięty w gabinecie swym do godziny pierwszej po południu. W porze téj wyszedł na ganek z małą różową kopertą w jednej ręce, a ogromnym bukietem w drugiej, i zawołał przechodzącego właśnie przez dziedziniec stajennego wyrostka.

— Siądź na konia — rzekł, oddając wyrostkowi liścik i bukiet — i jedź do Orchowa. Tam pójdziesz do domu, w którym państwo sami mieszkają... rozumiesz? poprosisz, żeby wyszła do ciebie panna Lila Orchowska i oddasz jój ten list i ten bukiet.

Kwadrans jeszcze nie upłynął, gdy stajenny chłopak opuszczał konno Łozową z różową kopertą w kieszeni świtki i pięknym bukietem w ręce. Różowa koperta zawierała wiersz zatytułowany: „Do czarnej Lilii,” zaczynający się temi słowy:

„Jak jutrzienka różowa w poranku świetlistym,
Tak oczy twe jaśnieją ogniem cudnym, czystym;
Jako wysmukła lilja, w niebo zapatrzona,
Tak postać twa dziewicza czarem obleczona.
Gdy bieg życia wspaniałe wdzięki twe rozwije,
Królową serc okrzyknem dziewicę Lilię.”

Strof podobnych było sześć. Pan Fabian opiewał nich na różne tony młodzieńcze wdzięki Lili i przewiadał im najświetniejszą przyszłość. Była to rwsza ofiara, po owym już panu Jarosławie, za-

palona na ołtarzu piękności młodej dziewczyny, przez człowieka, który miał na głowie ogromną łysinę, a w domu „żonę ze złotém sercem i siedm aniołków.” Mniejsza jednak o to! był to zawsze hołd, było to pierwsze słowo uwielbienia, które zawrócić miało marzącą główkę Lili.

Michalina kończyła już lekcye swe z dziećmi, gdy po domu całym rozległy się wykrzyki: „ktoś jedzie! goście! goście!”

Michalina spójrzała w okno i szkarłatny rumieniec na twarz jój wytrysnął. Przed gankiem, z bryczki małej, wedwa konie zaprzężonej, wyskoczył Mieczysław Orchowski.

Ręka młodej guwernantki, trzymająca pióro nad zeszytem, drżała chwilę, w ustach jój urwało się w połowie wyrazu opowiadanie o dalekich morzach i płynących po nich okrętach, którego dzieci słuchały z nadzwyczajną uwagą. Po krótkiej jednak chwili, zaczęła znowu opowiadać i poprawiać ortograficzne błędy w pisaniu Ludki.

W salonie pan Fabian bawił młodego gościa, pokazując mu liczne albumy, bardzo w istocie smakowne i zajmujące, pełne przeróżnych rysunków, fotografii i poezyi... Mieczysław oglądał albumy, lecz oczy jego co chwila zwracały się w stronę drzwi, hermetycznie zamykających głębie mieszkania.

— Niech pan będzie łaskaw nie obraża s
rzekł, spostrzegłszy się, pan Fabian — że żona L.

nie pojawiła się dotąd... Ona taka zajęta domem i naszymi aniołkami!

Mieczysław skłonił się i wymówił kilka słów uprzejmych; ale Bóg tylko widział, jak niepodobnego wcale do pani Adeli zjawiska oczekiwał od tych zamkniętych drzwi, na które, pomimo przemówienia pana Fabiana, nie przestawał rzucać częstych spojrzeń. Na twarzy jego coraz żywsza zjawiała się niecierpliwość, gdy nakoniec weszła pani Adela, a Grześ, ubrany w nowy surdut, oznajmił podany obiad. Wtedy dopiero z głębi domu doszły do salonu dźwięki dziecięcych choralnych głosów, a we drzwiach, otoczona małym gronkiem, czepiającym się rąk jój i kibici, ukazała się młoda dziewczyna, w ciemnej wełnianej sukni, z bladą twarzą, okoloną bogactwem ciemnych warkoczy.

Oczy Mieczysława strzeliły takim uczuciem, jakiego doświadcza człowiek w chwili spełnienia się gorących jego życzeń. Pragnął ją widzieć... przyjechał tu dlatego tylko, aby ją widzieć! Mówiły to oczy jego, uśmiech uspokojenia, który przesunął się po jego ustach, i lekki rumieniec, który zabarwił mu czoło. Powiedziało to zresztą wzruszenie żywe, z jakim spotkał idącą z wolna wśród dzieci guwernantkę, z szacunkiem głębokim podając jój rękę.

- Tak pragnąłem zobaczyć, jak się tu pani zadowala... — rzekł, i nie dokończył.

Wtedy jego spotkały się ze wzrokiem młodej dziewczyny

czyny, wzruszonym, głębokim, a dłoń, nieposłuszna woli, zamknęła się silnie wkoło drobnój jój ręki.

— Czy pani widzi? — zatrzepała panna Antonina, na ucho pani domu; — wszak to oni romansują z sobą na dobre... *Ona* może ztamtąd dlatego i wyleciała tak prędko! Święty Boże! Święty mocny!

— Już ja pani to tylko mówię — cedziła z cicha z innój strony pani Eustachya — że ta guwernantka wiele, wiele kosztować państwa będzie!....

VIII.

Jak jasna gwiazda na horyzoncie, tak śród szerokiej okolicy nadniemeńskiej, błyszczał białym pałacem swym dwór ręczyński. Pałacyk zbudowany był z woli pani Malwiny, która, późno bardzo wyszedłszy za mąż, wprędce owdowiała i własną się wolą w świecie rządziła; miał on trzy piętra, kilka wieżyczek, cztery wysokie balkony i mnóstwo krętych wschodów. Jaki to był styl architektoniczny, nie rozpoznał-by żaden z najznakomitszych mistrzów budownictwa; pani Malwina jednak była z niego zupełnie zadowolona i, odkąd pałacyk zbudowanym został, nie mówiła inaczej do znajomych swych jak: „przyjechałam do swego pałacu,” „stałam na balkonie swego pałacu” i t. p.

Miejsce, w którym wznosił się ów pałac, było piękne i malownicze. U stóp dość wysokiego wzgórza, rytego sadami i ogrodami, naprzeciw okien pałacu płynął Niemen, a za nim rozciągał się widok

szeroki, na pola, wioski, okoliczne dwory i miasteczka. Wokół wielkiego dziedzińca stały gospodarskie budowle obszerne, murowane z kamienia i dlatego może dość świeżo jeszcze i silnie wyglądające. Ocieniały je dwa rzędy starych drzew kasztanowych, za nimi zaś znajdował się kawał łąki, w wielki krąg ujętej nizkiem ogrodzeniem!

Dzień był październikowy, pogodny, godzina południowa, gdy w owym kręgu łąki, twardej i równej, Konrad Ręczyc przypatrywał się bieganiu na linie ulubionych swych koni. W środku objętej ogrodzeniem przestrzeni stał mastalerz, trzymając powróż, na którym uwiązany piękny koń czystej krwi angielskiej, z grzywą i ogonem na wiatr puszczonemi, zakreślał ogromne koła. Konrad, w palonych butach i kraciastym spencerze, przypominającym krojem swym ubranie dżokejów, stał, oparty plecami o ogrodzenie i, z uśmiechem zadowolenia na ustach, ścigał wzrokiem bieg konia; ile razy zaś ten w pędzie swym zbliżał się do niego, rozwijał trzymany w ręku bicz kilkołokciowej długości, który przerzywał powietrze z przeciągłym gwizdem i wydawał w końcu klaśniecie głośne, konia do zdwojenia szybkości biegu pobudzające.

Niedaleko miejsca tego, szerokie wrota jednej z murowanych budowli na oścież były otwarte. a wkoło nich uwijało się gorliwie pięciu stajenny ludzi, wyprowadzając ze stajni konie różnej wielko-

i maści, które zmieniały się, przybywały, odchodziły, aż nakoniec skończyło się bieganie i rozpoczęło ujeżdżanie młodych koni, lub przejeżdżanie starszych, już wyćwiczonych, którą-to czynnością zajmowali się sam pan, mastalerz i dwóch stajennych.

Konrad, zbliżywszy się podczas jazdy ku dziedzińcowi, zobaczył zakręcający na dziedzińcu jednokonny wózek, a na nim siedzących dwóch Izraelitów.

— Jacy to żydzi? — zapytał mastalerza.

Mastalerz przymrużył oczy dla lepszego widzenia i odparł:

— Zdaje się, że to dzierżawcy Orchowa: Eli Makower i Efroim Lejbowicz.

Konrad zasepił się nagle. Miał snadź powody obawiać się izraelskich gości, a choć z dwoma przybywającymi nie łączyły go dotąd żadne interesa, to jednak, gdzie żyd się ukaże, tam zawsze dopominanie się o dług jest prawdopodobne... choć także i zaciągnięcie pożyczki może być...
...

Ostatnia ta myśl uspokoiła snadź nieco syna pani Malwiny, bo, raźnie zeskoczywszy z konia, a bicz zamieniwszy na spicrutę ze złoconą gałką, przeskoczył ogrodzenie ujeżdżalni i szybkim krokiem zmierzał ku pałacowi.

Wózek tymczasem pokornie zatrzymał się na uboczu. w pobliżu bramy, a przybyli nim Izraelici, jeden młody z rudawym zarostem, drugi z wielką, czarną brodą, porozmawiawszy z sobą pocichu,

zaczęli iść w takim kierunku, aby w połowie dziedzińca spotkać się z panem domu.

Konrad szedł szeroką, zwirowaną drogą, zamasy-
stym krokiem, wywijał szpicrutą i pogwizdywał z lek-
ka. Żydzi posuwali się wązką ścieżyną, wśród mura-
wy dziedzińca wydeptaną, stąpali powoli i cicho, jak-
by obawiając się przejściem swém szkodę jaką wy-
rządzić. Eli przodował: trzymał się prosto i z po-
wagą, rękę do ruděj bródki podnosząc; Efroim,
przygarbiony, z pod brwi strzępiastych badawcze do-
koła rzucając spójrzzenia, ręce zatapiał w kieszeniach
chałata.

— Dzień dobry Jasnemu Panu! — pozdrowił
Eli, gdy kilka już tylko kroków dzieliło go od Kon-
rada.

Efroim nie rzekł nic, ale ukłonił się daleko ni-
żej od Elego. Wysoka postać jego, barczysta i przy-
garbiona, nabierała w ukłonie elastyczności szcze-
gólněj.

— Dzień dobry! dzień dobry! a zkąd to? — od-
parł, zatrzymując się, Konrad.

— My posesory z Orchowa...

— Wiem, wiem!... A co panowie powiecie?

— My do Jasnego Pana z interesem.

Odpowiedzi tych udzielał Eli. Efroim ust nie
otwierał, a tylko oczy jego czarne tonęły coraz g-
biěj w twarzy dziedzica Ręczyna.

— Jakiż to interes? — zapytał Konrad, z trochę niespokojności w głosie.

— To jest taki interes, którego trzema słowami opowiedzieć nie można. My chcieli-by z Jasnym Panem na osobności pogadać...

— Dobrze, proszę do pokoju!

Zmierzali wszyscy trzej ku pałacowi. Gospodarz domu szedł przodem, żydzi postępowali z tyłu, milcząc i rozglądając się dokoła.

— Jasny Pan coś buduje? — przerwał milczenie Eli, i wskazał na budowę obszerną, na-pół już z drzewa wzniesioną, około której dokończenia krzątali się ludzie, zgrzytały piły, stukały topory.

Konrad spójrzył na punkt wskazany.

— A tak — rzekł — to będzie stajnia.

— Piękna będzie stajnia! — zauważył Eli.

Efroim skośne spójrzenie rzucił na jedną stajnię murowaną i końmi napełnioną, na drugą budującą się i na ich właściciela, i szybki, jak błyskawica, kręty uśmiech przewinał mu się po ustach.

Z obszerniej sieni, która była-by ładna, gdyby nie szpeciły jej posążki i lusterka najgorszego smaku, pan domu i dwaj przybyli weszli do sali jadalnej, błyszczącej od złoconych obić, woskowanych posadzek i politurowanych mebli. Tu Konrad zatrzymał się, usiadł na jednym z krzeseł, dwa inne zaś, bliskości drzwi stojące, izraelskim gościom swymazał.

— Siadajcie, panowie — rzekł. — Jakiż tam interes ?

Żydzi usiedli, a Eli piérwszy głos zabrał :

— Prawdę mówiąc, ja tu nie miał potrzeby przyjeżdżać sam ; to nie mój interes, tylko mego szwagra i spółnika, Efroima Lejbowicza.

Mówił to powoli, z uśmiechem i, nie odwracając głowy, wskazał ręką umieszczonego za plecami swemi, towarzysza.

— *Un* chciał by u Jasnego Pana majątek w arendę wziąć... Czy Jasny Pan *puści* jemu Ręczyn w arendę ?

— Jakże ja mogę — odparł — mówić z wami o dzierżawie Ręczyna, kiedy kontrakt Josiela skończy się ledwie za rok?...

Eli głową przytwardzająco kiwał.

— Nu — rzekł — albo my o *tego* nie wiemy ? A jeżeli Josiel ustąpi nam ten rok?... Jasnemu Panu wszystko jedno, byle *un* do Jasnego Pana pretensyi żadnej nie miał.

— Jakto? chcecie wziąć Ręczyn na rok jeden ?

— Na rok ? — powtórzył Eli — kto to arenduje majątki na rok ? Jeżeli między Jasnym Panem i Efroimem stanie zgoda, to *un* u Jasnego Pana Ręczyna inaczéj nie weźmie, jak na dziewięć lat... nu, niech na sześć...

— Na sześć ! na dziewięć ! — zawołał Kowczywo, powstając z krzesła. — Ho, ho ! jak to

łatwo powiedzieć! Trzeba-by chyba waryatem być, żeby na tak długi czas majątek w wasze ręce oddawać. Josiel trzy lata dopiero w Ręczynie gospodaruje, a co on już z tym majątkiem zrobił! Ziemię mi niszczy... budowli nie naprawia... łąk nie czyści... Na dziewięć lat! Jak Boga kocham, to śmieszna nawet propozycja. Na ten jeszcze rok bierzcie sobie Ręczyn od Josiela, to już nie moja rzecz; ale później, nie wydzierżawię... jak Boga kocham, nie wydzierżawię! Będę sam gospodarował i pokażę wam wszystkim, co to Ręczyn, i czy ja tyle będę z niego miał, ile mi Josiel płaci.

Mówiąc to, szerokimi krokami przebiegał salę, rozmachywał rękoma, a głos i wyraz jego twarzy świadczył o silnym postanowieniu utrzymania się przy wypowiedzianych zamiarach.

Żydzi milczeli; Eli z zamysleniem patrzył w ziemię, a Efroim, z postacią na przód podaną i otwartymi nieco ustami, ściagał pilnie wzrokiem każde poruszenie pana domu.

Eli pierwszy znowu przerwał milczenie.

— Przepraszam Jasnego Pana, że ja ośmielę się jeszcze dwa słowa tylko w tym interesie powiedzieć. Ale, jak to mówią: kupić, nie kupić, potargować wolno... co to szkodzi? Otóż ja Jasnemu Panu to tylko chciał-bym powiedzieć, że Efroim nie taki gospodarz,

Josiel... Josiel dobry człowiek, ale biedny; jego z pieniędzmi kuso, i dlatego *un* rzuca się, jak

ryba w wodzie, a gospodarstwo może i nie tak idzie, jak trzeba. Efroim, dziękować Bogu, ma za co gospodarstwo prowadzić... *un* Jasnemu Panu zaraz sto pięćdziesiąt sztuk bydła do majątku wprowadzi, a arendę może choćby i za dwa lata z góry Jasnemu Panu zapłacić...

Początku mowy żyda Konrad słuchał z widoczną niecierpliwością, nie przerywając przechadzki swój po sali i uśmiechając się z lekceważeniem; końcowe przecieź mowy téj wyrazy wywarły na niego wpływ widoczny. Staął, ręce w tył założył, i pochylony ku żydom, powtórzył:

— Za dwa lata z góry? No, no, każdy z was tak mówi, gdy chce interes zrobić; ale jak przyjdzie co do czego, zaczyna się jęczenie, narzekanie...

— Nu — przerwał Eli — na co tu jęczenie? kiedy Jasny Pan chce, to my Jasnemu Panu zaraz zadatek dać gotowi... Ile Jasny Pan żąda?

Konrad, z pochyloną głową i rękoma w tył założonemi, puścił się na zamaszystą swą po sali przechadzkę. Żydzi milczeli, jak wprzód.

— Nie! — rzekł po chwili pan domu, stając i jakby wewnętrzzną jakąś chwilową walkę stanowczo rozstrzygając — nic z tego nie będzie, moi kochani. Mnie majątku szkoda... sam gospodarzyć będę. Wy nigdy nie możecie mi dać tego, co ja z Ręczyna mieć muszę. Do zobaczenia!

Skinął głową na znak pożegnania i miał ju



odejść w głąb' domu, gdy milczący dotąd Efroim powstał z krzesła, jak sprężyną ruszony, i rzekł :

— Za pozwoleniem Jasnego Pana, ja jeszcze tylko słówko powiem. Jasny Pan zgodzi się, czy nie zgodzi... wola Jasnego Pana, ale ja powiem... Ja tu już zadatek przywiózł ze sobą. Kontrakt napiszemy później... My Jasnemu Panu wierzymy i wiemy, że Jasny Pan nie będzie chciał tego, co nie może być... Ja te same warunki przyjmę, co Josiel, a *pieniądzów* dam więcej... Tymczasem ja zadatek przywiózł... dwa tysiące *rublów*. Jeżeli Jasny Pan żąda, to ja te dwa tysiące gotówką zapłacę; a jeżeli Jasny Pan chce dla mnie bardzo już wielką łaskę zrobić, to weźmie tylko tysiąc dwieście, a za ośmset ja Jasnemu Panu czterech *koniów* dam... ale takich koniów... karetnych... ja ich u księcia R. za dług wziął, i teraz nie wiem, co z niemi robić...

— Któreż to konie księcia? — przerwał Konrad — te, któremi on sam jeździł, czy może te, co zawsze do kocza zaprzęgali, kiedy księżniczki jechać miały?

— *Un* niemi nie jeździł wcale, i do kocza ich jeszcze nie zaprzęgali, bo to konie młode, ze stadniny.

— Ze stadniny księcia? — zawołał Konrad — a to, jak Boga kocham, osobliwość! Czy nie po Turncie, co to na wyścigi do Warszawy chodziła?

— Po Turczynie — odpowiedział Efroim, przy-

twierdząco głową kiwając — i po *tego ogiera*, co to jego księżę zkądcis sprowadził.

— Po Białonogim! — zawołał Konrad. — Ależ to, jak Boga kocham, rzecz dziwna, że księżę je tobie oddał! One u ciebie zmarnieją. Czy nie nakrywasz ich na noc derkami?

Dobył cygarnicy ozdobnej z kieszeni surduta i, wyjąwszy z niej dwa papierosy, jeden zapalił sam, drugi podał Efroimowi. Efroim wziął papieros, nie zapalił go jednak, lecz, mówiąc pośpiesznie: „dziękuję Jasnemu Panu!” oddał Konradowi zwykły swój, niski, elastyczny ukłon.

— Siadaj, siadaj, panie Efroim! — rzekł pan domu, którego twarz wyrażała w tej chwili wielką uprzejmość i jak najlepszy humor. — Gdzież u ciebie stoją te konie? czy w Orchowie? Ale tam stajni bodaj porządnej niema. Trzeba-by im podściółki z cienkiej słomy, bo jeżeli one po Białonogim i Turczyńce, to muszą być delikatne w lędźwiach i miękkie w kopytach...

Nagle, jakby przypomniał sobie coś, wyjął z cygarnicy trzeci papieros i zwrócił się z nim ku miejscu, na którym poprzednio siedział Eli. Ale Elega w sali już nie było. Zaraz przy pierwszych słowach Efroima o zadatku, mającym być w części wieszczonym w postaci koni, zamienił on ze spółnik swym szybkie spójrzenie i powoli, na palcach,

mniejszego nie czyniąc szelestu, wysunął się z sali przez drzwi najbliższe.

Niedarmo Eli przez lata długie był naprzód faktorem, potem kupcem, handlującym zbożem i drzewem. Znał on okoliczne dwory szlacheckie, jak własne swe mieszkanie; wiedział, gdzie w nich położone są pokoje panów i apartamenta pań, w której stronie domu znaleźć można służbę męską lub żeńską.

Opuścił się pałacową, wyszedł na dziedziniec krętymi schodami i dostał się na jeden z czterech bocznych balkonów. Tu znalazł drzwi na-pół oszkłone, które otworzył z wolna i bez łoskotu, a przestąpiwszy próg, stanął w dużym, widnym pokoju, napełnionym od sufitu do podłogi szafami i komodami. Była to garderoba, a w niej dwie panny-służące, siedząc u okien, haftowały, trzy inne prasowały musliny, żagnoty i koronki, szósta zaś, najniżej snadz w hierarchii garderobianej położona, w spodnicy brudnej i zgrzebniej koszuli, stała przed ogniem, wyjmując z niego rozpalone do czerwoności dusze, i podawała je prasującym. Prócz téj ostatniej dziewczyny, służące pałacowe w Ręczynie były prawdziwemi *pannamami*, ładnemi, zręcznemi, gustownie i fertycznie ustrojonymi.

Eli zatrzymał się przy progu, powiódł oczyma po liczniem gronie niewieściem i z uśmiechem wymówił:

— Dzień dobry panienkom!

Panny haftujące podniosły na niego oczy.

— Ach, pan Eli! — wyrzekła jedna z nich uprzejmie — zkądże to Pan Bóg prowadzi?

— Kto to panu Elemu pozwolił tu wchodzić? tu mężczyznom wstęp wzbroniony! — pogroziła druga.

— Może pan Eli cukierków nam przywiózł, tak jak trzy lata temu, kiedy to u pani zboże kupował...

— Pan Eli przyrzekł wtedy, że wystara się dla nas o kawalerów. Gdzież ci kawalerowie?

Szczebiotały-by dłużej jeszcze, rade, że obca twarz jakaś przerwała haremową monotonność ich życia: lecz Eli, który od początku rozmowy postąpił w głąb pokoju i stanął przed ogniem, wygodnie o komodę oparty, zawołał:

— Ny, ny! jak panny będą tak gadać ciągle, to ja do końca świata nie będę mógł nic powiedzieć. Niech panny trochę pomilczą, to ja na *wszystkiego* odpowiem. Cukierków ja nie przywiózł, bo niema jeszcze za co. Jak będzie za co, to ja przywiozę. A jaka przyczyna mnie tu przyprowadziła? Nu, jaka ona może być? tylko ta, że chciał-bym widzieć się z jasną panią.

— Pani jeszcze nie ubrana — rzekła jedna z panien haftujących.

— A na co mnie ubranie jasnej pani? niech ona sobie będzie nieubrana, żeby ja tylko mógł z nią pogadać.

— Czy pan Eli ma jaki interes?

— Kiedy ja tu przyjechał, to z interesem. Ja na spacer nie jeżdżę.

Żyd stał przed kominem, poły odświętnego snadź, bo czystego, połyskującego chałata rozgarnął, i kolana sobie przed ogniem wygrzewał. Jedna z panien zaszeleściła suknią i z garderoby wybiegła do pani. Po chwili wróciła.

— Niech pan Eli idzie — rzekła. — Czy pokaza drogę?

— Na co ją pokazywać? — rzekł żyd, od kominu odstępując — nie raz ja tu już był i nie dziesięć razy.

Pani Malwina, w białym negliżu, obficie przystrojonym w hafty i różowe kokardy, siedziała na małej kanapce, umieszczonej w saloniku, który-by na pierwszy rzut oka wziąć można było za magazyn drobiazgów, tyle tam znajdowało się sprzętów i sprzączeków najrozmaitszego rodzaju: poduszek w przeróżny sposób wyszywanych, taburecików z włóczkowemi kotkami i pieskami, ekranów z pasterzami i rybakami, obrazków, sztychów, zwierciadeł i zwierciadełek na ścianach, flakonów, dzwonek, posążków z gipsu, z porcelany, ze szkła, na stołach i stoliczkach. Samych lamp było tam ze sześć, a na każdej z nich wisiało po parze ażurowych przykryć. Wszystko to razem tworzyło całość bardzo nieładną, bardzo niegumną, przedstawiającą sumę wartości, tak estetycznej, jak materyjalnej, żadną prawie, sumę zaś kosz-

tów, na zgromadzenie szczegółów i szczegółików tych poniesionych, ogromną. Przez drzwi, na-pół tylko zamknięte od sąsiedniego pokoju, słychać było rozmawiające z ozywieniem po francuzku głosy kobiece, w pobliżu zaś drugich drzwi, niedaléj jak o parę kroków od nich, stał Eli, z rękoma w tył założonemi, i słuchał bardzo uważnie szczebiotania pani domu.

Zaraz po przywitaniu, zapytał ją o zdrowie.

— Ach, mój Elku kochany! (pani Malwina, po dawnéj znajomości, używała w rozmowie z nim zdrobniałéj formy imienia), remarkuj tylko sobie, jakie to może być zdrowie, kiedy się siedzi na wsi, jak na pustyni! Migrenę miewam codzién prawie... a co wieczór, tak mnie dusi poziewanie nerwowe, że nie mogę sobie miejsca znaleźć w całym pałacu... Wczoraj szczególniéj dostałam takiego ataku, że... remarkuj sobie, o ósméj godzinie położyłam się do łóżka... Jakie tam może być zdrowie, Elku kochany, na pustyni...

Mówiła to wszystko z wielkim zapałem, przerywając sobie śmiechem i westchnieniami i giestykulując żywo pulchnemi rączkami, w których trzymała kłębuszek jakiś z cieniutką bawełną i srebrne widełki, przeznaczone widać do robienia szlarczki, czy koroneczki.

— Przepraszam Jasną Panią — zaczął żyd powoli i z przyjemnym na ustach uśmiechem — ale muszę pani powiedzieć, że kiedy jasna pani cho

i tego poziewania dostaje, to jasna pani sama temu winna... Dlaczego Jasna Pani nie szanuje się?...

Pani Malwina szeroko od zdziwienia oczy otworzyła.

— Ależ ja szanuję się, mój Elku, szanuję się tak, że już więcej nie można! Figuruj sobie, że od miesiąca krokiem nie ruszyłam się z pałacu... chyba karetą... Codzień na noc biorę krople laurowe... piję oranżadę i nic nie jem, prócz piersi od jarzabka i konfitur.

— Nu — rzekł Eli — czy to Jasna Pani tak szanować się powinna? Te krople, o których jasna pani mówi, i te jarzabki, dobre, ale jasnej pani czego innego potrzeba... Jasnej Pani do Paryża trzeba na mieszkanie wyjechać, to tam zaraz i doktory dobre, i weselój, i poziewanie-by ustało...

— Ach, mój Elku! — krzyknęła pani Malwina, podskakując na kanapie i wypuszczając z rąk kłębuszek — co téż ty mówisz! co téż ty sobie imainujesz! Ja do Paryża na mieszkanie?... Wy o paryzkich bulwarach i wyobrażenia nie macie!... Co wieczór tak tam jasno, że szpilki można zbierać po ulicy. Ale czy to teraz takie czasy, mój Elku, żeby do Paryża na mieszkanie jechać?... Ja Koniowi co dzień prawie mówię: Jedź do Paryża! słyszane to rzeczy, aby dy człowiek *comme il faut* Paryża nie widział? on wybiera się, wybiera, a potem... bęc! coś na niego spadnie, i znowu jechać nie może.

— Nu — przerwał Eli — a co takiego na Jasnego Panicza spada?

— A cóż, jeśli nie kłopoty, mój Elku. Czasy ciężkie! Konrad ma taką pasyą do tych koni!... ot i teraz stajnią dla nich buduje... czy myślisz, że to mało kosztuje? Jak tu przy tém wszystkiém o Paryżu jeszcze myśleć?

— Nu, to niech Jasna Pani choć do N. wyjedzie.

— Do N.? Ależ figuruj sobie, moja duszo, ile to expensów pociągnie. Trzeba mieszkanie nająć, stosowne naturalnie meble z Warszawy sprowadzić, a i toaleta zaraz inna.

— Co to Jasnej Pani o to biedować? Już ja Jasnej Pani mówię, żeby ten interes tylko zrobić, co ja radzę...

Pani Malwina obie ręce do uszu podniosła.

— Elku! — zawołała żałośnie — nie mów mi nic o interesach; ja do nich nigdy żadnej inklinacji nie miałam!... Oj, poziewane!

— Nu — rzekł Eli z uśmiechem — ja tylko kilka słów powiem... Tu jest jeden żydek, mój szwagier, co chce od jasnego pana Konrada Ręczyn w arendę wziąć... *Un* każdego roku wyprawia zboże do Królewca i sam jeździ...

— Do Królewca jeździ? co rok? — z nagłym zainteresowaniem się zawołała pani Malwina.

— Każdego roku zboże do Królewca po a czasem to i sam jeździ. Jakby *un* Ręczyn w ar

dę *wziął*, to *un* Jasnej Pani mógł-by zawsze wszystkiego z Królewca przywozić.

— A w tym roku pojedzie?

— Dlaczego nie ma jechać?

— A, mój Elku kochany! jaki ty dobry jesteś, że mi o tém powiedziałeś! Tyle mi rzeczy potrzeba! Jak twój szwagier będzie się wybierał, to ci dam rejestrzyk... zobligujesz mnie mocno... A kiedy on pojedzie?

— *Un* zawsze na wiosnę jedzie.

Rozradowana twarz pani Malwiny zasępiła się trochę.

— Na wiosnę? — powtórzyła z lekkim westchnieniem. — Widzisz-bo, mój Elku... na wiosnę jakoś najtrudniej... remarkuj sobie, rzecz śmieszna... Dawniej przednówki u chłopów bywały, a teraz bywają i u nas.. Żeby tak twój szwagier zrobił to dla mnie i pojechał w jesieni...

— *Un* w jesieni jechać nie może, ale jeżeli *un* Ręczyn w arendę weźmie, to da teraz *dwa tysięcy* zadatku, i Jasna Pani pojedzie na zimę do N., a na wiosnę *un* arendę za dwa lata zapłaci, to przednówka nie będzie. Trzeba tylko, żeby *un* Ręczyn w arendę *wziął*.

— To niech bierze, duszo moja! — zawołała pami Malwina — niech bierze!

— A jak *un* ma wziąć, kiedy Jasny Pan Konrad *ie* nie chce?

— Konio nie chce? Dlaczego nie chce?... Co rok do Królewca jeździ!... mogła-bym wyjechać do N. na mieszkanie, meble z Warszawy sprowadzić... figuruję sobie, że teraz najmodniejsze niepolitutowane...

— Jasny Pan Konio Ręczyna *puścić* nie chce — z cicha, do przedmiotu rozmowy szczebioczącą kobietę zwrócił Eli.

— Dlaczego nie chce? on chyba tak sobie kaprysi... Ach, mój Elku! do N. na zimę! Niech tobie Pan Bóg wynagradzi!

— Jasny Pan Konio Ręczyna *puścić* nie chce — powtórzył żyd.

Pani Malwina poskoczyła z kanapki.

— Jakto nie chce? dlaczego nie chce? Oj, poziewanie moje, poziewanie!

— Niech Jasna Pani z Jasnym Panem Koniem pogada.

— Idę, idę, mój Elku! pomówię z Koniem. A nie widziałeś czasem, gdzie on jest?

— *U*n tam w sali z moim szwagrem rozmawia.

— Idę, idę, i muszę zobligować go, żeby to zrobił. Parę koni trzymać będę w N... Kabryolet od Rentla... Dwie sztuki weby... aksamit dla Róży... basty królewiecki...

Ostatnie wyrazy mówiła już za drzwiami sąsiedniego pokoju.

Eli tymczasem, opuściwszy apartament pani do spotkał się u stóp krętych wschodków z idącym

przeciw niemu Efroimem. Żydzi spojrzeli na siebie, i błyskawiczne uśmiechy przeleciały im po ustach. Wnet jednak stali się poważnymi bardzo i, z wolna krocząc wąską ścieżyną ku folwarcznym zabudowaniom, zamieniali z cicha tylko wymawiane słowa.

— No cóż?... — zapytał Eli.

— A cóż? — odpowiedział Efroim — powiedział, że pomyśli i z matką pogada... Kazał poczekać u Josiela. A ona?

— Ona? poszła pogadać z synem... Zkąd tobie, Efroim, przyszły na myśl te konie?

— A zkąd tobie przyszło na myśl *do niej* iść?

Eli skinął głową.

— Nu — rzekł — już ja ją dobrze znam, a ty *jego* piérwszy raz dziś widział.

Efroim ukazał znowu w szybkim uśmiechu białe zęby.

— Ja dziś z *nim* piérwszy raz gadał, ale ja *na niego* dawno już patrzę, a dziś, jak z blizka popatrzałem... no...

Przerwał sobie i po chwili dodał:

— Na nich trzeba tylko dobrze popatrzeć, a potem, to już tylko...

Uczynił taki ruch palcami, jakby miał pochwycić coś w powietrzu, i umilkł.

Li pokiwał głową.

— Głupie ludzie! — rzekł.

— A jakie pyszne! aj, aj! — z ironią dodał Efroim.

— A czemu *oni* nie mają być pyszne? *hörste* — wymówił Eli i, zatrzymując się nagle, dodał: — *sieh!*

Z ostatnim wyrazem rękę przed siebie wyciągnął i wielki krąg w powietrzu nią zakreślił, jakby wskazując liczne, otaczające przedmioty.

Z miejsca, na którym stali dwaj żydzi, można było ogarnąć cały dwór ręczyński i znaczną część otaczającej go przestrzeni. Nad dachami pięknych, murowanych budowli, zwieszały się gałęzie rozłożystych kasztanów; pałacyk, w lekkich i wdzięcznych, jakkolwiek dla oka znawcy niepoprawnych zarysach, wznosił się na tle nieba błękitnego i złocistej teraz, ogrodowej gęstwiny; za sztachetami biegły pola równe, szerokie, pasami łąk i lasów poprzerynane; na folwarcznym dziedzińcu ryczało bydło, a z-za ogrodu dołatywał poważny szum Niemna.

Dwaj żydzi wodzili dokoła wzrokiem, w którym zapalały się coraz liczniejsze, coraz żywsze i migotliwsze światła.

— Aj, aj! — westchnął Eli — żeby to ja miał to wszystko, czy ja-by tak z rąk wypuszczał, jak ten głupi?

Pięści Efroima ścisnęły się powoli i silnie.

— Głupi ty sam, Eli! — wyrzekł przez zaciśnięte zęby. — A czy ty kiedy widział, żeby żyd miał takie dwory i takie ziemie? Żydzi tego nigdy nie mają, im tego nie wolno mieć...

— Niech biorą to, co im wolno — uśmiechnął się Eli, wracając do zwykłego sobie spokoju.

Z ostatnimi słowy, przekroczył próg folwarcznej oficyny, a za nim postąpił Efroim.

Nie upłynęło pół godziny, gdy chłopak kredensowy przybiegł z pałacu.

— Panie Josiel! — zawołał — pan prosi pana Josiela i tych kupców, co tu dziś przyjechali.

Trzój Izraelici znaleźli pana domu, przechadzającego się po sali jadalnej i bardzo zamyszonego.

— Siadajcie panowie — rzekł Konrad na widok wchodzących. — Namysliłem się... pomówiłem z moją matką... Bierzcie już Ręczyn, czy co... ale ja na dłużej nie oddam, jak na trzy lata.

— Przepraszam Jasnego Pana — wtrącił Efroim, ze zwykłym sobie, niskim, szybkim ukłonem — ja na trzy lata nie wezmę...

— No, to ruszaj sobie, mój kochany, z Panem Bogiem. Ja na dłużej nie zaprzędam Ręczyna. Jak Boga kocham, nie zaprzędam! Cóż to? czy ja całe życie mam tylko patrzeć, jak wy mi tu gospodarować będziecie pod nosem? A jaż to sam, kto jestem?

— Jasny Pan jest Jasnym Panem — wtrącił z nowym ukłonem Efroim. — Co to Jasnemu Panu szkodzi, że my będziemy pracowali, a Jasny Pan będzie tylko od nas brał gotowych pieniędzy.

— Dziękuję! — zawołał Konrad. — Zniszczycie majątek. Czy to ja waszego gospodarowania nie

znam? Chcecie, to bierzcie na trzy lata; na dłużej, jak Boga kocham, nie oddam.

Mówił to z pewnym wzburzeniem i wyrazem silnego postanowienia na twarzy. Eli zwrócił się ku współnikowi i spójrzał na niego znacząco. Efroim sięgnął do kieszeni chałata, i wyjąwszy z niej sporą pakę asygnat, podał je Flemu, który z pieniędzmi w ręku zbliżył się do stołu.

— Nu — rzekł z uśmiechem — niech Jasny Pan nie gniewa się. Wszystko to można zrobić tak, żeby i Jasny Pan był kontent, i Efroim nie odjechał ztąd z niczém. Moja rada taka. Na co teraz o warunkach gadać? Do wiosny jeszcze daleko, a nim ona przyjdzie, i Jasny Pan namyśli się, i Efroim namyśli się. My tymczasem Jasnemu Panu zadatek damy, a Jasny Pan *takiego* tylko nam *zareczenia* napisze, że, jeżeli na wiosnę zgoda będzie z Efroimem o warunki kontraktu, to Ręczyn zostanie przy nim, a pieniądze przy Jasnym Panu, a jeżeli zgoda nie będzie, to Jasny Pan *pieniądzów* jemu odda, a on pretensyi żadnej mieć nie będzie. A co, czy ja nie dobrze poradziłem?

Mówiąc tak, rozkładał na politurowanym stole storublowe asygnaty.

— Nu! — zawołał Efroim, jakby po namyśle — gut! Niech tak będzie, jak Eli powiedział. Niech moje pieniądze u Jasnego Pana leżą, to ja zawsze będę

miął pierwszeństwo, a Jasny Pan niech mnie *takiego* kartkę napisze.

Propozycja była, z pozoru sądząc, arcy-niewinną, i bardziej dla *Jasnego Pana*, niż dla żydów, dogodną. Zechce po kilku miesiącach wydzierżawić majątek — to wydzierżawi go; nie zechce — to odda tylko pieniądze, a z majątkiem uczyni, co mu się będzie podobowało. O procentach nawet od umieszczonego w ten sposób kapitału żydzi nie wspominali ani słowa. W dodatku asygnaty storublowe, które Eli rozkładał na stole, były takie powabne!...

Nagle żyd przerwał sobie liczenie asygnat.

— Czy Jasny Pan każe *dwa tysięcy* rubli przeliczyć, czy *tysiąc dwieście*, a za resztę tych koniów?

— Héj! Karol! — zawołał Konrad na lokaja — papieru i kałamarza.

Nie zaprosił izraelskich gości swych do gabinetu, tak, jakby to uczynił każdy z okolicznych dziedziców, ale przyrzędy do pisania przynieść kazał do sali jadalnej; uczynił to zaś dla téj prostej przyczyny, że, w niezmiernie tylko wyjątkowych i rzadkich wypadkach spełniając akt czytania i pisania, pokoju oddzielnego w tym celu nie posiadał. Z wyszukaniem téż papieru i atramentu zachodzić musiała w pałacu ręczyńskim trudność niejaka, bo, wysłany po te przedmioty lokaj długo nie wracał, aż nakoniec przyniósł rebrną tacy ówiartkę welinowego papieru i kaławk damski malutki, ze złożonym czubkiem.

Konrad napisał żądany dokument. Pisał długo i z widoczną trudnością. Kaligrafia i ortografia jego objawiały zarówno człowieka, który miał szczęście ukończyć, co najwyżej, cztery gimnazjalne klasy, i studyów naukowych, tam rozpoczętych, nigdy już dalej nie prowadził. Dla żydów przecież było to rzeczą zupełnie obojętną, jak i na czém był napisany dokument, który bardzo błogie wzbudzał w nich snadź nadzieje, bo, opuszczając pałac, mieli miny ludzi, co dobry zrobili interes. Na twarzy Elego, spokojnej zawsze i poważnej, najmniej odbijały się wewnętrzne uczucia, ale czarne oczy Efroima błyskały i śmiały się, gdy zstępował ze wschodów ganku, a Josiel miał także uśmiech zadowolenia na ustach. Ten ostatni nie był wcale podobnym do dwóch swych współtowarzyszy. Z powierzchowności jego odgadnąć można było jednego z bardzo nielicznych Izraelitów, w których flegmatyczny charakter i pewna wrodzona życzliwość ku ludziom równoważyły, a nawet przeważały, pociąg do spekulacji pieniężnych i żądę zysku. Nie odrzucił-by zapewne zarobku, ale nie chciał okupywać go kosztem kłopotów i niebezpieczeństw, ani zdobywać go cudzą krzywdą. Dla tego to wszystkiego Ręczyn był mu stanowiskiem niedogodnym, które z pomocą przyjacielskiego pośrednictwa Elego, usiłował zdać na Efroima.

— *Un* sobie lepiej tu poradzi od ciebie — rz

Eli z uśmiechem, wskazując na szwagra i zasiadając na ławie w izbie Josiela.

— Dziękuję, Eli — rzekł — dziękuję! Żeby nie ty, może-by ja sam nie dał *jemu* rady.

Ścisnęli sobie dłonie. Posepna nieco twarz Efroima, rozjaśniła się zyczliwym uśmiechem, a w głosie jego szczerą była wdzięczność.

— Ot co tam! — odparł Eli — albo ty nie mój szwagier? albo ty nie *nasz*?

Wyraz *nasz* ze szczególnym wymówił przyciskiem: dźwięczało w nim głębokie i żywe poczuwanie się do solidarności, do obowiązków pewnych względem wszystkich tych, których wyraz ten ogarniał.

— Ale — dodał — ty-by i beze mnie poradził sobie. Kto *tych koniów* wymyślił?

Zaśmieli się wszyscy trzej.

— Nu — rzekł rozweselony Efroim — ja wiedział zaraz, że jak ja o koniach *jemu* powiem, to *un* będzie mój. Ale, jak *un* zaczął potem krzyczeć, że na sześć lat majątku nie *puści*, to już ja i sam nie wiedział, co robić.

— A ja wiedział — rzekł Eli. — Trzeba było tylko, żeby *un* pieniądze wziął. Wziąć to łatwo, ale oddać!...

— A jak odda? — zagadnął Efroim, chwytając się za czarną brodę.

— Aj, aj! już ty o to spokojny bądź! *Jemu* nie oddawania idzie, tylko do brania. Im na wiosnę

tyle pieniędzy będzie trzeba, że i na dziesięć lat majątek puszcza, a tego, co wzięli, nie oddadzą...

— A za posiewy, co ja zrobił? — zagadnął Josiel.

— Nu, o to już wy z Efroimem pogadajcie, mnie do tego nic.

Żona Josiela postawiła na stole przed trzema rozmawiającymi chleb, sól, dwa śledzie na wyszczerbionym talerzu, i trochę prostej wódki w butelce. Eli wódki nie tknął, ale śledzia jadł i chlebem przekąsywał. Zarazem w milczeniu i uważnie słuchał ożywionej rozmowy, która wszczęła się pomiędzy Efroimem i Josielem. Rzecz szła o zwrócenie temu ostatniemu kosztów, na gospodarstwo w Ręczynie wyłożonych. Josiel wyliczał je inaczej, a Efroim inaczej. Przez dobry kwadrans trwało wzajemne przekonywanie się, za pomocą szeregu liczb, wymawianych i na palcach ukazywanych, poczem chciwa i namiętna natura Efroima zaczęła brać górę nad flegmatycznością i skłonnością do ustępstw Josiela. Kiwał głową, wzdychał, za włosy się chwycił, opór niejaki stawiał jeszcze; ale Efroim obrotnym językiem i natarczywymi gestami przypierał go do muru. Nagle Eli wstał z ławy i, podchodząc do sprzecających się, wymówił z wolna:

— *Still*, gadaliście długo i ja wam nie przeczkał; teraz ja powiem słowo.

Dwaj targujący się umilkli i pytające oczy w mówiącego wlepili.

— Ty, Efroim — mówił Eli — racyi nie masz. Twoje liczenie niesprawiedliwe, a Josiela sprawiedliwe. Dlaczego ty chcesz jemu niesprawiedliwość wyrządzić? *Un* taki człowiek, że z nim wszystko można zrobić: leniwy, targować się nie lubi, i wszystkiego boi się. Z tego korzystać nie można; trzeba zawsze podług sprawiedliwości robić.

Mówił to z wielką powagą i spokojnie, lecz przenikliwie oczy swe z wyrazem pewnej wyższości wlepiał w twarz Efroima. Był-że to ten sam człowiek, który przed kilku kwadransami tak zręcznie, tak bez skrupułu wyzyskiwał słabości mieszkańców pałacu; który przed chwilą jeszcze, z takim radośnym i wzgardliwym uśmiechem zadzierzgnął jedno z oczek matni, przeznaczonéj na opłatanie pana pałacu tego, w celach niezgadających się bynajmniej z pojęciem sprawiedliwości? Teraz, jako przyjaciel, jako rozjemca dwóch sprzeczekających się ludzi, zalecał im sprawiedliwość, naganiał korzystanie z cudzych słabości. Miał więc pewne zasady moralne, pewne pojęcia o tém, co słuszne, lub niegodziwe, według których układać się powinny prawe i życzliwe stosunki pomiędzy ludźmi. Szło tylko o stosowanie tych zasad i pojęć. Stosował on je do spraw, zachodzących pomiędzy spółplemiennikami swymi... dalej rozczynał się zakres zjawisk, obowiązków, o których

nie powiedziały mu nic, ani ta edukacya, jaką przed wrotami zajezdnych karczem otrzymał, ani ta, co pod dachem ojca Judela uczyła go miłości i sprawiedliwości dla *swoich*.

Kwadrans przeszło Eli dowodził milczącemu Efroimowi słuszności żądań Josiela.

Efroim milczał z razu, ręce trzęsły mu się trochę, i oczy niespokojnie biegały.

— A cóż — rzekł nakoniec — niech tak będzie, jak ty mówisz, Eli. Ty jesteś sprawiedliwy człowiek, ja o tém wiem, bo nie rok jeden i nie dziesięć lat z tobą interesa robię. Ty dla każdego serce gotów wyjąć i pod nóż dać. Ja Josiela rachunek przyjmuję.

Josiel wyciągnął ku Elemu dłoń otwartą.

— Dziękuję, Eli — rzekł — ty mnie dopomógł. Ale czy to pierwszy raz?

— Nu, nu — rzekł Eli — niéma o czego gadać, tak powinno być, mnie już tak mój stary nauczył, kiedy ja ot taki maleńki byłem.

— Wypijmy na zgodę! — rzekł Josiel, ujmując butelkę i kieliszek.

— Wypijmy — potwierdził Efroim.

Wychylili obaj po pół kieliszka gorzałki, Eli brzegi warg tylko umoczył w płynie. Ogarnęło go z nagłą zamyślenie jakieś; stał wyprostowany i wzrok rozjaśniony utopił w przestrzeni. — Czuł się człowiekiem ważnym w sferze swojej, i dobrą rolę spełniał.

Powiedziano mu, że jest sprawiedliwym, że dla braci swoich serce-by wyjął i pod nóż położył: słowa te rozlały się po piersi jego, jak krople najśłodsze go miodu, i uderzyły w głowę falą takich uczuć, które czoło, choć-by najbardziej nawykłe do schylania się, podnoszą w górę.

* * *

W pałacu, pomiędzy matką i synem, toczyła się ożywiona rozmowa. Pani Malwina siedziała znowu na kanapie, wśród tysiąca drobiazgów; Konrad chodził po pokoju, z twarzą trochę markotną.

— Widzi-bo, mama — mówił — martwi mnie to, że będę musiał znowu Ręczyn na trzy lata oddać. Zrujnują majątek do szczętu...

— Nie wierz w to, kochaneczku, nie wierz ani trochę — perswadowała matka — po co go mają rujnować? Zresztą, cóż robić? takie już czasy nastaly, że musimy oddawać się w ich ręce. Oni jedni tylko mają pieniądze...

— Myślałem — przerwał młody człowiek — że za rok wezmę się sam do gospodarstwa.

— Myślałeś tak, kochaneczku? dobrze, bardzo dobrze! jesteś statecznym, młodym człowiekiem i nie masz żadnych brzydkich pasy... Ale, widzisz, człowiek nie powinien żyć dla siebie tylko... masz matkę i siostrę...

— Zdaje się — rzekł Konrad, stając — iż nie zapomniałem nigdy o tém, że mama jest tu pierwszą osobą, a ja drugą.

— Uchowaj Boże, Koniu! nie zapomniałeś, nie. Ale figuruj sobie, że ja tu dłużej za nic w świecie siedzieć nie mogę.

— A gdzie? — zapytał Konrad.

— Na mieszkanie do N. wyjadę.

Konrad przerwał znowu swą przechadzkę, stanął i w twarz matki oczy wlepił.

— Do N.? — rzekł — ależ to będzie dużo kosztować.

— Bagatela, kochaneczku, bagatela! Zrobimy ekonomią... Sześć pokoi, remarkuj sobie, tylko sześć pokoi... pokoików... byle pomieścić się... garnitur mebli z Warszawy... parę koni nam dasz, kabriolet od Rentla... Paulinę, Marylkę, Dorosię, Karola, Grzegorza i Jana, weźmiemy z sobą... tylko ich... remarkuj sobie... nikogo więcej...

— A ileż na to wszystko pieniędzy trzeba? — zapytał Konrad, głosem wewnętrzną niepewność jaką zdradzającym.

— Bagateli, kochaneczku, bagateli! daj mi tymczasem to, co dziś od tych żydów wzięłeś...

— Ależ ja nie mogę, moja mamol mnie samemu potrzeba. Lejzor dopomina się o dług swój.

— Lejzor poczeka... Ach. poziewanie m... ziewanie! Jestem chora okropnie!... A Róża : a.

figuruj sobie sam, czy to będzie ładnie, jeżeli staremi pannami zostaną?

— Ależ, moja mamol muszę tym robotnikom zapłacić, którzy stajnią budują...

— Poczekają, poczekają... zostaw sobie zresztą cokolwiek... daj mi tysiąc rubli... remarkuj sam... tylko tysiąc...

Konrad, z rękoma w tył założonemi i głową w dół zwieszoną, chodził znów po pokoju. Pani Malwina ściagała go wzrokiem, w którym, z-za zwykłej jej lekomyślności, przeglądał teraz pewien spryt najniższego gatunku.

— Mój Koniul — zaczęła ze szczególną powagą — ja jestem matką, a ty jesteś synem... Figuruj sobie tylko, co to jest matka, a co syn... Życie ci dałam; po śmierci nieboszczyka ojca, kiedyś ty jeszcze ot taki był maleńki, majątkiem sama rządziłam... pałac ten zbudowałam... żeby nie ja, pałacu-byś tego nie miał... alteracyi ci żadnej nigdy nie sprawiłam... pasyi twojej do tych zwierząt na drodze nie staje... Miěj-że i ty dla mnie wdzięczność... Piérwszej młodości już nie jestem, potrzebuję zdrowie swoje i humor podtrzymać.

Konrad stanął znowu na środku pokoju.

Moja mamol — rzekł — czy ja na mamę kie-
..ekałem? czy nie jestem przywiązany i wdzię-
synem? Mama była dla mnie bardzo dobrą,

i ja z powodu mamy żadnego nigdy zmartwienia nie miałem.

— A widzisz, kochaneczku, a widzisz!

Konrad pugilares z kieszeni wyjął i paczkę asygnat storublowych na stole położył.

— Mama jest tu pierwszą osobą — rzekł — a ja drugą. Niech mama robi sobie, co chce, ja mamie sprzeciwić się nie mogę.

Pani Malwina krótkie swe, pulchne ramiona wyciągnęła i szyję synowską niemi objęła.

— Niech ci to Bóg wynagrodzi — rzekła, całując syna w czoło.—Dobry syn z ciebie, kochaneczku! Daję ci za to macierzyńskie błogosławieństwo... a ty wiész, Koniu, co to błogosławieństwo macierzyńskie.

Ostatnie słowa uroczystym głosem wyrzekła, i wskazujący palec prawej ręki w górę podniosła. Konrad lewą jej rękę do ust przycisnął.

— Dziękuję, mamie — rzekł. — Mam nadzieję, że błogosławieństwo to uratuje mnie od wszystkiego złego.

— Uratuje, kochanku, z pewnością uratujel

Po tych wyrazach, matka i syn wydobyli się z wzajemnego uścisku. Oboje mieli łzy rozczulenia w oczach.

Nastąpiła chwila milczenia. Konrad chodził znówu po pokoju, a pani Malwina chowała pieniądze do szkatułeczki. Konrad westchnął głośno.

— Jestem trochę niespokojny — rzekł.

— A czego? kochaneczku — zapytała matka.

— O interesa te... niech ich djabli...

— Nie mów mi tylko nic o interesach, kochanku.

Co tam za interesa? jakie interesa?...

— Ale, bo widzi mama... może być kiedyś źle.

— Co źle? nie wierz w to ani trochę. Słuchaj tylko matki, która chce twego szczęścia.

— Więc cóż mam czynić?

— Staraj się o kuzynkę, staraj się...

— O Lilę?

— A tak, o Lilę.

— Ależ to jeszcze dziecko.

— Nie wierz w to ani trochę. Za rok będzie dorosłą panną. Kajetan pewno jęj testamentem sumę posagową zapewni, a zresztą i bracia jęj nie skrzywdzą... Kamil... no, nie wiem... wiesz, że życzę sobie, aby się z Różą naszą ożenił... a Mieczysław, znasz go... *avec ses sentiments chevaleresques*, siostry nie skrzywdzi.

— Atl — przerwał Konrad — już to ożenienie się... niech je tam...

— Dlaczego, kochanku? dlaczego? wszyscy żenią się... Czy obserwowałś Lilę?

t, przyznam się mamie, że i nie patrzyłem do tego czasu.

'o źle, to bardzo źle! powinienes już *lui faire*

la cour, bo potem kto inny gotów podskoczyć... Dziewczyna, jak obraz... piękna będzie!

We drzwiach pokoju stanął lokaj.

— Jakiś Paweł Szyłło przyjechał — rzekł — i chce się widzieć z panem.

Konrad cmoknął z niezadowoleniem i ociągał się z odejściem.

— Cóż to za figura, ten Szyłło, i czego on chce od ciebie? — zapytała pani Malwina, układając w szkatułce koroneczki i wstążeczki.

— A to ten szlachcic, mamó, od którego mama pieniędzy pożyczyła, kiedy to jeszcze dom nasz nie był skończony.

— Pałac — poprawiła pani Malwina. — A, przypomnam sobie! oblig podpisałeś z opiekunem jeszcze. Ach!... moje poziewanie!... Czegoż ten szlachcic chce od ciebie?

Odpowiedzi nie było, bo Konrad, z brwią zmarszczoną i wzrokiem wbitym w ziemię, pokój opuścił.

W sali jadalnej Paweł Szyłło oczekiwał na audyencyą u młodego dłużnika.

— A! — rzekł, wchodząc Konrad — dzień dobry panu! Jakże się pan miéwa? kope już lat pan tu nie był. Coż słyhać w Łozowej? jak zdrowie stwa Fabianowstwa?

Mówił to z przymuszonym uśmiechem na ustach, które krzywiły się mimowoli; usiadł i goście w pobliżu siebie miejsce wskazał.

Szyłło, ubrany w surdut odświętny, na którym znajdowała się jedna tylko łąta, i to u spodu rękawa, w butach grubych, starannie oczyszczonych, w szerokiej chustce wełnianej, długimi końcami na staroświecką atlasową kamizelkę spadającej, uklonił się, usiadł i kilka pierwszych słów powitania z wyraźnym zmieszaniem wymówił.

— Prawdę pan dobrodziej powiedziałeś, że kopa lat, jakem ja tu nie był... Ot, nie chciałem o swój drobiazg dokuczać... Teraz jednak przyjechałem do pana dobrodzieja z prośbą...

— Cóż takiego? cóż takiego? — zapalając papieros i otwartą cygarnicę gościowi podając, wymówił Konrad.

— Ot, czy nie mógł-bym już teraz z łaski Pana Dobrodzieja do swojej własności powrócić?...

Obracał w rękę papieros, nie zapalając go, i z trochę niepokoju patrzył w twarz dziedzica Ręczyna.

— Cóż to? — zaczął Konrad, jękając się i spuszczać oczy — pan chce... pan wymaga... abym panu....

— Broń Boże, nie wymagam, Panie Dobrodzieju; miałem tylko prosić, czy-byś pan nie mógł mi kapitu mego teraz zwrócić... Dziesięć lat już mija, a dem swą folwarczynę w złą godzinę jakąś sprze-

dał, a kapitałik za nią wzięty u Pana Dobrodzieja i u panów Orchowskich ulokowałem... Nie byłem dokuczliwy, nie łaziłem, nie stękałem... i teraz może-bym sam, ot tak z własnej intencji, tu nie przyjechał... ale mam starą matkę, chciał-bym ją wziąć do siebie... mam dzieci... syna, który mi Panie Dobrodzieju w dęba urósł... trzeba-by go do gospodarstwa przyłożyć, jaką choć-by dzierżawinę wzięwszy... a tu bez pieniędzy ani rusz...

Konrad powstał żywo z krzesła i zaczął, według zwyczaju swego, przechadzać się po sali. Szyłło wodził za nim oczyma z niepokojem widocznym.

— Mój panie Szyłło — rzekł po chwili Konrad, przed gościem swym stając — ja dalibóg nie wiem, co już mam panu powiedzieć. Pieniądze się panu należą... nie przeczę... tylko... że ja, panie Szyłło, pieniędzy dalibóg teraz nie mam.

Szyłło głowę pochylił.

— Ot, — rzekł — człowiek już sobie wszystko tak ułożył, na duchu wzmógł się... bo to, Panie Dobrodzieju mój, nie łatwo na duchu wzmódz się komuś, kto od tylu już lat łaskawy chleb jada. Był-bym tak i dłużej żył jeszcze, ale siostra przyjechała i rzekła: wzmóz się Pawle, na duchu! Otóż wzmogłem się i o kawał gruntu do wydzierżawienia z chatą rozpytałem i, znalazłszy go, do Pana Dobrodzieja przyjechałem. No, ale widzę, że mi gwiazda moja źle przyświeciła i że do łaskawego chleba wrócić wypadnie.

Mówił to głosem przerywanym i goryczą pewną przebrzmiewającym. Konrad chodził po sali, zawstydzony trochę i rozgniewany.

— Mój panie Szyłło — rzekł — cóż ja zrobię, kiedy nie mam? jak Boga kocham, nie mam!

— Może-by choć procenci Pan Dobrodziej teraz mógł oddać. Uzbierało ich się latami może na jakie tysiąc rubelków lub więcej... Na pierwszy rok starczyło-by, a potem jak Bóg zrządzi...

Konrad stał na środku sali i myślał.

— Zaczekaj trochę, panie Szyłło — rzekł po chwili i, śpiesznie wyszedłszy z sali, szerokimi krokami ku pokojom matki podążył.

— Mamo! — zaczął, wchodząc do składu drobiażków — ten Szyłło dopomina się o swoje pieniądze... jak Boga kocham ma racją... Dziesięć lat już mu kapitał trzymamy... Nie wiem sam, co to takiego, ale mi człowieka tego żal... chciał-bym mu oddać?

— A to oddaj mu, duszo moja, oddaj, kiedy chcesz! albo ja ci zabraniam oddać? — zawołała pani Malwina, która mowy syna wysłuchała w widoczną niecierpliwością.

Konrad szeroko oczy roztworzył.

— Jakże ja oddam — rzekł — kiedy nie mam pieniędzy? Mama najlepiej wie, że nie mam.

- To nie oddawaj, duszo moja — odparła matka — nie oddawaj i powiedz mu, żeby sobie poszedł.

— Wstyd to trochę, jak Boga kocham, — ciszej zauważył syn.

Pani Malwina ołóweczkiem w srebro oprawnym coś na kawałku papieru kreśliła.

— Sztuka weby najcieńszej... — szeptała — aksamit dla Róży... biureczko z różanego drzewa... dywaników cztery...

Układała registryk sprawunków do Królewca.

— Mamo! — rzekł Konrad.

— A co tam, kochaneczku? dystrakcją mi robisz...

— Może-by te tysiąc rubli, które mama wzięła na nowe meble i wynajęcie mieszkania w N., oddać tymczasem Szylle...

Przerwało mu poruszenie się nagle pani Malwiny z kanapki.

— Koniu! — zawołała, rękoma trzęsąc — nie mów ty mi o interesach ani słowa! Podaj mi ze stoliczka flakon z toaletowym octem i idź sobie precz!

Konrad podał flakon pośpiesznie i, wzdychając głośno, miał się ku odejściu. Matka rzuciła za nim spójrzenie takie, jakby go pożałowała.

— Słuchaj, kochaneczku — rzekła — nie bądźże dzieckiem! Kto to teraz długi płaci? czasy ciężkie! Niech ten Szyłło kontentuje się tém, że pieniądze jego nie przepadną. Powiedz mu, że sami ledwie my żyć z czego...

Ale Konrada już nie było w pokoju.

— Mój panie Szyłło — rzekł dziedzic Ręczyna, wchodząc do sali jadalnej — już na to nic nie poradzę... pieniędzy niema... Czy to teraz takie czasy, żeby długi płacić?... Pan powinienes kontentować się tém, że pieniądze pańskie nie przepadną...

Szyłło wstał z krzesła.

— Ha, — rzekł — cóż robić? Człowiek zgrzeszył ciężko, ojcowiznę swą bez potrzeby sprzedając, i teraz pokutować musi. Ale za co stara moja matka, moje dzieci pokutować mają? No, za moje grzechy zapewne.

Uklonił się i, otrzymawszy od przechadzającego się znowu po sali Konrada wzajemny ukłon, miał się ku odejściu. Przy drzwiach stanął znowu.

— Kiedyż mogę spodziewać się?... — zaczął.

Konrad wybuchnął.

— Ależ na wiosnę, kochany panie, na wiosnę wszystko co do grosza oddam... jak Boga kocham oddam!... Pan myślisz może, że ja nie chcę oddać, ale mylisz się bardzo. Ja serce-bym swoje wyjął, żebym mógł, i oddał panu; ale cóż ja zrobię, kiedy nie mam?

Przy ostatnich wyrazach głos jego wpadł w ton niemal żalony.

— Poczekam więc — rzekł Szyłło i wysunął się zwi.

dziedzińcu przy bramie, obok wózka Elegima, stał inny jednokonny wózek Pawła Szył-

ły. Rezydent łozowskiego dworu, z czapką nisko na oczy nasuniętą, umieścił się w skromnym ekwi-
pażu swoim i ruszył za bramę. Ówierć wiorsty za-
ledwie przebył, gdy zajechała mu drogę pełnym
kłusem pędząca zgrabna najtyczanka. Siedział na
niój Kamil Orchowski. Szyłło poznał jadącego, ko-
nika swego z drogi pokornie zwrócił i czapką ukłon
dość nisko oddał.

— Ot i ten — rzekł do siebie — część mego
dobra na swoich plecach wiezie!

Obejrzał się za najtyczanką i konia zatrzymał.

— Może-by wrócić i pomówić z nim... przy
okazyi?... Nie trzeba-by już ciągnąć się do Orchowa.

Ściągnął lejce, jakby miał wracać; lecz w téjże
chwili popędził na przód.

— Nie chce się jakoś — szepnął — ambaras...
a zresztą nie wypada turbować go, kiedy w gościnę
pojechał... Ej, z Bogiem na przód, pora człowiekowi
odpocząć w chacie.

Leniństwo przemogło... pojechał dalej. O parę
wiorst od dworu ręczyńskiego, w pobliżu wsi dużej
i ludnej, przy drodze była karczma. Przed wrotami
jój stał, fajkę paląc, żyd arendarz.

— Dzień dobry, panie Chackiel! — zawołał Szył-
ło, gdy wózek jego zrównał się z karczmą.

— Dzień dobry Jegomości. Zkąd Pan Bóg
wadzi?

Fizyognomia żyda, dawnego znajomego, do gawędki zapraszała. Paweł zatrzymał konia.

— Cóż tu u was słyhać, panie Chackiel?

— A co ma być słyhać? nowina wielka! pose-sorów nowych będziem mieli! Josiel arendy odstą-pił Efroimu a Jasny Pan Konrad *wziął* dziś od niego zadatku dwa *tysiąców*... Żona moja we dworze była i Josielowa jój o *tego* gadała.

Szyłło siedział na wózku, jak skamieniały.

— Dwa tysiące rubli *wziął*?—zawołał nagle... — dziś... dziś? Człowieku! to być nie może!

— Nu, dlaczego nie może być, kiedy jest. *Un* za ośmset *rublów* od Efroima cztery koniów kupił, a ona... nu, matka... za reszta do N. na mieszkanie pojedzie.... Mojój żonie Dorotka, ta panna służąca, co to faworytka samój pani, o *tego wszystkiego* gadała.

Żyd mówił dość długo o różnych szczegółach, po-wziętych we dworze przez żonę jego z ust Josielowój i Dorotki, a Szyłło siedział na wózku wciąż jak ska-mieniały, z głową na pierś zwieszoną, z rękoma opusz-czonemi na kolana. Siedział i dumał... Nagle zmarszczył czoło i wykrzywił usta tak, jakby mu się niespodzianie coś niewymownie niesmacznego na po-dniebienie się dostało.

— A niech-że ich siarczyste!... — krzyknął.

ie dokończył. Ręką machnął, z wózka zesko-i głosem podniesionym zawołał :

— Panie Chackiel! daj kieliszek gorzałki, a tęgiój,

bo jeżeli robaka nie zapiję, dalibóg trupem chyba padnę.

I krokiem ciężkim, jakby mu stopy ołowiem napuszczono, milcząc, lecz pięście ściskając, powłókł się za arendarzem do karczmy.

Kamil tymczasem gościł już w pałacu. Róża, która, ujrawszy najtyczankę kuzyna na dziedzińcu, wnet pochwyciła do ręki książkę, bawiła go wymienianiem tytułów rozlicznych dzieł i czynionemi o nich na los szczęścia uwagami. Ale Kamil przekładał widocznie nad uczoność starszej siostry filuterne spójrzenia, żwawe ruchy, wabne uśmiešky i białe ząbki młodziej. Siedział na kanapie, wygodnie rozparty i cichą rozmowę, uśmiechami przeplataną, prowadził z Florą. Pani Malwina w trzecim pokoju pisała regiestrzyki, jeden po drugim. Nagle uchyliła się spuszczone portyera i do składu drobiazgów wbiegła Róża. Łzy miała w oczach i szkarłatne rumieńce na twarzy. Wbiegła i, rzuciwszy się na fotel, ręką oczy zakryła. W drugiej ręce trzymała książkę.

— A to co? — zapytała z niezadowoleniem pani Malwina. — Czegożeś przyleciała, jak waryatka? Ja siedzę tu, żeby wam nie przeszkadzać... żebyście się porozumieli... żebyś go dla siebie zobligowała, a ty...

Panna rękę od oczu odjęła i na matkę spójrzała wzrokiem, błyszczącym łzami i iskrami.

— Dziękuję mamie — zawołała z wybuchem — już ja tego dłużej nie zniosę... Kamilowi Flora -

bała się i ona powiedziała mi onegdaj, że go kocha. Niechże się sobie kochają, ja im przeszkadzać nie chcę! Po co te komedye? po co to czytanie?... Dość tego!

Pani Malwina, zdumiona najprzód, wzruszyła potém ramionami i rzekła:

— At, dzieciństwo! kaprysy! figuruj sobie, moja duszo, że jesteś waryatką.

W tym samym czasie Kamil, znalazłszy się sam na-sam z Florą, ujął ją za rękę i głęboko spójrzył jój w błękitne oczy. Dziewczyna zapłonęła szkarłatem.

— Nie zapomnisz o mnie, kuzynko, mieszkając w N?

— Jak możesz przypuszczać coś podobnego, kuzynie?

— Będziemy widywali się daleko rzadziej...

— Czy nie przyjedziesz do nas? — zapytała szeptem i smutnie.

— Alboż-bym mógł wyrzec się dobrowolnie widzenia tak prześlicznej istotki, jak ty jesteś, Floro?

Słowa jego były lekceważące, choć miały oznaczać czułość; wzrok, którym okrył postać młodój, hożej dziewczyny, ubliżał jój, jakkolwiek objawiał namiętne wzruszenie. Ale Flora nie znała się widać na znaczeniu słów i na tych stopniach uczucia, tak nizkich, że aż uwłaczających... Ręka jój, ściskana w dłonie młodego mężczyzny, drgnęła... Oczy ich spotkały się i kibić Flory znalazła się opasaną ramieniem Ka-

mila, który pochylił się i pocałował purpurowe jęj usta...

— Kamilu! — szepnęła dziewczyna, blada i drżąca — kocham cię!

Podniosła rękę do czoła i zawołała, z cicha jeszcze, ale namiętnie:

— Kamilu! czuję... czuję, że kocham cię bardzo... nad wszystko... na śmierć i życie!...

Była w téj chwili prawie piękną. Na twarzy jęj bladéj, w oczach łez pełnych, w głosie drżącym pannaowały moc i szczerość uczucia.

— Pocóż tak tragicznie? — uśmiechnął się Kamil — na śmierć i życie! Któż widział, aby tak śliczne, młode usteczka mówiły o śmierci? Słuchaj, Florciu! miłość to chwila... trzeba ją chwycić co prędzej, bo uciecze...

I jakby czynem dowieść chciał własnego zdania, przycisnął do ust białe paluszki Flory.

IX.

W Łozowój życie płynęło zwyczajnym trybem. Wieczory wszystkie, tak, jak i ów piérwszy, który po przybyciu Michaliny nastąpił, liczne domowe towarzystwo spędzało wspólnie, zabawiając się muzyką, rymowaniem, pokazywaniem Czumaków i Turków, naśladowaniem skrzeczenia żabi piania kogutów, *sztukami*, przez pana Karola dokonywanemi, opowiadaniem nakoniec różnych zabawnych i zadziwiających wydarzeń z życia figlujących studentów, sławnych kłamców, lub cudownych myśliwych. Zabawy te urozmaicały się niekiedy tak zwanemi prześladowaniami, zwróconemi ku panu Wiktorynowi, za to niby, że przysiąda się do pani Eustachyi, lub ku panu Pawłowi, że ma się do panny Antoniny. Towarzystwo całe śmiało się z idyotycznego zakłopotania jednego z ~~miemanych~~ konkurentów, z sentymentalności i żartów innych min drugiego; pan Fabian zaś z rozrzewnieniem spoglądał na dobry humor swój czeladki

i wesołe twarzyczki swoich aniołków. Uznawał się i czuł patriarchą gromady téj, a rola ta schlebiała w najwyższym stopniu romantycznój jego wyobraźni.

— O! — mówił, spoglądając na śmiejące się dookoła twarze — jakże to słodko rozlewać dookoła siebie radość i szczęście!

W zabawach tych dwie tylko osoby udziału nie brały nigdy. Pani Adela, nadąsana najczęściej, niekiedy na ból głowy, z irytacyi pochodzący, chora. czasem smutna głęboko i ponurym wzrokiem drobne postacie dzieci swych ścigająca, siadywała przy lampie, cérojąc pończochy, lub naprawiając stare sukienki i koszulki; Michalina zaś, przeglądała w milczeniu liczne albumy, albo usuwała się do innego salonu z Ludką, Józiem i robotą w ręku, ucząc i bawiąc razem dzieci opowiadaniem, których one słuchały z radością i zajęciem. Ilekroć guwernantka wyłączyła się w ten sposób z zebranego grona, w mgnieniu oka pomiędzy dwiema rezydentkami następowało chwilowe, dla wspólnych celów, zjednoczenie.

— Wielka pani... obcować z nami nie raczy... — trzepała panna Antonina. — Już ja pani mówię, że ona ma złe serce...

— A ja pani to tylko powiadam — cedziła pani Eustachya — że ta panna guwernantka wiele... wiele państwa kosztować będzie!

Wśród sprzecznych pomiędzy sobą, a u

nych, próżniaczych, więc złośliwych, upokorzonych położeniem swém, a więc upakarzać wzajem lubiących, żywiołów, które dom ten napełniały, położenie młodej osamotnionej dziewczyny nie było łatwém.

Ale nie brakło jój zajęcia, w którym topiła wszelkie nieprzyjemne wrażenia, wszelkie może troski i tęsknoty, w sióroćem milczeniu przenoszone. Wynalazła ona w dniu godzinę wolną, w której zaczęła uczyć czytania i pisaną dwunastoletnią synowicę swą, Jadwisię; potem przyszło jój na myśl, że w tój samój godzinie uczyć mogła-by także i Walka.

Z tą myślą udała się dnia pewnego do oficyny, służącej za pomieszkanie rezydentom. Miała właśnie wejść do izby brata, gdy z-za przeciwległych drzwi doszło jój ucha niewyraźne jakieś bąkanie, niby czytanie, niby sylabizowanie. Poznała głos siedemnastoletniego synowca swego. Ktoś tam za drzwiami czytać go uczył. Michalina zatrzymała się przez chwilę w kurytarzyku i słuchała. Głos, bąkający bajkę jakąś z elementarza, umilkł. Inny za to głos odezwał się:

— No, Walku, a teraz trochę arytmetyki...

— Trzy razy sześć — zaczął Walek — ośmnaście
cztery razy sześć ..

— Wnawiał głośno i przeciągle.

— Dość już tego! — zawołał.

— Jeszcze trochę, no, jeszcze trochę! — perswadował mu pan Wiktoryn.

Michalina opuściła oficynę.

— Kto-by się tego spodziewał? — szepnęła do siebie.

W istocie, kto-by się spodziewał, żeby wirtuoz-flecista, z okrągłą swoją figurą i na-pół idyotycznym uśmiechem, rozlanym na pulchną, rumianą twarz, jedną z sześciu godzin, pozostających mu w ciągu doby do spania, poświęcał dobrym uczynom? Michalina czuła ku niemu życzliwość i wdzięczność. Przy pierwszej sposobności zbliżyła się do najstarszego z rezydentów.

— Dziękuję panu za Walka — rzekła — serdecznie dziękuję!... uczysz go pan czytać i rachunków...

Pan Wiktoryn zmieszał się niezmiernie.

— Niéma za co, pani dobrodziejko—wyjąkał—niéma za co... chłopiec rośnie, na las patrząc...

Westchnął. Westchnienie to zaciekało Michalinę. Przywykła widzieć pana Wiktoryna z uśmiechem wiecznej błogości na ustach.

— Pan miałeś rodzinę? — zapytała nieśmiało.

Uśmiech pana Wiktoryna zniknął bez śladu.

— Jednego tylko syna miałem, pani dobrodziejko...

— I cóż?

— Ha, wyrosł, tak samo na las patrząc, i...

Tu ręką machnął.

— Poszedł gdzieś w świat... ani wiem, gdzie się obraca.

Stał chwilę w milczeniu, z głową spuszczoną, potem rzekł jeszcze:

— Myślałem, bywało, że na starość głowę do niego przytulę; ale ot... niéma go.

Po rozmowie téj, pan Wiktoryn przez cały wieczór nie zdrzémnął się ani razu, nie śmiał się ze sztuk pana Karola, a gdy z Apolkiem i panem Fabianem odgrywać zaczął tercet jakiś, z fletu jego wydobywały się tony głośniejsze, niż zwykle, skarżące się niby na coś, a z nad wydętych rumianych policzków szare, małe oczki, wlepione uporczywie w twarz Michaliny, zdawały się wciąż powtarzać: niéma go! niéma go!

Każdy zresztą z ludzi tych, tak niedołącznych i komicznych, łaskawym chlebem tak rozpróżnionych i poniżonych, posiadał za sobą historią jakąś, bolesnych przejść i strat niepozbanioną. Każdy z nich niegdyś miał ognisko domowe, serca, które go kochały, cele jakieś przed sobą, nadzieje i małe ambicje. Każdy przyjechał tu z razu na dni, tygodni kilka, ot tak, dla odpoczynku, dla upatrzenia sobie nowej drogi, nowego miejsca na świecie. Miłerdzie państwa Fabianowstwa utuliło pod skrzywn swém wszystkie te troski, te leniwstwa, i ludzi, którzy mieli jeszcze zamiar gdzieś iść, czegoś szukać,

coś robić, rozciągnęło na wygodném łozu dworskiéj rezydencyi.

Pewnego dnia Michalina zauważyła, że pani Eustachya podnosiła głowę mniej wspaniale, niż zawsze, oczu nie przymrużała, policzków nie wydymała, a wszedłszy z rana do garderoby, powieki miała, jakby od płaczu, nabrzękle.

— Czy pani nie czuje się dziś cierpiącą? — życzliwie zapytała młoda nauczycielka.

Rezydentka podniosła na nią wzrok, przyémiony wilgocią.

— Nie — odparła — nie jestem cierpiącą; ale dziś właśnie rocznica ślubu mego z nieboszczykiem moim mężem... Trzydzieści jeden lat temu, przymierzalam o téj porze ślubną suknię, a lokaj przyniósł mi od niego bukiet, jak dziś pamiętam, z róż i jaśminu... bo było to w maju...

Patrzała znowu w ogień i dumiała. Podarte hafty negliżu zwieszały się niedbale na znękanéj jéj postaci, twarz z pod siewięjących włosów, nieuczyszczonych jeszcze, wyglądała żółkła i zmarszczona, na ustach zwiędłych błędził wyraz goryczy. Jakże daleko, daleko teraz był od niéj maj ów, o którym wspominała... maj młodości i miłości, ze ślubną suknią i bukietem róż, od narzeczonego jéj przysłanym!

Innego dnia znowu, pani Adela była w szczególnie kwaśnym humorze, a złość swą, wznieconą

przez kucharza i Anulę, spędzała na pannie Antoninie. Młodsza z rezydentek słuchała wszystkiego cierpliwie, w milczeniu, z zaciśniętymi mocno ustami i żółtszą jeszcze, niż zwykle, cerą twarzy. Na obiad nie przyszła, wymawiając się bólem zębów; po obiedzie zaś, Michalina, wracając z dziećmi do swego pokoju, przez jój pokój przechodzić musiała. Rezydentka klęczała przed ołtarzykiem, obwieszonym paciorkami, wstążeczkami, pawiami piórami i muślinowymi festonikami. Modliła się żarliwie, tak żarliwie, że aż na-pół głośno.

— Ojczy niebieskil — mówiła—jeżeli wola Twoja, daj mi, choć na koniec życia, chatkę własną... chatkę malenięczką choćby, ale własną... a jeżeli, Pani, wola Twoja nie zgadza się z moją, zabierz mnie prędzej do siebie i z matką moją połącz!

Przy wspomnieniu o matce, małe, czarne oczki rezydentki opuściły ołtarzyk i, łzami zasłone, pobiegły za okno, ku szarym obłokom.

W dniu, w którym pan Paweł pojechał do Ręczyna, w celu dopomnienia się o swe dobro, Michalina objawiała przy lekcyi z dziećmi niezwykły stan niespokojności. Rumieńce wybiły się na jój twarz bladą, a oczy wciąż mimowoli zwracały się ku oknu. Z niecierpliwością oczekiwała powrotu brata.

Wieczór zbliżał się, gdy nakoniec zobaczyła jeconny wózek, wjeżdżający w bramę i kierujący ku oficynie. Zarzuciła chustkę na ramiona, wy-

biegła z domu i stanęła przed wejściem do oficyny, jednocześnie z Pawłem, który zsiadał z wózka dłużej, niżby należało.

— Coż, Pawle? — zapytała z pośpiechem, lecz cofnęła się, zdziwiona i przelękniona wyrazem twarzy brata.

Policzki Pawła rozognione były, oczy błędne i przykro świecące, z ust, głupowato uśmiechniętych, rozchodziła się mocna woń trunku.

— Coż, Pawle? — powtórzyła ciszej, wchodząc za przybyłym do izby i zatrzymując się przy progu.

Wybuch grubego śmiechu rozległ się po izbie.

— A coż, panno siostrze? — zawołał Szyłło—moja prawda, czy twoja? trzeba było jeździć, czy nie trzeba?... Wiész, co mi dali? figę! figę!

Śmiał się wciąż i oczyma na-pół tylko przytomnie po izbie wodził.

— Héj! — krzyknął — ludzi słuchaj, a swój rozum miej. Poco to było leżć do panów?.. mają, ale nie płacą... daj im Boże za to zdrowie! Człowiek będzie znowu siedział, jak u Pana Boga za piecem... Chlób tu smaczny i kąć ciepły... jedz, pij, śpij i dobrodziejom dziękuj!

Stanął, wyprężył się, podjął poły surduta i, zawiódłszy z całego gardła:

— Oj! ja Czumak nieszczęśliwy.

Puścił się po izbie w płasy, podskoki i przysiadania.

— Tato pijany! — zawołał Walek, wpadając z kurytarzyka. — Panie Szczepalski! panie Solski! panie Hryhory! pójdźcie-no, zobaczcie! Tato pijany, Czumaka tańczy!

Michalina wybiegła z oficyny. Uszła kilkanaście kroków, stanęła przy wielkiém, grubém drzewie, rosnącym na dziedzińcu, i o pień jego wilgotny od deszczu, który tylko co padał, czoło oparła. Zwiędłe liście i bujne krople wody spadły na jój włosy, wiatr wieczorny podnosił brzegi jój chustki i chłodem przenikał ciało... ona tego nie czuła. Do ucha jój dochodziły z głębi oficyny nieprzytomne śpiewy i tupanie nogami jój brata; z niemi łączyły się śmiechy rezydentów, zgromadzonych na widowisko, z których najgłośniejszym był śmiech własnego syna jego...

— Boże mój! — szeptała dziewczyna — czyż niema już na to rady żadnej? czy koniecznie zginąć oni muszą? czy nigdy już wstydną temu końca nie będzie?

Wysileniem woli oderwała czoło od wilgotnego drzewa i, owijając się chustką, biegła ku gankowi nu. Była tak pogrążoną w bolesnych myślach i uczuciach, że nie słyszała tententu konia dziedzińcu. Drgnęła i stanęła wtedy dopióro,

gdy, zeskakujący z konia przed gankiem, młody mężczyzna, wymówił tuż przy niej:

— Dobry wieczór, pani.

Był to Mieczysław Orchowski. Odkąd tu mieszkała, przyjeżdżał już po raz trzeci. I znowu oczy jego, tajemną tęsknotę serca zdradzające, okryły twarz jej długim wejrzeniem.

— Czy pani nie gniewa się na mnie za to, że przyjeżdżam tak często? — zapytał zniżonym głosem.

Nie mogła odpowiedzieć. Stała przed nim z czołem pochyloném; serce jej uderzało z mocą, oddech powstrzymującą; na gęstych włosach błyszcząły, jak brylanty, gęste i bujne krople deszczu.

— Panno Michalino! — zaczął znowu głos mężczyzny — powiedz pani, że nie gniewasz się na mnie... Ja tu przyjeżdżam dlatego tylko, aby panią widywać...

Podniosła głowę. Białe jej usta drżały, dłoni mimowolnym ruchem cisnęła się do piersi.

— Panie Orchowski! — rzekła — dlaczego mówisz mi pan to wszystko?

W głosie jej było wysilenie, gorycz, blizka rozpacz, i namiętna prośba serca, które, do najskrytszych głębin swych wzruszone, bronić się jeszcze pragnie.

— A! szanownego, miłego gościa witamy! witamy! Z deszczem nam spadłeś! — ozwał się za roz-

mawiającą parą głos, wychodzącego na ganek, pana Fabiana.

W głębi domu, *w gynaeceum*, hermetycznie zamkniętymi drzwiami od pokojów bawialnych przedzielonóm, rozlegały się biegania i wołania.

— Wody! mydła! kucharza! Grześ niech nowy surdut włoży! Samowar wyczyścić! Wafle do herbaty.

Daremnie wieczora tego pan Fabian zwracał uwagę gości na talent każdego z aniołów swoich, daremnie cytował wiersze różnych poetów i własne, zaszadzał panią Eustachyą do fortepianu, i przy akompaniamencie jój grał na wiolonczeli; gość odpowiadał, chwalił, podziwiał z roztargnieniem i widocznie przez grzeczność tylko: oczy zaś jego z trudnością odrywały się od drobnój twarzy guwernantki, która, pochylona nad robotą, czuła przecież, unoszący się nad nią, ten wzrok gorący, bo na czoło jój co chwila wstępowały łuny rumieńców i znikały, pozostawiając po sobie bladeść głębokiego wzruszenia.

Trwało tak do połowy wieczora. Nakoniec Mieczysław, nie mogąc powstrzymać się dłużej, powstał z miejsca, na którém siedział, pomiędzy gospodarzem domu, a brzękającym na strunach teorbanu panem Hryhorym, i usiadł obok Michaliny. Podniosła głowę i spójrzanie jego spotkała wzrokiem spokojnym. Rumieniła się już i nie bladła, opanowała wzruszenie swe wołą i dumą niewieścią, odpowiedź zaś na

rzucone pytanie wyrzekła głosem łagodnym i poważnym, który pamięci Mieczysława nasunąć musiał owe, podsłuchane przezeń, rozmowy jéj z siostrą jego i matką.

Na widok spokoju jéj, on także ukrył ogarniające go u jéj boku wzruszenie. W jednej stronie salonu brzmiał tercet muzyczny, w innej dwie rezydentki szeptały coś do uszu pani Adeli. Pomiedzy młodym gościem i młodą nauczycielką zawiązała się długa i ożywiona rozmowa. Nagle, tuż za progiem, głos jakiś zapał doniośle i przeciągle.

— Pan Paweł! — krzyknęły dzieci, bijąc w dłonie i do drzwi się rzucając.

Był to w istocie pan Paweł, który owym kogucim krzykiem oznajmił swe przybywanie. Na-pół dopiero był wytrzeźwionym. Oczy już miał przytomne, ale z policzków rozognienie, a z ruchów rozgorączkowanie i niepewność nie zniknęły. Stał na środku salonu i oddawał dokoła ukłony, nacechowane rubasnością przesadną, obudzenie śmiechu widoocznie na celu mającą.

— Ależ wesoły dziś jesteś, panie Pawle! — zauważył, śmiejąc się na równi z innymi, patriarchy gromady domowej, pan Fabian.

Szyło wyprostował się i pociągnął silnie długiego wąsa.

— A cóż, panie dobrodzieju mój— rzekł grubym głosem — trzeba na chleb pracować... niema co!

— A z panną Łojwiczówną nie przywitałeś się aspan? — zainterpelował z-za teorbana Ukrainiec.

Szyłło posunął się ku pannie Antoninie. Śmiano się znowu. Dwie tylko osoby z towarzystwa tego nie śmiały się. Na twarzy Michaliny zgasły promienie, które czyniły ją przed chwilą inteligentną, ożywioną, prawie piękną; spuściła oczy na robotę, ale ręka jój, trzymająca igłę, drżała i żadnego ściegu wyszyć na płótnie nie mogła. Mieczysław zdumionemi z razu oczyma patrzył na pana Pawła; potem powstał, przeszedł w inną stronę salonu i tam, milczący, ze skrzyżowanemi na piersi rękoma, przypatrywał się zabawom zebranego grona.

Godzina jeszcze upłynęła zanim odjechał, ale ani razu już więcej nie zbliżył się do młodej nauczycielki. Można nawet było sądzić, że unikał widoku jój twarzy, tak stale i uporczywie starał się patrzeć w inną stronę. Kto-by go pilnie wtedy uważał, mógł-by dostrzedz, że spadł na niego nagle ciężki jakiś smutek, połączony z głębokim niesmakiem. Na pożegnanie podał, jak zwykle, rękę Michalinie, ale ręka ta nie była już tą samą, która ją dziś tak serdecznie i gorąco na ganku witała. Zinnemu uściskowi dłoni towarzyszył ukłon pełen szacunku, ale nie towarzyszyło mu spójrzzenie żadne. Po chwili słyhać było — dziedzincu tentent jego konia.

Michalina stała jeszcze w tém samym miejscu, na brzem pożegnał ją odjeżdżający, ręką wsparta o stół

i bardzo blada. Pod spuszczone jęj powieki, tak gwałtownie cisnęły się łyzy palące, że powstrzymywała je tylko wysiłkiem woli. Czuła, że pomiędzy nią, a człowiekiem, który przed chwilą, wzrokiem swym i słowami, poruszył w jęj piersi najgłębsze struny wrażeń, spadła jedna zapora więcéj, że wstyd jęj brata spłynął na nią, że posępną łuną wstydu tego uderzone, oczy jego odwróciły się od nięj, może na zawsze. Nie miała żadnych sformułowanych nadziei, nie roiła o niczém, nie spodziewała się niczego; a jednak, gdy tentent konia, który unosił Mieczysława po za bramę łozowskiego dworu, ucichł, opuściła się na krzesło sztywne, bezsilna, i daremnie drżącemi rękoma szukała porzuconęj roboty.

— Panno Michalino! ja chcę już spać! — zawołał tuż przy nięj sębrzysty głosik Ludki.

— I ja chcę spać! — zawtórowała poetka Elżusia.

— Ale panna Michalina opowie nam dziś jeszcze o tym wielkim człowieku, co to płynął po morzu, płynął... aż odkrył Amerykę? — zagadnął Józik.

Guwernantka podniosła głowę z wysileniem, powstała, dłonią pociągnęła po czole i przytomném, jasném już okiem spójrzała na otaczające ją złotowłose główki.

Głosy dzieci tych były wołaniem obowiązku, które obudziło ją ze snu bolesnego. Być może, iż obręć bólu, opasująca ciasno jęj serce, nie zwolniła się przez

to; niemniej przecież, jedną ręką trzymając rękę Józika, drugą opasując szyję Ludki, otoczona małemi dziećmi, które czepiały się jej sukni, przechodziła przez salon krokiem powolnym i spokojnym, a zbliżając się ku drzwiom sypialnych pokojów, łagodnym, wesołym prawie głosem, rozpoczęła przyrzeczoną opowieść o wielkim człowieku, który płynął po morzu, płynął... aż odkrył Amerykę.

* * *

Parę tygodni minęło. Około południa, pan Fabian, jak najczęściej bywało, siedział w gabinecie swoim, oddany ulubionym swym artystycznym zajęciom. Przed głębokim fotelem stało biurko staroświeckie, zarzucone kawałkami papierów różnego kształtu i koloru. Na każdym z tych kawałków znajdowały się nakreślone wiersze: tu ustęp, z drukowanego poematu jakiegoś przepisany, tam znowu własny pana Fabiana utwór, sonet, akrostych, strofy ulotne i t. p.

Biuro owo, wraz ze stojącym przed niem fotelem, pan Fabian miał zwyczaj, uśmiechając się niby żartobliwie, nazywać: „miejscem pracy”. Inne miejsce pracy znajdowało się pod oknem szerokim, na północ wychodzącym, gdzie stały stalugi z rozciągniętym płótnem i leżały w odpowiednich przyrządach materiały do jego malowania. Obrazy różnych rozmiarów, bez

ram i w złożonych ramach, okrywały ściany od sufitu do podłogi. Były to, na równi z wierszami, biuro wypełniającymi, owoce wieloletniej pracy pana Fabiana. Malowidła te przedstawiały po większej części widoki natury, zimowe, letnie, jesienne, wątpliwiej bardzo wartości. Tu i owdzie tylko dawało się spostrzegać lepsze, trafniejsze pojęcie przyrody i sztuki. Śród prób tych nieudałych królował, w najszersze i najbogatsze ramy ujęty, portret pani Adeli. Pomędzy kartkami, napełniającymi biuro, znajdowało się wiele takich, na których jaśniały napisy: „Do Czarniej Lili”, „Do Lili”, „Do L. O.”, „Do dziewicy” i po prostu „Do***.”

Pan Fabian siedział, pochylony nad arkusikiem różowego papieru, i trzymał pióro w ręce. Na papierze były napisane dwie początkowe strofy nowego poetycznego utworu. Pan Fabian pisał strofę trzecią, którą rozpoczął od dwóch następujących wierszy:

„Z wiru i tłumy, z gwarynych krzyków świata,
Myśl ma, ciszy spragniona, ku Tobie ulata...

— Ku tobie ulata — powtórzył głośno i, podniósłszy głowę, patrzył przez chwilę w sufit. Potém, znalazłszy widać wyraz, czy myśl potrzebną, spuścił znowu pióro na papier i pisał dalej:

„Ku Tobie, czarodziejko, która stopą cichą
Mkniesz...

Podniósł znowu głowę i zamyslił się. Wziął w rękę różową kartkę i czytał wiersz od początku, deklamując półgłosem, a gdy doszedł do miejsca, w którym znajdowały się dwa kroć powtórzone wyrazy: „ku tobie ulata!... ku tobie...” głos jego zadrzał i łzy wzrok przyćmiły. Powiódł ręką po zwilgoconych powiekach i czytał dalej: — „ku tobie, czarodziejko, która stopą cichą...”

Tu drgnął całym ciałem, upuścił z ręki różową ćwiartkę i porwał się z fotelu, za plecami jego bowiem rozległ się łoskot drzwi, gwałtownie otworzonych, a oczom jego ukazała się w zwierciadle, powyżej biura zawieszoném, postać wchodzącej do pokoju pani Adeli. Nie było to wejście, ale raczej wtargnięcie, wtargnięcie głośnie w najwyższym stopniu zirytowanej gospodyni. Policzki jój były zarumienione, oczy błyszczały silnie, ręce, w których trzymała pęk brzękających kluczy, drżały.

— Fabianie! — zawołała — co to będzie z tego wszystkiego? powiedz mi, co to będzie? Czy nigdy już nie pomyślisz o tém?

— Co, duszko? z czego? co będzie? nie rozumiem, — wyjąkał pan Fabian, usuwając się pod przeciwległą ścianę, w miarę, jak klapiące trzewiki posuwały się ku niemu.

— Co? z czego? — powtórzyła kobieta. — Tak! ty o niczym nie wiesz! ty nic nie rozumiesz! ty o nic nie dbasz. Pójdź, zobacz!

Daremnie było-by opierać się. Ręka kobiety pochwyliła gwałtownie rękę mężczyzny, ciągnąc ku oknu nieopierającego się zresztą pana Fabiana.

— Patrz! patrz! — wołała pani Adela, wskazujący palec wyciągając ku poblizkiemu płotowi. — Czy to podobna! w biały dzień!... doprawdy, można umrzeć ze złości i rozpaczy!

Pan Fabian oczy szeroko rozwarzył, i patrzył we wskazywaną sobie stronę. Płot przezroczysty był, bo jedno ze składających go kołków pogniły i na ziemi leżały, inne, wyjęte umyślnie, posłużyły kuchcikowi i Grzesiowi ku podpalaniu w piecach. Za ażurowém ogrodzeniem tém, przemykała się chyżo, ku ziemi pochylona, postać niewieścia.

— Patrz! widzisz? w biały dzień! — krzyczała pani Adela.

— Kto to, duszko? baba jakaś... nie rozumiem!...

— Baba jakaś! tak, baba! To żona kucharza! On nakradł kartofli, warzywa, i Bóg wie czego jeszcze, a ona przyszła tu teraz, w wór zabrała i poniosła.

— Zkąd-że wiesz o tém, duszko?

— Zkąd wiem? zapewne! nie wiedziała-bym o niczym, bo cały dom na mojej głowie, i nie mogę ro-

zerwać się, aby wszędzie być i wszystko widzieć za siebie i za ciebie!... Zapewne nie wiedziała-bym, ale na szczęście mamy przyjaciół... Oroszczenko dopilnował i pokazał mi.

— Ach, te długie języki! — stęknął mąż.

— Długie języki? Chciał-byś zapewne, aby wszyscy milczeli, albo o poezjach tylko rozprawiali. Niech kradną, niech roznoszą, niech rozrywają!...

— Ty bo, Adziu, tak zaraz wszystkiemu wierzysz...

— O, Boże mocny! a ty nie wierzysz? Widziałeś przecież na własne oczy...

— Może to niesłuszne podejrzenie... może ona co innego niosła.

— Co innego?... Boże jedyny! Mówię ci przecie, że Oroszczenko sam widział i przybiegł, aby mnie ostrzedz.

— Duszko — przemówił pan Fabian łagodząco— i cóż tam znowu tak ważnego, jeśli biedni ludzie pożywią się przy nas odrobinę?

Pani Adela schwyciła się obu rękoma za głowę.

— A to doprawdy zwaryować można! Pożywią się!... mało ich jeszcze żywi się przy nas? Ale to kradzież! Czy ty sumienia nie masz, żeby pozwalać ludziom na grzech taki?... Pożywią się! a kto nas żywi? Wiedzie i dzieci nasze, jak majątek z dymem pójdzie? ?

— Poco znowu ma z dymem iść? jakoś to będzie.

— Nic nie będzie! jeszcze lat trzy, cztery, a wszystko pójdzie na marne. Długów pełno! Jankiel już nie chce mięsa na kredyt dawać... z głodu kiedyś pomrzemy razem z dziećmi!

— Adziu! po co zaraz te desperacje? Powinniśmy ufać wyższej nad nami opiece. Opatrzność więcej ma, niż rozdała.

— Tak, tak! zdawaj się na Opatrzność, a sam wiersze pisz i pejzaże maluj!

— Duszko! — szepnął znowu pan Fabian — nie samym przecież tylko chlebem człowiek żyć powinien.

— Zawijasz ty jednak dobrze i chleb, i mięso, a tylko o żonę i o dzieci nie dbasz, czy będą za rok jaki chleb miały.

Potok łez polał się z jej oczu. Na widok ten, pan Fabian struchlał.

— Adziu — zawołał — nie płacz-że, proszę cię, nie płacz! nie mogę patrzeć na łzy! Tyś matką moich aniołków, ale widzisz...

Kobieta z gwałtowném łkaniem, przycisnąwszy chustkę do twarzy, wyszła, trzaskając za sobą drzwiami. Pan Fabian stał na środku gabinetu, i ze wzburzoną twarzą słuchał oddalających się kroków żony.

— O, Boże mój, Boże! ktoś mnie od tego przekle-

tego gospodarstwa wybawi? — zawołał w końcu, zalamując ręce.

W téj chwili uchyliły się po cichu drzwi, z gabinetu do przedpokoju wiodące, i głos niewidzialnej osoby jakiegós, głos cichy, ostrożny, ugrzeczniiony, wymówił:

— Czy można?

— A kto tam? — zapytał pan Fabian.

— Eli Makower, — odpowiedział głos za uchylonemi drzwiami.

— Proszę! proszę! — wyrzekł pan Fabian z widoczném strapieniem i stęskniony wzrok rzucił na pulpit z rozpoczętym krajobrazem.

Jednocześnie pani Adela, szybko płacz swój ukoiwszy, zarządzać poczyniała w garderobie śledztwo przeciwko niewiernemu kucharzowi; zaledwie jednak zdołała zgromadzić parę wiarogodnych świadectw, aliści w bramie dziedzińca ukazała się zgrabna karetka, sześcią koni zaprzężona i podróżnemi pakami w górze i z tyłu obciążona.

— Wody! mydła! kucharza! — rozległy się wołania pani Adeli. — Grześ niech nowy surdut włoży! kołnierzyk czysty! indyk na pieczyste!... Ale ktoby to mógł być taki?

— Jeżeli się nie mylę, — wycedziła, patrząc z okno, pani Eustachya, — to pani Ręzcycowa przychała.

— Jezus Marya! — krzyknęła gospodyni domu,

— pani Ręczycowa!... Po indyku legumina z chleba!... Taka elegantka... Prędzej-że, gamoniu! kołnierzyk koronką oszyty!... O! panno Antonino, zlituj się, mankiet mi zapnij. A włosy moje, włosy! dawajcie prędko grzebienia!...

W kilka minut potém, na kanapie bawialnego salonu siedziały obok siebie pani Malwina, w kapeluszu ozdobionym marabutami i w tureckim szalu na ramię, i pani Adela, w wełnianej sukni, w krzywo włożonym kołnierzyku z koronką i z rękoma świeżo umytemi.

— Ślicznie mi wyglądasz, duszo moja, choć to Bóg wie, jak dawno cię nie widziałam. Projektowałyśmy codziennie z Różą i Florą odwiedzić Łozową... tylko że jestem zawsze tak zaafierowaną... Ale ślicznie mi wyglądasz!

— Gdzie tam! pani łaskawa, gdzie to ja mogę dobrze wyglądać!... Tyle zmartwień, kłopotów, irytacji...

— Rozrywek-by ci trzeba, kochaneczko, rozrywek koniecznie. Poszłaś w ślady swojej mamy, która sławną gospodynią była... Ja rozrywam się, jak mogę, i nieźle mi z tém, jak widzisz...

— Ach, pani kochana, jak ja mogę o rozrywkach myśleć? Pani znasz mego męża. Złote serce! najlepszy, najszlachetniejszy człowiek w świecie, ale za temi sztukami Bożego świata nie widzi... na mojej głowie wszystko...

— Taka już jego pasya, duszo moja! Każdy człowiek musi mieć swoje pasye... Czy dawno byłaś w N.?

— Gdzie mi tam, pani kochana, po miastach jeździć? Po-za domem i gospodarstwem nic dla mnie niema. Teraz sługi takie, że tylko spuść się na nie, a dom ci rozniosą. Fabian na nic uwagi nie zwraca, niczego nie dojrzy...

— Rozrywek-by mu trzeba, rozrywek konieczniel Figuruj sobie, moja duszo, że ja się do N. na mieszkanie przenoszę. Jakiegoś poziewania dostałam... wracam właśnie z N. Siedm pokoików, duszo moja, najęłam... Róża i Flora pojedą naturalnie ze mną, a za dwa tygodnie najdalej meble z Warszawy przyjdą... panny służące dwie tylko ze sobą biorę... lokaja, furmana i kucharza, więcej nikogo... parę koni i kabryolet od Rentla... Nie wiem tylko, co z Francuzką zrobię.

— Z jaką Francuzką?

— *Demoiselle de compagnie*... trochę jeszcze i guwernantka. Wzięłam ją do Flory, ale teraz mi już niepotrzebna; w mieście ambaras z mieszkaniem... Flory edukacją dokończą metrowie, a i tak będzie nam ciasno. Otóż, figuruj sobie, duszo moja, przyszła mi do głowy idea, czy ty czasem do swoich matki i siostry Francuzki mojej nie weźmiesz.

— Ja pani? od dwóch miesięcy mam już guwernantkę...

— Co? duszo moja! kogo? tę Michalinę? Ależ wstydź się! to prosta dziewczyna! maniery żadnej, prononcyacya francuzka najgorsza, a przytém: *Szyłło!* remarkuj sobie: Szyłło. Krztusiłam się zawsze, wymawiając to nazwisko... Moja Francuzka, *mademoiselle Zoe de Brunelle...* remarkuj tylko: *Brunelle* i *de*, jest *de!* Zubożała arystokratka, kochaneczko! Maniera wspaniała, prononcyacya paryzka... za miesiąc ci dzieci nauczy mówić po francuzku cudownie, a przytém, między nami mówiąc... to dystynkcyja dla domu! Czenże twoje dzieci gorsze od innych, aby francuzkię guwernantki mieć nie mogły? Nie prawdaż? ręczę, że nie umieją jeszcze mówić po francuzku.

— W istocie... Ludka dopiero zaczyna mówić tym językiem, a Józik, Staś, Elżusia i Marynia mówią tylko: *maman, merci, bonjour...*

— A widzisz, duszo moja, to wstyd, wielki wstyd! Dzieci twoje wyrzucać ci to będą kiedyś, że zaniedbałaś ich edukacyą.

Pani Malwina długo jeszcze przemawiała w ten sposób do macierzyńskiego serca i do próżności pani Adeli. Bardzo snadź leżało jój na sercu pozbycie się francuzkię guwernantki przed wyjazdem do miasta... Matkę siedmiu aniołków pociągało ku sobie mocno uczynione jój przedstawienie, najprzód dlatego, że oddawna już bolała nad głębokim obskurantyzmem dzieci swych co do francuzkiego języka, a potém, że myśl o posiadaniu w swym domu Francuzki łechtała

jój miłość własną.—Przynosi to dystynkcyą domowi! —mówiła pani Malwina. W dodatku tajemnicza odpowiednia pani Eustachyi co do Michaliny wisiała zawsze nad głową pani Adeli, niby niewidzialny i nieokreślonego kształtu miecz Damoklesowy. Panna Antonina nakoniec, po wielekroć już zwracała uwagę swój chlebobdawczyni na szczególny stosunek, zdający się zachodzić pomiędzy Michaliną a młodym Orchowskim, który od czasu jój przybycia stał się w Łozowój niezwykle częstym gościem.

— Romansują z sobą napewno, przestrzegała rezydentka...—Święty Boże! święty, mocny! Jak amen w pacierzu nieprzyjemności ztąd wynikną różne... i zły przykład dla Ludki...

— Bierz moję Francuzkę, bierz, — mówiła pani Malwina, — a Michalinę tę odpraw... Ma przecież stryja, to niech sobie u niego siedzi.

— Pomyślę...— odpowiedziała pani Adela, — naradzę się z Fabianem...

— No, pomyśl, naradz się i zakomunikuj mi listownie, co wymyślisz i uradzisz... Będę czekała na list twój trzy dni najdłużej... Jeżeli nie zechcesz panny de Brunelle, to zawiozę ją do Orchowa, dla Lili... Dziwna rzecz, że mi ta myśl wprzódy do głowy nie przyszła; ale do Łozowa po drodze jakoś... za... Tymczasem adieu, duszo moja. Jeżeli ziesz téj zimy do N., to proszę, odwiedź mię.

Do ni kochana, a obiad? natychmiast podadzą.

— Nie mam czasu, duszo moja, nie mam czasu! jestem tak zaaferowana... Róża i Flora czekają mnie w domu, a Dorosia szyje mi dwie suknie. Ta dziewczyna bardzo jest zręczną; ale może je źle skroiła. *Adieu, adieu, duszo moja!* Weź moją de Brunelle, pamiętaj! Dla dzieci trzeba przecież coś zrobić... a przyjeżdżaj do N., rozerwiesz się. Ucałuj swoje małeństwo ode mnie. *Adieu! au revoir!*

Kareta właśnie odjeżdżała od ganku, uwożąc panią Malwinę, przez szybę jeszcze ku oknom domu całusy ręką posyłającą, gdy pan Fabian wszedł do salonu. Przeciwno zwyczajowi drzwi od ginecaeum nie były zamknięte; w szarych głębinach gospodarskich komnat rozlegały się wołania pani Adeli:

— Powiedz Jerzemu, żeby indyka nie piekł!.. filizanki pochowaj!.. Grześ niech nowy surdut zdejmie!..

Spostrzegła męża przez drzwi otwarte i weszła do salonu.

— Czemuś do nas nie wyszedł? Czy i gości bawić ja jedna tylko mam obowiązek?

— Bawiła tak krótko, a ja tam byłam interesami zajęty.

Pani Adela zaśmiała się szyderczo.

— Ty, interesami zajęty? to koniec świata chyba...

— Nie, duszko, ale przyjechał Makower, wiesz...

— Wiem! wiem! I cóż ten Makower?

— Chce Łozową w dierzawę wziąć.

— Chce wziąć? to i chwała Bogu. Wszyscy teraz żydom majątki w dzierżawę oddają. A ileż on za Łozową daje?

— Nieźle daje.

— No, już ty się na tém znasz, jak koza na pieprzu. Ileż?

Pan Fabian wymienił sumę rocznej dzierżawy, przez Elego mu ofiarowaną. Pani Adela z wielkiego zadowolenia rękoma plasnęła.

— Święty Boże! — zawołała, — ten żyd oszalał chyba, żeby tyle dawać! Ty i połowy dochodu tego nie masz z Łozowej... Ale prawda, jaki ty możesz mieć dochód, wiersze pisząc i pejzaże malując?...

— Jakże więc zrobić, duszko?

— I ty się pytasz jeszcze? Oddaj mu Łozową i w rękę go pocałuj. Będzie przynajmniej grosz gotowy i ten złodziej ekonom precz pójdzie. Już na niego oddawna patrzeć nie mogę.

— Ty bo, duszko, rządysz się swą osobistą niechęcią dla tego człowieka, ja zaś co innego miał-bym na względzie.

— Cóż takiego, naprzykład?

— Ci żydzi, widzisz, to tacy brudni, nieestetyczni...

— Święty Boże! jemu trzeba, aby dzierżawca najątku był estetycznym!

— Nie, duszko, ale zaraz mi dwór zanieczyszczą... ogród szczególnie... śmieci zaraz pełno będzie.

Pani Adela, ze wzgardliwym wyrazem twarzy, głową kiwała.

— Oj ty poeto! poeto! — zawołała. — Tu idzie o zachowanie kawałka chleba dla nas i dla dzieci, o wyratowanie się z długów, o wypędzenie precz tego złodzieja ekonoma, co tu już nas od lat tylu okrada, a ty myślisz o ogrodzie i o śmieciach... Ale prawda, czy to ty dbasz o co? czy ty...

— No, nie irytuj się znowu tak zaraz. Ja sam chciałybym bardzo kłopoty te z głowy zrzucić...

— To je zrzuci!

— Trzeba będzie pojechać z Makowerem do N., Augustyn Szyłło kontrakt napisze... Muszę tylko zawarować w kontrakcie, żeby dzieci ich przynajmniej wstępu do ogrodu nie miały.

— A excepcye? — zapytała pani Adela.—Ręcę, że zapomniiał-byś o excepcyach, gdybym ja ich nie przypomniała. Żyta na chleb beczek piętnaście najmnie, pszenicy na bulki... jęczmienia i gryki pomyśl jeszcze ile...

— Napisz, duszko, rejestryk.

— A prawda, choć raz rozsądnie o gospodarstwie pomyślałeś. A teraz rzecz inna. Trzeba Michalinę Szyłkównę odprawić.

— Odprawić? a dlaczego? — ze zdumieniem zawołał pan Fabian.

— Zdarza się nam do dzieci Francuzka, — zniżonym głosem mówiła pani Adela, — osoba podobno pię-

knie wykształcona, z dobrym układem i paryzką prononcyacją. Nie można takiej okazji opuszczać. Dzieci nasze nic jeszcze prawie po francuzku nie umieją...

— Ależ duszko! osoba ta zdaje się dobra...

— Dobra!—uśmiechnęła się pani Adela.—O! nie tak bardzo znów dobra, jak się zdaje z pozoru. Zraz pierwszego wieczora radziła mi, abyśmy tych biedaków, co tu u nas siedzą, z domu naszego wyprawili... Mówiła, że powinni-by znaleźć sobie jakie zatrudnienie...

— Fi! — zawołał pan Fabian, — takie zimne zdanie u kobiety!

— A widzisz! serce snadź nieszczególne. Co się zaś tyczy nauki...

— Uważałem, uważałem,—przerwał pan Fabian —że zbytecznie Ludkę do książki zasadza. Przychodziła mnie samemu do głowy obawa, aby nam z niej pedantki nie zrobiła. Nauka wysusza serce w kobiecie...

— Wysusza, czy nie wysusza, dość tego, że ja z niej nie jestem zadowolona. Skromne to na pozór i niewymagające, ale Bóg wie, ile jeszcze kosztować może w przyszłości.

— Co tam koszta! najgorzej to, że serce, jak potażuje się, ma niedobre, i może aniołki nasze chłom zarazić...

— Więc jakże zrobić?

— A jak sobie chcesz, Adziu.

— Tak, tak! wszystko na moją głowę, na moją odpowiedzialność zwałć najlepiej, najwygodniej dla ciebie! A tyś nie mężczyzna? nie pan domu? nie ojciec twoich dzieci?

— No,—rzekł pan Fabian, gładząc łysinę,—później to zdecydujemy... Makower czeka na mnie w gabinecie, muszę powiedzieć mu, że zgadzam się i dzień wyjazdu do N. naznaczyć.

— Nie zapomnij-że tylko o excepcyi... Kartofli do karmienia wieprzy... pośladu, żyta i jęczmienia dla kur...

— Dobrze! dobrze! napisz registryk.

— Proszę pani mąki na kluski! — ozwał się z głębi gospodarskich komnat głos cienki i donośny, a przez drzwi na-wpół uchylone, po-nad osmoloną ręką, trzymającą ronderek, ukazała się głowa kuchcika.

Konferencya przerwana zawiązała się na nowo pomiędzy małżeństwem, przed udaniem się na spoczynek i, do żadnego jeszcze stanowczego wyniku nie doprowadziwszy, powtórzyła się nazajutrz i jeszcze dnia następnego po kilka razy. Złote serca państwa Fabianowstwa czyniły im odprawienie młodej guwernantki bardzo trudnym. Namysłali się, naradzali i w taką niezgodę z własnym sercem i sumieniem popadli, że przez dwa wieczory, z niespokojności wielkiej, pan Fabian nie dotknął wiolonczelli, a pani Adela nie cerowała pończoch. Najszczególniej zaś było to,

że przez dwa te wieczory pani Adela okazywała się wyjątkowo łaskawą względem dwóch rezydentek, wywołując umyślnie ich uwagi o Michalinie i szukając w podszeptach ich usprawiedliwienia własnych chęci.

Przyszedł nakoniec dzień trzeci, jako termin ostateczny, przez panią Malwinęznaczony. Pani Adela w przedobiedniej porze weszła do pokoju guwernantki, z wyrazem twarzy niezwykle uroczystym, bez kluczy nawet i w czepku prawidłowo na włosy włożonym. Lekcja była skończona; dzieci rozsypały się po domu, a nauczycielka układała książki i przeglądała zeszyty swoich uczniów.

— Kochana panno Michalino,—zaczęła pani domu, — bardzo mi przykro, doprawdy, ale muszę powiedzieć pani rzecz nieprzyjemną...

Zawahała się chwilę, odchrząknęła i ze spuszczo-nemi oczyma dokończyła :

— Pomimo najlepszych chęci naszych dla pani... ja i mąż mój... nie możemy dłużej mieć pani w domu naszym...

Michalina, jak piorunem rażona, podniosła głowę i na kobietę mówiącą spojrzała zdumionemi oczyma.

— Pani! — zawołała, — za co? dlaczego?

— Ależ za nic, kochana panno Michalino, za nic! nie trzeba się znowu tak zaraz obrażać i irytować. Jesteś pani młodą i nie wiesz, co to rodzicielskie kłopoty i obowiązki. Zdarza nam się nauczycielka Fran-

cuzka... Nie możemy... dla dobra dzieci naszych, nie możemy okazać takiej opuszczać.

Gwałtowne rumieńce wytrysnęły na twarz Michaliny, oczy jej błysnęły obrazą, żalem.

— Pani! — rzekła drżącym od wzburzenia głosem.— Pokochałam dzieci państwa... i one także przywiązały się do mnie... Są one jeszcze tak małe i tak niewiele umieją, że to, co ja umiem, na długo wystarczy im może... Dlaczegoż więc...

Nie dokończyła. Uderzenia serca, wezbranego bolesnemi uczuciami, zatamowały jej mowę. Nie pochyliła jednak tym razem głowy, nie spuściła oczu, owszem, patrzyła w twarz pani Adeli wzrokiem, w którym malowała się śmiałość czystego sumienia i duma niewinności, czującej, że dzieje się jej krzywda.

Pani Adela, pod wpływem wzroku tego, spuściła powieki i machinalnym ruchem szukała u pasa przebywających tam zawsze kluczy.

— POCO się pani tak irytuje?—zaczęła po chwili. — Mój Boże! nie znasz pani jeszcze prawdziwych zgrzyot i zmartwień. Wszakże dla pani wszystko jedno... tu być, czy tam... u nas, czy gdzieindziej... Ja sama postaram się dla pani o miejsce... zarekomenduję panią do jakiego znajomego domu... Tę Francuzkę, widzi pani, nastęrcza mi pani Ręczycowa... osoba tak poważna... zacna... i dla której mam obowiązek wdzięczności, bo, jeszcze niezamężną będąc

bywałam u niej z nieboszczką matką, moją bardzo często na wieczorach i bawiłam się w jej domu wybornie... Niech sobie mówią o mnie, że jestem skąpą, gderaczką, może i jestem taką... ale mam serce i nigdy nie zapominam o tém, co komu winna jestem... Pani Ręzcycowa życzy sobie, żebym wzięła z jej domu tę Francuzkę...

Była-by długo jeszcze usprawiedliwiała się w ten sposób; ale Michalina przerwała jej mowę.

— Przebacz pani, — rzekła, — ale trudno mi bez słowa obrony zgodzić się na rzecz, która... która z wielu względów wyrządza mi krzywdę. Częste zmienianie miejsc pobytu przynosi złą sławę nauczycielce... jestem przytém ubogą i nie mam własnego domu, do którego odjechać-być mogła...

— Pani masz stryja... — przerwała z kolei pani Adela.

— Tak, pani, ale dom stryja mego nie jest moim domem. Postanowiłam od lat najmłodszych żyć z własnej pracy i niczego nie obawiam się więcej, jak przyczynić ciężaru ludziom, którzy i bez tego zrobili mi wiele, wiele dobrego...

— Wszystko to jest bardzo szlachetném ze strony pani; ale cóż my temu winni, że pani nie masz własnego domu, a u stryja swego mieszkać nie chcesz?...

— Pani! — zawołała Michalina, — a cóżem ja zawiniła państwu? Staralam się spełniać sumiennie orzyjęte obowiązki, ale sądziłam, że i państwo zechce-

cie także spełnić dane mi przyrzeczenia... Pan Łozowicz, przyjeżdżając po mnie do Orchowa, umówił mnie na rok cały...

— A! — zawołała, rumieniąc się, pani Adela, — pani więc powołujesz się na umowę? Oho! znać zaraz, że jesteś synowicą prawnika. Fi! fi! panno Michalino, to wstyd, żeby kobieta odwoływała się do jakichś tam umów! Pilnowanie się kontraktów do mężczyzn należy; kobieta sercem tylko rozsądzać wszystko powinna...

Ręce guwernantki, splecione i na książce złożone, drżały. Była tak blada, że zdawało się, jakby pod wpływem obrazy i żalu cała krew jój zbiegła do serca.

— Tak pani, — wymówiła stłumionym głosem, — dobrze jest jeśli uczucia rządzą stosunkami ludzkimi; ale tam, gdzie ich braknie, wolno każdemu odwołać się do umowy.

— A więc wytocz nam pani proces! — zawołała pani Adela, zirytowana niezmiernie oporem guwernantki. — Przyjdzie to nawet pani z łatwością... Stryjaszek kochany, jako prawnik, dopomoże jój w tém i skargę do sądu na nas napisze... Ja tylko to pannie Michalinie powiem, że od dzisiejszego dnia stryj pani nie jest plenipotentem mego męża... Dziś zaraz Fabian pojedzie do N. i cofnie stryjowi swoją plenipotencją...

Ostatnim słowom pani Adeli towarzyszyło kłapa

nie przydeptanych trzewików, które zwracały się w stronę gabinetu pana Fabiana.

Guwernantka zmieniła nagle postawę. Ogień dumnego oporu zagasł w jej oku, ustępując przed wyrazem przestachu. Wiedziała o tém, że Łozowicz był jednym z głównych klientów jej stryja; pomyślała, że strata klienta tego odbić się może bardzo znacząco na niezamożnym bycie obarczonego rodziną prawnika.

— Pani! — zawołała, postępując parę kroków za odchodzącą kobietą, — niech pani wstrzyma się... niech pani stryja mego w tę sprawę nie miesza... Odjadę bez żadnej pretensyi choćby dziś, za godzinę odjadę.

Pani Adela zmieszała się znowu i, kilka już tylko słów wymówiwszy, odeszła. Tego samego dnia wysłano konnego posłańca z listem do Ręczyna, a we dwa dni potem Michaliny w Łozowój nie było. Dzieci płakały po kątach, ze strachem oczekując powrotu ojca, który nie najtyczanką już, jak po pannę Szyłło, ale naprędce wyreparowanym powozem pojechał po pannę de Brunelle.

Panna Zoe przybyła; nad wieczorem zaś, w porze, gdy całe domowe towarzystwo, z wyjątkiem nowej guwernantki i dwojga jej uczniów, zebrane było w sali lalnej przy herbacie, parokonna bryczka zajęchała od ganek.

— Pan Mieczysław przyjechał! — wesoło zawołał pan Fabian i wybiegł do sieni.

— Grzesiu! nowy surdut! — z cicha i z pośpiechem zadysponowała pani domu.—Jerzy niech co najprędzej po mąkę na wafle przychodzi! Masielniczkę kryształową wyjm z szafy!

Panna Antonina figlarnie mrugała oczyma.

— To dopióro szuka się, jak jój tu już nie znajdzie! — szepnęła do ucha pani domu.

Mieczysław wszedł, a gdy witał wszystkich z kolei, wzrokiem szukał pomiędzy zgromadzonemi osobami twarzy, której nie ujrawszy, zajął przy stole wskazane sobie przez gospodarza miejsce i często spoglądał na drzwi ginecaum, w perspektywie dwóch bawialnych salonów widzialne. Po upływie dobrego kwadransa drzwi te otworzyły się i przez salony, z powagą i wyniosłością, z szelestem jedwabnej sukni, z głową podniesioną i lasem długich, czarnych loków obwieszoną, kroczyła panna de Brunelle.

Za nią postępowała Ludka, łkając i lzy ręką ocierając, i Józik, który za plecami nowój nauczycielki swój wystawiał język, pięść składał w kształt figi, nogą próbował następować na olbrzymi ogon jój sukni, słowem, czynił wszystko, co mógł, aby usprawiedliwić nadawaną sobie nazwę wisusa.

Pani Adela z pośpiechem nalala dla panny Brunelle szklankę herbaty, bacząc pilnie, aby była dość słodka i dość mocna, pan Fabian pełnym galanteryi

ruchem przysunął krzesło jój do stołu, pani Eustachya poprawiła pocerowane swe jedwabie, panna Antonina posunęła ku miejscu, które zająć miała Francuzka, koszyk z bułkami i kryształową masielniczkę; rezydenci zaś mężczyźni oniemieli i wytrzeszczył oczy.

Mieczysław przerwał rozmowę swą z panem Fabianem w połowie wyrazu i ze zdumieniem wpatrzył się w znajomą sobie trochę francuzką guwernantkę.

— Czy państwo wzięliście do domu swego drugą jeszcze nauczycielkę? — zapytał półgłosem młody Orchowski.

— Nie, nie! — odparł gospodarz, gładząc łysinę. — Panna Szyłło odjechała do N. Moja żona, widzi pan, moja żona i ja sądziliśmy, że dzieci nasze więcej korzystać będą przy nauczycielce Francuzce...

Szkarłatny rumieniec oblał czoło Mieczysława; wzrok jego, swobodny zwykle, prawie wesoły, stał się na chwilę tak surowym, jakby z ust jego, które drgnęły lekko, wymknąć się miał wykrzyk oburzenia i wyrzutu. Powściągnął się jednak szybko, przez uczucie towarzyskiej przyzwoitości, ale rozmowa pomiędzy nim a gospodarzem domu nawiązać się już nie mogła. Młody gość roztargniony był, a odpodając na zadawane sobie pytania, o czém inném locznie myślał. W połowie już wieczoru pożegnał podarstwo domu.

— Może państwo zechcecie dać mi zlecenia jakie do N.?—zapytał z obojętną grzecznością.—Jadę tam jutro...

Zleceń żadnych nie było, pan Fabian bowiem wybierał się sam do głównego miasta okolicy, dla załatwienia kontraktowej sprawy z przyszłym dzierżawcą swego majątku. Panna Antonina znacząco na panią Adele spojrzała.

— A co?—szepnęła,—leci za nią! Co to z tego będzie? Święty Boże! święty, mocny!

X.

Gubernialne miasto N., o ośm mil mniej-więcej od Orchowa, Ręczyna i Łozowej odległe, jak wszystkie prawie litewskie miasta, nie jest ani bardzo zamożnym; ani zewnętrzną okazałością błyszczącym; stanowi przecież jeden z głównych punktów, w których koncentrują się kapitały ruchome, sprawy bieżące, a w znacznej części i inteligencya prowincyi.

Nie na żadnej jednak z głównych i ozdobnych ulic miasta mieszkał Augustyn Szyłło, stryj Michali-ny. Mieszkanie, które zajmował wraz ze swą rodziną, znajdowało się w domu drewnianym, starym i pochylonym, wsuniętym w głąb' dziedzińca obszernego i dokoła ostawionego budynkami, również niepozornie wyglądającymi. Dziedziniec był porośnięty w lecie trawą skąpą i żółtą od pyłu, w jesieni i na wiosnę pokrywał go błoto, za ogrodzeniem zaś, przypominającym budowę swą wiejskie zagrody, biegła ulica brukowana, z kilkunastu domami również drewnia-

nemi, z-za których wyglądały szczyty nędznych drzew owocowych. Jeden koniec ulicy téj wybiegał z zaułka, ku głównym ulicom wiodącego, drugi spotykał się z szeroką, bitą drogą, która, okrążając w połowie miasto, wiodła miejscowe powozy i dorożki pod wysokie i z dala widzialne ściany piérwszorządneho dworca kolei żelaznej.

Augustyn Szyłło był człowiekiem pięćdziesięcioletnim, średniego wzrostu, z głową okrytą na-pół posiwiałemi już włosami. Twarz jego o rysach ściągłych, zarostu wszelkiego pozbawioną, przyoblekała cera żółtawa i zwiędła, taka, jaką odznaczają się zazwyczaj oblicza ludzi, którzy znaczną część lat swoich spędzili w zamknięciu, śród ścian wilgotnych i mrocznych. Z tą żółtą, niezdrową cerą twarzy, zgadzał się spłowiały błękit oczu, w których, obok przyrodzonej łagodności, migotały wciąż niespokojnemi światełkami troska, niepokój; zgadzało się z nią i czoło niewysokie, pospolicie zarysowane, a rojem fałd i zmarszczek pokryte. Idąc, pan August trzymał się pochyló, a prawe ramię jego podnosiło się wyżéj nieco od lewego. Lekkie to skrzywienie fizyczne odznacza zawsze ludzi, którzy długo siadywali za stołem, i prawą ręką, uzbrojoną w pióro, wodzili po papierze przez lat dziesiątki. W domu przebywając, a najczęściej nawet i na miasto wychodząc, Augustyn Szyłło miał na sobie ubranie, z taniego bardzo materiału sporządzone i wytarte nieco, obuwie proste, grube,

czapkę sukienną z daszkiem; był to strój jego najzwyczajniejszy, do powszednich okoliczności życia zastósowany. Niekiedy jednak widywano go ubranego w czarny tużurek, z połyskującym obuwiem na nogach, z wysokim, błyszczącym kapeluszem na głowie, w rękawiczkach nowych, i jeśli dzień był chłodny, w paltocie bardzo porządnie wyglądającym. Był to strój, przywdziewany przez Szyłłę w uroczystych wypadkach jego życia, wtedy, gdy udawał się do którejś z miejscowych juryzdykcyi sądowych, lub do któregoś z przybyłych ze wsi możniejszych swych klientów.

Biografia człowieka tego w głównych swych zarysach przedstawiała się dość prostą i pospolitą. Był on młodszym z dwóch synów właściciela niewielkiej wioski. Starszy brat jego, ojciec Pawła i Michaliny, pozostał na dziedzicznym kawałku gleby, oddając się, wzorem przodków, zawodowi rolnika; Augustyn zaś, w ósmym roku życia swego, po ukończeniu pięciu klas gimnazyalnych, wstąpił do jednego z biur rządowych. Rolnik lub kancelista, były to dwa zawody, wedle ówczesnych wyobrażeń, jedynie możebne dla szlacheckich synów. Bracia też podzielili się dwiema temi drogami.

Augustyn ożenił się wkrótce z córką sąsiada, młodą i hożą dziewczką, i zamieszkał w mieście, poczem, przepisując z razu urzędowe papiery, następnie pi-
je w pewnej mierze już samoistnie, zatrzymując po lat kilka na każdym z różnych stopni urzędo-

wój hierarchii, po dwudziestu pięciu latach służby biurowej, doszedł do urzędu naczelnika stołu. Położenie jednak, w którym się znalazł po ostatecznym tym awansie, było dla materyalnego bytu jego dość dogodne, dla ambicyi jego wystarczające. Niewytwornym zapewne był ten byt, niewymagającą była ta ambicya, nikt wszakże nie widział Szyłły w owym czasie zaspionego i niezadowolonego, nikt od niego skargi nie usłyszał żadnej. Zwierzchnicy uznawali w nim urzędnika pilnego i sumiennego, koledzy lubili go, dobra sława jego najlżejszemu nigdy nie uległa szwankowi, przez świat i życie przesuwiał się cicho, niepostrzeżenie, bez blasku ni wysokich pretensyi, ale z czołem wypogodzonym, z sumieniem i mieniem czystym.

Żył-by tak długo, zapewne do końca lat swych, pracując ciężko, choć cicho i nieznacznie, zadawając się warunkami swego bytu i położenia, a poezją życia czerpiąc z rodzinnego ogniska, coraz liczniej obsiadywanego przez małe lub podrastające dzieci, gdyby nie nagła katastrofa.

Katastrofa to była ta sama, która, spadając na dwory wiejskie, właścicieli ich zmusiła do roztworzenia rzadko przedtém roztwieranych ksiąg rachunkowych. Spadła ona nietylko na wsie, ale i na miasta, i objawiła się mieszkańcom tych ostatnich skutkami inną nieco natury, niemniej jednak stanowczo ich na dwie połowy rozcinającami.

Bywają w dziejach momenta szczególne, nagłem zmianami w losach jednostek, społeczność składających, napiętnowane. Od najwyższej do najniższej warstwy ludności, od téj, która przywykła przodować, do téj, której wiekuistém przeznaczeniem wydawało się posłuszeństwo—żadna nie pozostaje wtedy na dawném swém miejscu, w uprzednich warunkach bytu. Ci spadają, tamci podnoszą się; pod stopami jednych grunt wstrząśniony zapada się w wądoły i przepacie, aby pod stopami innych roztoczyć kwitnące równiny, lub wzdymać się w wyniosłe wzgórza. Drogi dawne zacierają się bez śladu, a nowe zarysowują się niewyraźnemi z razu liniami. Ściany domowstw z niemém zdumieniem spoglądać się zdają na całkiem nowe twarze, które je zapełniają, podczas gdy dawne, dobrze znane, te, które w cieniu ich uśmiechały się piérwszemi uśmiechami dzieciństwa, rumieniły się ogniami dojrzałego wieku i okrywały zmarszczkami nadchodzącej starości, przestępują próg ich, aby więcéj nie wrócić.

Ludzie z najróżniejszych stron i stopni dziedziny społecznej schodzą się, mieszają w jeden tłum błędny i popychający się nawzajem; jedni drugim następują na stopy i włożą na plecy. Ci, którzy nie znali się dawniej, twarzą w twarz stają przed sobą i dumnie oglądają się za tém, do czego przywykli, a tém żyli się, a co ucieka od nich i znika we mgle przebytego oddalenia.

Jest to zamieszanie, chaos, toń zawrotna, z której społeczność, po upłynionym momencie wiru i ogłuszenia, powstaje częstokroć odrodzona, z dawnych kalectw uleczona, ze starych plam obmyta, ale w których jednostki słabe, do walki niezaprawione, giną wśród smutków, trosk, łez i... głodu, niby tragiczne ofiary, ciałami i duchami swemi ścielące drogę nieubłaganą logice dziejów.

W tej samej porze, w której do dworów wiejskich wstępowały troski, dawniej tu nieznanne, drzwi kancelaryi miejskich pootwierały się na oścież, a przez nie dawni ludzie wyszli, nowi weszli.

Augustyn Szyłło, wraz z dziesiątkami, setkami współtowarzyszy swych, utracił posiadłość. Przygarbiony i posiwiasty, wstał ze stołka, na którym dwadzieścia siedm lat siadywał, i poszedł...

Poszli wszyscy i stanęli wśród ulic miejskich, na twardym, nagim bruku. Nie byli sami. Wkoło nich stały żony ich, matki, siostry, rojem otaczały ich dzieci drobne lub dorastające...

Co czynić? Nie pójść im już teraz do pług, nie imać się młota, nie wdziawać na plecy, od lat i pracy schylone, studenckiego munduru! Pracowali dotąd w zawodzie, do którego dostatecznie, lecz wyłącznie byli usposobieni.

Jedyną umiejętnością, jaką posiadali, było przepisywanie lub pisanie urzędowych aktów; cała wiedza ich mieściła się w kilku tomach kodexu prawnego

w tych szafach odwiecznych, nadpróchniałych, w których zżółkłe od starości, pyłem poprzegryzane, spoczywały biurowe archiwa. Dziś umiejętność ta i wiedza stały się im nagle zupełnie bezużytecznymi.

W ten-to sposób, wśród mnóstwa innych, nowych całkiem zjawisk, powstało jedno jeszcze, a mniej dziwne, powstał osobliwszy proletaryat, złożony z ludzi bez własności, bez dachu, bez żadnej określonej kondycji, bez przystępnej im pracy, bez możliwości zarobkowania... Rozeszli się. Dokąd poszli? Ha! na traf szczęścia, na łaskę miłosierdzia ludzkiego. Rozeszli się, niosąc na głowach zdwojoną ilość włosów białych, na plecach gromady istot, z rąk ich wyglądających wyżywienia. Jedni powędrowali w strony dalekie, tam, gdzie trudnić się mogli tém, czém trudnili się długie lata w stronie rodzinnej; inni utulili się w kątach cichych, zapadłych, kędy chleb najtańszy, a litość ludzka najczynniejsza; inni jeszcze z bohaterskiém nieledwie wysileniem, po-przez głód, chłód i łzy, wdarli się na ścieżki ciasne dla nich, bo nowe; inni nakoniec, po krótszej lub dłuższej walce, stopniowo lub nagle, według charakteru i okoliczności, puścili się na zarobki łatwe, przestąpili progi miejsc, kędy nędzne okruchy czarnego chleba ludziom zgłodniałym rozdają, oszustwa i występki.

Nikt nie policzy, nikt nigdy wiedzieć napewno nie będzie, ile plam ciemnych wystąpiło w porze owój na

czoła dotąd czyste, ile rąk nieskalanych jeszcze zanurzyło się w błocie, ile sumień ludzkich usnęło na wieki, a ile ich targało się, płakało, walczyło póty, aż miotane niemi piersi rozdarły się i skonały, wydając jęk żalu za grzechy, dokonane z rozpacz.

Wilgotne ściany suterren i duszące stropy wysokich poddaszy widziały ludzi tych, siedzących z twarzami ukrytymi w dłoniach, podczas gdy dzieci ich wyciągały z kolebek wychudłe ręce, wołając: chleba! Widziały ich okna litościwych ludzi, gdy podchodzili ku nim nieśmiało krokami, z oczyma wbitemi w ziemię, z dłonią, która, wysuwając się z łachmanów rękawa, drżała ze wstydu, a z ńędzy o jałmużnę błagała. Widziały ich progi możnych, gdy przybywali ku nim codzień, co rano, i z pokorą głęboką, z uporczywością niczém niezrażoną, powtarzali zawsze jeden i ten sam błagalny wyraz, błagalnym wymawiany głosem: pracy! pracy! Widziały ich nakoniec ponure głębokie szynkowni miejskich, gdy wstępowali w nie, aby zgryzotę swą zalać ognistemi kroplami trunku; widziały, ukryte wśród zaułków lub murów starych, szulernie, gdy zasiadali w nich nad stołem, aby od kart zatłuszczonych i cuchnących otrzymywać to, co dotąd uczciwa dawała im praca.

Z licznej gromady tych świeżo powstałych proletaryuszy, w każdym mieście, w każdym miasteczku znalazło się po kilku lub kilkunastu ludzi, którzy chwycili zajęcia, najbliżej spokrewnionego z tém, jak

mimo woli swój opuścili. Ogłosili oni gotowość swą do załatwiania interesów prawnych tym wszystkim, którzy załatwiać ich samodzielnie nie chcieli, lub nie umieli.

Augustyn Szyłło był jednym z tych, co się tego środka zarobkowania najpierwsi jęli. Współzawodniczyło z nim kilkunastu dawnych kolegów jego, i pośród téj świeżo zgrupowanej klasy nie on téż osiągnął pierwszeństwo.

Jak wszędzie bywa, tak i tu, miejsca najzyskowniejsze, najzaszczytniejsze, zajęły głowy najzdolniejsze, charaktery najenergiczniejsze. Jak wszędzie, tak i tu, w opinii publicznej, w zaufaniu i sympatyach ogółu i w wynikającym z nich powodzeniu, szale kołysały się póty, póki charaktery silne, wyraźne i zdolności wyższe nie przeważyły. Dwaj, trzej ludzie ze świeżo powstałej klasy wystrzelili nad wszystkich innych, zdobyli sobie klientelę liczną i zamożną, zarobki obfite, działalność szeroką i użyteczną. Inni pozostali w cieniu, ubiegając się za mizernymi zyskami, które dawały im wprawdzie byt, ale skąpy, niepewny, bez ńędzy ostatecznej, ale i bez dostatków.

Do tych ostatnich właśnie należał Augustyn Szyłło. Stérany już nieco latami i pracą, miękkiej woli z przyrodzenia, wszelkiej wiedzy nieco wszechstronniejszej i światowej ogłady pozbawiony, nie mógł cignąć dwóch czy trzech kolegów swych młodsz, energiczniejszych, i... pozostał za nimi tak da-

leko, że nie mógł prawie uważać się za ich współtowarzysza.

Nie posiadał daru wymowy, nie był zdolnym unieść się szlachetnym zapałem dla sprawy, przez się bronionej, nie mógł stanąć przed sądem z żywém słowem na ustach, aby przeniknąć bystrym wzrokiem tajemnice i plątaniny spraw zawikłanych a ważnych. Specjalista suchy i ciasno specjalizm swój pojmujący, rutynista, flegmatyk z temperamentu, mógł tylko pisać urzędowe podania i skargi, pilnować terminów i stosować pomniejsze okoliczności spraw sobie powierzanych do elementarnych przepisów prawa.

W warunkach podobnych, utrzymanie się wobec licznój konkurencji było trudném, a postęp wszelki okazał się niemożliwym. Żył jednak jako-tako z grosza, spływającego mu ztąd i zowąd; a głównymi, to jest najmożniejszymi klientami jego byli Orchowscy, Ręczyc i Łozowicz.

Synów dorosłych ów trzeciorzędny prawnik-plenipotent miał dwóch, córki dorosłe także dwie i jedną dorastającą.

Ranek był chłodny, listopadowy, mgła utworzona z drobnego, gęstego deszczu i wyziewów miejskich, przysłaśniała grubą zasłoną mury domowstw i wieże kościołów; za drogą bitą, oddzielającą miasto od otaczających je pól, odbywał się targ na drzewo, siano, drób, ryby i warzywo. Zamiejski rynek ten był placem niebrukowanym, kilkunastu starymi drzewami

bezlistnemi teraz otoczonym; z miastem łączyło go kilka ulic i kilka zaułków, stykających się z drogą bitą. Ze wsi prowadziła do niego szeroka pocztowa droga, niegdyś, przed powstaniem kolei żelaznej, stanowiąca główną komunikacyjną arterią prowincyi. Na rynku stało kilkadziesiąt wozów, naładowanych drzewem, sianem i innymi ze wsi przywożonymi płodami. Śród nich roił się tłum przekupniów, kucharek i uboższych lub skrzętniejszych gospodyń miejskich. Krzyki, targowania się, połajanki chłopów, szwargot żydów, piskliwe głosy kucharek, zaklinania się i kłótnie przekupniów—zlewały się tam w gwar niezrozumiały, wrzaskliwy, grubijański czasem.

Wśród hałaśliwego, popychającego się wzajem tłumem tego, w miejscu, gdzie stały najliczniejsze fury, drzewem naładowane, przesuwał się Augustyn Szyłło. Miał na sobie paltot z grubego sukna, dobrze wynoszony, i grube, nienowe téż, obuwie; na czapce jego tylko połyskiwała srebrzysta gwiazdka, oznaka dawno już przez niego postradanéj urzędniczéj godności. Przybył tu snadź z zamiarem kupienia drzewa na opał, bo stawał przy wozach i zapytywał o cenę. Zatrzymał się téż przed straganem z warzywami, kupił sporą wiązkę włoszczyzny i, wepchnąwszy ją sobie pod paltot, wrócił pomiędzy fury.

Na drodze ukazała się, w pobliżu już, bryczka, po obłożona, w parę nędznych i zmęczonych koni

zaprzęgnięta. Kto siedział na téj bryczce, z-za mgły deszczowej widzieć jeszcze nie można było.

Szyłło postąpił na przód i stanął na krańcu rynku, tuż przy drodze.

Z pozoru sądząc, bryczką taką i takimi końmi jechać tylko mogli: szlachcic zagrodowy, lub wiejska jejmość jakaś, wdowiemi kłopotami ku miastu pociągana, albo wreszcie nadrujnowany obywatel, *incognito* o rannéj porze do miasta przybywający. W rzeczywistości jednak było trochę inaczej. Na bryczce jechała młoda kobieta, w szczupłym futerku, z twarzą przysłoniętą gęstą woalką; obok niéj siedział młody chłopiec, brzydki, ospowaty, sukienną burką otulony. Powoził zaprzęgiem parobczak w żółtym kozuchu. Kiedy bryczka zrównała się z placem targowym, jadąca kobieta podniosła się nieco z siedzenia, odrzuciła z twarzy woalkę i zawołała:

— Stryjaszku!

Augustyn Szyłło, usłyszawszy wołanie to, przy-mrużył oczy, popatrzał i zbliżył się szybko ku obłocnemu wózkowi, który stanął śród drogi.

— A! to ty, Michasiu? — rzekł, wyciągając rękę ku siedzącej na bryczce kobiecie. — Jakże się miewasz, moje dziecko? Wszak do nas jedziesz, nie prawdaż? Słyszałem, żeś w ostatnich czasach była u Łozowiczów?

Michalina pochyliła się i przycisnęła do ust się chą, ziębniętą rękę stryja.

— Zostałam oddaloną, stryju! — zawołała, oblewając się gorącym rumieńcem.

— Biedna ty jesteś! — rzekł Szyłło — nigdzie kąta zagrać nie możesz. Ale wiem, wiem, że to nie twoja wina. Czy ja cię nie znam i ich także? No, to i dobrze zresztą, że przyjechałaś do nas. Matka nudzi się bez ciebie, a choć nigdy nie poskarży się, ale my wiemy, co się tam w jój sercu dzieć musi...

— Dziękuję ci, kochany stryju, dziękuję! — przytłumionym głosem odpowiedziała Michalina. — Matka moja czy zdrowa?

— A dobrze, dzięki Bogu, trzyma się pani Benedyktowa nasza. Żonisko mi tylko wciąż niedomaga. Ale z jakim-że to kawalerem jedziesz, Michasiu?

— Syn Pawła, Walek — szepnęła Michalina. — Naparł się jechać ze mną... chciało mu się poznać rodzinę stryja...

— A może i większe trochę miasto zobaczyć — uśmiechnął się Augustyn. — No dobrze, dobrze, stryjenka rada ci będzie, Walku... Cóż ojciec? zawsze na łaskawym chlebie w Łozowej?...

— A na łaskawym — odmruknął Walek, daleko więcej zajęty widokiem tłumnego rynku, niż powitaniem i rozmową ze stryjem.

— Poszedł by gdzie choć na ekonoma! — sarkapan Augustyn. — No, a ty co? czy będziesz tu ba szukał?

— Nie — odparł chłopiec — wrócę do Łozowój temi samemi końmi.

— I cóż ty tam robisz?

— A nic! — lakonicznie odrzekł chłopiec, i z roztwartymi usty przyglądał się rynkowi.

Po kilku jeszcze zamienionych słowach, bryczka potoczyła się dalej. Na ulicach niewiele znajdowało się przechodniów. Jeden z nich przecież, spotkawszy spójrzaniem toczącą się z wolna bryczkę, stanął, popatrzał i zeskoczył z chodnika.

— Michasiu! — zawołał.

Był to młody człowiek, dwudziestoczero-letni najwięcej, wysoki i szczupły, z twarzą ściągłą i bladą, w obcisłym paltocie. Pod ramieniem miał tekę, wypchaną papierami, w drugiej ręce trzymał nad głową roztwarty parasol. Szerokimi krokami zbliżył się do bryczki, która, na znak Michaliny, stanęła znowu.

— Jak się masz, Ignasiu? — rzekła młoda dziewczyna, wysuwając z zaręczawka rękę.

Młody człowiek serdecznie dłoń jój uściśnął.

— Do nas jedziesz? — zapytał.

— Do was, Ignasiu.

— Na długo?

— Nie wiem.

— To i dobrze. Tęskno już nam wszystkim za tobą. Dłużej może trochę zabawisz, niż zwykle...

— A ty, Ignasiu, dokąd idziesz tak wczesnie, i w taką słotę?

— Czyż nie wiesz? jak zwykle, do biura.

— Jesteś więc zawsze kancelistą?

— A naturalnie, od lat sześciu.

— I zawsze nieetatowym?

— A naturalnie, alboż może być inaczej?

— Czy przynajmniej zwiększono ci płacę?.. Dwa lata temu, gdym tu była, otrzymywałeś tak mało...

Młody człowiek uśmiechnął się pod ładnym, płowym wąsikiem, niezbyt wesoło.

— Zwiększono — rzekł. — Biorę teraz po ośm rubli na miesiąc... Starczy mi to na obuwie i na jaki taki surdut... O reszcie, jak i dawniej, myśli ojciec.

— Stryjowi zawsze powodzi się nieosobliwie? — szepnęła Michalina.

— A nieosobliwie — odparł Ignasz. — Najlepsze interesa idą do Rzęskiego i do Dmuchowicza. Ojciec ma same drobnostki, a i tych jeszcze szukać musi. Przytém, gromada nas jest w domu...

Smutek okazał się na twarzy i zadźwięczał w głosie młodego człowieka. Michalina patrzyła na niego z przywiązaniem.

— Tak dawno nie widziałam was wszystkich! — rzekła w zamyśleniu. — Ale źle mi coś wyglądasz, Ignasiu. Pobladłeś, zmizerniałeś, i oczy masz jakoś n' rzękle. Czy jesteś chory?

— Ej, nie — odparł młodzieniec — siaduję tylko w rze od dziewiątej z rana do czwartej po południu,

a potem jeszcze biorę papiery do domu. Ot i dziś, całą noc, do piątej pisałem... Ale dobrze, żem sobie biuro przypomniał. Był-bym się spóźnił. Do zobaczenia, Michasiu!

Uścisnęli sobie znowu ręce, i młody kancelista szerokimi krokami podążył tam, gdzie wznosiły się mury, zawierające w sobie główną jurysdykcją miasta.

W niskim, drewnianym domu, wsuniętym w głąb błotnistej dziedzińca, w pierwszym od wejścia pokoju, mającym pozór małej i bardzo skromnie urządzonej jadalni, siedziała przy fortepianie czternastoletnia dziewczyna i wygrywała gamy. Fortepian stary był, z politurą na pół już znikłą i z klawiaturą zawierającą tylko sześć oktav. Grająca gamy dziewczynka jasnowłosa, z bladawą, ładną twarzyczką, miała na sobie perkalową, krótką sukienkę, starannie wykrochmaloną, a kokardy ze starój, lecz barwistój wstążki u szyi i przy włosach. Drugi pokój, obszerniejszy był nieco od pierwszego i wykwintniej przybrany. Znajdowała się tam kanapa ze stołem, przykrytym siatkową serwetą, i z fotelami. Pod stołem leżał dywanik spłowiały, lecz spory; parę lusterek wisiało pomiędzy oknami, przystrojonymi w muslinowe franki.

Wkoło stołu rozmawiało pięć kobiet. Jedną z nich, małą, szczupłą kobietką, z chorobliwą cerą twarzy i zapadłemi pod ciemną powieką błękitnen

oczyma, siedziała na kanapie, trzymając w białych, chudych rękach stalowe szydełko, którym wyrabiała z bawełny wążką jakąś koronkę. Ona też tylko jedna nie miała na głowie nic, prócz na-pół posiwiałych włosów, gładko nad blademi skrońmi przyczesanych, a z tyłu głowy w cienki warkoczyk splecionych. Cztery inne kobiety siedziały w kapeluszach.

Rozmowa toczyła się żwawo i najczęścięj chórem. Zagłuszały ją chwilami, lecz nigdy nie przerywały gamy, wygrywane w przyległym pokoju przez jasnowłosego podlotka. Nie najmniejszy w nięj udział brała szczupła kobietka, koronkę robiąca, gospodyni domu widocznie. Patrząc na niewiasty te, jak rozprawiły z najżywszém zajęciem, można-by było mniemać, że są to osobliwsze jakieś wiece niewieście, dla narady ważnej nad sprawami wielkimi zwołane. Było to zaś poprostu małe zebranie kumoszek miejskich, przybyłych na codzienną ranną gawędkę do pani Augustynowej.

Gadały tak długo, z jednego przedmiotu na drugi przechodząc, a z każdego czerpiąc temat do rozprawy szerokiej. Z twarzy ich ożywionych i gościów częstych poznać można było, że bawiły się wysmienicie, a jakkolwiek pani Augustynowa wydawała się mniej od czterech przyjaciółek swych ożywioną, jakkolwiek szczupłą postać jęj i twarz bladą piętnował ryraz chorobliwości fizycznęj i moralnego znużenia, nacć jednak było, że i ona także w gawędce tęj nie-

pomierną znajdowała przyjemność, że rozmowa z kuzynkami była dla niej nawyknieniem i potrzebą codzienną, rozrywką miłą i zwyczajnym sposobem spędzenia godzin porannych. To téż, gdy mała kobiątka z okularami na nosie i w kapeluszu, podobnym do nocnego czepka, pierwsza ruszyła się z krzesła, przypominając towarzyszkom swym, że czas już na wotywę, i gdy na głos jój trzy inne panie powstały z fotelów, pani Augustynowa ją zatrzymywać gości.

— Jeszcze chwilkę, pani asesorowo! pani sekretarzewo! kochana panno Julianno! pani Janowo! jeszcze chwilkę posiedźcie! Nie dzwonili jeszcze na wotywę.

— Nie można, nie można, trzeba iść! My sobie po obiedzie do pani *sowiecnikowej* na gawędkę znowu *podejdzem*.

— Przyjdźcie! przyjdźcie panie! Człowiek jak pogawędzi sobie trochę, to mu jakoś lżej na sercu i dzień prędzej przejdzie.

— Oj, to prawda! to prawda! Choć to teraz dnie takie krótkie.

— Ale wieczory długie.

— My do pani *sowiecnikowej*, jak zawsze, wieczorem na gawędkę...

— Proszę! proszę! z robótkami!

Miały się już ku odejściu, gdy przed domem dało się słyszeć kłapanie po błocie kopyt końskich.

— Ktoś przyjechał!

— To pewno kto za interesem do Augustyna.

— Jakaś panna i jakiś chłopiec w burce.

Pani Augustynowa wokno spójrzała i ku drzwiom się rzuciła z żywością, której trudno-by się było spodziewać po zwyczajnym jój, flegmatyczny temperament okazującym, układzie.

— Michasia! — wołała, śmiejąc się serdecznie. — Michasia! Zkądżeś się ty wzięła tutaj? jak z nieba spadłaś! To dopiero pani Benedyktowa uszczęśliwioną będzie!

Otworzyła szczupłe, wełnianemi rękawami okryte swe ramiona, i ciepłym uściskiem objęła szyję pochyloną przed sobą i w ramię ją całującą młodą dziewczynę. Tkliwe snadź miała serce i systemat nerwowy rozstrojony nieco, bo do zapadłych oczu jój napłynęły łzy, a ręce jój drżały lekko, gdy wydobyła je z uścisku drobnych, gorących dłoni Michaliny. Przybyła witała się z czterema kobietami. Znała je wszystkie. Jakkolwiek od trzech już lat w domu stryjostwa nie była, w składzie codziennego towarzystwa i w przyzwyczajeniach żony jój stryja zmiany żadnej nie znalazła. Przedstawiła pani Augustynowej Walka, który wnet wymknął się z pokoju. Cztery kumoszki, rozciekawione zjawieniem się noweltwarzycy, zapomniały o wotywie i posiadały znowozłach. po-

— Gdzie Zuzia i Paulinka? — zapytała Mic

— Zuzia od godziny już na mieście. Lekcje muzyki daje po domach. Paulinka jeszcze śpi.

— A Klemens?

Jakby na wezwanie, z przeciwnej strony domu wyszedł najstarszy syn Szyłków, bardzo do Ignasia podobny, zręczniejszy tylko, mniej blady i mizerny, z wąsikiem pretensjonalnie zaostrzonym, w ubraniu, dowodzącem niepomiernej do elegancyi skłonności.

Powitał on siostrę daleko mniej czule i serdecznie od innych członków rodziny, po chwili zaś, z rękoma włożonemi w kieszenie ładnego paltota, wyszedł na ganek, i widać było przez okno, jak przechodził przez dziedziniec z Walkiem, udając się z nim na miasto. Pani Augustynowa wołała na służę o samowar.

— Zziębłaś, moje dziecko, i przemokłaś — mówiła do Michaliny.

— Pójdę do matki — szepnęła dziewczyna, całując raz jeszcze rękę stryjenki.

Cztery kumoszki ruszyły się znowu ze swych siedzeń, i po chwilowej jeszcze, przy drzwiach stoczonej, gawędce, odeszły. Natomiast do pokoju wszedł Augustyn Szyłło, a jednocześnie na dziedziniec wjechała fura z drzewem i inny wóz, na którym siedział szlachcic w kozuchu, wypchanym u piersi parami, w sieni zaś zakwiczało prosię. Szyłło zdjął Mt, i schowany za połą pęk włoszczyzny rzucił na się słyto.

— Lucynko! — rzekł, zwracając się do jasnowłosego podrostka — weź to i zanieś do kuchni.

Dziewczynka, która dla powitania stryjecznej siostry opuściła na chwilę fortepian, a teraz znowu przy nim siedziała i gamy wygrywała, poskoczyła, aby spełnić rozkaz ojca. Szyłło zbliżył się do żony i w rękę ją pocałował.

— Kupiłem drzewa — odezwał się — haniebnie teraz drogie. Prosię tam także masz na kuchnię, a proszę cię, niech dziś dobry obiad będzie, bo Michasia przyjechała, i biednej dziewczynie pokazać trzeba, żeśmy jój radzi.

— Któż-by jój rad nie był? — odparła pani Augustynowa — ale ty sam wiesz, czy u nas może być obiad dobry, przez kucharkę taką zgotowany. Ręczę, że do tego czasu ognia jeszcze nie rozłożyła...

— A nie rozłożyła — rzekł Szyłło. — Widziałem, przechodząc, że w kuchni ognia jeszcze niéma. Czemuś jój, Wikciu, nie kazała tego zrobić?

— Mój Boże! — załośliwie odparła żona — gości miałam, mój Guciu... Przyszła pani asesorowa, pani sekretarzowa, jeszcze tam ktoś, i zagawędziłam się...

Szyłło nie zdawał się być wielce zbudowanym tém chroniczném, jak widać, zagawędzeniem się żony, ale nie był też niém zdziwiony, ani rozawany. Przywykł snadź do tego rzeczy po-ku.

— Idź-że więc, Wikciu — zawołał — i każ ogień rozkładać...

— Idę, idę!

Z temi słowy, śpiesznie przechodziła przez pokój, dążąc do kuchni.

* * *

Stary, drewniany dom, posiadał nad dachem facyatkę, w której zawierał się pokoik niewielki, lecz schludny i ciepły, z małym oknem, wychodzącym na ogrody, z łóżkiem biało zasłanym, komodą, szafką, z dwoma prostymi stołami i krzeselkami. Przy oknie siedziała stara kobieta, w czarnej wełnianej bluzie i śnieżnej białości czepku, okrywającym zupełnie już prawie siwe włosy. Twarz jej pomarszczona była w różnych kierunkach i napiętnowana wyrazem, przyrosłego jakby do niej, cichego smutku; wysokie czoło przyoblekała cera liliowej prawie przezroczystości. U stóp stariej kobiety, wspartych na drewnianym podnóżku, leżał wielki stos dobrze już znoszonej bielejny i starych perkalowych sukien; ona pochyliła się, brała z kolei każdą ze sztuk tej przeróżnaitej odzieży, oglądała ją starannie, a potem zszywała i czerowała znalezione w niej dziury i rozdarcia. Pracę tę spełniała pilnie i z wielkim zajęciem, a spełniać ją musiała często bardzo, może nieustannie, gdyż białe, przezroczyste palce jej okryte były nakłóciami

igły. Od chwili do chwili tylko podnosiła głowę, a błękitne oczy jój, okularami przysłonię, z zamysleniem tonęły w przestrzeni. Posyłała zapewne myśl swą kędyś daleko, do kogoś ukochanego a odłonego, bo pierś jój, pod fałdami czarnej bluzy, wznosiła się westchnieniem. Wnet jednak wracała znowu do swój roboty.

Cisza zupełna panowała w izbie, gdy nagle na ciemnych wschodach, z dołu na facyatkę prowadzących, ozwały się lekkie, szybkie stąpania. Stara kobieta podniosła głowę, jakby ze snu zbudzona; pomiędzy gęste zmarszczki, okrywające czoło jój i policzki, wystąpiła barwa słabego rumieńca. Koszula, którą właśnie zaczęła cerować, spadła z jój kolan. Splotła ręce i zawołała z cicha:

— Boże mój! to ona! to ona!

Otworzyły się drzwi i Michalina jednym podskokiem znalazła się u kolan starój kobiety. Szczupłą jój kibić ramionami objęła i, tuląc się do jój piersi, pocałunkami okrywała ręce jój, twarz i kolana. Nie zamieniły pomiędzy sobą ani jednego słowa. W przerwach pomiędzy pocałunkami patrzyły na siebie długo, długo... oczy ich szklily się wilgocią, usta drżały...

— Trzy lata, matko — szepnęła nakoniec młoda dziewczyna — trzy lata nie widziałam cię! Ile było dni w tych latach, tyle razy doznawałam strasznej I usy, aby porzucić wszystko i biedz do ciebie...
Walczałam pokusy te, boś mię sama nauczyła, matko

moja, że powinnam pracować, powinnam cierpieć i przenosić wszystko raczej, niż żyć z cudzej pracy, niż wyzyskiwać czyjeś dobre dla mnie uczucia...

Usta stariej kobiety przyłgnęły na chwilę do białego czoła klęczącej przed nią dziewczyny. Oczy jej jednak mgliły się żalem i łagodne zwykle, z pewnością badawczą powagą, utonęły w twarzy córki.

— Dlaczegoż teraz przyjechałaś, Michasiu? — rzekła głosem przytłumionym nieco, lecz pewnym, — czy dlatego tylko aby mię zobaczyć?

Dziewczyna schyliła głowę.

— Nie, matko — szepnęła, — przyjechałam tu, nie wiem na jak długo... Nie miałam już dokąd udać się... prócz dachu tego, nie było już dla mnie żadnego innego.

Stara kobieta coraz głębiej i przenikliwiej patrzyła w twarz córki. Nie miała już uśmiechu na ustach, ani łez w oczach. Łagodną twarz jej przyoblokła powaga, wzrok stał się surowym prawie.

— Dlaczego, Michasiu? — spytała krótko.

Ale młoda dziewczyna zrozumiała wszystko, co zawierało się w tém pytaniu. I ona także podniosła czoło z powagą; wzrok jej głęboki, przezroczysty jak kryształ, spotkał się z badającym ją spójrzaniem matki. Na czole tém i w tych oczach malował się wyraźnymi znakami spokój czystego sumienia; a blado-różowe usta drgnęły boleścią i wydarł s z nich wykrzyk, przeszywający mocą i prawdą;

— Jam niewinna, matko moja! jam niewinnal...
Czyniłam wszystko, co było w mocy mej, i nic już
więcej uczynić nie mogłam.

W téj saméj chwili wyciągnęła ramiona, objęła
niemi znowu kibić staréj kobiety i, przytulona do jéj
piersi, wybuchnęła łkaniem. Zdawać się mogło, że
jakieś zapory, utrzymywane dotąd w piersi jéj stałym
wysileniem woli, pękły wobec oblicza jedynéj kocha-
jącéj ją prawdziwie istoty, że, znalazłszy się nakoniec
przy sercu bijącym dla niéj, wyplakać musiała
wszystkie smutki, tęsknoty, upokorzenia i zniechęce-
nia śmiertelne, któremi napawały ją serca obojętne.

— Michasiu moja! — szeptała schylona nad nią
stara kobieta — nie dziw mi, że płaczesz. Kiedym
cię posyłała między ludzi obcych, na pracę ciężką,
anim spodziewała się, abyś wróciła do mnie z sercem
lekkim i wesołym. A jednak, dziecko moje, wolę
abyś płakała, abyś borykała się z sierocą dolą swoją,
niż żebyś żyć miała, jak inni, na karku cudzym,
i czyjemuś mozołowi kawałek chleba wydzierać.
Dość mi biednego Pawła.

— Wiem, matko, o wiem! Ale pozwól, abym przy
tobie wylała z piersi wszystko, co się w niéj przez te
długie, długie lata zbierało. Byłam cierpliwą... mil-
czałam... Jeżeli zapłakałam kiedy, to chyba wśród cie-
mności; a jednak, matko, jakże zimne są ściany do-
w obcych! jak wielu na świecie jest ludzi niedo-
chl...

Łkania jój ustały. Oparła głowę na piersi matki, a po policzkach jój płynęły dwa strumienie łez gorących, lecz cichych. Cichym też głosem opowiadać zaczęła dzieje sześciolletniej wędrowki swój po świecie.

Mówiła o tém, jak z razu, nic prawie nie umiejąc, z przestrachem i wyrzutami sumienia spełniać począła zadanie, do którego nie czuła w sobie sił dostatecznych; jak niewiadomość swą postanowiła zmniejszyć i siły wzmocnić mozolnym trudem; jak czuła stopniowo wzrastanie swe moralne i coraz szerszej, wzniosłej pojmowała zakres swój działalności; jak nic jój nie pomogło, ani praca ciężka, ani wiedza zdobyta, ani cierpliwość mężna, bo ludzie nie tego od niej żądali, i za brak blasku powierzchownego, za imię pospolite, za samą nawet moc jój przekonań karali ją niechęcią, lekceważeniem, nadwerężaniem dobrej jój sławy.

Ramiona starój kobiety, obejmujące kibić córki, drżały przy smutném tém opowiadaniu; zmęczone oczy jój świeciły bezdenną zda się boleścią, ale wargi jój otworzyły się, łagodne choć smutne, i na głośną skargę dziewczyny odpowiedziały szeptem cichym:

— Niech Bóg im przebaczy, dziecię moje! niech Bóg im przebaczy!

Michalina długo jeszcze mówiła. Wezbrany potok uczuć jój przelewał się w słowach gorących, żałośnych; lecz ile razy z ust jój wychodził wyraz skargi na ludzi, ile razy sarknęła na pychę ich, złość lub

głupotę, w odpowiedzi na te słowa unosił się nad pochyloną jej głowę cichy szept stariej kobiety :

— Niech Bóg im przebaczy!

Obie uczuły się pokrzepionemi, pocieszonemi, prawie wesołemi. Michalina powstała i zaczęła krzątać się po izbie, porządkując rzeczy swe i książki, wyjęte z tłomoczka i drewnianego pudła. Służąca wniosła na tacy szklankę herbaty i kilka sucharków, mówiąc że pani Augustynowa przysyła to pannie Michalinie bo czuje się ona pewno zziębniętą po drodze. Herbata była bardzo złego gatunku, ale przyrządzona z widoczną starannością.

— Jak dobrą dla mnie jest zawsze stryjenka! — rzekła po odejściu sługi Michalina.

— Dobra, poczciwa kobieta! — przywodziła pani Benedyktowa — dobrzy są oni oboje — dodała. — Nie uwierzysz, jak serdecznie i delikatnie obchodzą się ze mną. Nigdy słowem żadnym nie dali mi uczuć, że żyję z ich łaski,

Michalina spójrzała na wielki stos odzieży, leżącej u stóp stariej kobiety, i na palce jej, nakłóte igłą, które zajęte były pilnie oszywaniem szeroką taśmą zrudziałej sukni wełnianej, do pani Augustynowej, lub którejś z dorosłych jej córek, należącej.

— Pracujesz jednak, matko — wyszeptwała.

— Robię, co mogę, ale więcej nie potrafię, bo stara jestem i sił już nie mam.

Michalina stanęła na krześle i zaczęła ustawiać

książki swe na wierzchu szafki. Gdzieindziej nie było dla nich miejsca.

— O! moje śliczne, drogie książeczki! — zawołała, jak ja was kocham!

Stara kobieta oderwała wzrok od roboty i rozpromienioném spójrzaniem śledziła każde poruszenie córki.

— Dziwna rzecz — ozwała się po chwili — jak w moim pokoju jasno dziś i wesoło!...

Zamieniły się uśmiechami, w których był świat cały uczuć serdecznych.

— A jednak — pierwsza ozwała się matka — nie powinnaś tu być długo... pójdziesz w świat znowu...

— Pójdę, matko — odparła Michalina — zacznę zaraz starać się dla siebie o miejsce jakie, a gdy tylko je znajdę, pójdę...

Około godziny czwartej po południu, rodzina Szyłłów zgromadziła się w bawialni, czekając na obiad. Pani Augustynowa siedziała na kanapie, robiąc koronkę. Ignas, który tylko co wrócił z biura, Michalina i czternastoletnia Lucynka rozmawiali przy oknie. W sypialnym pokoju, służącym zarazem za gabinet, Szyłło kończył ożywioną rozmowę z dwoma żydkami, w obdartych chałatach. Na biurku leżała brudna i zmięta, przez żydów tam położona, dziesięciorublowa asygnata.

Do bawialni wbiegła młoda panna, w futerku zgrabném i strojnym kapelusiku.

— Co widzę! Michasia — zawołała zaraz w progu i rzuciła się stryjecznej siostrze na szyję.

Powitanie było serdeczne, ale trwało krótko, z głębi mieszkania bowiem, głosem przybyłej zapewne przywołana, wbiegła druga panna, śliczne szesnastoletnie dziewczę.

— Czegoś dziś tak długo na mieście siedziała, Zuziu? — zawołała. — O drugiej przecież kończysz swoje lekcye.

— Śmieszna jesteś, Paulinko! przecież sprawunki robiłam! Dwie godziny chodziłam po sklepach, nim znalazłam to, co wiesz...

— Ale znalazłaś?... kupiłaś?

— Znalazłam i kupiłam. Patrz!

Rozwiązała białą chusteczkę, którą trzymała w ręku, i wyjęła z niej najprzód dwie pelerynki koronkowe, potem dwie kokardy z niebieskiej wstążki. Pokazując to, śmiała się wesoło, a oczy Paulinki błyszczały także zachwyceniem.

— Pocóżes kupiła dwie pelerynki i dwie kokardy? — zapytała młodsza siostra — nie będziesz ich przecież razem nosiła.

— Jedna pelerynka dla mnie, a druga dla ciebie, — odparła Zuzia; — tak samo zrobimy z kokardami.

Ładne, błękitnookie dziewczę z okrzykiem radości uciło się siostrze na szyję.

— Jakaś ty dobra, Zuziu! jakaś ty dobra! Ja ani

marzyłam o tém. Ale prawda, ty zawsze tak robisz. Jeżeli mam co ładnego, to zawsze od ciebie.

Zuzia musiała być w istocie dobrą dziewczyną, bo radość siostry uszczęśliwiała ją nad wszelki wyraz. Śmiejąca się i rozradowana, z pelerynką koronkową, włożoną dla przymierzenia na stanik codziennéj sukni, zwróciła się do Michaliny.

— Ty-bo nie wiesz może, Michasiu, że ja to kupiłam za swoje własne pieniądze... własniuteńkie, bo zapracowane. Mam cztery [lekcye muzyki na mieście, dwie po czterdzieści groszy za godzinę, a dwie po złotemu... Kupuję sobie, a czasem i Paulince, wszystkie ładne rzeczy, jakich nam się zechce, tak, iż rodzice sprawiają nam już tylko suknie, bieliznę i buciki.

— Tak, tak! — przytwardziła pani Augustynowa, z dumą spoglądając na starszą córkę — wszystkie dodatki do ubrania Zuzia kupuje za własne pieniądze.

Michalina nie zdawała się być wielce zbudowaną tém kupowaniem za własne pieniądze pelerynek i kord, nic jednak nie rzekła. Lucynka za to, w milczeniu dotąd podziwiająca stroje, przez siostrę przyniesione, zawołała z zapałem:

— I ja téż pilnie, o, bardzo pilnie uczę się grać, aby conajprędzej mieć, tak jak Zuzia, własne swoje pieniądze.

— I cóż-byś z niemi zrobiła? — zapytał Ignasz.

— Ach! — odparł podlotek, — kupiła-bym sobie

zaraz błękitny kapelusz i buciki, zapinane z boku na guziczki.

Z wykrzyku tego zaśmieli się wszyscy, prócz Michaliny.

W téj chwili ojciec rodziny wszedł do pokoju. Dzieci wszystkie pogarnęły się do niego. Ignasł całowal go w ramię, Lucynka wpół go objęła, Zuzia i Paulinka otoczyły szyję jego ramionami. Posypały się koło niego żartobliwe i pieszczotliwe słowa, pocałunki ust świeżych spoczęły na pomarszczoném czole jego i żółtych policzkach. To téż twarz biednego ex-urzędnika jaśniejszą stała się i gładszą; rozświecił ją uśmiech miłości i radości. Iskra poezyi głębokiej i orzeźwiającej, poezyi rodzinnego ogniska, wpadła w ciemną, twardą prozę jego życia i rozpromieniła ją na chwilę.

— Wikciu — zawołał wesoło na żonę — każ obiad dawać, bo umieram z głodu!

W jadalnym pokoju kucharka nakrywała stół obrusem i ustawiała talerze. Klemens i Walek wrócili téż po chwili z miasta. Zdawali się być z sobą dobrze poznanymi, jakkolwiek, na wytwornisza miejskiego wyglądający, syn ubogiego prawnika z poczuciem nieskończonej wyższości obchodził się z niezgrabnym i w grubą odzież przybranym synem łozowskiego rezydenta. Ale Walek najlżejszój uwagi na to nie zwracał. Zachwycony był miastem, które

w znacznej już części obejrzał, policzki miał rozognione i oczy błyszczące.

— Ach, panie Klemensie! — mówił, (nie miał jeszcze odwagi poufałej nazywać kuzyna, który wydawał się mu wzorem i ideałem wykwintności) — ach, panie Klemensie, te sklepy! te sklepy tam... co to mi je pan Klemens pokazywał, jakie one piękne!... szczególnie ten jeden, z takim ogromnym oknem... Oj! co tam złota i takich jakichś błyszczących kamieni, aż oczy się mrużą!...

Umilkł na chwilę; ospowata twarz jego rumienila się, szare oczy biegały niespokojnie.

— Ach! — zawołał nagle, czyniąc ręką giest energiczny—żeby to tak człowiek był sobie bogatym!

— Ach! — powtórzyła Zuzia — jakbym ja chciała być bogatą!

— Aha! — zawołał Klemens,—żeby to być bogatym, ho, ho!

— Ja nie wiem, doprawdy, czego-bym nie zrobiła, żeby zostać bogatą! — westchnęła z kolei Paulinka.

W wykrzykach tych objawiała się rzecz bardzo smutna i niebezpieczna: żądza bogactw bez pracy. Zdawać się mogło, że w domu tym, od matki rodziny począwszy, do najmłodszego dziecka, nikt nie znał axjomatu w skutki płodnego: „czas to pieniądze, ” i tego innego jeszcze, szlachetnego i uszlachetniającego: „ku celom pożądanym wiodą drogi trudne.”

Po chwili jednak Ignas odezwał się:

— Ot, wiecie co, moi drodzy, już ja tam z wielkich bogactw na wieki wieków kwituję, i niczego-bym nie chciał, tylko dosłużyć się w biurze dwudziestu rubli na miesiąc.

* * *

We dwa dni po przyjeździe Michaliny, przybył do N. Mieczysław Orchowski. Oddawna już w starém domowstwie nie było takiego biegania, wołania, słowem, ogólnego zamieszania, jak wtedy, gdy ojciec rodziny, wchodząc do małej bawialni, oznajmił żonie i córkom, że młody pan Orchowski znajduje się w jego pokoju i że wypada koniecznie zaprosić go na obiad. Pani Augustynowa, siedząc z koronką w ręku pomiędzy panią aptekarzową i panną Julianną, splotła dłonie z przerażeniem nieledwie.

— Ach, mój Guciu! — zawołała — a ja się dziś tak zagawędziłam, że i nie wiem doprawdy, co dzieje się z obiadem.

Chciała zerwać się i biedz do kuchni, ale dwie obecne przyjaciółki powstrzymały ją mnóstwem uwag i zapytań.

— Orchowski! oho! jakich to panów państwo *so-wietnikowstwo* na obiadach u siebie przyjmują!

— Czy to właściciel tego miasteczka Orchowa, co w nim stryjeczna moja babka mieszka?

— A może to do córeczki której ten pan podjeżdża?

— Gdzie-by tam! moja panno Julianno. Czy to obywatelski syn pomyśli teraz o biednej dziewczynie?

— Obywatelski syn! i coż tak ważnego? Pani *sowiecikowa* przecież jesteś także obywatelską córką, a i pan *sowiecnik*...

— To prawda! to prawda!

Tak gwarząc z przyjaciółkami, pani Augustynowa, nie wiedząc sama, jak i kiedy, usiadła znowu na kanapie i, wracając do koronki, poczęła z wolna i smutnie opowiadać o zgasłych świetnościach obywatelskiego rodu swego i męża.

Zuzia, która w dniu tym na lekcye nie wychodziła, i Paulinka, która, niedawno ze snu powstawszy, chodziła po domu ze złocistemi swemi włosami, w niedłuzie ranny biały kaftanik opływającemi, zakrzętnęły się około swego ubrania. Na Lucynkę, która gamy, jak zwykle, wygrywała, starsze siostry zawołały, aby fortepian rzuciła, bo przy gościu *etykietałym*, jak mówiły, brząkać nie wypada.

Dobre pół godziny minęło, zanim pani Augustynowa, przypomniawszy sobie o gościu i obiedzie, z zakłopotaną twarzą do kuchni pobiegła. Wnet jednak uspokojenie i radość zastąpiły w niej miejsce troski. Nad płytą kuchenną, na której w kilku błyszczących rondlach gotowały się potrawy, stała Michalina. Bia-

ły fartuch okrywał od szyi aż do kolan jęj suknią, której rękawy podniesione były aż po same łokcie. Na stole leżała roztwarta kucharska książka.

— Al chwałaż Bogu i Najświętszej Pannie, że ty tu jesteś, Michasiu! — zawołała pani Augustynowa. — Takem się złąkła, że aż mi tchu w piersi branknie! Taki gość!... Trzeba-ż mi było tak zagawędzić się!...

— Niech stryjenka będzie spokojną— rzekła Michalina, krzątając się po kuchni — wszystko będzie dobrze. Zobaczysz stryjenka, jakich my tu z Maryaną cudów dziś dokażemy.

Mówiła to z uśmiechem; ale pani Augustynowej wydało się, że na twarzy jęj dostrzegła, a w głosie zasłyszała coś niezwykłego.

— Może-bo ty już zanadto męczysz się, Michasiu! — rzekła troskliwie. — Widzę, że i leguminę z jabłek urządziłaś, a mnie najwięcej to właśnie przestraszało, że dziś żadnej leguminy na obiad nie zady-sponowałam...

— Usłyszałam w sieni głos pana Orchowskiego, domyśliłam się, że zostanie u stryjowstwa na obiedzie, i wyręczyłam stryjenkę.

Słowa te wymówiła schylona nad rondlem, z którego para buchała kłębamii.

— Niech ci Bóg dobroć twoję wynagrodzi — rzekła pani Augustynowa. — Wszak to już trzeci dzień obiad nam gotujesz, a Augustyn nie może wszystkie-

go odchwalić się przy stole... Dziękuję ci, moje dobre dziecko!

Przy ostatnich wyrazach, wyciągnęła chude ramiona i objęła niemi chylącą się przed nią głowę młodej dziewczyny.

— Co to jest? — zawołała nagle — dlaczego czoło twoje takie gorące i twarz rozpalona?... Czy głowa cię od tego gotowania nie boli?

— O, nie, stryjenko! to tak tylko... od ognia zapewne... to zaraz przejdzie.

Podniosła głowę i szybko twarz odwróciła; niemniej jednak pani Augustynowa zawołała raz jeszcze :

— Co ci jest? Michasiu! lzy masz w oczach!

Michasia zaśmiała się.

— Gdzież-by tam, stryjeneczko! to tylko dymu trochę zaszło mi w oczy.

— Michasiu! — ozwał się w téj chwili od progu głos Zuzi — proszę cię, przypnij mi kokardę do kołnierzyka!

— Michasiu! — powtórzyła, wbiegając, Paulinka — odkąd ty tu jesteś, ja nie potrafię już sama sobie warkoczy upiąć. Proszę cię, zrób to tak ładnie, jak wczoraj!

— Zaraz, zaraz! sos tylko do sztuki mięsa zapra-

wię i ręce umyję — odparła zaimprovizowana gosposia.

Policzki jój gorzały, a źrenice szklistą zachodziły powłoką, gdy, uśmiechając się i gwarząc z siostrami, upinała na głowach ich warkocze i wstążki, a odwracając się co chwila ku ognisku, zalecała Maryannie mieszać w rondlach, szumować rosół i podsmażać sosy.

W godzinę dopiero potém, gdy cała rodzina zebraną już była w bawialni, gdy pani Augustynowa zabawiała *etykietalnego* gościa rozmową o pogodzie i drodze, Zuzia i Paulinka siedziały pod oknem, milczące i zarumienione, a dwie przyjaciółki domu, pani aptekarzowa i panna Julianna, roztwierały szeroko oczy, przyglądając się obywatelskiemu synowi... gdy wreszcie obiad był już gotowy zupełnie, i za chwilę miał być podanym, do bawialni weszła Michalina, bez fartucha na ciemnej sukni, bez rumieńca na twarzy i bez uśmiechu na ustach. W postawie jój i wyrazie twarzy malowała się surowa niemal powaga, a gdy na jój widok młody gość porwał się z miejsca i z głębokim ukłonem wyciągnął ku niój otwartą dłoń, ona giestem poważnym, obojętnym, dotknęła ręki jego końcem swych palców. Wzrok jój raz tylko długiém spójrzeniem zatonął w jego twarzy. w spójrzeniu tém leżał żal, wyrzut, była milcząca *ona* obraza. Zdawało się ono mówić: — po co rbyłeś? dlaczego mnie ścigasz wszędzie? jestem

„biedném stworzeniem”, tulającém się po obcych domach, bronioném niegdyś przez ciebie od napaści i żartów ludzi złych i lekkomyślnych; ale mam cześć swą niewieścią, bardzo mi drogą, mam dumę ubóstwa i serce, które może kochać i cierpieć!

Czy zrozumiał on tę niemą mowę jój wzroku? czy zraniła go obojętność, z jaką go witała? Na mgwie nie oka rumieniec gwałtowny oblał ogorzałe jego policzki, spuścił oczy, rozpromienione przed chwilą i, monosylabami odpowiadając na pytania gospodyni domu o pogodę i drogę, zdawał się sam sobie powtarzać myśli: „po co tu przyjechałem? dlaczego ją ścigam?”

Lucynka otworzyła drzwi od jadalni i, dygnawszy przed gościem, szepnęła matce, że waza jest na stole.

Zmrok krótkiego dnia jesiennego zapadał, gdy otworzyły się z wolna drzwi izdebki, na poddaszu umieszczonej, i pani Benedyktowa, podnosząc głowę z nad roboty, ujrzała wchodzącą córkę. Jakkolwiek nie było jeszcze ciemno, na małym stoliczku paliła się już lampka; stara kobieta naprawiała przy świetle jój odświętną jedwabną suknię pani Augustynowej.

Po spełnieniu gospodarskich czynności, których się podjęła natychmiast po przybyciu swém pod góscinny dach swych opiekunów, Michalina codzienn

o tej porze przychodziła do pokoju matki, siadała przy małej lampie, a szyjąc, lub naprawiając odzież licznych członków rodziny, gwarzyła ze starą kobietą o wszystkiém, co widziała i czuła, czego doświadczyła wśród szerokiego obcego świata. Niekiedy z łagodną przemocą wyjmowała z rąk matki robotę, i pośpieszniej, niż zwykle, szyć zaczynała, aby przez godzinę wieczorne spełnić własnymi siłami zadanie dwóch osób; niekiedy jeszcze otwierała którą ze swych ulubionych ksiązek i czytała, póki staroświecki zegar, połyskujący wśród cieni cyferblatem, zdobnym w olbrzymi bukiet z róż ponsowych i złocistych, chrapliwym głosem wygłaszać nie zaczął jedenastej przedpółnocnej godziny, póki nakłóte igłą, chude ręce stariej kobiety, w znużeniu na kolana nie opadły, a senna głowa jój nie oparła się z przymkniętymi oczyma o poręcz starego fotelu.

Dziś jednak nie wzięła do ręki roboty, nie otworzyła książki i nie zaczęła z matką rozmowy żadnej. Powolnym krokiem przeszła przez pokój, usiadła przy stole i czoło na obie dłonie spuściła. Twarz jój była bladą i poważną, wzrok sztywnie wpatrzonym w jeden punkt przestrzeni. Przez kilka minut dwie kobiety nie zamieniły pomiędzy sobą ani jednego wyrazu. Pani Benedyktowa z niepokojem na córkę patrzała, potem pierwsza przerwała milczenie.

— Słyszałam — rzekła — że mieliście dziś go-
1?

— Tak, matko — nie zmieniając postawy i kierunku spójżenia, krótko odpowiedziała Michalina.

— Któż to był taki, moje dziecko?

Tym razem usta młodej dziewczyny drgnęły. Zdawało się przez chwilę, że niepodobna jej będzie wymówić imienia, o które zapytywała ją matka. Wy-mówiła je jednak głosem dość pewnym.

— Pan Mieczysław Orchowski? — powtórzyła stara kobieta — a więc syn państwa Kajetanowstwa Orchowskich, w których domu spędziłaś kilka tygodni... Nie mówiłaś mi o nim nigdy, Michasiu.

Dłonie Michaliny rozplotły się i w dół opadły; czoło jej za to, schylone dotąd, podniosło się, oblane rumieńcem szkarłatnym.

— Pocóż-bym miała mówić ci o nim, matko — rzekła, powściągając z wysileniem widoczném wybuch uczuć, które wysoko pierś jej podnosiły.— Jest to do-bry, szlachetny młody człowiek, który był bardzo do-brym i dla mnie, ale którego widzieć nie chciała-bym już nigdy!...

— Michasiu! pójdz do mnie! — zawołała nagle matka, z ramionami wyciągniętymi ku córce i z trwo-gą na twarzy.

Michalina klęczała już u jej kolan.

— Co tobie, dziecię moje? co ty masz w sercu?
Głowa młodej dziewczyny przylgnęła do pie-

matki, lecz oczy jój, gorejące łzami i ogniem, podniosły się ku jój twarzy, a blade usta szepnęły:

— Miłość, matko!

Ramiona starj matki silniejszym, niż kiedykolwiek, uściskiem objęły kibić córki.

Długo milczały obie.

— Michasiu — piérwsza ozwała się matka — trzeba więc, abys wyjechała gdzieś daleko...

— Tak, matko, tak! gdzieś daleko! daleko! gdzie wiele będzie pracy ciężkiej, gdzie otoczą mnie znowu twarze obce, a obowiązki święte zaciężą na każdej myśli mojej, na każdej chwili mego życia... gdzie rozpieszczać mnie i rozrzewniać nie będzie wzrok twój kochający... gdzie będę musiała cierpieć i walczyć z sobą w milczeniu.

Mówiła to szybko, z gorączką i uniesieniem w głosie, który jednak zadrzał wnet, złamał się i zatonął w łkaniu głębokim, choć cichém.

Mieczysław opuścił stare domowstwo i szedł przez ulice miasta krokiem szerokim, z głową pochyloną, jak człowiek, na którego wesołość zwykłą spadło niespodzianie coś bardzo smutnego, którego dumę butną pochyliła rzecz jakaś, głęboko zawstydzająca. Powaga i obojętność, z jakimi powitała go dziś Michalina, otworzyły mu oczy na wszystko, co działo się kiedyś w sercu jój i jego, i kazały mu myśleć o przyszłości. Nie chciał ję, nie ukrywał tego przed sobą; wdzięczna i achetna postać jój pociągała go ku sobie mimo-

ry dzielne konie, które porwały się z miejsca, i tęgi
klusem przebiegłszy ulice miasta, dalej już, na szeroko-
kiej pocztowej drodze, uniosły lekki powóz z szybko-
ścią wichru.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

szy pan cościś bardzo ciężko wczoraj zachorował. Już tam dwóch doktorów siedzi, ale starszy pan pono o panicza dopomina się ciągle.

Mieczysław kilku skokami dopadł hotelu.

— Zakładać konie! — krzyknął na woźnicę swego, wbiegając do sieni.

Blady był bardzo i ręce mu drżały, gdy wkładał na siebie podróżne ubranie. Z najwyższą niecierpliwością oczekiwał na założenie koni.

— Listopad — mówił do siebie, gorączkowemi krokami przebiegając hotelowy pokój — tak, Listopad! Mój Boże! a ja myślałem... że choć jedną jeszcze zimę przeżyje...

Łzy zaświeciły mu w oczach.

— Żeby choć w porę jeszcze przyjechać! — zawołał — żeby go jeszcze choć raz zobaczyć! O, dlaczegoż nie byłem z nim ciągle? Jakim-że jestem samolubem! wietrznikiem!...

Zapomniał o wszystkiém, cokolwiek nie było szanowném i drogiém mu obliczém ojcowskiém, które, blade i resztą zaledwie życia świecące, ścigało nieustannie wzrok i myśl jego.

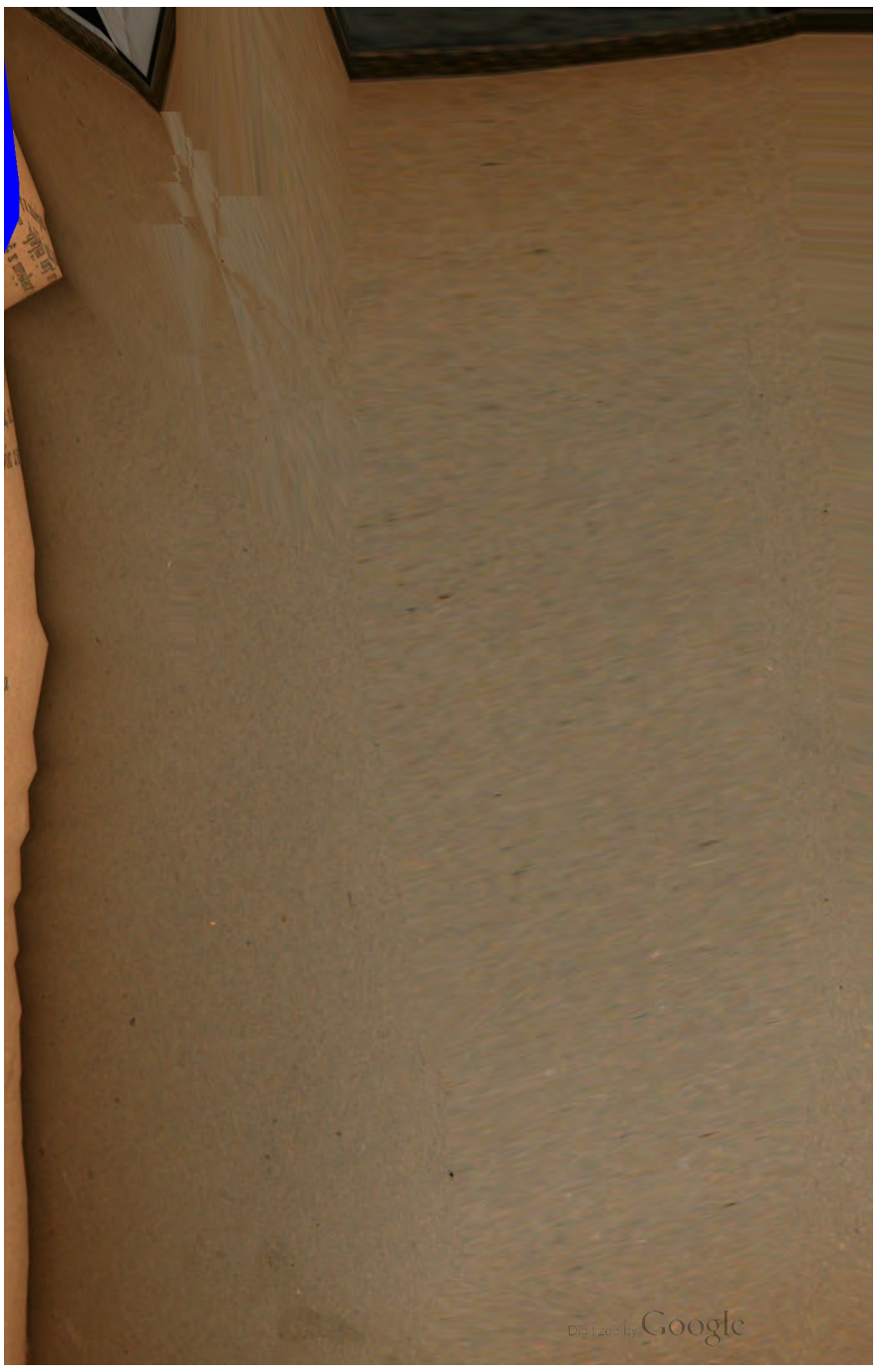
— Żeby choć w porę jeszcze przyjechać! — myślał, siadając na najtyczankę i głośno rzekł do woźnicy:

— Ojciec mój umiera, Stefanie! trzeba, abym go rzekł żyjącym jeszcze! rozumiesz?

Woźnica, nie odpowiadając nic, krzyknął na czte-

ry dzielne konie, które porwały się z miejsca, i tęgim kłusem przebiegłszy ulice miasta, dalej już, na szerokiej pocztowej drodze, uniosły lekki powóz z szybkością wichru.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.



DZIEŁA ORZESZKOWEJ

tomów 44 za rs. 15 kopiejek 40

tom pojedynczy kop. 35

Za przesyłkę na prowincję kop. 8½ od tomu.

Nabyć można częściowo tomami pojedynczemi.

Tanie zbiorowe wydanie dzieł zawiera następujące utwory znakomitej autorki:

Ostatnia miłość, tom 1.—Z życia realisty, t. 1.
—W klatce, tom 1.—Na prowincyi, tom. 2.—
Pamiętniki Wacławy, tom. 4 — Pan Graba,
tom. 3.—Cnotliwi, tom 1.—Wesoła teoria i
smutna praktyka, tom 1.—Na dnie sumienia,
tom. 4.—Marta, tom 1.—Eli Makower, tom. 3
—Rodzina Brochwiczów, tom. 2.—Pompaliń-
sey, tom. 2.—Marya, tom 1.—Meir Ezofowicz,
tom. 2.—Sylwek Cmentarnik, tom 1.—Zyg-
munt Ławicz, tom 1.—Nowelle i obrazki z róż-
nych sfer, tom. 5.—Niziny, powieść z ilustra-
cyami Andriollego, tom 1.—Dziurdziowie, t. 1.
—Drobiazgi, tom 1.—Stare obrazki, tom 1.—
O kobiecie, tom 1.—Kilka słów o kobietach,
tom 1.—Patryotyzm i kosmopolityzm, tom 1.
Cham, tom 1.

Wydawnictwo S. LEWENTALA w Warszawie,
Nowy-Świat Nr. 41.

Jeremiah Curtin

ELIZA PRZESZKOWA

ELI MAKOWER.

WARSZAWA.

S. LEWENTAL.

TANIE
ZBIOROWE WYDANIE POWIEŚCI
ELIZY ORZESZKOWÉJ.

Tom XXI.

E l i M a k o w e r .

WARSZAWA.

Własność, nakład i druk S. Lewentala.

Nowy Świat Nr. 39.

1885.

ELIZA PRZESZKOWA.

ELI MAKOWER

POWIEŚĆ

w trzech tomach.

Tom drugi.

WARSZAWA.

Wydawnictwo, nakład i druk S. Lewentala.

Nowy-Swiat Nr. 39.

1885.

Harvard College Library
Sept. 3, 1913
Bequest of
Jeremiah Curtin

Дозволено цензурою.
Варшава, 10 Августа 1885 года.

TOM II.

I.

Opowieść o uczuciach, myślach i kolejach losu pewnego zbiorowiska ludzi, to niby instrument bogaty w tony rozliczne. Uderzmy w nim akord nowy, a może brzmienia jego spotęgują inne głosy i zwiążą je w harmonią jednolitą.

Rzućmy okiem na przeszłość Kajetana Orchowskiego.

Był on starcem przedwczesnym, schorzałym bezsilnym, w cichych rozmyślaniach zatopionym, niekiedy zrozpaczonym, zbuntowanym przeciw czemuś niewidzialnemu. Zgwałcone znać były w istnieniu jego wielkie prawa jakieś; pomiędzy tém, czém stał się, a tém czém stać się mógł, zaszedł rozstrój, który krzykliwym dyssonansem brzmiał w głębi istoty jego, obranej do szczętu z sił i energii.

Miał 24 lata, gdy po stracie obojga rodziców stał się jedynym panem i dziedzicem obszernych łości orchowskich, zawierających w sobie tysiąc

dusz poddanych, miasteczko ludne i intratne, setki włók gruntu ornego, lub pięknymi, odwiecznymi lasami pokrytego.

Było to przed trzydziestu kilku laty.

Dwór orchowski, jak inne podobne mu siedliska, cicho i sennie, zda się, stał wśród okolicy; nie brzmiały w nim nawet nigdy odgłosy chwilowych, zdawkowych wesołości, ale mniej niż gdzieindziej usnęły tu ludzkie uczucia i myśli. Ojciec Kajetana był starym wojakiem i podróżnikiem, z białymi włosami nad czołem, przerzniętą szramą głęboką. Matka jego, niewiasta dość młoda jeszcze, całą siłą serca kochała małżonka i jedyne go syna, ściany domu swego, wszystkich ludzi biednych, poezją i cnotę.

Kajetan chował się w domu. Ze współczesnych mu młodych ludzi bardzo nieliczni tylko otrzymywali publiczne szkolne i uniwersyteckie wychowanie. Młody Orchowski przecież miał na usługi swoje w domu rodzinnym środki wychowawcze takie, jakich pozbawioną była większość rówieśników jego. Dziecięce i młodzieńcze lata upłynęły mu pomiędzy rycerską legendą, upostaciowaną w osobie ojca jego, a czystym, poetycznym, słodkim i miłosiernym duchem matki. Dokoła rozwijającej się istoty jego wiele było ciszy, najłżejszym nieprzerwanym gwarem, mnóstwo marzeń w czyn niewprawianych, drzo słodczy i poczuć, bez hartu i zapoznania się z rzeczywistością. Brak ten wszystkiego, co zmę;

nia, utrwała, daje siły, potrzebne do stąpania po ziemi, stanowił groźne, choć utajone jeszcze, znamię pory owój.

Cokolwiek bądź, wielu było w okolicy ludzi żyjących, którzy pamiętali Kajetana Orchowskiego pięknym, młodym człowiekiem, z gorącym i szlachetnym ogniem w oku, z wyrazem słodczy wkoło ust świeżych, z dumą na białém czole, nie taką, która grzesznie i bezmyślnie gardzi ludźmi innymi, ale taką, która, wypływając z poczucia sił, wezbranych w piersi i głowie, mówi się zdaje o wyższych celach, o niepospolitych przeznaczeniach noszącego ją w sobie człowieka. To téż młody dziedzic dóbr orchowskich prędko i zupełnie mimowoli zdobył sobie wśród sennój okolicy pewien rozgłos. Opowiadano o nim, że lubił samotność i czytywał książki, że unikał, o ile mógł, gwarych i nieraz świetnych, lecz zawsze trywialnych, zebrań sąsiedzkich i kawalerskich pustot, że skromny był, jak dziewczyna, i we dworze swym zaprowadził obyczaj szczególniejszy surowy. Mówiono, że zdolnym był godzinę całą w milczącej zadumie stać przed obrazem, posągiem lub pięknym zjawiskiem przyrody, — a byli nawet tacy, co utrzymywali, że, przechadzając się po lesie lub ogrodzie, głośno deklamował poezye, inni zaś, z pewnych postępów i odzywań się jego, nazywali w nim demokratę i filantropa.

- Dziwak! — z przekąsem mawiali o nim jedni.

— Marzyciel!—uśmiechali się drudzy.

— Reformator!—sarkali inni.

Nagle do wszystkich krążących o nim wieści przybyła jedna jeszcze: „Kajetan Orchowski kocha się!” „W kim?” — „W żadnej z dziewic, rozkwitających pośród równych mu godnością i majątkiem rodzin szlacheckich.” — „W kim że więc?” — „Któż to zgadnie?... W pasterce jakiejś chyba, w Cygance, rusałce, ondynie. Po tak dziwnym młodym człowieku wszystkiego spodziewać się można.”

* * *

Był to piękny dzień letni, obłany oślniewającym światłem słonecznym, a jednak nieskwarny, z orzeźwiającymi powiewami wonnego wiatru, z rojem drobnych obłoków białych, mknących po szafirze nieba.

W dniu tym młody dziedzic Orchowa należał całkiem nie do samotności, nie do poezji, nie do marzeń reformatorskich lub artystycznych zachwy-
tów, ale do prozaicznej, gospodarskiej pracy. Dzia-
ło się z nim tak dniami, godzinami niekiedy. Zrana
gospodarz rzeźki i wesoły, wieczorem stawał się
marzycielem zadumanym i tęskniącym za czémś
nieokreślonym; dziś za wzór życia obierał sobie
Pana Podstolego, nazajutrz gotów był z gałęzią

cyprysu w ręku iść z *Gustawem* na nocne posępne wędrowki.

Objechał dokoła orchowskie łąny, przesadził strumień bystry, choć wązki, zakreślający granicę pomiędzy posiadłością jego a sąsiedzką i, puściwszy cugle na szyję kasztana, z wolna posuwał się drogą, kręto biegnącą pomiędzy dojrzewającymi zbożami.

U końca drogi, którą przebywał, rozkładały się na dość obszernej przestrzeni szare domowstwa miasteczka; drobne okna ich błyszcząły pod promieniami słońca, jak wielkie iskry, a nad dachami wiły się liczne wstęgi srebrzystych dymów. Na prawo dwa borki sosnowe, nakształt skrzydeł ciemnych, osłaniały niewielki dworek jakiś, rozwierając się o tyle tylko, aby ukazać jedną białą jego ścianę i szybę stawu, ocienioną gałęzmi gęstego rzędu brzóz płaczących. Ludzi nie było widać nigdzie w pobliżu; w oddali tylko majaczyły postacie niewiast wiejskich, nad zagonami lnu pochylone, od strony miasteczka dolatywał gwar niewyraźny; w gałęziach drzew przydrożnych świergotało ptactwo.

Nagle w pobliżu dworku, świecącego na prawo, zamigotała nad stawem postać jakaś biała, wybiegła z pod brzóz płaczących i mknęła wzdłuż ciemnej ściany borku; za nią ukazały się dwie inne postacie, mniejsze od niej znacznie, potem wie jeszcze, kilka, kilkanaście... a wszystkie z kolei biegnęły pomiędzy gęstwinę zboża i na wązkiej mie-

dzy rozwinęły się w sznur długi. Z dala patrzącemu wydawać się mogło, że nie biegły, lecz na fali złocistej płynęły ku drodze.

Kajetan, jadąc wciąż z wolna, przypatrywał się szczególnemu orszakowi temu, który, jak stado ptasząt z gniazda, wymknął się z białego dworku, otulonego skrzydłami ciemnych borów. Im bardziej zbliżał się ku drodze, tém wyraźniejsze odgłosy śmiechów i szczebiotów dziecięcych rozbrzmiewały w cichém, czystém powietrzu.

Po chwili wyróżniła się postać, orszakowi przodująca. Była to postać dziewczęcia, w białej sukni perkalowej, w słomianym kapeluszu, z pod którego spływały dwa długie płowe warkocze. Za nią biegły dzieci; z tych dwoje blade i chorowite miało twarzyczki, a ubrania ich świadczyły o pochodzeniu szlacheckim; inne, z pyzatem, rumianem policzkami, w koszulkach grubych lub sukiennych kaftanach, pochodziły widocznie z wioski jakiejś, z téj może, której parę chat szarych wychylało się z za ciemnych sosen, ocieniających dworek ze stawem.

W pobliżu drogi, w małej wklęsłości gruntu, wysoką trawą pokrytą, rosło kilka grusz starych i rozłożystych. Był to rodzaj altany, przez samą przyrodę zasadzonej, cienistej, chłodnej, szumiącej z cicha gęstym liściem, który spletał się u niej w przezroczyście sklepienie.

Dziewczyna w białej sukni wbiegła pomiędzy stare grusze i usiadła w ich cieniu. Zdjęła z głowy kapelusz, a rzucając go na trawę, wyciągnęła ręce ku dzieciom, które gwarным rojem napełniły altanę. To téż drobna gromadka w mgnieniu oka skupiła się przy niej.

Twarz miała ściągłą, o liniach niewysłowionéj słodyczy, kibić wysmukłą, w kształtach swych drobnych mającą coś dziecięcego i prawdziwie dziewiczego zarazem. Z przezroczystą skronią, wspartą na dłoni, siedziała teraz, biała i spokojna, z łagodným światłem w oczach i z bladoróżowemi ustami, na-pół otwartemi uśmiechem. W oczach tych było trochę zamyślenia, a w zarysie warg uśmiechniętych błędziła linia smutku.

Młody Orchowski zbyt dobrze znał rodzinną swą okolicę, aby mógł nie domyślić się, kim było to zjawisko, które w téj chwili wzrok jego do siebie przykuwało. Wiedział, że dworek ze stawem, pomiędzy dwoma borami stojący, nazywał się Białowolą i należał do rodziny, której nikt prawie nie znał z blizka, ale o której dziejach dziwne prawiono rzeczy, niby o szczególném zbiorowisku nie-szczęść różnych, przesładowań losu, kalectw, chorób, wczesnych śmierci. Domyślił się z łatwością, że dziewczyna z uśmiechniętymi ustami i smutným okiem była wnuczką obecnego dziedzica Białowoli; o istnieniu jéj bowiem zasłyszał był tu i owdzie

cóż niewyraźnego i niedobrze zapamiętanego. Pomimo bliskiego sąsiedztwa, nie widział jęj dotąd nigdy. Teraz nie mógł oderwać od nięj wzroku. Zdawało mu się, że ona jest promieniem, wydzielającym się z tego morza blasków, które świat zalewało, jednym z kwiatów, których tyle barwiło się dokoła, najsmuklejszym z nich tylko i najbielszym, wpół lilią zadumaną, wpół różą, wykwitającą z polnego kwiatu...

Zatrzymał naprzód konia na uboczu, pod cieniem jednęj z wierzb przydrożnych; potem pojechał dalej, a gdy zrównał się z altaną, młoda dziewczyna, usłyszawszy zapewne tentent konia, spojrziała ku drodze.

Ale widok pięknego i młodego jeźdźca nie sprawił na nięj widocznie żadnego wrażenia, ciekawą snadź nie była i nie wyglądała w życiu swém romantycznych przygód. Na kolanach jęj siedziała w tęg chwili jedna z dwóch dziewczynek o chorowitych, bladych twarzyczkach. Musiała to być siostra jęj mała, albo siostry córka, bo podobną do nięj była ze ściągłych rysów twarzy i z błękitnych oczu. Dziewczyna obejmowała dziecę ramieniem, rozgarniała mu włosy nad bladém czołém i w wychudłęg twarzy topiła spojrzenie nieskończonęg troskliwości.

W tęg chwili już młody jeździec nie porównał jęj w myśli ani do promienia, ani do kwiatu.

Dziewicza jój postać przybrała teraz wyraz dojrzałej kobiecości; w spojrzeniu jój, zwróconém na dziecię chorowite, było coś macierzyńskiego, co nakazywało głęboki szacunek.

Orchowski odjechał, ale od tego dnia codziennie prawie można go było widzié idącego lub jadącego drogą, wiodącą ku miasteczku i okrążającą dworek ze stawem. Patrzył w stronę dworku i zdawał się oczekiwać ztamtąd czegoś; ale oczekiwania długo były daremne, białowolska dziewczyna nie przychodziła już z gromadką swą pomiędzy stare grusze polne, albo on może przybywał tam wtedy zawsze, gdy jój nie było...

Zobaczył ją znowu z blizka w pewien dzień jesienny, mglisty nieco i chmurny. Była sama jedna. Zamiast słomianego kapelusza, miała na płowych włosach chusteczkę czarną, a, zamiast białej letniej sukni, kibić jój smukłą okrywało ciemne wełniane ubranie.

Gdy nadchodził, zbliżała się właśnie ku drodze ścieżką, wijącą się pomiędzy ściernią, zczerniałą od mgły i deszczów. Uczuł się wzruszonym jój widokiem więcéj może, niż tego się spodziewał. Staął, ukryty nieco za przydrózném drzewem, i patrzył na nią. Szła z wolna, z głową pochyloną; w ręku nosła długi wieniec, upleciony z białych nieś ertelników i barwinkowych liści. Zatrzymała się i zarzuciła wieniec na ramiona niskiego krzyża,

który, grubo wyciosany z drzewa, wznosił się na małym wzgórzu, u końca ścieżki. Gdy to uczyniła, wielkie, błękitne oczy jój, wzniesione ku niebu, napełniły się wyrazem gorącego błagania. Stała tak chwilę, ze wzrokiem utopionym w wysokościach, z niemymi modły zawieszonymi na milczących war-gach. Potém osunęła się z wolna na ziemię, spłótła przed sobą dłonie, skroń oparła o stopy krzyża i przymknęła powieki. W nieruchomej postawie jój, na twarzy bladej i przezroczystej, spoczywało piętno głębokiego, nieprzewycięzonego zmęczenia. Smutek cichy i pokorny błędził na jój ustach bladych i drobnych. Dosyć było wtedy raz spojrzeć na nią, aby poznać, że na rozkwitającej młodości tej zaciężyły już srogie doświadczenia trudów i cierpień.

Cisza i pustka panowały dokoła, nie widać było nigdzie żadnej istoty żyjącej; przyroda nawet bez barwy, bez głosu, zdawała się spoczywać w omdleniu pomiędzy szaremi chmurami, zwolna sunącemi w górze, i między ciepłemi, gęstemi mgłami, wiszącemi u dołu. Po chwili dopięro od strony pól pustych przyplął głos jakiś oddalony.

— Franiu! Franiu! — wołała niewidzialna jakaś istota ludzka.

Imię to, powtórzone dwa razy przeciągle, zabrzmiało w powietrzu, a słabe echo powtórzyło j po raz trzeci pod ścianą boru.

Dziewczyna, spoczywająca u stóp krzyża otworzyła oczy, szybko podniosła głowę i zdawała się słuchać z uwagą.

— Franiu!—raz jeszcze i z mniejszego już odalenia zawołał głos.

W brzmieniach jego przeciągłych, jęśliwych nieco, dźwięczała niby skarga użalającego się dziecka i nieskończona słodycz serca, przyzywającego ku sobie istotę ukochaną.

Młoda dziewczyna, jak sprężyną ruszona, porwała się z ziemi. Stała wyprostowana, widocznie czegoś nagle zaniepokojona i, patrząc w stronę, z której brzmiało wołanie, zawołała także:

— Jasiu!...

Głos jój srebrzysty był i, tak jak kształty ciała, dziecinny prawie, a jednak przeciągle i donośnie rozległ się dokoła.

Odpowiedzią na jój wołanie był okrzyk niewyraźny, choć donośny. Brzmiała w nim radość kogoś, co znalazł nakoniec to, czego szukał. Zarazem z pomiędzy karłowatych wierzb, porastających małą pobliską łączkę, wysunęła się na pole postać, na pierwszy rzut oka dość dziwna.

Był-to mężczyzna z twarzą ciemną, w odzieniu poplamioném kurzawą i błotem. Oczy miał takie same, jak młoda dziewczyna, wielkie i błękitne, ale szeroko roztwarte, zagaste, jakby martwe i najlżejszym promieniem myśli przytomnej nieożywione.

Wiek jego trudno było poznać. Twarz wyglądała staro i pooraną była zmarszczkami, ale głowę okrywały włosy ciemne, kędzierzawe i gęste. Na włosach tych śplątanych piętrzyło się coś nakształt olbrzymiego wieńca, bezładnie splecionego ze żółkłych liści i suchych badyli polnych. W rękę trzymał giętką gałąź wierzby, okrytą gęstym, uwiędłym liściem.

Ujrawszy postać tę, młoda dziewczyna postąpiła szybko kilkanaście kroków.

— Jasiu! Jasiu! — wołała idąc i przyspieszała kroku, jakby w obawie, aby wołający nie zwrócił się w inną stronę i nie umknął.

Ale on szedł prosto ku niej. Obłąkane oczy jego nabrały na widok jej wyrazu dziecięcej radości, a usta zwiędłe otwierały się wśród zmarszczonej twarzy głośnym, nieprzytomnym śmiechem.

Spotkali się u skraju nizkiej, wilgotnej łączki.

— Gdzie byłeś, Jasiu? — spytała młoda dziewczyna, ujmując ciemną, grubą rękę obłąkanego.

Zadawała pytanie to głosem łagodnym, ale ze spojrzeniem poważnym i twarzą nierozjaśnioną uśmiechem. Powaga ta i badawcze spojrzenie dziewczyny zdawało się sprawiać obłąkanemu przykrość niewymowną.

— Nie gniewaj się, Franiu! — zaczął mówić jednokliwym, żalącym się głosem. — Jaś poszedł znowo do lasu, siedział w lesie długo... długo... rok

dziesięć lat... sto lat... i słuchał, co drzewa gadają, i patrzył na te wielkie, białe ptaki, co tam w górze płyną... płyną...

Dziewczyna wiodła go za rękę ku ścieżce.

— Nie gniewaj się, Franiu,—powtarzał obłąkany.—Jaś nigdy już więcej tego nie zrobi... nie pójdzie do lasu, będzie siedział w domu i myślał o tém, jak mu dobrze było wtedy, kiedy żył... Teraz on już nie żyje... rozum poleciał tam, gdzie te wielkie białe ptaki latają, a jego do ziemi pochowali... razem z Klemunią... z siostrą naszą Klemunią, która była taka dobra i taka śliczna, a teraz śpi tam pod sosnami...

Gwarzył tak długo i głośno, idąc przez pole i potykając się o zagony, mówiąc o sobie, niby o jakiejś innej istocie, która żyła kiedyś, a patrząc na białe, sunące w górze obłoki, które nazywał „wielkimi ptakami.”

Dziewczyna wiodła go wciąż za rękę i w milczeniu słuchała posępnych wyrazów waryata. Stała już teraz na ścieżce, ku dworkowi wiodącej.

— Ach! — krzyknął waryat, — to naszą chatę widać. Jest tam i Frania?...

— Ja tu jestem, przy tobie, Jasiu?

— Tu?... A prawda, to dobrze... pójdziemy do la...

więc to, zwrócił się znowu ku łączce, porosłej w ką, i towarzyszkę swą pociągnął za sobą. Ale

ona oparła się ciągnącej ją rękę jego dziwną mocą. Stała silnie, na drobnych swych stopach wsparta, podniosła głowę i, patrząc mu prosto w twarz, rzekła ze spokojną mocą:

— Pójdziemy do domu.

Przez chwilę zdawać się mogło, że pomiędzy obłąkanym tym człowiekiem a młodzieuchną, wątłą dziewczyną stoczy się walka trudna i bolesna. Martwe dno źrenic jego zaniepokoiło się, strzeliła z nich błyskawica dzikiego zniecierpliwienia.

— Pójdź do lasu! — zawołał i usiłował znowu pociągnąć ją za sobą.

Ale ona nie ruszyła się z miejsca ani krokiem... Siły jej, fizyczne nawet, wyćwiczone snadź były do walki i oporów.

— Pójdziemy do domu! — powtórzyła tym samym głosem stanowczym, a błękitne jej oko, w tej chwili przenikliwe, badawcze, bez drgnienia powieki tonęło we wzburzonych źrenicach obłąkanego...

Zwyciężyła go... Pochylił głowę przed jej spojrzaniem, jak dziecko, przez matkę skarczone, i poszedł za nią na ścieżkę. Ona szła przodem, nie oglądając się nawet, pewna snadź że pójdzie za nią.

Szli krętą ścieżką ku dworkowi. W połowie drogi obłąkany zawołał znowu:

— Franiu!

I nie zważając na to, że szła o parę kroków przed nim, powtarzał wołanie co sekund kilka. Wymawianie jęj imienia zdawało się sprawiać mu przyjemność niezmierną, bo wywoływał je na różne tony, cichsze i głośniejsze, brzmiące to prośbą, to skargą.

Imię to brzmiało w powietrzu i obijało się o uszy zamysłonego i zasluchanego śród drogi Kajetana, wtedy jeszcze, gdy dziwna para, okrążywszy stawek, zniknęła z gęstwiny brzóz płaczących i za spółokaną od jesiennęj wilgoci ścianą białęgo dworku.

Wkrótce potęm nastąpiła zima. Nad słomianym dachem białowolskiego dworku unosiły się wstęgi szarych dymów, niby tchnienia roznieconego w jego ścianach domowego ogniska. Przed dworkiem leżała kryształowa szyba zamarznętego stawu, a rzędy brzóz płaczących i ciemne skrzydła borów stroiły się wokoło niego w śnieżne puchy i brylantowe szrony.

Młody Orchowski coraz rzadziej ukazywał się na drodze, wiodącej w pobliżu dworku ku miasteczku.

Świat sąsiedzki, więcj niż kiedykolwiek w zimie tęj rozbudzający zabawami żywot swęj senny, wyrwał go nakoniec ze starych ścian domu i starał się jak najbliższą zawiązać z nim znajomość.

Znajomość ta jednak do wzajemnej przyjaźni ni przywiodła. Głośniej jeszcze, niż wprzódy, o-

krzyknięto dziedzica dóbr orchowskich marzycielem i oryginałem. Opowiadano o nim, że, wśród zebrań licznych, dla wesołej zabawy zgromadzonych, rozpoczynał poważne dyskusye o celach życia, obowiązkach, o nauce, rolnictwie i przemyśle; że najpiękniejsze i najbogatsze z dziewic okolicy nie mogły zwrócić na siebie uwagi jego wdziękami ni strojem; że mówił głośno, jako małżeńskich związków nie zawrze inaczej, jeno ze szczerą miłością w sercu i nie z kim innym, jeno z kobietą, która zrozumie żądania serca jego i umysłu i dopomoże mu do spełnienia planów, jakie zakreślił dla swój przyszłości.

Jakiemi były te plany i co właściwie miały one na celu? nie wypowiadał tego dokładnie i otwarcie przed nikim. Domyślano się rzeczy różnych, przedsięwzięć jakichś gospodarskich, przemysłowych zakładów, filantropijnych urządzeń. Byli i tacy, którzy dowodzili, że młody pan na Orchowie gorącą miał głowę i serce szlachetne, ale czego żądał od życia i siebie samego, sam jeszcze nie wiedział dobrze.

Niekiedy do wnętrza domu jego zaleciał jęk biedy jakiegóś, skarga czyjegoś cierpienia. Zrywał się wówczas i niewołany biegł tam, gdzie go potrzebowano, otwierał dłoń i ręce... Potém czytał znowu poezye, wpatrywał się godzinami w p

zostawione sobie przez przodków piękne dzieła sztuk i... marzył.

W owój-to porze ktoś rozumny i doświadczenie życia posiadający powiedział o nim:

— Gdyby tak teraz młodzieńcowi temu nie zbrakło ręki kierowniczej, walki o byt, choćby własny, trudu koniecznego, codziennego... gdyby mu teraz obywatelskie dać posłannictwo!...

O Białowoli Orchowski zapominał całemi tygodniami, miesiącami; niekiedy zaś, nagle, przed wzrokiem wyobraźni jego stawała smukła, błękitnooka dziewczyna, piastująca na kolanach swych blade, wychudłe dziecię, albo rozmodlona u stóp krzyża z przymkniętą w zmęczeniu powieką, albo jeszcze wiodąca ku domowi waryata, zwieńczonego liśćmi i rzucającego echem dźwięki jój imienia: Franiu! Franiu!

Pierwsze skowronki wiosenne unosiły się nad polami; powietrze ciepłe przesiąknięte było mocną wonią rozgrzanej ziemi; przydrożne drzewa okrywało rozpuszczające się w liść pękowie, gdy Kajetan Orchowski szedł w stronę miasteczka. Wyglądał jak człowiek, który ma głowę pełną zamiarów, nadziei i marzeń. Nagle stanął i wzrokiem uważnym, rozpromienionym, patrzył na zbliżającą się ku niemu drogą młodą dziewczynę. Była to Frania. chwili, gdy spostrzegł ją, idącą po wąskiej ścieżce, pochylała się właśnie ku ziemi i zdawało się,

że przemówiła słów kilka do kogoś niewidzialnego. Nie otrzymała snadź odpowiedzi, i z ust jój wyrwał się okrzyk lekki. Usiadła śród zoranego zagonu, zdawała się z trudnością podnosić z ziemi ciężar jakiś. Podniosła go wreszcie, powstała i szła ku drodze bardzo powoli, cała zajęta tém czémś, co niosła w objęciu i co utulała pod swém wełnianém, ciemném okryciem. Po kilkunastu jednak krokach sił jój zabrakło widocznie. Stanęła, oparta o jedną z grusz owych, które w pobliżu drogi tworzyły altanę, i potoczyła wzrokiem dokoła. Wzrok ten wyraźnie szukał pomocy. Orchowski stał już przy niej.

— Przebacz pani, — rzekł głosem wzruszonym nieco, — ale wydało mi się, że pani potrzebujesz pomocy.

Na widok tego nieznanego pięknego młodzieńca, nie zarumieniła się, nie zmieszała: znać było, że ani na jedną sekundę nie pomyślała o samej sobie. Cała uwaga jój i pamięć skupione były nad tém, co w zmęczoném objęciu swém trzymała.

— O! jakież to szczęście, że spotkała tu kogoś! — rzekła. — Nie miała-bym dłużej siły nieść tego dziecka.

— Dziecka? — ze zdziwieniem powtórzył Kajetar

— Tak, — odpowiedziała młoda dziewczyna,

znalazłam je na miedzy, nawpół umarłe od głodu i zimna...

Mówiąc to, rozchyliła sukienne okrycie, a młody Orchowski ujrzał czteroletniego mniej więcej chłopaka, w grubej koszuli, zaledwie okrytej podartym łachmanem. Dziecię to zsiniałe było od zimna, wychudłe widocznie z głodu; oczy miało zamknięte, co nadawało mu pozór nieżywego, a wkoło głowy włosy, gęste jak las, kędzierzawe, ze słomą i kurzawą zmieszane. Ognista barwa włosów tych i pewne linie znędzniałej twarzy zdradzały jego pochodzenie.

— To dziecię żydowskie! — zawołał Kajetan.

— Tak, — spokojnie odparła dziewczyna, — to jedno z piętnaściorga dzieci krawca Judela.

— Z piętnaściorga dzieci! — powtórzył znowu Orchowski.

— Judel ma piętnaścioro dzieci; biédny to bardzo człowiek. W tym roku szczególnień nędza u nich jest straszna.

Zamieniali słowa te, idąc drogą, do miasteczka wiodącą. Orchowski złożył nawpół nieżywe dziecię na bryczce swój, która nadjechała, a teraz szedł obok młodej dziewczyny i słów jój słuchał z pewnym zdziwieniem.

— Zkąd pani wiész to wszystko? — zapytał.

Spokojny uśmiech okolił blade jój usta.

— Mieszkam o pół wiorsty ztąd, — rzekła,

wskazując białowolski dworek; — urodziłam się tu i wzrosłam... znam wszystkich prawie mieszkańców miasteczka.

Orchowski z coraz większym zajęciem patrzył na delikatny profil jéj twarzy, którego białość podnosiły okalające go czarne fałdy chusteczki.

Weszli w błotnistą ulicę miasteczka, z dwóch stron szaremi domowstwami obudowaną. Orchowski zwrócił się do woźnicy swego z zapytaniem:

— Czy wiesz, gdzie mieszka krawiec Judel?

Woźnica wzruszył ramionami, na znak niewiedomości.

— O! — podchwyciła Frania, — ja dobrze znam mieszkanie Judela. Każ pan zwrócić konie na prawo... tu, w tę uliczkę.

* * *

W głębi najwęższej, najbłotnistej ulicy miasteczka, stała chata stara, niemal waląca się, z dwoma okienkami, dotykającemi nieledwie ziemi. Za jedném z okienek tych, po-przez szyby drobne, popekane, szare od pyłu, ludzie przechodzący błotnistą uliczką, widywali od lat dwudziestu może żyda, o twarzy pociągłej, bladéj, bez zarostu, lecz ocienionéj gęstemi, rudemi włosami, przykrytemi znoszoną jarmułką. Żyd ten codziennie, z wyjątkiem jednych tylko dni sabat siadywał przed wążką deską, na dwóch klocach wspa

ta i kawałkami materyi różnego gatunku zarzuconą. Deska ta była stołem; kawałki materyi sztukami płócien lub sukien, zużytych najczęściej wielce, a tanich zawsze. Żyd, siedzący przed stołem tym pierwotnej prostoty, u okna, przez które słabym zaledwie odbłaskiem przebijać się mogło światło dzienne, był krawcem. Na imię mu było Judel, a współwyznawcy tylko wiedzieli, że miał on także nazwisko Makower. Od godziny szóstej z rana do północy, a czasem i dłużej, Judel szył; wieczorami, z za szyb mętnych, połykiwał mały płomień lojówki, która paliła się na stole i żółtym połyskiem oblewała czoło żyda, nad robotą schylone. Czoło to okryte było skórą zmiętą, jak stara karta pergaminu; rysowało je mnóstwo kres i zmarszczek, nie przez lata jednak utworzonych, bo podówczas Judel znajdował się jeszcze w wieku zamezkiej dojrzałości. Twarz jego na pierwszy rzut oka wydawała się prawie bezmyślną, gapiowatą i bardzo pokorną; ale, po bliższym przyjrzeniu się, spostrzedz można było w oczach jego, szeroko zawsze rozwartych, utajone światło ciągłej niemal wewnętrznej ekstazy, a wkoło warg cienkich, bezbarwnych, linią taką, w jaką zarysowują się zwykle usta tych, którzy cierpią wiele, nie wiedząc o tém sami i nie zdając sobie z tego sprawy. Była to twarz wyrobnika rąk, z duszą utopioną w niemych medytacjach. Szył i dumał, i czasu do czasu oczy odrywając od roboty, podił je w górę, po-przez szyby mętne, szukając po-

między obłokami czegoś niewidzialnego. W przed-sabatowe wieczory i dnie sabatowe nie siadywał już nad stołem, ale stał; na ramionach miał kawał czar-nego sukna z białymi szlakami, a przed sobą grubą księgę rozwartą. Wysoka, chuda postać jego chyliła się wtedy, niby trzcina pod powiewem gwałtownego wichru, na przód i w tył, a przez okienko chaty wy-pływały na ulicę dźwięki głosu jego, niby gama dłu-ga, przechodząca od szeptów nabrzmiałych westchnie-niami, do extatycznych wykrzyków miłości i jęklowych wołań o pomoc.

Miasteczko Orchów zaludnione było w większej części przez Izraelitów, ale powszechnie uznaném zo-stało, że żaden z nich nie pracował tak nieustannie, nie modlił się tak gorliwie i nie mówił tak mało, jak krawiec Judel. Powiadano także, iż żaden z nich nie był tak łagodnym, jak on, ani... tak biednym. Za szybami okienek rozlegały się z razu płaczliwe krzyki jednego dziecka, potem dwojga, trojga, kilkorga, aż nakoniec przyszedł czas, w którym chata napełniła się taką wrzawą dziecięcych głosów, śmiejących się, płaczących i o chleb wołających, że słyhać je było w oddalonych punktach miasteczka. Niekiedy liczna gromadka, wewnątrz chaty napełniająca, rozsypywała się nazewnątrz. Dzieci Judela napotkać można było wszędzie: na ulicach i rynku miasteczka, wśród pól, które je otaczały, po wioskach sąsiednich, przed kar-czmami miasteczkowymi i przydróżniami. Tułało si

to po miejscach różnych, w grubych koszulinach, u piersi rozwartych, zamiast sukien, w łachmanach brudnych i podartych, z drobnymi twarzami, otoczonymi gęstwiną rudych włosów. Żadne z nich jednak nie prosiło o jałmużnę. Judel nie prosił także nigdy o nic nikogo, prócz Boga, którego wzywał wielkim głosem w dniu sabatowe, miotając się nad księgą modlitw i chude ręce od chwili do chwili podnosząc w górę. Szył on, szył, szył, nie jak człowiek, ale jak machina, bez pomocnika, bez żywego ducha, co-by mu wśród pracy towarzystwa dotrzymywał, tocząc wciąż z samym sobą rozmowy wewnętrzne, które w bladych źrenicach jego odbijały się światłem ducha rozexaltowanego wśród milczenia ust i... głodu ciała. Roboty wykonane roznosił sam po domach miasteczka i po dworkach sąsiednich, oddalonych o wiorstę, dwie, o milę czasem i więcej; nie siadał nigdy na wóz żaden, chodził pieszo i szybko bardzo, z głową pochyloną, z oczyma wpatrzonemi w ziemię i ze szczególnym jakimś uśmiechem na ustach. Obuwie na nogach miewał zawsze podarte i liczne dziury w długim chałacie.

Przyszedł nakoniec rok pewien, w którym zdarzyły się trzy wypadki, mające ścisły związek z bytem Judela. Najprzód do kilkunastu głosów dziecięcych, wrzawą napełniających chatę krawca, przybył głos ten jeszcze — nowo urodzonego dziecka. Było to niecko piętnaste z rzędu. Następnie przed próg

chaty wychodzić przestała żydówka, ze śniadą, pomarszczoną twarzą, która była żoną Judela i gospodynią chaty. Legła ona w ciemnym kącie izby, wśród spłoniałych poszewek starych piernatów, ubezwładniona chorobą ciężką i długą. Nakoniec do miasteczka przybył krawiec drugi, osiadł przy głównym placu i wywiesił nade drzwiami mieszkania swego szyld, na którym wymalowana była bombiasta suknia krwawego koloru i wielkimi literami stały wypisane słowa: *Krawiec damski i męzki z N.*

Nowy przybysz był także Izraelitą, ale młodym, rzeźkim, obrotnym i przebiegłym. Uczył się krawiectwa w N. i to mu od razu zjednało reputacją głośną; przybrał sobie dwóch pomocników i zagarnął całą robotę z miasteczka i okolicy. Wtedy rzadko już tylko widzieć można było Judela szyjącego. Siedział on zawsze nad deską, stół przedstawiającą, ale, zamiast dawnych kawałków materii, miewał przed sobą tylko motki nici białych i czarnych, nożyce i igielnik stalowy. Przyrządy te leżały nieporuszone dniami, tygodniami; Judel siedział beczynn timer, z łokciami opartymi o deskę i z pergaminowem czołem, ukrytém w dłoniach. Przepędzał tak godziny całe, milcząc, myśląc, niekiedy usypiając pod ciepłą pieszczotą słonecznego promienia, który, ukradkiem jakby wnikając przez szyby mętne, złotą nicią połyskiwał na zrudziałej jarmułce żyda, przebywające bezrobocie. We wnętrzu chaty nie błyskało już ter

nigdy żadne światelko, z rana nie płonął tam ogień na kominie, a wieczorem nie zapalała się łożówka. Od kilku miesięcy najmniejszy dymek nie ukazywał się nad dachem chaty, wklęsłym i dziurawym. Nie gotowano już tam strawy. Najstarsza córka Judela, Sara, wychodziła od czasu do czasu i powracała z bochenkiem chleba czarnego i kilku cebulami, które starczyć miały rodzinie całej na tydzień i dłużej, bo przez czas tak długi nikt już więcej nie opuszczał chały i nikt nic nie kupował.

Pewnego jednak dnia wiosennego, przez próg chaty przepelzało na ulicę czteroletnie dziecko. Chciało wstać na nogi... nie mogło. Słabe było i jakby oniemiało, bo nie wydało z siebie głosu żadnego, na czworakach powlokło się ulicą. Świeży powiew wiosenny orzeźwił je snadź nieco, bo na skraju miasteczka mogło stanąć na nogi i iść. Poszło też w pole. Chudą rączyną opierało się o płoty i krzaki, nierozgrzane jeszcze po chłodach zimowych, potykało się o każdą najmniejszą chropawość gruntu, padało, podnosiło się znowu, pełzło lub szło — aż zniknęło wśród świeżo poranych zagonów. Po co dziecko to puściło się na wędrówkę po miasteczku i polach? Kto wie? Wiedzione instynktem istoty głodnej i zziębniętej, szukało może pożywienia, lub promieni słońca.

Wnętrze chaty zawierało sionkę ciemną i izbę woma okienkami. Izba była tak mała, że na rwszy rzut oka nikt nie mógł-by się domyślić, ja-

kim sposobem mieściło się w niej tyle istot żyjących. Była to jedna z tajemnic przestrzeni, znanych dobrze ludziom, którzy zajmują wśród niej miejsce, jakby kradzione, przemocą wydzierane. Czego nie udzielała tam długość i szerokość, to brano od wysokości. Wszystkie cztery ściany, od podłogi do sufitu, pokryte były wprawionemi w nie drewnianemi półkami. Półek tych było czternaście, a każda z nich przedstawiała miejsce spoczynku dla jednego dziecka, tak, iż wszystkie one leżały w dzień, a spały w nocy jedno nad drugim, wyniesione nad poziom i zawieszane jakby w powietrzu, nakształt ptaków, śpiących po gniazdach, do drzew poprzylepianych. Tylko, że gniazda ptasze pływają wśród czystego powietrza, szumu liści zielonych i blasków słonecznych, tu zaś atmosfera duszna była i cuchnąca, a pośród mroku gęstego rozchodziły się płacze, stękania i ciężkie, chrapiące oddechy. Z odgłosami temi łączyły się od czasu do czasu jęki choréj żydówki, leżącój w ciemnym kącie, wśród spłowiałych piernatów. Jęcząc, wyciągała rękę wychudłą, żółkłą i poruszała nią kołyskę, z łoży uplecioną, zwieszającą się na sznurach, przyczepionych do belki czerniałego sufitu. Jęki swe przerywała śpiewem drżącym i chrapliwym, którym uspić starała się krzyczące z głodu piętnaste dziecko...

Ojciec rodziny téj siedział, jak zawsze, u okna nad deską; — obu rękoma trzymał się za głow i, przechylając postać swą w obie strony, milczał lu'

óz w kształcie śpiewu jakiegoś zawodził. Nie odwracał głowy ku izbie dlatego może, aby nie widzieć dzieci, stękających i chrapiących na półkach, i nagiego, żółtego ramienia, które wychylało się z ciemnego kąta i poruszało sznurami kołyski.

W téj chwili otworzyły się na oścież drzwi chaty i stanęła w nich młoda dziewczyna, w czarnej chusteczce na płowych włosach, z dzieckiem łachmanami okrytém w objęciu, a za nią młody mężczyzna.

— Panie Judel,—rzekła, postępując w głąb' izby, — przynoszę ci Mendelka, który spał śród pola na miedzy.

Judel zerwał się na równe nogi i stał z szeroko otwartymi oczyma i z drgającymi usty. Na półkach zrobiła się cisza wielka. Ustały chrapania i stękania. Dokoła ścian pod sufitem i nad podłogą, popodnosiły się drobne głowy, okryte mszystymi, roztarganymi włosy, i trzynaście par osłupiałych oczu błyszczało śród zmroku. W ciemnym kącie nagie ramię opuściło sznury kolebki i natomiast wyciągnęło się ku drzwiom.

— Mendelkie! — zawołał z głębi piernatów głos chrapliwy,—oj! oj! Gdzie on był? czego on poszedł? Może on już umarł? może już nie żyje?

Judel obudził się nagle z odrętwienia.

Blade jego, cierpiące i zadumane źrenice tkwiły to warzy młodej dziewczyny, to w licu pięknego pa: o przenosiły się znowu na zsiniałe rysy dziec-

ka, nad którym z troskliwą dłonią i litośnym uśmiechem pochylała się Frania. Nagle wyprostował się, oczy jego zapłonęły i, łzawe a błyszczące, wzniosły się w górę, na wargach bladych zadrżał uśmiech, pokorny i zarazem zachwycony.

Podniósł wskazujący palec ku kawałkowi nieba, widniejącemu przez drobne, popękane szyby, i wielkim głosem zawołał:

— Niech jasnym państwu wynagrodzi to Bóg! Ja biedny żyd i dzieci moje biedne, głodne robaki, ale przed nim my wszyscy równi. Niech on jasnym państwu tego tak nie zapomni, jak ja nie zapomnę!

* * *

Opuścili chatę biednego żyda i z wolna szli ulicami miasteczka. Orchowski konie swe odesłał do domu. Zaniechał już zamierzonej z rana wycieczki; cała myśl jego, wszystkie jego uczucia były przy młodém dziewczęciu tém, które, postępując obok niego, opowiadało mu dzieje każdego prawie domowstwa, jakie mijali. Znała tu wszystkich i ją wszyscy znali. Gospodarne mieszczki, o twarzach ogorzałych, żydówki na progach domowstw, piorące bieliznę lub piastujące drobne dzieci, pozdrawiały ją skinieniem głowy i uśmiechem. Dzieci biegły ku niej i ze szczebiotem wieszały się u jej sukni; ojcowie rodzin mieszczańskich odkrywali przed nią głowy i wiedli za nią prz

jaznym lub wdzięcznym wzrokiem. Ona opowiadała towarzyszowi swemu, kim byli ludzie ci, jak nazywali się, czém się trudnili, w którym domowstwie była bieda jaka: ubóstwo, sieroctwo, brak zarobku, choroba.

Orchowski przysłuchiwał się jój ze zdziwieniem. Była śmiałą tą przedziwną śmiałością myśli niewinnój, która, nic nie rojąc dla siebie samój, żadnych osobistych planów nie snując, trwóg i pożądań nie żywiąc, obawiać się nie ma czego. Mówiła tak, jak śpiewa ptaszę, bez namysłów, wysilen, ni wahań się, ale w mowie jój przebrzmiewała dusza ludzka, kochająca, żądna dobra i harmonii, ciężkimi próbami życia myśleć nauczona.

W głowie i w piersi Kajetana wrzało. Zapomniał na chwilę, że idzie z młodą, wdzięczną dziewczyną, ku której uczuwał pociąg niewymowny, a zdawało mu się, jakoby wszystkie dobre głosy, które nosił w sobie, podnosiły się z dna jego istoty i przemawiały teraz do niego przez jój usta. Zdawało mu się, że trzyma w ręku różdżkę czarnoksiężką i że potrzeba mu tylko zakreślić nią w powietrzu krąg wielki, aby wszystko dokoła zakwitło zdrowiem, pięknością i szczęściem. Zdawało mu się, że wznosi się przed nim góra wysoka i potrzeba mu tylko jeden skok uczynić, aby stanąć u jój szczytu i cudów meztwa, mądrości, miłości dokazać. Dobre uczucia i chęci szlachetne przemieniły się w nim w tój chwili w namiętność, która rozgrzała

mu wzrok płomieniem zapału i całą twarz przyoblokła wyrazem niecierpliwego marzenia.

Znajdowali się już w pobliżu ścieżki, wiodącej do dworku, tam, gdzie wzrastały grusze stare i krzyż niski podnosił nad wzgórzem ramiona, zwieńczone zczerniałem od chłódów i deszczy kwieciami nieśmiertelników.

Frania stanęła, chcąc pożegnać towarzysza; on jednak nie odchodził jeszcze, patrzył z kolei na krzyż i na nią.

— Widziałem,—rzekł,—jak pani zawieszała wieńiec ten na tym krzyżu. Modliłaś się pani wtedy gorąco, chociaż bez słów... O co pani tak bardzo błagała Boga?

W głosie jego było wzruszenie, którego stłumić, ni ukryć nie mógł. Po twarzy jój, po raz pierwszy od chwili spotkania, przesunął się rumieniec. Przykro jój było, że oko żyjące podpatrzyło tajemnicę wiary jój głębokiej i smutnych jój modłów. Po chwili jednak odpowiedziała:

— O cóż innego modlić-bym się mogła, jeśli nie o zdrowie mego dziadka, o powrót rozumu, albo przynajmniej o sen spokojny dla brata mego, o życie dla moich małych?...

Widać było w istocie, że nie modliła się nigdy o nic innego, że nigdy nie prosiła Boga o nic dla siebie.

Nazajutrz Kajetan Orchowski był gościem biało-

wolskiego dworku. Znalazł tam w kilku małych i skromnych izdebkach starego dziadka, kalectwem przykutego do poręczowego krzesła na kółkach; dwoje dzieci bladych, z odrobiną zaledwie życia w chorowitych ciałach; obłąkanego, który tułał się bezmyślnie po domu i ogródku, lub znikał na długo w głębi boru; parę sług siwowłosych i młode dziewczę, które na widok jego zapłonęło nagle rumieńcem.

Frania była w tym domu nieszczęścia gospodynią, matką, piastunką, dłonią, która żywi, sercem, które pociesza, łagodną mocą, która spokój rozlewa, swobodnym uśmiechem, który promień radości rzuca w najgłębsze nawet mroki niedoli. Była wszędzie, myślała o wszystkiém, działała za wszystkich.

Na dziecięcych jeszcze barkach jęj spoczęły obowiązki wielkie; dźwigała je, sama nie wiedząc jak, sama nie wiedząc kiedy, i żyła się ze swym ciężarem, pragnieniem, myślą, nie wybiegając ni razu w świat weselszy. Była piękną i nie wiedziała o tém. Bywała nieraz śmiertelnie znużoną i nie pragnęła ani szukała spoczynku. W każdój godzinie, w każdój minucie składała w ofierze, na ołtarzu miłości rodzinnej, najpiękniejszy kwiat swój młodości, najgorętsze płomienie swych uczuć, i nie wiedziała o tém, że czyjni ofiarę... Kochała.

Taką widywał ją młody Orchowski przez długi ereg dni i tygodni. Stopniowo poczęła zachodzić nięj zmiana. Raz ujrzał ją siedzącą nad stawem

z dziećmi, z którymi nie rozłączała się nigdy prawie; ale zamiast, jak zwykle bywało, gwarzyć z niemi, pieścić je, lub uczyć, szklistém spojrzeniem patrzyła w szybę spokojnej wody, nic, zda się, nie widząc wkoło siebie, nic nie słysząc. Daremnie blade dziewczynki obejmowały jej szyję i głowę jej swawolnie ku sobie ciągnęły; daremnie przynosiły jej kwiaty i z pieścizliwym szczebiotem zarzucały niemi jej suknią, — żadnym słowem ni poruszeniem nie odpowiadała na pieścizoty ich i zapytania. Można-by rzec, że owładnął nią sen jakiś głęboki. Czoło jej, ciężkie nieprzewyciężoném marzeniem, chyliło się coraz niżej... aż nareszcie oderwała wzrok od powierzchni wody i spostrzegła młodego gościa, który stał pod cieniem brzozy płaczącej, z okiem w twarz jej utkwioném. Powstała szybko, po raz pierwszy zmieszana, strwożona pod jego spojrzeniem. Chciała postąpić na przód, ale sił jej zabrakło z razu; bezwiednym ruchem poniosła dłoń do serca, które snadź uderzyło gwałtownie...

Innym razem znalazł ją całą ubraną w kwiaty. Długie gałęzie powojów przewijały się śród płowych jej włosów i białe kielichy swe opuszczały na jej ramiona. Nigdy przedtém nie stroiła się w kwiaty. Ale teraz zdawało się, że znikła w niej pamięć o żalobie, pokrywającej dni jej młodości, że rozpoczynał się dla niej dzień nowy. Kwiaty, te dzieci prom uśmiechnęły się w poranku letnim do niej, w kt

serce zapadły także pierwsze promienie serdecznego życia... Wesołą była dnia tego, jak dziecię; młodość jęj, długo tłumiona smutkami i trudem, upominała się o swe prawa.

Wieczorem dopióro, gdy słońce ukryło się za ciemną gęstwinę brzoź płaczących, i bladą, różową już tylko łuną barwiło staw cichy, zdjęło ją zamyslenie nagle, ogarnął ją smutek jakiś niewymowny i nieokreślony. Powolnym ruchem wyjęła z włosów kieli chy powoju, a gdy zwiędłe leżały u stóp jęj, patrzyła na nie okiem ocienioném długą i cichą, lecz na dnie ogniami i łzami wrzającą, zadumą.

Trwało tak długo, aż do schyłku lata, i... nagle trwać przestało. Był tydzień pewien, w którym młody Orchowski nie odwiedził ni razu białowolskiego dworku. W tym samym téż czasie mówili ludzie wiele i głośno o hucznych, świetnych zabawach, wyprawianych po okolicznych dworach na cześć świeżo przybyłój w strony owe piękności... piękności niepospolitėj, dumnej, czarnookiej, na wzór komety, wiodącėj za sobą szlak blasków olśniewających, nakształt wichru, przelatującėj z szumem i porywającėj w wir swój wszystko i wszystkich.

Po tygodniu Frania, siedząca u kolan swojego dziadka i czytająca mu głośno dzienniki, ujrzała zdala od krzyża jeszcze za stawem, przybywającego gościa. ziennik wypadł z jęj ręki, głos złamał się nagle piersi i umilkł...

Przybył, ale zmieniony, blady, jakby po zmęczeniu wielkiem, z chmurą na czole i z błyskawicą wewnętrznej burzy w oku. Zapytała go z trwogą, czy nie jest chory, czy nie spotkało go nieszczęście jakie. Odpowiedział z roztargnieniem i z przymuszonym uśmiechem. Ona nie zapytywała go więcej o nic. Odgadła w nim ranę jakąś, walkę, rozdwoj uczuć i myśli, który przyniósł ze sobą w cichy jój kątek ze świata gwarneho; odgadła i milczała, i tylko, gdy krzątała się po małym domu, głowa jój chyliła się w dół, tłoczona smutkiem nieprzewyciężonym, a gdy na pożegnanie podała mu rękę i uśmiechnęła się, jak zwykle bywało, przyjaźnie, łagodnie, w uśmiechu jój widać było ukrywany, więc niemy, ból ściśnionego serca. On dnia tego topił w niój wzrok wilgotny lub niepokoju pełen, a odchodząc, ścisnął dłoń jój drobną z siłą taką, jakby w téj chwili postanawiał coś w myśli niezłomnie.

— Wrócę jutro,—rzekł i patrzył na nią z wyrazem oczekiwania w oczach.

Spodziewał się może, iż w odpowiedź zawoła: „powróć! o, powróć!” i krzykiem tym kochającego, strwożonego serca podeprze chwiejącą się wolę jego, zwróci jego uczucia w jeden znowu, stały i niezachwiany, kierunek. Ale ona nic nie rzekła. W oczach jój był cały świat uczuć, pytań, prośb i trwóg niewymownych; ale na czole spoczęła duma dziewczynki, niedozwalająca błagać o litość.

Nie wrócił. W domu, w którym przebywała świętna i sławna piękność okolicy, był nazajutrz bal wielki. Ręczyński dwór jaśniał wśród nocy letniej setkami świateł, ciepłe powiewy wiatrów roznosiły w dal dźwięki hucznej muzyki i odgłosy gwarów wesołych, długich...

Minęły tygodnie i nastał już początek jesieni.

W jednym z małych sklepików, otaczających główny plac miasteczka, stała Frania. Przyszła tu, jak zwykle, dla różnych drobnych potrzeb gospodarskich, po wszystkie te drobiazgi tanie, niewytworne, które ręka jej czynna i wprawna przemieniała w trochę dobrobytu i zdrowia dla tych, nad którymi rozciągała gorliwą i czynną opiekę. Żydówka, sprzedająca za małym brudnym stołem potrzebne jej przedmioty, była widocznie dobrą jej znajomą, bo, kładąc na szalę towary, licząc pieniądze otrzymane, urządzając małe pakunki, gwarzyła poufnie.

— Ny, — rzekła — dlaczego-to panienka taka blada? Latem panienka wyglądała ślicznie, jak róża, a teraz zrobiła się taka mizerna. Czy panience czego nie boli?

Dziwny uśmiech okolił usta dziewczyny, bladój w istocie i zmienionój bardzo. Nic jednak nie odpowiedziała. Miałaż zaprzeczyć? powiedzieć, że zdrową jest i żadnego nie uczuwa bólu?... Była w istocie wnie zesłabłą, strasznie znużoną codzienném oczekaniem i codziennemi zawodami, a w piersi, tam,

gdzie serce uderzało biciem nierówném, czuła bó srogi i ciągły... ciągły...

Nic więc nie rzekła i, przeliczywszy na brudnym stole pieniądze, żydówce należne, odejść już miała, gdy nagle kupcowa poskoczyła z za stołu i, stając we drzwiach sklepiku, z wyrazem zachwytu krzyknęła:

— Sieh! sieh! a szajne puryc! aj! aj!

W mgnieniu oka utworzyły się przed jéj sklepikiem i przed wszystkimi innymi sklepikami grupy ludności, wyległej z domowstw, karczem i dziedzińców. Drobne dzieci żydowskie, bawiące się śród placu, z krzykiem uciekały ku matkom, które wołały je z pośpiechem; starsze za to wysuwały się na przód i biegły przez plac, wytrzeszczając oczy i krzycząc co sił:

— Sieh! sieh! a szajne puryc!

Placem przejeżdżała świetna kalwakata jeźdźców i amazonek. Było tam osób przeszło dwadzieścia, a wszystkie siedziały na koniach dzielnych, przybranych w barwne czapraki i połyskujące siodła! Nad głowami pań powiewały pióra i przezroczyście zasłony; panowie trzymali w rękach szpicruty, oprawne w złoto.

Orszakowi temu przodowała para najpiękniejsza ze wszystkich, na najpiękniejszych, najognistszych jadąca koniach. Jedną z osób, parę tę składających, była kobieta z kibicią wyniosłą, dłutem rzeźbiarza

niby ze szlachetnego wyrzeźbioną marmuru; drugą — młody pan z Orchowa.

Jechali z razu stępą. On mówił o czémś do towarzyski swój z przejęciem się i zapałem, ona odpowiadała mu uśmiechem pół dumnym, pół łaskawym. Pragnął snadź czytać w tym jój uśmiechu, albo na twarz jój nieruchomą i dumną sprowadzić słowami swemi błyskawicę wzruszenia — bo tak był nią zajęty, że prócz niój nic dokoła nie widział: ani ciekawego motłochu, mrowiem plac napełniającego, ani młodej dziewczyny, która we drzwiach sklepi-ku stała ze zmartwiałą postacią, z twarzą bladą, jak marmur, ze źrenicą szeroko rozwartą i w twarz jego wpatrzoną tak upornie, jakby przez oko to, szkliste i rozszerzone, całe życie ulecieć wnet miało... Nie widział nic, prócz téj, której kibić wyniosła, wytworna, unosiła się nieruchomo nad dumnym grzbietem drogocennego rumaka. Szukał oczyma jój spójrzienia.

Podniosła nakoniec powiekę, zwróciła ku niemu głowę królewską i utkwiała w twarzy jego oczy wielkie, czarne, wabne i zarazem dumne, wyzywające a pełne przyrzeczeń.

W téjże chwili dotknęła ręką szyi wierzchowca. Piękne zwierzę zrozumiało jój wolę, parsknęło z radością i puściło się na przód wielkim kłusem z razu, alonym potem galopem... W rękę jeźdźca cugle gnęły i opadły na kark konia, który puścił się za mty w rażnych podskokach.

Pędzili tak oboje, o wiele wyprzedzając orszak cały, jedno obok drugiego, a zanim zniknęli za ostatnimi domowstwami miasteczka, widać jeszcze było, jak w powiewie wiatru przezroczysta jój zasłona rozwinęła się, niby skrzydło wielkiego motyla, i błękitną mgłą otoczyła schyloną ku niój głowę jego...

Zniknęli... po świetném zjawisku został tylko na miasteczkowym placu szlak gruntu, zoranego kopytami końskimi, i wielka chmura kurzawy, która unosiła się w powietrzu, różowa od przenikających ją promieni zachodzącego słońca.

— A czy panienka wie — zaczęła żydówka, — kto to taki ta panna, co z naszym panem na przedziejechała? To panna Ręczycówna... Ona do Ręczyna niedawno przyjechała, bo stary pan Ręczyc, to jój wuj... Ona rodziców nie ma i posagu nie ma; to ludzie gadają, że ona chce bardzo wyjść za naszego pana, i że naszego pana tam bardzo ciągną, i że *un* już w niój okropnie rozkochany... A może to *un* — dodała po chwili namysłu — oświadczył się jój teraz, bo tak na nią patrzył... aj! aj! jak *un* na nią patrzył! jak do niój gadał ciągle...

Białowolska dziewczyna, nieruchoma dotąd jak kamień i jak marmur biała, poruszyła się teraz, niby dotknięta sprężyną jakąś niewidzialną.

— Do zobaczenia, pani Chajo! — rzekła tak szybko, jakby co najprędzej ukończyć pragnęła cię: dla niój w téj chwili trud mówienia.

Żydówka chciała ją zatrzymać i powiedzieć jój coś jeszcze; ale ona była już daleko. Szła ulicą miasteczka prędko, nie oglądając się, z oczyma utkwionemi w ziemię. Patrząc na nią, można było myśleć, że wybrała się w podróż jakąś nieskończoną, że biedz pragnęła gdzieś, aż na kraniec świata, uciec co najprędzej od miejsca, na którym się znajdowała.

Nie byłoż to miejsce, to samo, które przed kilku miesiącami przebywała obok niego, po wyjściu z chaty Judela? Czuła wtedy, że stawało się w niej coś nowego, wielkiego! Nieznane jakieś, rozkoszne ciepło wstępowało wtedy do jój piersi, i—nie wiedziała jeszcze dlaczego, ale świat stanął nagle przed nią taki promienny, radosny i tajemniczy zarazem, tak dziwne, niepojęte uroki i obietnice kryjący w powiewach swych i woniach!... A teraz... o! teraz uciec pragnęła od wspomnień tych, które otaczały ją chórem żalobnym i rozdzierały jój serce żalością za tém, co bezpowrotnie minęło! uciec od goryczy, którą w życiu swém uczuwała po raz piérwszy, od myśli strasznych i grzesznych, od rozpacz, od słabości nieprzewycięzonej, która zasłonę ciemną rzucała na jój oczy, ugięła kolana, całe ciało jój przejmowała bezwładném omdleniem!...

Nie uciekła jednak od niczego: ani od pamięci swój, ani od rozpaczliwych krzyków, rozlegających się jój wnętrzu, ani od omdlenia ciężkiego, w które wzdęły wyczerpane jój siły. Dobiedz zdołała tylko

do krzyża; chciała podnieść wzrok w górę i szukać tam wysoko litości, której nie znalazła na ziemi... Nie mogła... Powieki jój, ciężkie łzami nieprzelanemi, w dół opadły. Chciała otworzyć usta i modlić się... Nie mogła. W głowie jój myśli nie było żadnej, na ustach, drżących jak listki osiny, żadnego słowa... Osunęła się na ziemię, chyliła się coraz niżej, aż złożyła głowę na trawie chłodnej i cicho, bez jęku, bez łzy, przymknęła powieki... Zemdląła...

Szary mrok zapadać począł. Wąłta postać dziewczęcia leżała wciąż na zielonej trawie w nieruchomości kamiennój. Kędyś pod lasem grały przeciągłe surmy jesienne; dźwięki ich wiatr cichy chwycił i niósł po-nad okrytymi żółtą ściernią polami; w oddali, za miasteczkiem, wieża kościelna zadzwoniła na wieczorne pacierze; od wioski płynęły długie wołania matek, przyzywających dzieci ku ogniskom, które rozpalały się w chatach.

Do odgłosów tych przyłączył się po chwili jeden jeszcze.

— Franiu! Franiu!—rozległo się wołanie od strony małej, niskiej łączki, wśród pól rzuconej.

Zarazem z gęstwiny wierzb wychyliła się głowa, nastrzępiona roztarganemi włosami i wieńcem z zeschniętych kłosów uwitym.

— Franiu! Franiu! — wołał obłąkany coraz częściej, coraz przeciąglój!

Stanął na skraju łączki i dziko polyskujące

oczyma rozglądał się dokoła; przechylał głowę w obie strony, zdając się przysłuchiwać czemuś, oczekiwać czyjegoś głosu. Nie usłyszał nic, prócz szumu wiatru, muskającego powierzchnią wierzbowych zarośli i ostatniego dźwięku kościelnej dzwonnicy, który rozplynał się w powietrzu i umilkł.

Obłąkany przestał wołać, a zaczął biedz. Biegł szybko, prosto ku wzgórz, na którym stał krzyż. Niejednokrotnie widać znajdował tam tę, której imię nadaremnie teraz rzucał polnym wiatrom i echem. Znalazł ją tam i teraz. Nachylił się i pochwycił ją za rękę, która ciężko i bezwładnie zawisała w jego dłoni.

— Pójdź do domu! — rzekł pochyłony i wpatrzony w twarz jój nieruchomą.

Powtarzał teraz słowa, któremi ona zawsze przemawiała do niego.

— Pójdź do domu! pójdź do domu! — szeptał coraz prędzej, coraz uporczywiej i coraz niżej schylał się nad nią.

Na obłąkanój twarzy jego zjawiał się stopniowo wyraz trwogi nieprzytomnej, połączonej z rzewnością i tkliwością dziecięcą.

— Franiu! — jęknął — czy ty śpisz?

I nastawił ucha ku ustom jój, od których oczekiwał odpowiedzi. Tak pytała i tak czyniła zawsze ona, ilekroć znalazła go nad brzegiem stawu, albo w głębi boru, leżącego na ziemi, z zamkniętymi oczyma. Teraz on naśladował ją. Zdawać się mogło, że

pragnął odplacić jój staraniem za starania, niepokojem troskliwym za jój troskliwy o niego niepokój.

— Franiu! czy ty śpisz? — powtórzył.

Nie było odpowiedzi. Wydał krzyk jakiś niezrozumiały, roztworzył ramiona i porwał ją z ziemi.

— Pójdź do domu! — zawołał tym razem głośno i, trzymając ją w objęciu, pobiegł ścieżką.

W połowie drogi zaczął iść wolniej. Kołysał ją w ramionach, jak dziecko uspięne, głowę pochylał nad nią i wzroku od twarzy jój nie odrywał, a jednak, okrążając staw i przechodząc pod cieniem brzoź płaczących, nie przestawał wołać ciągle, coraz łagodniej, przeciąglój, żałośniej:

— Franiu! Franiu!

* * *

Wkrótce potem stary dwór orchowski przemienił postać swą dawną tak, jakby dotknęła go laska czarodziejska. Nowe sprzęty, nowe cugi i powozy, nowa służba liczna, wzbudzały w okolicy tysiące uwag, zachwyty i ciekawości. Właściciel wszystkich tych pięknych rzeczy bawił w stolicy, kędy pociągnęła go za sobą piękna narzeczona.

Gdy wreszcie przebrzmiały i pogasły w wielkiem mieście karnawałowe gwary i świetności, powrócił do ścian swych, tak drogich mu, tak cichych i tak poważnych dawniej — z żoną.

Wtedy już ludzie mówili o nim, że stał się nako-
niec porządnym człowiekiem, zupełnie do innych lu-
dzi podobnym, że nabył braknącej mu wprzód cno-
ty gościnności, opuścił dawne marzenia i dziwactwa,
bo... wydawał bale.

Nawrócenie to przypisywano powszechnie wpły-
wowi młodej i pięknej kobiety, która, będąc jego żo-
ną, była zarazem gwiazdą i bóstwem całej okolicy.

Z przyjściem wiosny jednak odrodzony człowiek
ten posmutniał. Była to pora, w której, wedle brzmie-
nia najuroczystszej umowy przedślubnej, opuścić miał
wraz z towarzyszką swą miejsca rodzinne i udać się
w podróż daleką. Stacyami wędrówki téj miały być
wielkie miasta Europy, a kres jój przewidywać się
dawał w oddalonym chyba, bardzo oddalonym czasie.

W porze owéj podróże były modą panującą, je-
dnym z tych narkotycznych przyrządów, które lu-
dziom śpiącym dawały złudę życia. Dla Kajetana
Orchowskiego przecież podróż taka, bez celu dobrze
określonego, bez kresu oznaczonego, większą niż dla
innych posiadała wagę.

Wyjechać, Bóg wie dokąd, Bóg wie po co i na jak
długo, znaczyło to dla niego opuścić miejsca, na któ-
rych, wedle uprzednich marzeń jego, snuć się miała
płodna w następstwa różna działalność jego, wśród któ-
rych przyrzekał sobie niegdyś tyle rzeczy różnych
ulepszyć, zbudować... Cóż się więc stanie z tym pla-
nem przyszłości jego, tajemniczym dla wszystkich,

a może jeszcze i dla niego samego, ale zawierającym w sobie mnóstwo narysowanych z lekka zamiarów, wiele postanowień, w chwilach zapału lub wzruszenia powziętych?... Wykonanie planu tego odłoży się na później, zamiary i postanowienia spać będą cicho w głowie jego, w czasie, gdy owiewać ją pocznie obce powietrze.. Później więc, później!... A teraz jechać musiał, bo dał słowo, bo tylko za cenę spełnienia obietnicy téj otrzymywać mógł łaskawe spójrzenia od oczu ognistych, które, świetne jak dwa słońca, umiały jednak chmurzyć się i gasnąć; otrzymywać mógł uśmiechy zgody i pocałunki miłości od ust prześlicznych, które teraz już, w tych pierwszych miesiącach poślubnych, bywały nieraz dumne, rozgniewane...

Pojechał... Powiadali ludzie, że w przeddzień wyjazdu pomiędzy młodą parą stoczył się spór żwawy, po którym pani miała w oczach łzy i błyskawice tłumionego gniewu, a pan dosiadł konia, z twarzą bladą i chmurną. Wzdłuż i wszerz przejechał grunta orchowskie; widziano go, jak zatrzymywał się na punktach najwyższych, odkrywał głowę i wodził dokoła wzrokiem smętnym, jakby żegnał z boleścią rzeczy drogie i święte.

Gdy wrócił z przejażdżki, głos jego brzmiał po domu gniewny, jak nigdy, a przez noc całą widziano okno jego pokoju na oścież otwarte, a w niém człowieka, siedzącego nieruchomo, z czołem na dół opuszczoném.

Pojechał jednak, a gdy, po upływie dwóch prawie lat, powrócił, w białym dworku stojącym pomiędzy sosnowemi borami, inni ludzie mieszkali. Stary dziadek-kaleka umarł przed rokiem; jedno z dwojga dzieci nie żyło także; drugie zabrał brat jakiś, czy krewny, z daleka przybyły; obłąkanego oddano opiece lekarskiej... Białowola była sprzedaną.

Co stało się z Franią? dokąd udała się i gdzie się schroniła, nikt tego nie wiedział. Orchowski nie dowiedział się o tém także. Wspomnienie jęj gąsło i odżywało w pamięci jego, stosownie do kolei uczuć i losu, jaką przebywał, ale ślad jęj istnienia zginął dla niego na zawsze.

Mógłże przewidzieć, że kiedyś na piersi kobiety tęj, jedno z dzieci jego wypłacze ostatnie łzy życia? że ta, która była kochanką jego młodości, będzie ostatnim dobrym obrazem, na którym spoczna gąsnące źrenice jego córki?

Tymczasem nabył na własność Białowolę od nowego jęj posiadacza, kosztem wielu starań i strat. Mówiono nawet, że kupno to było jedným z dziwactw jego, i że pierwsze zachwiało świetny dotąd byt jego majątkowy.

Człowiek ten zresztą, nakształt trzciny wiotkiej, w coraz inną przechylający się stronę, uchodził zawsze za dziwaka, marzyciela i reformatora. Rozchodził się o nim daleko po kraju wieści rozliczne. Jedną z nich głosiła, że urządza on w swych dobrach

nieznany dotąd w okolicy przemysłowy zakład jakiś... W istocie, budowa wielka wznosić się zaczynała w pobliżu dworu; ściany jój rosły z razu szybko, potem coraz wolniej, a nakoniec ustał wkoło nich ruch wszelki, zgromadzony materiał budowlany leżał, bezładnie rozrzucony i nieporuszony latami całemi, wzniesione ściany czerniały i próchniały, aż znikły, rozebrane na powszedni użytek, a na ich miejscu pozostało tylko trochę skopanój ziemi i próchna.

To znowu gruchnęła po świecie wieść, że Kajetan Orchowski uwalnia włościan swych od obowiązków pańszczyzny i grunta im na czynsz oddaje. Wyglądało w istocie tak, jakby to prawdą stać się miało. Przypominano sobie, jak niedawno w liczniem zgromadzeniu mówił z oburzeniem o niecnym przywileju, który człowieka wprzega w jarzmo ludzi innych; wspomniął coś o ekonomicznych prawdach, dowodzących wyższości pracy wolnej nad niewolą. Wiedziano, że w Orchowie dokonywają się przygotowania różne do mającego nastąpić w gospodarstwie nowego porządku rzeczy, że czynią się tam jakieś urzędowe starania, a po wsiach ludnych i zamożnych rozkwitają nieśmiałe nadzieje.

Nagle wszystko umilkło i, jak po rozpoczętój budowie przemysłowego gmachu, próchna i ruiny, tak z przygotowań tych, starań i nadziei, pozostały tylko uśmiechy ludzkie...

Co bo się tam nie zaczynało, co nie zarysowa

i przed urodzeniem nie umierało w tém dziedzictwie marzyciela bez woli, o głowie ognistój bez ładu ni wytrwania. Była to komedia dla ludzi — dla niego męczarnia może, może także narkotyk, którym podbudzał długo nerwy moralnej swój istoty, broniąc się od snu.

Uległ nakoniec temu, z czém walczyć nie umiał... usnął na wzór innych. Nie był to snadź jednak sen głęboki; było w nim coś, co czuwało, lub budziło się chwilami i, niby piła zębiasta, wpijało się wistotę jego, aż znękało ją i w ciężką niemoc wprowadziło...

Wtedy zamknął się w wielkiej ustronnej swój komnacie, pokochał znowu samotność i ciszę, a za towarzyszy jedynych wziął sobie setki tomów i z nimi kończył życie.

* * *

Teraz po środku komnaty stało łoże szerokie, a na niem spoczywał starzec, z głową odartą z włosów i twarzą wychudłą. Ręka jego, ostatnim wysiłkiem krzepkiej niegdyś dłoni, ścisnęła rękę syna, który klęczał przy jego łożu, z głową pochyloną w zadumie i smutku. Opowiedział mu dzieje życia swego, od owej krótkiej, lecz promiennej sielanki młodości, aż do tych godzin długich i ciemnych, w których sumienie jego odwracało mu wciąż przed oczyma karty straconego marnie żywota.

— Jak wszyscy synowie po ojcach swych, tak i ty, po mnie odziedziczysz skutki grzechów moich. Nie złorzecz mi... bo najsroźszém przekleństwem występnego życia jest jego koniec...

Wyrzekł to powoli, głosem cichym, lecz pewnym; twarz miał zwróconą ku sufitowi i oczy utkwione w górze. Po chwili wychnienia mówił dalej:

— Należałem do pokolenia, które przed chwilą ustąpiło ze sceny świata... Skupiło się we mnie wszystko dobre i złe, tworzące to znamię szczególne, po którym pokolenie owo pozna ducha historyi... Nieraz marzyliśmy pięknie i chcieliśmy dobrze, ale nie czyniliśmy nic... oto tajemnica żywotów naszych, zgasyłych w niedoli i po sobie zostawiających niedolę... oto świadectwo, wedle którego osądzą nas dzieje... Chęci niespełnionych, marzeń w jawę nieprzemienionych, nie położą one na szalę swęj sprawiedliwości. Ciężkim wyrokiem spadną na głowy nasze światła, przez nas niezapalone, dobre chwile zaniedbywane, skarby na wiatr rozrzucone, pozostające za nami odłogi...

Umilkł, oddychał ciężko; w piersi jego słyhać było ciągłą, coraz śpieszniejszą robotę niewidzialnej mocy niszczącej... Po chwili, głosińej, niż wprzódy, wymówił:

— Minęło!... Któż i cóż powrócić mi zdoła zyci minione?... Nikt i nie!

Twarz jego wychudła nieruchomą stała się n.

chwile pod ciężarem spadłej na nią ołowianej zadumy, w oczach tylko szeroko rozwartych świecił ogień gorączki, i pierś wzdymała się wysoko, głośnym, chrapliwym oddechem. Nagle, z wybuchem zawołał:

— Któż mi powróci teraz spokojny sen nocy, spędzonych w gorzkim czuwaniu, wesele dni, upłynionych w smutku, pełnią życia, które było pustém, chwałę męża, która utonęła w hańbie próżniaka? Kto mi powróci słodycz i szczęście domowego życia, które przyniosło mi samę tylko gorycz, niezgodę, zgryzotę? Kto poprawi dusze dzieci moich, zaniedbane przeze mnie? Kto mi do łoża śmierci przywiedzie miłość i cześć ich?... Nikt! nikt! nikt!

— Mój ojczel! — zabrzmiał przy łożu głos mężki, czułością i smutkiem tłumiony — mój ojczel! jedno z dzieci twoich jest tu, przy tobie...

— Jedno z dzieci moich! — jak smutne i łagodne echo powtórzył chory.

Po chwili milczenia mówił znowu:

— Tak, tyś był jedyném z dzieci moich, które mnie kochało, którego złowrogie moce niezgody i pustki, w domu mym panujące, oderwać ode mnie nie zdołały... Przed tobą też jednym odkrywam poranione wnętrze moje, ostatnie żale moje i pragnienia... Posłuchaj!... Odkąd, chory i zniechęcony do życia czynnego, któremu podołać nie miałem siły, zamknąłem się tu, jak pustelnik w ciszy nieprzerwanéj, uporząd-

kowały się myśli moje, bezładne wprzód, rozwidnił się przede mną, we mgle przedtém widziany, porządek wszech-rzeczy; dojrzałem łańcuch olbrzymi przyczyn i skutków, przestępstw i kar... Różne były przyczyny, które uczyniły nas takimi, jakimi byliśmy... Jedna z nich spoczywa w plemienném przyrodzeniu naszém, oporném ładowi wszelkiemu, skłon-ném do marzeń, zapałów i wrzawy, lecz nieumieją-cém dźwigać ciężarów długo, wytrwale, w powadze, skromności i ciszy... Inną, ważniejszą, był dzierzony przez nas przywilej na ziemskich bogów... Rodzili-śmy się dostojni i bogaci od razu... nie mieliśmy o co walczyć dla siebie i dzieci swoich... Twarzy naszych i duchów nie skropił i nie skrzepił nigdy pot własnego mozołu... więc zapomnieliśmy o tém, że jesteśmy ludźmi, i usnął w nas nerw działania, a zapanowały zmysły, nieprzeparta żądza używania, i uwierzyliśmy w wiekiistość królowania naszego... i usnęliśmy na szczycie Olimpu... Lecz Olimp ten był wulkanem... dno jego płomienne poruszyła dłoń przyszłości, o któ-rój pomiędzy nami zatraciła się myśl i pamięć... Te-raz... czas nam do grobów... a nad przepaściami po-zostawiamy to, co nam najdroższém było...

Spoczął chwilę po długim mówieniu, a potem ciągnął dalej :

— Nie proszę cię, abys dokonał tego, czegom , dokonać zaniedbał... abys naprawił to, com ja z psuł... Jest to niepodobném, ale przyszłość do ciek

należy... Życie swe masz przed sobą: nie czyń z niém tego, com ja ze swoim uczyniłem... Jutro, pojutrze, gdy nad trumną, zawierającą w sobie zwłoki moje, staniesz u szczytu wzgórza, będącego rodzinną naszą mogiłą, i obejrzyś się dokoła siebie, zobaczysz same tylko odłogi i ruiny... Inaczéj to dziedzictwo piękne wziętem po przodkach swoich, inaczéj oddaję je tobie, inaczéj ty oddaj je dzieciom swoim... Czyń, co będziesz mógł, aby użyźnić ziemię tę, która pod ręką moją rodzić przestała, aby podnieść ściany, które pod okiem moim pochylały się ku ziemi... U końca życia, ze skarbów zmarnowanych lub dorobionych składać będziesz rachunek przed sumieniem swoim, tak, jak ja składam go teraz przed swoim... Niech on ci łżejszym będzie!... Oto ostatnie pragnienie moje... Chciał-bym, abyś ty stał się dziedzicem Orchowa. Kamil...

- Westchnął i mocował się z sobą widocznie, aby nie rzec straszne jakiegoś słowa, choć rozpiekało mu ono pierś żalem wielkim.

— Weź Orchów... weź... weź... uczyn z nim, co tylko będziesz mógł, aby... tylko nie stał się zagonem, zorany pod siejbę zagłady... Weź Orchów!...

— Wezmę, ojcie! — ozwał się znowu przy łożu głos klęczącego młodzieńca, ale tym razem brzmiała nim wola silna i uroczyście dawana obietnica.

Milczenie głębokie zaległo obszerną komnatę. rzytmione blaski lampy rozpałały, jak dawniej, iskry

złote w szybach szaf oszklonych, i mieszały się z cieniami, pokrywającemi blade, zwiędłe czoło umierającego. Żółte powieki jego były teraz przymknięte, a przez zwarte, siniejące usta, wrywały się od chwili do chwili jęki słabe, niby odgłosy ostatniej walki życia ze śmiercią. Nagle, białe ręce jego splotły się kurczowo i, z ostatnim wybuchem konającej siły, podniosły się w górę.

— Któż mi powróci życie stracone? — zawołał — nikt! nikt! nikt!

Zdawało się, że z ostatnim wykrzykiem tym uleci życie jego, taka w nim była moc rozpaczego wysiłku. Podniósł jednak drgające powieki i gorejącą żrenicą raz jeszcze potoczył dokoła.

Chwilę milczał i przyzywał pierzchające myśli; potem, z dłonią ciężko złożoną na pochyłonej głowie syna, z oczyma, w których malowały się ostatnie cierpienia i pragnienia, wyszeptał:

— Niech marne życie moje i rozpaczna śmierć moja będą dla ciebie nauką... niech ustrzegą cię od miłości bez szacunku... od zamiarów bez spełnienia... od zapałów bez wytrwania... od życia bez planu... od marzeń bez czynu... od chęci bez woli...

Słowa jego spłynęły w szept zaledwie dosłyszalny. Był to niby testament, kreślony niewyraźnemi znakami; ale klęczący u łoża młodzieniec słuchał go z twarzą, jak marmur bladą, i z uchem, pochyłonym ku ustom ojcowskim. Usta te oddawna już mówić i od

dychać przestały, a on pozostał jeszcze nieruchomy, z dwiema wielkimi łzami, palącemi się w źrenicach powieką okrytych, z dłońmi zaciśniętymi wkoło zimnej, sztywnej ręki zmarłego.

* * *

Cisza głęboka zalegała dom cały, gdy otworzyły się z wolna drzwi wielkiej, podłużnej sali, i wszedł przez nie Mieczysław. W oczach jego, spuszczonech ku ziemi, malował się ból gorący, świeżą stratą ukochanej istoty sprawiony, ale na twarzy bladłej, nieruchomej, i w całej postaci młodego człowieka, z wolna kroczącego przez obszerną komnatę, spoczywał wyraz takiej powagi, tak głębokiego i energicznego skupienia władz uczuć i myśli, że mniemać było można, iż przez tę noc jedną przybyło mu lat kilka, lat nauki, doświadczeń i cierpień. W istocie, przez tę noc jedną przeżył on życie całe swego ojca, życie całego pokolenia, które na widowni dziejów poprzedziło jego i jemu podobnych. Wczoraj jeszcze był młodzieńcem, dobrym, szczerym, skłonny do uczuć i postępów szlachetnych, lecz z życia powagą niezbratannym, w młodzieńczej wesołości swój płochym nieco, nieznającym dokładnie pobudek czynów własnych, ani niary, do jakiej dorość mogła własna istota jego. Dziś, rozpaczna śmierć, kończąca zwichnione, zmarnowane życie jego ojca, ochrzciła go na męża.

Wyglądał téż w téj chwili jak mąż, w którego wnętrze zapadły postanowienia niezłomne, przyrzeczenia uroczyste, przed którego oczyma stanęła jasna i wyraźna świadomość dróg przyszłych.

Z oddalonego pokoju doszedł ucha jego monotony i przyciszony szmer dwóch głosów kobiecych. Zwrócił się w kierunku drzwi na-pół otwartych, a stanawszy na progu, ujrzał dwie postacie kobiece, kłęczące u stóp krucyfixu, przed którym, na srebrnym łańcuchu zwieszona, paliła się mała lampa.

Na odgłos kroków wchodzącego, pani Leontyna przerwała odmawianie modlitwy za chorych i umierających; trwożném, do głębi zmaconém spójrzeniem ogarnęła twarz syna. Bładość twarzy téj, ból na niéj wyryty i piętnująca ją w téj chwili uroczysta powaga, powiedziały jéj snadź wszystko, bo porwała się z kłęczek i krzyknęła. Wykrzyk jéj głośnym był, przesywającym, ale brzmiało w nim jedno tylko uczucie: przestрах. Zarazem ramiona jéj i kibić cała drżąc zaczęły pod grubym szalem, okrywającym na-pół długą, czarną szatę.

Lila, blada także i drżąca, instyktowym ruchem kryła się za matkę, i osłupiałych, wylękłych swych oczu nie spuszczała z twarzy brata.

Mieczysław zbliżył się do matki i ujął w obie dłonie rękę jéj, jak lód zimną.

— Matko! — rzekł głosem znizonym i drżącym od łez, w piersi tłumionych — tam... skończyło się

już wszystko... Ale ja pośpieszył do ciebie, aby ci powiedzieć, że masz syna, który uczyni, co tylko w mocy jego będzie...

Umilkł nagle, bo spostrzegł, że mówił daremnie. Pani Leontyna nie zdawała się słuchać, ani rozumieć słów syna. Dłonie jej zaciskały wkoło kibici fałdy grubego szala; oczy błędne, nieprzytomne prawie, obiegały dokoła mroczny pokój, odtrącane i zarazem niezwalczenie jakoby pociągane przez najciemniejsze jego zakątki.

— Mój Mieczysiu! — mówić zaczęła pobladłemi i drgającemi usty — niech tam wszystko urządzają, jak należy... Ja... ja doprawdy nie mogę... słaba jestem... noc taka ciemna!... Każ światła pozapalać w pokojach... Czy daleko jeszcze do dnia? O, mój Boże! jakże jestem nieszczęśliwa!... Idź tam... idź... oszczędź matkę!... ja... nie mogę!...

Osunęła się znowu na klęczki, zakryła dłońmi oczy, niby przed strasznemi widziadłami, i jakby pragnęła zagłuszyć przerażające głosy, które słyszała wewnątrz, czy zewnątrz siebie, mówić poczęła szybko, na-pół głośno, nieustannie:

— Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie!

Mieczysław stał chwilę, jak skamieniały, z głową schyloną i opuszczonemi rękoma. Na czole jego zmarszczka, którą wyniósł z przedśmiertnej rozmowy, pogłębiła się. Do wszystkich uczuć, jakie go napełniały, przyłączyło się jedno jeszcze, ciężkie,

gorzkie. Po chwili jednak zwrócił się do siostry i wziął ją za rękę.

— Lilo! — rzekł łagodnie — pójdź, zobacz zwłoki naszego ojca... Nie byłaś przy nim, gdy umierał.. pójdź teraz...

Dziewczyna gwałtownym ruchem wyrwała rękę swą z jego dłoni i usunęła się pod ścianę.

— Ja nie chcę! Mieczysiu, ja nie chcę! — zawołała z płaczem prawie.

— Dlaczego nie chcesz? — zapytał brat, pochylając ku niej twarz, niemal surową.

Ona usuwała się od niego, drżąc cała; w szeroko rozwartych oczach jęj błyszczały łzy prośby i zarazem gniewu.

— Dlaczego nie chcesz? — z naleganiem powtórzył brat.

— Boję się... — szepnęła, przyciskając ramiona do piersi — boję się... umarłych...

— Lilo! — zawołał Mieczysław — nie znałaś prawie ojca swego... On jednak kochał cię i przed skonaniem po wiele razy imię twe wymówił...

Słowa te uczyniły na młodéj dziewczynie pewne wrażenie. Drgnęło w niéj coś, co zmniejszyło bojażń dziecinna, a z wyrazem przestachu, twarz jęj okrywającym, połączyło odcień nagle odczutéj tklivości i żalu.

— Pójdź! — rzekł Mieczysław, biorąc ją znnowa za rękę. — Po raz ostatni spójrzymy na rysy jego

spójrzmy na nie razem, oboje... Chwila ta uczyni nas może więcj bratem i siostrą, niż byliśmy dotąd...

Przy ostatnich wyrazach Mieczysława, Lila zarzuciła mu ramię na szyję i przytuliła się do piersi jego z cichym płaczem. Był to wybuch dobrego uczucia, które ozwało się w istocie téj młodziuchnej, chaotycznej, pełnej ogni, gorejących w niej kapryśnie i jałowo.

Mieczysław otoczył kibić jój ramieniem i prowadził ją ku drzwiom.

— Mieczysiu! — szeptała — ale ty mnie nie odstąpisz?... będziesz tak ciągle przy mnie?...

— Będę ciągle przy tobie! — odparł brat — pragnę odtąd być jak najczęściej przy tobie... zastąpić ci ojca... opiekować się tobą...

Byli już na progu, gdy nagle pani Leontyna podniosła głowę i rzuciła za siebie trwożne spójrzenie. Ujrzawszy się samą w pokoju, porwała się znowu z klęczek i zawołała:

— Lilo! Lilo!

W krzyku tym brzmiało niemal wołanie o ratunek. Lila wydobyła się z objęć brata. Nie wiedziała już, ani kogo słuchać, ani dokąd iść.

— Zostawiacie mnie samę! — jęknęła pani Leontyna, łamiąc ręce — w tak strasznej chwili!... O, mój Panże! tegom się doczekała, że dzieci moje... wszystkie dzieci moje opuszczają mnie wtedy, gdy najbar-

dziej mi trzeba kogoś... kogokolwiek... Jestem sama, sama na świecie!... nic już nie znacę dla nikogo... nawet dla dzieci swoich!... Czy dzień jeszcze daleko?... Jaka noc czarna!...

Mieczysław wypuścił z dłoni rękę siostry.

— Idź do matki! — rzekł — pozostań przy niej.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nie mógł. Bolesne, gorzkie uczucie zdławiło mu głos w gardle. Ze wzrokiem wbitym w ziemię odszedł w głąb' domu.

II.

Od śmierci Kajetana Orchowskiego siedm lat minęło.

W porze, w której do miasta N. przybywał ze stron północnych pociąg kolei żelaznej, przed głównym i najozdobniejszym w mieście hotelem wysiadał z dorożki mężczyzna, po podróznemu ubrany i podróżne tłumoki ze sobą wiozący.

Przybyły nie musiał już być bardzo młodym człowiekiem, bo gęste, ciemne włosy siewały mu przy skroniach, a na wysokim czole jego rysowało się kilka zmarszczek. Postać miał wysoką, szczupłą i kształtną, twarz o prawidłowych rysach, a żółtawej cerze, starannie wygoloną, usta wąskie, oczy szafrowymi okularami przykryte. Wysiadając z dorożki i wstępując na wschody, głowę podnosił wysoko, a do żłby hotelowej przemawiał głośniej może i z imponującą wyraźniejszą, niżby, wedle miejsca i okoliczności wypadało.

W hotelu znajdowało się właśnie kilka mieszkań niezajętych, ale jakkolwiek wszystkie one posiadały pozór bardzo przyzwoity, do pewnego nawet stopnia wytworny, żadne z nich nie przypadło do smaku przybyłemu. Jedno było, według niego, za małe, drugie za skromnie umeblowane; tu wytykał brak kobierców na posadzce, owdzie niezgrabną formę sprzętów. Z wielką nakoniec biedą zdołano umieścić go w dwóch pokojach, najparadniejszych z pomiędzy wszystkich, które znajdowały się w obszerniej i starannie urządzonj budowie.

Pomiędzy ludnością hotelową wielka zapanowała ciekawość, kim-by mógł być gość tak imponujący i wybredny. Służący niższych stopni domyślali się w nim bogatego i utytułowanego pana; ale rządca hotelu i szwajcar, który niegdyś służywał po możnych dworach szlacheckich, dowodzili, że *prawdziwi panowie* bywają zazwyczaj grzeczniejsi i mniej z kaprysamii swemi popisywać się lubiący. Nie upłynęła jednak godzina czasu, a zagadka bardziej się jeszcze skomplikowała. Przybyły rozkazał przywołać do siebie komisyonera. Gdy pełniący ten urząd miejscowy faktor-zydek stanął we drzwiach pokoju, gość, który przechadzał się wolnym krokiem, z zamysłoną bardzo twarzą i wyborném wonném cygarem w ustach, zwrócił się ku niemu z pytaniem, czy zna starozakonnego, nazywającego się Eli Makower.

— Czemu ja jego mam nie znać, kiedy on w

szém mieście trzy lata już mieszka? — odparł faktor.

— I wiesz, gdzie mieszka?

— Dlaczego nie mam wiedzieć? *Największe* panowie i *najbiedniejsze* żydki wiedzą, gdzie Makower mieszka.

— Czy ten pan Makower jest tu tak wielką figurą, że wszyscy go znać muszą i wiedzieć, gdzie mieszka?

Zdawało się, że z-za lekkiego, pozornego szyderstwa, w słowach tych gościa przebijała się żywa, lubo ukrywana ciekawość.

— On nie jest żadną wielką figurą — rzekł faktor — on sobie prosty żyd, ale wielkie panowie znają go dlatego, że on bardzo rozumny, a biedne żydki dlatego, że on dla nich taki dobry... no, taki dobry!...

Przy ostatnich wyrazach, żydek-faktor aż zachłysnął się z wielkiego zapału, oczy mu błysnęły i frazesu swego dokończył podniesieniem do góry dwóch palców prawej ręki i głośnym cmoknięciem. Gość na widok zapału tego uśmiechnął się z razu, jakby lekceważąco, a potem ściągnął brwi w zamyśleniu i, odwracając się ku stołowi, na środku pokoju umieszczonemu, szepnął:

— Tém lepiéj! tém lepiéj!

Na stole, pomiędzy różnemi podróznemi gratami,

leżały rozrzucone bilety wizytowe. Gość wziął jeden z biletów tych i, dając go żydkowi, rzekł:

— Zanieś to zaraz Makowerowi i powiedz mu, że będąc zmęczony podróżą, sam do niego przyjść nie mogę, lecz proszę, aby on dziś jeszcze koniecznie przyszedł do mnie.

Faktor nie spójrzył na bilet i, kłaniając się, zapytał:

— Z przeproszeniem Jasnego Pana, czy Jasny Pan ma majątek do sprzedania? Makower majątkami handluje, i jak ja jemu powiem...

— Nie potrzeba, abys mówił cokolwiek Makowerowi. Jak zobaczy ten bilet, to już sam będzie wiedział, kto jestem i czego chcę od niego. Ruszaj prędzej!

Ostatnie wyrazy powiedziane były w sposób niezupełnie grzeczny; to też faktor zniknął wnet za drzwiami od kurytarza. U dołu wschodów zobaczył stojących rządzącę, szwajcara i parę innych osób, do składu służby hotelowej należących. Zbliżył się ku ludziom tym i, pokazując im bilet gościa, rzekł:

— Proszę zobaczyć, co tu *stoi*.

Na bilecie dużych, zbyt dużych rozmiarów, stało po środku wielkimi literami wylitografowane imię i nazwisko: *Ildefons Porycki*, poniżej zaś znajdowały się wyrazy: *Agent główny domu pośrednictwa w spady majątków ziemskich*.

— Hörstel! — zawołał faktor, gdy rządzca przeczytał głośno wszystko, co stało na bilecie; — agent domu pośrednictwa! No, i Makower taki sam agent...

Wąsaty i dumnie wyglądający szwajcar zmarszczył czoło, jakby sobie co przypominał. Po chwili wymówił:

— Na Wołyniu są hrabiowie Poryccy, panowie z panów... jeden z nich był podobno bardzo sławnym...

— Któż o tém nie wie? — podjął rządzca.— Tadeusz Porycki, ten, co szkoły zakładał. Ojciec mój miał portret jego, bo go podobno znał i w Porycku u niego bywał.

— Ciekawa rzecz, czy ten pan z tych samych Poryckich pochodzi? — zagadnął ktoś z boku.

— Jeżeli pochodzi z tych samych, to musi być hrabią — zauważył szwajcar.

Rządzca patrzył wciąż na bilet, zadumał się i smutnie czegoś głową wstrząsał.

— Do czego to przyszło! — mruknął pod wąsem — Porycki, jak Makower, handluje majątkami!

— Czemu nie ma handlować, kiedy to dobry interes? — podchwycił faktor.— Eli zarobił już na tém może jakie dwadzieścia *tysięców rublów!* A dlaczego Porycki nie ma także zarabiać?

! temi słowami faktor wybiegł z hotelu.

!ość z imieniem głośnym i świetnym, a tytułem

ciemnym i dwuznacznym. siedział tymczasem w pokoju swoim i, popijając herbatę, przeglądał liczne papiery, w wielkiej tece podróznój zawarte, a w urzędowe stemple zaopatrzone. Gdy tak papiery te odczytywał, gatunkując je, składając i rozkładając, postawa jego stała się sztywną i fizygnomia niespokojną. Miał on teraz pozór na-pół urzędnika, który prostuje się, ilekroć końcami palców dotknie urzędowego papieru, na-pół spekulanta, który oblicza w myśli szanse przypuszczalnych zysków. Z-za szkielec szafirowych oczy jego błyskały żywo, i od chwili do chwili zwracały się ku drzwiom.

Nie czekał długo. Drzwi otworzyły się niebawem i wszedł przez nie do hotelowego pokoju Eli Makower. W powierzchowności byłego dzierżawcy Orchowa i Łozowój, współdzierżawcy Ręczyna i wielu innych majątków szlacheckich, zaszły przez czas ubiegły niejaki zmiany. Wprawdzie mały, rudawy zarost okalał mu, jak dawniej, twarz ściągłych rysów i czerstwój cery; postawa jego była poważna, krok powolny, oczy pełne w głębi gorących blasków, o spójrzeniu spokojném i obojętném; ale na czole powstało zmarszczek kilka, niby na świadectwo wielu przez czas ten poniesionych trudów i starań, a zamiast dawnego, długiego aż do ziemi, przybrudnego zawsze chałata, Eli miał teraz na sobie rodzaj surduta, który, sięgając zawsze jeszcze poniżej kolan, sporządzonym był z dość cennój, błyszczącej materyi

a roztwarty od góry do dołu, ukazywał znajdujące się pod nim sukiennie ubranie i atłasową czarną kamizelkę, na którą opuszczał się gruby złoty łańcuch od zegarka, i opadały końce jedwabnego, porządnie podszyją związanego krawata. Był to ubiór w połowie jeszcze żydowski, ale już znacznie, wedle ogólnie europejskiego wzoru, zmodyfikowany. Na widok wchodzącego, Porycki powstał z krzesła z grzecznym pośpiechem, a kiedy Eli z powagą i spokojem zbliżył się ku stołowi, podał mu rękę i wskazał obok stojący fotel.

Po pierwszych krótkich słowach powitania, chwilowe milczenie zapanowało pomiędzy dwoma tymi ludźmi. Żaden z nich nie chciał snadź piérwszy rozpocząć rozmowy. Oczy Poryckiego z-za ciemnych okularów badawczo tkwiły w twarzy żyda, Eli obojętném spójrzeniem wodził po papierach, stół okrywających. Nakoniec gość hotelowy, mniej cierpliwy może, lub bardziej zainteresowany w skutkach mającej się toczyć rozmowy, przemówił piérwszy:

— Pan od dwóch lat już jesteś agentem naszego Domu pośrednictwa?

Eli potwierdzająco głową skinął.

— Od dwóch lat — rzekł z powagą — to jest od piérwszego miesiąca, kiedy ci panowie do nas przyjechali i Dom założyli. A pan?

Polszczyzna Elego była teraz nierównie czystsza i poprawniejsza, niż dawniej. Człowiek ten, który

był z kolei ulicznikiem, faktorem, kupcem, dzierżawcą i agentem jakiegoś handlowo-przemysłowego towarzystwa, uczył się snadź z łatwością wielką wszystkiego, czego nauczyć się chciał, lub potrzebował.

— A pan? — zapytał — bo ja nie miałem dotąd honoru słyszeć w naszej Kompanii o nazwisku pańskim.

Porycki rozparł się w fotelu i z wielką żywością mówić zaczął:

— Nic dziwnego, nic dziwnego, panie Makower, żeś o mojem nazwisku nie słyszał jeszcze. Zaledwie dwa miesiące temu przybyłem do Wilna z Wołynia, no, niezupełnie z Wołynia, bo podróżowałem wprzód po Niemczech, Austrii, Wołoszczyźnie, Besarabii, byłem w Konstantynopolu, morzem Azowskiem dostałem się do Astrachania, ztamtąd na Moskwę przybyłem do Petersburga, a potem dopiero wyjechałem na Wołyń, gdzie mam familią. Musiałeś pan słyszeć o zamieszkującej Wołyń familii Poryckich.

Żyd, który z niezwruszoną obojętnością słuchał rozwijanęj przed nim nomenklatury geograficznęj, również obojętnie odpowiedział:

— Dlaczego nie? ja o familii Poryckich wiem i dużo słyszałem.

Na pozór słowa te wymówione były zupełnie obojętnie, a jednak w głosie Elego był ton jakiś szczególny, który przykro snadź uderzył hotelowego ścia, bo spuścił nagle śmiałe dotąd oczy i przez chw.

lę milczał, jakby o coś samego siebie z lekkim niepokojem zapytywał. Zmieszanie to jednak i zaniepokojenie trwało krótko, poczem gość, odzyskując zwykły sobie sposób obejścia się, śmiały, ożywiony i trochę imponujący, zaczął znowu:

— W długich podróżach moich zapoznałem się z najróżniejszymi gałęzmi europejskiej administracyi i europejskiego przemysłu. W Austryi, w Mołdawii, w południowych stronach Rosyi, prowadziłem interesa na wielką skalę, i miałem przed sobą pole, otwarte do wszelkiego rodzaju przedsięwzięć i spekulacyi. To téż nie był-bym nigdy ani pomyślał o przyjechaniu do tego biédnego, ciemnego kraju, i przyjęciu podrzędnej roli, w jakiej widzisz mnie pan obecnie, gdyby nie osobiste, naglące prośby barona von R..., który stoi na czele Domu pośrednictwa i, w imię przyjaźni, pomocy mojej w tém przedsięwzięciu żądał...

— Za pozwoleniem pana — przerwał Makower — dlaczego ta rola ma być podrzedną? Kiedy ona panu dużo pieniędzy dać może, to ona nie jest podrzedną. Albo to pan baron von R... dlaczego innego Domu pośrednictwa założył, jak dlatego, żeby zarobić dużo pieniędzy?

Gość hotelowy wydał z lekka wygolone policzki i rzucając spójrzenie w sufit, rzekł:

— Baron von R... jest człowiekiem idei.
Jyd z wolną ręką machnął.

— Tak się to mówi, dla honoru... Czy pan baron nie chce przypadkiem majątku jakiego tu nabyć, i czy pan nie przyjechałeś tu z jego plenipotencją?

— Właśnie, właśnie — odparł Porycki — mam plenipotencją barona, i nietylko jego...

Tu rozkładać i rozwijać począł z kolei przed oczyma żyda, wyjęte z teki papiery, przyczém w kształcie komentarzy mówił:

— Oto plenipotencya, na imię moje wydana przez barona von R..., a to druga podobna, którą otrzymałem od grafa K...; tę mam od generała L..., a tę od radzcy stanu W... Przywiozłem jeszcze i inne pomniejszych, ale te cztery, a najbardziej już barona, są główne, i powinny obchodzić najżywiej tak mnie, jak pana.

— Mnie? — przeglądając z uwagą papiery, zagadnął żyd.

— Tak mnie, jak pana — powtórzył gość hotelowy. — Osoby, których nazwiska widzisz pan, wypisane u dołu tych papierów, życzą sobie nabyć tu dobra ziemskie. Pan, jako osiadły w tych stronach agent Domu pośrednictwa, najtrafniejszych udzielić nam wskazówek i najlepiej w danym celu współdziałać z nami możesz. Czy dobrze pan zrozumiałeś ten interes?

Żyd nie odpowiedział zaraz. Czytał i czytał przedstawione sobie przez hotelowego gościa urzędowe pa-

piery, oglądał je ze stron wszystkich, przypatrywał się po razy kilkanaście znajdującym się na nich podpisom, aż nakoniec podniósł głowę i, z nieokreślonym uśmiechem na cienkich wargach, z oczyma uważnie utkwionemi w twarz towarzysza, rzekł:

— Pan masz wiele i dobrych stosunków...

Porycki rzucił się znowu w głąb' fotelu, i z nietajemniczym zadowoleniem odrzekł:

— Zostaję w stosunkach osobistej znajomości i przyjaźni z najdostojniejszymi osobami w kraju.

Żyd nie spuszczał z niego oczu; zdawało się, że odpowiedzi jego, samochwalstwem i blagierstwem tchnącój, wcale nie słyszał. Po chwili milczenia, myślenia i przypatrywania, odezwał się znowu:

— Pan masz wiele i dobrych stosunków... z rybakami.

Porycki wyprostował się i długo w twarz żyda popatrzył, jakby myśl, w słowach jego zawartą, dobrze wyrozumieć usiłował. Nagle śmiechem parsknął.

— Rozumiem! — zawołał — ja mam stosunki z rybakami, a pan... z rybami.

Eli potwierdzająco głową skinął i rzekł znowu:

— Pan trzymasz w ręku wędki, a ja mogę pokazać, w które miejsca stawu zapuszczać je trzeba, aby szeszupaki łapać.

Porycki śmiać się przestał. Oczy jego z takimż eniem w twarz żyda patrzyły, że blask ich prze-

dzierał się przez szkła ciemne i grube. Eli przenikliwy wzrok towarzysza spotykał wzrokiem również badawczym, ale spokojnym. Porycki nakoniec pochylił się nieco ku Elemu i zniżając głos, rzekł z większą, niż dotąd, powagą:

— Wyraziłeś się pan niezupełnie dokładnie. Jeżeli ja i pan działać będziemy wspólnie i zgodnie, wtedy tak rybacy, jak i ryby, zamienią się w naszych rękach w przewyborne dojne krówki.

— Jak to być może? — zagadnął Eli.

— Tak, jak bywa zwykle. Głupi ludzie stworzeni są na to, aby służyć rozumnym za drabinę, po której idą oni ku celom swoim; a jakież może być cel inny życia mego i twego, panie Makower, prócz ciągnięcia zysków?

Wymawiając ostatnie wyrazy, gość ze świetnym nazwiskiem miał na twarzy wyraz bezświadomego, wesołego cynizmu, i białą ręką, zdobną w wielki pierścień z herbem, uderzył się po kieszeni.

— Niech pan mówi o sobie, ale nie o mnie — z powagą ozwał się Eli — u każdego z nas inne mogą być cele. Ale kiedy my z panem mamy robić interes, to celem interesu tego naturalnie musi być zarobek. A dlaczego nie zarobić, jeżeli można? każdy chce zarobić.

— Otóż to — rzekł gość — podajmy sobie ręce. panie Makower, i działajmy w spólnie.

Podali sobie dłonie. Porycki uczynił to z p

wnym, ruchy jego cechującym, niespokojnym, nerwowym jakby pośpiechem; Eli z obojętnością, a nawet z rodzajem chwilowego ociągania się. Porycki zwrócił się ku drzwiom od korytarza.

— Héj! służba! — zawołał.

Eli powolnym giestem zatrzymał rękę jego, sięgającą ku taśmie od dzwonka.

— A czego to pan chce? — zapytał.

— Rozkażę podać buteleczkę szampana. Wypijemy za pomyślność interesów naszych i trwałość przyjaźni naszej z tobą, panie Makower.

— A na co to wszystko? — wyrzekł żyd z flegmą. — Na co tu szampan i na co tu przyjaźń? Kiedy mam o interesach gadać, nie lubię wina pić; od niego w głowie robi się ciemno, a interesa to taka rzecz, że najlepiej *ich* robić, kiedy w głowie widno, a naokoło cicho.

Porycki zmieszał się trochę tém odrzuceniem przez żyda propozycyi, jaką uczynił w przystępie zadowolenia i dobrego humoru. Po wązkich wargach jego przebiegł szybki uśmiech wzdargliwy, tłómaczyć się mogący słowami: i poco to ludziom takim zarobki i pieniądze?

— Może więc przynajmniej cygaro zapalić zechcesz, panie Makower?

— Dlaczego nie? Cygaro nie szumi i w głowie mało nie robi, to można je palić, o interesach gadać.

Zapalili obaj cygara, które Porycki wyjął z cygarnicy kosztownej, i usiedli znowu obok siebie przy stole. Eli nie zaczynał rozmowy; oczekiwać na pierwsze słowo tego, z kim miał rozmawiać, było snadź jego zasadą. Nie spieszył się zresztą i nie niepokoił, a jakimkolwiek były tajemne zamiary i żądania jego, czuł się na dobrze znanym sobie gruncie działania.

Porycki więc pierwszy znowu głos zabrał.

— Od dwóch lat, to jest od czasu, w którym zostałeś pan agentem towarzystwa pośredniczącego w sprzedażach majątków, rozwijałeś pan działalność swą w bliższych okolicach miasta N., gdzie, przez pośrednictwo pana, kilkanaście większych i mniejszych posiadłości ziemskich właścicieli swych zmieniło. Dalsze jednak strony tutejszego powiatu są dotąd, o ile nam wiadomo, zupełnie nienaruszonymi, a z dóbr, położonych dokoła miasteczka Orchowa, na obszarze mil sześciu lub ośmiu, mniej więcej, żadne nie przyniosło jeszcze w zysku Domowi pośrednictwa ani jednego rubla.

— To prawda — potwierdził Eli — ale widzi pan, ja nigdy nie zrywam owocu, kiedy widzę, że on jeszcze nie dojrzał. Takie owoce, jak te, o których my gadamy, naprędzej dojrzewają blisko jakiegokolwiek, choć trochę większego, miasta. Ja też zerwałem je, a tamte były jeszcze niedojrzałe, więc ja ich

zrywać nie próbował. Teraz co innego, teraz może już i na tamte pora...

— Wybornie! — zawołał Porycki — trafnie więc czas wybrałem do eksploataowania gruntu, jeszcze nie wyeksploatowanego. Jeżeli jednak, panie Makower, mniemasz, że my z naszej strony żadnych nie mamy wiadomości o tém, co się tu dzieje, to mylisz się wielce. I my także posiadamy naszą małą kartę geograficzną, ze skreślonymi na niej niektórymi drogami i zaznaczonymi punktami.

Tu rozwinął duży arkusz papieru, który nie był dotąd w ręku Elego, i tym samym tonem dobrego humoru, jakim mówił słowa poprzedzające, przeczytał:

— *Numer pierwszy*: dobra Orchów, wraz z miasteczkiem tegoż nazwiska. Grunta dobre, lasy wielkie, łąk podostatkiem, dwór obszerny, z ogromnemi i starożytnemi ogrodami. Własność Mieczysława Orchowskiego. *Numer drugi*: folwark Rydlówka. Obszar mały, gospodarstwo we wzorowym stanie, dogodności gospodarskie wszelkie, dom mieszkalny świeżo zbudowany, i pozór małego, bardzo gustownego pałacyku mający. Własność Kamila Orchowskiego. *Numer trzeci*: Ręczyn. Rozległość księżtewka udzielnego, grunta mierne, gospodarstwo w stanie opłakanym, pałac murowany nad brzegiem Niemna, w położeniu alowniczym. Dziedzic Konrad Ręczyc. *Numer czwarty*: Łozowa, ziemia wyborna, pszenna, rozległość zna-

czna. Dziedzic Łozowicz. *Numer piąty*: Białowola-Folwark nieduży, grunt wyborny, położenie piękne, nad wielkim stawem i między sosnowemi lasami. Dziedziczka wdowa po Kajetanie Orchowskim, Leontyna z Ręczyców Orchowska.

Przeczytawszy to wszystko, odłożył papier na stronę i z wyrazem tryumfu zapytał:

— I cóż, panie Makower, nie dziwi cię to, że, siedząc o mil kilkadziesiąt, członkowie Domu pośrednictwa tyle o stronach tych wiadomości posiadają.

Eli z lekka ramionami wzruszył.

— Dlaczego ja mam dziwić się, kiedy to ja sam wiadomości te im posłałem?

— No, proszę! nie powiedzieli mi nic o tém — rzekł Porycki, zbity trochę z toru odpowiedzią żyda. — Powinienem był jednak domyślić się tego, bo, jak honor kocham, sprytnym był człowiek, co spis ten wykonał. Żadnej cyfry, żadnego pewnego określenia, ani ilości ziemi, ani intrat, ani stanu dworu i inwentarzy. Chcecie wiedzieć o czém na pewno? przyjdźcie i zobaczcie. Nie macie czasu na oglądanie? nie chcecie odbywać dalekich podróży? to spuście się na mnie i wierzcie mi na słowo, albo przyslijcie tu do mnie plenipotentą, Ildefonsa Poryckiego na przykład, a my już z nim wspólnie porachujemy, wymierzmy i, przed ostatecznym aktem nabycia, wizerunki przyszłych dóbr waszych wam złożymy. Czy wize

runki te podobne będą do swych oryginałów? to już wasza rzecz, nie moja... Wybornie! wybornie! jak honor kocham! Cieszę się całym sercem, cieszę niewypowiedzianie i poczytuję to sobie za prawdziwy zaszczyt, że poznaję pana, panie Makower.

Śmiał się gość hotelowy, mówiąc to, śmiał się jeszcze i potem przez chwilę, i zwyczajem swym, rozpierając się w fotelu, rzucał pod sufit kłęby cygarowego dymu. Z twarzy Elego można było poznać zadowolenie z tego, że został zrozumianym, ale zadowolenie to cichszym było nierównie i objawiło się tylko przelotnym uśmiechem.

— Niech się pan nie cieszy tak z góry — rzekł Eli. — Nie mówmy: hop! póki nie przeskoczym. Jeszcze ja z panem o pańskich ludziach nie mówił i nie wiem dobrze, co to za jedni, co z nimi można, a czego nie można.

Głośna wesołość Poryckiego zniknęła nagle, jakby na rozkaz hamującej ją woli.

— Później — rzekł z powagą — pomówimy obszernie o *moich*, a teraz powiedz mi pan cokolwiek o *swoich*. Znać ludzi, z którymi będzie się miało do czynienia—to rzecz główna.

— Dobrze pan mówi, to rzecz główna — potwierdził żyd — a ponieważ my już z panem razem do tej roboty brać się musimy, więc pan powinienesz wie-
lić wszystko, co ja wiem, żeby czasem krzywą drogą do kogo z nich nie pójść, i roboty przez to nie ze-

psuć. Ja panu powiem o nich wszystkich, kto oni są i jakie.

— Czy tylko pewnym pan jesteś, że znasz ich dobrze?

Dziwny uśmiech, wyrażający szyderstwo, wzgardę i dumę zarazem, przeleciał po twarzy Elego.

— Ja miał-bym ich nie znać? Chyba-bym oczu i uszu nie miał. Ja, kiedy byłem małym chłopcem jeszcze, widziałem ich ojców, jak do zajezdnych domów w miasteczku naszym przyjeżdżali, kupowali, sprzedawali, stękali i hulali; a potem ja im kupców stręczył i sam kupcem byłem; a potem ja u nich albo sam majątki w posesyi trzymałem, albo trzymali moje bracia i szwagry, i krewni... Ja miał-bym ich nie znać? Ot, niech pan słucha!

Porycki obu łokciami oparł się o stół, twarz na dłoni złożoną przybliżył do twarzy żyda i, patrząc na niego z wyteżoną uwagą, rzekł:

— Słucham! Zaczynaj pan od początku.

Eli siedział na krześle wyprostowany, z dłońmi złożonymi na kolanach, ze schyloną nieco w zamysleniu głową. Przez chwilę milczał, a potem powoli i z namysłem mówić zaczął:

— Z przeproszeniem pańskim, ja zacznę od końca.

— Więc od numeru piątego?

— Od numeru piątego. A jakie tam nazwisko przy tym numerze? Białowola, własność pani Ora

wskiej wdowy. Nu, ta pani Orchowska, to była kiedyś kobieta bardzo wesoła, ale potem zrobiła się bardzo smutna. Ten smutek przyszedł na nią od tego, że już między ludźmi nie tak dobrze szło, jak dawniej, na balach nikt na nią patrzeć nie chciał, tylko wszyscy patrzyli na młodsze i piękniejsze od niej. Ona miała męża i dwóch synów, i jedną córkę, śliczną córkę! wielki majątek i dużo ludzi we dworze; ale to jej nic nie pomagało. W czarnej sukni chodziła i mówiła, że ona nikomu niepotrzebna i nic do robienia na świecie nie ma. A jak na nią taki wielki smutek przyszedł, to ona zrobiła się bardzo nabożna. Kiedy stary pan Orchowski umarł, synowie... to jest jeden syn... dał jej Białowolę, jabłuszko małe, ale złote. Nu, ona i tam nie miała co robić i była bardzo smutna, a żeby ludzie wiedzieli o jej wielkim smutku, ona w całym swoim białowolskim dworze zrobiła wszystko czarne. Firanki u niej przy oknach czarne, i pokrycie na meblach czarne, i służba chodzi czarno. Ale była przy niej córka, młoda panna, co nie chciała być smutna i przeszkadzała modlić się: więc ona oddała ją do miasta do jakiejś pani Ręczycowój, o której później powiem. Ta pani Ręczycowa woziła ją na bale, i robiła jej różne rozrywki, bo ona rozrywki bardzo lubi, a potem ją za syna swego za żonę wydała. Pani Orchowska zaś, jak tylko jej córka za żonę poszła, urządziła sobie w swoim domu jeden pojaj cały czarnym sukniem obity, i w trupie głowy po-

malowany. W tym pokoju okiennice zawsze zamknięte, i świece woskowe palą się, i ona tam siedzi i modli się, a mówią ludzie, że bardzo płacze. Z nią w naszym interesie biedy nie będzie, bo ona nic nie lubi, i jój nic nie obchodzi, a żeby jój powiedzieli, że w Australii jest dla niej przygotowany taki sam pokój, z czarném suknem i trupiami głowami, to ona sprzeda Białowolę i tylko ją trzeba będzie na ręce wziąć i do Australii zanieść, bo sama, z własnej woli i własnego rozumu, trzech kroków nie zrobi.. Ot i wszystko o numerze piątym.

— Numer czwarty — zaczął Porycki, patrząc w papier. — Fabian Łozowicz. Zastłyszałem ja coś tu i owdzie o tym Łozowiczu. Ma on nawet podobno rodzaj sławy parafialnej, czy gubernialnej, jako człowiek zadziwiająco dobry.

Eli skinął głową, na znak potwierdzenia.

— To prawda — rzekł — dobry on bardzo dla wszystkich, tylko nie dla swoich własnych dzieci, i nie dla tych, co jemu pieniędzy pożyczają. On kupę rezydentów u siebie trzyma, i jak zobaczy biednego, to gotów surdut z siebie zdjąć, a jemu oddać, ale jego własne dzieci w podartych sukniach chodzą, i niczego nie uczą się, a kto jemu pieniędzy pożyczczy, albo co na kredyt da, to jakby wwocę wrzucił; nie dlatego, żeby on był niepoczciwy, broń Boże! ale dlatego, że wszystko zawsze rozda, a czego nie rozda to mu rozkradną, bo on nic nie widzi i na nic n

patrzy, co wkoło niego dzieje się, tylko wiersze pisze i maluje. Dobry on, to prawda, ale nie człowiek.

Porycki parsknął śmiechem.

— Poczciwota jakiś! — zawołał. — No, mam nadzieję, że z piękną jego Łozową wielkiego kłopotu nie będzie; musi on już ją trzymać na włosku. Teraz więc numer 3-ci: Konrad Ręczyc.

— O tym niema co długo gadać. On człowiek niezły, grzeczny i gospodarz był-by może z niego jaki taki, gdyby go nie zjadały i od wszystkiego dobrego nie odprowadzały trzy rzeczy: konie, matka i żona.

— Czy to nie jego właśnie żoną jest owa piękna córka téj pani z Białowoli, bardzo smutnej i bardzo nabożnej?

— Zgadł pan. On ożenił się z panną Lilą Orchowską, a raczej ożeniła go z nią matka, bo on matkę bardzo kocha i robi wszystko, co ona chce, a ona niczego więcej nigdy nie chce, jak pieniędzy, rozrywek, pięknych mebli i drogich sukien. Myślała, że panna Lila Orchowska mieć będzie duży posag...

— Pan Konrad tedy musi żony nie kochać, skoro ożenił się z nią tylko przez uległość dla woli matki! Rozumiem więc... obojętność pomiędzy małżonkami, niezgody familijne, ztąd częste wyjazdy, podróże, bezrad w domu, długi, ruina...

— Z przeproszeniem pańskim, pan Konrad, czy ja : go tu wszyscy nazywają, pan Konio, ożeniwszy : zaczął żonę kochać, bo on miękkiego serca, a je-

go żona bardzo piękna. Ale ona jego nie kocha i mówią ludzie, że suchot prędko dostanie z wielkiego smutku...

— Zajmująca istota! — półgłosem rzekł do siebie Porycki i dodał głośniej: — wszak to być musi siostra panów Kamila i Mieczysława Orchowskich? Jakież to człowiek ten pan Kamil z Rydlówki?

— Ten pan Kamil to bardzo pyszny i bardzo uczony pan. On taki pyszny, że kiedy stąpa po kamieniach, to jemu zdaje się, że on tym kamieniom wielki honor robi, a taki uczony, że jak kto jego poprosi o kawałek chleb, to on, zamiast dać, zaraz opowie, z kąd wzięło się to żyto, z którego chleb zrobiony, i z czego ono składa się, i kto je pierwszy na świecie posiał. On jedną tylko osobę bardzo kocha, a ta osoba to on sam, i o jedną rzecz bardzo dba, a ta rzecz, to jego własna wygoda.

— Rozumiem — rzekł Porycki; — epikurejczyk, kosmopolita, niewdający się w żadne sentymentalizmy i ideały... Mądry jakiś człowiek! lubię go już, nie znając. Czy brat jego, Mieczysław, podobny do niego?

Na pytanie to Eli Makower długo nie odpowiadał, brwi jego się zsunęły z wyrazem głębokiego zamyślenia, oczy nieruchome utkwily w ziemi. Szyderski i przenikliwy umysł ten, który, bez najlżejszego wahania się, z tłoczącą wzgardą i niemilosierną obłątnością, rysował przed badawczym wzrokiem *glówna agenta* moralne wizerunki osób innych, tym raz

znaleźć się musiał wobec zagadki nierozstrzygniętej jeszcze i własną jego ciekawość budzącą. Milczał długo i myślał, a potem, nie podnosząc oczu i nie rozchmurzając czoła, powolniej niż dotąd i z większym namysłem mówić zaczął:

— O tym panu Mieczysławie najdłuższe teraz będzie między nami gadanie, a kiedy już przystąpię do naszego interesu, to z nim najtrudniejsza będzie robota. Jest-to owoc, który dla nas nie dojrzał jeszcze i nigdy może nie dojrzeje, a zerwać go nie będziemy mogli inaczej, jak z wielkim gwałtem.

— A jednak — z widocznym niezadowoleniem przerwał Porycki — zerwać go trzeba koniecznie; bo orchowskie właśnie dobra stać muszą u nas na pierwszym planie. Nabyć je pragnie baron von R. Rozumiész pan?

Zdawało się, że w zamyśleniu swém Eli przerwy tój nie zauważył.

— Jest to człowiek — mówił dalej — o którym ja sam nie wiem dobrze, co myśleć. Dawniej on był taki, jak inni: hulaka, wesoły i trochę rozrzutny. Zawsze tylko ojca bardzo kochał. Nie było dnia, by do starego nie przyjechał i długo z nim nie gadał, a czasem to i całe dnie u niego siedział i książki czytał. Kiedy pan Kajetan Orchowski umierał, nie było przy nim nikogo z familii, prócz pana Mieczysła-

Opowiadają ludzie, że pan Kajetan całą noc przed śmiercią mówił synowi o jakichś ważnych rze-

czach i, płacząc bardzo, prosił go o coś i napominał, a on jemu przyrzekał i przysięgał. Jakie to były przyrzeczenia i przysięgi, może ja i domyślam się — ale o tém, co umierający ojciec mówi ze swoim synem, cudzym ludziom gadać nie trzeba. Ja sam mam starego ojca i wiem, co to znaczy, kiedy on mnie o co prosi, albo napomina.

Po ustach Poryckiego przebiegł szybko powściągnięty uśmiech szyderski. Snadź miłość synowska, głęboko wrosła w serce Elego, nie znajdowała w pierśsi i umyśle głównego agenta sympatycznego odźwięku.

Po chwili milczenia żyd mówił dalej:

— Ja wtedy był posesorem Orchowa i myślał zawsze, że po śmierci starego pan Kamil, jako bardzo pyszny, zechce sobie wziąć wielki Orchów, a brata uczynym swym rozumem przekona, że jemu dość będzie małej Rydlówki. Ale wielki Orchów obciążony był długami, a mała Rydlówka czysta, jak łąza; pan Kamil tedy powiedział: — Ja wezmę Rydlówkę. Małe to, ale spokojne i bezpieczne. Ty, Mieczysławie, zginiesz w tych długach i w tej ruinie!” A co pan myśli, że on jemu na to odrzekł? On odrzekł: — „Będę czarny chleb jadał i w siermiędze chodził, będę od rana do wieczora pracował, a Orchów wyratuję.” Potém on stanął przy oknie i patrzył na pola co tam dokoła dworu leżą, a twarz jego była bardzo blada i usta jego trzęsły się. Mnie się zdawało, że

on podobny był wtedy do człowieka, co na wojnę idzie.

I znowu żyd umilkł na chwilę i patrzył w ziemię, a towarzyszy jego uśmiechał się lekceważąco i rzucał pod sufit kłęby dymu.

— Oni wtedy dzielili się majątkiem — opowiadał dalej Eli — a z nimi był prawnik, ich plenipotent, i ja byłem, bo mi się od nich trochę pieniędzy należało. Ja wszystko widział i słyszał, jak było. Pan Kamil chciał, żeby brat dał mu dużo pieniędzy w dodatku do Rydlówki i bardzo długo dowodził, że przy wielkim Orchowie jest honor, a przy małej Rydlówce powinny być za to pieniądze. Ale pan Mieczysław powiedział, że on nie dla honoru Orchów bierze i, jak zaczął liczyć, tak wyliczył, że pan Kamil żadnej pretensyi do niego mieć nie może.

Potém była mowa o siostrze. Pan Kamil powiedział, że jej trzeba dać tylko czternastą część ojcowskiego majątku, to jest tyle, ile prawo każe, i znowu długo prawił o tém, że jeszcze w Rzymie kobiety mniej brały majątku, niż mężczyźni, że mężczyzna zachowuje blask familii i robi honor nazwisku, więc powinien być bogatszy od kobiety, która idzie za mąż i z męzowskiego bogactwa żyje. Wtedy pan Mieczysław powiedział: „Jak sobie chcesz, tak zrobisz: ale dam siostrze dwadzieścia tysięcy rubli. Jak powiedział, tak zrobił: wydał siostrze oblig na dwadzie-

ścia tysięcy rubli. Ot jaki on człowiek, i niech pan z tego miarkuje, czy łatwy z nim będzie interes.

Porycki, który, od czasu gdy mowa zaczęła być o cyfrach i podziale majątków, ze zdwojoną uwagą słu-chał opowiadania i szczegóły jego z widoczną starannością w pamięci swój notował, zapytał;

— Czy sumę tę pan Mieczysław spłacił już siostrze.

— Jak mógł zapłacić, kiedy tam różnych cudzych długów kupa wielka była? Siostra, zwyczajnie jak siostra, czeka i tylko procent bierze, który pan Mieczysław regularnie płaci.

— Siostra, jak siostra, czeka — powtórzył Porycki — ale że szwagier nie dopominał się dotąd, to mię bardzo dziwi.

— Ja panu mówił, że ten pan Konrad ma niezłe serce, a zresztą on i niebardzo potrzebował tych pieniędzy.

— Ale gdyby potrzebował, to-by szwagierka przycisnęła i do sprzedania Orchowa zmusił — ze znaczącym mrugnięciem zagadnął Porycki.

Żyd głową wstrząsnął.

— To może być i może nie być. Żeby on tak zrobił, to-by szwagra zgubił, i na to bardzo liczyć nie trzeba. Co się tyczy pana Mieczysława, on w ki" miesiący po śmierci ojca ożenił się...

— A! przerwał Porycki — z widocznym niezau-

wolaniem — ożenił się pewne z bogatą panną, posag wziął albo weźmie, i z naszój roboty nic nie będzie.

— Przepraszam pana, on ożenił się nie z bogatą panną, ale z biedną dziewczyną, z guwernantką.

Schmurzone czoło głównego agenta rozjaśniło się.

— O poczciwy głupiec! — zawołał ze śmiechem. — Przez całe życie pracował nad tém, abyśmy teraz ła twoj do jego Orchowa dobrać się mogli.

— Jak widzę — rzekł żyd powoli — to pan lubi na każdą rzecz z jednéj tylko strony patrzeć! No, to od gustu zależy; ale ja lubię rzeczy ze wszystkich stron obejrzyć.

Filuterny uśmiech przewijał się po ustach Elego, gdy słowa te wymawiał.

— Pan mówi, że on zrobił głupio, żeniąc się z biedną guwernantką, a ja mówię, że on zrobił rozumnie. Żeby on ożenił się z bogatą panną, toby ją musiał do ślubu powieść w pięknej karecie, a w domu miał-by zbytki i bale, i meble z Warszawy, i suknie z Paryża. Posag dyabli-by wzięli, a bieda była-by jeszcze większa. Ale panna Michalina Szyłkówna nie potrzebuje od niego ani karety, ani balów, i w domu z założonemi rękoma nie siedzi; bo kiedy ona była biedną guwernantką, to przywykła pracować, i w jednéj welnianej sukience chodzić, i kaprysów żadnych nie śc. On, żeniąc się, nietylko karety nie kupił i me z Warszawy nie sprowadził, ale wszystkie pojazdy, kne konie, drogie meble, srebra i klejnoty, które

w Orchowie jeszcze były, sprzedał, a pieniądze, które za nie wziął, mnie oddał, bo mój dług był najpilniejszy. Ja, przyznam się panu, pieniędzy tych brać nie chciałem, bo wołał-bym Orchów nadal w posesyą wziąć. Ale on zaśmiał się i powiedział: „A co ja będę robił, panie Makower, jeśli pan tu u mnie gospodarować będziesz?” I ja z Orchowa wyjechać musiałem. Teraz to oni tam żyją w tym Orchowie, nie jak panowie, ale jak ekonomy... nu, co ja mówię? ich ekonomy dawniej żyli lepiej i pracowali mniej, jak oni teraz żyją i pracują.

— A więc — rzekł Porycki wespół z niezadowoleniem, wespół z szyderstwem — bogacz już być musi teraz z tego pana Mieczysława. Długi pospłacał, kapitały zbiera.

— Długi to rzeczywiście prawie wszystkie pospłacał, prócz tego, co siostrze się należy; ale co do kapitałów, to jeszcze tam o nich ani słyszeć.

— Ani słyszeć? proszę! A jednak pracują oboje.

— W naszym teraźniejszym gospodarstwie, widzi pan, pracować bez pieniędzy, to wszystko jedno, co wodę do dziurawego naczynia lać. Co wleje się, to i wyleje.

Porycki zaśmiał się.

— Aha! — zawołał — więc ten rycerz twój, panie Eli, od stóp do głowy w pancierz żelazny zakuty, ma jednak Achillesową piętę jakąś, w którą trafić można, aby go powalić na ziemię.

— Ja nie wiem, co to za pięta, o której pan mówi — z przebiegłym uśmiechem odparł żyd. — Ja tylko to wiem, że jeżeli który z nich nie ma dziś pieniędzy na gospodarstwo, to siedzi on na majątku swoim, jak na lodzie. Jak słońce przygrzeje, lód stopi się i on utonie.

— Szczególniej, jeżeli bawi się w wydawanie siostrom obligów.

Po wymówieniu słów ostatnich, agent główny milczał chwilę i, z rozjaśnioną zadowoleniem twarzą, białe ręce zacierał.

— No, — rzekł — jest tam jeszcze na spisie moim niemało imion innych ludzi i miejscowości, ale o nich pogadamy później; te bowiem, o których mówiliśmy przed chwilą, są dla nas najważniejszymi. Idzie teraz o to, jak zrobić znajomość z ludźmi tymi, jak przyciągnąć ich i w interes z nami wprowadzić. Plan, z którym tu przyjechałem, jest następujący. Najmuję w N. piękny jaki obszerny lokal, w okazałym i uczęszczanym miejscu położony, urządza parę wielkich salonów z lustrami, frankami i eleganckimi meblami, a nad wejściem od ulicy zawieszam wielką tablicę, na której połączanemi literami stać będzie napis: *Filia Domu pośrednictwa*. Być może, iż kupię sobie ładny powóz i będę nim jeździł po mieście, aby widziano, jak występuje główny agent Domu i Prezes filii. Jednym słowem, trzeba nam wiele blasku, szumu, elegancyi, tytułów, a oni się na to wszyst-

ko złapać dadzą, jak sroki na błyszczące blaszki. Cóż, czy nie dobry projekt?

Śmiał się, mówiąc to, Porycki, i znowu ręce zacie-
rał. Ale żyd nie podzielał uniesień jego.

— Z przeproszeniem — rzekł po chwili milcze-
nia — projekt pański niedobry. Oni lubią wszyst-
ko, co błyszczy i brzęczy, to prawda; ale oni i inne
jeszcze rzeczy lubią i z tém liczyć się koniecznie trze-
ba. Jak oni zobaczą te wszystkie napisy i salony,
o których pan mówi, to oni zaraz pytać się będą je-
dni drugich: a to co znaczy? a na co to? I zejdą się
do kupy, zaczną myśleć i będzie gwałt, strach, wiel-
kie gadanie o tém, że ich chcą wywłaszczyć, zgubić.
Każdy z nich schowa się przed temi salonami, przed
tą tablicą i przed panem agentem, który powozem
jeździ, i zrobi się tak, że ten, co był hultaj, weźmie
się do roboty, a ten, co pieniądze rozrzucał, będzie je
w kieszeni dusił, a ten, co milczał, krzyknie: ostrożnie!
Wtedy interes nasz z pewnością źle pójdzie i pan ba-
ron von R., i pan generał L... i wszyscy inni pańscy
ludzie kontenci nie będą... Ja panu powiem. To
jest interes taki, który lepiej rośnie pod ziemią, niż
na ziemi.

— Każdego z nich trzeba brać osobno i zaczynać
pocichu, z daleka, ale ze wszystkich stron razem. Fa-
jerwerków żadnych nie wyprawiać, *strachów nie wy-
puszczać*, nikogo nie budzić i tak zrobić, żeby ptaki
były w klatce, nim się jeszcze spostrzegą, że ta kła

nie na jednego z nich postawiona, ale na wszystkich. Ot jaki mój projekt.

Porycki z niezadowoleniem słuchał słów tych Ele-go. Miał on sam widać wielki pociąg do wszystkiego, co błyszczący i brzęczy, i z trudnością przychodziło mu wyrzec się perspektywy świetnych salonów. Że jednak zachcianki wytworności i przyzwyczajenia blagierskie łączyły się w nim z chciwymi popędami spekulacji, wywody cichego, w żydowski chałat ubranego, lecz przebiegłego i wytrawnego spekulanta, nie mogły nie trafić do jego przekonania. Eli zresztą był mu potrzebnym, — bez jego pomocy planów swych w żaden sposób ziścić nie mógł. Po chwili więc milczenia, podczas której żegnał z przykrością wymarzony przez się obraz, rzekł:

— Niech i tak będzie! Każdego z nich weźmie-my osobno i obejdziemy dokoła — pocichu. Jutro zaraz jadę do Orchowa. Ciekawym, doprawdy, zobaczyć tego rycerza.

Eli uczynił żywe poruszenie.

— Niech pan do niego nie jedzie, bo pan nic nie zrobi i interes do reszty zepsuje.

— A to dlaczego?

— Nu, już ja wiem dlaczego. Pan jedź do Ręczyna, a do Orchowa ja sam pojedę. Pan Mieczysław z panem i gadać nie zechce... ze mną, to co innego.

— Ciekawym dlaczego?

i odpowiedział:

— Ja — żyd, Makower, a pan — Porycki!

— Głupstwo! — wymówił agent główny.

— Dla pana i dla mnie to głupstwo, ale pan Orchowski inaczej o tém myśli. No, a teraz może trochę o pańskich ludziach pogadamy.

Zapalili nowe cygara, poprobowali drzwi, czy dobrze zamknięte, umieścili krzesła swe ściśle jedno przy drugim i, z głowami opartymi na dłoniach, z twarzami z blizka ku sobie pochylonemi, szeptali długo. Porycki opowiadał i śmiał się często, Eli słuchał uważnie i, od czasu do czasu, tylko uśmiechał się z lekka. Było już po północy, gdy wzięli obaj ołówki i na kartkach papieru kreślić zaczęli i przekreślać długie cyfr szeregi. Przy końcu rozmowy w szepcie tych dwóch ludzi czuć było sprzeczkę lekką. Porycki parę razy głos podniósł i powtórzyły się w ustach jego wyrazy: procent, podział, zysk. Ale Eli nie sprzeczał się, nie gniewał, głosu nie podnosił. Powstał i, biorąc do ręki jeden z leżących na stole wizytowych biuletów, z wolna wymówił:

— Z przeproszeniem pańskim, ja jeszcze coś powiem. Pan nie nazywasz się *Porycki*, tylko *Pirucki*. Odmienić w nazwisku swoim dwie litery, to zdaje się mała rzecz, ale przez to ludzie zaraz myślą o panu, że pan jesteś hrabia, z wielkiej familii pochodzisz, a ztąd honory dla pana wielkie, a jak u kogo, to i wiara w pańską pocziwość większa. Ja nie mówię, że pan źle zrobił, ja nic nie mówię... ja to powiedzi

łem dlatego tylko, żeby pan wiedział, że ja otém wiem.

Przy piérwszych zaraz słowach żyda, Porycki za, rumienił się gwałtownie, potém zbladł bardzo, ręce i usta mu zadrżały i gniewnie zawołał:

— Zkąd pan wiész o tém?

— Dlaczego ja mam nie wiedziéc?—odparł Eli.

— Nas było rodzeństwa osób piętnaście. Kiedy my wszyscy poženili się i powychodzili za mąż, to nas zrobiło się trzydzieści. Żebyśmy tylko po dwoje dzieci mieli, to było-by w naszej familii osób 60 ale u nas dzieci rodzi się więcéj. Widzi pan, jaką ja mam wielką familią, a ta familia wszędzie jest, i na Wołyniu także jest, i jak pan wyjeżdżał ztamtąd na agenta Domu pośrednictwa, to już ja wiedział kto pan, zkąd i jaki. Ot i wszystk Niech, pan ani dziwi się, ani lęka, ja nie czarownik i nie denuncyant. Ja to tylko powiedziałem dlatego ażeby między nami zawsze zgoda była. Dobranoc panu. Jutro jadę do Orchowa, a pan jedź do Ręczyna. Wszystko będzie dobrze.

Z temi słowami Eli opuścił hotelowy pokój. Po odejściu jego Porycki stał długo, jak skamieniały, przy stole.

— Niegodziwe żydzisko! — szepnął przez zaciśnięte zęby, — trzyma mię teraz w ręku!

Po chwili dodał:

— Chciał-bym bardzo wiedziéc, czy téż on wie i o Julii.

Widocznie przecież lekkomyślność była jedną ze składowych cech charakteru człowieka tego, bardzo prędko bowiem ochłonął z gniewu swego i przerażenia, uczynił ręką gest lekceważący i rzekł:

— At! co tam, strachy na Lachy! Interesa zapowiadają się pięknie i... ciekawie. Ciekawym jest, jak honor kocham, ten pan Mieczysław Orchowski, sentymentalny głupiec, który konającemu ojcu swemu składał przysięgi jakieś. Ożenił się z guwernantką i żyje jak ekonom. Ciekawą jest siostra jego, piękna Lila, która męża swego nie kocha, a w ślicznej łapce swój trzyma losy brata, pod postacią dwudziestotysięcznego obligu.

III.

Ciekawość, którą Porycki w monologu swym objawiał, żywo musiała być zaostrzoną; interes, nad którym rozpocząć miał starania, obiecywał mu się snadź bardzo ponętnie i korzystnie, bo nazajutrz, zaraz po rozmowie swój z Makowerem, wyjeżdżał on z N. wynajętym naprędce koczykiem, czwórką koni zaprzężonym. Na koźle, obok najemnego woźnicy, siedział świeżo, bo przed godziną zaledwie przyjęty do służby lokaj.

Pomimo przeciwnych zaleceń Elego, Ildefons Porycki jechał do Orchowa. Pragnął może na własne oczy przekonać się o trudnościach, które przebiegły Żyd zapowiadał mu z téj strony, albo téż poprostu lekkomyślny, tam nawet, gdzie szło o rzeczy ważne dla niego i upragnione, folgował zachciance podrażnionej ciekawości. W pośpiechu i uporze, z którymi dążył do osobistego zapoznania się z Mieczysławem Orchowskim, było téż zapewne wiele

ufności w spryt własny, w umiejętność zawiązywania stosunków, wydających się z razu prawie niepodobnemi dla niego.

To téż siedząc, a raczój z wielką swobodą postawy na-pół leżąc w koczyku i paląc cygaro, miał on minę człowieka, który mówi sobie: przyjadę, spojrzę, zwyciężę! Od czasu do czasu rozglądał się po przebywanych okolicach i uśmiechał się wzgardliwie.

Widoki to były smutne, krajobrazy, po których, mimo słońca, jaśniejącego w pełnym blasku letnim, błędziły tajemnicze, głębokie cienie. Nad szerokimi, okiem nieścignionemi rozłogami, unosiła się cisza martwoty i bezludności; wśród pól odłogujących, albo w pierwotny sposób uprawianych, słychać było tylko świergot ptactwa; dzikie zielska porastały obszerne przestrzenie dzikiej przyrody; bezładna bujność mieszała się z okrywającą miejsca inne, żółtą, nagą jałowością. Tu i owdzie ukazywały się z od dali siedziby ludzkie, samotne i milczące domowstwa, których ściany z za opadającego tynku świeciły kruszącą się cegłą czerwoną, lub ciemniały próchniejącem drzewem czerniałém. Niekiedy, z dwóch stron ścieżki, sterczały w nieprzeliczonych szeregach odziomki, po ściętych drzewach pozostałe, a w rzadkich odległościach, na tle pustej przestrzeni, wznosiły się kalekie niedobitki sosen i jodeł. Nigd w okolicy téj całej nie można było dostrzedz te

krzątania się, ruchu, życia, tych robót różnorodnych, które gdzieindziej objawiają żwawe bicie serca ludzkich, działalność rąk i myśli, natężenie i walkę sił człowieka z przyrodą. Tu serca, zmęczone lub nierozbudzone, uderzały snadź powoli i trwożnie, ręce leniwe były lub nieuzbrojone, myśli i siły ludzkie rozbijały się o skałę fatalnej niemożności jakiegós. Nie była to pustynia, niemniej przecież czuleś tu nadeiagane ciężkich, duszących oddechów pustyni.

Kto inny, jadąc tędy, miałby westchnienie w pierś—Ildefons Porycki uśmiechał się wzgardliwie, lub obojętnie, znużoném spojrzeniem tocząc po pustych przestrzeniach... Przestał jednak uśmiechać się i obojętny wyraz twarzy zmienił na zaciekawiony, gdy powóz jego wjechał na szeroką drogę, dwoma gęstemi rzędami starych kasztanów osadzoną, a wiodącą do otwartéj na oścież bramy orchowskiego dworu.

— Czy to Orchów?

— Orchów, panie!

Porycki podniósł się z siedzenia i położył dłoń na ramieniu woźnicy.

— Słuchaj-no! — rzekł, — trzy ruble dostaniesz, jeśli przed dom ten zajedziesz zręcznie, z szykiem, po pańsku, rozumiesz?

Woźnica zrozumiał. Cztery rosłe i dobrze utrzymane konie ruszyły tak żwawo, że aż tumany kurzu podniosły się z pod kół koczyka, i pełnym klusem, podzwaniając uprzężą, wbiegły na wielki

podwórzec, gdzie kolista droga, niegdyś gracowana snadź i źwirem usypywana, dziś czysto wymieciona tylko, wiodła ku nizkiemu, długiemu domowi.

Rozglądając się dokoła, Porycki spostrzegł, iż szykowność ekwipażu i jego zapłata, woźnicy przyobiecana, zupełnie były stracone. W oknach domu nie ukazała się twarz żadna i na ganek nie wyszedł nikt. Nie miano tu snadź czasu ani zwyczaju wyglądać gości, nie trzymano służby licznój, w każdej chwili gotowej wybiedz na spotkanie przybywających.

Porycki wyskoczył z powozu, rozkazał woźnicy z powozem i końmi zatrzymać się na uboczu i stanąć na ganku. Od dachu, podtrzymywanego sześciu grubemi słupami, i od dzikich powojów, pnących się po zielonój kracie, był tam cień chłodny i orzeźwiający; z obu stron stały drewniane ławki z poręczami, a przed jedną z nich znajdował się stół obszerny. Siedziano tu widać niedawno, spożywano śniadanie, czytano i roznawiano, gdyż na białej serwecie, stół przykrywającój, leżała książka na-pół roztwarta, stał koszyk z robotą kobiecą i inny, napełniony pięknemi ogrodowemi owocami. Na ławce drobne jakieś ręce dziecięce pozostawiły zabawek parę.

Osoby, które w cieniśmém miejscu tém przeze-
dziły wczesne godziny poranku, rozproszyły się
raz po różnych stronach dworu. Szerokie gał

drzew kasztanowych rzucały na ganek ruchome swe cienie. Rozkwitające wśród gęstej zieleni białe kielichy powojów wydawały woń lekką. Pod grzymsem dachu świergotały w gniazdach jaskółki, a za oknami domu, które wychodziły na ganek i na oścież były otwarte, panowała cisza głęboka i wznosiły się ściany obszernych pokoi, czyste, lecz prosto pobielone i nieprzyozdobione niczem. Zieloność, cień chłodny, zapach kwiatów, świergot ptaków, ciche, prostotą obyczajną tchnące wnętrze starego wiejskiego domu, nie były to rzeczy zdolne poruszyć struny wrażeń i uczuć w organizacyi głównego agenta, który widocznie daleko więcej lubować się musiał w bezładnych hałasach tłumów i pstrych objawach zgiełkliwego życia. A jednak w wyrazie twarzy swojej nie objawiał niecierpliwości i znużenia, owszem, z zajęciem żywym i badawczością ciekawą, przyglądał się różnym częściom dworu, nad wszystkiém, co tam widział, uważnie czyniąc wnioski, ze wszystkiego wyciągając dla siebie wróżby powodzenia dobrego lub złego.

Orchów nie miał już teraz tak zaniedbanego i upadającego pozoru, jak przed siedmiu laty, nie mniej przecież, obok staranności, usiłowań, uporczywej pracy i umiejętnej myśli ludzkiej, znać tu było na każdym miejscu walkę, potrzebę, łataninę, troskę. Dwór ten, przebudowany, podpierany, oczyszczony z ruin, na których zupełne usunięcie nie-

dostawało czasu i pomocniczych środków, podobnym był do wszelkiego dzieła, którego logiczny rozwój spotyka się z mnogimi przeszkodami.

Wzrok Poryckiego obiegł dokoła wielkie podwórze, zawierające w sobie tylko dom mieszkalny z przyległymi oficynami, i zatrzymał się długo, ze zdwojoną ciekawością, na dziedzińcu folwarcznym. Tam dopiero byli ludzie i wrzał dość ożywiony ruch gospodarski. Przez szerokie wrota stodoły, na oścież roztwarte, słychać było głuche warczenie maszyny jakiejś, białe płócienne ubiory robotników. Przed szarą oficyną, służącą niegdyś za pomieszkanie żydowskim dzierżawcom Orchowa, kilka kobiet w wiejskich ubraniach dokonywało nad drewnianymi naczyniami robót jakichś około nabiątu czy prania: od strony zaś śpichrza szła szybkim krokiem dość wysoka, bardzo kształtna postać kobieca w perkalowej sukni, którą blask letniego słońca czynił jasną i połocistą, w słomianym kapeluszu o szerokich brzegach na głowie.

Kobieta ta spostrzegła snadź powóz w pobliżu ganku, bo stanęła, popatrzyła chwilę, a 'potém ze zdwojonym pośpiechem iść zaczęła ku domowi.

— A! — szepnął Porycki, — pani domu zapewne, guwernanteczka owa, która tak zřęcznie oplątała serce młodego dziedzica, że wyrzekł się dla niej żony z posagiem, mogącym mu dziury w chach polatać. Ciekawym, czy ładna przynajm

W chwili, gdy to mówił, kobieta w perkalowej, od słońca jaśniejącej sukni, znajdowała się już w połowie dworskiego dziedzińca, gdy nagle zatrzymały ją w drodze głośnie śmiechy i wołania dwojga dzieci, które, wysunąwszy się z-za gęstych krzewów, osłaniających boczną ogrodową furtkę, biegły na jój spotkanie. Tuż za niemi, w otwartej furtce, w cieniu rosnącej tam lipy rozłożystej, stanęła kobieta stara, w białym czepcu i czarnej sukni, z bladą, pomarszczoną, lecz łagodną twarzą. Pilnowała snadź dzieci, które bawiły się w ogrodzie, a teraz, ujrawszy matkę, uczepiły się rąk jój, i z głośnym szczebiotem podniosły ku niej drobne swe, rumiane twarze. Kobieta w perkalowej sukni stanęła na chwilę i, pochyłona, zamieniła z niemi słów kilka, poczem, przesławszy starszycę uśmiech i skinienie głowy, a młodszą, pięcioletnią dziewczynkę wzięwszy za rękę, szła dalej ku domowi.

Gdy znajdowała się już w bliskości ganku, zdjęła słomiany kapelusz, a blask słońca, który dotąd złościł tylko jój suknią, oblał teraz i ukazał w pełni kształt jój głowę, zwieńczoną dwoma grubemi warkoczami ciemnych, lśniących włosów.

— No! — szepnął Porycki — niczego sobie! ale żeby to było znowu coś tak bardzo osobliwego... nie powiem. Dumnie jakoś i zimno wygląda ta ex-guwerntka.

Powierzchność ex-guwnantki nie była w isto-

cie taką, która-by uczynić mogła wrażenie przyjazne na ludziach, Poryckiemu podobnych. W cerze twarzy jój, śniadawój, ogorzałój nieco, w oczach pełnych blasku i spokoju, w zarysie ust, których słodycz nie wyłączała energii, w kształtach, postawie i poruszeniach jój kibici znać było pełną i jędrną dojrzałość sił fizycznych i moralnych, powagę naczelniczki domu, dumę i spokojną radość szczęśliwój żony i matki.

Była to postać niewieścia, na piérwszy rzut oka surowa i nieco zimna, bo pozbawiona wszystkich owych drobniotkich powabów i przystrojów, które wokoło wielu innych kobiet tworzą atmosferę sztucznej miękkości i fałszywego ciepła; trzeba było w istocie długo na nią popatrzeć, z oczu jój wyczytać myśli, w uśmiechu ust pochwycić uderzenia serca, aby nazwać ją piękną.

Oddała gościowi grzeczny, choć lekki ukłon i, widząc przed sobą nieznanego, stanęła w wyczekującej postawie. Porycki, po złożeniu ze swój strony wytwornego ukłonu, wyjął z kieszeni kamizelki bilet wizytowy, a oddając go pani domu, z pełnym przymilenia uśmiechem oświadczył, iż przybył tu w celu zabrania osobistój znajomości z panem Mieczysławem Orchowskim, i pomówienia z nim o interesach, które, jak sądzi, mieć będą dla dziedzica Orchowa wagę niemałą.

— Wszakże nie mylę się — dodał agent główny z nowym i głębszym jeszcze, niż wprzód, ukłonem —

mniemając, że stoję przed żoną pana Mieczysława Orchowskiego, panią tego domu? Prawdziwe to dla mnie szczęście, że poznać mogę osobę, o której cnotach i piękności...

Nie dokończył zaczętego frazesu, bo twarz Michaliny, która schmurzyła się już była z lekka przy odczytywaniu tytułu, wypisanego na wizytowej kartce, stała się wobec prawionego jój pochlebstwa zimną i nieruchomą.

— Nie mylisz się pan — rzekła — jestem żoną Mieczysława Orchowskiego i gospodynią tego domu. Mąż mój zajęty jest w tej chwili gospodarstwem, ale wnet poślę po niego. Chciój pan wejść.

Rzekłszy to, weszła w głąb domu, i giestem zaprosiła gościa, aby szedł za nią.

Po chwili Porycki znajdował się sam jeden w obszernym pokoju, trzema oknami na dziedziniec wychodzącym. Był to ten sam pokój, w którym Kajetan Orchowski pędził ostatnie, smutne lata swego życia, w którym umierał i prowadził z synem uroczystą, przedśmiertną rozmowę. Też same szafy, ksiąg pełne, stały tu pomiędzy oknami, też same wizerunki ludzi, mądrością i czynem wielkich, okrywały jedną ze ścian bocznych. Zachowano tu nawet stare obicie błękitne z wypłowiałemi złoceniami, a niedostaowało tylko łoża, na którym tak długo spoczywał, chorobą do niego przykuty, starzec przedwczesny; na wielkim zaś stole u komina leżały, niewidywane tu

dawniej, księgi gospodarskie i rachunkowe, przeróżne rejestra i notatki. Parę kanapek, tanim perkalem obitych, i kilka krzeseł, otaczających stół przed kominem, dopełniały umeblowania pokoju tego, który miał pozór poważny i wesoły zarazem.

Na twarz Poryckiego, gdy został znowu samotnym, spadł wyraz niepokoju i niezadowolenia. Przybycie jego odbyło się w istocie pod wróżbą niedobłą. Nikt tu nie wybiegł na jego spotkanie, nikt olśnionym i od razu podbitym nie został przez *szyk* ekwipażu i całej osoby jego. Gospodyni domu, z razu uprzejma, stała się po przeczytaniu nazwiska jego i tytułu zimną, dumną prawie; a jakkolwiek nie rozminęła się względem niego z prawidłami grzeczności, odchodząc jednak i pozostawiając go samotnym, okazała mu aż nadto jawnie, iż zabieranie z nim bliższej znajomości nie jest wcale dla niej pożądaném.

To też zachmurzona twarz jego rozjaśniła się wtedy dopiero, gdy w głębi domu ozwały się śpieszne męzkie kroki, i do pokoju wszedł mężczyzna, w płócienném letniém ubraniu, z twarzą ogorzałą od skwarów słonecznych i, w téj chwili przynajmniej, bardzo poważnie wyglądającą.

Mieczysław Orchowski w jednej ręce trzymał, oddaną snadź przez żonę, kartkę wizytową gościa, drugą z lekka bardzo dotknął podanej sobie dłoni przybysza. Wskazał Poryckiemu krzesło przy stole, i bez śladu uśmiechu na twarzy, po której znać

jednak było, że uśmiechać się serdecznie umiała i lubiła, rzekł :

— Żona moja mówiła mi, iż przybyłeś pan tu z interesem, mającym dla mnie i dla pana wagę wielką. Czy mogę zapytać, jaki jest ten interes ?

Chłodna ceremonialność wiała od tego doraźnego przystępowania do interesu ; ale Porycki postanowił nie zrażać się byle czém, i śmiało zapuszczać sondę w usposobienie i położenie człowieka, którego miał przed sobą. To téż, z fizygnomią rozjaśnioną, z pełną swobody i ugrzecznienia postawą, odpowiedział :

— Wątpię, abym się mylił, mniemając, że państwo wiedzą coś o powodach, które mnie w strony te sprowadziły...

— Nie mylisz się pan — przerwał Orchowski. — Powody te łatwe są do odgadnienia z tytułu, umieszczonego na wizytowej karcie pana. Jesteś pan wysłannikiem Domu pośrednictwa, a może i członkiem stowarzyszenia, które dom ten założyło.

Porycki skłonił się potwierdzająco.

— W istocie, jestem wysłannikiem i członkiem stowarzyszenia tego — rzekł uprzejmie. — Pragnąc téż z zadania swego wywiązać się ku jak największej korzyści i zadowoleniu stron obu, postanowiłem ostatek zabrać znajomość z mieszkańcami okolicy tutaj, a uczyniłem to tém śmielój, że okolica ta słynie

z wykonywania na szeroką skalę starostwoiańskię cnoty gošcinności.

Słowa ostatnie, w mniemaniu gošcia, zobowiązać zapewne miały gospodarza domu do wykonywania i względem niego cnoty wspomnianęj. Ale Orchowski nie uczuł się snadź zobowiązanym do niczego.

— W imieniu okolicy mojęj — odparł zimno — dziekuję panu za dobre o nięj wyobrazenie; zastrzedz przecię winienem, iż różne zmiany i okoliczności zmusiły nas obecnie do praktykowania gošcinności na daleko mniejszą, nię dawnięj, skalę.

— O! — śmiejąc się lekko, zawołał Porycki — przebac pan, ale słów jego zastosować nie mogę do tego przynajmniej miejsca. Ten dwór starożytny, wspaniały, te pokoje widne i przestronne—wszakże to typ naszych dawnych szlacheckich siedzib, w których...

— Dwór ten wspaniały — z wolna i jakby powściągając się, przerwał Orchowski — dwór ten wspaniały w części dopiero wydzwignięty został z ruiny, a połowa jego zamkniętą jest na klucz, gdyż dla skromnego życia, jakie prowadzę tu ze swą rodziną, kilka pokojów wystarcza zupełnie.

Agent główny westchnął i uczynił ręką gest pożalowania.

— Tak, tak — zawołał — jesteście dziś panowie ścieśnieni, skłopotani, podobni do załogi oblężonego miasta, którego prowizye wyczerpywać się zaczn

ją. Przebacz pan jednak, jeśli wyrażę zdanie, że położeniu swemu sami winni jesteście.

— Czy, mówiąc to, myślisz pan o przeszłości, czy o teraźniejszości? — zapytał gospodarz domu.

— O przeszłości?... — odparł żywo gość — któż o niej mówić może? Warto-ż myśleć o tém, co już minęło? Wszak dla wszystkich ludzi nowych idei, do których i pan zapewne należysz, tradycya jest niczém więcej, jak pustym i przestarzałym przesądem!

Zamilkli na chwilę. Oczy ich spotkały się długim, ze stron obu upartém, spójrzaniem. Natury dwóch tych ludzi odtrącały się wzajem, w sposób dla obu nieprzewyciężony, a dręczący. Wszystko, co wiedzieli o sobie, czém byli i być pragnęli, wlewało w rozmowę ich tę ostrą ucinkowość, za której pozornym chłodem, wre płomień powstrzymywanego z trudnością oburzenia. Porycki jednak nie rad był z siebie. W życiu jego były przejścia i plątaniny, które utwierdziły w nim wiarę głęboką we własny zmysł dyplomatyczny, w giętkość własnego obejścia się i charakteru. Tu spostrzegać zaczynał, iż uległ mimowoli wrażeniu, wywartemu na niego przez przyjęcie, które go spotkało, przez cały pozór domu, w którym się znajdował, a nawet przez powierzchowność pana domu tego, piękną, wyniosłą nieco, lubo roszą, zimną dla niego, a jednak pełną ognia i życia. Zamiast badać, zdradzał się, zamiast pochle-

biać, obrażał. Był pewnym, że posiadał do gruntu sztukę obłudy, a przecież oręż ten, używany przez niego wiele już razy z powodzeniem, wypadł mu z ręki, pod wpływem ugodzonej przykro miłości własnej i instynktowo budzącego się w nim nieprzyjaznego uczucia.

Wszystkie uwagi te nasunęły się snadź myśli głównego agenta, twarz bowiem jego, szydercza już i niechętna przed chwilą, stała się na rozkaz woli uprzejmą, przymiloną, żartobliwą.

— Spozrzegam — zawołał z dobrodusznym śmiechem — spozrzegam, że nie rozmawiamy z panem tak, jak pozytywnym ludziom rozmawiać przystoi. Sądzę bowiem, że pan zaliczasz się do rzędu ludzi pozytywnych?

— W istocie — odparł Orchowski — uważam siebie za człowieka pozytywnego, nie wiem tylko, czy jednostajne znaczenie ja i pan do wyrazu tego przywiązujemy.

— O, ani wątpię, że jednostajne. Pomiedzy dwoma ucywilizowanymi ludźmi, którzy obaj wysoko cenią nowe, humanitarne idee naszego czasu, różnica zdań może być tylko pozorną. W każdym razie, przynaj pan, że rozmowę prowadziliśmy dotąd w sposób nieco zagadkowy, a to nie doprowadzi nas do żadnego pozytywnego celu. Jeżeli więc pan pozwoli, przystąpię do interesu.

— I'owszem, słucham pana — rzekł Orchowski

Agent główny wygodniej zasiadł w staroświeckim krześle i, z jednostajnym zawsze uśmiechem przymienia, obok wyrazu głębokiej rozwagi i powagi, mówić zaczął :

— O ile domyślam się, jesteście tu panowie niezupełnie trafnie poinformowani o celu, dla którego Dom pośrednictwa założonym został, i o ludziach, którzy na czele przedsiębiorstwa tego stanęli. Ludzie ci, jako kapitaliści, mają zapewne prawo żądania, aby obroty pieniężne, przez nich dokonywane, przynosiły im odpowiednie zyski; ale głównym ich celem jest—idea, idea przyniesienia korzyści krajowi temu, przez uwolnienie kapitałów, nieruchomości dotąd w ziemi uwieczonych. Szlachta tutejsza, ogołocona z zasobów materyalnych, nie jest w stanie powiększyć produkcyjnej siły posiadanych przez się gruntów, trzeba więc dać ję w ręce kapitał i pchnąć ją na nowe tory przemysłu, handlu, zarobkowych profesyi; ziemią zaś owładną ci, którzy będą mieli czém żywić ją i ulepszać. Tym tylko sposobem odświeżą się siły i zasoby kraju tego, a rolnictwo z upadku podźwigniętóm będzie. Są to prawdy i pewniki ekonomiczne, które zachęciły członków Domu pośrednictwa do rozpoczęcia działalności trudnej, ale szlachetnej i w skutkach swych dla stron tutejszych dobroczynnej. Oto jest szczere przekonanie moje o Domu pośrednictwa i jego działalności.

Słowa te wymówione zostały z nieudaną mocą

i prawdą. Niepodobna było mylić się: Porycki miał w istocie swoje przekonania, a niektóre z nich wyraził teraz zupełnie szczerze. To téż Orchowski, po chwili namysłu, odpowiedział:

— Nie pozwalam sobie wątpić o szczerości przekonania pańskich we względzie celów i zamiarów Domu pośrednictwa. Jakiemi zaś są moje w tym względzie przekonania, będzie to dla pana i jego spółtowarzyszonych rzeczą zupełnie obojętną, gdyż o sprzedaży majątku mego nie myślę wcale.

Porycki skinął parę razy głową na znak pobłażliwego przyzwolenia.

— Wiem, wiem — odparł. — Nie myślałeś pan dotąd, ale gdyby się zdarzyła okazja dobra, pewna, korzystna... może-byś pan i pomyślał. Ja tu do pana z gotową już propozycją przyjechałem. Dobry znajomy mój, mogę powiedzieć przyjaciel, baron von R..., życzy sobie nabyć w tych stronach obszerne dobra. Baron jest wielkim kapitalistą, a położenie jego nie pozwoli mu z pewnością targować się o nędzny tysiąc, a choćby i dziesiątek tysięcy rubli.

Porycki mówił to z lekkim tryumfem. Wierzył snadź w moc niezbitą pierwszego argumentu, z którym wystąpił. Argument ten nie uczynił jednak na młodym dziedzicu Orchowa ani ujemnego, ani dodatniego wrażenia. Nie uczuł on nawet potrzeby odpowiadania na niego. Milczał... Agent milczenie

to korzystnym dla siebie wahaniem się wytłómaczył, bo wnet, śmielój jeszcze, niż wprzód, mówić znowu zaczął:

— Ponieważ już tak szczerze i otwarcie ze sobą mówimy, powiem panu, że nie wiem doprawdy, jakim sposobem i od kogo baron otrzymał mniej-więcej dokładny opis znajdujących się w tych stronach majątków. Orchów podobał mu się z opisu nadzwyczajnie. Ogromne dziedzince, jego starożytne ogrody, malowniczość tutejszego położenia, uczyniły na wyobraźni barona jak najlepsze wrażenie. Marzy już tylko o zbudowaniu tu pałacyku i przyjeżdżaniu do Orchowa każdego lata ze stolicy. Jest-to zapewne kaprys kapitalisty i człowieka możnego... ale... rozumiesz pan... gdy jedni ludzie mają kaprysy swe i gwałtowne zachcianki, drudzy z kaprysów ich i zachcianek korzystać mogą.

Umilkł, i zupełnie już tryumfująco patrzył na gospodarza domu. Orchowski milczał jeszcze chwilę, a potem odparł:

— Bardzo żałuję, że nie będę mógł zadowolić kaprysu tak sławnego kapitalisty, jakim jest baron von R... Orchowa nie sprzedam.

W mowie Mieczysława brzmiała z razu lekka, bo siłą woli powstrzymywana ironia; ostatnie przecież trzy wyrazy wymówił z taką stanowczością, powagą i chłodem, że plenipotent barona uczuł się na chwilę zbitym z toru i do przytaczania argumentów dalszych

onieśmielonym. Krótko to jednak trwało. Podniósł wnet głowę i, z wyrazem twarzy na-pół zdumionym, na-pół przyjaźnie doradzającym, zawołał:

— Ależ dlaczego? panie szanowny! dlaczego? Państwo tu rdzewiejecie na wsi, odmawiacie sobie wszelkich przyjemności i rozrywek, które stanowią, że tak powiem, żywioł życia ucywilizowanego człowieka. Mam tu na myśli przyjemności i rozrywki szlachetne, kształcące smak i umysł. Gdybyście państwo posiadali w ręku kapitał, który więzicie w ziemi, wymagającej dziś wiele, a produkującej mało, mogli-byście zamieszkać w wielkiem mieście, otworzyć salony swe dla wyborowego towarzystwa, otoczyć się komfortem... Doprawdy, czyliż exystencya taka nie była-by weselszą, szczęśliwszą od téj, którą prowadzicie tu państwo, od świata oddaleni?

Mówił to znowu z wyrazem szczerego i silnego przekonania. Widać było w istocie, że sam, postawiony między dwoma rodzajami istnień, o których wspominał, ani na chwilę nie wahał-by się z wyborem.

— Różne są pojęcia o szczęściu — z wolna i obojętnie odparł Orchowski. — Co do mnie, sędzę, że człowiek na każdym miejscu szczęśliwym być może, jeśli posiada przed sobą cel życia, który wydaje mu się pięknym i trudów jego godnym, a wkoło siebie tych, których kocha i szacuje.

— Bardzo pięknie pan powiedziałeś. Zgadza

się na to, że... przy pewnych osobistych gustach i usposobieniach, czuć się tu można szczęśliwym i zadowolonym. Ale, przebacz pan uwagę, którą uczynię, zbyt poufałą może: masz pan rodzinę, żonę... dzieci, które przed chwilą widziałem. Czy nie sądzisz pan, że dla interesów... dla bezpieczeństwa przyszłości téj jego rodziny...

Tym razem, oczy Orchowskiego spokojne i zimne dotąd, błysnęły uczuciem ostrém, przemocą na zewnątrz wydzierającym się, bo długo powstrzymywaném.

— Chciój pan pozwolić — przerwał z odcieniem porywczosci w głosie — abym troskę i starania o byt i przyszłość méj rodziny pozostawił najzupełniej samemu sobie. Mniemam — dodał, topiąc znaczące spójrzenie w twarzy głównego agenta — mniemam, że najdroższym spadkiem, który rodzina jakakolwiek po naczelniku swym otrzymać może, jest przykład wiernego trwania przy pracy i obowiązku.

Lekkie rumieńce rozdrażnienia wybijać się zaczęły na żółtawe policzki głównego agenta. Tracił on znowu panowanie nad sobą. Chłód i stanowczość Orchowskiego, za którymi niedobrze kryć się umiała milcząca wzgarda, wyczerpywały cierpliwość jego, podniecały żądze i wyrachowania, z którymi tu przybył.

— Rozumiem — rzekł po chwili milczenia i jakby w walki wewnętrznej — rozumiem myśl pańską. Ha,

może to bardzo piękne, tkliwe, poetyczne; ale my, ludzie nowych idei, jesteście bardziej prozaicy i realisci...

— Pozwól pan — przerwał Orchowski — abym stanął tu w obronie tego, co pan nowemi ideami nazywasz. Według słusznych i rozumnych pojęć czasu naszego, spokojna, na prawych i prawnych drogach dokonywana, a ku celom sprawiedliwym wiodąca praca, potrzebą i powinnością być nie przestała.

Wymawiając ostatnie słowa, Mieczysław Orchowski powstał. Było to poruszenie niedwuznaczne wcale, na którego znaczeniu gość pomylić się nie mógł. Z-za ciemnych szkieł oczy jego błysnęły, nietajoną już, gniewną obrazą; ciemny rumieniec, szybki, jak błyskawica, opłynął mu policzki i podniósł się na czoło, aż ku krótko przyszczyżonym włosom. Wstał z krzesła, z ironicznym uśmiechem na wąskich wargach.

— Postanowienie więc pana jest stałym i niecofnionym?

— Stałym i niecofnionym — powtórzył dziedzic Orchowa.

Skłonili się oba w milczeniu, rąk sobie nie podając. Porycki z kapeluszem w ręce z wolna przechodził przez pokój. Orchowski, nie ruszając się, ogarniał spójrzaniem postać jego, zmierzającą ku drzwiom. O kilka kroków od drzwi gość zatrzymał się i odwrócił. Oczy dwóch tych ludzi spotkały

jeszcze, ale tym razem ciemne oko Mieczysława gorzało posepnym blaskiem, we wzroku zaś głównego agenta była ostra, jawna, wyzywająca groźba.

— Jeżeli jednak namyślisz się pan kiedy... — zaczął plenipotent barona von R...

— Nie rachuj pan na to — przerwał mu głos Orchowskiego, stłumiony nieco, lecz groźbą dźwięku odpowiadający na groźbę spójżenia.

— Niech mi wolno będzie przynajmniej rachować na okoliczności nieprzewidziane...

— A mnie przewidywać je i im zapobiegać.

W parę minut potem, na dziedzińcu orchowskiego dworu turkotały koła szybko odjeżdżającego powozu. Za bramą, w połowie alei wspaniałej, staremi kasztanami ocienionej, agent główny podniósł się nieco z siedzenia, odwrócił głowę, pałającem spójżeniem objął wysoki dach starego domu i wyrzekł z cicha:

— Chyba żyć nie będę, jeśli ty ztąd nie wylecisz, dumny szlachcicu, rycerzu z papierowym mieczem!

Wyrazy płątały się i syczały mu w ustach. Przyjeżdżał tu z rachubą i chytremi planami w głowie, odjeżdżał ze śmiertelną obrazą i żądzą zemsty w sercu.

O parę wiorst od Orchowa, powóz Poryckiego skrzyżował się w drodze z bardzo skromną, parokonią bryczką, na której siedział Eli Makower. Obaj

zawołali na woźniców, aby zatrzymali konie; wysiedli i zeszli się na drodze.

— A z kąd to pan jedzie? — zapytał żyd.

— Z Orchowa — odpowiedział agent. — Chciało mi się bardzo na własne oczy zobaczyć majątek i tego dziwaka, który jest jego właścicielem. Ale teraz żałuję, że pojechałam...

— A czy ja panu nie mówiłam, że to będzie strata czasu tylko?

— Nie! — z mocą rzekł Porycki — nie uważam bytności tam swojej za stratę czasu. Podwoi ona we mnie energią działania.

Tu zniżył głos i dodał:

— Słuchaj, panie Makower! jeżeli zrobisz tak, aby Orchów sprzedanym został baronowi von R..., otrzymasz nie dziesięć od sta, ale piętnaście... Porachuj pan dobrze, ile to wypadnie.

Makowera twarz drgnęła i oczy błysnęły. Była to jednak chwila przelotna, po której wrócił do zwykłego spokoju.

— Co o tém mówić, kiedy to jeszcze takie niepewne — rzekł. — Pan dużo już zepsuł przez to, że tam pojechał. No, ale ja pojedę także i może naprawię. On ze mną inaczej gadać będzie, niż z panem. Teraz jedź pan do Ręczyna.

W kwadrans po tej rozmowie, bryczka Elego skrzyła na boczną drożynę, która, przez uprawne pole i kawał łąki, wiodła ku młynowi, świeżo na ruinach

dawnego, nad wązką, lecz bystrą rzeczką, zbudowanemu. W drzwiach budowy spotkał przybywającego izraelita, w chałacie mąką ubielonym, wyraźnie młynarz. Powitali się skinieniem głowy i kilku krótkimi wyrazami.

— Co słyhać u ciebie, Lejbo? — zapytał Eli.

— Źle słyhać — markotnie odrzekł Lejba. — Orchowski wydzierżawiać młyna już nie chce; mówi, że *puścił* mi go z biedy tylko, bo pieniędzy bardzo potrzebował, a teraz, kiedy kontrakt skończony, chce go mieć w rękę, żeby większe korzyści ciągnąć.

— To źle, bardzo źle dla ciebie, Lejbo! ty tu dużo pieniędzy zarabiał. A co będzie z temi pieniędzmi, co ja ci na wzięcie młyna dałem?

— Ty już, Eli, o swoich pieniądźach bądź spokojny. Kiedy ty był taki dobry, że mnie ich pożyczył, to ja ich pewno nie skrucę, i chwalić Boga, mam oddać z czego. Żeby mi on tylko jeszcze choć na trzy lata młyn puścił!

Mówiąc ostatnie słowa, Lejba młynarz drżącą trochę ręką gładził kędzierzawe pejsy i błagającymi oczyma w twarz Elego patrzył. Po chwili odezwał się znowu:

— *Hörst*, Eli, zrób ty tak, żeby on mnie tego młyna nadal puścił. Ja wiem, że jak ty chcesz czego, to tak być musi. Moja Małka, to przecież twoja siostra: zrób to dla niej!

— Zobaczymy — rzekł Eli. — Ja tu dziś przyje-

chał, żeby z *nim* o ważnych interesach gadać. Czy on jest w domu?

— On zawsze w domu — odparł Lejba. — Dziś on cały dzień w stodole, bo tam żyto młóca. Idź do niego zaraz i o moim interesie pogadaj.

Z miejsca, na którym stali dwaj Izraelici, widzieć mogli ogrody orchowskie, pokrywające małe wzgórze, i szerokim szlakiem spuszczające się na równinę. Śród zieleni ogrodów, w perspektywie wspaniałej długiej alei, błyszczało pod promieniami słońca kilka okien mieszkalnego domu. Eli patrzył na okna te, jakby namyślając się i wahając.

— Nie — rzekł po chwili — teraz ja do niego nie pójdę. Człowiekowi zajętemu przeszkadzać nie trzeba, bo on zaraz w zły humor wpadnie, a wtedy o interesach gadać najgorzej. Ja do niego pójdę wtedy, gdy stodołę zamkną i w oknach dworu zapalą świece. A gdzie Małka? niech ona mi jeść da, bo ja dziś przed wyjazdem z N. wypił tylko szklanekę herbaty.

* * *

Wieczór nadszedł. W orchowskim dworze ruch i gwar dzienny ustawał z wolna; okna domu, iskrzące się długo rubinowymi połyski, zagasty; szary zmrok wisiał nad gęstymi ogrodami i przylegającą nich łąką, śród której, za wysoką ścianą młyna, s.

mrała i połyskiwała kręta wstęga strumienia. Na pogodne sierpniowe niebo występowały gwiazdy; nad ziemią, wilgotną od mgieł wieczornych, unosiła się cisza głęboka, przerywana tylko głuchym turkotem oddalających się wozów wieśniaczych, brzęczeniem owadów i głosami żab, skrzeczących w ogrodowym stawie.

Eli wstał z ławy, na której przed drzwiami młyńska siedział, i przed którą stał jeszcze stół z resztkami zsiadłego mleka na wyszczerbionym talerzu, z okruszynami razowego chleba i trochę niedopitego piwa w zielonawej butelce; wstał, skinął na pożegnanie głową Lejbie i Małce, siedzącej z dwojgiem dzieci na niskim progu, i z wolna poszedł ścieżyną, wydeptaną śród łąki i wiodącą wprost ku dworskiemu ogrodzeniu.

Ogrodzenie to składało się teraz, nie jak dawniej, ze sztachet kosztownych, choć w większej połowie nadgniłych i ku ziemi pochylonych, ale z prostego, mocnego płotu, utworzonego z kołów grubych i wysokich, wiązadłami z giętkiej łązy silnie ze sobą spojenych. Z za płotu strzelała wysoko, w nierozwikłaną zda się gąszcz splątana, leszczyna, i cienisto, poważnie rozpościerały się liściaste gałęzie starych lip i klonów.

Eli obszedł dokoła ogrodzenie, minął folwarczny dziedziec, na którym słyhać było gwar wieczorzącej w oficynie czeladzi, i drogą, przerzynającą po-

dwórze, zmierzał ku mieszkalnemu domowi. Szedł powolnym, lecz śmiałym krokiem, jak człowiek, który, namyśliwszy się dostatecznie, co i jak ma czynić, bez najlżejszych już wahań się, z zupełnym spokojem i pewnością siebie, przystępuje do wykonywania planu, logicznie ułożonego i stanowczo przyjętego.

Wokoło domu panowała najzupełniejsza cisza; była to snadź dla mieszkańców jego pora spoczynku, żadnemi zajęciami obowiązkowemi, żadném głośném krzątaniem się nieprzerywanego. Drzwi od sieni były zamknięte, a okna domu nieoświetlone, z wyjątkiem trzech, należących do pokoju, w którym przed kilku godzinami Orchowski przyjmował niezbyt miłego sobie gościa. Trzy te okna były otwarte. Wypływał z nich blask lampy, palącej się w pokoju, i strugą bladego srebra oblewał rosnące za oknami wysokie, gęste krzewy bzów, róż i jaśminów.

Eli chciał z razu wejść do domu przez sień główną; wszedł już był nawet pod ciemne sklepienie gankowe i dotknął ręką klamki szerokich drzwi, na których fantastycznemi zarysami odznaczały się śród zmroku staroświeckie rzeźbienia. Rozmyślił się jednak. Przyzwyczajony do wchodzenia w domy szlacheckie boczniemi wejściami, zstąpił cicho i bez szelestu z gankowych schodów i szedł wzdłuż dworu, zmierzając do małej, oszklonej sieni, znajdującej się u jednego z jego końców. Idąc w kierunku tym, minął już dwa oświetlone otwarte okna, gdy nagle stanął i, przez gałęzie wy-

sokiego bżowego krzaku, utkwiał oczy w przedmiocie jakimś, który wzbudził w nim widocznie żywą ciekawość. Po chwili uczynił poruszenie takie, jakby iść miał dalej. Nie poszedł jednak, tylko wsunął się głębiej w cień drzew i krzewów.

— Nu! a co to szkodzi, że ja posłyszę, co *oni* między sobą gadają? — szepnął sam do siebie.

Słowa te odnosiły się do dwojga ludzi, u otwartego okna stojących. Przed chwilą był tam tylko jeden mężczyzna, z ramionami skrzyżowanymi na pierśsi i głową w zamyśleniu schyloną. Teraz, z głębi łagodnie oświetlonéj komnaty, wyszła i ku niemu zbliżyła się poważna, a jednak kształtna i wdzięczna postać kobiety. Stała także u okna i drobną dłoń miękko złożyła na ramieniu zamyślonego mężczyzny.

— Mieczysławie! — rzekła półgłosem — smutny dziś jesteś.

Była to właśnie chwila, w której Eli stanął za krzakiem bżowym, z głową nieco na przód wysuniętą, z wyrazem twarzy wyczekującym i ciekawym.

Na dźwięk głosu kobiety, Orchowski podniósł głowę. Półśmiech przesunął się mu po ustach, a w oczach błysnęła głębia serdecznego przywiązania i... ciężkiego smutku.

— Tak, Michasiu moja — odpowiedział z cicha — smutny dziś jestem, i przed tobą, jak przed własném sumieniem mojem, wyznaję, że strwożony także. Ten nasz gość dzisiejszy, charakter, w którym przybył on

tutaj, propozycje, jakie mi czynił, wzburzyły mnie do głębi, przypomniły mi żywiej, niż kiedykolwiek, niepewność położenia naszego, trudności i niebezpieczeństwa dróg, któremi do celu wytkniętego dążymy. Dotąd walczyliśmy tylko z materyalnemi przeszkodami i niedostatkami, teraz na drodze naszej stanęła ludzka.

Słowa te nie okryły twarzy słuchającej ich kobiety wyrazem przestachu; owszem, zdwoiły one energią jej spójżenia, a zarys ust jej uczyniły słodszy. Wzięła rękę męża w obie dłonie i zapytała znowu:

— Czego obawiasz się, Mieczysławie? czy grozi nam dziś coś więcej, niż zwykle?

— Obawiam się — odparł mężczyzna — czy tyle trosk przeniesionych i podjętych trudów nie obróci się w niwecz; czy jutro, po jutrze, za rok lub dwa lata, nie będziemy zmuszeni porzucić tego miejsca, tak nam drogiego, i puścić się w świat, pod dach cudzy, z dziećmi naszymi i tą gorzką myślą, żeśmy znaczną część życia i sił naszych zużyli... daremnie.

— Mieczysławie! — rzekła kobieta — przypomnij sobie, ileśmy już zrobili, ileśmy ciężarów z siebie zrzucili, ile ruin podźwignęli, ilu groźbom zapobiegali skutecznie. Dlaczegoż przypuszczać mamy, że przyszłość trudniejszą jeszcze będzie i mniej pomyślną, niż była przeszłość?

— Dlatego — z bolesną porywcznością zawołał

chowski — że jeden cios, zkądkolwiek pochodzący, obalić może długie i mozolne budowanie nasze. Niech nam przez rok jeden ziemia nieurodzajną będzie, niech omyli mnie wyrachowanie jedno, niech jeden człowiek zły woli stanie mi w drodze, niech Lila...

— Lila jest siostrą twoją! — szepnęła Michalina.

— Znasz Lilę... — odparł z cicha i smutnie.

Na czole kobiety i w oczach ję ku ziemi spuszczonej odbiła się zaduma, nie trwożna, nie samolubna, ale z całych sił umysłu i serca szukająca słów i środków ku wsparciu zachwianej na chwilę odwagi, ku uspokojeniu zmaconej myśli i wzburzonych uczuć ukochanego człowieka. On, okiem pełnym miłości i smutku ogarniał pochyloną ku sobie ję głowę.

— Czy wiesz, Michasiu — rzekł po chwili — w imię czego człowiek ten skłaniał mnie dziś do opuszczenia stanowiska mego, do oddania w ręce obce ścian tych, wśród których przysiągłem sobie żyć, pracować i walczyć? Oto w imię dobra, szczęścia i przyszłości rodziny mojej, w imię twoje, droga moja, i dzieci naszych! Odpowiedziałem mu naturalnie tak, jak odpowiedzieć należało; ale... zrodziła się we mnie wątpliwość, czy naprawdę nie popełniam szaleństwa, narażając byt twój i tworząc ci terażniejszość tak surową a trudną. Oto już siedm lat, najpiękniejszych lat młodości naszej, zeszło nam na pracy i wyrzekaniu się wszystkiego. Jesteśmy niewolnikami gleby, zykuci do niej, wszelkich pomocniczych środków

pozbawieni; nie rozporządzamy dowolnie żadną chwilą czasu naszego, żadnym groszem, ciężko jednak zapracowanym. Czy masz ty kiedykolwiek choć jedną z tych przyjemności szlacheckich, których słusznie młodość twa i wykształcenie wymagać-by mogły? czy otacza cię choć drobna cząstka tych wygod i ozdób życia, w które opływają kobiety, tysiąc razy mniej warte od ciebie? Wprowadziłem cię w dom pusty i nagi; w ręce twe złożyłem połowę trudnej roboty swojej; a jednak dziś, mniej może, niż kiedykolwiek, zaręczyć ci mogę, czy obronić cię zdołam od twardego jeszcze losu, od tułaczki po świecie, od śmiertelnej trwogi o przyszłość naszych dzieci!...

Mówił to z bolesnym uniesieniem. Znać było, że pragnął-by wszystkie bogactwa i rozkosze ziemi roztoczyć wkoło kobiety tej, którą kochał nad życie, że przyzwyczajenia i wyobrażenia dawne buntowały się w nim niekiedy przeciw woli i postanowieniom, kreślącym mu ogólny plan życia. Ale kobieta, do której mówił, dla której cierpiał, o której los drżał, słuchała go z uśmiechem na ustach i twarz jego ogarniała coraz jaśniejszym, gorętszym spójrzeniem. Nikt dawniej spodziewać-by się nie mógł, aby te ciemne, nieśmiałe oczy biednej guwernantki posiadać mogły tyle mocy.

— O, mój drogi! — zawołała — przebacz, i śmieję się wśród tak poważnej rozmowy. Kim-że!

łam? Czy bogatą dziedziczką? czy wypieszczoném kapryśném dzieckiem pałaców?

Spoważniała znowu, i bez uśmiechu już mówiła dalej:

— Bieda, twarda bieda była piastunką i nauczycielką moją; tułaczka po cudzych, zimnych dla mnie domach—moim losem. Za jedyny promień szczęścia miałam uścisk starój matki mojej, za jedyną pociechę spokój sumienia, które mówiło mi, że robiłam wszystko, co mogłam, aby materyalnie—cudzego chleba nie żebrać, moralnie—kształcić się i wzrastać. Więcej nie miałam nic, co-by należało do mnie, a uroczystej chwili połączenia się naszego nie uprzedziłam przygotowaniami żadnemi, bo mnie nawet na parę nowych sukien nie stało. Tyś mi dał wszystko... miłość bez granic, ciepło rodzinne i spokój własnego ogniska. Kiedy po raz piérwszy weszłam do domu twego, uczułam się bogatą i dumną, jak królową; kiedyś po raz piérwszy opowiedział mi zamiary swe i postanowienia, pokochałam cię dwa razy więcej, niż wprzódy... Pokochałam także cel, do którego dążysz, bom znaczenie jego zrozumiała, i teraz iść z tobą ręka w rękę, choćby wśród największych trudności, być towarzyszką twoją i pomocnicą, matką i nauczycielką dzieci naszych... to dla mnie takie szczęście i takie źródło codziennych, cochwilowych uciech, że losu swego nie zamieniła-bym na żaden inny w świecie.

Nie skończyła jeszcze mówić, gdy Mieczysław otoczył kibić jój ramieniem i silnie przycisnął ją do piersi.

— O, ty mocy, odwago, pociecho moja! — rzekł z cicha, i długi pocałunek złożył na jój czole, które podnosiło się ku niemu, zrumienione siłą uczucia i zapalu. — Przebacz mi — mówił dalej — przebacz mi zwątpienia i trwogi, które oblegają mnie niekiedy!

Słowa te wyrzekł ze szczerem, niekłamany zapalem. Znać było, że zamiłowanie w przedsięwziętym dziele, uczucie potrzeby jego i obowiązku dosięgało w nim do stopnia namiętności; a jednak, pod wpływem spójrzenia i słów kobiety, która, obok niego stojąc, trzymała rękę jego w swęj dłoni i ramieniem otaczała mu szyję, z oczu jego znikaly gorączkowe blaski smutku i trwogi, a zastępował je spokój woli silnej, rozumu, znającego dobrze cele swe i środki.

Jednostajna miłość paliła się w ich sercach, jedne pojęcia przenikały ich umysły. Rozumieli się... Czuli, że dłonie ich nie rozłączą się nigdy i wspierać się będą wzajem w doli i niedoli, w trudzie i walkach, w każdym serca uderzeniu, w każdym porywie myśli i wysileń ku wyższym szczeblom męztwa, doskonałości, pożytku. Wiedzieli dobrze, iż ze związku, który ich łączy, nie słabość i rozdarcie, lecz moc i zgodę czerpać zawsze będą. To też doskonałe to zrozumienie się wzajemne, to uczucie bezgranicznej ufności, to wspólne zawieszenie wzroku na punktach w

kich, nietylko potęgowało miłość ich ku sobie, ale zdwajało zyciową ich dzielność i siłę.

— Michasiu! — po dłużej chwili milczenia, lecz całkiem spokojnie już rzekł Mieczysław. — Mam w głowie plan, który, jeżeli spełnię, w tym roku jeszcze spłacę połowę długu Lili, za rok lub dwa najdalej oddamy jój resztę, a wtedy będę mógł powiedzieć sobie, że do pewnego stopnia przynajmniej stałem się panem położenia.

— Jakież to jest plan? mój drogi. Nie mówiłeś mi o nim jeszcze.

— Chciałem aby, zanim podzielę się nim z tobą, dojrzał on wprzód w własnej głowie mojej. Pójdź, pokażę ci to na papierze; ale pamiętaj, że będą to cyfry... same cyfry...

Mówił to prawie już wesoło, Michalina zaśmiała się także.

— Wiész dobrze — rzekła — że cyfr się nie lękam. Kiedy byłam nauczycielką, nie usuwałam wcale arytmetyki z programatu nauczania swego...

— I był to, o ile pamiętam, jeden z powodów, dla których przestałaś być nauczycielką mojej siostry.

— Nie wspominajmy o tém — rzekła żywo Michalina.

Lekka i wesoła, poskoczyła w głąb' pokoju, przysunęła dwa krzesła do stołu, na którym paliła się lampa i, na jedném z nich siadając, zawołała :

— Rachujmy!

— Rachujmy! — powtórzył Mieczysław, siadając obok żony i porządkując rozrzucone na stole papiery.

Oboje więc odeszli od otwartego okna, a jednak ciemna postać, stojąca z pochyloną na przód głową za gęstym krzakiem bżowym, nie opuściła swego ukrycia.

Eli na inne teraz okno domu spoglądał. Było ono zamknięte i przed chwilą ciemne; ale teraz błysnęło w niem światło świecy i widać było, jak przez długą salę kroczyła z wolna stara kobieta, w czarnej wełnianej sukni, ze srebrnymi włosami, wymykającemi się z pod białego czepka, na twarz bladą i łagodną, na płócienny kołnierzyk, otaczający pomarszczoną szyję.

Kobieta ta niosła na ręce dwuletnie dziecko, do snu już snadź idące, bo w bieluchną tylko koszulkę przyodziane, różowe, złotowłose, śmiejące się, z główką opartą o pierś babki. Z obu stron jęj szły dzieci starsze: chłopczyk z minką poważną i dziewczynka, szczebiocąca jak ptaszę. Grupa ta, oświecona słabym blaskiem świecy, którą stara babka, wchodząc, wniosła do sali, przesunęła się z wolna za szybami kilku okien, i stanęła na progu pokoju, w którym, pochylona nad stołem i papierami, z cicha i poważnie rozmawiała para małżonków. Miało to być zapewne pożegnanie codzienne przed snem nocnym, codzienn

udzielany i odbierany uścisk rodzinny; ale stara kobieta, ujrawszy dwoje młodych ludzi, pogrążonych w pracy i cichéj naradzie, zatrzymała się w progu, przyłożyła palec do ust, giestem tym nakazując dzieciom milczenie, a po chwili niemego przypatrywania się tym dwom młodym i pięknym głowom, schyłym ku sobie z wyrazem zamyślenia na twarzach, odeszła.

Po chwili świeca z sali zniknęła; natomiast otworzyło się jedno z jéj okien, i z ciemnéj komnaty wychyliła się pod światło gwiazd głowa staréj matki, bez czepca już teraz, całkiem opłynięta długimi, srebrnymi włosy, z modlitewnym wyrazem w zagastyłych, ku niebu wzniesionych oczach.

Przez kilka minut usta jéj poruszały się z cicha i z wolna; ale uczucie, z jakim modliła się, wzbierało w piersi jéj falą tak gorącą i błagalną, że szept jéj cichy przemienił się w na-pół głośną modlitwę.

— Panie! — mówiła, patrząc w gwiazdy — daj *im* spokój cichy, szczęście uczciwe i cnotę wytrwałą! Zsyłałeś mi w życiu mém krzyżów wiele—niosłam je w pokorze i cierpliwości; ale to, co przecierpiałam, i to, com kiedykolwiek dobrego uczynić mogła, niech w oczach Twych, Boże, nie będzie moją zasługą, ale niech się stanie ofiarą błagalną i korną, za którą opiekę Swą i błogosławieństwo roztocz nad dziećmi mojemu!

* * *

Lekki szum starych kasztanowych gałęzi, poruszanych chłodnym wietrzykiem nocnym, zagłuszył szelest kroków Elego, gdy, wysunawszy się ze swego ukrycia, powoli i z pochyloną w zamyśleniu głową, oddalał się od orchowskiego dworu. Po kilku minutach można go już było widzieć na ścieżce, przez łąkę ku młynowi wiodącej.

Lejba młynarz siedział sam jeden nad grubą jakąś księgą modlitewną, przy której paliła się żółta łojówka, gdy otworzyły się drzwi izby i wszedł Eli. Młynarz, po kilku minutach kiwania się i szeptania, złożył księgę.

— Nu, Eli! — rzekł — czy ty z *nim* gadał o moim interesie?

Eli nie odpowiedział. Przechadzał się z wolna po izbie, z rękoma w tył założonemi, patrzył w ziemię, i zamyślony był tak głęboko, że zdawało się, iż zapytania szwagra nie słyszał.

— Eli! czy ty z *nim* gadał o młynie, i żeby *wn* mnie jego choć na trzy lata jeszcze w posesyą puścił?

Tym razem Eli, nie przerywając przechadzki swój, odpowiedział:

— Ja z nim dziś wcale nie gadał.

— Jakto, ty *jego* nie widział?

— Ja jego widział, ale z nim nie gadał.

— A dlaczego?

Na ostatnie pytanie to Eli żadnej nie dał odpowiedzi. Zareczyć nie można, czy sam zdawał on sobie dokładną z tego sprawę, dlaczego, znajdując się tuż przed progiem orchowskiego domu, progu tego nie przekroczył, dlaczego nie dokonał czynu, nad którym długo myślał, dla którego dokonania przybył tu o mil kilka, porzucając dla niego inne korzystne sprawy i zabiegi. Na twarzy agenta Domu pośrednictwa i spółnika Ildefonsa Poryckiego malował się namysł głęboki, z wewnętrznych wahań i wątpliwości złożony.

Lejba oddawna już za drewnianém przepierzeniem usnął snem twardym. Godzina była już późna, popółnocna, gdy Małka, zbudzona krzykiem dziecka, złożonego w kołysce, na sznurach do sufitu przytwierdzonej, wstała z pościeli i, zapaliwszy łuczywo, przez wążkie drzwi w głąb piérwszej izby zajrzała. Zobaczyła tam Elego, który w zupełném jeszcze dzienném ubraniu, przy świetle jaskrawo dopalającej się w lichterze łojówki, siedział na stołku, z obu dłońmi na kolanach złożonemi, z głową pochyloną i wzrokiem wbitym w ziemię.

— Eli! — zawołała Małka, — czemu ty spać nie idziesz? Ja dla ciebie tak kózko posłałam, że aj! aj! Sprobój tylko położyć się na niém.

Eli podniósł głowę.

— Czego ty chcesz ode mnie, Małko? Idź do ego bachura, który tam krzyczy.

W głosie jego było tak niezwykle mu zniecierpliwienie, że onieśmielona żydówka, usunęła się szybko za przepierzenie i słycać ją było, jak, poruszając kołyską, cichym szeptem i głośném cmokaniem, uspakała wrzeszczącego dzieciaka.

Eli pozostał w uprzedniej postawie. Od chwili do chwili przechylał głowę z jednej strony na drugą, zsuwał brwi i dłonią głaskał rudawą brodę, jakby dziwił się czemuś i własne zdziwienie sceptycznym odpierał rozumem. Wątpił i wahał się, wątpliwości te i wahania, nagle we wnętrzu jego zrodzone, pokonać usiłował, lecz nie mógł.

Nazajutrz, około godziny siódmej z rana, Eli, tylko co snadź przebudzony, wyszedł przede drzwi młyna. W téj saméj chwili, od strony dworu śpiesznym krokiem zbliżał się Lejba. Twarz dzierżawcy młyna rozjaśnioną była i widocznie uradowaną. Zapomniał o przywitaniu się ze szwagrem i z zadowoleniem zawołał:

— Ny! już ja sam jego widział i z nim gadał. Młyn będzie znów na trzy lata moim!

Eli nie okazał najlżejszego zdziwienia.

— Jak to było? — zapytał.

— On przysłał po mnie jeszcze przed szóstą godziną, on zawsze tak rano wstaje. Jemu widać na gwałt pieniędzy potrzeba, bo powiedział, że mi młyn puści, jeżeli tylko ja jemu za trzy lata arendę z g dam.

Eli głaskał brodę, patrzył w ziemię i chwilę milczał.

— A żebym ja ciebie poprosił: nie bierz ty w posesyą tego młyna i pieniędzy z góry nie dawaj, póki ja o tym interesie nie pomyślę, czy ty jego masz zrobić, czy nie?

Lejba przenikliwie wpatrzył się w twarz szwagra.

— A dlaczego ty mnie masz o to prosić?

— No, już ja wiem, dlaczego co robię, a ty także wiiesz, że jeżeli ja tobie jeden dobry interes odbiorę, to z pewnością dam inny, jeszcze lepszy.

— Ny, to prawda. Jabym i tego młyna nie trzymał, żeby nie ty i twoje pieniądze.

— Może być — rzekł Eli, siadając na ławie, — że ja zechcę, abyś ty jemu dał pieniądze, a może być, że nie zechcę. Ja tu za parę tygodni będę znowu i powiem, co zrobić trzeba. Kontrakt na dwa miesiące jeszcze wystarczy, a przez ten czas dużo wody w téj rzeczce przepłynie i dużo myśli przez moją głowę przejdzie.

Lejba zmarkotniał trochę, ale oporu najmniejszego nie stawiał.

— Niech tak będzie, jak ty chcesz, Eli, — rzekł. — Ja wiem, że ty nikomu źle nie życysz. Kiedy ja przez ciebie tutejszego młyna nie wezmę, to ty tak zrobisz, żebym ja w posesyą wziął ten, co na białowskim stawie stoi...

— Wiem, wiem, — dokończył Eli. — Powiedz teraz

memu *człowieku*, żeby konie do bryczki założył. Pora mi już jechać.

— A dokąd ty pojedziesz?

— Niedaleko: do Rydlówki, do pana Kamila Orchowskiego.

IV.

Czy rzeczywiście istnieć mógł gdziekolwiek człowiek taki, jak Ildefons Porycki? Jakich wpływów i okoliczności był on dziecięciem i wynikiem? Jakie żywioły, przeszłością jego rządzące, złożyły się na moralną istotę jego? Jaki był najgłębszy, najtajniejszy grunt téj istoty? Pytania te nasuną się zapewne myśli czytelników.

Kiedy długa, silna burza wstrząsa nurtami wód szerokich, powierzchnią ich pokrywają zarówno dyamentowe blaski łamiących się fal słonecznych, smętne kielichy lilii białych, wichrem poszarpanych, jak brudne szmaty piany mętnój i odrażającój. Gmachy wielkie, walące się, albo już obalone, wspaniały i melancholijno-poetyczny przedstawiają widok, gdy księżyc je osrebrzy i bluszcz dziki owije; tu i owdzie jednak sterczy cegła jakaś, deska, głaz, które, w ogólnym rozruchu i bezładzie padania, z właściwych miejsc swych wytracone, przygniatane, popychane,

leciały coraz niżej, pod uderzeniami sił fatalnych, aż stanęły w dole, wyszczerbione, nadgniłe, oczom ludzi ku obrazie, krokom ich ku szkodzie.

Ildefons Porycki urodził się na Wołyniu, w dość skromnej, lubo dostatniej, szlacheckiej zagrodzie. Na pozór przyszłość jego rysowała się jasno i wyraźnie. Syn uczciwego rolnika, mógł-by był otrzymać w spadku, wraz z rolą przez ojców uprawianą, obyczaje ich, uczucia i spokojny tryb życia. Bystrością pojęcia i rzutkością charakteru obdarzony, był-by, przy sprzyjających okolicznościach pod wielu zapewne względami prześcignął tych, co w ojczystych kątach poprzedzili go bezpośrednio; ale w latach jeszcze młodzieńczych, dziecięcych prawie, pusty jakiś wyskok studencki, ze spółtowarzyszami nauk podzielony, pchnął go wprost ze szkoły, której nie ukończył nawet całym, w strony odległe i obce. Pierwsze lata, w stronach tych przepędzone, spłynęły mu mozolnie, a jałowo, wśród szamotań się po miejscach różnych, wśród zajęć rozlicznych, niczém do siebie nieprzywiązujących, bo dorywczych. W porze tej niedostatek, osierocenie, niepewność jutra były pierwszymi bodźcami, które, pod wpływem samozachowawczego instynktu, wywołały z głębi młodzieńczej, niedokształconej istoty jego wszystko, co tylko było w niej sprytem, przebiegłością, giętkością i obłudą. Nauczył się wybadywać twarze ludzi, szperać w usposobieniach i w nawykniach, kłaniać się nisko, przybierać na si

bie, według potrzeby, postać pedanta lub wietrznika, dworaka, niewolnika, lub wyższość swą znającego i narzucającego władzcy.

Wszystko to dało mu w zysku wiele stosunków zjednanych, które zaprowadziły go wkrótce ku jakiemu takiemu życiowemu portowi, mającemu postać jednego ze znajdujących się w stolicy biur rządowych. Z dziesiątka lat, w ciągu których był urzędnikiem, Uldefon Porycki wyniósł, jako korzyść umysłową: poznanie dokładne wszystkich form i formułek prawnych.

Dokoła ścian kancelaryi, w której pracował na byt skromny bardzo i nieznan, wielka stolica szalała przepychami blasku, rozkoszami wszelakiego użycia, gonitwami za wysokiem znaczeniem i złotodajnym zyskiem, burzami i walkami najrozmaitszych społecznych pojęć i namiętności, teoryi i mrzonek. Obcy z razu otaczającym go żywiołom, im dłuższe upływały miesiące i lata, im bardziej w sercu jego gasły wspomnienia dzieciństwa, tém ściślej spajał się ze wszystkiem, co bezpośrednio wkoło niego istniało, tém więcej porывały go z sobą gorączkowe ruchy, gwary, gonitwy i pożądania tłumów. Jak wprzód obłuda, przebiegłość, giętkość karku i obrotność języka, tak teraz zrodziła się w nim żądza wyniesienia się, zysków, blasków, środków, dających użycie wszelakie. Z wrzających dokoła niego teoryi i mrzonek, z wywieszonych chogwi i wykrzykiwanych hasel wybrał i za swoje przy-

jął te, które najlepiej odpowiadały moralnej istocie jego, wykształconej tułactwem, w dzieciństwie jeszcze rozpoczętym, osieroceniem zawczesnym, biedą, pokorą zewnętrzną, i buntującą się przeciwie pychą wewnętrzną, złemi przykładami, gorączką umysłu, którego siły rozwijały się w podskokach bezładnych, po liniach krzywych.

Wkrótce przestał być urzędnikiem. Zabrakło mu cierpliwości do dłuższego zginania się pod jarzmem pracy, uczciwej, lecz ciężkiej i zmudnej; wszystko, co praca ta przyrzekać mogła w przyszłości, wydawało mu się zbyt drobnym, poziomym, szarym i odległym. Rzucił się w przedsiębiorstwa, rachunki, pożyczki, w kupowanie akcji, grę na giełdach i targach. Po drodze, o których opowiadał Elemu, nie były zmysleniem. Znał on, niby dom własny, wszystkie place targowe miast, na północy i południu państwa położonych. Różne strony zwiedzał w charakterze najrozmaitszym. Tu handlarzem był, owdzie fabrykantem, gdzieindziej dostarczycielem materiałów ku jakiejś publicznej potrzebie, tam znowu usłużnym pośrednikiem pomiędzy prawującymi się stronami, a owdzie jeszcze pełnomocnikiem wielkiego jakiego pana, albo agentem przemysłowej spółki jakiejś. W miejscach jednych mianował się jurystą, w innych przemysłowcem; tu w czarnym fraku i białych rękawiczkach wchodził na salony, błyszczące bogactwem i twornością, gdzieindziej przywdziewał kozuszek b-

i w palonych butach obchodził dokoła wozy i namioty wielkich jarmarków. Bogacił się i ubożał, zarabiał i trwonił. W życiu swém miał punkta ciemne, o których nikt, prócz niego samego, nie wiedział nic. Agentem Domu pośrednictwa został niedawno, w skutek protekcyi i żądania barona von R...., który znał go w stolicy i, za biurowych jeszcze czasów jego, zaliczał do grona swych pochlebców i dworaków.

Ogólnie rzecz określjając, był-to awanturnik, podszyty spekulantem, spekulant z zachciankami i zdolnościami oszusta, oszust z odcieniem krańcowego socyalisty.

.
Takim był człowiek, który, rozparty w ładnym powozie, unoszony czterema dzielnymi końmi, zbliżał się teraz ku Ręczyńskiemu pałacykowi, za którego białymi ścianami i szkarłatnym dachem, wznosiła się wysoka, długa, ciemna ściana sosnowych lasów, u którego stóp płynął w skalistój oprawie poważny, cichy, błękitny Niemen.

W Ręczyńskim pałacyku, w pokoju, który niegdyś, za bytności i gospodarowania tu pani Malwiny, miał pozór składu wszelakich drobiazgów, na tém samym nawet miejscu, na którém zwykła była siadywać matka Konrada, siedziała i teraz kobieta. O ile przecież terazniejszy przystrój pokoju różnił się od uprzedniego, o tyle nowa jego właścicielka niepodobną była do dawniej. Ściany pokoju tego okryte były obiciem

białym, usianém wielkimi bukietami z róż i zielonych liści; takąż materya, barwna i kwiecista, oblekała sprzęty zgrabne a lekkie; na etażerkach leżało kilkadziesiąt książeczek małych, z tytułami słynnych romansów na pozłocistych okładkach; u okien kwitły wazonowe rośliny. Głównym jednak, najwidoczniejszym i najwytworniejszym sprzętem była w pokoju tym gotowalnia kobieca, kształt prześlicznie rzeźbionej komódki mająca i dźwigająca na sobie ogromne lustro, szufladkami i podstawkami różnej wielkości otoczone. Na komódce i na umieszczonych powyżej podstawkach znajdowało się mnóstwo sprzączków, gracików i narzędzi toaletowych. Pokój ten cały, wraz z urządzeniem swém, tchnął miłą oku zgodnością i żywością barw, woniał lotnemi wyziewami perfum, śmiał się mnogością kwiecicia, rozrzuconego po ścianach i sprzętach.

Przedziwnie téż harmonijne, łagodne były linie, zakreślające kształty kibici i rysy twarzy siedzącej na kanapce kobiety. Kibić to była wysmukła, cienka w pasie, spadzista w ramionach, posiadająca w sobie coś polotnego i giętkiego, coś może słabowitego trochę, ale dziwnie delikatnego. Śród twarzy białej, otoczonej splotami włosów hebanowej czarności, paliło się pod powieką podłużnie wykrojona dwoje czarnych oczu, o wielkich źrenicach i błękitnych białkach, przypominających ogniste lazury południowe nieba. Usta młodej kobiety wydatne, lecz kształtu

i drobne, bladawe były i w krew ubogie; z-za przeczystej tkanki jój cery nie przebijał się także rumieniec najłżejszy. W twarzy téj prześlicznej, zarówno jak w kibici, panującą cechą była delikatność wytworna i widocznie słabowita, wdzięczna, pociągająca, lecz smętna, więc, obok zachwytu, budząca uczucie, do litości podobne.

Ubranie kobiety téj... o! ubranie to było rzeczą niesłychanie skomplikowaną, czémś nakształt mozaiki, ła migłówki, lub... wystawy sklepowej. A jednak rzecz ta, bła ha napozór, podrzędna, przyoblekała właścicielkę swą w charakterystykę bardzo odrębną i niepospolitą, rzucała na nią całą, pod względem tak zewnętrznym, jak wewnętrznym, światło szczególnie jasne. Suknia jój była biała, gładka, jednolita, za ozdobę i bogactwo całe mająca obfitość i powłóczystość fałd, ułożonych ze smakiem. Ale powyżej, od cienkiego stanu, opasanego wstęgą barwistą, aż do szczytu misternej i wysokiej budowy, ułożonej z włosów na głowie, znajdowała się moc wielka nagromadzonych tam przedmiotów. Od szyi do pasa spływały mnogie sznury bujnych, szkarłatnych koralów; pomiędzy niemi połyskiwał medalion złoty, przytwierdzony zapinką z tegoż medalu; długie, złote kolce spuszczały się od uszu młodej kobiety aż prawie na jój ramiona; we włosach tkwiły nad czołem szpilki, kształcie złotych gwiazd urobione; z tyłu głowy opaska z czarnej lawy przytrzymywała kolorowego

motyla, na ramionach śnieżnej białości, wyłaniających się z szerokich rękawów sukni, wiły się bransolety ze złota, lawy i koralu. Wszystko to świeciło, połyskiwało i, przy najlżejszém poruszeniu, uderzając o siebie, wydawało leciuchne, metaliczne brzęczenie. A jednak nagromadzenie to barw i błyskotek nie przywodziło na myśl, jak w podobnych razach zdarza się najczęściej, ducha parafiańszczyzny, nieumiejętnój, niezgrabnej próżnostki. Owszem, wszystko to było wytworne, harmonijne, dobrane i ułożone z przedziwną zręcznością. Łatwo w tém było dostrzedz nie próżnostkę ulotną, ale zamiętanie głębokie, nie słabostkę niedorzeczną, ale namiętność pochłaniającą, nie naśladownictwo niezgrabne, ale oryginalność gustu. Patrząc, jak popiersie to kobiece, delikatne i kształtne, pod ślizgającym się po niem wązkim promieniem słońca lśniło, migotało, drżało, całe w iskrach niby i błyskawicach, anibyś zdołał pomyśleć o śmiesznej parafiance, strojącej się w papuzie barwy i błyskotki. Na pamięć raczej przyjść-by ci mogła zalotna i królująca postać kobiety, do pierwotnego świata jakiegoś należącej, dziękiéj Indyanki może, w chwili, gdy wychylając się z pod przenośnego namiotu, staje wśród światła słonecznych, przyobleczona od stóp do głowy w barwiste wzory, w błyszczące i podzwaniające rzędy blaszek, na sznury nanizanych—jedynych podarunków, wziętych przez nią od sąsiedniej cywilizacji.

Takiem było, po siedmiu leciech, dziewczę owo, w czarną, surową suknią niegdyś przyodziewane, rękami modlące się z matką przed krucyfixem i trupią czaszką, a nocami czytające romanse, dziewczę, zamykane przed światem, a rwące się do świata całą siłą ognistą swą wyobraźni i przed czasem rozstrojonych nerwów. Taką była teraz Lila z Orchowskich Ręczykowa, siostra Mieczysława Orchowskiego, od czterech lat żona Konrada Ręczyca i pani domu tego, a od trzech lat matka ślicznej małej dzieciny, chowanej przez piastunkę i bonę na najwyższém piętrze pałacu.

Pomimo wesołego przybrania pokoju i błyskotliwości stroju, który ją okrywał, młoda kobieta nie wydawała się wcale wesołą. Siedziała na kanapce, w postawie niedbałej, z kibicią na przód nieco pochyłą, ramionami otaczając stojącą na kolanach jej szkatułkę znacznej wielkości, lecz lekką i bardzo ładną. Szkatułka była otwarta, Lila od chwili do chwili zanurzała w nią białą rękę i, wyjmując z kolei różne zapisane ćwiartki papieru, wstążeczki, zasuszone kwiatki, zatrzymywała na nich długie, zadumane spojrzenia.

Przed ośmiu mniej więcej laty przeglądała ona w ten sposób zbiór pamiątek matczynych; teraz były to własne jej wspomnienia, w przedmiotach napełniających szkatułkę upostaciowane. A jakże wiele, wiele już wspomnień tych napełniało owe lat kilka, które pozostawiła ona za sobą, wspomnień leciuchnych, jak

ćwiartki cieniutkiego papieru, drobniotkich i kru-
chych, jak zasuszone różane i niezapominajkowe list-
ki. We wspomnieniach tych przecież zakłeta mieściła
się historia całej jój przeszłości; przeglądała ją kar-
tka po kartce, wyczytywała z niej tryumfy swe nieu-
stanne, uniesienia ogniste a nietrwałe, zawody wiecz-
ne, tęsknoty i pragnienia, których dotąd nic nie uga-
siło.

A najprzód, z samego dna szkatułki wydobyte,
w palcach jój ukazały się ody, sonety, akrostychy, na
cześć jój układane przez Fabiana Łozowicza. On dał
jój uczuć słodycz tryumfów światowych, wtedy, gdy
zaczynała zaledwie marzyć o świecie, on pierwszy po-
czął składać jój hołdy, gdy czarna jeszcze okrywała
ją suknia.

Lila odczytała parę utworów tego romantycznego
a platonicznego wielbiciela, któremu uwielbienie ku
niej nie przeszkadzało uznawać „złotego serca” w go-
spodarnéj swéj żonie, ani kochać nad życie siedmiu
domowych aniołków, i — uśmiechnęła się przyjaźnie,
łagodnie. Lubiła pana Fabiana, tak jak ambitna kró-
lowa, której poddanych zawsze za mało, lubi najda-
wniejszego i najwierniejszego ze swych dworaków.

Potém ukazały się w rękach Lili dwa papierki ró-
żowe, podpisane splełtanym i misternym wielce mono-
gramem. Było-to coś ważniejszego już, niż ody i akro-
stychy pana Fabiana, były-to błagalne i ogniste pism-
pewnego młodzieńca, z którym po raz pierwszy zamie

niła słowo: *kocham!* Wtedy, po śmierci ojca, mieszkała z matką w żałobnej Białowoli, za jedyną towarzyszkę mając nudną, acz pobłażliwą, Francuzkę, *dame de compagnie*, za jedyną rozrywkę codzienne przechadzki po miasteczku Orchowie. Młodzieniec, piszący listy na różowych papierkach, mieszkał w miasteczku, gdzie piastował skromny bardzo urzędnik jakiś; miał on oczy nieśmiałe, lecz wcale ładne, drobny wąsik płowy, głos miękki i czuły. Spotykali się w miasteczku, przechadzali się razem po łąkach, zrywali kwiaty w polu, a raz, zszedłszy się wieczorem u brzegu stawu, pod białowolskimi płaczącymi brzożami, gdy *dame de compagnie* poszła do pokoju swego czytać książkę, powiedzieli sobie, że się kochają. Na nieszczęście, pani Leontyna, o której myśleli, że, jak zwykle, znajduje się zanurzona w modlitwie i samotnej melancholii, wyszła tym razem melancholią swą podzielić z pięknym wieczorem letnim, i szept dwojga młodych posłyszała. Zaszła wtedy pomiędzy matką i córką scena burzliwa. Pani Leontyna zawodziła skargi nowe na swą niedolę, a Lila płakała spazmatycznie i przysięgała namiętnie, że nikogo, prócz młodzieńca z misternym monogramem, kochać nie będzie.

W chwili przecież najgwałtowniejszej burzy zjechała do Białowoli pani Malwina. Uwiadomiona wszystkiem, zadecydowała, że Lili trzeba rozrywek, iczego więcej, tylko rozrywek, i prosiła panią Leon-

tynę, aby pozwoliła jój zabrać młode dziewczę do domu swego w N. Pani Leontyna zgodziła się na propozycją, oddając córkę pani Malwinie, dla dokończenia edukacji i poprawy charakteru.

Wtedy dla szesnastoletniej dziewczyny rozpoczęła się nowa era życia. Z ery téj Lila posiadała sporą garść pamiątek. Był tam kwiatek zasuszony, od metra muzyki, czarnowłosego Włocha, pochodzący. Lila przez kilka tygodni śniła i marzyła o pięknym Włochu, lecz gdy marzenia przechodzić zaczęły w ciche rozmowy, zamiany spojrzeń ognistych i pamiątkowych kwiatów, pani Malwina spostrzegła wszystko i cicho a zręcznie wzięła się do rzeczy. Włoch zniknął z domu, a Lila — po nowych, kilka dni trwających burzach, płaczach, przysięgach — z uśmiechem przyjęła z ręki jednego z młodych sąsiadów Orchowa pyszny bukiet, z którego jeden kwiat schowany i uschły kru-szył się teraz w jój dłoni. Z sąsiadem tym przecież historia była krótka. Pani Malwina, mająca w tém szczególny interes, aby wszystkie historye podobne szybko przerywać, uczyniła tak, iż herbowy i zamożny sąsiad, podobnie jak metr ubogi, zniknął z domu jój i więcej nie wrócił.

Natomiast Konrad Ręcyc coraz częściej bywać zaczął w domu swój matki. Dla Lili był on dotąd obojętnym zupełnie; gniewała się na niego nawet z cicha, że wprzódz się nie chciał do tryumfalnego jój wozu i, będąc z nią razem, więcej zda się myślał

o dzielności i rasie koni, świeżo na jarmarku nabytych, niż o piękności młodej swój kuzynki. Pewnego dnia jednak Konrad zbliżał się do niej częściej, niż zwykle, zatrzymywał na twarzy jej długie spojrzenia, ani razu nie wspomniał o koniach, a parę razy westchnął. Zmiana ta zaszła w nim po dłuższej, tajemnej rozmowie, którą miał z matką, a po której wyszedł markotny i zamyślony. Wieczorem dnia tego, pani Malwina, całując Lilę na dobranoc, rzekła do niej ze zwykłą sobie żywością ruchów i mowy :

— Figuruj sobie, moja duszo, że Konio zakochany w tobie *à la folie!* Jest to dla mnie prawdziwa siurpryza, bo byłam zawsze pewną, że chłopiec ten spokojny ma temperament i pasyi żadnych doświadczać nie może. Ale twoje oczy, kochaneczko, lody topić mogą!

Nazajutrz Flora Ręczycówna, siedząca z Lilą przy oknie, od niechcienia niby rzekła :

— Konrad smutny był wczoraj bardzo. Czemuż okazywałaś się dla niego tak obojętną, Lilo?

W téj samej chwili przed oknami mieszkania przechodził młody człowiek, o którym mówiono. Lila po raz piérwszy w życiu uważnie na kuzyna swego spojrziała i głośną uczyniła uwagę, że w szafirowej aksamitnej czapeczce bardzo mu jest do twarzy. Flora uwagę tę kuzynki wypowiedziała wchodzącemu bratu. Konrad objął śliczną dziewczę gorącym spojrzeniem

swych bezmyślnych trochę, lecz pięknych, błyszczących oczu, i zawołał z zapalem:

— Ja-bym, jak Boga kocham, żeby podobać się kuzynce Lili, nie tylko szafirową czapkę, ale osłe uszy na głowę włożył i chodził w nich po ulicy.

Oślich uszu jednak nie włożył i więcej nawet o nich nie mówił, bo mu siostra z wyrzutem powiedziała, że powinien był poetyczniej wyrazić się i zamiast tego brzydkiego szkolnego wyrażenia, wspomnieć raczej o koronie cierniowej; lecz aksamitnej czapeczki stale odtąd używał i odegrała ona w życiu Lili rolę wielką, bo była pierwszym zadziergnięciem węzła, który już potem w żwawej i zręcznej dłoni pani Malwiny przemienił się pomiędzy synem jej i posażną krewniaczką w węzeł małżeński.

Kilka tygodni przed ślubem i kilka miesięcy po ślubie, Lila kochała Konrada ogniście, głośno, z uniesieniem, z przysięgami, z przystępami spazmatycznego płaczu i szalonej zazdrości — kochała go, słowem, po swojemu — tak, jak niegdyś młodzieńca z misternym monogramem, Włocha z czarnemi oczyma, sąsiada z bukietem i kilku jeszcze ludzi innych... A potem... potem zjawiły się w szkatułce pamiątki nowe, mniej lub więcej cenne, parotygodniowe zapaly i parodniowe łyzy przypominające.

Tym razem młoda kobieta zamknąć już miała tajemniczą swą skarbnicę i powstać z kanapki, gdy, w pośród drobiazków napełniających szkatułkę, wy-

mknął się i na kolana jój upadł papier, kobiecém nakreślony pismem, dawny snadź, bo zółkły, zestarzały. Na widok *pamiętki* tój, Lila uśmiechnęła się z zadowoleniem.

— Kochana moja panna Julia! gdzież ona jest teraz? — szepnęła i stary, zółkły list roztworzyła.

Było to pismo przez byłą nauczycielkę Lili, pannę Julię Grejs, przesłane dawno, bo więcej niż przed sześciu laty. Lila przebiegła oczyma pierwsze wiersze listu, zawierające te wyrazy: „Droga Lilo! donoszę ci, że jestem szczęśliwą! Pozazdrość mi. Znalazłam swój ideał, znalazłam człowieka, którego obraz przedstawiały mi zawsze najpiękniejsze rojenia mój wyobraźni i — od wczoraj jestem jego narzeczoną. Narzeczony mój ma imię Ildelfons. Ildelfons! ach, imię to wymawiać trzeba, patrząc na gwiazdy lub kwiaty, słuchając szmeru wietrzyków i srebrnego strumienia! Cudne imię, nieprawdaż? Zażądasz może, abym ci opisała twarz, postać, całą słowem powierzchowność *jego*. Więc powiem ci: podobnym do niego musiał być *le jeune pauvre* naszego kochanego Feuillet'a; niekiedy przypomina mi on tóż Raula z *historyi Sybilli*, lub naszego nieszczęśliwego a sympatycznego pana de Camors. Mniejsza zresztą o to, jak on wygląda, ale gdybyś znała jego piękną, wielką duszę, jego umysł szeroki i silny, gdybyś słyszała, jak opowiada o swych nieszczęściach, walkach z losem!... Nie myśl jednak, proszę cię, abym była narzeczoną

nędzarza, człowieka nic niemającego i nic nieznaczącego. Przeciwnie, mój Ildefons posiada świetną pozycją i perspektywę świetniejszej jeszcze przyszłości... Jaką jest pozycja ta i na czém zasadza się perspektywa, nie umiem ci tego dokładnie wytłómaczyć, a zresztą, czyliż zajmować mię mogą tak błahe, prozaiczne szczegóły?... Bogatym być musi, bo do domu, w którym przebywam, przyjechał ślicznym powozem i, zdaje się, że w sąsiedztwie majątek ma kupować. Z kilku wielkimi panami zostaje w stosunkach najściślej-szej przyjaźni... Wszystko to jednak nic mię nie obchodzi. Ale oczy jego wymowne, dusza piękna, miłość jego dla mnie, mająca w sobie coś rycerskiego i t. d. i t. d.” W liście znajdowało się jeszcze kilkanaście wierszy, równie obficie, jak poprzedzające, w wykrzykniki zaopatrzonych, ale Lila nie czytała już daléj.

— Szczęśliwa Julia! — szepnęła; po chwili zaś dodała:—Jak-bym chciała wiedzieć, gdzie ona jest teraz? co robi? czy o mnie choć trochę pamięta? O! niezawodnie zapomnieć musiała. Wszak list ten był ostatnim, jaki miałam od niéj. Tak, przyjaźń, miłość, radość, szczęście, wszystko przemija, wszystko zawodzi na świecie.

Wyrzekłszy to w zamyśleniu głębokiém, powstała z wolna, postawiła na stole szkatułkę, a podnosiła nad głowę śliczne ramiona i ręce na czarnych krz. zując splotach, z oczyma szklisto w przestrzeń patrz.

cemi, wymówiła rozpaczne francuzkie przysłowie:
„*Tout passe, tout casse, tout lasse!*”

W głębi domu ozwały się akordy, na fortepianie wygrywane, a zarazem do pokoju weszła służąca z pekiem kluczy u pasa. Była to ta sama ładna i fertyczna Brygisia, która niegdyś w Orchowie usługiwała Lili i jej nauczycielce. Postarzała ona trochę przez czas ubiegły, spowaźniała, a na twarzy jej malowała się poufałość sługi dawniej, będącej powiernicą, nieledwie przyjaciółką swój pani.

— A! — zawołała, wchodząc — pani nie wyszła jeszcze do bawialnych pokojów? A tam goście od dawna już zjedli śniadanie i nudzą się bez pani.

Lila wzruszyła ramionami.

— Któż tam jest taki? — zapytała niedbale.

— A któż-by był? Ci sami, którzy zawsze prawie są w Ręczynie. Pan Paweł Szyłło z synowcem swym panem Klemensem, pan Łozowicz z synem, teorbanista ten, co z naszym panem na jarmark wczorajszy jeździł... więcéj niéma nikogo. Ale pan Apolinary Łozowicz, — po chwili milczenia, z filuternym uśmiechem dodała służąca — pan Apolinary przez cały ranek błąkał się po ogrodzie, jak Marek po piekle, i ciągle na okna tego pokoju spoglądał...

— Doprawdy? przeciągle wymówiła Lila.

Stała przed lustrem i czarne włosy swe zdobiła rzędem kryształowych, w złoto oprawnych, szpilek. Uśmiech lekki zaigrał na bladawych jej ustach.

Akordy fortepianowe dochodziły do uszu jęj coraz silniej, jak-by niecierpliwiej wygrywane.

— Poukładaj mi tu wszystko w szufladach, Brygisiu — rzekła Lila. — Pójdę już do salonu.

Zwróciła się ku drzwiom.

— Niech pani zaczeka jeszcze chwilkę — rzekła służąca — ja przyszedłam tu, aby zapytać się pani, co będzie z dzisiejszym obiadem. Posyłałam dziś do miasteczka po mięso, ale na kredyt nie dali...

— Moja Brygisiu! nie nudź-że mnie, proszę, tém gospodarstwem. Cóż ja na to poradzę? Wiiesz, że z takimi rzeczami udawać się trzeba do Konrada.

Wyrzekłszy to niechętnie i ze znudzeniem, opuściła pokój.

W dość obszernym, ładnym saloniku, siedział przy fortepianie dwudziesto-letni młody człowiek, szczupły, z bladą twarzą, ozdobioną małym czarnym wąsikiem, i z miną na-pół nadąsaną, na-pół melancholijną, wygrywał z wolna jakiś utwór muzyczny. Przy stole, umieszczonym przed kanapą, Fabian Łozowicz, z twarzą, jak dawniej rumianą i dobroduszną, pochylał się nad kawałkiem papieru, na którym rysował widoczek, przedstawiający jakąś chatę w lesie. U okna Paweł Szyłło, podnosząc zwisłe swe, posiwiałe już nieco wąsy, dopijał szklanki herbaty i dojadał porcy chleba z masłem. Naprzeciw niego stał I mens Szyłło i, patrząc przez szyby na dziedzi

gdzie widać było chodzącego tu i owdzie Konrada poziewał szeroko.

— Dyabelna nuda na wsi! — ozwał się po chwili starszy syn Augustyna Szyłły. — Nie rozumiem do-drawdy, dlaczego ojciec sam nie pojechał tu dopomi-nać się o swoje pieniądze, tylko mnie przysłał.

— Czy mówiłeś już z panem Konradem? — z cicha zapytał Paweł.

— Kiedyż miałem mówić? wczoraj był na jar-marku, a dziś późno jakoś wstałem...

— Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje — ze zwy-klą sobie, na trefnisiowstwo zakrawającą rubaszno-ścią — rzekł Paweł — ja rano wstałem i z panem Konradem mówiłem.

— I cóż? — ciekawie zapytał Klemens. — Pieniążki będą?

— Przyrzeka... — wymówił Paweł.

— Pi! obiecanka cacanka, a wiész komu radość — zaśmiał się Klemens.

— Fałszywie, Apolku! — z nad rysunku swego za-wołał do syna pan Fabian — b mol dwa razy i tryl na piątój górnej...

Apolek niecierpliwie rzucił się na krześle.

— Co mię tam ojciec poprawia, jak studenta, jakiego! Już ja wiem dobrze, dlaczego tak gram, a nie inaczej.

W tēj chwili otworzyły się drzwi, do dalszych pokojów prowadzące, i w progu stanęła Lila, opłynię-

ta malowniczymi fałdami sukni, połyskująca cała od paciorek, szpilek, kolców i bransolet. Dwudziestoletni Apolek poczerwieniał nagle, jak piwonia, i porwał się z krzesła; żwawo też, z rysunkiem swym w ręce, powstał pan Fabian; Klemens Szyłło poziewać przestał i, z galanterią wątpliwego smaku, w ukłonał cały, zbliżał się do posuwającej się z wolna ku towarzystwu pani domu. Uprzedził przecież wszystkich Paweł Szyłło, który, szybko otarłszy z ust resztkę masła i wiechcie wąsów założywszy za uszy, dwoma krokami długich nóg swych znalazł się obok Lili i wielką ręką swą po drobną, delikatną rączkę jej sięgnął.

— Pani nasza! — zawołał, schylając się i rączkę całując — dobrodziójko nasza królowo!

— Ciekawam, dlaczego nazywasz mię pan królową?—z powabnym uśmiechem i kłaniając się lekko wszystkim dokoła, zapytała Lila.

— Słusznie! słusznie! -- zawołał pan Fabian rozradowany. — Lilia jest królową kwiatów, a paninosisz jej imię.

— Słyszałam zawsze, że królową kwiatów jest róża.

— Zdetronizowaliśmy ją, a panowanie nad wszystkimi kwiatami tej ziemi oddaliśmy lilii,—rumieniąc się znowu i z iskrzącym wzrokiem, szepnął Apolek.

— Odziedzyczyłeś pan po ojcu swym zamiłowanie w kwiatach i poetycznych przenośniach—odpowied:

ła kobieta, topiąc w twarzy rozkochanego widocznie młodzieniaszka wymowne spojrzenie.

— Ja tam — zawołał Klemens — z pewnością daru do poezji po ojcu nie odziedziczyłem, a jednak, dalibóg, gdy-by mi dali kawałek papieru, to-bym może w téj chwili wiérsze jakie napisał.

— Spróbuj pan! no spróbuj! — z serdeczném rozradowaniem wykrzyknął Łozowicz, i posunął ku synowi ubogiego prawnika papier i ołówek.

Liła opuściła się zwolna na kanapę i usiadła tam w pozie ponętnej bardzo, malowniczej, z ramionami niedbale na piersi skrzyżowanemi.

— Pan Klemens — rzekła — ukaże nam później swe poetyczne talenta.

— Pani wié, że posiadam ich trochę — szepnęła młody Szyłło.—Pamięta pani tam na wzgórzu, pod sosnami... w przeszłym roku...

Zdawało się, że kobieta wyrazów tych nie dosłyszała.

— A teraz — ciągnęła — niech pan Apolinary kończy to *Nocturno*, które grał, gdym weszła. Jestto moja ulubiona kompozycya, a pan grasz ją tak pięknie!

— Jak pani rozkaże — zawołał uszczęśliwiony młodzieniec, i z pośpiechem usiadłszy przy fortepianie, rozpoczął na nowo minorowe akordy z *b moll* i smętne tryle na piątój górnej.

Pan Fabian pokazywał tymczasem Lili, wyrysowany przed chwilą, widoczek.

— Chciała-byś pani mieszkać w takiej chatce, wśród lasu, nad strumieniem?...

Kobieta z rozmarzeniem na rysunek patrzyła.

— Alboż ja wiem, czego chcę naprawdę?—szepnęła, głowę na piersi pochylając. — Chcę ciszy i gwaru, takiej chatki leśnej i pięknego pałacu miejskiego, szmeru strumyka i orkiestry balowej... chcę—dokończyła z nerwowym, niecierpliwym poruszeniem — chcę wszystkiego, czego nie mam, a nie chcę niczego z tego, co mam.

— Ani nas, którzy tu wkoło pani jesteśmy?—założnie zapytał pan Fabian.

Lila podała mu rękę.

— Pan wiész—rzekła z nieudaną serdecznością— że uważam pana za najlepszego przyjaciela mego.

— Będę nim do grobu! — z rycerskim zapalem i łzami rozrzewnienia w oczach, zawołał pięćdziesięcio-letni romantyk.

Apolek grać przestał; Klemens Szyłło przysunął się do rozmawiających.

— Dyabelna nuda na wsi! — rzekł — nie prawdaż pani? Może-by pan Łozowicz był łaskaw, dla rozweselenia nas tu wszystkich, zadekklamować cokolwiek.

— Nie umiem na pamięć żadnych rozweselających wierszy — z lekką urazą w głosie — odrzęzagadnięty.

— Niech pan zadeklamuje! — wymówiła Lila, opierając czoło na ręce.

Apolek, wzdychając, Klemens, uśmiechając się ironicznie nieco, Paweł Szyłło, wąsa kręcąc i w sposób żartobliwej zachęty na pana Fabiana mrugając, usiedli wkoło stołu w uważnych postawach. W téj samej chwili wsunął się do pokoju Hryhory Oroszczenko, w szarój świtce swój, z kosmykiem włosów, *oseledec* naśladowującym, a miarkując z fizyognomii obecnych, że się na coś uroczystego zanosi, po cichu przemknął przez pokój i usiadł w pobliżu leżącego na fortepianie teorbanu swego. Pan Fabian usunął się nieco z krzesłem od stołu, skrzyżował ręce na piersi, wyprostował się i swemi blade-błękitnymi, mrużącemi się, miodowemi oczyma patrząc, jak w tęczę, w twarz Lili, z nadzwyczajném wezbraniem zachwytu i melancholii zadeklamował:

O! jój życie piękne było,
Ach! takie piękne, jak ona!
W sercu jój z bólów korona,
A w jój twarzy szczęście lśniło!
I miała takie spojrzenia,
I tak anielskie uśmiechy,
Że....

— A, jak Boga kocham! już téż to jest rzecz nie do darowania, abyście państwo w tym dusznym pokoju siedzieli, kiedy pogoda taka piękna.

Słowa te, wymówione basowym, donośnym głosem we drzwiach otwierających się, przerwały panu Fabianowi deklamacyą na punkcie jój najpatetyczniejszym.

Był to Konrad, który wszedł do salonu ze szpicrutą w ręku, w spencerze myśliwskiego kroju, w butach zabłoconych.

— Nie dziwię się już Lili — mówił dalej — bo wiadomo, że baby lubią zamykać się w pudełkach; ale pan Fabian, pan Klemens i pan Apolinary zrobili-by, jak Boga kocham, daleko lepiej, gdyby poszli zobaczyć, jak tam mój Białonogi popisuje się na linie. Wiész co, Pawle! wiele koni miałem w życiu, ale takiego nigdy. Ognisty, jak sto dyabłów...

Mówił tak długo jeszcze, zamaszystym krokiem przechadzając się po pokoju i ślady swe znacząc na posadzce wilgocią, przyniesioną z łąki, na której codzienne harce swe odbywały ulubione jego rumaki. Wkoło stołu przed kanapą grobowe zapanowało milczenie. Lila niżej jeszcze głowę na dłoń pochyliła, a na ustach jój, lekko wydętych, malowała się niechęć i wzgarda. Pan Fabian i Apolek patrzyli na nią wzrokiem takim, jakim wierni spoglądają na święte męczennice; Klemens coraz ironiczniej uśmiechał się, Paweł dowodzeniom głośnym pana domu kiwaniem głowy przytakiwał. Nagle Oroszczenko, który na grupę tę spoglądał swemi filuternemi, południow i oczyma, pochwycił teorban, brzęknął po strur h

i szybkim *tempo* zawiódł swawolną jakąś pieśń ukraińską.

— Otóż to tak zwykle bywa u nas! — westchnęła z cicha Lila do pana Fabiana.

— O! pani, jak ja tę samotność duchową pani rozumie! — równie cicho odszepnął mąż pani Adeli. — Niezgoda myśli i uczuć... ziemia i niebo... materya i ideał...

Apolek spółczucie dla przedmiotu uwielbień swych objawiał tylko spójrzeniami, gniewem i wzgardą pałającymi, a w stronę pana domu ciskanemi; ale Klemens swobodniejszym był w wyrażeniu tego, co myślał. Pochylił się ku uchu Lili i rzekł bardzo cicho:

— Gdybym ja był na miejscu pani, wypędził-bym ztąd poprostu pana Konrada, za jego zabłocone buty i za to, że tak głośno krzyczy.

Lila, nie odpowiadając nic, uśmiechała się boleście i wzgardliwie zarazem, przyczém oczy jój stykały się często z rzucanemi na nią ognistemi spójrzeniami młodzieniaszka Apolka. Ukrainiec kończył piosenkę swą, z której Konrad śmiał się serdecznie, gdy przez drzwi przymknięte wyjrzała strojna głowa Brygisi, i rzuciła pomiędzy zebrane towarzystwo słowa:

— Goście jadą!

I wnet zniknęła.

Wszyscy, prócz Lili i Apolka, pobiegli do okien. Młodzieniec z czarnym wąsikiem tak wpatrzony był

w swe bóstwo, że wątpić należało, czy zwiastowaną wiadomość nawet usłyszał, a twarz pani domu, jakkolwiek sama nie poruszyła się z miejsca, błysnęła nagle i drgnęła ożywieniem.

— Ciekawam, kto-by to mógł być! — zawołała, podnosząc głowę.

— Natręt jakiś! — mruknął Apolek.

— Ładny koczyk! — ozwał się u okna Fabian Łozowicz.

— W dyszlu kasztany tegie, ale ten z prawej strony na orczyku z narowem, jak Boga kocham, z narowem, choć teraz nie znać tego — wykrzyknął Konrad.

— Uprząż co się nazywa, na koźle furman i lokaj — zauważył Oroszczenko.

— Ktoś z *szykiem*! — dokończył pan Klemens Szyłło.

— Mężczyzna, czy kobieta? — zapytała Lila.

— Mężczyzna! — chórem u okien odpowiedziano.

— Jakaś *figura*, panie! — rzekł Paweł. — Siedzi rozparty, jakby na stu koniach jechał! Ale fizyognomia nieznamoma i w okolicy niewidziana! Ktoś chyba z daleka.

— Janek! — krzyknął Konrad, przechodząc szybko salę jadalną i otwierając drzwi od przedpokoju — hej, Janek! wyjdź na spotkanie tego pana!

Kozaczek kredensowy, Janek, zbiegawszy wschodów głównego balkonu, w parę zaś mi-

zdyszany do bawialnego saloniku, niosąc w ręku kartę wizytową.

— Daj! — z najwyższą już i nieukrywaną ciekawością zawołała Lila.

Kozaczek kartę podał. Pani domu przeczytała głośno: Ildefons Porycki, agent główny Dómu pośrednictwa.

— Ildefons! — zawołała — dziwny zbieg okoliczności! dziś właśnie myślałam, a nawet czytałam o pewnej osobie, imię to noszącój.

— Porycki! — z zamyśleniem mówił pan domu. — Gdzie ja to słyszałem? Niech jego!.. przypomnieć sobie nie mogę...

— Słyszałeś pan pewno o Tadeuszu Poryckim — przypomniał pan Fabian. — Wielki to był człowiek, piękna dusza!... Musi to być krewny jaki!.. syn, wnuk może wielkiego męża tego...

— Wnuk wielkiego człowieka! — z iskrzącymi się oczyma powtórzyła Lila.

— Na Wołyniu są hrabiowie Poryccy — zauważył Oroszczenko — ja z Ukrainy, sąsiad tedy Wołynia. Wiem o Poryckich. Grafy to i pany całą gębą.

— Hrabia! — szepnęła Lila i dodała, patrząc na wizytową kartę: — Ildefons! piękne imię!

Tytuł, umieszczony na bilecie, niczyjój tu nie zwrócił uwagi. Imię za to i nazwisko gościa mnogie wywołało komentarze. Kozaczek ozwał się:

— Ten pan pyta się, czy państwo jego przyjmują.

— Proś! proś! — zawołał zgodnie chór głosów.

Porycki wszedł do pokoju, we fraku i jasnych rękawiczkach, z postawą wyprostowaną, z uśmiechem na ustach i kapeluszem w ręku. Z-za szkieł szafirowych orzucił szybkim spójrzeniem pokój i znajdujące się w nim osoby, a nie trudno mu było odgadnąć, że atmosfera miejsca tego była mu ze wszech miar przyjazną. Salonik modnie i błyszcząco przybrany, to grono mężczyzn różnego wieku, bezczynnie zgromadzone dokoła młodej kobiety wystrojonej i ze skrzyżowanymi rękoma na kanapie siedzącej, przedstawiało z tém wszystkiém, co uderzyło go przedtém w Orchowie, sprzeczność najzupełniejszą.

— Zapewne gospodarza domu tego mam przyjemność witać? — rzekł do Konrada, postępującego ku niemu ze zmieszaniem, zwyczajnóm ludziom, niecelującym towarzyską wprawą i oglądą, a niemy ukłon jego za twierdzącą biorąc odpowiedź, mówił dalej:

— Raccie państwo przebaczyć, że tak bez ceremonii dom ich najeżdżam. Jestem w stronach tych obcy, nieznanym, podróżnym... Przejeżdżając, ujrzałem ten pałac piękny, tę oazę wśród pustyni stron tutejszych, i oprzec się nie mogłem chęci zabrania znajomości z jój mieszkańcami.

Słowa te z ust jego wyszły płynnie, dźwięcznie, gładko i słodko.

— O, proszę pana! nam bardzo... bardzo... miło... przyjemnie!... — bąkał Konrad.

— Postawa wspaniała... fizygnomia rozumu pełna!... — szepnął do Lili pan Fabian.

— Dystyngowany jakiś człowiek! — odszepnęła młoda kobieta.

Konrad, po pierwszej chwili zakłopotania, zdobył się na przytomność umysłu.

— Moja żona! — rzekł, prowadząc gościa ku kanapie.

Lila podniosła się lekko. Promień słońca zaiskrzył się w kryształowych szpilkach, zdobiących nakształt kerony krucze jej włosy. Gdy poruszeniem, pełnym wdzięku, uprzejmym, a jednak dumnym, skłaniała przed gościem głowę, nagły rumieniec ożywił błądź jej twarzy i powolną, przezroczytą falą, podniósł się na czoło. Porycki oddał ukłón głąboki, i na twarzy młodej kobiety zatrzymał spójrzenie długie, niepostrzeżone przez nikogo, prócz tej, dla której w hołdzie złożónym było.

Usiedli znowu wszyscy dokoła stołu przed kanapą, Łozowicz pierwszy do nowego gościa przemówił :

— Pan dobrodziej z dalekich stron do nas przybywa?

— Nie wiem prawdziwie, jak mam panu na py-

tanie jego odpowiedzieć — z uprzejmą swobodą odrzekł gość. — Przybywam ze stron różnych, albowiem w roku bieżącym odbywałem kilka z rzędu dalekich podróży.

— Kilka dalekich podróży w jednym roku!... — bąknął nieśmiało gospodarz domu, który czuł, że mówić mu coś wypadało.

— Tak, panie — skłaniając lekko głowę, odparł Porycki. — Panowie, jako właściciele dóbr ziemskich, przywykliście do spokojnego życia, do jednostajnych widoków i zajęć. Nie takim jest los nas, przemysłowców, którzy żyjemy o własnych siłach, i fortuny sami po świecie szukać sobie musimy. Jestem przemysłowcem; dom mój, to świat szeroki, a drogi, śród świata tego krzyżujące się, to rola, na której żnę i zasiewam. Dziś tu, jutro tam, po jutrze gdzieindziej jeszcze, byle użytecznym stać się sobie i drugim, byle celów swych dościgać i idee swe popierać... oto exystencya, nieznana panom, ale, wierzajcie mi, panowie, niepozbaniona powabu i przyjemności.

— I owszem — ozwała się dotąd milcząca pani domu — zdaje mi się, że taka tylko exystencya, pełna zmian, wrażeń i rozmaitości, prawdziwie powabną i przyjemną być może.

— Zależy to od gustu, niemniej przecie uszczęśliwionym się czuję, że pani bez niechęci i wzdargy zapatrujesz się na stan i zajęcia takich, jak ja, włóczęgów, którzy, nie mając szczęścia odziedziczyć po

przodkach dóbr ziemskich, albo (tu Porycki głos swój zniżył nieco) dobra te bez własnej winy utraciwszy....

— A już to pan dobrodziej pewno do drugiej kategorii należysz—przerwał mówiącemu Paweł Szyłło. — Tylko co właśnie przyjaciel mój, Hryhory Oroszczenko, dziwy opowiadał mi na ucho o bogactwie i wielkości dostojnej familii hrabiów Poryckich.

— Z Ukrainy jestem — rubasznie ozwał się Oroszczenko. — Poryckich znałem i widywałem. Grafy i pany...

Porycki słów tych słuchał w milczeniu, ze spuszczonej powiekami i niedbałym uśmiechem na ustach.

— Pan dobrodziej zapewne krewnym jesteś naszego wielkiego Tadeusza? — zagadnął nareszcie Łozowicz.

— Tak, tak — jakby z niechęcią i ociąganiem się odpowiedział gość — jest pokrewieństwo niejaki... mój dziad i hrabiego Tadeusza ojciec byli...

— Rodzeni bracia?—z uszczęśliwieniem na twarzy dokończył pan Fabian—a więc pokrewieństwo bardzo blizkie.

Powstał z krzesła i rękę ku gościowi wyciągnął.

— Pozwól pan, abym uścisnął dłoń tak blizkiego swego jednego z wielkich mężów naszych...

Przykład był danym: Konrad, Paweł Szyłło, Oro-

szczenko, a potem i Klemens, wszyscy zatem, z wyjątkiem Apolka, który w kątku, za poręczą kanapy, ale najbliżej Lili siedział, przystępowali ku Poryckiemu i ręce mu podawali. On powstał żywo, kłaniał się na wsze strony i, z rodzajem skromnego zakłopotania, mówił:

— Dziękuję... pokornie dziękuję... prawdziwie, zawstydzacie mnie panowie... nie zasłużyłem...

W oczach Łozowicza kręciła się już łaza; na białą twarz Lili, która nieruchomo przypatrywała się tej scenie, wybił się lekki rumieniec ożywienia. Było to coś niezwykłego, a wszelka niezwykłość wywieraa na umysł jój wpływ szybki i wzruszający. Ale i w żyłach Konrada płynęła krew, nie woda. I w nim wszelkie sceny niezwykłe, a zbiorowe, animusz budziły. Pozbył się dotychczasowego zakłopotania swego i raźnie zawołał:

— Ależ to, jak Boga kocham, pan hrabią jesteś! Dlaczego pan tytułu tego na bilecie swoim nie wydrukowałeś? Ja, żebym był hrabią, to-bym sto razy, nie raz, wydrukować kazał, bo choć to głupstwo, ale...

— Skromność, chwalebna skromność Pana Poryckiego Dobrodzieja! — ozwał się Paweł Szyłło.

— Nie, panie — zaprzeczył gość — nie skromność wzbrania mi używać tytułu tego, ale przek. nie moje, idee nowożytne, które równają stany w

kie, zacierają do szczytu średniowieczne błyskotki i przywileje...

— Najpiękniejszym szlacheństwem jest szlachectwo duszy — patetycznie wyrzekł pan Fabian.

Porycki skłonił mu się głęboko.

— Prawdziwie uszczęśliwiony jestem, widząc, że postępowe idee i tu już zawitały, a w panach stronników i wyznawców mają. My, przemysłowcy, nieprzykuci do jednego kawałka ziemi, idee te czerpiemy z szerokiego świata i rozwozimy je po drogach, na które rzucają nas praca i los.

Ile razy Porycki w rozmowie swój wymówił: „ja przemysłowiec, my przemysłowcy”, tyle razy Lila ze zdwojoną ciekawością oczy na twarz jego podnosiła. Zawód, wyrazem tym określony, był jój z imienia tylko i bardzo mglisto znanym, ludzi, zawodowi temu oddających się, nie widywała nigdy w swém życiu. Była to więc nowość, a nowość jakakolwiek, przez to samo tylko, że była nowością, miała moc wstrząsania znudzonym, mnóstwa rzeczy nieświadomym umysłem jój i nerwami, wrażeń spragnionemi.

— W jakich krajach podróżowałeś pan? — zapytała gospodyni domu.

Porycki opowiadać zaczął o licznych swych podróżach. Pomimo językowych usterków, których dopuszczał się dość często, i na które zresztą nikt tu szczególniej nie zwracał uwagi, mówił on płynnie bardzo, używać umiał wyrażen wytwornych, a niekiedy

dowcipnych, w ożywiony i malowniczy sposób opisywał strony, które w różnych okolicznościach awanturniczego życia swego wszedł i wzdłuż zwiadał. Pobieżnie i najkrócej opowiadał o Niemcach, przyczem dość zręcznie żartował z Niemek, robiących wiecznie pończochy i ubierających się bez smaku, tak wysoko ukształconego w *naszych paniach*, (tu skłonił głowę przed Lilą), a także nie omieszkął rzucić kilku słów szyderczych i niechętnych o zaborczym duchu germańskiego plemienia, o nieprzyjaźni, które ono żywi względem Słowian i t. d. Nierównie jednak dłużej zatrzymał się na krajach mniej ogólnie znanych, odznaczających się wyraźniejszém piętnem oryginalności rasy i urzędzeń. Opowiadał chwilę o żyznych i szerokich równinach Besarabii, zachwycał się skalistą przyrodą Kaukazu i niezrównaną pięknnością Czerkiesek, wspomniął nawiasowo o olbrzymich lasach i dzikich wąwozach Wołoszczyzny, zatrzymał się chwilę nad modrym Dunajem, wjechał do Węgier, gdzie spotkał się z Kossutem, z wypadkami 1848 roku, z Honwedami, Słowakami, z czardaszem i malowniczym strojem czarnookich Węgierek.

Towarzystwo, zebrane wkoło stołu, słuchało go z wyteżoną uwagą i niezmierném zaciekawieniem, od czasu do czasu tylko wydając głośnie wykrzykniki, lub ciche bardzo czyniąc komentarze.

— Ach! jak tam pięknie być musi! jakie kawe! jak-bym ja tam być pragnęła! — wo

chwila gospodyni domu, której oczy rzucały błyskawice na twarz opowiadającego.

Dalekość, osobliwość, miały dla niej powab romantyczny, a nieprzewyciężony. Jak wszystkim tym, których życie puste jest i jałowe, których sercu nie dostaje uczuć gruntownych, oczom celu trwałego, głowie woli mocnej, zdawało się jej, że wszystkie miejsca świata piękne są, czarujące, szczęścia i świetności pełne, prócz tych, które znała już sama, wśród których przebywała. Po wielu latach upłynionych, córka pani Leontyny była jeszcze pod pewnemi względami takim samym dzieckiem, jak wtedy, gdy, czytając o wyjeździe przyjaciółki na Wołyń, wołała: — „o jak-bym ja tam chętnie pojechała! to tak daleko!”

— Jaka elokwencya, panie! hoho! — szepnął na ucho panu Fabianowi Paweł Szyłło.

— A jakie wykształcenie! jaka erudycya! — odszepnął Łozowicz.

— Znać zaraz pana z panów— mruknął pod wąsem Oroszczenko.

— Ildefons złotousty! — ze zjadliwym przekąsem szepnął do Lili, nierad wymownemu gościowi, młodziutki Apolek.

— Proszę bardzo nie żartować z imienia tego! — zmarszczkami na czole i równie cicho odpowiedziała młoda kobieta.—Prześlizne imię!

— Szczęśliwy — westchnął muzykalny potomek pana Fabiana.

Jeden tylko Klemens Szyłło nie mówił nic, a nawet i opowiadań gościa z mniejszą, niż inni, słuchał uwagą. Obracał za to w rękę bilet wizytowy Poryckiego i wlepił oczy w wydrukowany na nim tytuł. Raz tylko schylił się do ucha ciotecznego brata i rzekł:

— Noszony to ptaszek, ten jegomość! Spekulant i stosunki widać ma... Będę go prosił, żeby mi powierzył jakie interesa.

W chwili najbardziej zajmującego opowiadania gościa, z-za drzwi przymkniętych dał się słyszeć brzęk kluczy i wyjrzała głowa Brygisi.

— Panie! proszę pana! — półgłosem zawołała służąca, na pana domu patrząc.

* * *

Konrad wstał i z cicha, nieznacznie, aby rozmów toczących się nie przerywać, wysunął się z pokoju.

Po chwili, w przeciwną stronę domu, tam, gdzie były pokoje służących, garderoba i spiżarnia, toczyły się rozprawy zwawsze jeszcze i innego wcale rodzaju, niż te, które brzmiały w salonie śmiechem i nodnieszionymi głosami. Brygisia, stojąc na środku deroby, łamała ręce ze zniechęceniem, blizkiem

paczy; przy drzwiach, nad stosem rzuconych na ziemię rondli, stał kucharz z miną na-pół zakłopotaną, na-pół szyderską; po pokoju zaś szerokimi krokami chodził pan domu.

— Nie dają? — zawołał po raz dziesiąty już. — Nie dają? gałgany! głupcy! Ja ich nauczę! ja im pokazę!

— Ale tymczasem, zanim pan ich nauczy, obiadu nie będzie — zawołała zarumieniona od zgryzoty i gniewu klucznica. — Ani mięsa! ani jaj! ani wina! codzienny jaki taki obiad można-by jeszcze skleić, ale tu dziś gość jakiś przyjechał... przyjąć go byle czém nie można...

— Nie można! — powtórzył Konrad — ale co robić? Czy pytałaś się, Brygisiu, pani, co robić?

— Pani mówiła, żeby panu powiedzieć.

Konrad schwycił się rękoma za głowę.

Nagle, jakby mu myśl zbawcza do głowy przyszła, zawołał do kucharza:

— Idź po Efroima! a żywo!

— Wiedziałam, że na tém się skończy — mruknęła Brygisia, ze stukiem otwierając na-pół pustą spiżarnianą szafę — nie piérwszy to raz i nie dziesiąty, Efroim sprowadzi nam z miasteczka wszystko, czego potrzeba. Coby to było, gdyby tego żyda tu zabrakło?

Kilka minut nie upłynęło, a wysoki, barczysty Efroim stanął w garderobie przed obliczem dziedzica

i oddał mu, zwykły sobie, szybki, a niski ukłon. W kwadrans potem kilku posłańców konnych rozleciało się ze dworu w kierunku sąsiedniego miasteczka i wsi pobliskich.

Zakulisowe te troski i tarapaty, znacznie dnia tego opóźniły obiad w Ręczynie. Słońce zachodziło, a w sali jadalnej nie objawiał się ruch żaden. Lila, jakkolwiek gospodarstwu domowemu najzupełniej obca, znała zbyt dobrze zwyczaje najprostszój gościnności, aby jój ta uparcie trwająca zwłoka razić i zawstydząć nie miała. Po kilka razy wysyłała z cicha Klemensa, Apolka i Oroszczenkę, z rozkazami do Brygisi i innych służących o jak najprędsze podanie obiadu. Podjął się nakoniec misyi téj Fabian Kozowicz, a gdy wrócił, Lila, ściskając mu nieznacznie dłoń na podziękowanie, szepnęła:

— Widzi pan, jakie jest życie moje! nie mogę nawet gości swych, jak należy, przyjąć!

Przy tych słowach wzrok jój, z wyrazem niechęci i rozgniewania, spoczął na twarzy męża, który, od zajścia owego w garderobie, zmarkotniał znacznie i, siedząc na stronie, a do rozmowy nie mieszając się, w myślach przykrych zatonął. W poruszeniach Lili, w rumieńcach, które ognisto wybiły się na jój twarz, znać było gniew, niecierpliwość, zmieszanie; ukrywała jednak starannie uczucia te i, pragnąc ożywioną rozmową pokryć i zrównoważyć niejako niedostatki przyjęcia, mówiła wiele, a zwracała się wciąż do go-

ścia, który uradowanym, wesołym, oczarowanym wydawał się, lub może i był istotnie. Gdy nareszcie o zmroku już oznajmiono podany obiad, Porycki, z gestem pełnym galanteryi zręcznej i bez zarzutu, podał ramię gospodyni domu, a prowadząc ją przez obszerne i liczne pokoje, rzekł z odcieniem powstrzymanego uniesienia w głosie:

— Zdumiony jestem i uszczęśliwiony prawdziwie tém, że, podróżując w suchych, a po części i przykrych interesach, przepędzam tu chwile, które do najprzyjemniejszych w życiu swém zaliczyć mogę.

— Niech pan będzie pewny — z półuśmiechem odparła kobieta — że w naszym samotnym i nudnym życiu, dzień, podobny dzisiejszemu, zdarza się bardzo rzadko.

— Pragnął-bym w to wierzyć — szepnął gość.

Blask wielkiej lampy, zwieszonj od sufitu, oblał kibić i głowę Lili, gdy, opuściwszy ramię przewodnika swego, stanęła przy swém krześle. Oczy jój płonęły i jaśniały, jak dwa czarne dyamenty; bladoróżowe, delikatne rumieńce podnosiły białość twarzy, rzucając na nią zarazem odblask gorejącego życia. Głowa i popiersie jój, od błysku i migotań strojących ją klejnotów, wydawały się osypane iskrami, a mnogie rzędy szkarłatnych koralu kołysały się na jój pierścu oruszanj przyśpieszonym oddechem.

Ale i Porycki wyglądał teraz nieco inaczej w hotelowym pokoju, gdy naradzał się z Eliną

w surowej orchowskiej komnacie, gdy myślą i słowami toczył z Mieczysławem głuchą, zjadliwą walkę. Nie był on młodym i na pierwszy zaraz rzut oka można było dać mu lat najmniej czterdzieści; ale musiał być niegdyś bardzo pięknym mężczyzną, a i teraz, ze względu tylko na kształty postaci i rysy twarzy, był jeszcze takim. W tej chwili sztywność jego zwykła, przypominająca mocno wyprostowanego w służbowej mundurze urzędnika, zniknęła; żółtawość cery zmniejszyła się, wysokie i pięknie zarysowane czoło przyoblokło się wyrazem żywo rozbudzonej inteligencji, i podnosiło się z dumą, na pozór szlachetności pełną. W nim także, pod wpływem tajemnej myśli, z jaką tu przybył, a może i niespodzianie doznanych wrażeń innej natury, poruszyły się i pełnym życiem drgnęły wszystkie struny humoru, dowcipu, zřeczności i wymowy, zawartęj w dźwiękach głosu, lub spójrzeniu oczu.

Po obiedzie, bardzo długo trwającym, bo sporządzonym na prędce, więc nieporządnie podawanym, towarzystwo przeszło znowu do salonu. Tym razem Klemens Szyłło nastřeczył przedmiot do rozmowy.

— Proszę pana — rzekł, zwracając się do gościa — niech pan będzie łaskaw oświeci nas dokładnie i szczegółowo o tym *Domu pośrednictwa*, którego, jak z biletu pańskiego widać, jesteś pan głównym tem. My tu coś wiemy o tém, ale bardzo mało.

— Z największą przyjemnością uczynię zadość życzeniom pana — odrzekł Porycki.

I z postawą pełną powagi, lecz z uprzejmym uśmiechem na twarzy, począł opowiadać, jak, dlaczego i przez kogo założoném zostało stowarzyszenie, któremu służył i którego był członkiem. Powtórzył tu po wielokroć wyraz: idea, mówił o ekonomii politycznej, o korzyściach, jakie przynosi krajowi częste przechodzenie ziemi z rąk do rąk, o potrzebie pchnięcia szlacheckiego stanu na nowe tory, o kapitałach martwych i czynnych, o różnych skalach procentów i t. d.

— Co za erudycya! — uprzednie zdanie swe powtórzył Kozowicz, który jednak całej mowy gościa, na-pół ją tylko rozumiejąc, markotnie trochę słuchał.

Konrad wysilał się téż widocznie, aby dobrze zrozumieć, o co chodziło, i jedną snadź tylko rzecz pojął dokładnie, bo ozwał się z rodzajem smutku:

— Wszystko to prawda, co pan mówi, ale wyrzekać się swego majątku, to, jak Boga kocham, rzecz niewesoła.

— Można mieć inny, piękniejszy, — rzucił niedbale agent.

I ciągnął dalej rozprawę swą, której wszyscy obecni słuchali z oczyma, w twarz jego wlepionemi. Apok nawet, zły i zgryziony przez dzień cały, począł, ichając, myśleć nad czémś głęboko i pokręcać dro-

bnego wąsa tak, jakby błysnęła mu nagle nadzieja dni lepszych. Jedna tylko Lila słuchała z roztargnieniem, ze znudzeniem widoczném. Przedmiot rozmowy nie obchodził jój widać ani trochę, nie rozumiała go i rozumieć nie usiłowała. Ziewnęła skrycie parę razy, co spostrzegł Fabian Łozowicz, który często na nią spoglądał i, korzystając z przerwy, zaszłój w rozmowie, głosem pokornym i błagalnym poprosił, aby raczyła zaśpiewać. Po pewném, dość krótkim zresztą ociąganiu się, Lila usiadła przed fortepianem i, po wzięciu kilku przedwstępnych, bardzo minorowych akordów, zaśpiewała pieśń melancholii pełną. Głos jój nie posiadał skali rozległej, ale czysty był, miły, dobrze ukształcony i wyrobiony. Przy pierwszych zaraz tonach instrumentu, młodzietki Apolek umieścił się w kątku naprzeciw grającej i oczu z niój nie spuszczał; Łozowicz, rozmawiający z Konradem i Pawłem, wpadać począł w roztargnienia ciągłe; ale Porycki, którego Klemens z nadzwyczajnym zajęciem o *Dom pośrednictwa* wciąż się rozpytywał, wstał z krzesła i powoli, z uśmiechem, zbliżył się do fortepianu. Z razu stał chwilę za krzesłem Lili, potem jednak usiadł na stojącym tuż obok taburecie, i dopóki śpiewu nie skończyła, siedział nieruchomo, z czołem na dłoni opartém.

— Dlaczego śpiewasz pani tak smutnie? — rzekł z cicha, gdy Lila, melancholijną pieśń swą odś

wawszy, roztargnionemi palcami po klawiszach prze-
bierać zaczęła.

— Alboż świat ten jest wesołym? — zaśmiała się
kobieta.

Ale, gdy z ust jój srebrny śmiech wybiegał, pierś
podniosła się westchnieniem i czarne oko zaświeciło
boleśnie, prawie posępnie.

— Dla pani świat rajem być powinien.

— Dlaczego?

— Chociaż-by przez wdzięczność—uśmiechnął się
Porycki — przez wdzięczność za to, że jesteś pani je-
dną z najcudowniejszych ozdób jego.

Lila silniej w klawisze uderzyła.

— Świat nie może dać tego, czego sam nie po-
siada.

— Czegóż on nie posiada?

— Szczęścia.

— Śmiem pani zaprzeczyć. Szczęście istnieje na
ziemi, ale zdobyć je trzeba...

Lila, jakby sobie o czémś przypomniała nagle,
dłoń od klawiszy oderwała i do czoła ją poniosła.

— O! tak — westchnęła — są na ziemi ludzie
szczęśliwi. Wiem nawet o kobiecie jednej, która jest
bardzo szczęśliwą, bo znalazła swój ideał! Była to
moja nauczycielka i serdeczna przyjaciółka. Ale,
ach! przypominam sobie... pan ją znasz może... wszak
mówiłeś pan, że rodzinną stroną jego jest Wołyń...

Moja przyjaciółka przed siedmiu laty wyjechała na Wołyń i tam prawdopodobnie za mąż poszła.

— Jak nazywa się przyjaciółka pani?

— Imię jój Julia, a nazwisko było Grejs, ale je zmieniła zapewne.

Gdy Lila wymawiała te wyrazy, ręka, na której gość czoło swe opierał, nagle wdół opadła, a oczy jego, za szafirowemi szklami, zamigotały ostro i niespokojnie. Przez chwilę milczał. Ciemny jakiś, szybki, a jednak głęboki namysł, schmurzył mu czoło.

— Julia Grejs! — wymówił nakoniec — nie znam nigdy osoby z tém nazwiskiem.

— Szkoda! powiedział-by mi pan co o niej. Tak, pragnęła-bym wiedzieć, czy spełniły się jój marzenia, czy w człowieku, którego kochała, znalazła rzeczywiście ideał upragniony!

— Któż to był ten człowiek? jak się nazywał? może go znałem kiedy?

Pytania te rzucone były śpiesznie, jakby w nieładzie cisnęły się na usta mówiącego. Oczy jego błysnęły parę razy, w sposób niepokoju dowodzący.

— O, mój Boże! — westchnęła Lila — w tém bięda właśnie, że nie wiem zupełnie, kto był owym ukochanym mojej drogićj Julii.

— Jakto! nie znasz pani, ani imienia, ani nazwiska męża swój przyjaciółki?

— Nie wiem nawet, czy został on jój mężem. Wśród pośpiechu i wzruszenia, z jakimi list do n

pisala, zapomniała donieść mi o nazwisku swego narzeczonego... wiem tylko, że imię ma on... takie jak pan... Idefons! Julia kochała go bardzo, każdy wyraz jój o nim objawiał najgorętsze, prawdziwie idealne uczucie!

Porycki patrzył w ziemię. Trochę bolesny, trochę szyderczy uśmiech przewinał mu się po milczących ustach. Lila mówiła dalej:

— Siedm lat z górą upłynęło od owego listu, pełnego uniesień, szczęścia, poezyi! Odtąd przestałyśmy pisywać do siebie... ja nie wiedziałam nowego jój adresu, ona zaś... zapomniała widać o mnie...

Westchnęła. Gość podniósł na nią spójrzenie długie i badawcze.

— Przebacz pani, że jój zaprzeczę — rzekł. — Przyjaciółka pani nie mogła o niej zapomnieć!

— A jednak... — przerwała Lila.

— Nie mogła — powtórzył Porycki — bo ktokolwiek miał szczęście, raz choć-by, ujrzeć panią, przed tego pamięcią obraz pani wiecznie stać musi.

Lila zaśmiała się z cicha i znowu lekko w klawiszę uderzyła.

— O! — rzekła — zapewne to z szerokiego świata tego, na którym przebywasz pan zwykle, przywiozłeś do naszego zakątka wszystkie te piękne słowa!

— Nie pani — z mocą odparł gość — słowa swo-
czerpię zazwyczaj wprost z serca i z myśli, a z sze-

rokiego świata, o którym pani mówisz, wywozę nie dźwięki, lecz idee.

— Jakież są to idee?

— O jednej z nich miałem zaszczyt rozmawiać przed chwilą z panią.

— Nie przypominam sobie. Jakże się idea ta nazywa?

Porycki głęboko spójrzył w zwróconą ku sobie twarz młodej kobiety i z wolna wyrzekł:

— Nazywa się ona — szczęście!

W tej chwili za rozmawiającą parą ozwał się głos pana Fabiana.

— Słyszę, iż państwo rozmawiacie o szczęściu. Bajka to stara, jak ludzkość, i na zawsze pozostanie bajką. Ziemia nasza jest padołem smutku i płaczu, a jak powiedział poeta: „tyle życia, co jest w pieśni, tyle szczęścia, co człek prześni”.

— Przepraszam pana — rzekł Porycki z podniesioną głową i lekkim uśmiechem na ustach — ja nie o senném, ani o śpiewającym szczęściu mówiłem. Jest na ziemi szczęście istotne, realne, pełne życia, krwi i ognia...

— Gdzież je znaleźć można? — chórem wykrzyknęli Łozowicz, Konrad, Apolek i Klemens, wkoło fortepianu zgrupowani.

— Zdobyć je trzeba! — z mocą i pewnością siebie rzekł gość.

— Rozumiem myśl pańską — zawołał pan

bian — szlachetna, poetyczna myśl! Jedyném szczęściem na ziemi jest to, które zdobywamy sobie poświęceniem, zaparciem się, dobrymi uczynkami...

Po ustach Poryckiego przeleciał szyderski, szybki, jak błyskawica, uśmiech. Oczy jego tkwiły nieustannie w twarzy Lili, schyłonéj nieco, rozpromienionéj i zarazem zadumanéj.

— Nie o takich orężach — zaczął — mówi nam nowożytna idea, nauczająca sztuki zdobywania szczęścia. Ażeby być szczęśliwym, potrzeba przedewszystkiem być wolnym. Być wolnym nie można inaczej, jak otrząsnąwszy się z kajdan, które nakładają na nas przestarzałe pojęcia, przesady, próżne skrupuły średniowiecznéj kazuistyki. Jesteśmy po większéj części dorosłemi, lub starymi dziećmi, co to, pragnąc dostać się do zaczarowanego pałacu, lękają się strachów, które na straży jego postawiono, a które noszą najrozmaitsze imiona: porządku społecznego, tradycyi, opinii i t. d. Jeżeli ktokolwiek ma dosyć dojrzałości umysłu, aby wiedzieć dobrze, czego pragnie i czego mu potrzeba do szczęścia, dosyć mocy, aby zerwać kajdany swe, dosyć odwagi, aby śmiało spojrzeć w oczy wszelkiego rodzaju strachom i nie zleknąć się ich, ten dojdzie z pewnością do celu swego, ten zdobędzie szczęście!

Mowy téj wszyscy, prócz Lili, która pochylała wciąż zadumaną swą głowę, słuchali z oczyma szeroko otwartemi i w twarz gościa, jak w tęczę, wlepionemi.

— Pil jaki filozof — szepnął panu Fabianowi Paweł Szyłło.

Ale pan Fabian markotnie jakoś słuchał wygłaszaną teorię.

— Jednakże—ozwał się nieśmiało—nie wiem do prawdy, czy z pewnością powiedzieć można, że porządek społeczny, tradycja, opinia są niczém więcej, jak tylko strachami, wystawionemi dla odstręczenia od szczęścia dorosłych dzieci. Mnie-by się zdawało, że w każdym ze słów tych mieści się... mieści... ideał, wyrobiony wiekami... Może jednak myślę się... chciałbym bardzo, abys nam pan był łaskaw powiedzieć, z jakiego mianowicie punktu zapatrujesz się na te rzeczy...

Na te słowa Lila podniosła głowę i wzrokiem, pełnym ciekawości i niepokoju, objęła twarz gościa. „Odpowiedz!—wołały oczy jej niecierpliwie,—odpowiedz.”

Ale Porycki powstał z krzesła i, śmiejąc się lekko, rzekł:

— Widzę, że państwo chcecie, abym teorię moję wyłożył im obszernie i do gruntu. Ja przecież nie uczynię tego, z obawy, aby zbyt długą rozprawą nie znudzić i nie utrudzić towarzystwa. Rzucić słowo, myśl, iskrę, a potem umilknąć i oddalić się, pozwolić słuchaczom, aby zagadnienie, postawione we własnych głowach, rozwiązali, aby pieśń zaczęłą we własnych duszach dośpiewali—oto, co uczynić powinien każdy kto, jak ja, pragnął-by towarzystwu, wśród którego

dził chwilę szczęśliwą, miłe pozostawić wspomnienie. Powiedziałem państwu, że szczęście istnieje na ziemi, że na straży jego stoją strachy, podobne tym, których rolnicy używają na odpędzanie wróbli od swych zagonów, że strachy te zwyciężyć trzeba, aby wejść do pięknego gmachu szczęścia. Jak zaś nazywają się strachy te, kto je wystawił i dlaczego, jakimi orężami zwyciężyć je można? myślcie państwo nad tém już sami... mnie pora w drogę!

Przy ostatnich słowach oddał dokoła ukłon bardzo zręczny i sięgnął po kapelusz.

— Pan jedzie? — zawołała Lila.

Wykrzyk ten wydarł się z ust jój nagle i jakby mimowoli.

Konrad pośpieszył do gościa z prośbami, aby pozostał.

— Konie pańskie zmęczone — mówił... Dziesięć mil jednego dnia ujechać, to dosyć...

— Pozostań pań—nalegał Łozowicz—pomówimy jeszcze z panem obszerniej o tém szczęściu i o tych strachach, a potem mam nadzieję, że nie odmówisz pan zaproszeniu memu i pod mój skromny dach wstąpić zechcesz.

Porycki wahał się chwilę, opierał, dziękował i namyślał, ale oczyma szukał wciąż spojrzenia Lili, jakby od niej oczekiwał rozkazu. Spojrzenie to podniosło się nakoniec ku niemu, smutne a wabne, wzruszone a proszące.

Porycki kapelusz na dawném miejscu postawił.

— Ah! — rzekł — dom to właśnie państwa nazwać-by można zaczarowanym pałacem szczęścia... Kto raz próg jego przestąpi, nieprędko potrafi z niego się wyrwać. Najmocniejszymi więzami są te, które wkłada na nas nagle zrodzona, niespodziewana, a tak długo już może, jak życie, trwać mająca sympatya!...

— Któż i cóż zaręczyć może za trwałość uczuć ludzkich? — zbliżając się ku kanapie, rzekła Lila.

— Serce młode i niezepsute — szepnął idący obok nich Apolek.

— Serce wypróbowane w ogniach różnych kolei życia, idące w parze z rozumem i wolą! — odpowiedział Porycki.

Lila, która patrzyła na niego, gdy to mówił, spuściła nagle wzrok przed jego spojrzeniem, takie ono było gorące a uporczywe, pełne żaru, namysłu i woli, wobec których uczuła się dziwnie słabą i nieśmiałą.

* * *

Rezydent Łozowskiego dworu, a w téj chwili gość Ręczyńskiego pałacu, Paweł Szyłło, blizkim był zmieniienia stanu, w którym od kilkunastu lat się znajdował i przejścia na ex-rezydenta. Paweł Szyłło żenił się, i to z dziedziczką wcale niezłej folwarczyny, w blizkości Łozowej położonój. Dziedziczką tą była także rezydentka państwa Fabianowstwa, owa pan:

Antonina Łojwiczówna, o czarnych, złośliwych oczkach, wiecznym bólu zębów i mowie szybkiej, której zgłoski zdawały się w ustach jęj wyprawiać zaciekle gonitwy i zjadać jedna drugą. Spełniły się gorące prośby, zanoszone przez biedną Antoninę do ołtarzyka, przybranego w musliny, paciorki i pawie pióra. Miała już ona teraz chatynkę własną. Była to chatynka, po starym stryju, sknerze wielkim otrzymana, więc zniszczona, wałaca się, pusta prawie; ale przylegał do nięj spory kawał pola dobrego, z odpowiednią ilością łąki i ładnym brzozowym gaikiem. Dziedzictwo to, jakkolwiek skromne, stało się dla biednej dziewczyny, podstarzałej w sieroctwie i upokorzeniach, szczęściem wielkiem, niespodzianem. Nazajutrz zaraz po otrzymaniu wieści o niem odjęła od twarzy ochrończą, przybrudną zawsze, chusteczkę, i włożyła najlepszą swą czarną sukienkę, dar imieninowy pani Adeli. W stroju tym cera jęj wydała się mniej żółtą, a figurka szczupłą i wcale zgrabną. Pani Eustachya, która, od chwili dowiedzenia się o szczęściu nienawistnej współtowarzyszki, schudła znacznie i zapomniała o cerowaniu jedwabnych swych sukien, wyrzekła z przekąsem, iż patrzeć tylko, jak panna Antonina, posażna i odmłodzona, znajdzie sobie dozgonnego towarzysza. Proroctwo to spełniło się niebawem. Paweł Szyłko, którego i dawniej już ogólnie w Łozowej posądzano o pewną sympatyę dla młodziej z rezydentek, wciąż teraz przysiadawał się do nięj; zakładając

za uszy olbrzymie swe wąsy, trzymał przed nią mo-teczki nici i kłębuszki upuszczone podnosił, aż nako-niec bardzo uroczyście oświadczył się państwu Fabia-nowstwu o jój rękę. Antosia rozpląkała się z radości i wdzięczności, pani Eustachya aż się rozchorowała, na podwójne teraz szczęście patrząc, pan Fabian, ze łzami rozrzewnienia w oczach, błogosławił szkolnego kolegę i daleką swą krewną, a pani Adela poczęła grzebać się w swych kufrach i wyciągać z nich różne przedmioty, wyprawę długoletniej rezydentki składać mające. W kilka dni po oświadczeniach zaręczona para pojechała oglądać nowe, wspólne już swe dzie-dzictwo. Pusto tam było i nago: ani koła, ani woła, dziury w dachach i rudery wszędzie.

— Żeby tak mieć do tego kapitalik jaki — rzekła narzeczona — której wraz z powodzeniem energii i praktycznego rozsądku przybyło wiele, to-by to można wszystko jak cacko urządzić!

Paweł przypomniał sobie, że miał kapitalik spory na ręczyńskich dobrach i, po siedmiu leciech ponownego cierpliwego czekania, wybrał się znowu do Kon-rada z prośbą o zwrot swój własności. Za dwa tygodnie ślub miał nastąpić, sprawa więc była pilna, bo do opuszczonego, pustego dworku trzeba było sprzączków, bydełka, całego słowem małego zagospo-darowania!

W Ręczynie siedział już od tygodnia przeszło, a niczego jeszcze pewnego o sprawie swój dowiedzieć

się nie mógł. Konrad przeproszał, ścisnął, przyrzekał, na ciężkie czasy użalał się, co Pawła miękczyno niesłychanie, onieśmiało i do milczenia zmuszało. Po prawdzie rzadko on pana domu widywał, bo gdy w bawialnym saloniku towarzystwo, z codziennych gości złożone, skupiało się wkoło siedzącej na kanapie Lili i czas pędziło na muzyce, deklamacyach i żartobliwych rozmowach; Konrad przebywał z masztalerzem swym i stangretami, albo długimi godzinami przesiadywał w ustronnym pokoju z dzierżawcą Efroimem, z którym miał zawsze tysiące interesów i interesików, a który przyprowadzał też z sobą niekiedy, niby zastęp pomocniczy, miejscowych pachciarzy, arendarzy i faktorów. Wtedy pan domu leżał na sofie, z cygarem w ustach, albo zwykłym sobie zamaszystym krokiem, z rękami za plecy założonemi, przechadzał się po pokoju, a Izraelici, stojący u drzwi, opowiadali mu różne różności o sąsiedzkich sprawach i sprawkach, o swych handlowych obrotach i t. p.

Nazajutrz przecież, po przybyciu do Ręczyna Porzyckiego, Szyłło wstał bardzo wczesnie, z mocnym postanowieniem stanowczego rozmówienia się ze swym dłużnikiem. Po ogrodowej alei przechadzał się Konrad. Wyjątkowym sposobem był on sam jeden, bez zwykłego towarzystwa masztalerza lub żyda dzierżawcy. Chodził zamysłony bardzo, ze spuszczoną głową i zmarszczką na czole. W ogólności bywał on teraz często markotnym i stroskanym. Nie można

było powiedzieć, aby rozumował on o stanie swych majątkowych interesów i o przyszłości, która go czeka, ale instynktowa troska o pierwsze i również instynktowy strach przed drugą, pogrążyły go w długie i chmurne, acz bezowocne, rozmyślenia.

Zamyślonemu człowiekowi zaszli z dwóch stron drogę Paweł i Klemens Szyłłowie. Konrad obu im rękę bardzo serdecznie podał i długo tak chodzili po cienistej ogrodowej alei. Widać było, że z razu głos zabrał Paweł, poczem śmieliej nierównie i natarczywiej przemawiał Klemens. Konrad stawał wśród drogi, rozmachywał rozpacznie rękoma, chwycił się za głowę, jak człowiek, który przeprasza, wstydzi się, boleje, a spełnić żądań czyichś nie może.

W pół godziny potem obu Szyłłów nie było już w ogrodzie. Paweł, gestem pełnym zgrzyoty pociągając długie swe wąsy, odszedł, bo ujrzał przez otwarte okno sali jadalnej dymiący się samowar; Klemens zaś spostrzegł wychodzącego na jeden z bocznych balkonów Poryckiego i z ukłonami do niego pośpieszył.

Konrad usiadł na ławce i, w zamyśleniu, cięższym jeszcze niż wprzód począł końcem nieodstępnej szpicruty kreślić na piasku różne esy i koła. Nagle podniósł głowę, bo ujrzał spływający na ziemię cień wysokiej postaci ludzkiej, która stanęła przed nim. Był to Efroim. Konrad poskoczył z ławki ku temu.

o którym mniemał, że raz jeszcze wybawcą jego będzie.

— Efroimku — zawołał — wystaraj się ty dla mnie zkańdokolwiek ośmiu tysięcy rubli! Procent, jaki chcesz, dam! Jak Boga kocham, nie chybię ani o dzień jeden! Ale teraz oszaleję chyba, jeżeli pieniędzy tych nie dostanę! Ci ludzie spokojności mi nie dają i wiem zresztą dobrze, że im się należy, święcie należy, ale zkańdze im wezmę, kiedy nie mam?

— A ja zkańd wezmę?—odparł żyd, gładząc czarną swą brodę.

Nie złożył on tym razem Konradowi zwykłego ukłonu, a w twarzy i całej postawie jego było coś niezwykłego, coś, co Konrada tknęło przecuciem niedobrem.

— Zkańd ja wezmę?—powtórzył żyd.—Ja wszystko, co miałem, już Jasnemu Panu dałem, a nikt inny nie da ani grosza. Ja tylko jeden taki głupi był, że *pieniędzy* tyle w Ręczyn wsadził: ale w dziurawe sito lać, to zła robota, bo woda wyleje się, a sito jak próżne, tak próżne!

Na zuchwałę te słowa Konrad osłupiał z razu; zdziwiły go one i obraziły. Przez chwilę zdawało się, że gniewem wybuchnie; ale postacie dwóch Szyłków, w towarzystwie wielu innych jeszcze postaci, to samo złowrogie dlań znaczenie mających, w oczach mu stanęły i do pokory go zmuszały. Oblał się gorącym rumieńcem. Cierpiał naprawdę i silnie; pomimo to

jednak, a może dlatego właśnie, w nowe prośby uderzył. Efroim stał wyprostowany i sztywny, jak słup wiorstowy. Widać było po nim, że skończył już epokę elastycznych ukłonów i uprzejmych przysług. Gdyby ktokolwiek zapuścił teraz dłoń za klapę jego chałata, znalazł-by tam wczorajszego wieczora odebrany przezeń list Elego, zawierający informacją o przybyłym do Ręczyna panu i ściśle przepisy postępowania z dziedzicem.

— Ny! na co Jasnemu Panu tych kłopotów i tych lamentów? — po dłuższej rozprawie rzekł żyd. — Żebym ja był na Jasnego Pana miejscu, to-bym prosił tego jegomości, co wczoraj tu przyjechał, a *un*-by mi tak majątek sprzedał, że i kredytyry odebrali-by zaraz swoje, i Jasny Pan był-by jeszcze jaśniejszym panem, niż teraz.

Na słowa te Konrad żywo podniósł w smutku pochyloną głowę, szeroko roztwartemi oczyma w twarz żyda spojrzął i, jakby go kto ukropem oblał, z ławki poskoczył.

— Co? — krzyknął — ja, ja miałbym Ręczyn sprzedać? Taki majątek i rodzinne miejsce moje! Jak Boga kocham, zwaryowałaś chyba, Efroimku! Czarny chleb będę jadł i siermięgę włożę, a tego nie zrobię nigdy!

Efroim uśmiechał się, a oczy jego z pod brwi krzaczystych szydersko błysnęły.

— A Jasna Pani czy także będzie czarny chleb jadła? — wyrzekł przeciągle.

Słowa te ostudziły zapał Konrada i pogłębiły zmarszczkę, rysującą się mu na czole. Usiadł znowu na ławce i milczał chwilę.

— Śmieszna myśl! — rzekł, wstrząsając głową, jakby z niej ciężar jaki chciał zrzucić. — Ja miałbym Ręczyn sprzedać? Nie! nic z tego nie będzie! nikt mię do tego nie zmusi!

— Ny, — rzekł Efroim obojętnie — kto ma zmuszać? Ja to tylko tak sobie powiedziałem. Ale ot ten pan idzie tutaj, to ja pójdę już sobie, bo mnie do stodoły trzeba. Ale niech Jasny Pan o obietnicy pamięta, co mi ją dał.

— O jakiej obietnicy?

— Że ja mam na Nowy Rok *moich* pięć tysięcy rublów odebrać. Mnie korzystny interes zdarza się, to ja *tych* pieniędzy koniecznie mieć muszę!

— W porę wybrałeś się... niechże cię!... — zaczął Konrad; ale, nie dokończywszy słów zaczętych, powstał szybko z ławki, aby spotkać idącego ku niemu gościa.

Efroim odszedł, nie tak jednak prędko, żeby nie móz zamienić z nadchodzącym znaczącego spójrzenia. Jakkolwiek ujrzeli się dziś po raz pierwszy w życiu, wiedzieli wzajem o sobie, kim byli i w jakich celach porozumiewać im się ze sobą wypadało.

Szybko zbliżał się wyświeżony, promieniejący

z wyprostowaną postawą i z ręką, ku gospodarzow domu wyciągniętą.

— Miłe sny miałem pod gościnnym dachem państwa — zaczął tonem, pełnym wesołej swobody.

Nagle jednak, jakby go coś szczególnego w twarzy pana domu uderzyło, ścisnął mu dłoń z przyjacielską serdecznością i, z wyrazem twarzy troskliwym a zasmuconym, zawołał :

— Spostrzegam, doprawdy, że się z opowiadaniem o błogich moich marzeniach sennych nie w porę wybrał. Pan wydajesz mi się dziś smutnym, zęszpionym, mizerniejszym, niż wczoraj. Jakże żałuję, że niedawna znajomość żadnych mi jeszcze praw nie udziela do zapytania o powód troski, na twarzy pana wyrytéj!

Konrada słowa gościa i ton serdeczny, jakim je wymawiał, za serce ujęły.

— O! — rzekł, wzdychając — zgryziony jestem rzeczywiście; ale sekretu w tém żadnego niema. To nasze życie na wsi, to, jak Boga kocham, piekło czyste. Z kłopotów ani wyléźć, a tu majątek w dzierzawę puszczoney za bezcen... Żydzi obdzierają i jeszcze naśmiewają się z nas potém...

Mówił to z płaczem nieledwie. Słaba natura jego i umysł niedołężny gwałtownie w téj chwili powiernika i pociechy jakiegókolwiek potrzebowały.

Porycki fizyognomią wyraził głębokie, dusznego zdziwienia pełne, współczucie.

— No proszę! — zawołał — kto-by się to spodziewał, patrząc na to prześliczne miejsce, na ten pałac, na ten ogród, do raju podobny, że się tu mieścić mogą jakiegokolwiek troski i zmartwienia!

— Dyabelne zmartwienia! — wtrącił Konrad.

— Ale czyliż-by tak trudno było im zaradzić?

Konradowi myśl jakaś ożywcza w głowie błysnęła. Wahał się chwilę z jej wypowiedzeniem, ale, zachęcony współczuciem, malującym się wciąż na twarzy gościa, rzekł proszącym i zarazem porywczym tonem:

— Ot, mam do pana prośbę. Pan interesami zajmujesz się... może-byś... może-byś pan był tak łaskaw wystarać mi się o pożyczkę... jakich ośmiu... dziesięciu tysięcy rubli...

Porycki zdawał się namyślać przez chwilę i czoło dłonią potarł.

— Bardzo, bardzo mię to boli, że żądanej przysługi oddać panu nie mogę... Interesami trudnię się w istocie, ale innéj wcale natury... W stronach tych obcy jestem i kredytu mieć nie mogę... Zdaje mi się... zdaje mi się jednak, że pan nazbyt sobie do serca bierze kłopoty chwilowe, przemijające... Nie może być, aby tak piękne dziedzictwo środków jakich nie dostarczyło...

— Jakie tam środki! — sarknął Konrad. — Wy-ciśnięte, jak cytryna. Mamie do miasta posyłam a po-

syłam pieniądze... żona téż potrzebuje na ubranie i wyjazd z domu...

— O ile wiem, pani posag znaczny miała... — poufnym tonem wtrącił gość.

Konrad ręką machnął.

— Na papierze. Kapitału ani tknąłem jeszcze, brat procenta tylko płaci...

— A więc — coraz poufalszy ton mowy przybierając, zauważył gość — można-by braciszka prosić, aby oddał...

— A kiedy on sam nie ma. Tylko co z długów wylazł...

— Exekwować sądowniel — ciszej, lecz z przy-ciskiem, doradził Porycki.

Konrad spójrzył na niego wielkimi oczyma,

— Jako exekwować?

— Ot tak: majątek na sprzedaż wystawić, albo.. albo przynajmniej zagrozić exekucją, to sam z wolnej ręki sprzeda i posag siostry odda.

Konrad patrzył na mówiącego, jakby słowa słyszane długo w umyśle swym ważyć musiał, zanim myśl ich dobrze wyrozumieć zdołał.

— Wystawić na sprzedaż Orchów?... — wymówił nakoniec z wolna — wypędzić z Orchowa Mieczysia?..

Wstrząsnął głową ze stanowczością wielką i rzekł:

— Nie, to niepodobna! Ja tego uczynić nie mogę. Mieczys, widzi pan, to mój krewny i mój rówie-

śnik... chowaliśmy się, a potem po prawdzie i hula-
liśmy trochę razem...

Brwi Poryckiego drgnęły i ścisnęły się lekko. Nie spodziewał się snadź odpowiedzi takiej. Wyobrażał sobie, że ma do czynienia z kimś pozbawionym zupełnie własnej rozwagi i woli; spostrzegł zaś, że w człowieku tym, słabym bardzo i nierozsądnym, brzmiała jednak struna serdeczna, którą zerwać będzie trudno.

— Ależ to z widoczną korzyścią samego pana Mieczysława... — próbował jeszcze nalegać.

Lecz Konrad powtórnie głową wstrząsnął.

— Ja tam nie wiem, co z jego korzyścią, a co nie, ale dokuczać mu nie chcę. Niech już ja sam jeden cierpię i będę klepię... Żeby zresztą nie mama i nie Lila, to-bym się jako tako wykierował; ale kobietom dyabelnie wiele potrzeba, a moja zasada już od dzieciństwa była taka, że matka to pierwsza w domu nym osoba.

— Niech-że już matka — szepnął gość — ale brat, i do tego brat żony...

— Ja Mieczysława lubię—upięrał się Konrad— on mój krewny i rówieśnik; a choć pogniwaliśmy się byli, bo on mi z Lilą żenić się przeszkadzał i mówił, że myśmy nie dla siebie stworzeni, to jednak ja teraz myślę sobie, że może on miał trochę racyi... i nie gniewam się na niego... i w będę go za nic w świecie nie wprowadzę!...

Porycki zamilkł. Oczy jego, w ziemię utkwione, wyrażały uczucie zawodu i zdziwienia. Tu, gdzie spodziewał się znaleźć grunt do działania, ze wszelkich przeszkód oczyszczony, stanęły mu w drodze stosunki, związki, uczucia i skrupuły, ważną odgrywającą rolę i, jak się zdawało, dość silnie ugruntowane w organizacyi tego nawet, moralnie i umysłowo upośledzonego, człowieka. Niedługo jednak dumął, lekceważący uśmiech przemknął mu wnet po ustach; widoczném było, że pomyślał: mniejsza o ciebie, głupsze.

Zarazem zwrócił twarz w stronę, gdzie śród ogrodowej zieleni bieląta, w kolumnadę i balkony zdobna, ściana pałacu. Na jednym z balkonów błysnęło, zaświeciło, zamigotało. Była to Lila, która, w długiej sukni liliowego koloru, ze srebrnymi i kryształowymi ozdobami u szyi, rąk, piersi i głowy, stanęła na balkonie. Porycki wstał z ławki i skierował się ku pałacowi. Po drodze zerwał z klombu parę pysznych białych astrów i, z wolna wszedłszy po kręconych schodach, z kwiatami w ręku stanął obok Lili.

Twarcz młodej kobiety jaśniała uśmiechem; Idefons złożył jęj ukłon głębokiy i parę sekund dłużej, niżby może wypadało, rękę jęj w swęj dłoni zatrzymał. Potém, wsparci oboje o żelazną balustradę balkonu, rozmawiali z razu głośnie i śmiejąc się,

tém ciszej trochę i ze wzruszeniem w spotykających się co chwila oczach.

Około południa Lila siedziała już na zwykłym swém miejscu, to jest na kanapie w bawialnym saloniku. We włosach jój, pomiędzy kryształowemi szpilkami, wpięty był jeden z białych astrów, z rana przez Ildefonsa zerwanych. Konrad upatrzył chwilę, w której wyjątkowym sposobem grupa mężczyzn, skupiająca się zazwyczaj około kanapy, rozsiała się po pokojach, i usiadł obok żony.

— Lilciu — rzekł — wiesz co? mam dziś z tobą do pomówienia.

— O czém-że takim? — z nietajonóm lekceważeniem i nie patrząc na męża, zapytała kobieta.

— Chciał-bym pomówić z tobą o interesach naszych. Dyabelnie złe być zaczynają!

Teraz Lila zwróciła na mówiącego oczy, gniewne trochę i z góry już znudzone.

— Mój Konradzie — odparła — nie nudź mię, proszę!... Wiesz dobrze, że nie znam się na interesach i nic a nic nie rozumiem, a ile razy mówiłeś mi o nich, dostawałam zawsze migreny.

Konrad stęknął, wstał z krzesła, zamasyście przeszedł parę pokojów, drzwi od przedpokoju zamknął za sobą z głośnym stukiem i poszedł ku stajniom. Przeznaczenie człowieka tego było w istocie dość dziwném. Matka jego, przy wzmiance o mająt-

kowych interesach, dostawała zwykle poziewania, żona migreny...

Po sali jadalnej tymczasem Porycki przechadzał się z Klemensem Szyłą.

— Gdybyś Pan Dobrodziój — mówił syn Augustyna Szyły — mógł i chciał powierzyć mi interes jaki, to byłbym panu bardzo wdzięczny...

— I owszem — rzekł Porycki — nie będzie to zdaje mi się rzeczą niemożliwą; tylko... czém-że pan zajmujesz się stale?

— Stale... tak, prawdę mówiąc, nie zajmuję się niczém — zająknął się trochę młody Szyło. — Widzi Pan Dobrodziój, ojciec mój był dawniej urzędnikiem, stracił posadę i zaczął panom obywatelom interesa prowadzić. Nie można jednak powiedzieć, żeby mu się dobrze wiodło. Panowie obywatele nieakuratni są... Ot i pan Ręczyc, naprzykład, i pan Łozowicz winni ojcu spore pieniądze; ale cóż robić, kiedy nie oddają?... Ja i brat mój kierowaliśmy się sami o własnych siłach... Brat mój jest kancelistą, nietatowym ma się rozumieć... cierpliwy; jak wół, dzie sięć lat już w biurze pracuje i dorobił się dwudziestu rubli na miesiąc. Ja tam już nie zdałem się do roboty takiój; mam chwałę Bogu zdolności i gnść w biurze nie myślę. Stałe jednak zajęcie nie wydar mi się dotąd żadne... Jestem, prawdę powiedziaw człowiekiem, jak to mówią, bez kondycyi; ale c

ja jeden?... Żebyś Pan Dobrodziej wiedział, ilu nas jest takich, którzy rąk nie mają o co zaczepić.

— Proletaryat! — półgłosem rzekł Porycki — ofiary monopolu, który bogactwo ogólne w ręce jednej kasty oddaje... Tak to, panie Klemensie — dodał głośniej — tak bywa na świecie: z jednej strony bogacze, z drugiej nędzarze; tu ludzie, którzy rodzą się już w dostatkach i honorach, a owdzie tacy, którzy, jak pan mówisz, kondycji nawet żadnej dobić się nie mogą....

— Oj, to prawda! — westchnął Klemens. — Już to sprawiedliwości na świecie niema! Dlaczegoż-bym ja, proszę pana, nie mógł do bogactwa dojść, tak, jak i kto inny? Ot nie zdarza się jakoś.... Może-by pan był łaskaw dla mnie miejsce jakie naprzykład przy Domu pośrednictwa wyjednać....

Porycki myślał chwilę.

— Zobaczmy — rzekł. — Tymczasem dam panu na początek zlecenie jedno. Zrób pan tak, aby ojciec pański sumę, należną mu od pana Ręczyca, na imię pana przekazał. Nie znam ojca pańskiego, ale przypuszczam, że musi to być człowiek miękki i energicznie wziąć się do rzeczy niezdolny, a tu trzeba...

— A tu trzeba — pochwycił Klemens, kiwając głową na znak zrozumienia, a rękami czyniąc gest taki, jakby miał coś i dusił w pięści — tu trzeba *przycisnąć*....

— Zrozumiałeś mię pan — obojętnie wyrzekł Agent Główny.

— A kto, proszę pana, Ręczyn chce nabyć? — szeptem zagadnął człowiek bez kondycyi.

— Nie wiem jeszcze dobrze, jak to będzie; zdaje mi się jednak, że nabyć go chce graf K...

— Może pan będziesz potrzebował posłać kogoś do Grafy? — z błyszczącymi oczyma zapytał młody Szyłło.

— Bardzo być może. Pomyślę o panu....

W tój chwili zbliżył się do rozmawiających syn pana Fabiana, Apolek. Markotny wczoraj i gniewny na gościa, że go od przedmiotu uwielbień jego oddalał, dziś postanowił przeciw zbliżyć się do niego, i to z miną wielkie ugrzecznienie objawiającą. Miał snadź ku temu ważne powody.

— Proszę pana — rzekł, kłaniając się lekko i muskając czarny wąsik — ja mam do pana prośbę... Klemens odszedł.

— Słucham pana — rzekł Porycki bardzo uprzejmie.

— Mówiłeś pan wczoraj — ciągnął młodzieńki syn Łozowicza — że *Dom pośrednictwa* ułatwia sprzedaż majątków, a pan stowarzyszenia tego jesteś członkiem i agentem. Otóż, czy nie mógł-byś pan wystarać się o kupca na majątek nasz Łozową i namówić ojca mego, aby go sprzedał?

— Czy sprzedaż ta była-by panu pożądaną? — zapytał gość.

— Ależ i jak jeszcze! Niech-bo pan wyobraz sobie, jakie ja życie zmuszony jestem prowadzić na wsi! Nuda, jednostajność i perspektywy na przyszłość żadnej! W przeszłym roku miałem jechać do konserwatorium, aby kształcić się dalej w muzyce; ale ojciec pieniędzy nie miał i znowu zostać w domu musiałem. W moim wieku, przy moim talencie, smutno doprawdy tak marnować się w zakęcie. Gdyby ojciec sprzedał Łozową, zamieszkali-byśmy w mieście jakiśmś i zaraz wszystko było-by inaczej.

— Chętnie postaram się o spełnienie życzeń pańskich — odpowiedział Porycki i przeszedł do salonu, w którym Lila, niecierpliwie oczekując jego zjawienia się, z roztargnieniem słuchała przewlekłej i poetycznymi cytatami naszpikowanej mowy, siedzącego przy niej, Fabiana Łozowicza.

V.

Dzień jesienny miał się ku końcowi. Na ulicach miasta N. zapadł zmrok, połączony z wilgotną, chłodną rosą drobnego deszczu.

Chodnikiem jednéj z ulic, powolnym i spokojnym krokiem, szedł Eli Makower. Znajdował się on właśnie naprzeciw obszernego i dość pięknego hotelu, którego kilka okien rześistém jaśniało oświetleniem, gdy z hotelowych wschodów zszedł szybko mężczyzna w wielkim płaszczu z peleryną i stanął naprzeciw przechodzącego Izraelity. Pomimo zmroku, dwaj ci ludzie poznali się w oka mgnieniu.

— Idziesz pan do mnie zapewne? — zapytał Elegó Ildefons Porycki.

— A tak, — odparł Izraelita, — szedłem do pana. Miałeś mi pan dziś dać wiadomość o wszystkim. Ja na pana od południa czekał i doczekać się nie mógł...

— Ot tak jakoś, cały dzień przesiedziałem u Ręczyców, — z wahaniem się i pewném jakby zawstyżeniem rzekł Agent Główny.

— Och, panowie ! panowie ! — kiwając głową, uśmiechnął się Eli.—Wszyscy wy tacy! Ot pan, na przykład, niby na interesach zna się i interesami zajęty, a jak tylko gdzie trafi się przyjemność jakaś, to interes na bok przed nią idzie...

— Interes interesem, a przyjemność przyjemnością, — odparł Porycki; — w tém cała sztuka, żeby jedno łączyło się z drugim i jedno drugiemu pomagało.

Eli spojrział na oświetlone hotelowe okna.

— Czy Ręczycowicze mieszkają tam, gdzie się tak świeci?

— A tak; mieszkamy w sąsiedztwie. Pokój, który zajmuję, znajduje się na jednym kurytarzu z pokojami, które oni zajęli.

— Czy Ręczyc przyjdzie dziś do mnie? — zagadnął przeciągle Eli.

— Naturalnie, — krótko odparł Porycki.

— A ja dziś jeszcze jednego szczupaka złapałem, — uśmiechnął się Izraelita.

— Któż to taki?

— Łozowicz.

— A! więc przyjechał?

— A co on miał robić? On musiał przyjechać, bo jego za nieopłacone podatki już opisali.

— Dobrze. Otrzymałem dziś właśnie listy od Barona, Grafa i Rady Stanu.

— Nu, o co oni piszą?—pośpiesznie zapytał żyd.

— Grafowi podoba się bardzo Ręczyn, a Radcy Łozowa, ale Baron nie chce i słuchać o innym majątku, jak Orchów, z Rydlówką i Białowolą...

— To kiepsko! — wymówił Eli.

Podobnie ordynaryjnych wyrażań lub wykrzykników, żydowski szwargot przypominających, Eli używał teraz w chwilach takich tylko, w których ciekawy był bardzo, zniecierpliwiony, lub zakłopotany.

— Dlaczego? — zapytał Agent Główny.

— Rydlówka i Białowola będą... ale o Orchowie babka zawsze na dwoje wróży...

— Będzie ona wkrótce wróżyła inaczej, — zjadliwie uśmiechnął się Porycki, i jakby mimowoli rzucił spojrzenie ku oświetlonym oknom mieszkania Lili i Konrada.

— Do zobaczenia, — dodał, — do zobaczenia! O siódmej więc zejdziemy się wszyscy w twojem mieszkaniu.

Rzekłszy to, pożegnał współnika skinieniem głowy i szybkim krokiem zmierzać począł ku oświetlonym drzwiom szklanym miejscowej cukierni. Dnia tego przegrał on żartobliwy jakiś zakład z Lilą i śpieszył po najpyszniejsze cukry, jakie tylko w N. znaleźć się mogły. Widocznie lubił on i umiał łączyć pożyteczne z przyjemnym. Z jednego źródła czerpał dobre szanse dla interesów swych i środki miłego przepędzenia czasu. Ale Elego nic nie przyzwyczało do wesołych i drażniących gier życia, do wrażeń, wstrzą

sających nerwami i gorących bujań wyobraźni. Zajęty więc jedynie interesami, obiecującemu mu znaczne zyski, ważąc w głowie różne interesów tych szanse i zwroty, szedł on prosto ku mieszkaniu swemu, w którym dziś spodziewał się przyjmować licznych gości.

Mieszkanie Elego znajdowało się w jednym z niewielkich drewnianych domków, które, jak bywa zwykle w dość dużych nawet litewskich miastach, przedzielają tu i owdzie wysokie i ozdobne kamienice ulic głównych. Wchodziło się do niego od ulicy po kilku wschodkach i przez drzwi, do połowy oszklone, a z wewnątrz białą firanką przysłonię. Z obu stron drzwi były w oknach dużych i czystych małe wystawy trunków i przekąsek, nade drzwiami zaś wisiała tablica, z napisem, ogłaszającym znajdowanie się w tém miejscu bilardu, win i wódek. Piérwsza od wejścia izba, dość obszerna, oświetlona była lampą, u sufitu wiszącą. Pod jedną ze ścian jój znajdował się bufet, na którym stały butelki z trunkami, oraz talerze ze śledziami, serem i marynowaną rybą. Za bufetem siedziała żona Elego, Chaja, wcale inaczej już teraz wyglądająca, niż wtedy, gdy na folwarcznym dziedzińcu Orchowa rozwieszała na sznurach własnoręcznie upraną bieliznę. Twarz jój, zwiędła podówczas i żółta, stała się rumianą i okrągłą, kibić nabrała tuszy imponującej, a ubranie składało się z sukni jaskrawego koloru, jedwabnej mantylki i czepca z wielką ponsową kokardą. Siedziała ona za bufetem, widocznie z obec-

nego położenia swego wielce zadowolona i dumna, z drutami w rękę, na których powoli i od niechcienia robiła pończochę. W drugiej izbie był bilard i u sufitu paliła się także lampa. Dwie izby te, bufet i bilard zawierające, były miejscem, na którym działalność swą handlarską i gospodarską wyłącznie rozpocierała Chaja, odkąd mąż jój, przestając być wiejskim dzierżawcą, został agentem przemysłowego stowarzyszenia i zamieszkał w mieście. Eli nie wtrącał się tu do spraw żony, ani pytał jój o zyski, które z handlu swego otrzymywała. Handel ten założył on na jój żądanie, a może téż potrzebował go jako miejsca, do którego schodzili się ludzie różni, z którego pomocą zabierał znajomości i stosunki, które nakoniec służyło do zamaskowywania, do otaczania cieniem i milczeniem działań, dokonywających się w izbie trzeciej, tuż za bilardową położonej. Trzecia ta izba miała już pozór bawialni, małej ale czystej, w kanapę, fotele, lustro i dywan zaopatrzonej. Pod jedną ze ścian stał tam nawet dość staro i mizernie wyglądający fortepianik, pod drugą zaś znajdowała się żelazna ogniotrwała kasa. Od lat trzech nikt w powiecie całym, a nawet w dwóch czy trzech pogranicznych powiatach, nie sprzedał i nie nabył własności ziemskiej, zanim kilku godzin, lub czasem i wieczorów, nie przepędził w téj bawialni Elego. Tu cicho, smutnie, z prośbą na ustach wsuwali się troskami zmęczoną ciszą wiejską znudzeni, własną lub niewłasną win

zrujnowani i nędzy lękający się dziedzice dawni; tu z pieniędzmi lub bez pieniędzy, lecz z głośnie zawsze mową i dumnie podniesioną głową, wchodzili kandydaci na dziedziców nowych. Tu, za pośrednictwem Elego, poznawały się strony, dokonywały targi, rozstrzygały się losy i zmieniały drogi licznych rodzin, a niekiedy całych grup społecznych.

Eli Makower miejsce to nazywał, uśmiechając się, *stawem swoim*, a tych, którzy do niego przybywali *szczupakami*. Nazwę ostatnią udzielał bezwzględnie obu stronom, z którymi do czynienia miewał, obie bowiem płaciły mu procenta znaczne, niekiedy ogromne, od sprzedanych lub nabytych wartości, procenta, których drobna zaledwie część przypadała *Domowi pośrednictwa*, a całość napełniała coraz obficiejszą stojącą u ściany żelazną szafę.

Wieczoru tego, w którym Eli spotkał się z Poryckim u hotelowych schodów, Chaja, z którą mąż zamienił, wchodząc, słów kilka, mniej jakoś uprzejmie, niż zazwyczaj, przyjmowała przychodzących do handlu jej gości, a lubo z poważnym pośpiechem przysługiwała się wszystkim wódką, piwem i przekąskami, to jednak gawędą i zaprosinami nie starała się na dłużej zatrzymywać nikogo, i nawet kilku gościom z ubolewaniem oświadczyła, że bilard zepsuł się i że nikt dzisiaj na nim grać nie może.

Bilardowa więc izba cichą była wieczoru tego stała, a słabo ją tylko oświetlał, przenikający przez

drzwi blask lampy, w pierwszym pokoju zapalanej. W bawialni za to na stole, przed kanapą umieszczonym i kwiecistą serwetą przykrytym, paliły się dwie świece, w wysokich mosiężnych lichtarzach. Wkoło stołu, na kanapie i fotelach, siedziało pięciu mężczyzn: Konrad Ręczyc, Fabian Łozowicz, Augustyn Szyłło, Porycki i Makower.

Po chwilowém milczeniu, jakie pomiędzy nimi zapanało, poznać można było, że rozprawy toczyły się tu już od dość dawna i do żadnego jeszcze stanowczego rezultatu nie doprowadziły.

— A to doprawdy zwaryować można od tych kłopotów, — z gestem zniecierpliwienia zawołał Konrad. — Ja tu już, jak Boga kocham, własną głową nie zdecydować nie mogę! Co pan myślisz o tém wszystkim, panie Szyłło? co pan mi radzisz uczynić?

Prawnik, do którego słowa te zwróconemi były, zmieszał się widocznie, wzruszył lekko ramionami i, jękając się, odpowiedział:

— Ja nie wiem... ja gotów jestem, w razie, jeśli pan zdecydujesz się na tę sprzedaż, dopilnować wykonania wszystkich prawnych formalności... ale radzić... cóż ja tu mogę radzić? pan sam najlepiej...

— Czy mówił już pan o interesie tym ze swoją mamą? — z cienia, w którym siedział, przerwał Eli.

— Nie mówiłem jeszcze.

— A więc, — uśmiechniony i ugrzeczniony, zawsze, zawołał Porycki, — nic nie nagli prze

Niech pan o tém z szanowną swą mamą pomówi. Któż bliższy, kto lepiej poradzić może, jak matka?

— Co do mnie,—zaczął z cicha Fabian Łozowicz, —zdaje mi się, panie Szyłło, że... interesa moje... nie są... nie są tak...

Przerwało mu mowę poruszenie Elego, który obejrzał się na drzwi i pośpiesznie wstał z krzesła.

— Zdaje mi się, że ktoś jeszcze przybywa do naszej kompanii.

Wyraz zadowolenia błysnął na twarzy Poryckiego.

Eli opuścił bawialnię.

W istocie, drzwi od ulicy otworzyły się przed chwilą i na progu pierwszej izby stanął Kamil Orchowski.

— Czy tu mieszka Eli Makower? — zapytał.

— Tu, tu!—poznając dawnego współdziedzica Orchowa i śpiesznie podnosząc się z krzesła, odpowiedziała Chaja.—Niech Jasny Pan wejdzie! bardzo proszę! Oto gość! to będzie dla mego męża niespodzianka!

— Moje uszanowanie panu!—wymówił, zbliżając się Eli.—Jak to dobrze, że pan przyszedł! U nas tu interesa, jak żelazo, kują się na gorąco. Ja dziś sam chciałem iść do pana.

— Albo-żeś pan wiedział, że przyjechałem do N.?

— Czemu ja nie miał wiedzieć? Ale niech pan będzie łaskaw do bawialnego pokoju!

Chaja, słysząc wzmiankę o bawialnym pokoju, uśmiechnęła się z niewymowną błogością i ze zdwojoną powagą na opuszczoném przez chwilę miejscu zasiadła.

Kamil udał się we wskazanym przez Elego kierunku. Obecność kilku osób, które znalazł w bawialni, przykre na nim z razu uczyniła wrażenie; po chwili jednak rozmarszczył czoło i podniósł wysoko głowę, jak gdyby nie chciał być posądzanym o zmieszanie, lub jakkolwiek przymus. Obojętnie witał Konrada, Łozowicza i Augustyna Szyłłę, z Poryckim zaś kilku słowami zapoznał go Eli.

— Namysliłem się, panie Makower, — rzekł, siadając brat Mieczysława, — i propozycją, którąś mi pan uczynił, co do sprzedania Rydlówki baronowi von R., przyjmuję, jeżeli naturalnie panowie przyjmiecie wzajem warunki, które postawię i od których nie odstąpię. Wiecie panowie o tém dobrze, iż żadna przykra konieczność nie zmusza mię do pozbycia się mej własności; że, nie życząc sobie nigdy w podobnej znaleźć się konieczności, gospodarstwo w majątku swoim utrzymywałem porządnie i wzorowo, a nawet do pewnego stopnia podniosłem je i udoskonałem; że, lubiąc wygodę i piękne otoczenie, wybudowałem w Rydlówce dom ozdobny, założyłem piękny ogród kwiatowy, przyozdobiłem słowem dwór w sposób rozmaity: że zatem jestem w położeniu, niezmuszającem. pośpiechu i nienadającym się do ustępstw

Jeżeli warunki panów sprzyjać będą wyrachowaniom moim i obiecywać mi exystencją przyjemniejszą, niż ta, jaką mieć mogę, mieszkając w Rydlówce, to sprzedaży téj dokonam; w przeciwnym razie zostanę przy swoim.

Jakże rzadko mowy podobnej słuchały ściany bawialnego pokoju Elego! Najczęściej, zawsze prawie, przybywał tu przymus gorzki, smutny, cichy i upokorzony. Teraz zjawiło się w postaci Kamila wyrachowanie zimne, śmiałe i dumne.

Porycki słuchał mowy Kamila z pełnym szacunku i uwagi skłonieniem głowy; potem zabrał głos, a gdy mówił powoli, płynnie, słodko i przekonywająco, z wyrazu twarzy jego poznać można było, iż szacunek niezmyślony wcale, ale rzeczywisty i z sympatyą połączony, uczuwał dla człowieka, który wbrew wszystkim innym, widywanym tu przez niego ludziom, tak troskliwie dbał o wygodę swą i bezpieczeństwo swój przyszłości, który do sprawy, rzucającej innym gorczyz w serca i zmarszczki na czoła, przystępował tak chłodno, dumnie i imponująco, bez cienia jakichkolwiek *przesądów* i skrupułów, bez żalu... za niczem.

Eli tymczasem usiadł pomiędzy Konradem a Łozowiczem i półgłosem do każdego z nich z kolei przemawiał.

Gdy tak sześciu tych ludzi wkoło stołu siedziało, powierzchowności ich wyczytać można było położenie, w jakim znajdował się każdy z nich, każdego

z nich chęci i wahania się, obawy i nadzieje, smutki i tajemne zadowolenia. Konrad czoło miał zrysowane zmarszczkami zakłopotania i złego humoru, oczy pełne niepewności i niepokoju, usta otwarte nieco, jak bywa zwykle u ludzi, którzy niedobrze rozumieją, co się z nimi dzieje i nic a nic nie wiedzą, co im czynić wypada. Łozowicz siedział w kątku kanapy, z policzkami rozczzerwienionymi, z postawą, jakby załęknioną, a bardziej jeszcze zawstydzoną. Kamil w wytwornym ubiorze swym, ze swą twarzą pulchną a bezbarwną, z białą, jak u kobiety, wypieszczoną ręką, złożoną na stole gestem niedbałym, pozostawał zawsze chłodny, ironiczny trochę, badawczy a niedostępny. Augustyn Szyłło, milczący, posiwiaty, przygarbiony, bierność i zniekanie całą powierzchownością swą objawiający, siedział w cieniu i na uboczu; Porycki za to, środkowe miejsce kanapy zajmujący, z głową pod światło świec wychyloną, jaśniał wymową, promieniał pełnym uprzejmości uśmiechem, a z za szkieł szafirowych błyskał oczyma, w których osiadła rachuba, utajona, lecz chciwa.

W kilka minut po wejściu Kamila, otworzyły się znowu drzwi od ulicy, tym razem jednak głośno, ze stukiem, a w pierwszej izbie zjawili się dwaj młodzi ludzie. Starszy z nich, trzydziestoletni z wejrzenia, był Klemensem Szyłłą, drugi, młodszy znacznie, zgrabniej, wysoki, bardzo szczupłej postaci, wygląda najwyżej na lat 21. Twarz jego ściągłością rysów

i snością cery przedstawiała typ izraelski, ale w bardzo pięknym swym przejawie; delikatną była, jakby wypieszczoną, otoczoną krętemi, ciemnymi włosami, rozgrzaną dwojgiem żarzących się i niespokojnych oczu, przyozdobioną drobnym wąsikiem, ocieniającym usta bladawe, ale cienkie i kształtne. Ubiór pięknego młodzieńca tego znamionował staranność wielką i wybredność, połączoną ze smakiem, niezupełnie jeszcze wykształconym. Miał on na sobie tuzurek z bardzo cienkiego materiału, u szyi mocno barwisty krawat, na kamizelce złoty łańcuch od zegarka, brzęczący zbyt dużą ilością breloków stalowych i pozłacanych. W ręce, ociągniętej świeżą rękawiczką, trzymał czapeczkę, na znak spełnianego urzędu jakiegoś, otoczoną srebrnym galonkiem. Był to syn Elego i Chai, Abramek ów, przed laty z tyłu nadziejami i kłopotami do szkół gimnazjalnych wysłany.

Na widok wchodzącego syna, Chaja wydała okrzyk radosny i twarz swą uśmiechem niebiańskiej błogości rozpromieniła. On skinął ku niej głową niedbale, mimochodem i, przeszedłszy izbę w całej długości, wraz z towarzyszem swym zasiadł za stołem niewielkim, białą serwetą przykrytym.

— Abramkie! libeczkie! może ty jeść chcesz? — z miejsca swego zapytała Chaja.

Izraelski młodzieniec zwrócił się ku matce z gestem niecierpliwości; wążka, ciemna brew jego gniewnie drgnęła.

— *Wie viel mal*, — ozwał się nie szwargotem żydowskim bynajmniej, ale poprawną bardzo niemczyzną — *wie viel mal*, prosiłem cię, mamó, żebyś mię Abramkiem nie nazywała! Albo ja jestem ciemnym jakimś i zabobonnym żydem, żebym miał nosić imię waszego patryarchy, co to taki był głupi, że dla stariej Sary młodą i piękną Agarę z namiotu swego wypędził?

— Abram... chciała zawołać Chaja, ale, przypomniawszy sobie świeży zakaz syna, umilkła i tylko oczy szeroko roztworzyła i ręce z przerażeniem splotła.

Młody i, jak widać było, mocno emancypujący się Izraelita, wybuchnął głośnym śmiechem, a zawtórował mu śmiech Klemensa.

— *Kannst du, Mutter, den Namen „Gottlieb“ nicht, aussprechen?* — śmiejąc się wciąż, zapytał syn. — *A szejne nazwiskie!* dodał, parodując zwykłą, codzienną mowę żydów.

— Może ty jeść chcesz, Gott... — zapytała znowu matka.

Ale przybrane imię syna nie mogło jój jakoś przejść przez usta. Nie czekając tedy odpowiedzi, powstała, otworzyła szafę i, wyjąwszy z niej parę talerzy z rybą i śledziami, postawiła je przed synem i jego towarzyszem.

— *Danke!*—rzekł Abramek—i, podniósłszy rękę, poklepał nią matkę po ramieniu.

Pieszczota ta, aczkolwiek zbyt mocno poufała i :

lekceważenie zakrawająca, rozpromieniła znowu twarz Chai.

— Gottlieb! — rzekła, z widoczném wysileniem imię to wymawiając, — a gdzie ty był tak długo, *mein Bubchen*? Ja ciebie od wczoraj nie widziała! Dlaczego ty do domu na noc nie przyszedł?

Abramek, przezywający się Gottliebem, szybkie spojrzenie zamienił z towarzyszem, matce zaś odrzekł:

— Ja dziś w biurze telegraficzném przez całą noc pracowałem. Wiész, mamó, że kiedyś ty tu spałaś w twoich *betach*, ja 2000 depesz wysłałem w różne strony świata.

— Aj, aj! — krzyknęła Chaja z podziwu wielkiego, i z dumą niewysłowioną na syna patrzyła.

— Ja dziś w nocy do Sultana tureckiego depesze wysyłałem! — ciągnął Abramek, patrząc wciąż na matkę swemi błyszczącymi, żartobliwymi oczyma.

— Aj, aj! — powtórzyła Chaja z większém jeszcze, niż wpródy, zdumieniem i zachwyceniem.

Klemens dusił się od śmiechu.

— *So!* — w kształcie zakończenia wymówił syn Chai; — a teraz *geh*, mamó, na swoje miejsce; my tu będziemy z panem Klemensem jeść i rozmawiać.

Posłuszna rozkazowi temu, Chaja odeszła, uśmieając się wciąż z radością i dumą i na palcach przystępując, aby synowi, który „wyglądał jak lustro”,

a do Sultana tureckiego depesze wysyłał, w rozmowie z towarzyszem nie przeszkadzać.

Abramek z Klemensem jedli, popijali piwo i z cicha rozmawiali. Młody Szyłło chwalił się snadź przed towarzyszem ze zleceń jakichś, które otrzymał od Głównego Agenta Domu pośrednictwa, i ze świetnych widoków, otwierających się przed nim w skutek tego nowozabranego stosunku, bo w szepcie jego nazwisko Poryckiego powtórzyło się kilka razy, a oczy Abramka świeciły gorączkowo, migotały niespokojnie a za-zdrośnie.

— Za tydzień więc jedziesz do stolicy?—zawołał, gdy Klemens na chwilę mówić przestał.

— A tak, za tydzień.

Abramek jeść przestał, czoło na dłoni oparł i ze wzrokiem, wbitym w ziemię, zamyślił się nad czémś głęboko. Po zsuniętych brwiach jego i linii warg cienkich, które wykrzywiły się nieco, poznać można było, że zaduma jego pełną była gorzkich niecierpliwości jakichś, głuchych niechęci i gniewów.

Z bawialni tymczasem dochodziły do piérwszej izby zmieszane odgłosy rozmów bardzo ożywionych: wyróżniały się pomiędzy innemi głosami dźwięczny a przekonywający głos Poryckiego i porywczy sposób mówienia Konrada. Po chwili jednak dwa głosy te zniżyć się poczęły, w szept jakby przechodząc. Rzeczywiście, Agent Główny i mąż Lili usunęli się ni od reszty towarzystwa i, wsparci obaj o wytarty

tepianik, półgłosem zamieniali ze sobą następujące wyrazy:

— Mam nadzieję,—mówił Porycki,—że pan wierzysz w żywą życzliwość, którą powziąłem ku niemu od pierwszego wejrzenia.

Konrad wyciągnął rękę do uścisku.

— Jak Boga kocham!—odrzekł,—nie wiem dlaczego, ale i ja pana z całego serca pokochałem...

— A więc posłuchaj pan mojej rady! Exekwuj sądownie oblig żony u jej brata...

Konrad myślał chwilę ze spuszczoną głową.

— Nie! — odparł, — trudno... widzieć się z Mieczysiem mogę i poprosić go, żeby oddał, jeżeli może... ale dusić go... On, widzi pan, mój krewny i rówieśnik...

Przytaczał-by dalej argumenta, których już raz w podobnej użył rozmowie, ale przerwał mu Porycki:

— A więc pomów pan z szanowną matką swą o sprzedaży majątku.

— Pójdę zaraz do mamy, — zgodził się Konrad i sięgnął po czapkę.

W tej samej chwili Łozowicz, skurczony, zbiedzony, zaledwie że nie rozplakany i co chwila pogładzający dłonią łysinę, w innej stronie pokoju brał za czapkę.

— Co będzie? — półgłosem mówił Eli, trzymający w ręku arkusz zapisanego papieru. — Niech pan tylko popatrzy na ten papier i posłucha tego, co on

gada. Jeżeli pan zostanie w Łozowój, to za rok będzie zero; a jeżeli pan teraz Łozowę sprzeda, ot jaka cyfra panu do kieszeni wpadnie...

Biedny marzyciel dalekim był w téj chwili od zastanawiania się nad cyframi; przed wzrokiem jego stały śliczne gaiki, malownicze łączki i wzgórze, kwieciste klomby i stare drzewa Łozowój. Stała mu téż przed oczyma spłakana od serdecznego żalu twarz pani Adeli, a tuż koło niéj widział brykę jakąś wielką, która siedmioro dzieci jego uwoziła z cichego rodzinnego kąta na drogi kręte i nieznanne, w świat szeroki i zimny. Stał z czapką w ręku i z głową na pierś zwieszoną długo. Westchnął potem z całej piersi i rzekł:

— Naradzę się z żoną i synem.

— To, to, to,—potwierdził Eli,—niech pan naradzi się... szczególniej z synem; tylko ja panu powieźć muszę, że mnie pieniędzy moich na Nowy Rok koniecznie potrzeba.

W parę minut po tych rozmowach, Kamil, z twarzą rozpogodzoną i zadowolenia pełną, piérwszy opuszczał bawialnię Elego. Eli szedł za nim. W chwili, gdy obaj ludzie ci przechodzili przez na-pół ciemny środkowy pokój, Eli spostrzegł Abramka, schylonego nad bufetem i przemawiającego do Chai z widoczném przymileniem. Chaja wyraz twarzy miała stroskany i zaszępiiony, ale ręka jéj powoli i jakby z wahaniem się odsuwała szufladę stołu. Abramek skośne śrzenie rzucał na tę szufladę, z którój po chwili C

wyjęła kilka asygnat i, przeliczywszy je, oddała synowi. Abramek szybko asygnaty do kieszeni tużurka schował i, usłyszawszy kroki nadchodzących, twarzą ku pokojowi się zwrócił. Oczy jego spotkały się z utkwionym w niego poważnym i surowym wzrokiem ojca. Spokojne zwykle czoło Elego, na którym przebyte trudy i walki parę tylko pomiędzy brwiami wryły pogłębień, zbrzdziło się teraz całe w gęste poprzeczne zmarszczki i nie rozpogodziło się już wtedy nawet, gdy Konrad i Łozowicz podawali mu ręce na pożegnanie i gdy Porycki, który przez czas jakiś sam na sam z Augustynem Szyłłą rozmawiał, widząc go wchodzącego do bawialni, zawołał:

— Pan Szyłło zgadza się nakoniec na zawarcie z nami umowy! My wypłacamy mu należność, którą ma na Ręczycu i Łozowiczu, a on uczyni w ten sposób, aby oblig Mieczysława Orchowskiego znajdował się w schowaniu nie u pana Konrada, ale u jego żony, i ażeby wszyscy niedostatecznie ulegalizowani wierzyciele pospadali z hypoteki Ręczyna.

Eli, zasepiony wciąż, roztargniony, z nową lub odnowioną, lecz ciężką widocznie troską w głowie, nie odpowiedział nic. Augustyn Szyłło za to, który w czasie przemowy Poryckiego stał z rękoma opuszczonemi i wzrokiem wbitym w ziemię, nie podnosząc oczu, powoli, z tłumiącym głos ciężarem na piersi, mówić zaczął:

— Bóg mi świadkiem, że zgodziłem się uczynić to

wszystko ze srogiej tylko konieczności. Dzieci nam... potrzebują one ode mnie wszystkiego... w domu chłodno i głodno... Pracowałem dla panów tych gorliwie i uczciwie przez lat wiele... a oni rzucali mi setny za ledwie grosz z tego, co mi się od nich należało... Teraz... nie mogę już inaczej... cierpliwości przebiera się... kawał chleba dla siebie, lekarstwo dla mojej biednej żony, suknie dla córek przyjąć muszę od tych, którzy mi je dają... za cenę... za cenę mego sumienia!...

Mówił to nie do innych, lecz do siebie. W miarę mówienia, głos jego chrypnął i cichł, a jakby ostatnie wyrazy zdławiły go nagle, poniósł rękę do gardła i, podnosząc wzrok na twarz Elego, wymówił z uśmiechem, dziwnie odbijającym od warg jego wybladłych, czoła rozoranego i posępnych oczu:

— Panie Eli, bądź łaskaw poproś żony o kieliszek wódki dla mnie!

Eli stanął we drzwiach i po żydowsku wydał Chai stosowne zlecenie, Porycki zaś, który, uśmiechając się żartobliwie, zbliżył się do niego, rękę swą białą i kształtną położył na przygarbioném jego ramieniu i zawołał:

— Przesada, panie szanowny, przesada! zastażałe i nieuzasadnione skrupuły! Ludzie ci nie umieli mienia swego używać, wolno więc nam korzystać z podziału, o ile tylko jest to w naszej możności, boć przecie potrafimy lepij go użyć od nich!...

Ildelfons Porycki, sprzedając Konrada, który n

zajść do hotelu po żonę, udał się wprost ze *stauu* Elego do mieszkania pani Malwiny. Matka Konrada, przez ubiegłe lata niezmieniona ani trochę, pulchna zawsze, rumiana i ruchliwa, ujrawszy wchodzącego gościa, zerwała się z kanapki, na której siedziała, i wybiegła na środek salonu, z oznakami wielkiego ukontentowania.

— Ah, *comte!* — zawołała — sam Bóg mi tu pana zsyła w tej chwili! Figuruj tylko sobie, kochany hrabio, że umieram z nudy! To N. zrobiło się od pewnego czasu formalną pustynią! Trzeci już wieczór z rzędu nie mam u siebie nikogo z gości, i jeżeli tak dłużej potrwa, dostanę znowu tego okropnego poziewania, które niezawodnie do grobu mię kiedyś wtrąci!

— Szczęśliwy jestem, że przybywam w porę—odparł Agent Główny z galanterią, całując podaną sobie pulchną i białą rączkę sześćdziesięcioletniej wietrznicy; — za chwilę jednak szanowna pani będzie miała u siebie gości najmiłszych, bo pana Konrada i panią Lilę, którzy przyjdą tu, aby wieczór z panią przejechać.

Pani Malwina wstrząsnęła smutnie głową, w modny tulowy czepeczek ustrojona, i westchnęła.

— Figuruj sobie, *cher comte...* wszak jesteś przyjacielem Konrada... że Konrad staje się dla mnie coraz gorszym synem. Nie mogę uprosić go, aby mi dał nędzne jakie parę tysięcy rubli na wyjazd do

Warszawy. Remarkuj sam, kochany hrabio, czy mogę tu, w tój mieścinie, przepędzić całe życie? Upadam na humorze i tylko patrzeć, jak wróci mi moje poziewanie, którego doświadczałam, mieszkając na wsi. *Enfin*, mam dwie córki — znasz je, hrabio — młodziutkie to wprawdzie jeszcze stworzenia, ależ trzeba jednak pokazać je w świecie, nie prawdaż? inaczey staremi panami zostaną i, figuruj sobie, *cher comte*, czy to będzie pięknie?

Porycki skłonił głową, na znak zgodzenia się.

— Jakkolwiek — rzekł — mam w istocie przyjemność i zaszczyt być przyjacielem pana Konrada, nie mogę nie przyznać, iż szanowna pani słuszne ma powody żalu do syna...

— *N'est-ce pas? cher comte.*

— Témbardziej — ciągnął gość — że gdyby tylko pan Konrad chciał usłuchać przyjaciół swych i sprzedać Ręczyn...

— Słyszałam, słyszałam o tój sprzedaży, *cher comte*; ale nie mów mi, proszę cię, o interesach żadnych, bo zaraz poziewania dostanę...

— Nie poważyl-bym się trudzić szanownej pani rzeczą tak błahą w istocie, a uciążliwą, jak wszelkiego rodzaju interesa, gdyby nie szczera troskliwość, którą uczuwam o zdrowie jéj i przyszłość ślicznych jéj córek...

— *N'est-ce pas, comte*, że Flora i Róża mogły-by

świetne partye zrobić, gdyby pokazać je gdziekolwiek na większym świecie?

— Niezawodnie! niezawodnie! nie ulega to wątpliwości najlżejszój! Prztém, gdyby sprzedaż Ręczyna dokonana została, wypłacili-byśmy szanownej pani, *argent comptant*, zapis, który na rzecz jój uczynił nieboszczyk pan Ręczyc...

Oczy pani Malwiny poruszyły się żwawo i zamigotały radosną nadzieją.

— Ależ bo, *cher comte*, figuruj sobie... nie wiesz może o tém, że zapis ten — ja się na tém nie znam, ale mówił mi *ce pauvre diable* Szyłło, który przecie jest prawnikiem — że zapis ten nie jest... nie jest... jakże się to mówi? — abhoruję te wasze barbarzyńskie prawnicze expresye — nie jest... ule... ga... li... zowany! Ach! szczęście to doprawdy prawdziwe, że się nie zakrztusiła.

— Czyż może być mowa pomiędzy synem a matką o legalności i nielegalności dokumentów? — wykrzyknął Ildefons Porycki.—Ja... ja sam osobiście daję pani słowo, że jeżeli tylko Ręczyn sprzedany zostanie, otrzymasz szanowna pani z mojej własnej ręki całą zapisową sumę... *argent comptant*.

Pani Malwina przesuwała się z jednego końca kanapki na drugi, splatała i rozplatała dłonie.

— Ah! *cher comte!* wracasz mi życie! Pojechała a zaraz z Różą i Florą do Warszawy. Imaginuj sobie, że mam tam mnóstwo znajomych, z da-

wniejszych jeszcze czasów... Najęta-bym mieszkanie przy Krakowskiém-Przedmieściu... pięć albo sześć pokoi, nie więcej, bo trzeba przecież ekonomią robić... miała-bym kółko *des intimes*, malutkie kółeczko... osób jakich trzydzieści albo czterdzieści, nie więcej, a raz na miesiąc dała-bym wieczór wielki, aby Różę i Florę świata pokazać...

Rumiana twarz pani Malwiny rumieniła się coraz żywiej; szare oczki jęj zachodziły mgłą przyjemnego rozmarzenia. Mówiła-by tak i na głos marzyła dłużej jeszcze, ale otworzyły się drzwi salonu i weszli Lila i Konrad.

— *Mes chers enfans!* — zawołała pani Malwina, biegnąc ku drzwiom. — Byłam dziś słabą i znudzoną, jak nigdy, ale konwersacya z naszym kochanym hrabią wprawiła mię w humor prawdziwie różowy.

— Cieszę się bardzo, że mamę w różowym zastaję humorze, bo mój humor jest dziś, jak Boga kocham, dyabelnie czarny!—rzekł Konrad, który, markotny bardzo i na cały jakby świat rozgniewany, z wielkiém jednak uszanowaniem rękę matki pocałował.—Żeby mama wiedziała, ile-to nakłopotać się trzeba z temi interesami...

— O moi państwo! jeżeli tylko o interesach ma być tu mowa, to ja uciekam coprędzej i idę do Rózi i Florki.

Słowa te wymówiła Lila i, rzuciwszy Poryckiem który z nięj oka nie spuszczał, przelotne ale znaczą

spójrzanie, lekko, z wdziękiem, nucąc z cicha, przeszła do przyległego saloniku.

— Ja także usuwam się i zostawiam państwo sam na sam—z ukłonem rzekł Ildefons:—niech rozmowa, oparta na ufności i przywiązaniu rodzinném, nie ma zemnie natrętnego świadka.

Rzekłszy to, udał się za Lila.

Młoda kobieta stała na środku saloniku, w postawie nieruchomej, z palcem przyłożonym do ust, figlarne uśmiechniętych. Wzrok jój, figlarny także w téj chwili, spoczywał na grupie, z dwóch osób złożonej, zajmującej głąb' gabineciku małego i bardzo słabo oświetlonego.

Byli to Kamil i Flora, obok siebie na aksamitnej kozetce siedzący i tak zajęci niezmiernie żywą, acz cichą rozmową, że nie wiedzieli wcale, co się w przyległym działo saloniku.

— Nie trzeba im przeszkadzać—zartobliwie i półgłosem rzekła Lila do nadchodzącego Ildefonsa. — Flora i brat mój Kamil kochają się z sobą od czasów niepamiętnych...

— Dlaczegoż nie połączyli się dotąd? — zapytał Porycki, wymowne swe spojrzanie uparcie na twarzy młodej kobiety zatrzymując.

— Nie wiem doprawdy... jakieś ciągle nieporozumienia... Sądzę, że Kamil wcale żenić się nie chce. Biedna Florka cierpi na tém bardzo i ja jój z całego

serca załuję! Zostańmy tu... niech rozmawiają z sobą, może się porozumieją.

W téj więc chwili w dużym salonie, w mniejszym saloniku i w małym, pół-oświetlonym gabinecie, pośród napełniających mieszkanie to mnóstwa błyskotek, cacek, fraszek i fatałaszek, znajdowały się trzy odosobnione i żywo ze sobą rozmawiające pary.

Najcichszą z razu i najżywszą rozmowę prowadzono w gabinecie. Młodsza córka pani Malwiny, która przez lata ubiegłe zmieniła się bardzo, przemawiała do towarzysza swego to z uniesieniem, to ze słodyczą i żalem naprzemian. On odpowiadał jej długo, z wolna i z uśmiechem; ją uśmiech ten jego drażnił widocznie, ale łzy, iskrzące się w błękitnych jej źrenicach i drzenie ust czyniły ją ładniejszą, niż kiedykolwiek.

Kamil patrzył na nią przyjaźniej, przemawiał czulej, a ona łagodniała i wracała do ufności dawniej, do dawniej słodczy wejrzenia, do dawnych swawolnych lub zalotnych uśmiechów.

W salonie Konrad siedział naprzeciwko matki swój, z łokciem opartym o stół i głową na dłoń pochyloną.

— Jeżeli mama radzi mi to uczynić — mówił — jeżeli znajduje, że będzie to ze szczęściem i n... i Lili, i mojem, to... cóż robić? niech i tak będzie! Prawdę mówiąc, i mnie już takie życie doja

Makower powiada, że nastęrczy mi zaraz do kupienia majątek w Królestwie, mniejszy od Ręczyna, ale czysty, bez długów, z pięknymi łąkami i stadniną koni...

— Otóż widzisz, kochaneczku! kupisz sobie ten majątek i kłopotów pozbędziesz się. A ja do Warszawy na mieszkanie z Różą i Florą pojedę. Wszak wypłacisz mi zapis ojca... *n'est-ce pas?* choć on nie jest ule... ulegali...

Konrad wstał żywo z krzesła.

— A to, jak Boga kocham, dziwi mnie bardzo, że mama pytać mnie nawet o to może. Czy ja kiedy chciałem mamę pokrzywdzić? czy zapomniałem kiedy o tém, że jestem synem, że mama to pierwsza osoba, a ja dopiero druga?...

— Wiem, wiem, kochaneczku! — zawołała pani Malwina, ze łąą rozczulenia w oczach. — Byłeś, Konniu, zawsze synem dobrym... pasyi brzydkich żadnych nie miałeś... tylko jedną do tych zwierząt... No, ale jak kupisz sobie ten majątek z łąkami... Pójdź, niech cię uścisknę!

Lila i Ildefons, przechadzając się po saloniku środkowym, toczyli ze sobą następującą rozmowę:

— Matka pani — mówił Porycki — czuje się dziś w humorze różowym, mąż w czarnym. Jakąż barwą oznaczysz pani własne swe usposobienie dzisiejsze?

— Barwą... barwą szarą — z uśmiechem pół-zarobliwym, pół-smutnym, odparła kobieta.

— Dlaczego szarą?

— Bo kolor szary zbliża się zarówno do czarnego i białego. Ja także znajduję się pomiędzy szczęściem, które błyska mi w oddali, a smutkiem i tęsknotą, które zapewne będą na zawsze moim udziałem...

— Po cóż tak posępne myśli?... Należy tylko zbliżyć się do tego, co jest szczęściem, a oddalić od siebie to, co sprawia smutek i powoduje tęsknotę.

— Jest to niepodobnem. Życie to ma tyle więzów...

— Trzeba je zerwać!

— Czyliż kobieta uczynić to może? Pamiętam, jak niegdyś droga moja Julia mówiła mi, że życie kobiety bywa zwykle jednym ciągiem cierpienia, tęsknoty, przymusu... Nie chciałam jój wierzyć, ale przekonałam się, że mówiła prawdę.

Na dźwięk imienia Julii brwi Poryckiego drgnęły, jak zwykle bywało, gdy czuł się podrażnionym lub niespokojnym. Po chwili jednak, twarz jego wróciła do uprzedniego wyrazu.

— Panna, czy pani Julia — rzekł stanowczym tonem — myliła się. Dzieci tylko bezwładnie przencszą cierpienia i przymus; ludzie pęta swe rozrywają..

Ale przebacz pani to, co powiem... pani jesteś w wielu względach dzieckiem jeszcze.

Lila z urazą głowę podniosła.

— Ja dzieckiem?

— Tak — potwierdził Porycki, a w głosie jego była surowość, której nie znało dotąd ucho kobiety, nawykłej do pieszczot, pochlebstw i hołdów. — Dziwisz się pani może i obrażasz, że, zamiast komplementów, mówię jęj ostrą prawdę... Ale ja... jestem człowiekiem nowożytnych idei... przytém, za szczęście pani oddał-bym ostatnią krwi mojęj kroplę... muszę więc raz jeszcze powiedzieć pani, że z całą cudowną pięknością swojęj, z całym swym czarem i urokiem niewysłowionym... jesteś pani z wielu względów słabém i niedoświadczoném dzieckiem; nie umiesz jeszcze być człowiekiem !...

Zawarta w tych słowach mieszanina surowości i pochlebstwa, gorącej namiętności i twardego upomnienia, dziwne wrażenie wywarła na Lilę. Stanowczość Idefonsa i to, co mieniła ona wyższością rozumu jego, imponowały jęj, czyniły ją wobec niego nieśmiałą i zawstydzoną; tłumione uniesienie, z jakim mówił o uczuciach swych dla nięj, porywało ją ku niemu, niby podmuch nieprzeparty gorącego wichru.

Podniosła twarz zrumienioną i, z trudnością powstrzymując drzenie głosu, szepnęła :

— A więc, panie hrabio, naucz mnie być człowiekiem!

Pochwyił rękę jęj w obie dłonie.

— Dobrze! — odparł szeptem, gwałtownym niemal. — Ale nie nazywaj mnie pani *hrabią!*

— Panie Ildefonsie!... — uśmiechnęła się kobieta.

— Odrzuć i tytuł pana! Wymawiaj tylko imię moje! Po cóż te wieczne rozdziały etykiety i fałszywych wstyduw pomiędzy mężczyzną a kobietą? Nie jesteśmy-ż równymi sobie ludźmi? Dlaczegoż mówisz po imieniu bratu swemu, a mnie nie możesz? Ja także jestem bratem twoim... w ludzkości. Lilo, wymów imię moje!

Kobieta stała, ramieniem wsparta o krawędź ściany, i obu dłońmi twarz zakryła.

— Cóż? — szeptał Ildefons — nie wymówisz pani? nie ośmielisz się?... Czyliż nie miałem słuszności, mówiąc, że jesteś dzieckiem słabém? Kiedyż więc zaczniesz pani być człowiekiem?

Lila dłonie od twarzy odjęła i, podnosząc na niego wzrok, w którym były i łzy zawstyżenia, i ogień wzrastającej coraz namiętności, szepnęła z cicha:

— Ildefonsie!

Jak trucizna, w małych dozach udzielana organizmowi, który przeciw niej nie ubezpieczył się!

czém, powoli, lecz nieuchronnie, przenika w krew jego i tkanki, tak nauki i rady Ildefonsa z wolna, coraz głębiej i zupełniej, wnikają w pozbawioną wszelkich orężów obrończych, fizyczną i moralną istotę Lili.

VI.

Kiedy Porycki udawał się do pani Malwiny, Eli opuścił także swoje mieszkanie, i długo szedł ulicami większemi, w kierunku, który wiódł do dzielnicy, specjalnie przez Izraelitów zamieszkiwaną, a nawet noszącej miano żydowskiej.

Była to dzielnica szczególna, taka, której podobne w niewielu już znajdują się miastach. Był to ślad, pozostawiony przez upłynione wieki, a niwelującą stopą cywilizacji jeszcze niestarty; było to żyjące przypomnienie dawno zmarłych ustaw i rozgraniczeń, wstrętów i krzywd, wynoszeń się i upodleń.

Miejscowość ta stanowiła niegdyś jedną z tych średniowiecznych *gehenn*, w których, srogimi zakachai zamknięci wyznawcy talmudu, wiedli długo upodleg, dręczeni, podziemny niby żywot. Rzecz

Jak trzęgące tego miejsca bramy murowane skru-nizmowi, ktaęły dawno, skruszyły się i zniknęły opa-

sujące je żelazne łańcuchy, a ono, jakim było podówczas, takim pozostało dotąd.

Dzielnica żydowska w N., na dość obszernej przestrzeni rozłożona, z jednej strony spuszczała się po stoku góry ku rzece, z innej łączyła się z dalszemi częściami miasta mnóstwem zaułków wązkich, krętych i ciemnych. Tu i owdzie, u wejścia do zaułków tych, szczątki bram wysokich a sklepistych szeptały do ucha miejscowych mieszkańców stare, mroczne legendy.

Ktokolwiek dość ciekawym był i odważnym, aby przebyć w całej długości jeden z zaułków, jedną raczej z ponurych tych szczelin, których środkiem biegły wody cuchnących ścieków, ten u wyjścia z pomiędzy dwóch ścian, utworzonych z murów wysokich, zczerniałych i wilgoć sączących, popadał w dziwny, kręty labirynt uliczek i placyków, domków i chałup, podwórek i ogródków. Najbieglejsze oko nie zdołało-by tu odkryć żadnej linii prostej i pewnej, żadnego rysunku, zwiastującego plan jakiegokolwiek. Niezliczone, zda się, uliczki, brukowane i niebrukowane, gęste ścieżyny, biegły tu w kierunkach przeróżnaitych, krzyżowały się ze sobą, dosięgały ciasnych, nieforemnych placyków, urywały się, znikwały i kędyś za płotem jakimś lub podwórkiem odradzały się, aby w nowych skrętach zbiegać po stoku góry i zniknąć nad piaszczystym brzegiem rzeki, w cieniściej głębi wąwozu, lub za spruchniałą ścianą domowstwa.

Z obu stron przejść tych błędnych widać było po-przez płoty przegniłe i na-pół rozwalone, podwórka podługowatego kształtu, chropawym brukiem opatrzone, śmieciem i kałużami okryte, z nadpruchniałymi stajenkami i śpichrzami w głębi, z jęklowie a wiecznie skrzypiącymi bramami, z wieczną też, napętniającą je mgłą wilgotnych, ciężkich, duszących wyziewów. Budynki, podwórka te okalające, drewniane były, szare aż do zczerniałości; dachy miały wklęsłe, wysokie a dziurawe, okienka mętne, z drobnych, zielonkawych szybek złożone. Tu i owdzie leżały pomiędzy niemi szmaty gruntu, pod uprawę warzywa w zagony zoranego, a wyglądające z dala jak nierówno zarysowana, czarna warcabnica; gdzieindziej domowstwa, nieprzedzielone niczém, cisnęły się ku sobie, stykały się ze ścianami, zasłaniały sobie wzajem okna, a rozstępowały się i szerszą dokoła pozostawiały przestrzeń tam dopióro, kędy stały budowle murowane, wysokie, o wielkich, jasnych oknach i gontowych, malowanych dachach. Budowlami temi, których w dzielnicy owój znajdowało się kilka, a które, wśród ogólnej szarej barwy, jaśniejąc białością, starannie utrzymywaną, wznosiły się ciężko, lecz wysoko—były bożnice.

W dzielnicy téj zdumiony i rozciekawiony przechodzień spotykał na każdym kroku widoki i odgłosy, których-by nadaremnie szukał gdzieindziej. Tu w dnie słoneczne, na podziurawionych schodkach lub

progach spróchniałych, siadywały niewiasty z pomarszczoném od starości licem, z głową owiniętą olbrzymim zawojem ze spłowiałej, bo starój, jak one same, materyi, z wyzólkłą szyją, obwieszoną mnogiem i rzędami kanciastych pereł i złocistych medali, z kwiecistym, długim fartuchem u pasa. Wkoło nich, nakształt gromady południowych cyganiat, w podskokach i z wrzaskiem, rozdzierającym uszy, w błotnistych pluskał się kałużach rój dziatwy półnagiej, ogorzałej, świecącej z dala ognistym, rozczochranym włosem.

Tu, w godzinach zapadającego zmroku, z okien bożnicy buchało rześiste światło, a z głębi jój wypływał i roztrącał się o ściany ciasnego placyku donośny, przeciągły, straszliwą skargą jakąś nabrzmiały głos wyśpiewującego psalmy kantora. W odpowiedzi głosowi temu odzywały się niekiedy chóry potężne, z których tła basowego, ognistemi niby snopami, wytryskiwały ostre krzyki i jęki, to podnosząc się ku najwyższej skali głosu ludzkiego, to spadające i w jedno olbrzymie spływające westchnienie. Tu ciasną uliczką sunął czasem po nierównym bruku wóz, w jednego konia zaprzężony, a na nim spoczywała długa drewniana skrzynia, zawierająca w sobie zwłoki świeżo zmarłego człowieka. Za wozem i skrzynią postępowało kilkudziesięciu, niekiedy kilkuset mężów, w długich ubiorach, z ogromnemi, pierś całą przysłaniającemi brodami, z twarzami, których nigdzie

już więcej, prócz w tém miejscu, widzieć nie można było.

Tak; dziesiątki, setki, tysiące może ludzi żyło tu takich, którzy prócz dzielnicy téj swojej rodzinnej, żadnego innego miejsca na świecie nie znali. Śród nich niejeden żadnej innéj mowy, prócz ojczystego szwargotu, nie poznał nigdy, i nie rozumiał żadnego słowa z języków, dokoła miejsca tego używanych. Tu na rynkach i placykach siadywały izraelskie przekupki z rybą, warzywem, ciastem i piernikami; tu były izraelskie rzeźnie, traktyernie, zajazdy i kramiki; tu, Izraelitom wyłącznie służący, zamieszkiwali rzemieślnicy różni, od cieśli i kowalów, do krawców i modniarek, od wyrabiaczy najprostszycy sprzętów, napełniających szare chałupy, do tych, którzy ciała mężów przyoblekali w odświętne świecące chałaty, a głowy niewiast zaopatrywali w peruki o rudych uplotach i w odświętne téż czepce o żółtych kokardach i czerwonych różach. Mieszkaniec dzielnicy téj mógł, nie wychodząc nigdy po-za jéj granice, zaopatrzyć się we wszystko, czegokolwiek potrzebował biedny, skąpy, brudny, wszelkiego piękna pozbawiony byt jego.

To téż roiła się tu ludność różnych płci i wieków, w sposób zdumienie i przerażenie niemal sprawiający. Każdą z tych chałup niskich i ciasnych zamieszkiwało rodzin kilka, osób kilkadziesiąt; każdą z tych drobnych szmat gruntu, w warcabnicę ułożony

uprawiało rąk mnóstwo; jeden zagon żywił tu ziemniakami i cebulą ust mnogość wielką; każdy kąt wypełniony był gwarem głosów przeróżnaitych. Żaden spis urzędowy określić napewno nie zdołał nigdy ilości ciał i dusz, które grzęzły tu w śmieciach, w błocie, w bezdennych, zda się, na-poły brudnych i odrażających, na-poły tajemniczych i dziką poezją jakąś tchnących ciemnościach.

Wszystko tu zresztą, obyczaj i mowa, wierzenia i dążenia, uczucia i zamiary—mrokiem było, tajemnicą, odosobnieniem, niechęcią głuchą, upartém a namiętném pamiętaniem o przeszłości. Przyszłość—słodka i jasna przyszłość, z oświatą, zgodą, miłością, z uraz zapomnieniem, z braterską jednością, nie świeciła tu promykiem najmniejszym... Lud sfinx, lud gość a wróg, lud męczennik a mściciel, objawiał się tu w całej jeszcze posępności nędz swych, brudów, tajemnic, zabobonów, pamiętek bolesnych i... wydzielanych z siebie cuchnących wyziewów.

W téj-to części miasta, niedaleko białej i wysokiej bożnicy, w domowstwie nizkiém, lecz z pomiędzy wszystkich otaczających je najporządniejszy pozór mającém, mieszkał ojciec Elego, Judel, niegdyś krawiec z miasteczka Orchowa, ojciec piętnaściorga dzieci, spijających na półkach do ścian przymocowanych, teraz starzec chory, zgrzybiały i spoczywający.

1 temu domowstwu, po-przez labirynt uliczek i placów, wśród zupełnej prawie ciemności, którą z rzad-

ka tylko rozświecały smugi światła, z okien bożnic wypływające, śpiesznie, coraz śpieszniejsze, kroki swe zwracał Eli.

Przez na-pół przymknięte drzwi dotarł do sionki ciemnej zupełnie, potknął się parę razy o gospodarskie rupiecie, które ją zapełniały, a omackiem trafiwszy do drzwi, znajdujących się po prawej stronie sionki, wszedł do izby dość obszernej, oświetlonj żółtawym światłem palącej się łojówki. Świeca paliła się na małym stole, dźwigającym kilka ksiąg wielkich, w pergaminowej odwiecznej oprawie. Przy stole, w głębokim, bardzo wygodnym fotelu, z nogami wspartemi o drewniany stołek, leżał nieruchomo starzec z długimi siwymi włosy, w śnieżnych pasmach z pod czarnej jarmułki spływającemi na ramiona z długą brodą siwą, o srebrnych i złotawych połyskach. Był to Judel.

Ciężki, astmatyczny oddech wydobywał się ze wklęsłej piersi starca chrapliwie i przeciągle; w leżącej postawie jego malowała się bezwładność cielesna, ale w blado błękitnych, szeroko rozwartych oczach, ten sam, co dawniej, tkwił wizerunek duszy słodkiej, cierpliwj i zadumanj, ten sam co dawniej uśmiech mistycznej radości na wybladłych spoczywał ustach; nad twarzą wznosiło się to samo czoło wysokie, w tysiące zmarszczek zbrudzone troską, cierpieniami, pracą, tajemną moze, długoletnią tęsknotą n

śli, rwając się z oków niewiadomości i zniekania ku światłu i życiu.

Nikogo więcj, prócz starca tego, w izbie nie było; to też panowało tu milczenie zupełne, przerywane tylko czasem niewyraźnie dochodzącemi głosami osób, w innéj stronie domu rozmawiających.

Otwierające się drzwi skrzypnęły, stary Judel zwrócił ku nim głowę, a widok wchodzącego syna rzucił na całą twarz jego blask cichéj radości, połączonej z czułością niewymowną.

— *Guten Abend, Tate!* — rzekł Eli, zbliżając się i otrząsając z czapki osiadłe na niéj krople deszczu.

Schylił się przed starcem, i chudą, przezroczywą rękę jego do ust swych przyłożywszy, wycisnął na niéj głośny pocałunek.

— *Was ist das?* — rzekł, oglądając się po izbie z miną niezadowolenia pełną. — Dlaczego przy tobie nikogo niéma? ty możesz potrzebować czego, tobie może źle zrobić się, a tu niéma żywego ducha! Czy Sura z kramu jeszcze nie wróciła? Co robią wnuczki jéj i córki Mendela? Czy ja im pieniędzy nie daję i sukien nie kupuję za to, żeby one przy tobie siedziały?

Starzec zrobił ręką gest łagodny, lecz zarazem nakazujący trochę.

— Nie gniewaj się na nich, Eli — rzekł — ja ich sam z izby wyprawił, bo rabbi Baruch był u mnie

a jak rabbi Baruch do mnie przychodzi, to ja nie chcę, żeby tu był kto inny...

Eli skinął głową na znak zrozumienia, i usiadł na stołku, tuż przy fotelu ojca.

— Dobrze tobie tu, tate? — zapytał. — Może tu zimno? może te dziewczęta za mało w piecu palą? A herbatę czy tobie zawsze dają, jak potrzeba? a łokszyna i ryba czy codziennie dla ciebie na obiad jest? Ty mi, tate, prawdę mów, bo jeżeli ci tu źle służą, albo tobie braknie czego, to ja już na to poradzę... Ja chcę, żeby ty wszystkie wygody miał, i żeby ty odpoczywał, i żeby twoich oczu nic nie obrażało, i żeby twego serca żaden smutek nie dotknął... Ja, chwalić Boga, pracuję i zarabiam, i mam sposobę, żeby cię szczęśliwym i spokojnym uczynić...

— Niczego mi nie braknie, Eli — odparł stary Judel. — Mam izbę ciepłą, i herbatę, i łokszynę codziennie, i to krzesło wygodne, co ty mi *jego* kupił, i na którym dobrze jest leżeć choremu ciału memu... Ale ja mam więcej jeszcze, niż to wszystko, bo do mnie rabbi Baruch przychodzi... a ja i rabbi Barucha od ciebie, Eli, mam, bo żebyś ty mnie tu nie przywiózł i nie posadził, to-bym ja *jego* nie znał...

— Żebym ja cię tu nie przywiózł, tate? A jak ja miał cię tam zostawić samego, bez dopatrzania i wygody, kiedy tu mieszka pięcioro dzieci twoich: Sura i Mendel, Icko i Ruchla i ja—Eli?

Stary Judel podniósł w górę rękę swą wychudłą i drżącą.

— Niech wielki, mądry, straszny Jehowa błogosławi ciebie i dzieci twoje, i wnuki twoje, za wszystko, co ty zrobił dla mnie, i dla braci i siostr twoich, i dla wszystkich *naszych!*...

Pod wpływem błogosławieństwa tego, wyrzeczonego szeptem gorącym, Eli wyprostował się; duma i głębokie zadowolenie na twarzy jego zajaśniały.

Z dłońmi, złożonemi na obu kolanach, z głową schyloną nieco, lecz z promieniejącemi oczyma, utkwionemi w twarz ojca, mówić zaczął z wolna i z wyraźnym rozradowaniem :

— On mnie już pobłogosławił, tate! Czém ja był, a czém zrobił się? Czém była cała familia nasza, a czém ona teraz jest? Czy ty, tate, myślisz, że ja nie pamiętam tego czasu, kiedy u nas taka wielka biéda była, kiedy ty pracowałeś, jak wół w zaprzęgu po nocach i po dniach, a nas jeszcze wykarmić nie mógł? kiedy u ciebie roboty brakło i ty siedział nad stołem, głowę na rękach opierając, i śpiewał do Pana Boga skargę wielką, a my słuchali twojego śpiewania i jęczeli, i płakali, bo smutek chodził koło serc naszych, a w żołądkach naszych był głód?!... My wtedy, jedno przy drugich, na półkach spali przy ścianie, a nasza mama nie spała nigdy, tylko z choroby i boleści płakała i stękała, a ty, tate, nie spałeś także, tylko obracał się na swoim łóżku i wzdy-

chał, i ciemnej nocy pytał się: dlaczego ja taki nieszczęśliwy i dlaczego moje dzieci takie nieszczęśliwe, że dla nich na świecie ani miejsca, ani chleba niema?

Gdy Eli tak mówił, stary Judel głową kiwał i powieki przymknął, a z pod ich żółtej, pomarszczonej osłony spłynęły na zapadłe policzki dwie grube łzy. Podniósł ręce ruchem powolnym i, całą postać swą na obie strony przechylając, zawołał przeciągle:

— Oj! oj! jaki ja wtedy biedny był, i jakie wy wtedy wszystkie biedne byli, i mizerne, i głodne, i smutne! Oj! oj! jaki to ciężki czas zsyłał wtedy na mnie Pan Bóg, a choć on minął już, mnie od niego jeszcze i teraz na duszy ciężko.

— Niech tobie, tate, na duszy ciężko nie będzie! — wyrzekł Eli. — Czas smutku minął, a czas wesołości nastąpił. Ja z tych półek, na których my kiedyś spali, zlaź i w świat poszedł... i ot, co teraz ze mnie zrobiło się! Żyję sobie, jak król, i u ludzi w uważaniu jestem, i największe panowie przychodzą do mnie, i podają mi ręce, i kłaniają się, i proszą. Jeden mówi: „Eli! poratuj mnie!” a drugi: „Eli! bądź dla mnie dobry!” a trzeci mówi: „Eli! nie zapominaj o mnie!” A ja ich wszystkich w garści mojej trzymam i robię z nimi, co tylko chcę!...

— A co ty, Eli, robisz dla *swoich*? — zawołał starzec. — Powiedz, co ty robił i co ty robisz dl

swoich? Choć ja o tém wiem, ale niech ucieszą się uszy moje gadaniem twojém, niech raduje się oko moje tą światłością, co z twarzy twojej bije, kiedy ty rozpowiadasz o tém, co ty zrobił dla *swoich!*

— Co ja zrobił dla *swoich?* — powtórzył Eli, prostując się coraz dumniej i coraz radośniej twarz rozjaśniając. — Czy ty, tate, myślisz, że ja nie pamiętam, jak bywało brałeś nas na kolana swoje i całowałeś, a lzy lały się z twoich oczu, a usta twoje powtarzały: „Biedne my żydy! Jeżeli my jeden drugiego lubić nie będziemy, to któż nas będzie lubił? jeżeli my jeden drugiemu nie dopomożemy, to któż nam pomoże?” I ty całował mnie wtedy tak słodko, jak matka, a palec dół góry podnosił tak srogo, jak sędzia, i mówił: „Eleczkie! Eleczkie! jak ty wyrośniesz i będzie z ciebie człowiek, to kochaj ty *swoich* tak, jak własną swoją duszę, i serce własne wyjm sobie z piersi i *im* oddaj, jeżeli tego potrzeba będzie.” Ot, jak ty mnie nauczył, tate! A kiedy ja wyrósł i człowiekiem zrobił się, mnie ta nauka z głowy nie wyszła... ja z mojej piersi wyjmowałem wszystko, co w niej było najlepszego i najśłodszego, i z moich kieszeni wyjmowałem dużo brzęczących i błyszczących pieniędzy, i oddawałem je *naszym*... Iu ja naszych żydków w świat wyprowadził i od biedy wyratował, ilu pogodził, nakarmił i do góry dźwignął! I moich braci, i moje siostry, ja zrobił szczęśliwymi. Ja owdowiałej Surze kram tu założył i na pierwszy rok

w tym domu mieszkanie najął, żeby jój małe wnuczki głodu nie cierpiały. Ja Mendela na wielkiego faktora wy kierował. Ja Lejbę i Małkę w orchowskim młynie posadził. Ja Ruchlę kupcową, a Chaima posesorem i dobrym gospodarzem zrobił. Ja Lejzoru dał pieniędzy, żeby on na Wołyń pojechał i tam bogato się ożenił. Ja Icka krawiectwa wyuczyć kazał, a Efroimu Ręczyn nastręczył i w posesyą dał. Ot, co ja zrobił dla nich, a oni wszyscy kontenci i szczęśliwi, i ja kontent był zawsze i szczęśliwy... Tylko mnie teraz jedno wielkie zmartwienie duszę przyciska, i ja dziś tu przyszedł, tate, żeby ciebie zapytać, co na to robić, żeby z tego zmartwienia nieszczęście nie wyrosło.

Judel, który przez cały czas mowy Elego siedział z przymkniętymi powiekami, a każdemu z okresów mowy téj odpowiadał kiwaniem głowy i rosnącym wciąż na ustach uśmiechem, teraz oczy otworzył i szybko twarz swą ku synowi zwrócił.

— Nieszczęście? — zawołał i ręce drżące podniósł — nieszczęście dla ciebie, Eli?

— Nu, nu, tate, niech ciebie taki wielki strach nie przejmuję! — miarkował przerażenie ojcowskie Eli. — Nieszczęścia jeszcze niéma, ale tylko zmartwienie wielkie. Ja tu przyszedł prosić ciebie, żebyś ty o moim Abramku swoją doświadczoną głową pomyślał.

— O Abramku? — powtórzył stary — już ja o nim nieraz sam myślał.

Eli uważnemi bardzo i nagle rozpalonemi oczyma w twarz ojca patrzył.

— On nie taki jest, jak być powinien, he? — wymówił z wolna, słowom swym nadając dźwięk zapytania.

— Nie taki, Eli, nie taki! — potwierdził starzec głosem smutnym i z przymkniętymi znowu powiekami.

— On nikogo nie lubi i nic nie szanuje — mówił znowu Eli, oczu z twarzy ojcowskiej nie spuszczając — on z żydów naśmiewa się, jakby sam żydem nie był, a w głowie u niego tylko zabawa, jak u jakiego panicza, albo interesa, jak u jakiego faktora. On rodzinę matce każe, żeby jego nie nazywała Abramem, ale Gottliebem, a wszystkim mówi zawsze, że on Niemiec. A kiedy on mnie zobaczy, to do mnie żadnego takiego słowa nie powie, jak syn do ojca, ale zaraz mówi: daj mi, tate, pieniędzy, żebym ja interesa na swoją rękę mógł prowadzić.

Im dłużej Eli mówił, tém szybciej wyrazi wychodziły z ust jego. Po ostatnich słowach umilkł na chwilę, lecz potem, z nagłym wezbraniem głosu i coraz większą szybkością, prawie znów zaczął:

— A na co jemu interesa na swoją rękę prowadzić? Czy ja go dlatego do szkół posyłał i wszystkich języków, i muzyki, i tańczenia uczyć kazał, żeby potem faktorem albo kupcem był? Ja jego uczył

i na jego edukacją wielkimi garściami pieniądze sypał dlatego, żeby on mnie, jak wyrosnie, honor zrobił, żeby on urzędnikiem jakim wielkim był, żeby z niego oczy moje pociechę miały, a głowa moja przy nim odpoczęła sobie i podniosła się wysoko. Ja chciałem, żeby on bardzo edukowanym był i wielkim panem, a żydem nie przestał być. A on tymczasem wygląda, jak szubrawiec, do rubla rwie się, jak faktor, hulanki lubi, jak głupiec, a ze wszystkiego, co ja w duszę i w serce moje schował, wyśmiewa się, jak... łotr!

Zarumienił się Eli od wielkiego wzruszenia, z jakim mówił, a po chwilowym milczeniu zapytał znowu:

— A dlaczego on taki?

Z postawy jego pochylonój, z oczu szeroko rozwartych, z niespokojnego, nerwowego ruchu rąk poznać było, że łamał się on z zagadką jakąś, niepodobną dla niego do rozwikłania, i że na dnie téj zagadki leżały i groziły mu: zawód straszny, boleść ogromna.

Judel nie odpowiadał długo. Powieki jego wciąż były przymknięte; ale uśmiech słodczy i błogości pełen zniknął z ust jego bez śladu. Po chwili, głowa starca zakołysała się znowu powolnym, miarowym ruchem, a wargi poruszyły się i wydawać zaczęły ciche, żalodne wykrzyki:

— On wyśmiewa się z żydów... on nikogo nie bi, ani ojca rodzzonego, ani matki, co jego wynos

i wykarmiła... u niego edukacja wielka i ubranie pańskie, a twarz u niego jak lustro gładka, ale on nie taki, jak ty, Eli, on nie taki, jak trzeba!... Och! och! on tobie kiedyś wielkiego nieszczęścia narobi, on tobie oczy łzami wygryzie i na twoją głowę wielką plamę położy!

Eli drżać zaczął.

— Tate! tate! — krzyknął — nie mów ty do mnie tak! nie przepowiadaj takich strasznych rzeczy o moim Abramku! Ja jego kocham! och, jak ja jego kocham! Ja wszystkie sześcioro dzieci moje kocham, ale jego najwięcej ze wszystkich! Jak on, bywało, przyjedzie do nas na wakacje w swoim szkolnym mundurku, a zacznie różne słowa po francuzku gadać, to ja na niego patrzę, jak na brylant, jak na koronę, jak na obraz! Dlaczego on taki zrobił się? Albo ja jemu w czém przewinił? albo ja dla niego nie starał się zebrać wszystkich honorów, jakie tylko są na świecie? Dlaczego mi Pan Bóg w czém inném dopomagał, a w tém nie dopomógł, żeby mój Abramek był i edukowany *puryc*, i dobry żyd, i wielki urzędnik?

Umilkł zziąjany, drżący cały i, wydobywszy z kieszeni chustkę, otarł nią sobie czoło spocone.

Stary Judel nie z przymkniętymi już siedział powiekami, lecz owszem, oczy jego szeroko rozwarte, z zamyśleniem, objawiającem wytężenie umysłu wielkie, tkwiły w przeciwległej ścianie.

— Dlaczego on taki? — zaczął po chwili z cicha, przeciągle. — Albo ty co przeciw niemu przewinił? Eli! Eli! ja nie wiem, ja tobie tego moim własnym rozumem wytłómaczyć nie mogę. Ja tylko widzę.... tam daleko.... daleko widzę, że ty wielką jakąś omyłkę zrobił....

— Omyłkę?—porwał się Eli—jaką omyłkę, tate?

— Ja tę omyłkę daleko... daleko widzę i dlatego nic nie mogę tobie gadać, jak ona wygląda.... wiem tylko, że tam jakaś omyłka była... *Wart, Sohn!* ja o tém wszystkiém z rabbi Baruchem pogadam i zapytam się jego, jaka to omyłka i jak ją można naprawić?

— Dlaczego rabbi Baruch o naszych familijnych nteresach ma się dowiadywać? — z niezadowoleniem rzekł syn.

— Dlaczego? — powtórzył ojciec — dlatego, że rabbi Baruch mądry człowiek i dobry człowiek, dlatego, że on wszystko może czuć, co ludzie czują, a wszystko rozumieć, czego ludzie nie rozumieją. Ty, Eli, nie znasz dobrze rabbi Barucha, ty nigdy nie miał czasu z nim rozmawiać; ale ja o nim dużo sły-szał i zawsze znać go pragnął i teraz.... znam.

Siedział przez chwilę zadumany, w głębokiém znowu zachwyceniu pogrążony, a potém mówił dalej:

— Słuchaj, Eli! Jak ja był młody, to ja był biedny i nieuczony krawiec. Pracować mnie trze-
było dniami i nocami i siedzieć zgarbionemu nad l wałkami materyi, z igłą w ręku. A kiedy ja tak s

dział zgarbiony i szył, i na nic nie patrzył, tylko na swoje ściegi, i niczego nie słuchał, tylko jak materya pod moją ręką szeleściła, to ja wtedy myślał... ja ciągle myślał... a o czém ja myślał? Ot były moje myśli, jak te liście, co je wiatr z drzewa strąca, a one lecą każdy osobno, nie wiedząc, dokąd zalecą... I były moje myśli, jak te ptaki ślepe, co chciały-by lecieć w różne strony i wszystko widzieć, wszystko poznać, a nie mogą, bo im w oczach ciemno i tłuką się o każde drzewo, o każdą chałupę... I była dusza moja jak ten więzień, co przez małą szybę widzi kawałek światła i drapie się po ścianie, żeby do szyby dostać się i przez nią na wolność wyléźć, ale nie może, bo ma łańcuchy na rękach i na nogach... Kiedy ja głowę moję w obie ręce kładł i śpiewał do Pana Boga, to ja skarżył się przed Nim nietylko na głód mój i na wasze płkanie, ale i na moje myśli, co mnie spokoju nie dawały. A jak ja nie miał roboty i musiał przez cały dzień patrzeć w okno i czekać, czy kto zarobku do mojej chaty nie przyniesie, to ja myślał: zkąd biorą się obłoki, co tam w górze płyną? co z ziemi wypycha trawę zieloną? jak wyglądają kraje, od których przelatuje ten wiatr, co szumi, i jakie ludzie w krajach tych mieszkają i czy dobre? Ot jakie były moje myśli i jaka była moja dusza. A ta moja dusza, co była jak niewolnik, i jak ptak ślepy, i jak liść po świecie latający, spotkała się teraz z duszą rabbi Barucha. On dobry, on mądry, on dużo wie! Jak

ja z nim zaczął rozmawiać, to mnie w oczach zrobiło się jasno i ja dowiedział się wielu rzeczy, o które dawniej moja dusza pytała się daremnie. Ale ona długo była w niewoli, i długo była ślepa, to wszystkiego od razu ogarnąć i zobaczyć nie mogła. Ona widzi wiele z daleka... z daleka.... ale jój niełatwo zobaczyć z bliska. Ja o twoim Abramku myśleć będę, a o twoją omyłkę zapytam się rabbi Barucha...

Starzec nie domówił jeszcze słów ostatnich, gdy przez drzwi od sieni wsunęła się do izby głowa Sury, o rudój peruce i tiulowym czepcu.

— Ty tu, Eli? — zawołała żydówka. — *Kim geschwind*, tam wszyscy czekają na ciebie, a Lejbie i Mendlowi w drogę już czas.

Eli, który słów ojca słuchał w zamyśleniu wielkiem, niczém jednak nie zdradzając, czy sens ich wyrozumiał dobrze, na głos Sury powstał i, jak przy powitaniu, głośny pocałunek złożywszy na rękę starca, udał się za siostrą, na drugą stronę domowstwa.

Drugą tę stronę zamieszkiwali siostra i brat Ele-go, Sura i Mendel. Sura miała w środku miasta sklep bławatny i w nim, wraz ze starszemi wnuczkami, dnie przepędzała. Gdy sklep zamykał się, wracała na noc tu, gdzie gospodarowały i zkąd nie oddalały się ani na chwilę inne dzieci jój i wnuki. Mendel, wielki faktor, miewał tysiące interesów w mieście i po wsiach. Nie bywało go tygodniami całemi w domu, w którym przebywała i szyciem trudniła się z

jego, otoczona kilkorgiem dorosłej, dorastającej i drobnej dziatwy.

Jedna izba i dwie izdebki, składające mieszkanie dwu tych rodzin, napełnione były łózkami z piętrzącą się na nich puchową pościelą i trochę innych, niewykwintnych sprzętów. Wieczoru tego w bocznej małej izbie palił się na kominie ogień, przy którym Mendlowa gotowała wieczerzę, a Sura, siedząc na stołku, robiła błękitną pończochę. Dziewczęta, zebrane w kącie, szeptały i chichotały; dzieci jedna spały na ławach, inne poobsiadały ognisko, młodziutki zaś, bezwąsy żydek pobrzękiwał na skrzypcach, i cichém nuceniem zawodził jakąś pieśń sabbasową.

W pierwszej izbie, przy świetle dwóch świec łożowych, zapalonych w mosiężnym świeczniku, u sufitu wiszącym, siedziało dokoła długiego, wąskiego stołu kilku brodatych mężczyzn, w długich chałatach, z jarmużkami na głowach. Na stole stała butelka z miodem i talerz z czarnym chlebem, z pokrajaną cebulą i czosnkiem. Wieczoru tego, w skutek wyraźnych zleceń Elego, Mendel był w domu. Szczupły, niski i ognisto rzyży, siedział on z brodą na dłoni opartą i głośnym szwargotem żywą wiódł rozmowę z Efroimem. Obok Efroima, stroskany widocznie i niespokojny, gestykulował Lejba, młynarz z Orchowa; dalej jeszcze, milczący, krył się w cieniu Josiel, ów dawny dzierżawca Ręczyna, który, od lat kilku,

rzuciwszy gospodarstwo rolne, trudnił się teraz dzierżawą gorzelni po szlacheckich dworach.

Gdy Eli wszedł do izby, wszyscy obecni z miejsc swych na-pół się popodnosili i ręce do powitalnego uścisku wyciągnęli.

— *Wie gehts? Wie gehts?* — zabrzmiało chóralne zapytanie.

Z czoła Elego zniknęła chmura, która osiadła była na niém, gdy rozmawiał z ojcem o Abramku.

— Dobrze idzie! dlaczego ma źle iść? — zwykłą swą w podobnych razach odpowiedź powtórzył Eli.

— Szczupaki wpadają do *stauu*? — zaśmiał się Mendel, błyskając ku bratu szaremi, przebiegłemi oczyma i ukazując w uśmiechu białe zęby.

— Dlaczego nie mają wpadać? — uśmiechnął się Eli i z rękoma, w kieszenie ubrania włożonemi, stanął przy stole. Na atlasowej kamizelce jego błyszczał złoty łańcuch od zegarka, na białą i cienką koszulę opuszczały się z pod uczesanej bródki końce jedwabnego krawatu. O ile też ubranie Elego odznaczało się pomiędzy otaczającymi go wyższym stopniem smaku, zamożności i staranności, o tyle w całym układzie jego, spokojnym a poważnym, przebijała wyższość rozwagi, inteligencji i pewności siebie.

Po pierwszych zamienionych słowach powitalnych przystąpiono do interesów.

— Co będzie? — zapytał Lejba. — Jak ty, Eli latem w Orchowie, to ty mnie powiedział, że i

ja wezmę młyn od Orchowskiego i zapłacę jemu za trzy lata z góry, a może nie wezmę i nie zapłacę. On mnie drugi raz już mówił, żebym ja brał i płacił. Co ja mam robić?

— Nie brać i nie płacić — odpowiedział Eli.

— Ny, a co ze mną będzie? — wykrzyknął Lejba.

— Już ty o to nie lękaj się; ja z białowolskim ekonomem gadał. Ty jedź zaraz do Białowoli i proś, żeby tobie młyn puścili, a ja tak już zrobił, że oni tobie jego za połowę ceny puszcza.

— *Git!* — z zadowoleniem zupełnym zawołał Lejba. — A kogo ty w orchowskim młynie posadzisz?

— Ja teraz nikogo tam nie posadzę i nikomu z *naszych* nie pozwolę, żeby tam siadł dopóty, dopóki Orchowski swego majątku nie sprzeda... a jak on jego sprzeda, to ja tak zrobię, że ty, Lejbele, znowu ten młyn będziesz miał i taniiej, niż od Orchowskiego.

— Orchowski majątku swego nie sprzeda — ozwał się twierdzącym tonem Mendel faktor.

— Dlaczego? — zapytał Eli.

— Dlatego, że on długów już tak jak nie ma, a co jego do sprzedania przymusić może, kiedy nie długi?

— On jeden jeszcze wielki dług ma — wymówił Eli.

— Ny, jaki?

— Siostry.

— Albo to siostra będzie u niego dopominać się?

— Może i będzie.

— Ny, a jak ona u niego dopomni się, to co to wielkiego? On las swój sprzeda i jój zapłaci. On do tego czasu nie chciał sprzedawać, bo myślał, że jak zbierze *pieniądzów*, to sam wyrąbie i do Gdańska pople; ale jak jego przycisną, to on sprzeda i siostrze zapłaci.

— A komu on las ten sprzeda? — z wolna wymówił Eli.

— Mało komu może on sprzedać? Bogatych kupców u nas, dziękować Bogu, jest dosyć.

— A kto kupcom las jego do kupienia nastreczy? A kto starać się będzie o to, żeby oni z sobą na cenę zeszli się?

— Jakto kto? ja nastreczę i ja postaram się. Tam *borysz* dla faktora wielki będzie.

— A ja tobie mówię, Mendele, że ty kupca jemu streczyć nie będziesz i tym małym faktorom, co ty ich znasz i co oni łaski twojej potrzebują, zakażesz, żeby tego nie śmieli robić.

Wbrew wszelkiemu oczekiwaniu, Mendel, zamiast sprzeczać się i protestować, głową na znak zrozumienia kiwał, a oczyma przebiegłemi błyskał, jak ktoś, przed kim otwiera się miła bardzo perspektywa. Gdy Eli mówić przestał, Mendel obrócił się ku Josielowi i zawołał:

— *Hast du gehörst?* on wielki jakiś interes „ wie swojej obraca i dlatego z nami tu wszystkir

gadać chciał. My jego powinni słuchać, bo z tego wielkiego interesu wypadną *wielkich korzyściów* i dla niego i dla nas.

Josiel wysunął się z cienia.

— Eli!—zaczął swoim powolnym, łagodnym tońem —jak ty latem u nas w miasteczku był, to ty mnie prosił, żebym ja gorzelni u Orchowskiego w *Septembrze* nie brał. Ale teraz już *Oktober* i pora wielka ją wziąć. On do mnie dwa razy przysyłał, pytając się, czemu ja nie przyjeżdżam i gorzelni nie biorę, bo on sam nie ma jój za co pędzić...

— Na co tobie gorzelnia orchowska? — zapytał Eli — albo ja nie mówił Mendelowi, żeby tobie w tym roku dwie inne gorzelnie nastreczył.

— Ny, ja jemu téż nastreczył i on *ich* wziął — zawołał faktor.

— Ale ja mam za co i trzecią jeszcze wziąć — rzekł Josiel. — Ja u Orchowskiego siedm lat gorzelnia trzymał; on dobry bardzo człowiek i nigdy mnie nie skrzywdził, to mnie jego szkoda... Jak moja mała Surka przeszłej zimy zachorowała, to jego żona przynosiła jój sama lekarstwa, a jak mnie raz trzeba było akcyzę płacić i ja w wielkich kłopotach był, bo mnie dwustu *rubłów* zabrakło, to on mi pożyczył. On mnie nigdy złego słowa nie powiedział, a jak spotkał kiedy na dziedzińcu, to zawsze uklonił się i powitał: „dzień do bry panie Josiel!” Oni oboje *dobre ludzie*, Eli, grzeczne, akuratne i staranne. Dlaczego ja nie mam

z nimi po staremu w przyjaźni żyć i gorzelni u nich trzymać?

Mowy téj spokojnego i uczciwego żyda Eli wysłuchał ze spuszczonemi oczyma i schmurzonym czołem. Widoczném było, że obraz jakiś, widziany przez niego niegdyś a zapomniany, stanął przed jego pamięcią, że wątpliwość jakaś, czy skrupuł, ozwały się w nim znowu. Trwało to jednak krótko. Usiadł na ławie i rozpoczął z Josielem rozmowę, która, cicho z razu prowadzona, stawała się coraz głośniejszą i żwawszą, a skończyła się na tém, że Josiel, przyjęte na chwilę, odporne stanowisko swe opuścił i przyrzekł nie dzierżawić już gorzelni orchowskiej.

Urządziwszy w ten sposób interesa, mające styczność z przyszłemi losy Orchowa i jego mieszkańców, Eli toczył jeszcze z Efroimem długą a cichą rozmowę, w której powtarzały się często nazwiska Ręczyna i Poryckiego. Gdy nakoniec, spójrząwszy na swój złoty zegarek i pożegnawszy krewnych a sprzymierzeńców swych, znalazł się przy drzwiach od sieni, Mendel zastąpił mu u progu.

— Elil — szepnął — czy ty z tego orchowskiego interesu wielkich *korzyściów* mieć będziesz?

— Żebym ja z niego *wielkich korzyściów* nie miał mieć, to ja-bym jego nie dotknął się—odparł Eli.

— A kto kupi Orchów? — zagadnął Mendel.

— Kto jego kupi? jego kupi wielki magnat zawsze w stolicy siedzi, a do swego majątku t-

latem na trzy miesiące przyjeżdżać będzie. On za ten majątek zapłaci tyle, ile my zechcemy, a potem on będzie w stolicy siedział, a my będziemy u niego kupować i sprzedawać, i w posesye puszczając...

— Jak zechcemy i komu zechcemy... — dokończył Mendel. — *Git, Eli git!* to wielki interes!

— Tylko ty, Mendele, o tém nie gadaj: bo interes zawczasu rozgadany, to jak garść piasku na wiatr rzucona... ludzie rozniosą go na językach i zniknie jak piasek!

* * *

Gdy Eli w głębi żydowskiej dzielnicy z ojcem swym i krewnymi wieczór przepędzał, Ildefons Porycki, po kilku godzinach, u pani Malwiny spędzonych, wrócił do hotelowego mieszkania swego. Za ledwie, usiadłszy przy stole, położył przed sobą przyrządy do pisania, otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł młody, zgrabny chłopak, z bladawą twarzą i grzecznym uśmiechem. Porycki powstał i, patrząc na nieznanego, oczekiwał go przy stole w pytającej postawie. Nieznajomy zbliżył się. Ruchy jego były śmiałe i zręczne, jakkolwiek cechowało je silenie się na wytworność dość złego smaku.

— Przepraszam pana bardzo — ozwał się przychyliły — że przychodzę tak późno. Niech pan nie yśli, żebym ja nie wiedział, że ta pora nie jest sto-

sowną do wizyt. Ja o tém wiem; ale ja słyshał, że pan przez cały dzień bardzo zajęty, i że teraz tylko można pana w domu zastać.

Słowa te wymówione były dość poprawną polszczyzną, w sposobie jednak wymawiania litery *r* i w pewnych właściwościach składni zdradzało się pochodzenie izraelskie młodego człowieka.

— Z kimże mam przyjemność?... — zaczął Porycki.

Przybyły pochwycił:

— Jestem Gottlieb Makower. Przyszedłem do pana z interesem... to jest... z prośbą raczej...

Porycki wskazał krzesło nieoczekiwanemu gościowi swemu i patrzył na niego pytającym wzrokiem.

— Ja słyshał — zaczął gość, siadając i nie wypuszczając z ręki czapeczki swój ze srebrnym galonikiem — ja słyshał, że pan wielkimi interesami zajmuje się i wiele bardzo pięknych stosunków ma. Otóż przyszedłem prosić pana, czy nie mógł-by pan przyjąć mię do pomocy...

Porycki słuchoł uważnie i spoglądał na czapkę z galonikiem.

— Jak widzę — rzekł po chwili—pan zajmować musisz urzędowe miejsce jakieś.

— Jestem telegrafistą — odparł syn Elego, pogardliwie usta składając. — To mój ojciec, widzi pan, chciał tego, żebym ja telegrafistą był... myślał, że to dla mnie i dla niego wielki ho-

będzie; ale ja w tém honoru żadnego nie widzę. I co to, proszę pana, za miejsce, na którém człowiek niczego dorobić się nie może?

— Czegoż pan mianowicie żąda?—zapytał Agent Główny.

Abramek uśmiechnął się i namyślał przez chwilę. Potém zaczął:

— *U nas Niemców*, proszę pana, to już taka natura, że nic nie powinno marnować się, ani zdolności ludzkie, ani pieniądze, tylko ze wszystkiego powinien być zrobiony użytek taki, żeby korzyść jakaś była. Mnie się zdaje, że ja mam zdolności do interesów... Pieniądzy to ja także trochę mam...

— Czy pan robiłeś już kiedy jakie obroty?

— Bardzo małe, ale robiłem. Moi rodzice bogaci, i pieniądze dają mi zawsze dość... oni wiedzą, że młodemu człowiekowi, takiemu jak ja, pieniądze zawsze trzeba... Ja téż dla siebie niczego nie żałuję i dobrze sobie żyję; ale zawsze, jak mi się zostaje trochę pieniędzy, to je na procent pożyczam... takim sposobem one u mnie rosną...

— Widzę, że w istocie masz pan do interesów zdolności i chęci. I wielkie pan od kapitałów swych pobierałeś procenta?

Abramek spuścił na chwilę oczy. Prędko jednak podniósł je na twarz swego interlokutora i rzekł śmiało:

— Ja nie będę przed panem kłamał, bo wiem, że pan jesteś człowiekiem rozumnym. Brałem takie

centa, jakie mogłem wziąć... Wszak im większe korzyści człowiek ma, tém lepiej. *N'est-ce pas, monsieur.*

Wymawiając francuzkie wyrazy, wydał nieco usta, ale zarazem i mrugnął figlarnie. Porycki wiódł rozmowę tę całą z obojętnością, która w podobnych rzeczach wcale mu zwyczajną nie była.

— A jakież pan zebrać już zdołałeś kapitały? — zapytał.

— No, niewiele... blisko tysiąc rubli...

Mówiąc to, Abramek zarumienił się, ze wstydu zapewne, że tak mało posiadał.

— I cóż pan chcesz, żebym ja z pańskimi pieniędzmi i pańskimi zdolnościami zrobił? — zapytał Porycki.

— Ja-bym prosił, żeby pan pieniądze moje przyłączył do téj sumy, którą *Dom pośrednictwa* obraca. One tam pewne będą i większe korzyści przyniosą. A zdolności moje niech pan weźmie i niech one panu w każdéj robocie pomagają... Ja mogę wszędzie pojechać i dowiedzieć się, i nastęrczyć, i wyliczenie każde zrobić... a pan mi za to pomoże coraz wyżej iść.

— A cóż będzie z miejscem, przez pana zajmowanym?

— Ja to miejsce porzucę! To głupie miejsce, nudne, i nic nie daje. Biorę sześćset rubli pensyi na rok, ale co to znaczy? Jeżeli pan nie spełni moich myśli, to i tak ja to miejsce porzucę i do Niemi

wyjadę. *U nas w Niemczech* o interesa i o karierę łatwiej.

Porycki powstał z krzesła, co zmusiło i Abramka powstać także.

— Wszak, jeżeli nie mylą się, pan jesteś synem Elego Makowera?

Abramek zarumienił się znowu i szkarłatniej jeszcze, niż wprzódy. Wstydził się snadź pochodzenia swego i miał nadzieję, że Porycki, tego wieczoru przynajmniej, zostanie pod tym względem w miłej dla niego niewiadomości.

— Otóż — zaczął znowu Agent Główny — przykro mi to, ale ja żądania pańskiego spełnić nie mogę. Gdyby ojciec pański życzył sobie tego, żebyś pan do interesów naszych należał i na tej drodze kariery dla siebie szukał, niechybnie wspomniał-by mi o tém cośkolwiek. Skoro zaś nic mi o tém nie mówił i, jak pan sam powiadasz, umieścił pana w Biurze Telegraficzném, to ja wbrew życzeniom jego postępować nie mogę.

— Przepraszam pana — przerwał Abramek, rozumieniony cały i z błyszczącymi oczyma — mnie to bardzo dziwi, że pan tak mówi. Pan jesteś człowiekiem rozumnym. Nie może być, żeby pan wierzył w to, co starzy ludzie gadają. My dobrze wiemy, że dla młodzieńca dorosłego i edukowanego ojciec jest takim samym człowiekiem, jak każdy inny człowiek.

Na co ja koniecznie mam słuchać tego, co mnie jakiś tam człowiek mówi.

W głębi duszy Porycki był takiego samego, jak Abramek, o stosunkach rodzinnych przekonania; ale, z jednéj strony, nie obiecywał on sobie ważnych pożytków z usługi i zdolności Abramka, z innéj zaś, za nic w świecie nie chciał poróżnić się z Elim, wielce mu pomocnym i bardzo, w pewnych względach, groźnym: to téż bez namysłu najłżejszego, odrzekł:

— Pozwól pan, abym nie wypowiadał mu przekonań swoich. Jeżeli ojciec pana objawi mi życzenia, zgodne z pańskimi, gotów jestem uczynić, co tylko będzie w mojej możności; w przeciwnym jednak razie, nie mogę służyć panu w niczém.

— Czy to ostatnie pańskie słowo? — zapytał izraelski młodzieniec, drżący z upokorzenia i tłumionego gniewu.

— Ostatnie — kłaniając się lekko i tonem bardzo stanowczym, wyrzekł Agent Główny.

Syn Elego oddał mu szybki ukłon i wyszedł. Z gorącemi rumieńcami na policzkach, z oczyma żarzącemi się, jak głownie, zbiegł ze wschodów, u których na dole oczekiwał na niego Klemens Szyłło.

— I cóż? — zapytał śpiesznie człowiek bez kondycyi.

Dwaj młodzi ludzie, ściśle, jak się zdawało, sprężynieni ze sobą, wyszli na chodnik ulicy. Abram miał w dłoni rękawiczkę.

— Cóż? — powtórzył Klemens — może jutro pojedziemy razem do stolicy?

— Gdzie tam! ani słuchać o niczym nie chcia! Ojciec wszędzie w drodze mi staje! ten głupi, ciemny żyd!

Cienie nocne pokryły uśmiech szyderski i złośliwy, który przesunął się po ustach Klemensa. Po chwili, syn Augustyna Szyły z lekka towarzysza po ramieniu uderzył, i rzekł:

— Ot, wiesz co, Abram... Gotliebiel żebym ja był na twojem miejscu, to-bym już ze starym dał sobie rady.

— Kto z nim da sobie rady? On twardy, jak kamień! On tylko o honorach dla mnie myśli, a sam to worami pieniądze zbiera.

— Otóż ja wydusił-bym z niego część tych pieniędzy.

— Nie daje — sarknął Abramek.

— Wziął-bym sam! — po chwili namysłu i bardzo cicho szepnął człowiek bez kondycji.

— Zamyka!

Odpowiedzi nie było. Kiedyś, kiedyś znaleźć się ona miała może we własnej głowie Abramka. Tym jednak razem, zawołał on z uniesieniem:

— Ot, wezmę to, co mam, i pojedę do Niemiec! Już mi to małe miasteczko, i ten telegraf, i ci ciemni ydzy ze swemi łoszynami i szabasami *nadojedli!* 'Inie trzeba świata użyć i karyerę zrobić! Ja tu nie wtrzymam!

— Jak będziesz wyjeżdżał do Niemiec, czy weźmiesz mnie ze sobą? — zartobliwie rzekł Klemens.

— Ot, kiedy to jeszcze będzie! — głęboko westchnął syn Elego. — Tymczasem trzeba mi do Biura na nocny dyżur iść! *Tausend Teufel!*... Słuchaj, Klemensiel przywieź mi ze stolicy pół tuzina rękawiczek nowych, tylko żeby kolory były piękne. A może ty dla mnie i jaki interes znajdziesz?

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

DZIEŁA ORZESZKOWEJ

tomów **44** za rs. **15** kopiejek **40**

tom pojedynczy kop. **35**

Za przesyłkę na prowincję kop. $8\frac{1}{2}$ od tomu.

Nabyć można częściowo tomami pojedynczemi.

Tanie zbiorowe wydanie dzieł zawiera następujące utwory znakomitej autorki:

Ostatnia miłość, tom 1.—Z życia realisty, t. 1.
—W klatce, tom 1.—Na prowincyi, tom. 2.—
Pamiętniki Wacławy, tom. 4 — Pan Graba,
tom. 3.—Cnotliwi, tom 1.—Wesoła teorya i
smutna praktyka, tom 1.—Na dnie sumienia,
tom. 4.—Marta, tom 1.—Eli Makower, tom. 3
—Rodzina Brochwiczów, tom. 2.—Pompalińscy,
tom. 2.—Marya, tom 1.—Meir Ezofowicz,
tom. 2.—Sylwek Cmentarnik, tom 1.—Zygmunt
Ławicz, tom 1.—Nowelle i obrazki z różnych
sfer, tom. 5.—Niziny, powieść z ilustracyami
Andriollego, tom 1.—Dziurdziowie, t. 1.
—Drobiazgi, tom 1.—Stare obrazki, tom 1.—
O kobiecie, tom 1.—Kilka słów o kobietach,
tom 1.—Patryotyzm i kosmopolityzm, tom 1.
Cham, tom 1.

Wydawnictwo S. LEWENTALA w Warszawie,
Nowy-Świat Nr. 41.

